

Milt Bearden

Czarny Tulipan

(The Black Tulip)

Przekład: Andrzej Leszczyński

Dla Marie-Catherine

Nikt nie wie dokładnie, kiedy i gdzie narodziła się legenda o czarnym tulipanie. Jedną z bardziej wiarygodnych wersji wiąże jej początki z wczesną wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku i śmiercią porucznika Siemiona Popowa w okolicach miasta Mazar-i Szarif, który zginął trzymając w dłoni ten rzadki kwiat rosnący w północnym Afganistanie. Podobno zachwycony jego pięknem, zerwał tulipana zaledwie na kilka sekund przedtem, nim kula snajpera trafiła go prosto w serce. Z niewiadomych powodów, jak głosi legenda, jeden z kolegów wyjął kwiat z dłoni zabitego i wetknął go w dziurkę od guzika munduru, zwłoki zabrano więc do ojczyzny z niecodzienną ozdobą na piersi.

Dlatego w późniejszym etapie wojny wielkie transporty zabitych wywożonych z Afganistanu zyskały miano Czarnych Tulipanów, a sam kwiat stał się w Związku Radzieckim symbolem śmierci.

Część pierwsza

Rozdział 1

Centrala CIA, Langley, Wirginia, 28 maja 1985 roku

Aleksander Fannin pchnął jaskrawożółte wahadłowe drzwi z dużym czarnym napisem: 7D70 – DYREKTOR AGENCJI. Ich żywy kolor zawsze wydawał mu się niestosowny, całkowicie nie pasujący do tajemniczego, mrocznego świata rozciągającego się po drugiej stronie. Zdawał sobie jednak sprawę, że Bill Casey w ogóle nie przywiązuje do tego wagi. Z uśmiechem pomyślał, że dzisiaj owe żółte drzwi zdawały się kpić sobie z niego. Przyszedł bowiem, aby oddać dyrektorowi służbową legitymację, uścisnąć staremu dłoń i tym sposobem zakończyć swoją dziesięcioletnią służbę w agencji.

W przeszklonej wartowni siedzieli dwaj posępni młodzi ochroniarze, ubrani w identyczne, pochodzące chyba z wyprzedaży, swetry. Sztywno skinął im głową, a oni odprowadzili go z zaciekawionymi spojrzeniami. Dobrze wiedział, że zanim zdąży do otwartych drzwi sekretariatu, w których czekała już asystentka dyrektora, Dottie Manson, wbiją sobie w pamięć wszelkie szczegóły sylwetki wysokiego gościa o śniadej cerze, ubranego w luźną sportową marynarkę, czarne wełniane spodnie i granatowy golf.

– Cześć, Aleks – powitała go Dottie, gestem zapraszając do środka przestronnego, obitego brzoźową boazerią, sekretariatu. Za oknami siódmego piętra rozciągała się malownicza panorama wirginijskiej równiny, chociaż gęste późnowiosenne listowie przesłaniało już widok szerokiej wstęgi Potomaku, wijącego się zakolami wokół wywiadowczej centrali w Langley.

– Wcale nie wyglądasz na człowieka, który z żalem rozstaje się z firmą.

– On tak uważa? – zapytał Fannin, rozglądając się po niemal całkiem pustym pokoju.

– Jest tam – odpowiedziała Manson i wskazała drzwi sali konferencyjnej dyrektora. – Poza tym przedstawiłam swoje zdanie, a nie jego. Polecił, żebyś tu zaczekał do końca zebrania. Zaproponował też, żebyś umilił sobie czas jakąś lekturą.

Gustownie urządzone gabinet Caseya sprawiał przytulne wrażenie, lecz panujący w nim nieład w pełni odzwierciedlał charakter urzędującego tu człowieka.

Aleksander szybko przebiegł wzrokiem tytuły książek, tworzących stos na skraju biurka, zauważając, że dotyczą tak różnych zagadnień, jak historia Stanów Zjednoczonych, ekonomia czy związek polityki z przemysłem naftowym. Domyślił się, że pod koniec tygodnia Dottie

będzie musiała spakować te książki i na weekend wysłać je pocztą kurierską na Long Island, by od poniedziałku dyrektor mógł z pełnym zaangażowaniem polecać niektóre z nich do czytania. A Casey uwielbiał dyktować ludziom nie tylko, co mają czytać, lecz także jak interpretować treść.

Fannin rozsiadł się na wielkiej, miękkiej sofie i zamknął oczy. Nie żałował swojej decyzji. Naprawdę uważał, że powinien się wycofać z tej roboty.

Od razu trafił do wydziału operacji tajnych. Jego ojciec był Rosjaninem, a matka Ukrainką, znaleźli się w gronie uchodźców z nękanego stalinowskimi represjami ZSRR. Nic więc dziwnego, że Aleksander płynnie mówił obydwoma tymi językami, doskonale znał również polski i niemiecki. Został zwerbowany do pracy w agencji po krótkiej służbie w lotnictwie, kiedy to w Wietnamie przyszło mu parokrotnie pilotować helikopter w rozmaitych akcjach paramilitarnych organizowanych przez CIA. Początkowo wkładał całe serce w pracę wywiadowczą, nawet pod koniec burzliwych lat siedemdziesiątych, kiedy to kolejne skandale i niepowodzenia rozmaitych misji zaciążyły nad przyszłością agencji, ani przez chwilę nie miał wątpliwości, kim naprawdę jest i jakie znaczenie ma jego praca.

W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym, po zaprzysiężeniu Caseya na stanowisku dyrektora, wyraźnie odczuł przyływ świeżej energii w Langley. Od początku też zaczął układać swoje dobre stosunki z tym błyskotliwym nowojorskim prawnikiem, którego głównym celem stało się dopasowanie zadań agencji do politycznej linii nowego prezydenta, i pod koniec pierwszej czteroletniej kadencji Aleksander był już z szefem w przyjacielskich stosunkach. Wspólnie śledzili pęknięcia powstające w nieskazitelnym dotąd wizerunku „Imperium Zła”, poszerzające się zwłaszcza na linii Warszawa – Moskwa, wspólnie też dochodzili do wniosku, że nadeszła pora na podjęcie takich czy innych „kreatywnych przedsięwzięć”, jak zwykł mawiać Casey. Razem snuli skomplikowane, ambitne plany tego, co dyrektor określał mianem końca gry. Właśnie w takiej sytuacji pojawiły się pierwsze kłopoty Fannina.

Zacząło się od spraw czysto osobistych. Rok wcześniej, podczas wykonywania misji w Azji, Aleksander poznał nadzwyczaj uroczą Katerinę Martynową i szybko zakochał się w niej bez pamięci. Jej rodzice, uciekinierzy z ogarniętej wojną Ukrainy, spotkali się w chińskim obozie przejściowym dla uchodźców rosyjskich i tam też zastały ich burzliwe przemiany tysięcy

dziewięćset czterdziestego piątego roku. Lara Czumakowa i Michaił Martynow ostatecznie pobrali się w Szanghaju, gdzie zamierzali od nowa zbudować sobie życie, ale wojna domowa i rewolucja z końca roku czterdziestego dziewiątego zmusiły ich do dalszej ucieczki z małą córeczką, tym razem przed wojskami Mao-Tse-Tunga. Znaleźli swoje miejsce wśród rosnącej szybko społeczności Rosjan i Europejczyków szukających schronienia przed chińską zawieruchą na terenie Brytyjskiej Kolonii Koronnej – Hongkongu.

Ojciec Kateriny pozbiarał resztki skromnego majątku z Szanghaju, pożyczył jeszcze trochę pieniędzy i podejmując ryzyko niepewnej inwestycji, sprowadził z Australii kilka koni wyścigowych. Początkowo mała stajnia, położona obok rozwijającego się błyskawicznie toru wyścigowego Happy Valley, na fali powojennego boomu w dziedzinach związanych z hazardem szybko stała się jedną z kilku największych stadnin w Hongkongu, a skromna firma Martynow Trading Corporation zanglicyzowała swą nazwę na Martin House. Dzięki temu Katerina mogła uczyć się we Francji i w Szwajcarii, a w czasach, gdy poznała Fannina, była już wschodzącą gwiazdą wschodnioazjatyckiego dziennikarstwa politycznego. Rok później ich decyzja zawarcia małżeństwa przysporzyła Aleksandrowi nieprzyjemności.

Musiał powiadomić agencję o chęci wstąpienia w związek z kobietą innej narodowości, a w skomputeryzowanej bazie danych natychmiast połączono osobę Kateriny i jej najbliższych z domniemaną podziemną opozycją ukraińską wewnątrz ZSRR. Aleksander wiedział o kontaktach Martynowów z działaczami opozycyjnymi, nie sądził jednak, by były one w jakikolwiek sposób przydatne dla CIA. Potajemnie sprawdził zarchiwizowane informacje o rodzinie Kateriny i uznał je za zwykłe dla kręgów emigracyjnych plotki, nie nasuwające większych zastrzeżeń. Miał nadzieję, że nie wzbudzą niczyjego zainteresowania.

Ale szef kontrwywiadu agencji, Graham Middleton, zwrócił na nie uwagę i postanowił wykorzystać nadarzającą się sposobność do wyeliminowania z gry konkurenta. Od dawna uważał błyskawiczną karierę Fannina za główną przeszkodę na własnej drodze do szczytów. Nie cierpiał syna emigrantów, którego ceniono wyżej od niego, absolwenta uczelni należącej do Ivy League. A Fannin odwzajemniał jego pogardę, uważał Middletona za typowego karierowicza i agencyjnego „rojalistę”, niechętnego szerszemu wykorzystaniu rosnącej słabości Związku Radzieckiego.

I Middleton skrzętnie wykorzystał tę sytuację, zgłosił „osobiste zastrzeżenia względem lojalności agenta”.

Katerina wcześniej poprosiła Aleksandra, by nie ujawniał w centrali, że bliźniacza siostra jej matki nadal mieszka w Kijowie i obie kobiety przed piętnastu laty wypracowały własny system utrzymywania potajemnych kontaktów. Ich korespondencja została ukryta w formie starej ludowej baśni *O dwóch kijowskich pannach*, dzięki czemu siostry mogły wzajemnie relacjonować sobie wydarzenia z tego czterdziestolecia, jakie minęło od ich rozstania na ogarniętej wojenną pożogą Ukrainie. Na podstawie treści nowych rozdziałów baśni, dopisywanych w ostatnich latach, matka Kateriny wydedukowała, że jej siostrzeniec jest wysokim oficerem KGB, liczyła jednak na to, że podobnie jak reszta rodziny on także w głębi duszy nienawidzi sowieckiej dyktatury.

Fannin zdawał sobie sprawę, że ujawnienie owych informacji przełożonym natychmiast zrodzi plany wykorzystania tego pokrewieństwa, w wyniku czego rodzina Kateriny zostanie narażona na ogromne ryzyko. Tylko Caseyowi zwierzył się ze swoich obaw, dodając, że jest gotów natychmiast zrezygnować z pracy w agencji, jeśli dyrektor uzna to za najlepsze wyjście z trudnej sytuacji. To właśnie Casey doradził mu, aby używał zwrotu „możliwe, brak wiadomości” podczas wypełniania standardowego kwestionariusza CIA, dotyczącego ewentualnych krewnych przyszłej żony będących obywatelami ZSRR, a następnie spokojnie czekał na rozwój wydarzeń.

W sekcji kontrwywiadu rozpętała się burza. Middleton uznał wymijające odpowiedzi za zwykłe mydlenie oczu, po czym wysnuł wniosek, że Katerina Martynowa jest agentem KGB i otrzymała zadanie zwerbowania Fannina. Pracownicy sekcji poddali szczegółowej analizie wszystkie jej artykuły publikowane w „Far Eastern Focus” i sformułowali konkluzję, że dziennikarka „często zajmuje krytyczne stanowisko wobec polityki zagranicznej USA”, to zaś jedynie nasiliło podejrzenia na temat jej współpracy z radzieckimi tajnymi służbami.

Groźba głośnego skandalu w najbliższym otoczeniu samego dyrektora CIA stała się znakomitą pożywką dla wielu różnych teorii spiskowych, które Middleton z ochotą podsycił, umiejętnie przenosząc zainteresowanie z Kateriny na Aleksandra i wykorzystując ich słowiańskie pochodzenie do tworzenia atmosfery zdrady. Rosyjsko-ukraiński rodowód Fannina oraz fakt przyścia na świat w obozie dla uchodźców na terenie powojennych Niemiec były dotąd czynnikami sprzyjającymi w jego szybkiej karierze. Ale teraz lawina plotek obróciła je przeciwko niemu. Zaczęły krążyć dziesiątki zmyślonych teorii prześcigających się w ujawnianiu coraz bardziej złożonych intryg, we wszystkich jednak kwestionowano lojalność Aleksandra,

akcentując prawdopodobieństwo jego pracy dla KGB od samego początku służby w agencji. A w instytucji, w której prawdę uważano za najpilniej strzeżoną tajemnicę, nawet najbardziej zwariowane plotki musiały wstrząsnąć murami. Kiedy więc zaczęto łączyć ostatnie „dziwne zjawiska w kontrwywiadzie” ze związkiem Aleksandra i Kateriny, ten podjął w końcu drastyczną decyzję.

Za namową Lee Tannera, szefa sekcji radzieckiej CIA znanego z trzeźwych, umiarkowanych poglądów, Fannin poddał się na ochotnika badaniu poligraficznemu. Po wyczerpującej, trzygodzinnej sesji w wydziale bezpieczeństwa, podczas której „nie wykryto żadnych dowodów zdrady”, uzyskał potwierdzenie swojej lojalności, lecz nie przekonany Middleton natychmiast podniósł kwestię „ewidentnie za dobrych” wyników przesłuchania. Jak można było oczekiwać, błyskawicznie zaczęto je wiązać z hipnozą, narkotykami czy też po prostu doskonałym wyszkoleniem specjalistów KGB.

Aleksander zrozumiał, że nie zdoła już niczego wyjaśnić, więc złożył rezygnację. Ale Casey nie chciał jej przyjąć, namówił go na kompromisowy dwutygodniowy urlop. I dziesięć dni wcześniej Aleks zgodził się na takie rozwiązanie.

Zaledwie Fannin stanął w drzwiach gabinetu, Bill Casey, siadając wygodnie w fotelu za biurkiem, burknął groźnie:

– Sądziłem, że weźmiesz sobie całe dwa tygodnie wolnego. Co się stało?

Aleksander obrzucił szybkim spojrzeniem siwowłosego dyrektora. Na ramionach wyraźnie znoszonej granatowej marynarki w białe prążki widać było ślady łupieżu, a poplamiony krawat tkwił krzywo wokół za dużego o numer kołnierzyka koszuli. Dawało to wrażenie zaniedbania, co w połączeniu z nieco opryskliwym stylem bycia składało się na nietypowy urok Billa Caseya.

– Doszedłem do wniosku, że zamierzasz mnie wywalić przed upływem tych dwóch tygodni. Gdyby nawet było inaczej, chcę złożyć rezygnację. Które rozwiązanie bardziej ci pasuje?

Dyrektor popatrzył ostro na uśmiechniętego Fannina.

– Nie zamierzam cię wywalić i nie przyjmę rezygnacji, przynajmniej do czasu twojego powrotu z Moskwy.

– Z Moskwy?

– Tanner chce, żebyś odtworzył kontakt z Tokariewem, który nie stawiał się na trzy kolejne umówione spotkania. Nikt z naszej rosyjskiej placówki nie może nawiązać alarmowej łączności,

nie ściągając na siebie uwagi trzydziestu chłopców z KGB, a więc ty musisz tam polecieć i go odnaleźć. Tanner twierdzi, że Tokariew odezwie się tylko do ciebie, do nikogo innego.

– Dlaczego nie zwrócił się z tym bezpośrednio do mnie?

– Dobrze wie, że i tak ja będę musiał podjąć decyzję. W końcu od tego tu jestem.

– Rozumiem, tylko czemu chce podjąć ryzyko bezpośredniego kontaktu? Tokariew to tchórz, chorobliwie podejrzliwy wobec wszystkich. Tylko z tego powodu zgodził się na współpracę z nami. Już kilka razy niepotrzebnie wszczynał alarm. Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy podejmować ryzyko, skoro nawet jeszcze nie wiadomo, czy rzeczywiście sytuacja jest krytyczna.

– Zostałeś wykluczony z tej operacji w chwili...

– Gdy moja lojalność została zakwestionowana przez szefa sekcji kontrwywiadu – wtrącił szybko Fannin.

– No właśnie. Zatem nie możesz wiedzieć, że Tokariew już miesiąc temu miał nam przekazać ostatnią porcję materiałów. Chodzi o schematy urządzeń radarowych i systemów naprowadzania rakiet, które Rosjanie będą stosować w myśliwcach przechwytyjących. To już finalna część tego projektu, zwieńczenie rocznej pracy inżynierów.

Aleksander starał się rzetelnie ocenić to, co usłyszał, lecz mimo woli wzbierała w nim wściekłość.

– Bill, tu nie chodzi o jakiś wydumany sprawdzian mojej lojalności, prawda? Pomysł jest prosty: wysłać Fannina do nawiązania kontaktu z Tokariewem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie wiadomo, że jest czysty. Gdyby nastąpiła wpadka, można byłoby jawnie sformułować oskarżenie. Dokładnie takiego myślenia należy oczekiwać po Middletonie. Powiedz mi szczerze, nie chcesz mnie w ten sposób sprawdzać, prawda?

– Dobrze wiesz, że nigdy bym się na to nie zgodził. Naprawdę potrzebne nam są materiały Tokariewa. Uwierz mi, że ten facet trzyma w garści wszystkie tajemnice awioniki, którą Rosjanie będą stosować w swoich myśliwcach jeszcze na początku przyszłego stulecia. Nikt nie zamierza bawić się z tobą w kotka i myszkę.

Na kilka sekund zapadło milczenie.

– Dobra, polecę do Moskwy, bo to należy do moich obowiązków. Ale zrobię to tylko dla ciebie. Sytuacja w niczym sienie zmieni. Jestem skończony w agencji.

– Musisz wiedzieć, Aleks, że doskonale rozumiem, przez co przeszedłeś. Żadnemu z nas nie pozostanie nic więcej poza honorem i poczuciem godności, gdy wszystkie inne sprawy wezmą

w łeb. Rozumiem też twoją wściekłość na Middletona, ale jego praca polega na wyłapywaniu wtyczek. To niewdzięczne zadanie, lecz nie muszę ci chyba tłumaczyć, że ktoś musi się tym zajmować.

– Tylko mi nie zalewaj, Bill! Middleton uknuł cały ten spisek i dobrze o tym wiesz.

– Masz rację, ale wiem też, że KGB naprawdę ma wśród nas swojego człowieka. Właśnie dlatego nie mogę, a nawet nie chcę, powstrzymywać zapędów Middletona.

– Nie przeczę. Ja także podejrzewam, że Rosjanie albo mają tu swoją wtyczkę, albo nauczyli się rozszyfrowywać nasze meldunki. Chcę tylko powiedzieć, że to nie ja jestem tą wtyczką i że Middleton już dawno przekroczył granice zdrowego rozsądku w tym idiotycznym zastawianiu na mnie pułapek.

– Leć do Moskwy i odszukaj Tokariewa. Wrócimy do tych spraw po twoim powrocie. I zawsze pamiętaj o mojej maksymie.

– Której?

– Że urazy psychiczne boją tylko do zachodu słońca. – Casey obrócił wzrok ku niebu i ze zboląłą miną energicznie pokręcił głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że on ma znacznie dotkliwsze problemy w kontaktach z dziennikarzami i politykami.

– Polecę do Moskwy, Bill, ale gdy wrócę, w ogóle nie będę chciał rozmawiać o żadnych urazach psychicznych. Powinieneś o tym pamiętać. – Aleksander wstał z krzesła. – Pójdę pogadać z Tannerem.

Casey uśmiechnął się szeroko.

– Nie trudź się, będzie czekał na ciebie w Berlinie. Jest już w drodze z twoimi polskimi dokumentami i całym sprzętem, jakiego będziesz potrzebował na przejściu „Charlie” do wschodniego Berlina. A potem, jak zwykle, dostaniesz wolną rękę.

– Ty chyba nawet przez chwilę nie miałeś wątpliwości co do mojej decyzji, prawda, Bill?

– Wątpliwości trzeba mieć tylko wobec rzeczy istotnych. Wylatujesz jeszcze dziś, Aleks. – Dyrektor znów uśmiechnął się szeroko. – Tylko nie daj się złapać. Jeśli wierzyć Middletonowi, na całym świecie nie znaleźlibyśmy wystarczająco cennej karty przetargowej, żeby próbować się dogadać z Rosjanami w kwestii twojej wymiany.

Moskwa, 31 maja 1985 roku, 23.36

W małym moskiewskim mieszkaniu Adolf Tokariew nieomal dostał ataku serca, kiedy o tak późnej porze zadzwonił telefon. Telewizor wyłączył ponad godzinę wcześniej, po zakończeniu ostatniego dziennika, i siedział w półmroku, próbując opanować rozdygotane nerwy. Od czasu, gdy dziesięć lat temu postanowił zdradzić ojczyznę, przeżywał huśtawkę uczuć. Euforią napawała go świadomość bogactwa będącego wynikiem działalności przeciwników znieprawionego reżimu. W takich chwilach czuł się nietykalny. Ale kiedy indziej po prostu trząsał się ze strachu. Teraz bał się jeszcze bardziej niż przed dwoma laty, kiedy całe biuro projektowe zelektryzowała wiadomość, że tajne służby poszukują pracującego tu agenta zachodniego wywiadu.

Tamtej nocy wydłubał śrubokrętem pastylkę cyjanku, którą technicy CIA ukryli w grubej oprawce jego okularów. Wiedział, że wystarczy ją tylko rozgryźć, a błyskawicznie nadejdzie szybka, bezbolesna śmierć. Był tak pewien swego losu, że poszedł na umówione spotkanie z tabletką wsuniętą pod język, przekonany, iż to KGB zastawiło na niego pułapkę. Ale Janusz, jego łącznik, kiedy się tylko o tym dowiedział, wpadł we wściekłość i rozkazał mu natychmiast pozbyć się trucizny. Później wytłumaczył spokojnie, że istnieje wiele różnych metod wyciągnięcia informatora z więzienia. Na koniec zaś dodał, że gdyby faktycznie KGB wiedziało o jego współpracy, nie potrzebowałby żadnej tabletki wobec perspektywy strzału w tył głowy.

Teraz, gdy w ciemnym pokoju po raz drugi rozległ się dzwonek telefonu, pożałował natychmiast, że wyrzucił zbawienną pastylkę. Odebrał dopiero po piątym sygnale.

– Słucham.

– Adolf? To ty, Adolfie?

Coś go ścisnęło za gardło. Ledwie zdołał wykrztusić:

– Kto mówi?

– Misza. Przywożę ci wiadomości od kolegów z Kijowa.

Misza i nowiny z Kijowa! – to było hasło ustalone przed wieloma laty, oznaczające konieczność nadzwyczajnego spotkania. Rozpoznał także głos Janusza, swojego łącznika. Poczul nagły przypływ nadziei.

– Misza? Co u ciebie słychać?

– Spotkajmy się i pogadajmy, Adolfie. Za parę minut mogę być u ciebie... Nie, lepiej zaczekaj na mnie na ulicy. Pójdziemy gdzieś, wypijemy po jednym, jak za dawnych lat. Nie będziemy budzić twojej rodziny.

– Nie czuję się ostatnio najlepiej, Misza. Chyba wiesz, że mam kłopoty z krążeniem.

– Więc tym bardziej powinieneś się dać wyciągnąć na krótki spacer. Trochę ruchu na świeżym powietrzu i setka dla kurażu tylko ci pomogą. Po drodze kupię jakąś butelczynę. Spotkamy się w parku.

Tokariew pojął wreszcie, do czego zmierza Janusz. Trzeba było działać błyskawicznie, by w razie telefonicznego podsłuchu uprzedzić ewentualną reakcję KGB. Spojrzał na ścienny zegar, od początku rozmowy minęło piętnaście sekund.

– Zgoda, Misza. Spotkamy się w parku.

– Wspaniale. Czy mógłbyś mi wyrządzić jeszcze drobną przysługę i przynieść tę aktówkę, którą zostawiłem u ciebie podczas ostatniej wizyty? Ciągle zapominam ją odebrać. Jak wyjdiesz z domu, idź w kierunku dworca. Będę czekał gdzieś po drodze.

– Dobrze, zabiorę aktówkę. Wyjdę za parę minut.

Nie było żadnej aktówki, ale Tokariew natychmiast się domyślił, o co chodzi. Pospiesznie wyciągnął z szafy swój neseser, położył go na stole i chwycił obiema dłońmi grubą rączkę, naciskając kciukami określone miejsca. Po paru sekundach zamek sprężynowy odskoczył i uchwyt rozdzielił się na pół. Inżynier wyjął ze środka dwa niewielkie cylindryczne przedmioty, wsunął je do kieszeni i niemal biegiem wypadł z mieszkania. Mimo nocnego chłodu na czoło wystąpiły mu krople potu.

Energicznym krokiem ruszył w stronę Dworca Kijowskiego. Kiedy mijał wąską przecnicę, z mroku bramy wyłonił się szczupły wysoki mężczyzna, przyprawiając go o łomotanie serca.

– Witaj, Adolfie.

Tokariew rozejrzał się z przerażeniem, lecz na ulicy nie było żywej duszy.

– Nie mamy czasu. Znalazłem się w kłopotach.

– Jakich kłopotach? – zapytał spokojnie łącznik, wciągając go w głąb bramy.

– Wiedzą, że w naszym biurze jest agent. Dwóch moich kolegów zniknęło bez śladu, ale KGB dalej prowadzi śledztwo. Właśnie z tego powodu nie przychodziłem ostatnio na umówione spotkania.

– Przerabialiśmy to już parę razy. Jesteś pewny, że teraz mają cię na oku?

– Absolutnie pewny. Czuję to.

Aleksander świetnie wyczuwał skrajne przerażenie w głosie Rosjanina.

– Mogą coś znaleźć w twojej pracowni albo w mieszkaniu?

– Nie. Mam tylko to, po co przyjechałeś. Z przyjemnością się tego pozbędę. To zresztą ostatnie plany, zakończyliśmy już prace nad projektem. Znajdziecie tam wszystko.

Tokariew pospieszenie wcisnął mu w dłoń dwa miniaturowe aparaty fotograficzne z naświetlonymi mikrofilmami. Fannin zaledwie rzucił na nie okiem.

– Posłuchaj uważnie. Możesz przetrwać i ten kryzys, jeżeli zachowasz spokój, tak jak poprzednio. KGB nie ma przeciwko tobie żadnych dowodów, więc postaraj się zachować zimną krew.

– Wiedzą na pewno, że w biurze działa szpieg. Dyrektor szepnął mi w zaufaniu, że mają już podejrzanego. Powiedział: opis tego człowieka pasuje do ciebie, Adolffie, ale ja w to nie wierzę, to nie możesz być ty! Naprawdę tak powiedział! Tym razem węższą wokół mnie! Ktoś mnie zdradził!

Tokariew był bliski hysterii. Fannin wiedział, że jego obawy są uzasadnione. Pobieźny opis amerykańskiego informatora z moskiewskiego biura projektowego systemów radarowych nie był w Langley tajemnicą, ale tylko wąska grupa agentów uczestniczących w operacji знаła jego nazwisko.

– Wracaj do domu, a jutro idź normalnie do pracy. W tej chwili nic nie mogę dla ciebie zrobić. Nigdy nie prosiłeś o przerwienie na Zachód, więc teraz jest już za późno, by w ogóle rozważać taką możliwość.

– Nie umiałbym żyć w obcym kraju – sapnął Tokariew, z trudem łapiąc powietrze. Zaraz jednak uśmiechnął się słabo. – Jak sprawy wrócą do normy, zostawię sygnał do nawiązania kontaktu. Chciałbym się jeszcze spotkać z tą piękną młodą kobietą, choćby na krótko. Bardzo mi się podoba. Jest szalenie odważna, jak wy wszyscy... Masz rację, niepotrzebnie panikuję. Dziękuję, że zechciałeś porozmawiać ze mną w cztery oczy. Pójdę już.

Ten człowiek doskonale wie, że niedługo będzie musiał umrzeć, pomyślał Aleksander, ściskając na pożegnanie dłoń Rosjanina.

Bez błędnie wyliczył czas spotkania, wrócił na Dworzec Kijowski zaledwie parę minut przed odjazdem nocnego ekspresu do Warszawy. Kiedy tylko pociąg ruszył z peronu, w oczekiwaniu na konduktora Fannin przygotował na stoliku bilet, polski paszport, sfalszowaną delegację służbową oraz szklankę na herbatę. Nie mógł wiedzieć, że dokładnie w tym samym momencie przed dom, w którym mieszkał Tokariew, zajechały trzy białe wołgi i wysiadło z nich dwunastu ubranych po cywilnemu agentów KGB.

Rozdział 2

Centrala CIA, Langley, Wirginia, 4 czerwca 1985 roku, 10.00

Graham Middleton pieczołowicie dbał o swój wizerunek specjalisty kontrwywiadu, zawsze paradował w tweedowej marynarce i nosił szkła w cienkiej drucianej oprawce, jakby chciał przez to podkreślić własne zaangażowanie w wykonywaną pracę. Zdaniem wielu agentów, bezkrytycznie naśladował jednak zniesławioną gwiazdę wydziału bezpieczeństwa CIA, Jamesa Jesusa Angletona, mimo że nie miał większych szans dorównać swemu poprzednikowi. Ci jednak, którzy mieli okazję poznać destrukcyjną obsesję Angletona, wciąż się zastanawiali, z jakich powodów nowy szef kontrwywiadu wkracza na tę samą drogę kompromitacji. Middleton w skupieniu słuchał kierownika sekcji radzieckiej, Lee Tannera, omawiającego przebieg spotkania z Adolfem Tokariewem, do którego doszło przed czterema dniami w Moskwie. Zwracał baczna uwagę nawet na poszczególne słowa, mając w głębi ducha nadzieję, że odkryje coś, co wzbogaci zgromadzony już materiał przeciwko Fanninowi.

– Co z mikrofilmami? – zapytał Casey.

Tanner wyciągnął z teczki kilka powiększonych odbitek z ponad stu naświetlonych klitek.

– Te schematy są doskonałej jakości. Na zdjęciach niczego nie brakuje. Już pobieżna weryfikacja wystarczy do oceny, że mamy do czynienia z pełną dokumentacją techniczną systemów awioniki, które Rosjanie zamierzają montować w najnowszych myśliwcach.

Dyrektor obrzucił spojrzeniem skomplikowane schematy elektryczne, plany montażowe i arkusze gęsto zadrukowane cyrylicą, po czym pchnął zdjęcia po stole w kierunku Middletona. Graham, sięgając po nie, zapytał:

– Czy jest coś w tych fotografiach, Lee, co mogłoby sugerować, że Tokariew przygotował materiały pod nadzorem KGB?

Tanner energicznie pokręcił głową.

– Wstępna analiza potwierdza ich autentyczność, nie zgłoszono dotąd żadnych zastrzeżeń. Zresztą plany są zbyt złożone, by Rosjanie mogli je bez trudu spreparować. Nic nie wskazuje aby Tokariew w momencie fotografowania materiałów działał pod dyktando KGB.

– Możemy być tego pewni, Lee? – Tym razem pytanie Middletona zabrzmiało jak stwierdzenie faktu.

– Niczego nie możemy być pewni, Graham – burknął wyraźnie poirytowany Casey. – Czasami jednak warto uwierzyć, że nasze starania zakończyły się sukcesem.

Dyrektor pospiesznie wcisnął klawisz interkomu.

– Jest tam jeszcze? Świetnie, niech wejdzie.

Chwilę później Aleksander miał okazję przyjrzeć się zdjęciom zrobionym przez Rosjanina.

– Adolf zawsze dostarczał materiały najwyższej jakości. Kadrowanie, ostrość i kontrast są bez zarzutu. Mam wrażenie, że umiałbym poznać jego zdjęcia z całej sterty podobnych odbitek.

– Może ktoś mu pomagał – zasugerował Middleton.

– Podejrzliwość jest w pełni uzasadniona – wtrącił szybko Tanner – ale w tym przypadku można spokojnie założyć, iż zdjęcia są autentyczne. Jak sądzisz, Aleks?

Fannin już wcześniej zdecydował, że podczas swojej ostatniej godziny w roli agenta CIA nie da się wciągnąć w bezprzedmiotowe pyskówki z Middletonem.

– Moim zdaniem, są autentyczne, Lee. Nie ulega wątpliwości, że przekazał mi je osobiście w Moskwie, a żaden z aparatów nie był otwierany, przynajmniej tak twierdzą technicy, którzy dokładnie oglądali ukryte plomby. Poza tym sfotografowane materiały są zbyt złożone, by dały się łatwo spreparować. Gdyby Tokariew robił zdjęcia pod okiem KGB, zapewne byłyby nieostre, a niektóre fragmenty całkowicie nieczytelne. Rosjanom znacznie łatwiej byłoby utrudnić nam odczytanie planów, niż przygotować cały zestaw fałszywej dokumentacji.

– Chyba że od lat preparowali wszystkie materiały, jakie odbieraliśmy od Tokariewa. Współpracowałeś z nim od samego początku, prawda, Aleksandrze?

– Zgadza się, Grahamie – odparł spokojnie Fannin. – Byłem jego łącznikiem prawie przez dziesięć lat. – Obrócił się w stronę Caseya i dodał: – Jeszcze jedno jest pewne, Bill. Tokariew nie miał żadnych wątpliwości, że został zdradzony i wkrótce go aresztują. Przez całe cztery minuty naszej rozmowy był dosłownie sparaliżowany strachem, to typowe dla Rosjan skrajne przerażenie, wywołane komunistycznym terrorem. Jeśli rzeczywiście KGB jest już na tropie Tokariewa, musiał go zdradzić ktoś, kto wiedział o jego współpracy z nami, chociaż nie znał nazwiska. Podobno dyrektor jego biura projektowego...

– Polecono mi to dostarczyć natychmiast – przerwała mu Dottie Manson, która stanęła w drzwiach z depeszą w ręku.

Casey wziął od niej wiadomość, przeczytał i położył wydruk na stole przed Tannerem.

– Co to może oznaczać, Lee?

– Nasza moskiewska placówka otrzymała sygnał, że Tokariew jest gotów do odbioru nowych aparatów.

– I jak zareagowała? – zapytał z kamienną twarzą dyrektor.

– Zasygnalizowała, że wiadomość dotarła do adresata i spotkanie nastąpi w umówionym miejscu i terminie, co zgodnie z przyjętymi procedurami powinno nastąpić za pięć dni.

Casey podejrzliwie zerknął na Middletona, jakby doszedł do wniosku, że szczegółowe wyjaśnienie Tannera przeznaczone jest głównie dla niego. Zaraz jednak odwrócił głowę i zapytał Fannina:

– Co o tym sądzisz?

– To robota KGB.

– Skąd taki wniosek? – odezwał się Middleton, biorąc do ręki depeszę.

– Nie wierzę, by Adolf w ciągu czterech dni o wszystkim zapomniał i trzeźwo poprosił o nowe aparaty. Musieli go aresztować i na podstawie jego zeznań dojść do wniosku, że trzeba także unieszkodliwić łącznika.

– Zgadzam się – wtrącił Tanner. – Na pewno go zamknęli i postanowili wykorzystać istniejący kanał łączności. Bez dwóch zdań pragną w rewanżu dopaść któregoś z naszych moskiewskich agentów.

– W dodatku wyraźnie wskazują, o kogo im chodzi. Proszę zwrócić uwagę na ostatnie zdanie meldunku – rzekł Aleksander.

– Wszyscy pracownicy sekcji pozostają pod ścisłym, uniemożliwiającym jakiegokolwiek działania nadzorem Rosjan – odczytał na głos Middleton – z wyjątkiem Paula Wombaugh, którego obstawa została niespodziewanie wycofana rankiem drugiego czerwca.

– Wygląda na to, że zgarnęli Tokariewa następnego dnia po naszym spotkaniu – dodał Fannin.

– Albo nawet tego samego wieczoru.

– Masz rację, Graham, to nawet bardziej prawdopodobne. – Aleksander pomyślał, czy zdoła dotrzeć do końca narady, nie rzuciwszy się wcześniej tamtemu do gardła.

Casey odchrząknął głośno, zwracając na siebie uwagę pozostałych trzech mężczyzn.

– Czy to znaczy, że Rosjanie chcą, żeby właśnie Wombaugh przyszedł na spotkanie z Tokariewem?

– Jasne. Widocznie uznali go za naszego najlepszego agenta w Moskwie, co zresztą jest

bliskie prawdy, i postanowili przy okazji pozbyć się go z terenu ZSRR. Są przeświadczeni, że mimo realnej groźby wyślemy go na to spotkanie. Wykorzystują Tokariewa jako przynętę.

– Co proponujecie? Najpierw ty, Aleks, ponieważ najlepiej znasz całą sprawę.

– To proste, Bill. Trzeba wysłać Wombaugh na spotkanie.

– W pułapkę? – zdziwił się Middleton.

– Owszem. Nie mamy nic do stracenia. Narazimy Wombaugh tylko na to, że spędzi parę godzin w kajdankach i najwyżej jedną noc w zimnej celi na Łubiance.

– A co mielibyśmy przez to zyskać? – spytał Casey.

– Ja nie widzę żadnych plusów takiego rozwiązania – oznajmił stanowczo Middleton.

Fannin nerwowo poprawił się na krześle.

– Nie wolno zapominać o dwóch niezwykle istotnych aspektach. Po pierwsze, Bill, gdyby jakimś cudem przeczucie nas myliło i Tokariew pozostawałby na wolności, zyskalibyśmy szansę odtworzenia z nim kontaktu. Drugi powód, który do ciebie powinien zapewne bardziej przemówić niż do Grahama, jest taki, że moglibyśmy w cztery oczy przekazać Tokariewowi ostatnią wiadomość przed śmiercią. O ile wiem, nie lekceważysz tego rodzaju możliwości. Poproś więc Wombaugh, by w twoim imieniu powiedział coś, co uznasz za najbardziej stosowne wobec człowieka, który wkrótce ma zginąć za współpracę z nami. Na przykład: „Bardzo ci dziękujemy, Adolfie, i niech Bóg cię błogosławi za wszystko, co dla nas uczyniłeś”.

Casey nie zadał sobie trudu, by spytać o zdanie Middletona, a szef kontrwywiadu – wyczuwając chyba, że mógłby przekroczyć granice zdrowego rozsądku – na szczęście nie odezwał się ani słowem.

Po krótkim namyśle dyrektor zwrócił się do Tannera:

– Lee, wyślij w moim imieniu depeszę do Moskwy. Napisz, że jesteśmy świadomi zastawionej pułapki, lecz mimo to mają postępować zgodnie z instrukcją. Przekaż, żeby Wombaugh podziękował Tokariewowi dokładnie tymi słowami, które przed chwilą padły z ust Aleksandra. I daj mu do zrozumienia, że stawiamy na jego odwagę. To wszystko, panowie. Aleks, czy mógłbyś jeszcze zostać na parę minut?

Usiedli na sofie.

– Podziwiam twoje opanowanie – zaczął Casey. – Middleton wyraźnie chciał cię sprowokować, a ty się nie dałeś.

– Nie chciałem, by te ostatnie godziny mojej pracy w agencji upłynęły na niepotrzebnych kłótniach, skoro i tak stoję na straconej pozycji. Jeśli wyprawa do Moskwy przyniosła jakiś efekt, to chyba taki, że jeszcze bardziej zagęściła istniejącą wokół mnie atmosferę podejrzeń. Jeśli Wombaugh za pięć dni zostanie schwytany na przynętę, w co nie wątpię, już tylko Tanner i garstka moich najlepszych przyjaciół będzie zdolna uwierzyć, że się nie pomyliłem. Middleton zrobi wszystko, by przekonać resztę, iż to właśnie ja zainspirowałem moskiewską pułapkę.

– Masz rację, że wiele osób przyjmie bezkrytycznie wnioski Middletona. Czyżbyś chciał to uznać za jeszcze jeden powód do rezygnacji ze służby?

Fannina zastanowiło przez chwilę, dlaczego dyrektor nagle przestał się sprzeciwiać jego odejściu.

– Tak, Bill, wracam do domu i zaczynam się pakować przed wyjazdem do Hongkongu. Miałbyś ochotę uczestniczyć w ukraińskim weselu?

– Myślisz, że przynajmniej w ten sposób moglibyśmy zalać Middletonowi sadła za skórę? – Casey uśmiechnął się szeroko. – Owszem, czemu nie.

– Musisz wiedzieć, Bill, że nie odchodzę z agencji z powodu twoich planów dotyczących Związku Radzieckiego. Będę nadal intensywnie działał w celu obalenia komunizmu, wykorzystując znajomości Kateriny i jej kontakty z opozycją w ZSRR, jakbym czynił to tutaj, razem z tobą. Niewykluczone, że drogi twoich agentów skrzyżują się kiedyś z moimi, więc chciałbym, abyś im wówczas przypomniał, że wciąż jesteśmy po tej samej stronie barykady. Na wargach starego pojawił się tajemniczy uśmiech.

– Doskonale wiem, Aleks, że po odejściu z agencji będziesz usiłował robić to, co uznasz za słuszne do osiągnięcia naszych celów. Podejrzewam, że będziesz nawet w stanie przysłużyć mi się w taki sposób, w jaki nie mógłby tego zrobić nikt inny. Dlatego chciałbym, abyśmy pozostali w kontakcie. Szum wokół twojej osoby z pewnością szybko przycichnie. Obiecaj mi jedno: że nigdy nie odmówisz, kiedy zwrócę się do ciebie z prośbą.

A więc o to chodzi – pomyślał Fannin – Bill Casey gromadzi wokół siebie ludzi, którzy pomogliby osiągnąć ostateczne zwycięstwo.

Wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. Dyrektor serdecznie uścisnął mu dłoń, a jednocześnie odpiął od kieszonki jego marynarki służbową odznakę.

– Zatrzymam to – rzekł. – Może mi się jeszcze kiedyś przydać. Wyszedł razem z nim do sekretariatu i polecił Manson:

– Dottie, odprowadź naszego przyjaciela do garażu, do mojej limuzyny. Jak przypuszczałaś, strasznie mu się spieszy.

Aleksander nie skontaktował się z Caseyem, kiedy wieczorem dziewiątego czerwca w Moskwie aresztowano Wombaugha i Adolfa Tokariewa. Krótka relacja w telewizji przypominała reklamówkę – starannie wyreżyserowaną, pełną zbędnej, demonstracyjnej przemocy – która przez komentatora została opisana jako „przykład skutecznych działań kompetentnych organów bezpieczeństwa”. Ale i dyrektor nie zadzwonił do niego. W końcu owo smutne wydarzenie było dla nich obu zupełnie oczywiste. Wkrótce Wombaugh został wypuszczony z celi na Łubiance i wydany z ZSRR, a następnego dnia po powrocie do Waszyngtonu przekazał telefonicznie Fanninowi, że miał zaledwie dwadzieścia sekund na rozmowę, zanim otoczyło ich KGB. Wystarczyło to jednak, by powtórzyć gorące słowa podziękowania od Billa Caseya, Janusza oraz wszystkich przyjaciół z USA. Tokariew sprawiał wrażenie całkiem spokojnego, pogodzonego z losem. Wombaugh podkreślił, że prywatnie zależało mu na tym, by Aleksander poznał przebieg ostatniego spotkania z informatorem.

Waszyngton, 5 sierpnia 1985 roku

Dochodziło południe, gdy w domu Aleksandra zadzwonił telefon.

– I jak ci się leniuchowało przez ostatnie dwa miesiące? – zapytał radosnym tonem Casey.

– Odlatuję dziś wieczorem, Bill. Zostawiłem Dottie mój adres w Hongkongu.

– Wiem, że dziś odlatujesz. Będę u ciebie za parę minut. Zajmę ci sporo czasu, ale raczej nie spóźnisz się na samolot.

– O czym chcesz rozmawiać?

– Dowiesz się, gdy przyjadę.

Fannin wyszedł przed dom zaraz po tym, jak przy krawężniku zatrzymał się najeżony antenami wielki niebieski kuloodporny sedan, a wjazd w wąską uliczkę w willowej dzielnicy Georgetown zablokował czarny wóz ochrony. Pospiesznie wsiadł i przywitał się z dyrektorem.

– Widzę, że naprawdę zorganizowałeś to spotkanie w wielkiej tajemnicy, Bill. Brakuje tylko migających kogutów i syren policyjnych.

– Jak chcesz, zaraz możemy włączyć syrenę.

Casey uśmiechnął się szeroko, klepnął w ramię siedzącego z przodu agenta ochrony i rzekł:

– Podaj mi tę depezę.

Chwilę później wręczył Aleksandrowi tekst meldunku nadesłanego poprzedniego dnia z placówki w Rzymie, w którym donoszono, że w trakcie podróży służbowej po Włoszech o ochronę w rzymskiej ambasadzie poprosił pułkownik KGB z wydziału K, a więc oficer kontrwywiadu z Pierwszego Dyrektoriatu, z sekcji utrzymującej łączność z agentami na terenie USA i Kanady, niejaki Witalij Siergiejewicz Jurczenko. Pospiesznie zorganizowano przerzucenie go do Stanów Zjednoczonych, miał przylecieć wojskowym transportowcem i wylądować w bazie lotniczej Andrews w Marylandzie we wczesnych godzinach rannych piątego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

– Już tu jest? – spytał Fannin, zapoznawszy się z depezą.

– Dotarł godzinę temu. Czytaj dalej.

Aleksander przerzucił kartkę i dwukrotnie przeczytał lakoniczny, sformułowany oschłym urzędniczym językiem meldunek.

JURCZENKO TWIERDZI, ŻE BYŁY OFICER CIA, ZWOLNIONY ZE SŁUŻBY ZE WZGLĘDU NA NISKĄ PRZYDATNOŚĆ PODCZAS SZKOLENIA DO PRACY NA TERENIE ZSRR, ZAOFEROWAŁ SWE USŁUGI KGB I OTRZYMAŁ PSEUDONIM „MR ROBERT”. ZDRADZIŁ WIELU INFORMATORÓW CIA, ZARÓWNO Z MOSKWY, JAK I KRAJÓW BLOKU KOMUNISTYCZNEGO, ZDEMASKOWAŁ TEŻ NIEKTÓRE OPERACJE TECHNICZNE PROWADZONE W ZSRR. SŁYNNE OSTATNIO ARESZTOWANIE PROJEKTANTA URZĄDZEŃ NAWIGACYJNYCH ADOLFA TOKARIEWA TAKŻE BYŁO EFEKTEM DZIAŁALNOŚCI „MR ROBERTA”. JURCZENKO ZEZNAŁ, ŻE NIC MU NIE WIADOMO O ISTNIENIU INNYCH SOWIECKICH WTYCZEK W AGENCJI. PEŁNY RAPORT NASZEGO OFICERA KONTRWYWIADU ZOSTANIE PRZESŁANY W PÓŹNIEJSZYM TERMINIE.

Odchylił się na oparcie i głośno odetchnął z ulgą.

– No, wreszcie – mruknął. – Wyszły na jaw przyczyny wielu naszych niepowodzeń.

– Domyślasz się, kim jest „Mr Robert”?

– Tak. To Ed Howard. Przypominał bombę z opóźnionym zapłonem.

– Która wreszcie wybuchła – dodał Casey z kamienną twarzą.

– Gdzie on teraz jest?

– W Santa Fe. FBI ma go na oku.

– A czego, w takim razie, oczekujesz ode mnie?

– Chcę, żebyś pojechał ze mną, porozmawiał z Jurczenką w cztery oczy, a później do mnie zadzwonił i powiedział, co o tym sądzisz.

Aleksander zmarszczył brwi.

– Niepotrzebna ci do niczego moja opinia. W rzeczywistości chcesz mnie tylko zapoznać ze sprawą, bym ci pomógł zastawić sidła na Middletona.

– Owszem, ale tak czy inaczej zależy mi na twoim zdaniu.

– Pozwól, że sam zgadnę. Middleton wziął się już ostro do roboty, szybko ukuł kolejną genialną teorię i pewnie uznał zdradę Jurczenki za dowód nieomyślności Jamesa Angletona.

– Zgadza się. Według niego, Jurczenko został specjalnie podstawiony, by osłonić kogoś innego, dlatego zażądał przebadania Rosjanina na poligrafie, jeszcze zanim ten zdążył wysiąść z samolotu. Na szczęście, większość chce najpierw uzyskać pełne zeznania. Middleton na pewno zdaje sobie sprawę, że dobrze wyszkoleni oficerowie KGB bez trudu potrafią zafałszować wyniki badania poligraficznego, ale to chyba jest mu tym bardziej na rękę. Wyraźnie dąży do podważenia w każdy możliwy sposób wiarygodności Jurczenki.

– Nie tak dawno sam powiedziałeś, Bill, że temu sukinsynowi właśnie za to rząd wypłaca pensję.

Kiedy kolumna pojazdów skręciła z ulicy na wjazd do podziemnego garażu głównej kwatery CIA, Casey sięgnął do kieszeni i wyjął służbową odznakę Fannina.

– Masz. Pewnie będziesz tego potrzebował.

– Nadal jesteś zainteresowany udziałem w ukraińskim weselu? – zapytał z uśmiechem Aleksander.

– Żebyś wiedział – odparł dyrektor, z widocznym trudem wysiadając z samochodu. – Zadzwoń do mnie, jak skończysz rozmowę.

Fannin musiał się przesiąść do innego auta, którym zawieziono go na nie rzucającą się w oczy farmę pod Oakton w Wirginii, gdzie pod silną ochroną przetrzymywano rosyjskiego uciekiniera.

Oakton, Wirginia, 5 sierpnia 1985 roku, 21.00

Witalij Jurczenko był niezwykle zdenerwowany. Wysoki, szczupły i jasnowłosy chodził z kąta w kąt pokoju z wyraźnym ożywieniem, dobywając z głębin pamięci rozmaite fakty, jakby tym sposobem chciał zyskać jeszcze jedno usprawiedliwienie dla swego występuku przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Wyliczał pospiesznie rozmaite dane, po czym opadał ciężko na fotel w saloniku, splatał dłonie na brzuchu i popadał w rodzaj letargicznego zasepienia. W ogóle nie spał od dwóch dni, jak gdyby zależało mu przede wszystkim na ujawnieniu wszystkich znanych wydarzeń. Po chwili milczenia niespodziewanie zwrócił się do Aleksandra:

– Chciałbym porozmawiać z panem krótko sam na sam.

– Chłopcy, zróbcie sobie krótką przerwę – rzekł Fannin do trzech protokolantów, dwóch z CIA i jednego z FBI.

Agent federalny i starszy stopniem oficer wywiadu natychmiast wstali i ruszyli do wyjścia, tylko młodszy agent CIA przystanął przed drzwiami.

– Jesteś pewien, Aleksandrze, że nie będziesz potrzebował kogoś do robienia notatek? Może lepiej zostanę?

– Nie trzeba, Rick. Słyszałeś, że chcemy zamienić parę słów na osobności.

– Nie będę się w ogóle odzywał, nawet nie zauważycie mojej obecności. – Aldrich Ames uśmiechnął się przymilnie, odsłaniając nierówne zęby zażółcone od nikotyny i kawy.

Fannin nie zdążył jednak odpowiedzieć. Kierujący przesłuchaniem oficer rzucił ostro przez ramię:

– Słyszałeś rozkaz, Rick. Mamy zrobić sobie krótką przerwę.

Aleksandrowi przyszło na myśl, że Ames otrzymał od Middletona poufne zadanie kopiowania wszystkich notatek z prowadzonych rozmów. Kiedy zostali w końcu sami, zwrócił się do Jurczenki:

– Domyślam się, Witaliju Siergiejewiczu, że o pewnych sprawach chciałbyś porozmawiać w cztery oczy z dyrektorem agencji, Billem Caseyem.

Rosjanin w zamyśleniu pokręcił głową.

– To chyba normalne, prawda, Aleksandrze?... Przepraszam, ale chyba tak masz na imię. Przynajmniej tak się do ciebie zwracają...

– Zgadza się, Witaliju Siergiejewiczu. Mam na imię Aleksander. I nie mylisz się, że proponujemy taką dyskretną rozmowę agentom, którzy godzą się na współpracę z nami, gdyż wszyscy mają uzasadnione podejrzenia, iż nawet w Komitecie Powitalnym może się znajdować wtyczka. Stąd moje przypuszczenie, że chciałbyś się osobiście spotkać z dyrektorem, jeśli zakładasz, rzecz jasna, że to nie on jest rosyjską wtyczką.

Fannin uśmiechnął się szeroko, na co po raz pierwszy Jurczenko także odpowiedział nieśmiałym uśmiechem.

– Już ujawniłem istnienie wtyczki posługującej się pseudonimem „Mr Robert”. To on zdradził ostatnio Adolfa Tokariewa, jak również drugiego waszego informatora, którego KGB intensywnie poszukuje teraz na terenie Węgier, określonego przez „Mr Roberta” jako „rozżalony pułkownik”. Nie wykluczam, że miał on także coś wspólnego ze zdemaskowaniem londyńskiego rezydenta, Gordijewskiego. Mówiłem już waszym ludziom w Rzymie, że KGB szprycuje go teraz w Moskwie narkotykami i próbuje wyciągnąć wszelkie informacje. – Jurczenko urwał i zaczerpnął głęboko powietrza. – Chciałem rozmawiać sam na sam, ponieważ siedzę tu już prawie całą dobę i nie dostałem żadnej wiadomości od waszego dyrektora. Czyżby nie wiedział, że zgodziłem się na pełną współpracę?

A więc chodzi tylko o upewnienie się co do własnej sytuacji, pomyślał Fannin. Pod tym względem wszyscy jesteśmy tacy sami.

– Pan Casey nie dzwonił dotąd z jednego tylko powodu. Otóż przez cały dzień bardzo pochłaniały go spotkania z prezydentem i licznymi politykami, którym musiał szczegółowo opowiadać o pańskiej odwadze i zaangażowaniu, przekonując jednocześnie, że wszyscy mamy wobec pana olbrzymi dług wdzięczności za przyłączenie się do walki po naszej stronie. – Spojrzał na zegarek. – Ale prosił mnie, bym mniej więcej o tej porze zadzwonił do niego, gdyż chce panu osobiście podziękować.

Wstał szybko, podszedł do drzwi, uchylił je i rozkazał oficerowi:

– Proszę mnie połączyć z prywatnym numerem dyrektora i przynieść aparat komórkowy do pokoju.

Chwilę później do saloniku znowu zajrzał Ames.

– Coś się stało? Może jestem do czegoś potrzebny?

– Na miłość boską, Rick! Nie potrafisz usiedzieć na miejscu? Nie potrzebuję żadnej pomocy. Robisz to dla Middletona, czy po prostu jesteś wścibski?

Ames uśmiechnął się krzywo.

– Chciałbym tylko być przydatny, Aleksandrze.

Po paru minutach przyniesiono do pokoju telefon komórkowy.

– Dobry wieczór, panie dyrektorze – zaczął oficjalnie Fannin. – Właśnie siedzę w saloniku z Witalijem Siergiejewiczem. Jesteśmy sami.

Przekazał aparat Rosjaninowi, który niemal przez minutę słuchał w skupieniu, po czym odparł powoli po angielsku:

– Rozumiem, panie dyrektorze. I ja dziękuję, że zechciał mnie pan włączyć do walki po waszej stronie. Jestem również pewien, podobnie jak pan, że ostatecznie zwyciężymy. Jeszcze raz bardzo dziękuję, dyrektorze.

Kiedy oddawał aparat Fanninowi, na jego twarzy malował się wyraz głębokiej ulgi.

W drodze na lotnisko Dullesa Aleksander ponownie zadzwonił do Caseya.

– I co o tym myślisz? – spytał nieco zachrypniętym głosem dyrektor.

– Wierzę mu, głównie dlatego, że nie wyobrażam sobie, aby Rosjanie mogli go nam podstawić w celu krycia innego podwójnego agenta.

– Jeśli ty mu wierzysz, to ja także. Ale Middleton zdoła przekonać wiele osób do swojej spiskowej teorii.

– Na razie nie musisz się nimi przejmować. I spróbuj jakoś usadzić Middletona. Jurczenko jest chyba bliski załamania, trzeba by się nim troskliwie zaopiekować. Nawiasem mówiąc, chyba duże wrażenie zrobiło na nim to, co powiedziałeś przez telefon. Moim zdaniem, najdalej za kilka dni, jak trochę minie ta początkowa nerwówka, powinieneś z nim porozmawiać osobiście.

– Masz rację, zrobię to. Może zaproszę go na obiad... No cóż, Aleks, życzę miłej podróży do Hongkongu. I jeszcze raz proszę: nie zapomnij odbierać telefonów.

Rozdział 3

Hongkong, grudzień 1985 roku

W trakcie obiadu w zacisznej chińskiej restauracji szef komórki CIA w Hongkongu przekazał Fanninowi wiadomość, że ma dla niego pilne wezwanie.

– Dyrektor chce cię widzieć w Waszyngtonie. Prosił, żebym wykupił ci na jutro bilet lotniczy. Położył szczególny nacisk na to, żeby nie robić żadnych notatek, nie zostawiać żadnego śladu na papierze. Instrukcje są proste. Masz się zameldować w hotelu Hay-Adams, gdzie już jest zarezerwowany pokój na twoje nazwisko. Nie kontaktuj się z nikim z agencji. Casey będzie czekał na ciebie w piątek rano.

– Tylko tyle?

– Tak. Mogę jeszcze dodać, że chyba w ogóle nie brał pod uwagę możliwości odmowy z twojej strony.

Centrala CIA, Langley, Wirginia, grudzień 1985 roku

Zaledwie rozsunęły się drzwi windy, Dottie Manson powitała go serdecznym uśmiechem:

– Witaj, Aleks. Nadstawiła policzek do całusa.

– Cześć, Aleks! – zawołał Casey z głębi swojego gabinetu, zza biurka, na którym piętrzyły się stosy papierów. – Gdzieś ty się podziewał? Dlaczego nie przysłałeś obiecanego zaproszenia na ukraińskie wesele?

– Postanowiłem cię ochronić przed własnymi słabościami, bo przyszło mi do głowy, że jesteś gotów naprawdę przyjechać, jeśli ci je przyślę.

Dyrektor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ani trochę się nie pomyliłeś. Fannin rozsiadł się wygodnie na sofie.

– Musiałem się zatroszczyć i o twoją, i o swoją reputację. Mówiąc jednak poważnie, byłeś chyba piekielnie zajęty po moim wyjeździe. Wszystko wskazuje na to, że złapałeś wiatr w żagle.

– Co masz na myśli?

– Śledziłem wasze poczynania w Europie Wschodniej, Bill. Możesz wreszcie realizować ten plan, który układaliśmy wspólnie, nim zostałem zmuszony do złożenia rezygnacji.

– A konkretnie? – Casey przyglądał mu się badawczo znad okularów.

– Chodzi mi o Polskę, zwłaszcza o dostawy sprzętu i materiałów poligraficznych, a później również przenośnych nadajników UKF. „Solidarność” przetrwała zawieruchę, żyje i miewa się całkiem dobrze. Obserwuję pewne pozytywne konsekwencje jej działalności za wschodnią granicą, szczególnie w zachodniej Ukrainie i na Litwie.

Casey przez chwilę z zaciśniętymi wargami wbijał w niego wzrok, wreszcie mruknął:

– Pozytywne konsekwencje? Graham Middleton robi wrzask, że wyjechałeś zaledwie cztery miesiące temu, a już zdążyłeś skutecznie podłączyć się do naszych operacji w Polsce. Bez przerwy narzeka, że nas ośmieszasz, sam dostarczasz powielacze i materiały poligraficzne, żeby przy okazji drukować w Polsce ulotki ukraińskiego ruchu niepodległościowego, które są następnie rozrzucane na ulicach Kijowa. Podobnie dzieje się w Wilnie. Middleton nazywa to sprzecznością interesów, bo kontakty i informacje pochodzące z firmy wykorzystujesz na własną rękę w terenie. A Lee Tanner powtarza, że stworzone przez ciebie siatki są na tyle dobrze zamaskowane, iż Middleton nie ma najmniejszych podstaw, aby się do ciebie przyczepić. Opiera się wyłącznie na plotkach, nie ma w ręku żadnych dowodów, co go jeszcze dodatkowo przyprawia o wściekłość.

– Nauczyłem się działać ostrożnie. Nawet przywódcy „Solidarności” nie wiedzą do końca, skąd płynie pomoc zagraniczna, ale w Gdańsku wszyscy są na tyle przytomni, że nie zadają zbędnych pytań. Podejrzewają zapewne, iż to wasza robota, lecz w gruncie rzeczy nikt nawet nie chce znać prawdy.

– Muszę przyznać, że sporo osób zdopingowałeś do wzmożenia wysiłków, jakby dopiero teraz dostrzegli nasz ostateczny cel. Ale wcześniej mieliśmy tu prawdziwą burzę po tym, jak Jurczenko zwiął do swoich, a Howard zniknął bez śladu. Zresztą kłopoty się nie skończyły. Za niektóre wydarzenia w Moskwie nie da się obarczyć odpowiedzialnością Howarda.

– Rozumiem. Mimo wszystko nie podejrzewam, że ściągnąłeś mnie do Waszyngtonu z powodu Jurczenki, narzekań Middletona czy kolejnych kłopotów w Moskwie. Mam rację?

– Owszem. Śledzisz na bieżąco wydarzenia w Afganistanie?

– Na tyle, na ile docierają wiadomości. Wygląda na to, że Sowieci zostali przyparci do muru, lecz Afgańczycy znajdują się w znacznie gorszym położeniu.

– To prawda, sytuacja jest bardzo kiepska, ale walki toczą się dalej. Najgorsze, że Rosjanie zaczęli masowo wykorzystywać lotnictwo. Wygląda na to, że w końcu zapadnie ważna decyzja,

zaczniemy dostarczać mudżahedinom to, o co od dawna proszą, i wojna znów rozgorzeje na pełną skalę. Właśnie w tym zakresie jest mi potrzebna twoja pomoc.

– Co miałyby tak bardzo wpłynąć na bieg wydarzeń?

– Nowoczesne uzbrojenie, przede wszystkim stingery – wyjaśnił Casey. – Prezydent postanowił skończyć wreszcie z polityką ściągania cugli i zlekceważyć zalecenia George’a Schultza oraz popierających go mędrków z Foggy Bortom, trzęsących portkami na samą myśl o ewentualności jawnego przeciwstawienia się Rosjanom. Wiele spraw zostało już uzgodnionych z Pakistańczykami, ale prezydent Zia postawił twardo pewne warunki. Otóż chce, aby w tej fazie wszelkie kontakty z Afgańczykami odbywały się na terenie Afganistanu. Zresztą trudno mu się dziwić, ma uzasadnione obawy, że jeśli rozpoczniemy szkolenie w zakresie obsługi stingerów na obszarze Pakistanu, sowieckie lotnictwo może rozpocząć naloty na jego kraj.

– Moim zdaniem to zbyt uproszczone rozumowanie.

– Możliwe, lecz Zia starannie unikał nawet takich uproszczeń od czasu powieszenia Ali Bhutto.

– Jaką ja miałbym odegrać rolę?

– Zająć się organizacją transportów i szkolenia w Afganistanie. Zia postawił warunek, by przerzuty naszych stingerów i broni przeciwpancernej, jak też branego również pod uwagę uzbrojenia brytyjskiego i hiszpańskiego, odbywały się poza istniejącymi i znanymi kanałami prowadzącymi przez Pakistan. Potrafisz myśleć jak Rosjanin i wiesz o wiele więcej o ich tajnych akcjach niż ktokolwiek inny. Dlatego jutro wieczorem polecisz ze mną do Pakistanu. Przyślę po ciebie samochód o dwudziestej.

– Chwileczkę. Czy nie sądzisz, że Middleton otwarcie się sprzeciwi mojemu udziałowi w tej operacji? Wiem, że jesteś dyrektorem, ale do tak gigantycznego zadania powinieneś zyskać poparcie wszystkich liczących się członków kierownictwa.

– Nie martw się, będę je miał. Middleton wciąż trzyma cię na celowniku, zwłaszcza że nasze kłopoty nie skończyły się ze zniknięciem Howarda. Nadal tracimy kolejnych informatorów z Moskwy, ale nie ulega wątpliwości, iż podejrzenia należy kierować w całkiem inną stronę, nie na ciebie. Spaliła na panewce ważna operacja, którą rozpoczęliśmy już po twoim odejściu, w związku z czym zarzuty Middletona sprawiają teraz wrażenie zupełnie bezsensownych. Nikt nie może ich traktować nazbyt serio. Więc jak, mogę na ciebie liczyć?

– Tak, Bill, ale i ja mam pewne warunki. Wezmę udział w operacji jako twój człowiek, a nie

jako pracownik agencji. Nie chcę żadnych kłopotów ze strony tutejszych biurokratów, a tym bardziej wścibskich prawników. I będziesz musiał się pogodzić z tym, że współpraca z tobą nie spowoduje mojej rezygnacji z innych, rozpoczętych już działań, choćby miały one doprowadzić Middletona do skrajnej furii. I ostatnia sprawa. Potrzebne mi zapewnienie, że zawsze będę dysponował środkami bezpośredniej tajnej łączności z tobą i tylko z tobą, pomijając całą służbową hierarchię firmy. Jeśli przyjmiesz takie warunki, jutro o dwudziestej będę czekał przed hotelem na samochód.

– Domyślałem się tego, jeszcze zanim poprosiłem cię o przyjazd do Waszyngtonu. O szczegółach porozmawiamy w samolocie.

Następnego wieczoru kierowca podwiózł Fannina do samych schodków czarnego starlifera C-141, stojącego przed wejściem dla VIP-ów w bazie lotniczej Andrews. Szef ochrony Caseya wniósł jego bagaże do samolotu i odprowadził gościa do drzwi prywatnego przedziału dyrektora, mającego w przybliżeniu wielkość połowy salonki kolejowej i sąsiadującego z przedziałem bagażowym. W wąskim przejściu dźwiękoszczelnej śluzy Aleksander natknął się Jima Hodgesa, osobistego lekarza dyrektora, który towarzyszył mu we wszystkich podróżach.

– Witam, doktorze. Już przy pracy? – zagadnął, zerkając na zawieszony na szyi stetoskop i trzymany w dłoni aparat do pomiaru ciśnienia krwi.

– Właśnie ułożyłem starego w fotelu, tyłem do kabiny pilotów – odparł Hodges, ruchem głowy wskazując zamknięte drzwi prowadzące w głąb przedziału. – Wpuszczę cię na rozmowę dopiero wtedy, gdy wystartujemy.

Fannin cofnął się i usiadł w najbliższym fotelu, obrzucając wzrokiem dwóch pozostałych pasażerów służbowego odrzutowca – radiooficera siedzącego przed wielką konsolą urządzenia zapewniającego stałą szyfrowaną łączność z centralą CIA oraz stewarda z lotnictwa wojskowego. Trzyosobowa ochrona dyrektora zajmowała miejsca w przestronnym przedziale bagażowym. Po kilku minutach maszyna zaczęła kołować na pas startowy.

Kiedy Aleksander w końcu przeszedł na drugą stronę śluzy, zastał Caseya w piżamie i szlafroku, rozczochranego, kończącego rozmowę telefoniczną. Stół przed nim był zawalony książkami, depeszami i wydrukami komputerowymi.

– Wydawałeś ostatnie polecenia swojemu maklerowi giełdowemu? – zapytał z uśmiechem, zwracając uwagę, że w tym codziennym domowym stroju dyrektor sprawia wrażenie całkowicie

bezbronniego starca.

– Wiesz co, Aleks? Dla mnie jest to nadal najbardziej frapujący element służby. Kiedy wsiadam do tego niepozornego, nie oznakowanego czarnego odrzutowca i wyruszam w trasę, uzmysławiam sobie z całą mocą, że naprawdę robię coś, co może mieć jakieś znaczenie dla świata. W takich chwilach dociera do mnie, iż przypadła mi w udziale chyba najlepsza fucha w Waszyngtonie.

– Mylisz się. Masz najgorszą robotę z możliwych, Bill. Waszyngton nabrał zwyczaju pożerania dyrektorów agencji żywcem, ogryzania ich do ostatniej kosteczki.

– Chcesz się czegoś napić? – Casey wskazał stojącą przed nim szklankę.

– A co to jest?

– Tonik. Ale nie znoszę jego smaku, więc zwykle zaprawiam go paroma kroplami rumu.

Fannin zachichotał.

– W takim razie chętnie się napiję.

Dyrektor wcisnął klawisz interfonu umieszczonego przy fotelu i zamówił drugą porcję toniku. Kiedy minutę później steward postawił przed nim napój, wyjął z aktówki butelkę rumu i nalał do niego trochę alkoholu, po czym upił nieco ze swojej szklanki.

– Czy pamiętasz, jak zaraz po objęciu przeze mnie stanowiska powiedziałaś, że twoim zdaniem cały wywiad stracił z oczu główny cel naszej działalności, skutkiem czego jest znaczne obniżenie wydajności poczynąń CIA? Mówiłeś wtedy bardzo ostro, formułowałeś kategoryczne wnioski. I wiesz co?

– Miałem rację? – wtrącił Aleksander. Casey pokiwał głową.

– Pod koniec lat siedemdziesiątych agencja przeżywała głęboki kryzys. Cała gromada liberalnych intelektualistów, takich jak Arthur Schlesinger czy John Galbraith, wmawiała światu, że ZSRR jest permanentnym elementem naszej rzeczywistości i każdy odmienny tok rozumowania należy włożyć między bajki. Później Carter zaczął besztuć Amerykanów za ten „nieuzasadniony strach przed komunizmem”, dopóki Breżniew po cichu, za jego plecami, w chwili nieuwagi nie zorganizował inwazji na Afganistan.

– Carter przyjął sowiecką inwazję jak osobistą porażkę – odparł Fannin, przytakując ruchem głowy. – Ale, z historycznego punktu widzenia, kierujące nim motywy można uznać za nieistotne. Ważne jest to, że zareagował. Tyle tylko, że zgodnie z jego poleceniami musieliśmy zarzucić większość naszych operacji przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Trzeba było zaczynać

pracę od początku i chyba stąd właśnie przez pierwsze lata swojego urzędowania w Langley tak mało się interesowałeś akcjami antysowieckimi.

– Interesowałem się, ale głównie musiałem mieć na uwadze tragiczny stan, w jakim zastałem agencję. Dlatego pierwszą czteroletnią kadencję poświęciłem na odbudowywanie firmy i umacnianie jej struktur wobec zmian zachodzących na świecie. Ale teraz jestem już gotów do intensywnych działań.

– Jakich? Naprawdę wierzysz, że można będzie kiedyś obalić imperium zła?

– Tak, wierzę, Aleks. I chyba nigdy nie będziemy mieli lepszej okazji niż teraz.

– Czemu tak sądzisz? Casey rozsiadł się wygodnie.

– Związek Radziecki utracił ciągłość władzy. Przez prawie sześćdziesiąt lat krajem rządziło zaledwie trzech dyktatorów, Stalin, Chruszczow i Breżniew. Po śmierci tego ostatniego nastąpiły bardzo krótkie okresy rządów Andropowa i Czernienki, po których cała komunistyczna elita władzy do dziś nie zdołała się pozbierać. Weź pod uwagę, że taki brak ciągłości w Rosji jest nie do przyjęcia nie tylko dla partyjnych elit, lecz także dla zwykłych obywateli. Szybko się zapomina o obowiązujących metodach działania, centralnym sterowaniu gospodarką i zastosowaniu aparatu ucisku do podsycania wszechobecnego strachu. W dodatku na szczycie pojawił się Gorbaczow, ktoś całkiem nowy, mętnie wspominający o konieczności wprowadzenia reform.

– Więc jak zamierzasz wykorzystać tę sytuację?

– Trzeba zwiększyć presję z naszej strony, właśnie teraz i do tego w maksymalnym możliwym zakresie. Przyciśniemy ich w Afganistanie, podsycimy wszelkie ruchy niepodległościowe w Polsce, na Ukrainie i w krajach nadbałtyckich, stosując zarazem rozmaite blokady gospodarcze.

– Jeśli nawet Gorbaczow uzna, że przegrał wojnę w Afganistanie, nie wycofa się stamtąd ze strachu przed naruszeniem podstawowej doktryny, dla której cały kraj żyje od czterdziestu lat. Nie wierzę, by jakikolwiek sowiecki przywódca odważył się sprzeciwić narzuconym przez Breżniewa zasadom radzieckiej polityki i nie poniósł z tego powodu bardzo poważnych konsekwencji.

Casey w zamyśleniu pokiwał głową.

– Jeden z naszych moskiewskich informatorów przekazał, że Gorbaczow wyznaczył armii ostateczny termin zaprowadzenia porządku w Afganistanie, grożąc znacznym obciążeniem

budżetowych nakładów na wojsko.

– Czyżby sztabowcy wciąż utrzymywali, że mogą wygrać tę wojnę?

– Na pewno, zresztą część generalicji nawet w to wierzy. W każdej armii świata znajdziesz podobnie myślących oficerów, także w naszej. Właśnie z tego powodu zaczynamy teraz wcielić w życie nasz plan. Nie możemy dopuścić, aby Rosjanie choćby na krótko zyskali realną perspektywę zwycięstwa.

– Przegrodzenie drogi do ostatecznego spektakularnego zwycięstwa nie powinno być szczególnie trudne.

– Owszem. – Casey uśmiechnął się. – Zwłaszcza że dla grup partyzanckich uniknięcie klęski już jest sukcesem.

– W tym zakresie widzisz zadanie dla mnie?

– Tak. Chcę, żebyś pojechał do Afganistanu i podtrzymywał opór mudżahedinów tak długo, aż Rosjanie zrezygnują i wycofają swoje wojska. Taki jest mój główny cel, przekonać wszystkich w bloku sowieckim, iż Breżniew naprawdę umarł, a wraz z nim musi odejść doktryna zbrojnego powstrzymywania ruchów antysocjalistycznych, niezależnie od...

– Oni używają określenia: zwalczanie kontrewolucji – przerwał mu Fannin.

– Masz rację – przyznał Casey. – W każdym razie Armia Radziecka interweniowała w Budapeszcie, Pradze i Kabulu, ale ostatnio ograniczyła się tylko do wywarcia presji na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. Jeśli teraz zdołamy przekonać mieszkańców bloku, że już im nie grozi sowiecka interwencja wojskowa, całe imperium runie. To wcale nie takie trudne, ale musimy zadziałać natychmiast i wszędzie równocześnie, w Afganistanie i w Polsce, forsując zarazem obniżenie cen ropy naftowej. Toczą się już zaawansowane rozmowy z Saudyjczykami, niedługo Rosjanie powinni odczuć skutki wspólnej postawy państw należących do OPEC. Zarówno król saudyjski, jak i minister gospodarki naftowej, zgadzają się z naszymi argumentami. Tylko patrzeć, jak razem rozbijemy rosyjski bank.

Dyrektor zdjął okulary i potarł palcami silnie zaczerwienione, łzawiące oczy. Sprawiał bardziej wrażenie schorowanego, dobrotliwego dziadka niż dysponującego olbrzymią władzą, wpływowego waszyngtońskiego polityka. Po chwili rzekł:

– Hodges szprycuje mnie jakimś świństwem, dzięki któremu sypiam jak niemowlę, ale w połączeniu z niewielką dawką rumu gadam jak najęty. Do zobaczenia na lotnisku, Aleks.

Fannin otworzył stylonową torbę opatrzoną plakietką z jego nazwiskiem i pozostawioną

obok fotela. W środku znalazł kilkanaście opracowań dotyczących obecnej sytuacji w Afganistanie i przedstawiających biografie najważniejszych przywódców toczącej się wojny domowej, zarówno Afgańczyków, jak i Pakistańczyków. Na samym dnie leżała zapieczętowana koperta, również z jego nazwiskiem. Rozerwał ją i przeczytał list od starego przyjaciela, obecnego dyrektora służb technicznych CIA, który na osobisty rozkaz dyrektora generalnego miał zapewnić Aleksandrowi wszelkie możliwe wsparcie. Na końcu listu znajomy przypominał, że nadal trzyma w sejfie komplet fałszywych dokumentów Fannina, przedstawiających go jako prominentnego działacza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Jana Gromka. Drugi komplet polskich dokumentów, na nazwisko Janusza Luksa, trzeba było oddać do archiwum z powodu smutnych wydarzeń w Moskwie. Myśl o „przejściu w stan spoczynku” Luksa przywołała w pamięci Aleksandra obraz przerażonego Adolfa Tokariewa. Zaraz jednak skupił się na refleksji, jak wiele wysiłków kosztowało go stworzenie odpowiedniego wizerunku Jana Gromka, nie istniejącego, a przecież dość znanego i wpływowego, polskiego działacza partyjnego. Nigdy dotąd nie miał okazji wcielić się w tę postać, fałszywe dokumenty były całkowicie czyste.

W końcu ułożył się wygodniej w fotelu i zamknął oczy.

Rozdział 4

Islamabad, Pakistan, grudzień 1985 roku

Kiedy odrzutowiec zaczął podchodzić do lądowania, Aleksander poznał największą wadę dyrektorskiego samolotu – nie dało się z niego wyrzeć na zewnątrz. Okienka wzdłuż kadłuba były atrapami, złudzenia realności miała dopełniać namiastka światła dziennego wpadającego przez szczeliny między zasłonkami, pochodząca jednak ze specjalnych lamp i przeznaczona wyłącznie do tonowania odczucia klaustrofobii. Zamknąwszy z powrotem oczy, Fannin odchylił się na oparcie fotela. Wkrótce wyczuł, że zostały opuszczone klapy, nieco później złowił szum wysuwanego podwozia. Niedługo trochę gwałtowniejsze przechyły maszyny dały znać o tym, że pilot ustawiają wzdłuż osi pasa startowego.

Kołowali jeszcze po płycie lotniska, kiedy w służbie pojawił się Casey, wypoczęty i elegancko ubrany do oficjalnego spotkania. Wręczył Aleksandrowi zadrukowaną kartkę.

– Oto plan naszego pobytu na najbliższych piętnaście godzin. Która tu jest teraz?

– Siódma wieczorem.

– Jesteśmy zaproszeni na obiad z prezydentem Zią w siedzibie sztabu generalnego o wpół do dziesiątej.

Zanim C-141 zatrzymał się z głośnym piskiem hamulców, podjechały do niego dwa czarne mercedesy. Pierwszy oficer pospiesznie opuścił drabinkę i zbiegł na ziemię, szef ochrony dyrektora zatrzymał się w przejściu i uważnym spojrzeniem zlustrował okolicę. Wreszcie skinął głową stojącemu tuż za nim Casey owi i zaczął schodzić. Aleksander ruszył za nimi. Skromny komitet powitalny szybko rozmieścił ich w autach i minutę później wyjechali z lotniska w kierunku kwater gościnnych sztabu generalnego armii pakistańskiej.

Dokładnie dwie i pół godziny później Casey i Fannin, w eskorcie żołnierzy pakistańskich, wysiedli z samochodu na półkolistym podejździe, na wprost oświetlonego pochodniami wejścia do siedziby sztabu. Wartownicy zaszalutowali im sprężyscie. W drzwiach pięknej kolonialnej rezydencji czekał na nich generał Mohammed Zia Ul-Haq w towarzystwie generała Akhtara Abdura Rahmana Khana, dowódcy pakistańskiego wywiadu wojskowego, odpowiedzialnego za koordynację wszelkiej pomocy dla afgańskich rebeliantów.

Ubrany w prostą, lecz elegancką, starannie dopasowaną czarną bluzę i luźne białe spodnie prezydent Zia serdecznie wyciągnął dłoń na powitanie wyraźnie ożywionego, wbiegającego po schodach Casey'a. Nastąpiła krótka wymiana zdawkowych grzeczności. Wreszcie Aleksander usłyszał własne nazwisko, na którego brzmienie generał obrócił się w jego kierunku i uśmiechnął przyjaźnie.

– Witamy w sztabie generalnym, panie Fannin. Bill wiele mi o panu opowiadał. Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać.

– Jestem głęboko zaszczycony, panie prezydencie, zarówno pańską gościnnością, jak i tym, że mogę mieć swój skromny udział w realizacji naszych wspólnych planów – odparł z wyszukaną kurtuazją.

– Wejźmy do środka, gdzie będziemy mogli odpocząć i porozmawiać, zanim służba przygotuje obiad – rzekł Zia, chcąc wyraźnie zrobić wrażenie na swoich gościach.

W obszernym salonie prezydent rozsiadł się na wielkiej, wymoszczonej poduszkami kanapie obitej białym jedwabiem. Casey'owi wskazał miejsce w stojącym obok fotelu o identycznej tapicerce. Aleksander wraz z generałem Akhtarem znaleźli się po drugiej stronie artystycznie rzeźbionego stołu o szklanym blacie. Na każdym kroku można się tu było natknąć na różne przedmioty związane z piastowanym przez generała najwyższym stanowiskiem w państwie. Świadczyły o tym głównie fotografie, ukazujące Zię u boku kolejnych chińskich następców Mao-Tse-Tunga bądź w towarzystwie jordańskiego króla Husajna, na którego dworze służył jako doradca wojskowy w burzliwym okresie Czarnego Września.

– Jak minęła podróż, Bill? – zaczął Zia z ostentacyjną serdecznością.

– Dziękuję, ostatnio wszyscy zdają się aż nadto o mnie troszczyć, panie prezydencie – odparł Casey. – Ale moje samopoczucie jest o wiele mnie istotne niż pańskie, nie mówiąc już o samopoczuciu biednych mieszkańców Afganistanu.

Dyrektor bez najmniejszych skrupułów postanowił ukrócić zbyteczne uprzejmości i od razu nakierować rozmowę na główny cel swojej wizyty w Pakistanie.

– Powoli grzęźniemy, Bill. Wygląda na to, że mudżahedini za nic nie potrafią się wydostać z tych swoich utartych kolein. Nic nie przemawia na ich korzyść, nie wyłączając wiecznie skłóconych przywódców z Peszawaru. Generał Akhtar i jego ludzie robią, co w ich mocy, ale przede wszystkim należałoby zmobilizować samych Afgańczyków, by chcieli na nowo podjąć walkę, zamiast wyznaczać dla siebie rolę męczenników. Obecnie Rosjanie święcą triumfy

i potrzebne byłyby intensywne działania w celu wydobycia ugrupowań partyzanckich z głębokiego kryzysu.

– Zapadła decyzja o zniesieniu niektórych ograniczeń – odparł Casey. – Jesteśmy gotowi dostarczyć tyle stingerów, ile potrzeba, żeby przewyciężyć kryzys.

Aleksander obserwował z zainteresowaniem, jak przez parę sekund Zia i Casey w milczeniu mierzą się wzrokiem. Niemal był w stanie odtworzyć tok rozumowania prezydenta, który w pierwszej kolejności powinien dojść do wniosku, że nic nie wskazuje, aby dyrektora CIA w ciągu najbliższego półrocza miało znudzić zaangażowanie w wojnę afgańską, skutkiem czego Pakistańczycy zostaliby pozostawieni samym sobie. W dodatku do najbliższych wyborów w USA pozostały jeszcze trzy lata i było mało prawdopodobne, żeby w tym czasie ktoś zdołał wykopać dołek pod zajmującym mocną pozycję Caseyem. Więc jeśli nawet wcześniej czy później stosunki pakistańsko – amerykańskie musiały się pogorszyć, na razie w sprawie wschodniego sąsiada panowało jednomyślne stanowisko.

– Właśnie to zadanie ma wziąć na siebie Aleksander – dodał dyrektor.

– Ach, tak... – Zia skierował ku niemu swe czarne oczy, które w połączeniu z przyjacielskim uśmiechem zdawały się całkowicie przeczyć niektórym decyzjom dyktatora, niepodzielnie rządzącego Pakistanem od kilkunastu lat. – Panie Fannin, czy mógłby nam pan powiedzieć, co pan myśli o obecnym etapie rozgrywającego się po sąsiedzku wielkiego dramatu?

– Jeśli wolno, panie prezydencie, zacytuję pańskie słowa do przedstawienia mojej opinii. Nazwał pan agresorów Rosjanami, a nie armią Związku Radzieckiego, jak zazwyczaj czynią to politycy i media w krajach zachodnich. Moim zdaniem, to ważne rozróżnienie. Toczącą się wojnę należy uznać za starcie imperialnej Rosji z krajem ościennym, a więc kontynuację ekspansji, która nie została dokończona pod koniec ubiegłego wieku, kiedy to carskim wojskom nie starczyło już sił na przekroczenie Oksusu [Starożytna nazwa Amu-darii, wzdłuż której biegła granica między Afganistanem a ZSRR – przyp. tłum.]. Można więc przyjąć, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku spadkobiercy cara doszli do wniosku, iż warto by dokończyć tego dzieła, zwłaszcza że najważniejsi przeciwnicy byli wówczas zajęci innymi doniosłymi sprawami. – Aleksander urwał, lecz złowił zachęcające spojrzenie generała Zii i po chwili ciągnął dalej: – Ponadto określił pan wojnę domową mianem wielkiego dramatu, zapewne w historycznym kontekście trzech podobnych dramatów, jakie pustoszyły ziemie afgańskie w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat. To bardzo trafne, należy jednak zauważyć, że ta wojna sięga znacznie dalej niż

tylko obszaru między Oksusem a Indusem. Ośmielę się stwierdzić, że jej wynik będzie miał ogromny wpływ na ten największy dramat drugiej połowy dwudziestego wieku.

Casey spojrział na niego ostro, jakby chciał dać do zrozumienia, że powinien jemu zostawić tego rodzaju przemowy, po czym szybko podjął:

– Przez ostatnie pięć lat, panie prezydencie, Stany Zjednoczone udzielały afgańskiemu ruchowi oporu pewnego wsparcia. Wielu naszych polityków wychodziło z założenia, iż w amerykańskim interesie leży organizacja takiej pomocy, by partyzanci mogli wciągnąć Rosjan w nie kończącą się wojnę domową, a więc krótko mówiąc, w walkę „do ostatniego Afgańczyka”. Teraz jednak mogę z dumą przekazać, że nasz prezydent podjął decyzję o znacznie szerszym zaangażowaniu w wojnę. Głęboko wierzy bowiem, że samo podtrzymywanie zapalnych ognisk nie przyniesie naszemu krajowi większej chwały.

– Zatem uzgodniliśmy nasze stanowiska względem skali tej wojny oraz dalekosiężnych efektów, jakie może wywołać – odparł Zia. – Ostatecznie jednak nie mamy innego wyjścia. W Pakistanie schroniło się dotąd więcej uciekinierów, niż jest ich we wszystkich pozostałych krajach świata, bo około trzech milionów. Proszę więc sobie wyobrazić, że zachodzi nagła konieczność rozmieszczenia w Teksasie i Kalifornii dziesięciu milionów uchodźców z Meksyku. Nie możemy tym ludziom dawać schronienia w nieskończoność, lecz nie wolno nam także zapominać o gigantycznych kosztach wojny, jakie ponoszą Afgańczycy. Co najmniej milion uchodźców przebywa także w Iranie, około miliona osób zostało do tej pory zabitych przez Rosjan, nie mniej niż dwa miliony musiało uciekać ze swych domów i szukać bezpiecznych kryjówek w górach. – Prezydent obejrzał się w kierunku wejścia do salonu i dodał: – Właśnie otrzymałem wiadomość, że obiad został podany.

Poprowadził swoich gości korytarzem do niewielkiej jadalni, zapewne pamiętającej jeszcze czasy Kiplinga, kiedy mieścił się tu klub towarzyski słynący na całe Rawalpindi. Na ciemnym, ręcznie polerowanym różanym stole stały półmiski z regionalnymi potrawami. Było tam *tikka*, czyli odarte ze skóry i wypatroszone kurczę, mocno spieczone na ruszcie, *korma*, barani gulasz w siekanym szpinaku, a także pilaw z kawałkami pieczonej jagnięciny, rodzynekami i cebulą oraz kilka odmian jagnięcego kebabu. Na tackach piętrzyły się stosy spłaszczonych kolistych bochenków ostro przyprawionego *rogghi nan*, jeszcze parujących po wyjęciu z pieca, oraz małych bułeczek *czapati*, pieczonych na rozgrzanej blasze. Do picia przygotowano różne soki owocowe i parę gatunków *lhasi*, gęstego sfermentowanego napoju mlecznego przypominającego

w smaku maślanek. Nie było żadnego alkoholu. Przy bocznym stoliku służba niby ukradkiem napełniała szklanki wodą mineralną z plastikowych firmowych butelek, jakby tym sposobem gospodarz chciał dyskretnie dać do zrozumienia, że można ją pić bezpiecznie. To bardzo uprzejmie z jego strony, pomyślał Aleksander.

Casey jak zwykle jadł tak łączywie, jakby od kilku dni głodował. Po obiedzie rozmowa przeniosła się na inne tematy, metody zwalczania pakistańskiej opozycji demokratycznej i obecny stan wiecznych zatargów z sąsiednimi Indiami. Wreszcie prezydent zwrócił się do Aleksandra:

– Panie Fannin, dlaczego, pańskim zdaniem, Bill Casey wybrał właśnie pana do realizacji tych trudnych zadań, jakie czekają nas w Afganistanie?

Aleksander zamyślił się na chwilę.

– Skłamałbym, panie prezydencie, twierdząc, że jestem ekspertem w sprawach Afganistanu i jego mieszkańców. Natomiast doskonale znam Rosjan. Mówiłem po rosyjsku, jeszcze zanim nauczyłem się wymawiać pierwsze angielskie słowa, potrafię też myśleć i rozumować tak samo, jak oni. Dlatego wiem, że jesteśmy w stanie ich pokonać. Rosjanie uczynią wszystko, aby zaszczepić w nas obawę przed przeniesieniem wojny domowej do Pakistanu, ale to czcze pogroźki. Rosjanie nigdy nie atakują silnych i stabilnych krajów, z którymi graniczą, dokonują inwazji tylko na zaprzyjaźnione państwa. Nigdy nie uderzyli na Turcję i nie ośmielili się zagrozić Finlandii od czasu tragicznie zakończonej Wojny Zimowej z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Zaatakowali Afganistan tylko dlatego, że według nich był to kraj słaby, gotowy podporządkować się ich władzy. Teraz wszystko wskazuje na to, że popełnili fatalny błąd.

Zia ponownie zwrócił się do Caseya, któremu wyraźnie zaczynały się kleić oczy. Dawało o sobie znać zmęczenie drugą podróżą i zmianą czasu.

– Bill, wraz ze swoim przyjacielem, Aleksandrem, będziecie mogli jutro omówić różne szczegóły tego planu z generałem Akhtarem. Teraz zapewne chcielibyście już odpocząć.

W czasie drogi powrotnej do samochodu padło jeszcze parę kurtuazyjnych uwag. Na pożegnanie prezydent Zia oznajmił:

– Sądzę, że dokonałeś właściwego wyboru, Bill, lokalizując pierwsze próby w prowincji Paktia. W tamtym regionie nawet imię Aleksandra powinno budzić romantyczne skojarzenia. Zaryzykuję twierdzenie, że już po paru dniach nasi afgańscy przyjaciele nazwą pana Fannina

nowym Sikandrem, od pierwszego Aleksandra, który przekroczył Chajber [Przełęcz w Hindukuszu, przez którą prowadzi najważniejszy szlak łączący Afganistan z Pakistanem (przyp. tłum.)] ponad dwa tysiące lat temu.

Hongkong, 6 stycznia 1986 roku

Katerina, opatulona grubym szalem z powodu zimowego chłodu, stała samotnie na werandzie willi, którą przed czterema miesiącami dostali od jej rodziców w prezencie ślubnym. Wyczuła obecność Aleksandra za swoimi plecami, jeszcze zanim powiedział:

– Skończyłem się pakować. Ling znosi ostatnie bagaże do samochodu. Część rzeczy, głównie pudła z książkami, zostawiam, ktoś się po nie zgłosi w przyszłym tygodniu.

Odwróciła się i objęła męża w pasie.

– Jeden z twoich piekielnie tajemniczych przyjaciół, posługujących się zaszyfrowanymi hasłami?

– Mniej więcej. – Aleksander pocałował ją w odkryty kawałek szyi za uchem.

– Czy wiesz, jaki dzisiaj jest dzień? – spytała w zamyśleniu.

– Chodzi ci o prawosławne Boże Narodzenie, które chyba jeszcze obchodzą moi rodzice?

Katerina odsunęła się od niego i poprawiła szal na ramionach.

– Niezupełnie, choć wiąże się to z Bożym Narodzeniem. Według mojej matki, to najszcześniejszy dzień w roku, kiedy otwierają się przed człowiekiem nieograniczone możliwości. Dla niej szósty stycznia ma takie znaczenie, jakie dla wielu ludzi pierwszy dzień wiosny. Kiedy miałam pięć lat, matka tłumaczyła mi, jak to stare pogańskie obrzędy związane z przesileniem zimowym połączono z prawosławnym Bożym Narodzeniem we wspólne święto wiary, symbolicznego zjednoczenia tradycji, ludzkich losów i przeznaczenia. W ten sposób narodziło się Objawienie Pańskie. Ona wciąż w to wierzy, bez najmniejszych wątpliwości.

– A ty? – zagadnął Aleksander.

– Ja też. Sądzę, że i ty w to wierzysz, może nie w takim stopniu, jak moja matka, ale to głównie dlatego, że jesteśmy znacznie młodszy i nie dysponujemy jej życiowym doświadczeniem.

– Właśnie nad tym się tak zamyślałaś?

– Tak. Chodź ze mną.

Pociągnęła go za rękę do jadalni i stanęła przed reprodukcją bezcennej szesnastowiecznej ikony Matki Boskiej Władymirskiej, wiszącej zgodnie z prawosławną tradycją pod samym

sufitem w prawym rogu pokoju. Poniżej na ścianie był umocowany trójramienny świecznik z ręcznie kutego żelaza. Oboje w milczeniu zapalili gromnice, zmówili krótką modlitwę i przeżegnali się – Katerina po katolicku, prawą dłonią, natomiast Aleksander po bizantyjsku, trzema złączonymi palcami – po czym ucałowali się nawzajem w policzki.

Na stole czekały już tradycyjne rosyjskie potrawy świąteczne: sałatka ziemniaczana, śledź marynowany, kiszzone ogórki, trzy gatunki kielbas, ryba w galarecie, rzodkiewki, marynowane grzyby i oliwki. Aleksander nalał do kryształowych kieliszków zmrożonej wódki i wznieśli toast. Jedli w milczeniu, zgodnie ze zwyczajem kosztując każdej z potraw, wreszcie zakończyli posiłek niewielkimi porcjami gorącego bigosu. Katerina przygotowała herbatę z samowara, wzbogaciła ją jednak esencją pomarańczową, której po kilka kropel nalała do porcelanowych filizanek. Przeszli następnie do biblioteki, gdzie na antycznym stoliku do kawy leżał pięknie zapakowany prezent. Bez słowa wręczyła go mężowi.

Aleksander powoli rozwinął kolorowy papier i wyjął dość cienką książkę oprawioną w skórę, na której złotymi literami był wybity cyrylicą tytuł: *Baśń o dwóch kijowskich pannach*. Zaczął przerzucać kartki z grubego pergaminu, podziwiając piękne kaligraficzne pismo, jakim matka Kateriny prowadziła tę nietypową korespondencję ze swoją bliźniaczą siostrą. Później serdecznie ucałował żonę i musnąwszy dłonią jej policzek, rzekł:

– Bardzo dziękuję, Kat. To prawdziwy skarb.

– Mama zażyczyła sobie, żebyś wziął ją ze sobą do Afganistanu. Ostatni rozdział skończyła przepisywać dopiero dzisiaj rano. Podczas samotnych wieczorów w dzikich górach będziesz miał mnóstwo czasu, żeby to przeczytać, chciałabym jednak, żebyś teraz przeczytał tę część, której jeszcze nie znasz. Myślę, że to będzie dla ciebie niespodzianka. – Katerina otworzyła na ostatniej zapisanej stronie i dodała: – Możesz zacząć stąd.

– „I zły car wysłał jedyne syna Katarzyny Kijowskiej w długą podróż, aż za Bucharę, by szpiegował tam skłóconych chanów” – odczytał na głos Fannin, uśmiechając się lekko. – „Sprytny i bardzo mądry młodzian, który znał język perski równie dobrze jak ojczysty, przekonał się natychmiast, jak bezowocnym zamiarem jest toczenie wojny z tamtejszymi chanami w niedostępnych dolinach, gdzie przed wiekami nawet Macedończycy odnieśli srogie rany i omal nie spotkała ich całkowita klęska. Nie podzielił się jednak swymi wątpliwościami z carem i carskimi oprycznikami, gotowymi oddać życie za swego władcę, roztropnie doszedł bowiem do wniosku, że wojna z chanami może przynieść carowi zgubę, a za to on był gotów oddać swe

serce i duszę”... – Zamknął książkę, odłożył ją na stolik i zapytał z powagą: – Kiedy twoja matka dostała tę część?

– Gdy ty z Caseyem włączyłeś się gdzieś pod przełęczą Chajberską, szykując się do pójścia na służbę chanów.

– A więc to miałaś na myśli, mówiąc wcześniej o Objawieniu Pańskim i splataniu ludzkich losów? Co na to twoja matka?

– Twierdzi, że nie istnieją zbiegi okoliczności, bo o wszystkim decyduje przeznaczenie.

– I to dzięki przeznaczeniu dowiedziała się, że jedyny syn jej siostry, ów sprytny młodzian wysłany przez złego cara do szpiegowania skłóconych chanów, jest obecnie w Afganistanie, gdzie musiał dojść do przekonania, iż krwawa wojna będzie oznaczała ostateczną zgubę Imperium Zła?

– Oczywiście. Co więcej, mama jest przeświadczona, że wasze drogi się skrzyżują i poznasz Anatolija, syna jej siostry, a mojej imienniczki, Kateriny.

– No cóż, szansę na to wynoszą w przybliżeniu jak jeden do stu dwudziestu tysięcy. W każdym razie będę miał tę przewagę, że znam jego tożsamość, podczas gdy on nic o mnie nie wie.

Katerina delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Mama chce zrobić z ciebie główną postać kolejnego rozdziału baśni. Mam nadzieję, że już wkrótce i ty się z nim zapoznasz.

Aleksander przytulił ją i pocałował.

Część druga

Rozdział 5

Na południe od Kabulu, 24 sierpnia 1986 roku, 22.30

Zgubili drogę! – szepnął z przejściem Salahuddin do dwóch ludzi leżących obok niego w suchej trawie porastającej skaliste zbocze.

W ciągu ostatnich pięciu minut wojskowy łazik dwukrotnie przejechał biegnącą kilkanaście metrów niżej drogą. Za drugim razem w blasku księżyca bez trudu naliczyli w samochodzie czterech żołnierzy o jasnych twarzach, ubranych w polowe panterki.

– Jeśli pojawią się jeszcze raz, będzie wiadomo, że zabłądzili. Wtedy ich zabijemy – odparł szepem Afgańczyk o skołtunionej czarnej brodzie, z luźnym białym turbanem na głowie, powszechnie znany jako Gruby Inżynier Latif. Popatrzył uważnie na drobnego, żylastego Salahuddina, w którego oczach już zapalały się dzikie skry niezdrowego podniecenia. – Mohammed! – zwrócił się do swojego drugiego towarzysza, przyczajonego trochę dalej. – Szykuj broń.

Mohammed Ishaq powoli wsunął pomalowany jaskrawą czerwoną farbą pocisk raketowy w wylot granatnika RPG-7. W ciemności namacał żelazny kapturek osłaniający zapalnik, odkręcił go ostrożnie, odbezpieczył granatnik i wyregulował długość parcianego pasa. Następnie dźwignął się z ziemi, przyklęknął, ułożył sobie broń na prawym ramieniu, napinając pas łokciem, po czym wymierzył w maleńką sylwetkę odległego pojazdu i zaczął powoli wodzić za nim wzdłuż drogi.

Jakieś pół kilometra w głębi doliny łazik ponownie się zatrzymał. Nawet z tej odległości trzech Afgańczycy mogli dostrzec, że Rosjanie zapalili lampkę wewnątrz kabiny.

Latif zbliżył się do Ishaqa, położył mu dłoń na ramieniu i szepnął:

– Na pewno zabłądzili. Jeśli zawrócą, strzelaj, kiedy znajdą się na wysokości tamtej pustej beczki po ropie, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Tam jest wielki lej na środku drogi, będą musieli zwolnić.

Mohammed pokiwał głową.

– Jak na strzelnicy. Powinno się udać, *Insh 'allah*.

Chwilę później łazik zawrócił. Kierowca prowadził zrywami, ostro skręcał i gwałtownie hamował, odczuwając widocznie rosnący strach. Silnik wył na wysokich obrotach. Już po raz

trzeci musieli jechać tą samą drogą, szukając wylotu doliny.

Wszyscy czterej usłyszeli wyraźnie złowieszczy groźny wizg pocisku osiagającego prędkość startową stu dwudziestu metrów na sekundę, ale zapewne nie zdążyli go nawet zidentyfikować, kiedy granat trafił w lewy przedni błotnik i eksplodował. Wyrwany silnik wyleciał w powietrze, a samochód przekoziółkował parę razy w stronę rowu biegnącego wzdłuż drogi i tuż przy nim znieruchomiał kołami do góry.

Nie przebrzmiał jeszcze huk wybuchu, gdy Latif i drugi Afgańczyk opróżnili po pół magazynku pistoletu maszynowego w ślad za koziółkującym wrakiem, poderwali się z ziemi i ruszyli biegiem w dół zbocza.

Kierowca zginął na miejscu, wciąż tkwił na swoim miejscu z czaszką zmiażdżoną przez wgnieciony dach auta. Pozostałych trzech eksplozja wyrzuciła z łazika, dwóch leżało nieruchomo w płytkim rowie, trzeci został rozciągnięty na drodze, dziesięć metrów bliżej. Kiedy trzech mudżahedinów zbliżyło się do niego, ciężko uklękł, uniósł pistolet maszynowy i nacisnął spust. Pocisk zarył się w ziemię nie dalej niż pięć metrów przed nim, głośno szczęknięt zamek broni. Nie było więcej nabożów, magazynek kałasznikowa musiał się wysunąć z uchwytu po wybuchu granatu. Młody żołnierz zaczął po omacku szukać go wokół siebie.

Salahuddin pierwszy dobiegł do niego. Rosjanin powoli uniósł obie ręce nad głowę i przysiadł na piętach. W jego rozszerzonych oczach pojawiło się przerażenie.

Afgańczyk pochylił ku niemu twarz i zaczął się coraz szerzej uśmiechać. Żołnierzowi zadrżały wargi. Po chwili Salahuddin cmoknął go w czoło, podłożył mu pod brodę dwa palce lewej dłoni i począł stopniowo unosić głowę Rosjanina ku górze. Wreszcie wplótł palce w blond włosy na karku i ścisnął mocno. Niemal z namaszczeniem wyciągnął z pochwy drugi zakrzywiony nóż, jednym szybkim ruchem poderznął czerwonoarmiście gardło i szybko opuścił mu głowę na piersi, aby krew tryskająca z otwartych żył nie pobrudziła mu ubrania. Nie zwalniając uchwytu, zamknął oczy i zaintonował cicho:

– *Allah hu akhbar.*

Tymczasem Mohammed Ishaq stanął nad drugim żołnierzem i popatrzył na wielką ranę na jego piersi. W szerokim rozcięciu widać było białe ostre końce połamanych żeber i spienioną różowawą masę, która rytmicznie unosiła się i opadała. Rosjanin miał szeroko otwarte, szkliste, niewidzące oczy. Partyzant zajrzał w nie uważnie, ale zaraz się wyprostował i zawołał w stronę Latifa:

– Temu nic już nie pomoże!

Inżynier przytaknął ruchem głowy. Mohammed obrócił rannego twarzą do ziemi, przytknął lufę kałasznikowa do nasady jego czaszki i wystrzelił. Ciałem rannego wstrząsnął pojedynczy, konwulsyjny skurcz. Pocisk rozerwał mu rdzeń kręgowy.

Z zakrwawionym nożem w dłoni Salahuddin ruszył szybko w kierunku trzeciego Rosjanina, lecz Latif powstrzymał go ruchem ręki.

– Nie spiesz się tak do niego, bracie. To oficer.

Nieprzytomny miał na pagonach gwiazdkę porucznika. Latif obejrzał się na przewrócony łazik i odczytał napis na drzwiach, pojazd należał do sto piątej Gwardyjskiej Dywizji Desantowej, a więc tej samej, która jako pierwsza wylądowała w Kabulu zimą tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku.

Pochylił się i obrócił Rosjanina na plecy, by ocenić jego stan. Ten miał tylko drugie powierzchowne rozcięcie na czole, poza tym chyba nie ucierpiał.

– Zabierzemy go ze sobą – oznajmił Inżynier. – Może być coś wart. Pozbierajcie broń, mapy i wszystkie papiery, jakie znajdziecie. Wynosimy się stąd!

Kilkanaście minut później samochód terenowy ze zgaszonymi światłami wyjechał z górskiej doliny na drogę do Gardezu i skręcił na południe, w stronę granicy prowincji Logar. Niespodziewanie w ciszy z głośnika zabranej krótkofalówki rozległo się wezwanie:

– Gorki Pięć! Gorki Pięć! Podajcie swoją pozycję! Potrzebna wam pomoc? Gorki Pięć! Gorki Pięć! Słyszysz mnie? Odbiór!

Latif po omacku odnalazł gałkę i wyłączył urządzenie.

Kabul, dowództwo 40. armii, 25 sierpnia, 20.00

Pułkownik Anatolij Wiktorowicz Klimienko już od czternastu godzin siedział w swoim pokoju w rozległej kwaterze dowodzenia radzieckiej czterdziestej armii. Jego wszelkie plany na ten wieczór legły w gruzach, gdy przed dwoma godzinami otrzymał raport z wypadku, jaki wydarzył się ostatniej nocy. Treść wojskowej depechy była jak zwykle nieco zagmatwana, zawierała jednak wszystkie niezbędne informacje. Otóż późnym wieczorem dwudziestego czwartego sierpnia, przy drodze z Kabulu do Gardezu, zaledwie parę kilometrów od pierwszych zabudowań stolicy, wóz patrolowy wpadł w zasadzkę. Dowodził nim porucznik ze sto piątej

Gwardyjskiej Dywizji Desantowej, oprócz niego w łaziku znajdował się kapral łącznościowiec oraz dwóch szeregowych. Nie ulegało wątpliwości, że wypuścili się za daleko na południe i wpadli w ręce rebeliantów. Patrol powietrzny, który wyruszył z Kabulu o świcie, a więc parę godzin po urwaniu się łączności radiowej i ogłoszeniu alarmu, odnalazł wrak łazika oraz zwłoki kaprała i szeregowców. Kapral został zabity strzałem w tył głowy, chociaż w raporcie nadmieniano, że odniósł poważne, w znacznej mierze śmiertelne, rany.

Skrócili mu tylko cierpienia, pomyślał Klimienko. Wielokrotnie nawet drobne urazy okazywały się śmiertelne wobec nadzwyczaj skąpych środków medycznych, jakie przydzielało im dowództwo Radzieckich Sił Interwencyjnych. Czytał dalej.

Jednemu z szeregowców poderżnięto gardło, prawdopodobnie po krótkiej, bezskutecznej próbie walki. Drugi, kierowca, prawdopodobnie zginął od wybuchu granatu.

Prawdopodobnie... Prawdopodobnie... Klimienko pomyślał ze złością, że to słowo jest wyraźnie nadużywane we wszystkich wojskowych meldunkach.

Dalej w raporcie podkreślano, że ciała zabitych nie zostały w żaden sposób okaleczone, jakby jego autor uznał to za rzecz szczególnie wartą odnotowania. Nie natrafiono jednak na żaden ślad porucznika, który dowodził patroliem. Pułkownik szybko dodał w myślach: i który był na tyle głupi bądź niedoświadczony, że dał się schwytać w najprostszą pułapkę.

Resztę depezy przebiegł już pospiesznie wzrokiem, szukając jakiegokolwiek szczegółu, z powodu którego raport dostarczono do podległej mu komórki zadań specjalnych KGB. Dotarł wreszcie do spisu nazwisk uczestników patrolu. Dwukrotnie odczytał personalia zaginionego porucznika i nagle przyszło mu do głowy, że lada moment w całym dowództwie może wybuchnąć panika. Z pewnością w Gwardyjskiej Dywizji Desantowej służył tylko jeden Michaił Siergiejewicz Orłow, ten zaś był synem generała Siergieja Iwanowicza Orłowa, głównodowodzącego Zachodniego Zgrupowania Wojsk stacjonujących w NRD, jednego z najbardziej wpływowych generałów Armii Radzieckiej. Chyba już wszystkie wróble w Moskwie ćwierkały, że Orłow ostrzy sobie zęby na stanowisko szefa sztabu generalnego, które z pewnością traktował jako odskocznię do objęcia kierownictwa nad ministerstwem obrony.

Klimienko pospiesznie zerknął na koniec depezy, chcąc sprawdzić, czy kopia została już wysłana do sztabu Zachodniego Zgrupowania Wojsk w Wünsdorfie. Niestety, tak. Należało zatem oczekiwać, że w najbliższym czasie podjęte będą różne próby interwencji w tej sprawie.

Dokładnie pięć minut po dwudziestej przeraźliwie zaterkotał telefon na biurku,

przypominając pułkownikowi, że chyba tylko oficerowie Armii Radzieckiej godzą się jeszcze na korzystanie z tych prymitywnych, hałaśliwych aparatów.

– Słucham, Klimienko.

– Anatoliju Wiktorowiczu... Drogi Tola, to ja, Sasza, twój wierny i zapewne jedyny prawdziwy przyjaciel. Wiesz, jaki zrobił się kocioł? Polakow dopiero skończył długą rozmowę telefoniczną z Wünsdorfem. Mówiąc najogólniej, stary, zainspirowany widocznie delikatnymi zachętami ze strony Orłowa, zdecydował, że obecnie najważniejszą rzeczą na świecie jest wykupienie ukochanego synka generała, ma się rozumieć, w jak najlepszym zdrowiu.

– Mam przed sobą raport w sprawie wczorajszego wypadku – poinformował Klimienko zaprzyjaźnionego majora Aleksandra Piotrowicza Krasina, adiutanta zastępcy naczelnego dowódcy czterdziestej armii, generała Borysa Siemionowicza Polakowa. – Właśnie się zastanawiałem, kiedy stary zostanie zmuszony do podjęcia energicznych działań.

– To już nie musisz się zastanawiać. Polakow zażądał, aby odnaleźć Orłowa, nim zostanie zidentyfikowany, co z pewnością by sprawiło, że natychmiast chciałaby mu się dobrać do tyłka co najmniej połowa zwariowanych duszmanów z prowincji Kabulskiej. Poczekaj parę minut, Tola. Zaraz do ciebie wpadnę.

Pułkownik cisnął słuchawkę na widelki, jak zwykle nie zadając sobie najmniejszego trudu, żeby się regulaminowo odmeldować.

Kilka minut później w korytarzu rozległy się głośne kroki Krasina, przyjaciel wpadł jak bomba do jego pokoju i ciężko opadł na krzesło.

– Mniej więcej tak musiała wyglądać panika w Moskwie, gdy zbliżały się do niej armie Napoleona. Wszyscy myślą wyłącznie o ratowaniu własnego tyłka – wyrzucił z siebie jednym tchem, daleko wyciągając nogi w szarych od kurzu butach. – Polakow grzmi na lewo i prawo. Raczej jest przeświadczony, że chłopak Orłowa wróci do domu w ocynkowanym pudle, w towarzystwie reszty bohaterów czekających już na transport w chłodni przy lotnisku. I na pewno przeczuwa, że zostanie obarczony winą za jego śmierć. Bo chyba wiesz, że w najbliższym otoczeniu generała wszyscy spiskują przeciwko niemu.

– Czyżby chciał zapobiec tragedii, na przykład w odwecie zrównując jakąś wioskę duszmanów z ziemią? – zapytał Klimienko z jawną ironią, na którą nie pozwoliłby sobie w rozmowie z kimś innym. – Jeśli ci ze sztabu myślą, że kiedykolwiek znajdziemy jakiś sposób na dogadanie się z tutejszymi pastuchami, to nie wyciągnęli żadnych wniosków z naszej

pięćsetletniej historii.

Krasin popatrzył z ukosa na jedyne go człowieka, którego w Kabulu zaliczał do grona swoich przyjaciół.

– Przez ostatnich siedemdziesiąt lat tacy ludzie nie dostrzegali niczego oprócz czubka własnego nosa, Tola. Dla nich historia zaczęła się od Wielkiego Października. Czyżbyś jeszcze tego nie wiedział?

– Dla ciebie też historia zaczęła się w siedemnastym roku, Sasza?

– Nie zapominaj, że jestem żołnierzem, a w naszej armii nie liczy się historia, nikt nie ma przeszłości ani przyszłości, w każdym razie obecnie. Ale gdyby choć trochę interesowała mnie historia, albo jeszcze lepiej, gdybym odzyskał własną przeszłość i przyszłość, nie chciałbym mieć absolutnie nic wspólnego z Wielkim Październikiem. Nie powiesz mi, że cię zaskoczyłem.

Klimienko uśmiechnął się szeroko.

– Odnoszę wrażenie, że niczym nie umiałbyś mnie zaskoczyć. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby któregoś dnia dotarła do mnie wiadomość, że dołączyłeś do jednej z tutejszych band, obozujących po drugiej stronie Chajberu.

Sasza mrugnął tylko zawadiacko okiem, ale nie podjął aż takiego wyzwania.

– A ty, Tola? Gdzie naprawdę widzisz swą przyszłość? Czyżby towarzyszom z Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego powodziło się na tyle dobrze, że dasz się kupić na bajeczki o budowaniu socjalizmu?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciał, żeby wszystko było równie proste, Sasza. Żebym mógł sobie powiedzieć, iż dokonałem słusznego wyboru i wreszcie mogę być szczęśliwy. Ale to czysta utopia. Zresztą ty również nigdy nie dokonasz takiego prostego wyboru.

– I właśnie dlatego ciągle wracam do tej żalostnej kupy kamieni. Mimo że napawa mnie to odrazą, czuję się tu znacznie bezpieczniej niż kiedykolwiek dotąd w ojczyźnie.

Klimienko przypomniał sobie, że Sasza jest tu od samego początku. Był kapitanem, młodym dowódcą kompanii, kiedy tamtej śnieżnej nocy dwudziestego czwartego grudnia siedemdziesiątego dziewiątego roku, w wigilię katolickiego Bożego Narodzenia, Gwardyjska Dywizja Desantowa otrzymała rozkaz rozpoczęcia zbrojnej interwencji w Afganistanie. Wtedy wszystko poszło jak z płatka, słaby opór gwardii pałacowej został szybko pokonany i już po kilku dniach cała stolica była opanowana. Afganistan znalazł się pod kontrolą bratniego Związku Radzieckiego.

– Dlaczego tak musi być, Sasza? Pytam, bo o sobie mógłbym powiedzieć dokładnie to samo. Krasin szybko spoważniał.

– Bo tu, w tych górach, zdobędziemy bardzo ważne doświadczenie, może nawet odnajdziemy własne sumienia. Taka odpowiedź ci wystarczy?

– Tak, chyba tak. Ale dajmy już sobie z tym spokój, Sasza. Przecież nie przyszedłeś tu, do swojego jedyne go przyjaciela na świecie, żeby z nim rozmawiać o poszukiwaniu przeznaczenia, prawda?

Krasin uśmiechnął się.

– Mówiąc szczerze, właśnie po to przyszedłem. Moim dzisiejszym przeznaczeniem jest konieczność powiadomienia ciebie, że nieźle umoczyłeś. Otóż, drogi pułkowniku, zostaliście wybrani przez mojego ukochanego, szanownego dowódcę, zasranego feldmarszałka Polakowa, do rozwiązania dylematu zaginionego smarkacza generała Orłowa.

– Czy to oznacza, że dowództwo postanowiło na razie wstrzymać się z szerzeniem polityki spalonej ziemi?

– Jedy ną rzeczą, jaka mogłaby odwieść Polakowa od tego typu zakrojonych na szeroką skalę planów, byłaby chyba wiadomość, że młody Orłow żyje i miewa się dobrze, a wy, towarzyszu pułkowniku, jako posiadacz największych i najtwardszych jaj w całej czterdziestej armii, zdołaliście odzyskać ów bezcenny skarb, nie narażając tutejszego personelu medycznego na konieczność organizowania transplantacji jego dupska. – Sasza wyprostował się na krześle, pochylił nisko nad biurkiem i dodał złowieszczym szeptem – Tak, Tola. Musisz wyświadczyć tę drobną przysługę Polakowowi, przez co i mnie znacznie ułatwisz życie. A realizując to zadanie, z pewnością przybliżysz nas obu ku naszemu przeznaczeniu, czy miałyby to być śmierć, czy degradacja.

Klimienko w zamyśleniu popatrzył Krasinowi w oczy.

– Czy mówiłem ci już, Sasza, że jesteś całkiem pomylnym sukinsynem? Odnoszę wrażenie, iż nawet w połowie nie zdajesz sobie sprawy z tego, co gadasz. Masz jednak rację, przyjacielu, z olbrzymią przyjemnością powitam tę miłą odmianę w życiu, jaką się staną poszukiwania zaginionego komandosa. Tylko nie oddalaj się ode mnie zanadto. Chciałbym cię cały czas mieć przy sobie.

Sasza uśmiechnął się, wstał i odparł:

– Nigdy bym nie przepuścił takiej okazji, Tola.

Pułkownik zamyślił się nad czekającymi go obowiązkami. Operacyjna strona zadania mogła być nawet interesująca, lecz jego oczywisty związek z polityką nasuwał wątpliwości, czy warto w ogóle się w nie angażować. W samotności często się zastanawiał nad politycznymi przyczynami trwającej wojny, co zazwyczaj prowadziło go do rozważań nad zepsuciem całego radzieckiego ustroju. I coraz częściej zaczynał bardzo krytycznie oceniać swoją dotychczasową karierę.

Wychowywał się w atmosferze propagowania tajemniczego modelu „nowego radzieckiego obywatela”. Ukończył Moskiewski Uniwersytet Państwowy, a jego oprawiony na czerwono dyplom jako specjalność wymieniał „stosunki gospodarczo-społeczne w Azji”. Jak można było oczekiwać, bardzo szybko został zwerbowany do KGB. Od razu skierowano go na szkolenie agentów elitarnego Pierwszego Dyrektoriatu zajmującego się wywiadem wojskowym. Przez trzy następne lata musiał zaliczać specjalistyczne kursy, najpierw w studium językowym Komitetu, gdzie nauczył się angielskiego i arabskiego oraz wyszlifował znajomość perskiego, później zaś w Instytucie Andropowa imienia Czerwonego Sztandaru, szkolącym oficerów operacyjnych wywiadu. Doskonałe wyniki sprawiły, że już w siedemdziesiątym szóstym roku został oddelegowany na placówkę w Teheranie.

Szybko odnalazł swe miejsce w pionie politycznym rozbudowanej rezydentury KGB w stolicy Iranu. W ciągu dwóch lat stworzył własną siatkę informatorów z licznej podziemnej opozycji kraju nękanego despotycznymi rządami szacha. Zgromadzone wiadomości pozwoliły mu na rok wcześniej przewidzieć burzliwy przebieg zbliżającej się islamskiej rewolucji w Iranie.

Z filozoficznym spokojem przyjmował wszelkie poprawki w raportach, jakie wносił jego szef, rezydent KGB, a których zadaniem było przeświadczenie dyrekcji Komitetu, że irańskie niepokoje społeczne z siedemdziesiątego ósmego roku są efektem działania tutejszej placówki. Jego starszy kolega – przebiegły i chorobliwie ambitny, wręcz idealnie pasujący do propagowanego w CIA wizerunku „głównego wroga” – umiejętnie wykorzystywał to, że agentura amerykańska wobec niepewnej sytuacji w ostatnim okresie panowania szacha kładła szczególny nacisk na udramatyzowany, w znacznym stopniu wyimaginowany, wzrost radzieckich wpływów w całym rejonie Zatoki Perskiej, a zwłaszcza w Iranie.

Były to znakomite czasy dla Klimienki. Amerykanie znajdowali się w odwrocie nie tylko w środkowej Azji, podczas gdy Związek Radziecki zajął Afganistan i wszystko wskazywało na

to, że szybko włączy go do bloku państw socjalistycznych i będzie mógł kontynuować ekspansję w kierunku Zatoki Perskiej. Dni amerykańskiej marionetki, szacha Rezy Pahlawiego, były policzone, on zaś, wschodząca gwiazda wśród agentów KGB w środkowej Azji, mógł jedynie z satysfakcją obserwować zachodzące przemiany. Dlatego nie przywiązywał większej wagi do poczynań rezydenta. Jeśli tamten zamierzał wykorzystać sposobność do wywalczenia dla siebie Orderu Lenina, nikomu nie robił tym krzywdy. A skoro Amerykanie sami tak bardzo wyolbrzymiali problem radzieckich wpływów w Iranie, więc nie było w tym nic złego, że rezydent uzna część wymyśloną zwycięstwa za swoją chwałę. W końcu obie strony uzyskiwały to, do czego dążyły, a przede wszystkim to, na co zasługiwały.

Sprawy skomplikowały się nieco, kiedy grupa Amerykanów została zakładnikami, ponieważ rezydent musiał podjąć energiczne działania, aby nie uznano go za pomysłodawcę ataku na ambasadę Stanów Zjednoczonych. Moskiewska centrala kategorycznie zabraniała jakichkolwiek akcji, które mogłyby wyglądać na otwartą wojnę z Amerykanami. Ostatecznie trzeba było przestrzegać pewnych zasadniczych reguł postępowania w walce z „głównym wrogiem”. I wówczas Klimienko pomógł przełożonemu wydostać się z tego dołka, jaki tamten sam sobie wcześniej wykopał.

Jego pięcioletni przydział nieoczekiwanie skończył się przed terminem, mniej więcej tydzień po uwolnieniu zakładników. Dotychczasowe raporty opisujące przewidywany bieg wydarzeń, nie wyłączając dat ostatecznego sukcesu rewolucji irańskiej i oswobodzenia zakładników, okazały się na tyle trafne, że rezydent bezwstydnie wykorzystał je na swoją korzyść. Za to Klimienko mógł spędzić długi urlop w Moskwie, po którym dostał przydział do jednostki zadań specjalnych KGB przy sztabie czterdziestej armii w Kabulu. Wcześniej musiał przejść półroczny trening w bazie szkolenia desantowych Grup Alfa, gdzie uzyskał znakomite rezultaty. Potem kilkakrotnie organizował tajne operacje na terenie sąsiedniego Pakistanu i wraz ze swoimi ludźmi przeprowadził parę skutecznych akcji sabotażowych oraz zamachów na przywódców afgańskich mudżahedinów.

Po pierwszych sukcesach w Afganistanie zaczął marzyć o tym, że gdy wreszcie wróci do ojczyzny, będzie musiał poszukać sobie żony. Od tamtej pory minęło już prawie pięć lat, a jego coraz bardziej pochłaniały wciąż podobne zadania, jakie wykonywał w Kabulu od 1981 roku. Teraz jednak nie miał już większych złudzeń, że powrót do Związku Radzieckiego oddala się coraz bardziej. Kilka tygodni wcześniej nowy sekretarz generalny KPZR, przemawiając we

Władystoku, nazwał wojnę domową w Afganistanie „jątrzącą raną”, lecz Klimienko już dużo wcześniej doszedł do przekonania, że jego służba dla chwiejącego się systemu utraciła jakikolwiek sens.

Na gruntowną zmianę jego poglądów wpłynęły dwa wydarzenia. Najpierw śmierć ojca, który zmarł przed ośmioma miesiącami wskutek karygodnych zaniedbań dogłębnie skorumpowanych służb państwowych. W ostatnim okresie zaawansowana astma tak mocno dawała się ojcu we znaki, że matka Klimienki, będąca ginekologiem w kijowskiej klinice, musiała wozić go do szpitala i aplikować czysty tlen, dopóki nie ustąpiły objawy duszności. Podczas ostatniego ataku postąpiła tak samo, lecz po upływie pół godziny leżenia w masce tlenowej ojciec nagle zmarł.

Matka wszczęła potajemnie prywatne dochodzenie i wkrótce analiza tlenu z butli wykazała, że jest to zwykle sprężone powietrze z dużą zawartością tlenu węgla i węglowodorów, a więc przesycone spalinami. Niedługo potem wyszło na jaw, że przedsiębiorstwo dystrybucji gazów musiało przekazać cały zapas tlenu na potrzeby wojska, toteż kierownik postanowił w części zamówień ze szpitali – oczywiście z wyjątkiem zamkniętych ośrodków lecznictwa dla przedstawicieli władz – zastąpić dostawy tlenu zwykłym powietrzem, a ponieważ na zimę trzeba było umieścić spalinowe kompresory w zamkniętych pomieszczeniach, w sprężanym gazie znacznie wzrosło stężenie występującego w spalinach toksycznego tlenu węgla.

Kiedy doszło do następnych wypadków śmiertelnych po zastosowaniu skażonego powietrza i ujawniona została skala, na jaką prowadzono oszukańczy proceder, włączył się do akcji państwowy system protekcyjny. Wizytę w klinice złożyło dwóch ponurych przedstawicieli „kompetentnych organów”, którzy niedwuznacznie dali do zrozumienia Klimienkowej i dyrektorowi szpitala, iż muszą zakończyć nielegalne dochodzenie. Padła nawet pogrożka, że według pewnych informacji pracownicy szpitala sami zatruli butle ze sprężonym tlenem i winni sabotażu mogą zostać aresztowani. Nie było innego wyjścia, jak pogodzić się ze złą wiadomością.

Drugim tragicznym wydarzeniem była katastrofa atomowa w Czarnobylu, do której doszło cztery miesiące później. Umyślne, cyniczne narażenie dziesiątków tysięcy ludzi na skutki napromieniowania stało się dla Klimienki dowodem tak skrajnej, niespotykanej dotąd korupcji systemu, że przyćmiło nawet tragiczne okoliczności śmierci jego ojca. Dopiero po pięciu dniach uporczywego zaprzeczania władze radzieckie zdecydowały się ogłosić alarm, chociaż wielkość i rodzaj zagrożenia znane były doskonale już w pierwszych godzinach po stopieniu się reaktora

jądrowego elektrowni. Gdyby zaraz po wypadku odpowiednie instytucje zareagowały energicznie, można byłoby znacznie ograniczyć skutki katastrofy dla ludności cywilnej, a szczególnie dla dzieci. Jak utrzymywała jego dogłębnie rozżalona matka, wystarczyło zaaplikować niewielkie dawki jodiny, powszechnie przecież dostępnej, by ocalić dziesiątki tysięcy ukraińskich dzieci od przedwczesnej śmierci spowodowanej nowotworem tarczycy.

Klimienko pokręcił głową i po chwili zastanowienia sięgnął po słuchawkę bezpośredniej linii łączącej komórkę KGB z dowództwem afgańskich służb tajnych, mieszczącym się na drugim końcu miasta.

Dyżurujący oficer odebrał po drugim sygnale.

– Słucham, Szadrin.

– Majorze, chciałbym, żebyście osobiście wykonali dla mnie bardzo ważne zadanie. Przygotujcie listę wszystkich ważniejszych duszmanów przetrzymywanych w Pul-i-czarki oraz w innych więzieniach na terenie całego kraju. Gdyby było to możliwe, chciałbym też znać przynależność poszczególnych osób do ugrupowań rebelianckich z Peszawaru. Potrzebny mi rzetelny materiał do negocjacji na temat wymiany jeńców i chciałbym go otrzymać jak najszybciej. Jasne?

– Tak, towarzyszu pułkowniku – odparł Szadrin.

– I spróbujcie zrobić to tak dyskretnie, żeby za godzinę nie było głośno o tej sprawie w całym Kabulu. Wiem, że nie będzie to łatwe, wolałbym jednak, aby bandyci z Peszawaru nie dowiedzieli się przedwcześnie o naszych przygotowaniach. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest. Postaram się, ale już samo polecenie dostarczenia aktualnego spisu więźniów zelektryzuje całą miejscową tajną policję. A wiecie doskonale, towarzyszu pułkowniku, ile swoich wtyczek mają duszmani w afgańskich służbach specjalnych. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Postarajcie się, majorze – powtórzył Klimienko i odłożył słuchawkę.

Rozdział 6

Wioska Dwudziestego Piątego Kilometra, 25 sierpnia, 21.30

Było już po zmroku, gdy dwudziestoosobowa karawana prowadząca trzydzieści jucznych mułów dotarła do karawanseraju na skraju wioski leżącej na południowy zachód od Kabulu. Aleksander oraz przywódca grupy, Al.-Musaw-wir, czyli Twórca, osiem dni wcześniej o zachodzie słońca wyruszyli z obozu w pakistańskiej Północno-Zachodniej Prowincji Granicznej. W środku nocy przekroczyli „linię zerową”, jak nazywano tam granicę z Afganistanem, i zagłębili się w przesiąkniętą krwią, napiętnowaną przez historię Przełęcz Chajberską – uciążliwy szlak przecinający rozległe boczne pasmo Hindukuszu, nazwane z całkowicie obcą dla mieszkańców tych rejonów prostotą Górą Wschodnimi.

Później zeszli z utartych ścieżek, prowadzących przepięknym starożytnym szlakiem, zwanym Wielką Drogą Handlową, wytyczonym jeszcze w czasach cesarstwa Mogołów. Na szczytach wokół przełęczy wciąż widoczne były ruiny ich wieży strażniczych, z których niegdyś w ciągu zaledwie kilku godzin sygnałami świetlnymi przesyłano wiadomości na liczącej dwa tysiące czterysta kilometrów trasie z Kabulu do Kalkuty. Tą samą drogą przez Chajber do Indusu i dalej wędrowały później armie Aleksandra Macedońskiego, hordy wojowników Dżyngis-chana, wreszcie liczne ekspedycje Kiplinga i Lady Sale w epoce wielkich podbojów, walk narodowowyzwoleńczych i upadku imperium brytyjskiego.

Celem karawany była osada, znana jako Wioska Dwudziestego Piątego Kilometra, co dość precyzyjnie określało jej odległość od afgańskiej stolicy. Centralne miejsce przy targowisku zajmowała niewielka herbaciarnia, gdzie obsługiwano wszystkich strudzonych podróżą wędrowców, ale pod warunkiem, że opowiadali się po słusznej stronie wojny domowej. Fannin i Twórca mieli tu poczekać na Al-Hadiego, którego Aleksander nazywał Rambo, aby wspólnie omówić szczegóły planowanej operacji – ataku raketowego na kabulskie magazyny amunicji Armii Afgańskiej.

Po ośmiu miesiącach spędzonych w tym górzystym kraju Fannin nie wyróżniał się już spośród walecznych tubylców będących jego przewodnikami w labiryncie niedostępnych wąwozów, leżących w samym sercu ziem okupowanych przez Rosjan. Jego skóra nabrała odcienia hebanu, a gęsta czarna broda i drugie włosy skutecznie maskowały europejskie rysy.

Zasiadł teraz przy stole w towarzystwie Twórcy oraz młodego partyzanta, zwanego po prostu Chłopakiem. Przypominający starego niedźwiedzia właściciel herbaciarni – człowiek o nieodgadnionym wieku, nazywany mułłą Arifem, pełniący w wiosce funkcję mułły, gorącego orędownika dżihadu, a jednocześnie ważnego biznesmena – szybko postawił przed nimi zamówiony posiłek, w szerokim uśmiechu odsłaniając swój jedyny siekacz. Miał na sobie luźną zatłuszczoną koszulę, na głowie brudny turban i z daleka zalatywało od niego dymem z opalanego drewnem kuchennego pieca. Z prawdziwym namaszczeniem napełnił mocną, bardzo słodką herbatą niskie gliniane kubki bez ucha i wrzucił do każdego z nich po dwa nasiona kardamonu, jakby tą rozrzutnością chciał okazać swój szacunek dla Twórcy i jego gości.

Później, kiedy Fannin i Al-Musawwir odpoczywali na słomianych matach na zewnątrz, w blasku gwiazd, mułła Arif podszedł do nich prawie bezszelestnie i pełnym napięcia szeptem oznajmił:

– Nadszedzą!

Parę sekund później dał się słyszeć basowy rumor starego bedforda, zbliżającego się od strony Kabulu.

Ciężarówka jechała ze zgaszonymi światłami, zapewne po to, by nie wpaść w oko załodze zwiadowczego AN-26, bez przerwy krążącego nad stolicą. W szoferce oprócz kierowcy siedziało dwóch mężczyzn, nad podwyższonymi burtami skrzyni widać było głowy kilku następnych rebeliantów. Jeden z nich zeskoczył na ziemię i energicznym krokiem ruszył w stronę herbaciarni. Był szczupły, niewysoki, o dobre kilkanaście centymetrów niższy od Twórcy. Na pierwszy rzut oka jego zszargana, podniszczona bluza kazała go zaliczyć do wielkowiejskich Szia, czyli osób, których należało unikać z kilku ważkich powodów, a przede wszystkim dlatego, że powszechnie uważano ich za nieczystych. Tego obrazu dopełniała skołtuniona broda oraz brudne drugie włosy, wystające w strąkach spod wojskowej furażerki.

Aleksander powitał Rambo po rosyjsku:

– Dowódco Hadi, dlaczego ta ciężarówka tak potwornie śmierdzi?

– Sahib Sikander powinien wiedzieć, że mój bedford cuchnie gównem, ponieważ jest używany do transportu beczek napełnianych w latrynach bezbożnej ruskiej armii – odparł tamten z zaśpiewem, niczym mułła intonujący piątkową modlitwę. – Ten smród ma służyć odstraszeniu ludzi, którzy chcieliby mnie dopaść, gdyż jest zapisane w świętych księgach, że prawdziwy wierny nie umie ścierpieć fetoru odchodów niewiernych.

Aleksander roześmiał się w głos i serdecznie uściskał człowieka, który zyskał nie mniejszy respekt od wielu przywódców oddziałów partyzanckich. Od dawna go zastanawiało, jak by zareagowali Rosjanie, gdyby się dowiedzieli, iż człowiekiem zadającym im tak wiele strat w samym Kabulu jest właśnie ten mężczyzna, za dnia opróżniający szamba w ich koszarach.

Rambo z powrotem zwrócił się do Twórcy:

– Gruby Inżynier Latif i jego ludzie wzięli ruskiego jeńca w stopniu porucznika. Latif rozpuścił wieści, że chce go wymienić.

– A czego żąda ten stary bandyta?

– Pewnie zadowoli się tym, co zdoła wytargować. Gdyby wam na tym zależało, radziłbym zaproponować parę krótkofalówek i szybko dobić targu.

Wkrótce do wioski wjechała poobijana furgonetka suzuki i trzech Afgańczycy przeprowadzili związanego jeńca do niskiej chaty. Kilka minut później Latif serdecznie witał się z Twórcą.

– Mój drogi bracie, słyszałem, że przyjeżdżasz do Wioski Dwudziestego Piątego Kilometra, więc chciałem osobiście powitać cię w prowincji Logar. – Odwrócił się do Aleksandra i dodał po angielsku: – Jak również zyskać honor spotkania z naszym wspólnym znajomym, którego pomoc jest nieoceniona.

Fannin uściskał dłoń Latifa.

– Składam szczerze wyrazy uznania dla Inżyniera Latifa i wszystkich jego przyjaciół. Do moich przywódców docierają wieści o waszych osiągnięciach, wzbudzających podziw. Jesteś znany jako potężny bojownik.

– Czuję się zaszczycony, że mogliśmy dołączyć do walki z naszym wspólnym wrogiem, Sikandrze. Wspólnie go pokonamy, *Insh 'allah*. Ale wcześniej chciałbym porozmawiać o pewnej sprawie. Zapraszam na herbatę. – Latif wskazał wejście do herbaciarni, drugą ręką przyjaźnie obejmując Fannina.

W zadymionej i okopconej sali zajazdu starego Arifa inżynier wyjął brudne zawiniątko i położył je na stole przed Aleksandrem.

– Sikander często powtarza, iż powinniśmy się obchodzić z rosyjskimi jeńcami, że się tak wyrażę, z większą rozwagą niż do tej pory. Zgadzam się z tym, dlatego podjąłem ryzyko podróży do tej wioski, żeby porozmawiać z moim drogim bratem o ewentualnej wymianie schwytanego porucznika. Oto jego papiery.

Aleksander wysupłał z zawiniątka skórzany portfel i odszukał w nim czerwoną rosyjską

książeczkę wojskową. Otworzył ją i spojrzął na pierwszą stronę. Zdjęcie przedstawiało młodego przystojnego mężczyznę, który hardym wzrokiem patrzył prosto w obiektyw aparatu.

– Porucznik Michaił Siergiejewicz Orłow – odczytał na głos personalia. – Wygląda, jakby chciał w pojedynkę zawojować cały świat. Ile to już razy widzieliśmy takie butne miny? – zapytał, przekazując książeczkę Twórcy.

Zaczął zaglądać do wszystkich przegródek portfela i w ostatniej, jakby ukryte przed postronnymi osobami, znalazł pamiątkowe rodzinne zdjęcie. Ten sam młody Orłow stał na nim w świeżutkim mundurze, wyprężony jak struna, między piękną i elegancką kobietą około pięćdziesiątki i wysokim postawnym starszym mężczyzną, podobnym jak dwie krople wody do porucznika, ubranym w mundur Armii Radzieckiej z generalskimi insygniami. Dostrzegłszy, że Latif jest pogrążony w cichej rozmowie z Twórcą, Fannin pospiesznie wsunął fotografię z powrotem do portfela. Starając się nie dać po sobie czegokolwiek poznać, wolno zawiązał portfel w brudny skrawek tkaniny.

– Jakie masz plany wobec tego porucznika?

– Jego życie nie ma dla mnie żadnej wartości, Sikandrze. Sprawia nam tylko kłopoty. Podejrzywałem jednak, że będziesz nim zainteresowany, bo w każdym wyższym oficerze kryje się jakaś wartość polityczna, jak sam kiedyś powiedziałeś.

– To prawda, ale wartość polityczną mógłby mieć dla nas pułkownik, a nie młody porucznik, niewiele lepszy od zwykłego szeregowca. Tak czy inaczej, słusznie postąpiłeś, przywożąc go tutaj. Czy jeniec jest zdolny do dalszej podróży?

– Odnosił tylko powierzchowną ranę. Proszę bardzo, może zechcesz sam go obejrzeć, przyjacielu.

Kiedy po wyjściu z zajazdu Latif ruszył energicznym krokiem na drugą stronę placu targowego, Aleksander chwycił Twórcę za łokieć i przyhamował go nieco.

– Musawwir, w portfelu Rosjanina znalazłem fotografię generała Armii Radzieckiej, wyglądającego jak Orłow starszy o jakieś trzydzieści lat. Jestem prawie pewien, że to jego ojciec, generał Siergiej Iwanowicz Orłow, dowódca wojsk radzieckich we wschodnich Niemczech. Mamy okazję dostać w swoje ręce niemal bezcenny skarb, syna samego generała Orłowa.

– W takim razie trzeba postępować ostrożnie. Jeśli Latif wyniucha, że za bardzo interesujemy się jeńcem, postawi nierealne żądania.

Wkroczyli razem do chaty. W głównej izbie, pod ścianą, siedziała z rękoma związanymi za

plecami zdobył Latifa. Przez umazane krwią czoło porucznika ciągnęło się niegroźne rozcięcie.

– Mówiłeś prawdę – rzekł cicho Aleksander, odciągawszy Latifa na bok. – Porucznik wygląda na zdrowego i raczej powinien przetrzymać dalszą podróż. Boję się jednak, że transportowanie go do Paktii będzie trudne.

Inżynier uśmiechnął się, w blasku księżyca zajaśniały jego białe zęby.

– Mój brat, Salahuddin, który teraz siedzi przy Rosjaninie, już w pierwszej chwili chciał mu poderżnąć gardło. Wygląda na to, że miał rację. Jeśli porucznik nie przedstawia dla ciebie żadnej wartości, bez wahania powiększymy nim grono radzieckich męczenników. A może oni wcale nie uznają męczenników?

– Owszem, uznają, Inżynierze. Dlatego przejmę porucznika z twoich rąk, ale tylko ze względu na moje zdanie o schwytych oficerach.

– Zaskarbisz sobie moją wdzięczność, Sikandrze.

Fannin przyjacielskim gestem położył dłoń na ramieniu Latifa.

– Bardzo proszę, nie poczuć się urażony tym, co powiem, Inżynierze, ale pod żadnym pozorem nie mogę ci nic zaoferować za tego bezwartościowego jeńca. Niemniej podziwiam cię szczerze i uznaję za wielkiego bojownika, toteż chciałbym z całego serca dopomóc jakoś twoim ludziom.

Latif w zamyśleniu przestąpił z nogi na nogę.

– I ja nie mógłbym niczego żądać od przyjaciela w zamian za zwykłego jeńca. Możesz go zastrzelić, jeśli taka twoja wola... – Zawiesił na krótko głos. – Ale moim bojownikom zawsze brakuje sprzętu potrzebnego do walki z Rosjanami, Sikandrze.

– Zdaję sobie sprawę, że słynny Inżynier Latif, biorąc jeńca, ani przez chwilę nie myślał o osobistych korzyściach – odparł Fannin, chcąc przyspieszyć moment określenia ceny. – Nie mógłbym jednak spać spokojnie, gdybym w jakiś sposób nie pomógł bratniemu przywódcy i jego mudżahedin w skutecznym prowadzeniu dżihadu.

Afgańczyk chciwie łypnął na niego z ukosa.

– Jest jedna rzecz, która bardzo by nam pomogła.

– Proszę mówić śmiało, Inżynierze.

– Przydałoby mi się z dziesięć przenośnych krótkofalówek o kodowanej częstotliwości i dwa nadajniki stacjonarne.

– Na pewno Inżynier Latif dobrze wie, iż każdemu z przywódców mogę przekazać jedynie

pięć aparatów przenośnych i jeden nadajnik stacjonarny. Jednak największy kłopot polega na tym, że dostarczenie sprzętu zajmie parę tygodni, a nawet miesięcy.

– Gdyby Sikander mógł nam ofiarować pięć przenośnych krótkofalówek i jeden nadajnik w ciągu tygodnia, byłbym dozgonnie wdzięczny. Lecz byłbym o wiele bardziej wdzięczny, gdyby Sikander jak najszybciej mógł mnie uwolnić od kłopotów, jakich przysparza ten porucznik.

– No to umowa stoi. Zaczekaj tu do jutra, kiedy wrócimy razem z Musawwirem, a wówczas przejmemy Rosjanina z twoich rąk. Aparaty będą do odbioru za tydzień w centrali tajnych operacji w Paktii.

Latif energicznie potrząsnął dłonią Aleksandra.

– Zgoda. Umowa stoi, Sikandrze.

– Myślisz, że udałoby ci się przesłać krótki szyfrowany meldunek do czekających tam naszych przyjaciół? – Aleksander zapytał szeptem Chłopaka, wskazując horyzont na południowym wschodzie.

Tamten przytaknął ruchem głowy. Ostrożnie wyciągnął z chlebaka niewielki aparat dokładnie owinięty kawałkiem gumowanego brezentu i oklejony taśmą samoprzylepną, po czym zaczął go rozpakowywać. Po chwili ułożył przed sobą trzy części w czarnych plastikowych obudowach z metalizowanymi elementami regulacyjnymi, szybko połączył je ze sobą wiązkami kabli i oznajmił z dumą:

– Robota dla głupich.

Fannin przyjął z uśmiechem ten szczególny wyraz podziwu dla wszelkich zautomatyzowanych urządzeń. W trakcie prowadzonych szkoleń, kiedy objaśniał sposoby użycia czy to krótkofalówek, aparatów fotograficznych, czy detonatorów zegarowych, zawsze podkreślał prostotę ich obsługi, żałując zarazem, że tak samo prosta nie może być cała tocząca się wojna. Teraz jednak z uznaniem obserwował, jak Chłopak bezbłędnie programuje nadajnik i ustawia antenę we wskazanym kierunku, równocześnie zasłaniając aparat własnym ciałem, by nie dostrzegł go nikt z leżącej za ich plecami wioski.

– Gotowe – rzekł po chwili.

Aleksander przykucnął, wyciągnął z uchwytu maleńki plastikowy bolec i zaczął nim wypisywać tekst na miniaturowej klawiaturze. Kilka minut później popatrzył na gotowy

meldunek wyświetlony na ciekłokrystalicznym ekranie:

IMJ OD 2MJ POWT IMJ OD 2MJ

PR PRZEKAZ DO CENTRX OPER WKHARDZE ZAPLANOW NA JUTRO G1700
CZAS LOKX OBEC BAZ W WIOS25KMX PR O WSZYST INFORM NT MICHAİL
SIERGIEJEWICZ ORLOW ZE 105 GWRD DYW DES UR 17LIP60 W MOSKWIEX
PODEJRZ SYN GEN S IORLOW DOW ZACH ZGRUP ARMII RADZX BĘDZIE
W NASZYCH RĘKACH JUTROX TARG DOBITYX BOG PROWADZIX KONX KONX
KONX

– W porządku, wyślij go – rzekł do Chłopaka.

Tamten wcisnął parę klawiszy i po chwili na obudowie głównej części nadajnika na ułamek sekundy rozbłysła czerwona dioda. Zaraz potem zamigotała zielona i zaświeciła jednostajnym blaskiem. Meldunek przekształcony w tajemniczy ciąg impulsów elektrycznych został wyemitowany w postaci skondensowanej wiązki, całość przekazu nie trwała nawet jednej sekundy, o czym świadczyło krótkie mignięcie czerwonej diody. Zapalenie się zielonej było dowodem, że komunikat dotarł bez zniekształceń i został rozszyfrowany przez automatyczną stację przekaźnikową ulokowaną na którymś ze szczytów Gór Wschodnich, która w odpowiedzi przesłała równie krótki impuls potwierdzający. A więc na szczęście nie trzeba było powtarzać transmisji, przez co naraziliby się na ryzyko wykrycia przez rosyjską sieć radionamiarową, bez przerwy poszukującą źródeł sygnałów radiowych.

Wreszcie pojawił się Rambo i przedstawił im szczegóły zaplanowanego ataku raketowego.

– Rozmieścimy pociski na stanowisku Bravo – rzekł stanowczym tonem. – Pozostałe miejsca wybrane na podstawie zdjęć satelitarnych są chyba równie dogodne, ale do Bravo będziemy mogli bezpiecznie dotrzeć jeszcze tej nocy. Tamtejszy zagajnik i sąsiedni sad morwowy należą do Abdula Karima. Drogę wskaże wam ojciec jednego z moich bojowników, mułła Sulejman. Pojedziecie razem z nim. Ja poprowadzę bedforda inną trasą.

Zagajnik Karima, 26 sierpnia, 3.30

Sulejman okazał się nadzwyczaj pobożnym muzułmaninem, potrafiącym stosownie do

okoliczności przywołać jedno z dziewięćdziesięciu dziewięciu określeń Allaha. Zanim furgonetka dotarła do porzuconego gospodarstwa Karima, położonego zaledwie pięć kilometrów od wielkich magazynów amunicji w Khardze, w jego ustach co najmniej siedemset razy zabrzmiało imię Ya-Qahhara, czyli Niszczyciela. Ze stojącego na płaskim wzgórzu domu pozostała ruina, dachu w ogóle nie było, a trzy zewnętrzne ściany leżały w gruzach. Zabudowania gospodarcze, z jednym tylko wyjątkiem, znajdowały się w równie opłakanym stanie, a morwy w sadzie nadawały się tylko do wycięcia, strawione dwuletnią suszą, którą wywołało zniszczenie systemu nawadniającego. Twórca i Fannin nie zdążyli się jeszcze dobrze rozejrzeć, kiedy na podwórze wtoczyła się z głośnym rumorem ciężarówka prowadzona przez Rambo. W ciągu niespełna dwóch minut jego ludzie odkręcili deski podłogi na skrzyni i wyciągnęli z przestrzeni między ramami podwozia osiemnaście zielonych drewnianych skrzyń, z których każda zawierała jedną odpaloną automatycznie rakietę o średnicy 107 milimetrów.

Oprócz nich w skrytkach znalazły się dwie inne skrzynki: jedna blaszana, porzewiała, służąca armii amerykańskiej w czasie drugiej wojny światowej do transportowania amunicji do ciężkich karabinów maszynowych, i druga większa, drewniana, w której znajdowały się zwoje cienkich kabli w izolacji koloru ziemistego. Było tam jeszcze kilkanaście ciężkich baterii, precyzyjny kompas, parę krążków przylepca, duży zwój ciemnego drutu ze sprężystej stali, trzy krążki brązowej stalowej taśmy mierniczej, sześć przygotowanych wcześniej słupków oraz dwa ciśnieniowe pojemniki brązowej farby w różnych odcieniach.

– Biermy się do roboty – rzucił Twórca, po czym nakazał Chłopakowi: – Rozwiń kable i ułóż je w wiązках przed domem.

Szybko wyjął zza pazuchy komputerową mapę stanowiska Bravo, rozpostarł ją na pokrywie studni i oświetlił latarką. Wszyscy zgromadzili się dookoła. Na wydruku znalazły się wszystkie zidentyfikowane elementy gospodarstwa opisane w języku dari, ruiny domu, studnia na podwórze, a nawet wielki, płaski kamień wyszlifowany do gładkości przez pokolenia przodków Karima.

Twórca sprawdził uważnie legendę i wyznaczył azymut z pozycji Bravo do Khargi na osiemdziesiąt sześć stopni, niemal prosto na wschód. Wziął następnie kompas, obrócił się, odnalazł żądany kierunek i zlustrował teren przed sobą.

– Doskonale – odezwał się do Ramba. – To powinien być pewny strzał, o ile dane na wydruku nie są błędne.

– Wyliczeniom komputerowym możesz zaufać – wtrącił rzeczowo Aleksander. Natychmiast, zaczęli rozciągać na ubitej glinie podwórza trzy dwunastometrowe odcinki taśmy mierniczej, ze szczególną dokładnością ustawiając je według wyznaczonego azymutu. Potem przybili je do ziemi drugimi gwoździami. Jednocześnie odcinali trzymetrowe kawałki grubego sprężystego drutu i mocowali je co dwa metry prostopadle do taśm. Kiedy wreszcie ukończyli prowizoryczną kratownicę, była dokładnie czwarta trzydzieści osiem.

Niewiele zostało im czasu do chwili startu z Kabulu pierwszego patrolowego śmigłowca, który każdego dnia począwszy od piątej piętnaście wyruszał na trasę prowadzącą na niskiej wysokości, spiralnie wokół stolicy, w poszukiwaniu band duszmanów podkradających się do miasta pod osłoną nocy.

Przyspieszywszy jeszcze tempo pracy, rozstawili osiemnaście skrzyń z rakietami na przecięciach sporządzonej kratownicy. Dwaj Afgańczycy zajęli się następnie wydobywaniem z dna skrzyń precyzyjnie ukształtowanych leży, na których układano smukłe pociski. Pierścienie regulacyjne podtrzymujące cygara ustawiano na odległość dzielącą stanowisko Bravo od magazynów w Khardze, co zapewniało odpowiedni kąt do startu rakiet. Wcześniej na pierścieniach oznakowano też odległości do celu ze stanowisk Alpha oraz Charlie, gdyż do ostatniej chwili nie było wiadomo, skąd pociski zostaną odpalone. Wreszcie do uzwojeń zapalników elektrycznych zaczęto przykręcać końcówki kabli.

Tymczasem Chłopak wydobył z chlebaka jeszcze jedną „magiczną czarną skrzynkę”, którą hojnie przyjaciele dostarczyli na objęty wojną teren w celu łatwego wykrywania nadlatujących helikopterów wroga. Aparat nie był większy od małego pudełka po cygarach, na jego obudowie mieściły się dwie osłonięte lampki, czerwona i zielona, oraz dwa pokrętła regulacyjne. Pamiętał, że w zasłyszanej rozmowie między Sikandrem a Twórcą padła nazwa „fuzzbuster”, której nie wolno było nikomu zdradzić, aby przypadkiem Sowietci nie dowiedzieli się o jego istnieniu. Jego zresztą mało obchodziło, jak działa tajemniczy fuzzbuster, wołał uważać ten przyrząd za kolejną magiczną czarną skrzynkę. Wiedział jednak, jak należy jej używać, toteż wcisnął włącznik, odczekał parę sekund i oznajmił głośnym szeptem:

– Świeci się zielona lampka. W powietrzu czysto.

Twórca otworzył blaszaną skrzynkę amunicyjną. Wewnątrz zardzewiałego pojemnika znajdowało się zegarowe urządzenie zapłonowe opracowane w laboratorium służb technicznych centrum dowodzenia CIA w Langley. Zaczął kolejno wciskać czerwone guziki, wsuwać

odizolowane końcówki kabli w otwory stykowe i puszczać przyciski, zamykając tym samym obwody elektryczne. Na końcu umieścił w gniazdach i podłączył osiem z dwunastu zabranych baterii.

Aleksander podał mu zworę o dwunastogodzinnym opóźnieniu, niepozorną piętnastocentymetrową mosiężną rurkę. Po przymocowaniu na jej końcu głównego przewodu zapalników, Twórca energicznym ruchem przekręcił w prawo górną część i ustawił naprzeciwko siebie dwie jaskrawoczerwone kropki farby. Tym samym rozkruszył znajdujący się wewnątrz zbiorniczek ze żrącym kwasem. Wreszcie przytwierdził zworę pod sprężynowym zaciskiem i drugi koniec grubego zbiorczego kabla zasilania połączył z zaciskiem baterii.

Powolne działanie kwasu miało sprawić, że dokładnie po dwunastu godzinach puści skorodowany zatrask trzpienia umieszczonego na mocnej sprężynie, ten zaś uderzy w styki, zamknie obwód elektryczny i prąd popłynie do zapłonników rakiet. Fajerwerki mogły się więc rozpaść dopiero o siedemnastej.

Fannin wyjął z kieszeni bluzy kopertę z matowego celuloиду. Ostrożnie wyciągnął z niej arkusz papieru, rozłożył go i wraz z długopisem podał Twórcy.

– Podpisz któryś z dziewięćdziesięciu dziewięciu imion, Musawwir. Tylko zrób to z wyobraźnią, przyjacielu.

Afgańczyk zamyślił się na chwilę i szybko nakreślił na dole kartki kilka dużych, niezbyt równych liter. Aleksander z powrotem złożył papier, umieścił go obok urządzenia zegarowego i uniósł pokrywę. Ale zanim ją zatrzasnął, niepostrzeżenie wsunął do środka jeszcze jakiś niewielki przedmiot, zawinięty w pergamin.

– Patrol w powietrzu! – zawołał chłopak, wskazując mrugającą rytmicznie czerwoną lampkę na obudowie aparatu. Nie było to nawet konieczne, gdyż z daleka dolatywał przybierający stopniowo na sile terkot wirnika śmigłowca, wyraźnie zgrany z rytmem pulsowania alarmowego wskaźnika.

Twórca błyskawicznie cisnął jeden pojemnik farby w stronę Ramba, sam natomiast chwycił drugi. Reszta mudzahedinów biegła już w kierunku zrujnowanej komórki, jedyne fragmenty zabudowań przykryte dachem. Obaj przywódcy pospiesznie rozpylili nieco farby na wysmukłe korpusy rakiet, chcąc przynajmniej z grubsza zamaskować ewentualne odbłaski na metalowych powierzchniach. I tak niewielkie były szanse na to, że załoga patrolowego śmigłowca lecącego z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę zauważy cokolwiek z wysokości trzydziestu

metrów.

Wioska Dwudziestego Piątego Kilometra, 26 sierpnia, 15.00

Aleksander, Twórca i Chłopak byli nieźle zmęczeni i wygłodniali, kiedy wczesnym popołudniem dotarli wreszcie do zajazdu muły Arifa. Wracali razem z całą grupą mudżahedinów i tylko w samo południe zrobili krótką przerwę na obowiązkową muzułmańską modlitwę. Arif powitał swoich honorowych gości gorącą zieloną herbatą z cukrem i nasionami kardamonu oraz żółtym afgańskim melonem. Z braku lodówki owoc schłodzono metodą ponacinania twardej skórki i wystawienia go na słońce co najmniej na godzinę. Intensywne parowanie soku spod skórki w letnim upale sprawiało, że jędrny miąższ w głębi stawał się nadzwyczaj orzeźwiający.

Po kilkuminutowym odpoczynku w całkowitej ciszy Arif odezwał się cicho:

– Gruby Latif wyjechał z samego rana. Do pilnowania Rosjanina zostawił dwóch swoich bojowników i prosił, abym przekazał wam to. – Wręczył Twórcy złożony kawałek cienkiego jedwabiu wielkości zwykłego papieru listowego, na którym, starannie wykaligrafowano wiadomość w języku dari:

W imię Boga Wszechmocnego i Litościwego przesyłam Wam pozdrowienia. Zostawiam dla Was tego 26 dnia sierpnia rosyjskiego porucznika, którego Żywiciel oddał w moje ręce. Poprosiłem Haruna, brata Hamayuna, by został i strzegł go, i towarzyszył Wam do Paktii po odbiór radioodbiorników, jakie Łaskawca zesłał w swojej szczodrości ku pomocy naszemu dżihadowi poprzez dobrych oficerów Przyjaciół. Niech Was Bóg prowadzi.

Latif. 26 VIII 86.

Aleksander pospiesznie zwrócił się do Chłopaka:

– Ustaw radio na odbiór, powinien już czekać na nas komunikat. Rzeczywiście nie minęła nawet minuta, gdy po zgłoszeniu gotowości ze stacji przekaźnikowej nadszedł zaszyfrowany przekaz. Zamigotała lampka kontrolna i rozległ się cichy pisk. Fannin i Twórca pochyliłi się nad aparatem i z ekraniku odczytali meldunek:

IMJ DO 2MJ POWT IMJ DO 2MJX OTO INFO Z SEKC DANYCH OP SPECX KONIECZ

PRZEJĄĆ KONTROLE NAD ORLOWEMX POTWIER SCHWYT JENIEC TO SYN
DOWÓDCY ZZW ORLOWA SLUZACY OSTAT W 105 DYW GWARDX ZEBRANE
INFORM WSKAZUJĄ ZE SYN ORLOWA ZAGINAŁ I WSROD ROSJAN SPORO
ZAMIESZANIAX KONIEC INFOX BOG PROWADZIX KONX KONX KONX

Aleksander zdecydował szybko:

– Wyjeżdżam dziś wieczorem, nie czekam na ciebie. Na pewno nie będę ci potrzebny podczas transportowania syna Orłowa w głąb Afganistanu. Wcześniej czy później trzeba będzie powiadomić Moskwę, najlepiej już po uzyskaniu zgody na dokonanie wymiany jeńców, wolałbym jednak uniknąć osobistego angażowania się w te sprawy, chyba że zajdzie taka konieczność. Sam zajmij się Orłowem. Ukryj go dobrze w Ponderosie i daj mi znać, gdy dotrzecie na miejsce.

Rozdział 7

Zagajnik Karima, 26 sierpnia, 17.00

W porzuconym gospodarstwie Karima na wzgórzu panował niczym nie zmacony spokój. Dokładnie trzy minuty po siedemnastej puściła nadtrawiona kwasem zapadka, sprężyna popchnęła trzpień i zwarły się styki elektryczne. Nie zadziałał mechanizm zapłonowy tylko jednej z osiemnastu rozstawionych rakiet. Po upływie trzech i siedmiu dziesiątych sekundy siedemnaście pocisków wystrzeliło w kierunku odległej o pięć kilometrów Khargi.

To, co się stało, interpretowano później różnie – jako karę boską, rezultat starannie zaplanowanej operacji, jak również zwyczajny zbieg okoliczności – w każdym razie osiągnięto efekt końcowy: przesłano wyraźny sygnał obu stronom uczestniczącym w krwawej wojnie domowej, która ostatnio zaczynała się bardzo źle układać dla Afgańczyków. Osiem rakiet wywołało różnorodne zniszczenia w barakach, w większości niezbyt znaczne. Osiem w ogóle minęło Khargę, a ich detonacje spowodowały nawet pewne straty wśród ludności cywilnej. Ale jeden pocisk, uzbrojony w zapalającą głowicę fosforową, jak gdyby faktycznie prowadzony ręką Niszczyciela przebił stalowe wrota jednego z zagrzebanych do połowy w ziemi magazynów. Przetrzymano w nim cały zapas dostarczonych armii afgańskiej rosyjskich pocisków raketowych typu ziemia-powietrze, mających służyć do obrony przed spodziewanymi atakami lotniczymi z sąsiedniego Pakistanu.

Eksplozja fosforowej głowicy rozerwała kilka zbiorników z paliwem raketowym, wskutek czego nastąpił łańcuch dalszych detonacji, które wstrząsnęły całym olbrzymim kompleksem wojskowym. Po paru minutach magazyny, gdzie przechowywano czterdzieści tysięcy ton amunicji, stanęły w płomieniach.

Dowództwo 40. armii, 26 sierpnia, 22.30

Sasza siedział w pokoju Klimienki prawie przez godzinę. Obaj powoli sączyli wódkę i smętnie spoglądali na widoczne za oknem fajerwerki. Krasin początkowo chciał się spierać, że albo jest to robota jakiegoś sabotażysty, albo też doszło znów do jednego z tych tragicznych wypadków, jakie ostatnio nękały źle wyszkoloną i zdemoralizowaną armię afgańską.

– Wygląda na to, drogi pułkowniku, że nasi ogoniaści podopieczni sami wysadzili się w powietrze.

– Nie tym razem – mruknął ponuro Tola, wskazując stojącą na biurku blaszaną skrzynkę amunicyjną, spod której pokrywy wciąż zwieszał się pęk odciętych nożem kabli. – Przyjrzyj się dobrze. Znaleźliśmy to jakieś dziesięć minut po pierwszej eksplozji w Khardze. Stanowiło część instalacji, którą duszmani musieli przygotować ubiegłej nocy. Nasze radary dość precyzyjnie podały lokalizację punktu startowego rakiet, jeszcze zanim te uderzyły w cele.

Sasza z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Aż mi się nie chce wierzyć, że potrafili zmontować coś podobnego. To tylko z pozoru prosty zegarowy mechanizm zapłonu, ale odpowiednie rozstawienie rakiet wymagało nie lada wysiłku. Zastanawiam się, czy szykują kolejne podobne niespodzianki.

– Tę kartkę znaleźliśmy wewnątrz skrzynki. – Klimienko podał mu arkusz białego papieru.

Wiadomość została napisana po rosyjsku, Sasza odczytał ją na głos:

Mój drogi pułkowniku

Spieszę pogratulować panu i pańskim towarzyszom, że choć późno, to jednak zdołaliście odnaleźć nasz prezent dla was i przekonać się, jak go przygotowaliśmy. Proszę tylko nie sądzić, że ten atak, który znacznie obniżył zdolności waszych marionetkowych żołnierzyków do szerzenia ludobójczej wojny, jest rezultatem jakiegoś przypadku bądź też odosobnionym incydentem, chwilową porażką pana i pańskich krwiożerczych mocodawców. Mogę zapewnić, że to dopiero początek, a w miarę upływu czasu będzie pan miał do czynienia z wieloma podobnymi zdarzeniami. Nie zamierzam tracić czasu i tłumaczyć panu powodów, dla których powinniście się wynieść z Afganistanu, pułkowniku, ponieważ doskonale wiem, że powody te znane są panu już od dawna. I tak wszyscy w końcu uciekniecie z naszej ojczyzny, lecz dopóki to nie nastąpi, dopóki będziecie się panoszyć po tej stronie Oksusu, z przyjemnością pomożemy wam wykopywać dla siebie kolejne groby.

Ya-Muntaqim

– Co to znaczy? – spytał Krasin, wskazując podpis wykonany przez Twórcę po arabsku.

– Mściciel – wyjaśnił cicho Klimienko. – To jedno z dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Allaha.

– A jak rozumieć początek: „Mój drogi pułkowniku”? Czyżby w grę wchodziły jakieś osobiste porachunki? Ten dukhis cię zna? – Sasza spojrział na niego, podejrzliwie marszcząc brwi.

– To zwykła gra słów, tyle że dość wyrafinowana. Kiedy tylko dostałem ten list, obleciał mnie strach, chyba po raz pierwszy od przyjazdu do Afganistanu.

Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, jest on adresowany do dowolnego pułkownika. Pomyśl tylko, żaden niższy stopniem oficer nie mógłby odpowiadać za tak ważną sprawę. Autor listu musiał wiedzieć, że tak czy inaczej trafi on do pułkownika. Muszę jednak przyznać, że na początku i ja odniosłem wrażenie, iż ten przeklęty dukhis zwraca się do mnie osobiście. Ale teraz już się domyślam prawdy. Moim zdaniem, nasi amerykańscy przyjaciele zdecydowali się podnieść nam poprzeczkę. Do tej pory zależało im tylko, byśmy się wykrywawili w walkach do ostatniego duszmana, ale teraz chyba postanowili przechylić szalę na naszą niekorzyść i ostatecznie wygrać wojnę. Już wcześniej docierały do mnie meldunki o dziwnych transportach i oddziałach przemierzających Paraczinar i Paktię. Widziałem zdjęcia satelitarne tamtych okolic i mogę przysiąc, że coś się szykuje. Poza tym nasz nasłuch kilkakrotnie przechwycił zakodowane sygnały radiowe emitowane z Paktii, których nie potrafimy rozszyfrować. Coraz bardziej jestem przekonany, że moim największym problemem będzie teraz człowiek, którego dukhisi nazywają Sikandrem, starożytnym imieniem Aleksandra Macedońskiego. To niewątpliwie agent CIA, według pewnych doniesień mówiący zupełnie płynnie po rosyjsku. Amerykanie mają takich specjalistów. Podejrzewam, że to właśnie on napisał ten list i jeszcze dołączył do niego to. – Położył na skraju biurka mniej więcej dwudziestocentymetrowy przedmiot zawinięty w pergamin. – Śmiało, rozpakuj. Nie wybuchnie ci w palcach.

Sasza ostrożnie rozwinął pergamin i wyjął ze środka zrobionego z czarnego jedwabiu sztucznego tulipana na długiej drucianej łodyżce.

– Sam widzisz, jak przebiegły musi być facet, który zorganizował atak raketowy, skoro przysłał nam czarnego tulipana – dodał Klimienko.

– Na twoim miejscu, drogi pułkowniku – szepnął ironicznie Krasin – miałbym się teraz na baczności, bo ten łajdak może się nocą wśliznąć do łóżka i zatkać ci gębę twoimi obciętymi jajami. Prawdę mówiąc, mało by mnie obchodziło, czy ten skurwiel nosi budzące skojarzenia imię Aleksandra, czy jest kolejnym zaślepionym żądzą zemsty Abdullahem, gdybym tylko przeczuwał, że chce mi się dobrać do tyłka. Zbyt wielu chłopców musieliśmy już odesłać do

domu z czarnym tulipanem. Ale nie zapominałbym też o kolegach, którzy kręcą się po tym budynku i którzy nie dadzą sobie wytłumaczyć, że ów list nie jest adresowany do ciebie osobiście. Naprawdę musisz zacząć na siebie uważać.

Klimienko uważał siebie przede wszystkim za Ukraińca, a dopiero w drugiej kolejności za obywatela Związku Radzieckiego i pułkownika KGB. Przed nikim się jednak z tym nie zdradził. Nawet wysrane z palca podejrzenia o ukraiński nacjonalizm mogłyby mu piekielnie skomplikować życie w społeczeństwie, w którym z zapałem wykorzeniano wszelkie odchylenia od narzuconej normy. Po raz pierwszy musiał się bronić przed podobnymi zarzutami, gdy na początku służby sprawdzano go w Wydziale Dochodzeniowym KGB. Wtedy pomyślnie przeszedł badanie, gdyż postawa ideowa całej jego najbliższej rodziny nie budziła zastrzeżeń, oboje rodzice należeli do partii. On sam przeszedł utartą drogę przynależności organizacyjnych, od Młodych Pionierów przez Komsomoł aż do KPZR. W rodzinnym domu wielokrotnie dyskutowano sprawę jego wstąpienia do partii, nikt jednak nie ukrywał, że jest to traktowane jako okrutna życiowa konieczność.

To prawda, istniała rodzinna tajemnica, której odkrycie nie tylko błyskawicznie zakończyłoby jego karierę w KGB, ale i z pewnością stało się przyczyną zesłania rodziców do gułagu. Przed osiemnastu laty, gdy był na trzecim roku studiów i wciąż się jeszcze zastanawiał nad propozycją wstąpienia na służbę w wywiadzie wojskowym, matka wyznała mu w tajemnicy, że jej bliźniacza siostra zaraz po wojnie uciekła ze Związku Radzieckiego i mieszka obecnie w Hongkongu. Matka dokładnie opisała mu terror, jaki panował w okupowanym przez hitlerowców Kijowie, tragiczną śmierć jego dziadków w czterdziestym trzecim roku, wreszcie zaginięcie jej siostry gdzieś na Dalekim Wschodzie, w Kraju Primorskim. Ostatni list od Lary przyszedł z Nachodki, portu nad Pacyfikiem niedaleko Władywostoku.

Katerina doczekała końca wojny w przeświadczeniu, że nikt z jej najbliższej rodziny nie pozostał przy życiu. Nigdy jednak nie przestała w głębi duszy wierzyć, że jej siostra żyje, dlatego czyniła wszelkie możliwe wysiłki, aby ją odnaleźć. Ale nie natrafiła na żaden konkretny ślad. W kraju, gdzie liczba ofiar wojny przekroczyła dwadzieścia milionów, nawet najbardziej wytrwali musieli w końcu zrezygnować, nie uzyskawszy odpowiedzi na swoje ogłoszenia, jakich tysiące rozwieszano wtedy we wszystkich urzędach pocztowych i stacjach kolejowych w jedenastu strefach czasowych Związku Radzieckiego. Pokazała mu nawet drukowaną na

żółtym papierze notatkę: „Katerina Czumakowa z Kijowa poszukuje jakichkolwiek informacji o losie swojej bliźniaczej siostry, Lary, urodzonej w Kijowie czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku...”.

Jednak Katerina, wcale nie bardziej zabobonna od reszty obywateli radzieckich, od czasu do czasu wracała do swoich przeczuć, podpowiadających jej, że siostra żyje. Niekiedy wydawało jej się, że potrafi dość dokładnie powiedzieć, czym Lara zajmuje się w danej chwili. Opowiedziała Wiktorowi, iż jej zdaniem siostra urodziła dziecko, prześliczną córeczkę, bardzo podobną do ich syna.

Mąż wysłuchiwał tego wszystkiego cierpliwie, nie wykluczał nawet, że faktycznie może istnieć jakaś głęboka więź psychiczna łącząca bliźniaczki, której nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Mimo to nie podzielał entuzjazmu Kateriny, nie chcąc zapewne rozbudzać w żonie złudnych nadziei, że Lara żyje. Aż wreszcie, w 1967 roku, dotarła do nich paczka zawierająca ozdobną szkatułkę. Anatolij miał wtedy dziewiętnaście lat.

Była to doskonała kopia ręcznie malowanych i grubo lakierowanych wyrobów z masy papierowej, z jakich słynęło rosyjskie miasteczko Palech. Na wieczku szkatułki widniały postacie z bardzo starej baśni. Wewnątrz znajdował się jej tekst, spisany kaligraficzną cyrylicą na czterech arkuszach pożółkłego czerpanego papieru, opisujący heroiczną walkę dwóch młodych księżniczek, kijowskich panien.

Katerina, pracująca wtedy w Akademii Medycznej, otrzymała przesyłkę od dawnego przyjaciela rodziny, starego Artioma Bocan-Charczenki, który był wykładowcą na wydziale rusycystyki kijowskiego uniwersytetu, a słynął z pasji gromadzenia i opisywania podań ludowych. Miał też rozległe znajomości wśród ukraińskiej diaspory od Mukdenu do Michigan, przekazując jednak paczkę, powiedział tylko tyle, że nadeszła z Dalekiego Wschodu.

Tego samego wieczoru Katerina oświadczyła Wiktorowi, że jest to na pewno wiadomość od Lary. Nie zostawiały żadnych wątpliwości dwa zdania w tekście baśni:

Jako że obie siostry nosiły znak miłości Boga, który położył dłoń na ich ramionach, odciskając na zawsze Swoje znamię. Tym samym połączył ich serca nie dającymi się zerwać więzami.

Wiktor doskonale wiedział o istnieniu niewielkiego czerwonego znamienia na ramieniu żony,

znał też tłumaczenie o dotknięciu boskiej dłoni, które siostry wymyśliły w młodości, chcąc uzasadnić te drobne skazy na swojej skórze. Przyjrzawszy się dokładnie rysunkowi na wieku szkatułki, bez trudu zauważył drobne czerwone kropki na ramionach stylizowanych postaci księżniczek, a i rysy ich twarzy wyraźnie przypominały Katerinę. Więc i dla niego stało się jasne, że Lara jest jedyną osobą na świecie, która mogła w ten sposób upiększyć treść starej baśni, bo poza nią nie było już przy życiu nikogo, kto by wiedział o istnieniu identycznych znamion bliźniaczek.

Stary profesor wkrótce zmarł, lecz za pośrednictwem jego znajomych Katerina nawiązała korespondencję z siostrą. Z czasem baśń rozrosła się do tego stopnia, że obecnie zajmowała ponad sto stron tekstu i opisywała ze szczegółami losy bliźniaczek od chwili, kiedy przed dwudziestu laty utraciły ze sobą kontakt.

Rodzina zdecydowała wspólnie, że Anatolij powinien wstąpić na służbę do KGB, ponieważ odrzucenie propozycji wzbudziłoby niezwykle groźne podejrzenia. Niemniej ojciec i matka odetchnęli z ulgą dopiero wtedy, gdy pomyślnie przeszedł wszelkie badania, gdyż oznaczało to, że rodzinny sekret pozostał najpilniej strzeżoną tajemnicą, ukrytą w niedostępnych dla nikogo zakamarkach pamięci, jakie troskliwie wykorzystywali wszyscy obywatele Związku Radzieckiego.

Na horyzoncie nad Khargą rozbłysła kolejna olbrzymia kula ognia. Spoglądając na mroczne niebo rozjaśnione blaskiem pożogi, Klimienko przypomniał sobie ostrzeżenie, jakie padło z ust Krasina. Musiał przyznać rację przyjacielowi. Należało zachować daleko idącą ostrożność.

Rozdział 8

Prowincja Paktia, 3 września, 9.00

Promienie słońca wzbudzały jaskrawe odbłaski na ośnieżonych szczytach Gór Wschodnich, których pasmo ginęło w oddali, prowadząc ku temu niezwykle miejscu, gdzie zbiegające się masywy Karakonom, Himalajów i Hindukuszu górują nad starożytnym Szlakiem Jedwabnym. Dla Aleksandra stanowiły one jednak przede wszystkim osłonę i zapewniały kryjówkę. Nauczył się żyć w doskonałej harmonii z górami, dlatego też pośród nich założył swoją bazę na czas tego ostatniego etapu krwawej rozgrywki między Afgańczykami i okupantami – toczącej się *bolsoj igry*.

W wyborze miejsca dopomogły mu komputerowe projekcje terenu wykonane w waszyngtońskim Krajowym Biurze Rekonesansowym. Wiele czasu poświęcił na analizę satelitarnych zdjęć obszarów odległych nie więcej niż dwadzieścia pięć kilometrów od granicy, nieco na południe od Paraczinaru, okręgu pakistańskiej Północno-Zachodniej Prowincji Granicznej, wrzynającego się w terytorium Afganistanu na kształt papuziego dzioba. Szukał niedostępnej wąskiej górskiej doliny, w której baza byłaby jak najlepiej chroniona zarówno przed atakami lotniczymi z bronią konwencjonalną, jak i przed najnowszymi zdalnie sterowanymi pociskami raketowymi znajdującymi się w rosyjskim arsenale. Głównie chciał uniknąć ewentualności ataku raketowego z ziemi, z północy i zachodu. Ostatecznie program komputerowy znalazł żadaną lokalizację w głębi prawdziwego labiryntu dolin wrzynających się w pasmo Gór Wschodnich, gdzie jedynie wybuch bomby atomowej mógł zniszczyć projektowaną bazę, jak zapewnił go z uśmiechem wojskowy analityk.

Kiedy tylko przed sześcioma miesiącami Fannin ujrzał dolinę na własne oczy, musiał w duchu przyznać tamtemu rację. Nadzwyczaj strome skaliste zbocza wznosiły się tu na wysokość prawie dwóch tysięcy metrów, a jedyna droga prowadząca w głąb kraju wiła się zakosami, przez co widoczność była ograniczona najwyżej do kilkusetmetrowych odcinków. Gdy wjeżdżający w dolinę człowiek mógł wreszcie zobaczyć jego bazę, był już zdecydowanie za blisko, aby w ogóle marzyć o skutecznym ataku raketowym.

Podczas budowy wykorzystano jaskinię, którą przez wysadzanie skał powiększono do tego stopnia, że teraz mieściło się w niej dwupoziomowe centrum dowodzenia. Pierwotne wejście

pozostało jednak wąskie, osłonięte masywnym nawisem skalnym i niewidoczne przez korony gęstego sosnowego lasu rosnącego na dnie doliny. W dwóch wykutych bocznych pieczarach mieściły się magazyny, w trzeciej urządzono hotelik dla amerykańskich oficerów, na krócej czy dłużej odwiedzających Paktę. W ostatniej ustawiono wysokoprężny generator, z którego spaliny wyrzucane były naturalnym kominem wysoko ponad bazę, a wejście do niej przegrodzono ciężkimi dźwiękochłonnymi drzwiami, dzięki czemu w pozostałej przestrzeni prawie nie było słychać warkotu silnika. Wytwarzany prąd elektryczny służył nie tylko do oświetlenia pomieszczeń i napędzania pomp doprowadzających wodę i odprowadzających ścieki, lecz także do zasilania rozlicznych urządzeń, które Aleksander zgromadził w rozległej, klimatyzowanej centrali łączności urządzonej w głównej pieczarze.

Ostatnia, także wielka, grotła stanowiła salę wykładową i treningową dla oddziałów, które w miejscowym ruchu oporu szybko zyskały miano grup operacji specjalnych. Po ukończeniu budowy, za namową Twórcy, przy drodze postawiono jeszcze meczet dla mudżahedinów przyjeżdżających na szkolenie, a wkrótce obok niego wyrósł barak mieszkalny dla Afgańczyków.

Bezpieczeństwa ośrodka strzegły dwa oddziały starannie dobranych bojowników, dowodzone przez oficerów pakistańskich. Pierwszy pilnował wylotu doliny, chociaż znajdowała się ona w sercu rejonu opanowanego co najmniej przez pięćdziesiąt tysięcy mudżahedinów bazujących w okolicznych górach. Chyba tylko szturm całej radzieckiej dywizji mógł przełamać afgańskie linie obrony.

Wysoko w skalnej grani ponad bazą powstał też wykuty w skałach posterunek dla pięćdziesięciu bojowników i garstki pakistańskich oficerów. Zadaniem tego oddziału było ciągle patrolowanie szczytów gór i przestrzeni powietrznej nad doliną, jak również obsługa radiostacji dużej mocy rozlokowanych w kolejnej grocie przekształconej w prawdziwy bunkier. Właśnie dzięki tym urządzeniom, których anteny zostały starannie zamaskowane na szczycie grani, Aleksander mógł utrzymywać stałą łączność z najważniejszymi przywódcami partyzantki mudżahedinów w całym Afganistanie. W dodatku znajdował się tam również sprzęt nasłuchowy, umożliwiający pakistańskim i afgańskim radiooperatorom prowadzenie ciągłego podsłuchu głównych sieci radzieckiej łączności radiowej.

W jedyne miejsce na szczycie, gdzie mógłby wylądować helikopter, były wymierzone cztery zakamuflowane działka przeciwlotnicze kalibru 14,5 milimetra. Od zachodniej strony pasma żołnierze szturmujący grań musieliby pokonywać zbocze pojedynczo, wzdłuż skalnych półek

o szerokości nie przekraczającej metra. Była to ściana wystarczająco trudna nawet dla wytrawnego alpinisty wspinającego się w idealnych warunkach, zdobycie jej pod ostrzałem nieprzyjaciela wydawało się całkowicie niemożliwe. Jedyną w miarę przystępną drogą na szczyt wiodła po wschodniej stronie z dna doliny, ta jednak była w dzień i w nocy strzeżona przez patrole mudżahedinów.

Stworzenie tak olbrzymiej bazy stało się dla Aleksandra nie lada wyzwaniem, tym większym, że początkowo miał poważne obawy przed zagłębieniem się na terytorium Afganistanu choćby na dziesięć kilometrów. Tylko dzięki niewyczerpanemu entuzjazmowi Casey'ego udało się tego wszystkiego dokonać. Kiedy zaś budowa obiektu dobiegła końca, w czasie skromnej uroczystości Fannin nadał jej nazwę Ermitażu, na cześć wspaniałego petersburskiego Pałacu Zimowego cara Piotra Wielkiego.

Twórca zameldował się przez radio jeszcze przed południem i powiadomił lakonicznie, że razem ze swoim oddziałem przybył właśnie do Ponderosy, głównego obozowiska usytuowanego osiem kilometrów od Ermitażu.

- Jak się miewa nasz gość? – zapytał Aleksander.
- Jest cały i zdrow.
- W porządku. Będę u was najdalej za godzinę. Bez odbioru.

Zszedł do głównej sali centrum operacyjnego, gdzie czekał już na niego J. D. Sawyer. Fannin osobiście wybrał go na szefa bazy spośród grona kandydatów. Trzydziestopięcioletni były komandos miał za sobą pięć lat służby w Oddziałach Specjalnych, świetnie znał dari, jeden z dwóch głównych języków mieszkańców Afganistanu, i dysponował rozległą, nie tylko teoretyczną, wiedzą na temat warunków i metod prowadzenia wojny domowej w tym górzystym kraju. Po ośmiu latach pracy w agencji uchodził za prawdziwego eksperta od spraw środkowej Azji.

– Proponuję krótką przejażdżkę rowerową – rzekł Aleksander. – Właśnie zgłosił się Musawwir. Jest już w Ponderosie z naszym porucznikiem.

Po dwudziestu minutach jazdy musieli się zatrzymać przed posterunkiem wartowniczym w oczekiwaniu na umówiony sygnał radiowy. Kilometr dalej w kierunku wylotu doliny ich oczom ukazały się pierwsze stanowiska obrony lotniczej, wyposażone zarówno w rosyjskie

podwójne i poczwórne sprzężone działka typu ZSU-23, jak też amerykańskie kalibru 14,5 milimetra. W miarę, jak mijali kolejne posterunki doskonale zorganizowanego i wyszkolonego oddziału, z głośników krótkofalówek dolatywały takie same sygnały, oznajmiające ich przybycie.

Kiedy wspięli się na ostatni garb i znaleźli na krawędzi rozległej, porośniętej sosnami kotliny, po raz kolejny mogli podziwiać idealne usytuowanie obozowiska Twórcy. Długie, niskie baraki o ścianach oblepionych gliną były przyklejone do podnóża skalnego urwiska i zasłaniały rozciągające się za nimi jaskinie. W części z nich, dobrze wzmocnionych i odizolowanych od siebie nawzajem, urządzono składy amunicji. Między niepozornymi z wyglądu zabudowaniami ciągnęły się ubite ścieżki, dopełniające uroku tej znakomitej kryjówki, leżącej w cieniu wiecznie pokrytych śniegiem szczytów.

Dowódca ugrupowania czekał na nich przed wejściem do głównego budynku.

– Wygląda na to, Musawwir, że w Khardze nieźle dokopaliśmy Rosjanom w tyłek – rzekł Aleksander, obejmując na powitanie przyjaciela. – Moi ludzie przysyłają ci parę zdjęć satelitarnych.

Twórca wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– A jak się czuje nasza zdobycz? – zapytał Fannin.

– Kazałem go zamknąć w jednej z jaskiń. Jest w tak dobrej kondycji, że już dziś można by go użyć do wymiany jeńców.

Aleksander pokiwał głową.

– Mamy potwierdzenie z przechwyconych rozmów telefonicznych między dowództwem czterdziestej armii w Kabulu, Moskwą i sztabem w Wünsdorfie, że faktycznie zaginął syn generała Orłowa. Jak Latif się dowie, co za skarb przehandlował za parę krótkofalówek, będziemy musieli chyba zacząć sypiać z bronią pod poduszką.

– Chodźmy, zaprowadzę was do gościa.

Twórca ruszył wijącą się przez las ścieżką w kierunku pieczar, zawierających składy amunicji. Zatrzymał się przed drzwiami zamykającymi wejście do jednej z nich, przekręcił klucz w zamku i ruchem ręki nakazał więźniowi wyjść na zewnątrz. Porucznik niepewnym krokiem wyłonił się na słońce i oślepiony jego blaskiem zamrugał szybko, pragnąc rozpoznać twarze stojących przed nim mężczyzn.

Aleksander odezwał się po rosyjsku:

– Wasz ojciec pewnie myśli, że dukhisi obcięli wam już jaja i wysłali je do Wünsdorfu

w słoiczku z kawiozem. Na pewno z ulgą przyjmie wiadomość, że nic się wam nie stało, poruczniku.

– Nazywam się Michaił Siergiejewicz Orłow – odparł więzień, wyprężywszy się na baczność. – Noszę stopień porucznika w armii Związku...

– Może przestalibyście się jednak wygłupiać, poruczniku Orłow – przerwał mu Fannin. – Ta błazenada w żadnych okolicznościach nie spełnia tej funkcji, o której opowiadano wam w Akademii Frunzeńskiej. I możecie się nie troszczyć o to, czy wasz ojciec pochwali taką postawę, czy nie. W tej chwili zależy mu wyłącznie na uwolnieniu was z rąk naszych tutejszych przyjaciół i ściągnięciu z powrotem do domu. Mogę to zaaranżować, lecz jeśli nadal będziecie się zachowywali jak ołowiany żołnierz, machnę ręką i zostawię was na łasce dukhisów.

– A kim pan jest, do cholery, i jaką funkcję pełni pan w tej bandzie? – wybuchnął niczym nie zrażony Orłow.

– To dobre pytanie. Jestem zwykłym obywatelem, który postanowił na ochotnika dołączyć do tej patriotycznej walki, mającej na celu takie skopanie tyłków wszystkim sukinsynom urodzonym na północ od Amu-darii, żeby wreszcie przestali mordować miejscową ludność i na zawsze się stąd wynieśli. Wielu z was doskonale rozumie kierujące nami motywy, że wymienię choćby waszego nowego błyskotliwego sekretarza generalnego partii. Wystarczy, że dobrze wiem, kim pan jest i jak bardzo wpływowego ma pan ojca. Właśnie szantażuje wszystkich o randze niższej od generała, od Wünsdorfu do Kabulu, aby odzyskać swego ukochanego syna. Co pan na to, poruczniku?

– Jest pan Amerykaninem – oznajmił Orłow. – Słyszałem, że we wschodnim Afganistanie aż się roi od agentów CIA, nie sądziłem jednak, że tak dobrze znacie rosyjski. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem pana w wiosce, wziąłem za jednego z dukhisów.

– Coś panu powiem, poruczniku. Przez ostatnie dziesięć dni był pan traktowany jak perska księżniczka tylko dlatego, że mój potężny afgański przyjaciel i ja dowiedzieliśmy się o uwięzieniu pana i podjęliśmy wysiłki w celu odmiany pańskiego losu. Nie proszę o wdzięczność, gdyż uczyniliśmy to wyłącznie ze względów praktycznych. Osobiście, gównu mnie obchodzi, co się z panem stanie, więc proszę się nie zachowywać tak, jakby to pan tutaj dowodził. Powtarzam jeszcze raz, jeśli nie zechce pan posłusznie wykonywać wszelkich poleceń, obecny tu mój potężny przyjaciel natychmiast odda pana w ręce swoich mściwych rodaków.

Orłow zamyślił się na chwilę.

– Dokąd mnie teraz zabierzecie? – spytał łagodniejszym tonem.

– Najpierw musimy wydostać z waszych więzień garść znajomych, gdy oni odzyskają wolność, pan wróci do swoich. A do tego czasu pozostanie pan gościem Al-Musawwira, najpotężniejszego bojownika czwartej wojny afgańskiej. Ma pan tylko trzymać gębę na kłódkę i robić to, co mu każą, wówczas bezpiecznie wróci pan do swojej armii. Później zaś, jeśli dopisze mi trochę szczęścia, spotkamy się jeszcze gdzieś w górach i będę mógł pana zastrzelić. Chcę także dodać, że każda próba ucieczki z tego obozu jest pozbawiona sensu. Gdyby chodziło to panu po głowie, poruczniku Orłów, proszę od razu założyć, że pański ojciec dostanie ten słoiczek kawioru.

Po powrocie do bazy Fannin wraz z J. D. poszli do centrali łączności, gdzie rej wodził Tim Rand, trzydziestoletni specjalista CIA, nadzorujący wiele różnorodnych zadań. Aleksander z przyjemnością wkroczył do klimatyzowanego pomieszczenia, w którym wentylatory ciągle chłodziły aparaturę elektroniczną.

– Czy zestaw Alfa jest gotowy? – zapytał.

– Oczywiście. Możemy nadawać za kilka minut.

Pospiesznie napisał treść depezy, wyrwał kartkę i podał ją Randowi, który natychmiast zaczął wystukiwać tekst na klawiaturze. Zanim skończył, Fannin podał mu kartkę z drugą depezą.

Pierwsza była przeznaczona dla komórki CIA w Islamabadzie i została odebrana po kilku minutach, kiedy automatyczne urządzenia satelitarne otworzyły kanał bezpośredniej łączności z odległą o dwieście czterdzieści kilometrów bazą w górach Paktii. Niewielkie były szanse na to, że meldunek zostanie przechwycony przez rozbudowaną radziecką sieć nasłuchową wokół Kabulu, ale i tak treść depezy została zaszyfrowana.

Drugą wysłali przez system łączności opracowany przed paroma laty dla informatorów i łączników CIA, a którego zasada została przebiegle ujawniona pracownikom szesnastego wydziału KGB, zajmującego się kryptografią i dekodowaniem sygnałów radiowych. W uzupełnieniu oficer amerykańskiego wywiadu w Kabulu oddał w ręce tamtejszej sekcji KGB działający odbiornik dekodujący, pozwalając Rosjanom schwytać podstawionego afgańskiego szpiega CIA. Razem z radiostacją została dostarczona nieaktualna książka szyfrów, a wszystko zorganizowano w taki sposób, aby KGB nie nabrało żadnych podejrzeń, że Amerykanie są

w pełni świadomi owej straty. W ten sposób Aleksander mógł teraz wysłać w eter zaszyfrowaną depeszę, w gruncie rzeczy przeznaczoną dla KGB i łatwą do rozszyfrowania.

Kiedy transmisja dobiegła końca, Rand oznajmił:

- Obie poszły i obie powinny dotrzeć do adresatów.
- Zobaczymy – mruknął Fannin.

Rozdział 9

Kabul, 4 września, 17.00

Tydzień po zaginięciu patrolu rozwścieczony Polakow powiedział do Krasina: – To pieprzone KGB nic nie robi! Jeśli nie będzie żadnych konkretnych rezultatów, wyślę tego tępego ukraińskiego pułkownika do Wünsdorfu, żeby osobiście wyjaśnił generałowi Orłowowi, dlaczego nie potrafi odnaleźć jego syna!

Sasza pospiesznie przekazał wiadomość przyjacielowi, z pewnym zadowoleniem obserwując jego nerwową reakcję.

Tymczasem Klimienko zdążył się skontaktować z przywódcami różnych ugrupowań rebelianckich i dysponował aż siedemdziesięcioma dwoma meldunkami, według których tego samego jeńca widziano równocześnie w najodleglejszych zakątkach Afganistanu, od Heratu przy granicy z Iranem, gdzie jakoby znajdował się w rękach tamtejszego kacyka, Ismail Chana, po wiecznie zatłoczone targowiska pakistańskiego Peszawaru, i od Mazar-i Szarif na północy aż po Kandahar leżący w sercu południowych pustyń. Wyglądało na to, że niemal każda grupa mudżahedinów dysponuje szczegółowymi informacjami na temat Orłowa, a wszystkie, rzecz jasna, domagały się za te wiadomości sowitych wynagrodzeń. Jeden z rebelianckich przywódców chciał nawet przysłać dłoń i ucho, które miałyby potwierdzić tożsamość przetrzymywanego przezeń Rosjanina, tyle że i za tę przesyłkę domagał się wysokiej zaliczki.

Żadne z tych doniesień nie przyciągnęło uwagi, nie wzbudziło nawet najmniejszego zainteresowania Klimienki. Toteż pod koniec dziesiątego dnia zaczął się już poważnie martwić, że w każdej chwili polityka może przeważać. Polakow i cała reszta sztabowców gotowa była przestać myśleć o odnalezieniu Orłowa, a skupić się na nim jako winnym niepowodzenia. W końcu wystarczyło tylko odpowiednio nastawić przewodniczącego KGB Wiktora Czebrikowa.

Ale właśnie po południu dziesiątego dnia nastąpił przełom. Pułkownik wpatrywał się w tekst depeszy, kiedy zadzwonił telefon.

– Słucham, Klimienko – rzucił znudzonym tonem do słuchawki.

– Tola, tym razem mówię całkiem poważnie. Polakow doszedł do wniosku, że dziesięć dni to za wiele i zamierza ci się dobrać do tyłka. Powiedział przed chwilą, że będzie musiał zawiadomić tego rozlazłego, przepitego Czebrikowa, iż tak sumiennie zająłeś się sprawą zaginionego Orłowa,

że tylko ciebie należy obarczyć odpowiedzialnością za śmierć porucznika, zdegradować i oskarżyć o pedofilię. To nie przelewki, Tola. Jeżeli w ciągu paru najbliższych godzin nic się nie zmieni, będziesz mógł się pożegnać z karierą!

Spoglądając na leżące przed nim papiery, Klimienko uśmiechnął się ironicznie.

– Sasza, powiadom swojego szefa, że Anatolij Wiktorowicz przesyła mu najserdeczniejsze pozdrowienia i prosi uprzejmie, aby się od niego odpierdolić.

– Cudownie! Widzę, że postanowiłeś popełnić samobójstwo!

– Sasza! Odnalazłem Orłowa! – warknął do słuchawki, w pełni świadom tego, że Krasin natychmiast poleci, aby przekazać generałowi rewelacyjną nowinę.

– Naprawdę?!

– Tak. Muszę teraz tylko pokombinować, jak go wyrwać z rąk dukhisów.

– Faktycznie mogę zawiadomić starego, że odnalazłeś Orłowa?!

– Powiedz mu dokładnie tak: jeszcze dzisiejszego popołudnia Orłow znajdował się w rękach bandy duszmanów, którzy świetnie sobie zdają sprawę, jak cenny zdobyli łup. Jest cały i zdrow, więziony albo na południu Nangarharu, albo w Paktii. A na koniec powtórz łaskawie, żeby Polaków się ode mnie odpierdolił.

Dziesięć minut później Krasin wpadł jak bomba do jego pokoju.

– Stary dzwoni już do Wünsdorfu, żeby przekazać generałowi, iż na własną rękę udało mu się odnaleźć jego wspaniałego chłopca, bo tutejsze KGB jest bez reszty pochłonięte grzebaniem w zgłiszczach Khargi. Więc jeśli wpuściłeś mnie w maliny, to chyba obaj powinniśmy zaraz ruszać w stronę Chajberu.

– Sam popatrz. – Klimienko wręczył mu depeszę.

Był to raport o przechwyceniu meldunku, zaczynający się standardowym nagłówkiem:

ŚCIŚLE TAJNE. TYLKO DLA OSÓB UPRAWNIONYCH. ZABRANIA SIĘ KOPIOWANIA ORAZ NISZCZENIA BEZ PISEMNEJ ZGODY ADRESATA

Krótką transmisję radiową zarejestrowano parę minut po dwunastej czwartego września bieżącego roku. Nie udało się dokładnie namierzyć lokalizacji nadajnika, pomiary wskazywały, że nadawano gdzieś z pogranicza prowincji Nangarhar i Paktia. Odbiorcą meldunku był prawdopodobnie amerykański rezydent komórki CIA w Peszawarze.

Krasin pospiesznie odwrócił kartkę i uważnie przeczytał rosyjskie tłumaczenie treści depezy:

Od Alfa cztery do Alfa jeden. Meldunek pierwszy. Powtarzam meldunek pierwszy. Proszę o zebranie pełnych danych osobowych niejakiego porucznika Michaiła Siergiejewicza Orłowa urodzonego 17 lipca 1960 w Moskwie. Orłow został schwytyany dziesięć dni temu na południe od Kabulu. Jest tylko lekko ranny. Znalezione przy nim zdjęcia i inne dowody wskazują, że może być synem generała Armii Radzieckiej. W oczekiwaniu na rozkazy zamierzam codziennie zmieniać miejsce przetrzymywania jeńca. Moim zdaniem powinno się zorganizować jego wymianę na znaczną liczbę naszych więzionych braci. Czekam na rozkazy. Niech Bóg prowadzi. Koniec meldunku pierwszego. Koniec.

– I co o tym sądzisz? – Krasin spytał z zainteresowaniem, oczekując najwyraźniej zawodowej opinii oficera KGB.

– Depesza jest autentyczna, zgadza się data i okoliczności zaginięcia Orłowa, jak również ta nieszczęsna fotografia u boku ojca, którą, według naszych ustaleń, porucznik trzymał w portfelu. Zarówno pasmo łączności, jak i sposób kodowania transmisji są wykorzystywane przez CIA. A udało nam się tak szybko rozszyfrować treść przekazu, ponieważ kilka tygodni wcześniej dopisało nam szczęście i złapaliśmy w Kabulu agenta z kompletną, działającą radiostacją wyposażoną w skrambler. Nie ma więc powodów do kwestionowania autentyczności meldunku. A najważniejsze, że Orłow cały i zdrow znajduje się w bezpiecznym miejscu.

Klimienko wołał nie wspominać o swoich wątpliwościach. Jego zdaniem, wszystko układało się zbyt prosto.

Islamabad, Pakistan, 4 września

Jim Houston, szef komórki CIA przy ambasadzie amerykańskiej, po zapoznaniu się z komunikatem z Paktii, ze szczególną starannością ułożył treść odpowiedzi, która miała być wysłana jeszcze tego wieczoru z placówki w Peszawarze, z wykorzystaniem takiego samego aparatu Alfa oraz identycznej metody kodowania transmisji, jakich użył Aleksander do świadomego podsunięcia depezy nasłuchowcom z KGB.

ALFA JEDEN DO ALFA CZTERYX MELD PIERWX POWT MELD PIERWX
POTWIERDZAM ODBIOR WIADOMX PRZYJACIELE POTWIER MICHAİL
SERGIEJEWICZ ORLOW JEST SYNEM SOWIECKIEGO GENERALA DOWODCY
ZACHODNIEGO ZGRUPOWANIA WOJSKX NALEGAJA BY TRAKTOWAC GO SCISLE
WG MIEDZYNAR PRAW I KONWENCJI DOTYCZ JENCOW WOJENNYCHX
PRZYJACIELE NIE BIORA ŻADNEJ ODPOWIEDZIALNOCI ZA DALSZE LOSY
POJMANEGO ORLOWA ALE ZALECAJA BY SKONTAKTOWAC SIE Z DOWODZTWEM
SOWIECKICH WOJSK OKUPACYJNYCH I PODJAC STARANIA ZMIERZ DO WYMIANY
JENCAX ZGADZAMY SIE Z ZALECENIAMI PRZYJACIOLX SMIERC ORLOWA NIE
PRZYNIESIE ZADNYCH KORZYSCI TYLKO OSKARŻENIA O BESTIALSKIE
MORDERSTWOX WIELE MOZNA SKORZYSTAC NA PROBIE WYMIANY JENCA NA
NASZYCH WIEZIONYCH BRACIX NAJPIERW TRZEBA JEDNAK ZACZEKAC NA LISTE
WIĘZNIOW OD ALFA JEDENX PROSZE O POTWIERDZENIE ZGODY NA TE
ZALECENIAX NIECH BOG PROWADZIX KONIEC MELD PIERWX KONIECX

Houston jeszcze raz sięgnął po tekst komunikatu z Paktii, chcąc sprawdzić, czy wszystkie jego „zalecenia” są słuszne. Przyszło mu do głowy, że trochę zanadto się rozpisał, stwierdził jednak, że nadmierna skrótowość mogłaby zostać źle odebrana zarówno w Moskwie, jak i Waszyngtonie.

Rozdział 10

Kabul, 5 września, 8.00

Klimienko z uwagą przeczytał treść rosyjskiego tłumaczenia drugiej depešy przechwyconej przez sekcję nasłuchową. Wiadomość była pisana podobnym językiem do poprzedniej:

Od Alfa cztery do Alfa jeden. Meldunek drugi. Wysiałem przez kuriera zdjęcie i kopie dokumentów Orłowa sowieckiemu doradcy wojskowemu w Ali Khel. Zażądałem spotkania najwyżej z dwoma oficerami z Kabulu, z którymi można omówić warunki wymiany Orłowa na naszych bratnich przywódców więzionych przez afgański reżim. Spotkanie ma się odbyć pojutrze przy Czołgu z Żołnierzami dziewięć mil od Ali Khel. Zapewniłem Rosjan, że nie będzie absolutnie żadnych prób ataku, jeśli z Kabulu przylecą maksimum dwa nieuzbrojone helikoptery z delegacją mającą pełnomocnictwa do prowadzenia negocjacji. Zagwarantowałem oficerom całkowite bezpieczeństwo. Proszę jak najszybciej przesłać listę naszych bratnich przywódców więzionych przez kabulski reżim. Jest mi potrzebna jeszcze przed spotkaniem z Rosjanami. Zakładam, że to pierwsze spotkanie posłuży tylko ustaleniu warunków wymiany. Nie oczekuję niczego więcej. Mam nadzieję, że negocjacje nie przeciągną się zanadto, ale jestem gotów poświęcić wszystko dla uwolnienia braci przetrzymywanych w więzieniach. Czekam na odpowiedź. Niech Bóg prowadzi. Koniec meldunku drugiego. Koniec.

Wszystko zgadzało się dokładnie z treścią radiogramu, który cztery godziny później nadszedł z Ali Khel:

Od majora Andrieja Bielowa, dowództwo czterdziestej armii w Kabulu, Wydział Pierwszy w Ali Khel.

Towarzyszu pułkowniku!

Od nie zidentyfikowanego przywódcy rebeliantów dostaliśmy list pisany nienagannym rosyjskim, w którym wyjaśnia, że porucznik M. S. Orłow (prawdopodobnie ten sam, którego dotyczy poufne pismo obiegowe dowództwa czterdziestej armii w Kabulu, sygn. 0456/86) żyje i jest bezpieczny w rękach bliżej nie znanych bandytów. Autor listu domaga się spotkania

przywódcy (jak zakładam) teje bandy przetrzymującej Orłowa z najwyżej dwoma radzieckimi oficerami z dowództwa czterdziestej armii w Kabulu, mającymi pełnomocnictwa do negocjacji na temat wymiany Orłowa na nie sprecyzowanych duszmańskich przywódców więzionych przez władze Demokratycznej Republiki Afganistanu. Spotkanie ma się odbyć pojutrze w miejscu oddalonym o czternaście i pół kilometra (dziewięć mil) od naszych koszar. Rebeliancki przywódca gwarantuje, że nie zostaną ostrzelane dwa śmigłowce ze zdemontowanymi gondolami uzbrojenia, które na negocjacje przylecą z Kabulu do Ali Khel.

Do listu dołączone było zdjęcie przedstawiające porucznika Orłowa w ubraniu afgańskich wieśniaków oraz kopia zapewne autentycznej radzieckiej książeczki wojskowej. Znam osobiście Orłowa i mogę zaświadczyć, że zdjęcie i dokumenty faktycznie przedstawiają porucznika Michaiła Orłowa ze sto piątej Gwardyjskiej Dywizji Desantowej.

Prześlę do waszego biura tenże list wraz ze zdjęciami śmigłowcem zaopatrzeniowym, który powinien wylądować w Kabulu godzinę po zachodzie słońca. Uzyskałem sposobność szybkiego przekazania odpowiedzi autorowi listu za pośrednictwem tego samego kuriera. Czekam na wasze dalsze instrukcje.

Z poważaniem

Major Andriej Bielow

Klimienko bezzwłocznie wysłał majorowi odpowiedź, w której prosił o poczynienie wszelkich niezbędnych przygotowań na przyjęcie za dwa dni, godzinę po wschodzie słońca, dwóch śmigłowców ze zdemontowanymi gondolami uzbrojenia i dwóch oficerów uprawnionych do prowadzenia negocjacji, jak też przekazanie autorowi listu zgody na wyznaczony termin spotkania. Rozkazał też Bielowowi, aby zapewnił negocjatorom transport i odpowiednią obstawę na podróż z Ali Khel do miejsca, znanego jako Czołg z Żołnierzami. Podpisał jednak depezę nazwiskiem Krasina, bo rozkazy dotyczyły działań taktycznych, a on nie miał do tego żadnych uprawnień.

Dopiero później zadzwonił do przyjaciela.

– Sasza, bądź uprzejmy ruszyć swe ociężałe dupsko i zajrzeć do mnie. Dziesięć minut później Krasin z hukiem wpadł do jego pokoju i warknął od progu:

– Zaczynasz się zachowywać zupełnie jak ten kretyn, którego zachcianki muszę codziennie spełniać!

– Siadaj, Sasza, i w spokoju przeczytaj ostatnie depesze dotyczące Orłowa.

Tamten z uwagą zapoznał się z radiogramem od Bielowa, a następnie z tekstem przechwyconego meldunku radiowego, przy czym przebiegł nawet wzrokiem tekst angielskiego oryginału. Odłożył papiery i mruknął:

– Znam tego majora z Ali Khel, poznaliśmy się kiedyś, przed laty, na przyjęciu świątecznym w dowództwie sto piątej. To już jego trzeci przydział w Afganistanie. Powiedział mi wtedy, jeśli dobrze pamiętam, że dogłębnie nienawidzi tutejszych pastuchów i tych cholernych gór, ale pewnie by zwariował, gdyby musiał na dłużej wrócić do domu. Jego żona odeszła z jakimś kremłowskim gryzpiórkiem, nie zostało mu nic innego, jak wracać na wojnę. Wielu chłopaków jest w podobnej sytuacji. Bielów zrobił na mnie wrażenie porządnego faceta.

– Można na nim polegać? Rzetelnie zorganizuje nam to spotkanie z dukhisami?

– Nam? Co chcesz przez to powiedzieć? – zdziwił się Sasza.

– Pojutrze wybierzesz się ze mną do Ali Khel na rozmowy z dukhisami. Ty zorganizujesz dwa MI – 8 bez gondoli uzbrojenia i zatroszczysz się, by twój stuknięty dowódca nie zechciał nam podesłać któregoś ze swoich narwanych pułkowników, żeby później móc sobie przypisać zasługi.

– Nie musisz się martwić o Polakowa. Ani on, ani nikt inny ze sztabu armii, nie będzie chciał nadstawiać głowy w tej sprawie, przynajmniej na tym etapie. Dopóki istnieje realna groźba, że dukhisi obetną porucznikowi jaja przed oddaniem go w nasze ręce, odpowiedzialność za całą operację będzie spoczywała wyłącznie na KGB. Lecz jeśli przywieziesz chłopaka do Kabulu, całego i zdrowego, możesz się liczyć z tym, że generał odeśle cię ze sztabu pierwszym helikopterem.

– Doskonale, jesteśmy więc umówieni. Załatw na pojutrze te dwa śmigłowce i przygotuj start do Ali Khel na godzinę po wschodzie słońca.

Sasza przez chwilę wpatrywał się przyjacielowi w oczy, po czym odparł:

– W porządku, załatwię. I wtajemniczę w szczegóły Polakowa, żebyś nie musiał go wkurzać swoim widokiem. Wyjaśnię, że mój osobisty udział w negocjacjach zostawi mu otwartą furtkę w razie, gdyby sprawy źle się ułożyły, a jednocześnie umożliwi wyłączenie ciebie z operacji, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Ręczę, że to mu się spodoba.

Wieczorem Klimienko otrzymał przysланą helikopterem zapieczętowaną kopertę od Bielowa, zawierającą dwie fotografie oraz list od rebelianckiego przywódcy. Na zdjęciu porucznik

rzeczywiście był ubrany w afgański chałat, lecz nawet dziesięciodniowy pobyt w niewoli tylko w nieznacznym stopniu wpłynął na jego hardą minę.

Pułkownik uważnie przeczytał list, a następnie porównał go z tym, który znaleziono w skrzynce amunicyjnej po ataku raketowym na Khargę. Oba zostały napisane na identycznym papierze, nie noszącym jednak żadnych charakterystycznych oznakowań. Nie spodziewał się ich zresztą, CIA zawsze dbało o najdrobniejsze szczegóły. Także oba listy napisano na amerykańskiej elektrycznej maszynie z cyrylicą czcionką, co dało się bez trudu rozpoznać. Żadna rosyjska maszyna do pisania nie drukowała tak równiutkich liter.

Jego zainteresowanie wzbudził jednak styl obu tekstów. Był nienaganny, literacki, choć może nieco archaiczny. Klimienko natychmiast się domyślił, że pisała je ta sama osoba, ale przecucie mu podpowiadało, iż powinien to odkrycie zachować dla siebie.

Ponownie sięgnął po słuchawkę telefonu i starannie nakręcił numer, chcąc uniknąć pomyłki zawodnej centrali automatycznej.

– Słucham, Szadrin.

– Majorze, chciałbym, aby gotowa lista przetrzymywanych w więzieniach duszmanów znalazła się na moim biurku jutro o dziewiątej rano. Pojutrze wylatuję w teren na rozmowy dotyczące tych więźniów. Czy mogę zatem liczyć, że jutro otrzymam w miarę aktualny i kompletny spis?

– Lista jest gotowa, zrobiłem co było w mojej mocy, towarzyszu pułkowniku. Na jutro obiecano mi jeszcze kilka nazwisk ostatnio schwytyanych rebeliantów. Teraz na liście jest ponad czterdzieści nazwisk. Prześlę je jutro rano.

Zaraz po odłożeniu słuchawki major Szadrin uniósł ją ponownie i z namaszczeniem wybrał numer, który przed laty głęboko wbił sobie w pamięć. Po drugim sygnale rozległ się lekko zachrypnięty głos:

– Nikitienko.

– Mówi porucznik Dimitrow z kancelarii. Wybaczcie, że dzwonię o tak późnej porze, towarzyszu pułkowniku, ale prosiliście, by was niezwłocznie powiadomić, gdy nadejdą z Taszkientu wyniki analizy krwi. Dostałem je właśnie i spieszę powiadomić, że są dobre. To już trzecie pocieszające wyniki w ciągu ostatnich trzech miesięcy, wygląda więc na to, że możecie się nie martwić o nawrót zapalenia woreczka żółciowego, towarzyszu pułkowniku, przynajmniej

na razie. Nie należy jednak zaniedbywać następnych badań okresowych.

– Dziękuję, poruczniku. Dobre wieści są zawsze mile widziane, niezależnie od pory dnia. Czy moglibyście mi przysłać te wyniki jutro, powiedzmy... o jedenastej przed południem?

– Tak, oczywiście, towarzyszu pułkowniku. O jedenastej będą już na was czekały.

Po odłożeniu słuchawki Szadrin pospiesznie wyjął małe notes i sprawdził, że zwrot „niezależnie od pory dnia” oznacza „minus dwanaście”. Zatem Nikitienko chciał się z nim spotkać dwanaście godzin przed terminem wymienionym w rozmowie, a więc w przybliżeniu za półtorej godziny, w wyznaczonym wcześniej ustronnym miejscu.

Poczuł nagły przypływ dumy. Niekiedy bardzo mu się podobała ta prymitywna szpiegowska konspiracja, a zwłaszcza teraz, kiedy chodziło o zdemaskowanie tego nadętego, aroganckiego Klimienki. Nikitienko musiał mu wreszcie uwierzyć, że pułkownik jest groźnym wywrotowcem. Ostatecznie i do niego musiały wcześniej dotrzeć plotki krążące po całym sztabie czterdziestej armii – plotki, które Szadrin umiejętnie rozsiewał – że sformułowanie „Mój drogi pułkowniku” w liście znalezionym na miejscu odpalenia rakiet na koszary w Khardze, było rzeczywiście skierowane bezpośrednio do adresata.

Tymczasem w sztabie Nikitienko przez chwilę zastanawiał się nad znaczeniem sekretnej wiadomości przekazanej telefonicznie przez Szadrina. Mam nadzieję, że ten idiota ma tym razem coś więcej niż tylko spisane w notesie młodego czekisty nieostrożne stwierdzenia Klimienki, pomyślał. Może w końcu Szadrin znalazł sposób na zrewanżowanie się dowódcy, który na lewo i prawo wyśmiewał jego tchórzostwo. Nie liczyło się to, że Klimienko miał rację i Szadrin rzeczywiście był ostatnim tchórzem, Nikitienko bowiem sądził, że zdoła dla siebie wyciągnąć jakieś korzyści z tej niepokromionej chęci odwetu majora.

Ponderosa, 5 września, 8.30

Aleksander z samego rana wybrał się na rowerową przejażdżkę do obozu Twórcy i poszedł bezpośrednio do bunkra amunicyjnego, gdzie trzymano jeńca.

Orłow spacerował na świeżym powietrzu i zauważył Fannina, kiedy ten tylko wyłonił się zza zakrętu ścieżki biegnącej przez las, udał jednak, że go nie widzi, i dalej stał z przymrużonymi oczyma. Otworzył je szeroko dopiero wtedy, gdy cień tamtego przesłonił mu słońce. Skrzywił

się, chcąc dać do zrozumienia, że nie ma ochoty na żadne rozmowy.

– Nie musi pan stawać przede mną na baczość – odezwał się Aleksander.

– Staję na baczość tylko przed prawdziwymi oficerami prawdziwych armii, a nie takimi wolontariuszami jak pan – odparł, uśmiechając się ironicznie.

– Śmiesznie brzmią w pańskich ustach uwagi na temat prawdziwych armii, poruczniku. Ci ludzie uprawiają o wiele solidniejszą wojaczkę niż pańska armia od chwili zdradzieckiej napaści na ich ojczyznę.

Orłowa po raz kolejny uderzyła nienaganna wymowa tajemniczego mężczyzny. Teraz jednak zrozumiał, że to, co dotychczas brał za archaiczny, sztucznie napuszony styl, w rzeczywistości jest piękną literacką ruszczyzną, pozbawioną jedynie socjalistycznego żargonu, po którym łatwo było rozpoznać rodowitego Rosjanina.

– Na pewno nie przybył pan tu po to, by rozmawiać o żalnym stanie mojej armii czy zdeprawowaniu naszego społeczeństwa, ani też tłumaczyć, o ile lepiej żyłoby mi się w Kalifornii, gdzie CIA umieszcza ostatnio wszystkich zdrajców i uciekinierów ze Związku Radzieckiego – odrzekł, starając się przybrać tak samo dystygowany i mentorski ton.

– Nie, poruczniku. Wcale nie zamierzam mówić o waszej armii, zakłamaniu ustroju socjalistycznego czy skorumpowaniu elit władzy. Sądząc po pańskim wyglądzie i stopniu wykształcenia, pan sam ma wystarczająco dużo wątpliwości, podobnie jak wielu pańskich ziomków. Zatem moja pomoc wydaje się całkowicie zbyteczna. I wcale nie zamierzam też namawiać pana do osiedlenia się w Kalifornii czy też jakimkolwiek innym miejscu na świecie, pośród rosnącej stale liczby, jak ich pan określił, zdrajców, gdyż w najmniejszej mierze pan na to nie zasługuje.

– Naprawdę nie zostanę zaszczycony standardowym zaproszeniem werbowników CIA, przed którymi nas tyle razy ostrzegano? Wie pan, o czym mówię, o propozycji darmowego przelotu do Hollywood, bezpłatnego przekazania nowej półciężarówki chevroleta, rzucenia w moje ramiona blondynki z długimi, zgrabnymi nogami i wielkimi cyckami, bylebym tylko zgodził się wystąpić w telewizji i powiedzieć przed kamerami: „Pieprzę komunizm”. Wszyscy moi przyjaciele z Kabulu będą naprawdę rozczarowani, kiedy im powiem, że miałem kontakt z agentem CIA, który nawet nie próbował mnie zwerbować i nie złożył ani jednej propozycji z bogatego repertuaru dekadencjonalnych, kapitalistycznych przynęt.

– Nie potrzeba nam już więcej przefarbowanych towarzyszy.

– Więc co mnie czeka? Kiedy będę mógł wrócić do koszar?

– Już nad tym pracuję. Na razie powiadomiłem pańskich przełożonych, że jest pan bezpieczny i znajduje się w rękach, nazwijmy to, ludzi odpowiedzialnych. Wkrótce mam się spotkać z ich wysłannikami. Z pewnością nie odzyska pan wolności tak szybko, jak by pan sobie tego życzył, ponieważ chcę zażądać od rosyjskiego dowództwa uwolnienia znacznej liczby osób więzionych w Kabulu. Powinien pan też wiedzieć, że nie zawsze powrót rosyjskich jeńców do macierzystych jednostek był tak łatwy, jak obecnie – zakończył nieco ciszej Aleksander, jakby chciał dać do zrozumienia, że chodzi o sprawę delikatnej natury.

– A co pan może wiedzieć na ten temat? – zapytał Orłow.

– Ojciec mi wiele opowiadał, między innymi o losach rosyjskich żołnierzy uwalnianych z obozów jenieckich w czasie drugiej wojny światowej.

– I domyślam się, że zechce mnie pan teraz zapoznać z tymi sekretami.

– Owszem, ponieważ pragnę, aby wiedział pan, co spotkało mojego ojca i wielu podobnych jemu oficerów. – Fannin usiadł na ławeczce zbitej z surowych desek i wskazał miejsce obok siebie porucznikowi.

– Ojciec był porucznikiem Armii Czerwonej i miał dwadzieścia sześć lat, a więc był prawie w pańskim wieku, gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku dostał się do hitlerowskiej niewoli. Ponad trzy lata spędził w obozach pracy, najpierw w okupowanej Polsce, potem w Niemczech. Na początku czterdziestego piątego roku został uwolniony przez wojska amerykańskie, zaraz po przekroczeniu przez nie Renu, i podobnie jak wielu kolegów podjął walkę u boku Amerykanów posuwających się na Berlin. W kwietniu został ciężko ranny pod Dreznem. Później się okazało, że rany ocaliły mu życie. Po kapitulacji hitlerowskich Niemiec ojciec, wraz z wieloma innymi radzieckimi jeńcami, został przekazany w ręce władz rosyjskich. Trudno mi powiedzieć, co Stalin uważał za większe zagrożenie, czy to, że zostali uwięzieni przez Niemców, czy może fakt, że z obozów pracy uwolniły ich oddziały alianckie, w każdym razie spotkał ich tragiczny los: albo kulka w łeb, albo zesłanie do gułagu. A ponieważ ojciec był ranny, zyskał możliwość wyboru, mógł wracać i ryzykować oddanie się w ręce Armii Czerwonej, co nie stwarzało prawie żadnych perspektyw na przyszłość, mógł też pozostać na terenie Niemiec i ostatecznie wyemigrować z zaprzyjaźnionymi ludźmi do Ameryki. Ojciec wybrał to drugie, mimo że musiał spędzić jeszcze prawie dwa lata w obozie przejściowym dla uchodźców. Za to spotkał tam swoją przyszłą żonę, młodą Ukrainkę, która także sporo wycierpiała. Urodziłem się

właśnie w tym obozie przejściowym, jednym z bezimiennych skupisk dla rozmaitych wygnańców, jakich dziesiątki powstały w budowanej według wizji Marshalla Europie.

Dopiero gdy miałem parę miesięcy, rodzice otrzymali wizy i mogli wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

Orłow wysłuchał tej opowieści w skupieniu. Nie wątpił w jej autentyczność.

– To już odległa historia – mruknął w końcu.

– Owszem – odparł Fannin w zamyśleniu. – Na pewno dla kogoś z pańskim pochodzeniem.

Nie zmienia to jednak faktu, że istnieje ta czarna karta dziejów Armii Czerwonej, przejmująca dreszczem grozy, o której nie uczą w Akademii Frunzeńskiej i o której zapewne pański ojciec nigdy nie wspominał. Czy słyszał pan kiedykolwiek, ilu oficerów zostało wymordowanych w okresie od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego do trzydziestego dziewiątego?

– Wiem, że osądzono grupę oficerów należących do spisku, którzy planowali obalenie legalnych władz państwowych... – Orłow urwał nagle, jakby się zorientował, że cytuje sformułowania z podręcznika historii.

– Grupę? Ponad czterdzieści tysięcy czerwonoarmijskich oficerów zabito strzałem w tył głowy!

– To niemożliwe! Nigdy nie słyszałem podobnej liczby! Nikt nigdy o tym nie wspominał, ani wykładowcy w akademii, ani mój ojciec...

– Okrutna prawda i tak w końcu wyjdzie na jaw, Michaile Siergiejewiczu. Nie da się już dłużej trzymać wszystkiego w tajemnicy. – Aleksander wstał, wyjął z torby egzemplarz wydanego po rosyjsku *Archipelagu Gulag* Sołżenicyna i wręczając go porucznikowi, dodał: – To nie jest lektura obowiązkowa, więc proszę nie traktować tego jako próby zwerbowania pana do współpracy z obcym wywiadem. Mam jednak nadzieję, że ta powieść pozwoli panu zyskać nowe spojrzenie na sprawy, o których przed chwilą mówiliśmy, Michaile Siergiejewiczu.

Kiedy Fannin wrócił do bazy, Rand przekazał mu dwie depesze. Pierwsza, wysłana przez Houstona z Islamabadu szyfrowanym kanałem łączności CIA, zawierała listę przywódców mudżahedinów prawdopodobnie nadal więzionych przez reżim kabulski, których warto wymienić z Rosjanami za Orłowa. Figurowało na niej czterdzieści siedem nazwisk bojowników z siedmiu najważniejszych ugrupowań z Peszawaru. Houston zaznaczył, że znanym Rosjanom kanałem Alfa wysyła inny spis, obejmujący ponad dziewięćdziesiąt nazwisk, mimo że według niesprawdzonych informacji około pięćdziesięciu osób z tej listy zostało już straconych.

W negocjacjach trzeba się było oczywiście posłużyć tym obszerniejszym materiałem.

Kabul, 6 września, 15.30

Klimienko z uwagą zapoznał się z treścią depeszy od Alfa Jeden, zapewne rezydenta CIA w Peszawarze, do Alfa Cztery, tajemniczego agenta z Paktii, z którym nazajutrz miał się prawdopodobnie spotkać. Do meldunku dołączona była lista dziewięćdziesięciu czterech „bratnich przywódców” przekazywana agentowi AlfaCztery w najściślejszej tajemnicy. Pułkownik szybko porównał ją z własną listą duszmańskich rebeliantów przetrzymywanych w Pul-i-czarki oraz innych afgańskich więzieniach. Na niej figurowały jedynie trzydzieści trzy nazwiska. Nie podejrzewał, aby wstępne negocjacje mogły się w ogóle rozpocząć przy tak istotnych rozbieżnościach, a skoro Alfa Jeden przedwcześnie ujawniał wysokość swoich kart przetargowych, mogło to oznaczać tylko jedno: CIA celowo pozwoliło im uzyskać dostęp do swego szyfrowanego kanału łączności. Nie potrafił jeszcze odgadnąć, po co zdradzano im przed czasem tę obszerną listę nazwisk, miał jednak nadzieję, że wyjdzie to na jaw po rozpoczęciu rozmów. Na razie mógł się jedynie cieszyć, że przed nikim nie zdradził się ze swymi podejrzeniami, iż oddanie im w ręce działającego radioodbiornika ze skramblerem było rezultatem celowych działań Amerykanów.

Rozdział 11

Ali Khel, 7 września, 5.45

Major Andriej Bielow tuż po wschodzie słońca wyszedł z teleskopową lunetą na lądowisko helikopterów i zaczął uważnie obserwować linię horyzontu wokół koszar. Nie dostrzegł jednak niczego podejrzanego. Na pobielalej od słońca nagiej ziemi w rozległej kotlinie nikt nie zdołałby się ukryć. Nieliczne drzewa wycięto przed laty, w zasięgu wzroku stało zaledwie parę kęp karłowatych sosen, jakimś cudem ocalałych z wojennej pożogi.

Obracał się powoli i po kilku minutach w obiektywie lunety ukazały mu się zabudowania bazy. W ubiegłym wieku była to forteca strzegąca pobliskich szlaków handlowych i nadzorująca ruchy wiecznie zwaśnionych koczowniczych plemion, lecz od tamtych czasów niewiele się tu zmieniło. Główny budynek, mieszczący centrum łączności i kwaterę dowodzenia, stał w płytkim zagłębieniu, był więc osłonięty przed bezpośrednim ostrzałem, jaki dukhisi mogli przypuścić z okolicznych wzniesień. Niestety, reszta beznadziejnie prymitywnego fortu znajdowała się na płaskim szczycie wzgórza, a Bielow nie mógł uczynić niczego w celu poprawy bezpieczeństwa placówki. W jego oczach całe koszary doskonale symbolizowały bezskuteczność wszelkich poczynań, które od czterech i pół roku były także jego udziałem w ramach wypełniania „internacjonalistycznego obowiązku socjalistycznego”. Jedno wielkie bagno, pomyślał z goryczą. Smętne rozważania przerwał mu niespodziewany trzask zawieszanej u pasa krótkofalówki.

– Wołga, tu Aurora Jeden. Słyszycie mnie? Odbiór.

– Aurora Jeden, tu Wołga. Słyszę was głośno i wyraźnie. Kiedy mamy was oczekiwać?

– Wołga, dotrzemy do was za jakieś dwanaście minut. Nadlecimy z północnego wschodu.

Jak mnie zrozumieliście? Odbiór.

– Zrozumiałem, Aurora Jeden. Lądowisko przygotowane na wasze przybycie. Zapalę zieloną świecę dymną, gdy usłyszę wasz wirnik. Odbiór.

– Zrozumiałem, Wołga. Zielony dym. Aurora Jeden, bez odbioru.

Ermitaż, 7 września, 4.45

Twórca i Aleksander jechali powoli wąską doliną wzdłuż strumienia toczącego żółtawe,

zamulone wody. Jego poziom w ciągu dnia miał się wyraźnie podnieść, gdyż ostre słońce powodowało intensywne topnienie wysokogórskich czap śniegowych, ale o tej porze roku nie istniało już zagrożenie, że strumień wystąpi z koryta i zaleje drogę.

Inżynier Musa i dziesięciu mudżahedinów już poprzedniego wieczora wyruszyło na miejsce spotkania. Fannin rozkazał Inżynierowi, by rozpostarli na ziemi kilka afgańskich dywanów i rozciągnęli nad nimi zapewniającą cień płachtę. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami to oni bowiem mieli zjawić się pierwsi przy Czołgu z Żołnierzami i przygotować teren do negocjacji.

Czołg z Żołnierzami, Paktia, 7 września, 5.50

Jeszcze zanim słońce ukazało się nad górami, miejsce do rozmów było już gotowe. W cieniu małej grupy sosen stanął letni namiot koczowników z cienkiej, bogato zdobionej tkaniny, a pod nim, na wielkim dywanie, stół i składane krzesła. W zimnej wodzie pobliskiego strumienia chłodziły się butelki wody mineralnej i napojów gazowanych. Nieopodal na kłodzie zwałonego drzewa stał olbrzymi mosiężny samowar, płonące węgle podgrzewały już wodę na mocną czarną herbatę. Mogło się wydawać, że jakimś cudem odżyła tu sceneria sprzed stu lat, kiedy afgańskie doliny przemierzały inne obce armie, uwikłane w wojnę obfitującą w większą liczbę pertraktacji niż rzeczywistych starć zbrojnych.

Dwieście metrów dalej stał unieruchomiony radziecki czołg typu T-64, z widocznym wciąż na boku wieży białym numerem 232. Wszystkie łatwe do demontażu części, a więc gaśnice, koła, błotniki czy skrzynki, już dawno temu rozszabrowano, pozostał jedynie sam korpus z wieżą i armatą. Liczne ślady na panczeru świadczyły, iż czołg zniszczony wybuchem miny służył młodym afgańskim partyzantom za tarczę strzelniczą. Z obu jego włazów wychylały się przytwierdzone drutem, prymitywne, słomiane kukły w sowieckich panterkach i furażerkach, z twarzami namalowanymi czarną farbą na kawałkach białego płótna. Pierwotnie sporządzone przez mudżahedinów na użytek zagranicznych fotoreporterów, szybko stały się powszechnie znanym symbolem, a Czołg z Żołnierzami został uznany za swoisty znak topograficzny.

Kilka minut przed szóstą obok kępy sosen zatrzymał się landcruiser, z którego wysiedli Twórca i Aleksander.

– Zaraz się przekonamy, czy jest jakieś towarzystwo w najbliższej okolicy – mruknął Fannin, sięgając po fuzzbuster.

Zaledwie go jednak włączył, natychmiast rytmicznie zamrugała czerwona lampka ostrzegawcza.

– Goście powinni do nas dołączyć mniej więcej za godzinę – odrzekł z szerokim uśmiechem Afgańczyk.

Ali Khel, 7 września, 6.00

Pierwszy śmigłowiec Mi – 8 usiadł na wzgórzu niemal punktualnie o szóstej rano. Wysiedli z niego trzech oficerowie i czterej szeregowcy, którzy instynktownie pochylając głowy, ruszyli szybkim krokiem w stronę czekającego na nich majora Bielowa. Ten wyprężył się na baczność.

– Witamy w Ali Khel, towarzyszu pułkowniku – powitał Klimienkę. Anatolij obrzucił krytycznym spojrzeniem stary fort i rzekł ironicznie:

– To chyba najbardziej tajemnicze miejsce w całym Afganistanie, majorze. Wreszcie rozumiem, dlaczego objeśliście dowództwo tego garnizonu na ochotnika.

Na widok Krasina Bielów uśmiechnął się szeroko i klepnął przyjaciela po plecach.

– Słyszałem, że wróciłeś, sądziłem jednak, iż za żadne skarby nie zrezygnujesz z szaczonej funkcji głównego obrońcy naszego sztabu. Bardzo się cieszę, że cię widzę, Sasza.

– Kopę lat, Andriej. A ja słyszałem, że na dobre zapuściłeś tu korzenie. Bielów poprowadził gości do łazika. Pospiesznie rozpostarł na jego masce topograficzną mapę i zaczął objaśniać:

– Za kilka minut wyruszymy w górę tego strumienia. Musimy pokonać prawie piętnaście kilometrów do miejsca, znanego jako Czołg z Żołnierzami. Cztery wysłane przeze mnie patrole meldują, że w okolicy panuje spokój. Mój zastępca powinien już być...

Przerwał mu trzask krótkofalówki.

– Wołga! Tu Wołga Jeden! Słyszycie mnie? Odbiór!

– Słyszę, Wołga Jeden! Melduj o sytuacji! Odbiór!

– Delegacja duszmanów przybyła na miejsce spotkania jakieś pięć minut temu. Warunki bezpieczeństwa nie uległy zmianie. Powinniście już wyjeżdżać, jeśli rozmowy mają się zacząć o siódmej. Jak mnie zrozumieliście? Odbiór!

– Zrozumiałem, Wołga Jeden. Bez odbioru. – Zwróciwszy się ponownie do Klimienki, Bielów kontynuował: – Będzie nam towarzyszył kapitan armii afgańskiej z czterema żołnierzami, zostawimy jednak obstawę trzy kilometry od miejsca spotkania i dalej pojedziemy sami. U celu

powinien do nas dołączyć porucznik Panów ze swoim patrolem. W każdej delegacji może brać udział tylko dwóch oficerów i dwóch uzbrojonych szeregowców do ochrony. Z naszej strony sprawa przedstawia się prosto, niewykluczone jednak, że może rozpętać się piekło. To by oznaczało, że już teraz możemy pożegnać się z życiem.

– Jak zwykle tryskasz optymizmem, Bielów – odezwał się Sasza. – To chyba w pełni wyjaśnia twoją błyskotliwą karierę i uzyskanie zaszczytnego tytułu najstarszego majora Armii Radzieckiej.

– Powinniśmy ruszać – przerwał mu Bielów. – Ale chciałbym was jeszcze ostrzec. Dopóki będziecie przebywali w Ali Khel, pod żadnym pozorem nie oddalajcie się od koszar. Kazałem zaminować wszystkie podejścia do starego fortu. Są tylko dwie bezpieczne ścieżki na dół, ale nikt poza mną nie zna ich dokładnie. Nawet nasi afgańscy przyjaciele nie wiedzą, którędy można bez przeszkód zejść w dolinę. Pewnie nawet nie starczyłoby im amunicji do karabinów maszynowych, gdyby chcieli pociskami oczyścić sobie drogę przez pole minowe. Z uporem powtarzam tę przestrożę wszystkim moim gościom, ponieważ jakiś miesiąc temu pewien nadęty dupek ze sztabu, bezmózgi major, postanowił wziąć sobie coś na pamiątkę z wraku helikoptera leżącego na zboczu. No i tak się władował, że najpierw stracił obie nogi, a później wczołgał się na drugą minę i musieliśmy odsyłać zwłoki w trzech oddzielnych workach.

– Słyszałem o tym – wtrącił Krasin. – Podobno łapiduchy w Kabulu próbowały go poskładać do trumny, tylko zabrakło im najważniejszego, kutasa. I ten gruby babsztyl zarządzający kostnicą przy lotnisku narobił takiego rabanu, że przysłali tu kogoś z misją odnalezienia brakujących kawałków.

Czołg z Żołnierzami

Aleksander i Twórca siedzieli w cieniu namiotu, gdy ich uszu doleciał stłumiony warkot rosyjskiego łażika, pracującego na wysokich obrotach. Kilka sekund później samochód pojawił się w zasięgu wzroku sto metrów poniżej i stanął tam na chwilę. Sowiecki oficer kazał wysiąść pięciu żołnierzom w afgańskich mundurach i zająć stanowiska po obu stronach drogi. Wkrótce łażik wykręcił i zatrzymał się piętnaście metrów od namiotu. Wysiadło z niego dwóch Rosjan, zgodnie z ustaleniami nie uzbrojonych, ale jeden wziął z tylnego siedzenia i zarzucił sobie na ramię wojskowy plecak. Dwóch innych pozostało w samochodzie.

Mierząc uważnym spojrzeniem Twórcę, Klimienko pomyślał, że to chyba najpotężniej zbudowany Afgańczyk, jakiego do tej pory widział. Drugi dukhis, stojący za nim, sprawiał wrażenie trochę starszego, ale z pewnością nie miał jeszcze czterdziestki. Obaj uśmiechali się łagodnie i niewymuszenie, toteż w pierwszej chwili nie potrafił ocenić, który z nich może być jego rodakiem.

– Nazywam się Iwan Wasilijewicz Bielenko, jestem pułkownikiem i zostałem upoważniony przez naczelnego dowódcę Radzieckich Wojsk Interwencyjnych w Afganistanie do prowadzenia negocjacji w sprawie porucznika Michaiła Siergiejewicza Orłowa – odezwał się w języku dari, naprędce wymyśliwszy dla siebie fałszywe nazwisko. Nie przedstawił Saszy, tylko wyjaśnił: – Mój towarzysz nie zna waszego języka, zna jednak angielski, podobnie jak ja. Proszę zatem wybrać język, w którym będziemy rozmawiali.

– Dla wygody pańskiego kolegi, majora, możemy mówić po angielsku – odparł Twórca. – Zechcą panowie usiąść.

– Czy możemy darować sobie zbędne formalności i przejść od razu do sedna sprawy? – zapytał Klimienko, płynnie przechodząc na angielski. Nie czekając na odpowiedź, ciągnął: – Zakładam, że zostali panowie upoważnieni do podjęcia decyzji w kwestii wymiany jeńców. Otrzymałem rozkaz, aby w miarę możliwości jak najdokładniej przedstawić wam stanowisko mojego przełożonego, zastępcy naczelnego dowódcy Radzieckich Wojsk Interwencyjnych w Afganistanie, generała Borysa Polakowa. A jest ono następujące: Żądamy natychmiastowego uwolnienia porucznika Michaiła Siergiejewicza Orłowa, którego bezprawnie wzięliście do niewoli dwudziestego piątego sierpnia, kiedy to wasze bandyckie ugrupowanie zamordowało trzech towarzyszy porucznika Orłowa na drodze do Gardezu, na południe od Kabulu. Nie macie prawa oczekiwać jakichkolwiek ustępstw w zamian za uwolnienie przetrzymywanego jeńca, muszę was jednak przestrzec przed możliwymi konsekwencjami, jeśli nie zgodzicie się wypuścić porucznika Orłowa.

– Zgadzam się na pominięcie zbędnych formalności, pułkowniku – odparł bez wahania Twórca – traktuję jednak to wstępne oświadczenie jak czczą pogrózkę. Gdybym miał ją potraktować poważnie, musiałbym teraz kazać panu zabierać się z powrotem do Kabulu i przekazać generałowi Borysowi Polakowowi, żeby się wypchał podobnymi stwierdzeniami. Wierzę jednak, że nie będzie to konieczne. A skoro wszyscy świetnie zdajemy sobie sprawę z celu naszego spotkania, proponuję niezwłocznie przejść do sedna sprawy.

Klimienko przytoczył oświadczenie generała wyłącznie na użytek osób, które później w Kabulu miały przesłuchiwać zapis rozmowy. Wciąż nie był pewien, który z dwóch mudzahedinów pokieruje negocjacjami, przecucie podpowiadało mu jednak, że to nie ten olbrzym napisał do niego dwa listy. Mimo wszystko żaden z brodatych Afgańczyków nie mógł być niewykształconym prostakiem.

– Słucham – rzucił sadowiąc się wygodniej na krzeselku.

Aleksander obserwował Bielenkę z zawodową ciekawością, starając się stłumić w sobie bezpodstawny niepokój. Coś w sposobie zachowania i mówienia pułkownika wydawało mu się znajome, choć nie umiał tego bliżej sprecyzować. Rosjanin nosił insygnia piechoty, ale w żadnym calu nie przypominał oficera z liniowych formacji. Zresztą zbyt płynnie mówił w dari. Zachowywał się jak typowy sztabowiec. Zapewne posługiwał się też fałszywym nazwiskiem.

Z kolei towarzyszący mu major sprawiał wrażenie zaprawionego w licznych bojach weterana. Jego panterka była wyraźnie spłowiała od słońca, a na kołnierzyku nosił biało-niebieskie naszywki wojsk desantowych. Z pozoru ci dwaj mało mieli ze sobą wspólnego, chociaż wiele wskazywało, że łączy ich bliska znajomość.

Twórca wyjął z teczki trój stronicowy dokument i podał go Klimiencie.

– Oto lista naszych bratnich przywódców więzionych przez reżim z Kabulu. Figurują na niej dziewięćdziesiąt cztery nazwiska, ułożone alfabetycznie w języku dari. Przygotowaliśmy drugą listę, z nazwiskami transkrybowanymi na cyrylicę, aby łatwiej wam było zidentyfikować tych ludzi i zorganizować jak najszybsze ich uwolnienie. – Afgańczyk podał następną kartkę. – Nasze warunki są proste. Uwolnimy porucznika Michaiła Orłowa, kiedy wszystkie osoby z tej listy zostaną uwolnione i przewiezione na miejsce, które wskażemy. Nie zamierzamy też tracić czasu na bezcelowe dyskusje w sprawie jakiegokolwiek kompromisu.

Klimienko obrzucił krytycznym spojrzeniem spis więźniów, po czym wydał Saszy krótkie polecenie po rosyjsku. Krasin pospieszenie sięgnął do aktówki i wyjął listę przygotowaną w Kabulu. Obaj przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami porównywali dokumenty.

Aleksander zaczął odczuwać narastający niepokój.

Wreszcie Klimienko położył papiery na stole, wyprostował się na krześle, zsunął czapkę i otarł chustką pot z czoła.

– Wygląda na to, że podczas układania listy posunęli się panowie trochę za daleko. Znajdują się na niej nazwiska ludzi, których aresztowano ponad dwa lata temu. Wielu zmarło krótko po

schwytniu, czy to w trakcie naszych przesłuchań, czy to w więzieniach, po osądzeniu przez legalne władze Demokratycznej Republiki Afganistanu. Inni zmarli z powodu ran odniesionych w walkach poprzedzających ich pojmanie. Jeszcze inni zginęli na skutek zmasowanych ataków raketowych, jakie wasze ugrupowania przypuszczały na Kabul. Jak wasi amerykańscy przyjaciele to nazywają? Bratnim bombardowaniem?

Twórca spokojnie patrzył Rosjaninowi w oczy.

– Podejrzewaliśmy, że część z naszych braci figurujących na liście została zakatowana na śmierć przez sowieckich agresorów lub ich kabulskie marionetki. Dobrze wiemy, jakie warunki panują w Pul-i-czarki, pułkowniku. Spodziewamy się jednak, że za każdego zamordowanego brata uzyskamy odpowiedni ekwiwalent. Tylko w takim przypadku uwolnimy waszego bezcennego porucznika Orłowa. Nie muszę chyba dodawać, pułkowniku, że doskonale znamy wartość naszej zdobyczy. To nie jest zwykły porucznik Armii Radzieckiej.

Klimienko przez parę sekund intensywnie wpatrywał się w Afgańczyka.

– No cóż, na potrzeby tej dyskusji przyjmijmy, że nasze zainteresowanie uwolnieniem porucznika Orłowa nie ma nic wspólnego z jego rodowodem. I tak samo na potrzeby tej dyskusji założmy, że jesteśmy gotowi rozważać szczegółowo każdą rozbieżność między obydwoma spisami więźniów. Na naszej liście figurują nazwiska trzydziestu trzech osób znajdujących się w Kabulu i będących w wystarczająco dobrej kondycji fizycznej, abyśmy mogli o nich rozmawiać. Podobnie jak wy, także przygotowaliśmy drugi identyczny spis w języku dari.

Twórca wziął papiery Rosjan, przelotnie rzucił na nie okiem, po czym przekazał je Fanninowi.

– Na potrzeby tej dyskusji – odparł z powagą Twórca – możemy przyjąć, że ze swej strony również szczegółowo rozpatrzymy wszelkie rozbieżności między tymi listami.

– W takim razie pozwolę sobie zasugerować – rzekł swobodniejszym tonem Klimienko, pochylając się nad stołem – byśmy na tym zakończyli nasze wstępne negocjacje. Przekażę wasze żądania do Kabulu i polecę właściwym ludziom, aby sprawdzili wszelkie rozbieżności w obu spisach. Proszę, aby panowie uczynili to samo, byśmy mogli się spotkać już jutro i przedstawić sobie wzajemnie zdobyte informacje. Byłbym także wdzięczny, gdyby panowie powstrzymali się od ataków na nasze śmigłowce latające między Kabulem i Ali Khel, gdyż to opóźniłoby tylko niepotrzebnie dalsze pertraktacje.

– Zgoda – odparł Afgańczyk. Wstał z krzesła i zapytał: – Czy mogę panu, pułkowniku,

i pańskiemu koledze zaproponować orzeźwiający napój przed uciążliwą drogą powrotną do Ali Khel?

– TAK-obcesowo rzucił Klimienko. Obaj z Saszą także wstali z miejsc.

Twórca dał znak jednemu z mudżahedinów i butelki schłodzone w strumieniu szybko znalazły się na stole. Anatolij spojrzał na nie i zmarszczył brwi ze zdumienia. Ledwie zdołał się powstrzymać od śmiechu. Oto miał przed sobą symbole kapitalistycznych wrogów – wodę Perriera, coca-colę, 7UP – podczas gdy radzieccy żołnierze nie otrzymywali nawet wystarczających przydziałów tabletek dezynfekcyjnych, żeby zapewnić sobie zwykłą wodę do picia. Szybko sięgnął po trzy butelki coca-coli, podał je Saszy i ruchem głowy wskazał stojący nieopodal łazik. Dla siebie wybrał wodę mineralną Perriera. Odwróciwszy się w stronę dwóch Afgańczyków, uniósł butelkę w górę i rzekł:

– Za wasze zdrowie i za pomyślne zakończenie pertraktacji. Aleksander odwzajemnił ten gest i odpowiedział po rosyjsku:

– Za skuteczność naszych działań w służbie ojczyzny.

Klimienko zmarszczył brwi.

– Ma pan rację, za służbę dla dobra ojczyzny.

A więc to ty jesteś moim tajemniczym przyjacielem, pomyślał.

Godzinę później w bazie Fannin i Twórca zasiedli nad rosyjską listą. Pułkownik wykonał dobrą robotę, w jego spisie brakowało tylko czternastu nazwisk w porównaniu z materiałami dostarczonymi przez CIA.

– No, to jesteśmy w domu – odezwał się do Musawwira. – Musi im piekielnie zależeć na uwolnieniu Orłowa, skoro nawet specjalnie się nie targowali.

– Myślę, że do jutra zdołamy przynajmniej częściowo wyjaśnić rozbieżności. Rambo ma dojścia do strażników w więzieniu Pul-i-czarki. Trzeba mu przekazać tych czterech brakujących nazwisk. Może uda mu się dowiedzieć, ile z tych osób zmarło, a ile jest w tak fatalnym stanie, że nie warto ich brać pod uwagę w wymianie. Myślisz, że damy radę jeszcze dzisiaj dostać od niego jakąś odpowiedź?

– Nie wiem, ale warto spróbować. Skontaktuję się z nim jak najszybciej.

– Natomiast całą resztę roboty możemy pozostawić Bielence, niech dokładnie sprawdzi, co się stało z tymi pięćdziesięcioma kilkoma więźniami, których i tak uważamy już za zmarłych.

Szacuję, że zajmie mu to z tydzień. Potem drugi tydzień potrwią przygotowania do wymiany. Chciałbym, żeby nasi bracia przeszli przez Torham na stronę pakistańską, zanim my przy Czołgu z Żołnierzami uwolnimy Orłowa.

Fannin spojrział na kalendarz stojący na biurku.

– Obawiam się, że do wymiany nie dojdzie wcześniej niż na początku października.

– *Insh 'allah*. – Twórca pokiwał głową. – Przyjadę tu jutro o siódmej rano. Powiedz mi jeszcze, co sądzisz o naszych dwóch nowych rosyjskich przyjaciółach.

– Moim zdaniem, rozmawialiśmy z właściwymi ludźmi. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż Bielenkę skądś znam. To zapewne fikcyjne nazwisko, niewykluczone więc, że nasze drogi się kiedyś skrzyżowały, tylko nie potrafię sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Nie mam natomiast żadnych wątpliwości co do majora. Według mnie, to typ błędnego rycerza, niepoprawnego miłośnika wojaczki, który mógłby tułać się po wszystkich frontach świata i nigdy nie zrealizować w pełni swoich marzeń.

– Pewnie i nam zajmie kilka lat, zanim w końcu zrozumiemy, co ta wojna zrobiła z młodych afgańskich chłopców. Będzie im niezmiernie trudno wrócić do normalnego życia, kiedy nastanie pokój... Jeśli w ogóle kiedyś to nastąpi – dodał ciszej Twórca.

– Kiedyś wojna musi się skończyć – rzekł stanowczo Fannin.

– Tak, masz rację. I to my ją wygramy.

Ali Khel, 7 września, 15.30

Klimienko i Krasin zasiedli w jedynym wystarczająco dużym pomieszczeniu starego fortu w Ali Khel, który mógł pełnić funkcję centrum dowodzenia dla „doradców wojskowych” stacjonującego tu batalionu armii afgańskiej.

– Sądzę, że na tej wstępnej liście znajduje się co najmniej dwukrotnie więcej ludzi niż tamci spodziewają się ujrzeć na wolności. Pewnie chcą przy okazji ukryć za zasłoną dymną los rebeliantów, którzy już dawno temu zginęli w walce – mruknął Klimienko, spoglądając na spis więźniów.

– Może powinniśmy zostawić sobie paru z nich na deser, żeby później mieć z czego wzbogacać ofertę przetargową?

– To bez sensu. Gdyby naprawdę chcieli się z nami targować jak handlarze z perskiego

bazaru, wyciągnęliby nazwiska wszystkich łobuzów, jacy zaginęli na tych ziemiach od czasów Aleksandra Macedońskiego. Mogli zwyczajnie zażądać, abyśmy opróżnili całe Pul-i-czarki, lecz tego nie zrobili.

Anatolij popadł w zadumę, ale rozmyślał głównie o przebiegu spotkania z tajemniczym duszmanem, świetnie znającym rosyjski. Nie zamierzał, przynajmniej jeszcze teraz, informować Saszy o wymianie dwuznacznych toastów dotyczących służby dla ojczyzny.

Dopiero późnym wieczorem Aleksander zamknął się w swojej prywatnej kwaterze – przytulnej, niewielkiej pieczarze pozbawionej dostępu światła słonecznego. Wcześniej wziął długi, gorący prysznic, spod którego wyszedł tak rozleniwiony, jak po dawce środków nasennych. Podchodząc do łóżka, rzucił okiem na stojące na nocnym stoliku, oprawione w srebrną ramkę zdjęcie Kateriny. Ten widok go zelektryzował. Fannin w jednej chwili zrozumiał, co wydawało mu się tak znajomego w rysach rosyjskiego pułkownika. Z namysłem sięgnął do szuflady, wyjął oprawny w skórę tom i po raz kolejny zaczął czytać niezwykłą baśń o heroicznym zmaganiach dwóch kijowskich panien. Kiedy skończył po dwóch godzinach, miał już całkowitą pewność, dlaczego pułkownik już od pierwszej chwili wzbudzał w nim nieuzasadniony niepokój. Mimo że do końca nie mógł jeszcze uwierzyć w szczęśliwy zbieg okoliczności, zaczął się już zastanawiać, co to może dla niego oznaczać.

Rozdział 12

Ali Khel, 8 września, 6.10

Klimienko i Krasin siedzieli przy herbacie i sucharach, kiedy do pokoju wszedł Biełow z Szadrinem.

– Oficer dyżurny łączności przekazał tę kopertę dla was, towarzyszu pułkowniku. Miał taką minę, jakby oddawał mi pod opiekę co najmniej klejnoty Romanowów. – Szadrin położył na stole depeszę przechwyconą w kanale łączności Alfa, którą Fannin nadał poprzedniego wieczora.

Klimienko pospiesznie rozerwał kopertę, przeczytał tekst, po czym złożył papier i wsunął do kieszonki na piersi.

– Późnym wieczorem nadeszła wiadomość od naszego agenta z Peszawaru, że duszmani dość znacznie chcą zredukować swą pierwotną listę i obecnie przygotowują spis około czterdziestu siedmiu mudzahedinów, których uwolnienia będą żądać. Wszystkie trzydzieści trzy nazwiska, jakie im przedstawiliśmy, figurowały także na ich liście, zatem rozbieżności zmaleją do czternastu osób. Udało się wam wczoraj odszukać kogoś z dostarczonego spisu, majorze?

– Przez całą noc wyklócałem się z tępyimi afgańskimi strażnikami więziennymi i zdobyłem pewne informacje, o które prosiliście, towarzyszu pułkowniku. Ale nie jest tego dużo. Być może uda się nam zidentyfikować jeszcze parę osób, lecz sprawdzenie losów wszystkich potrwa bardzo długo, może nawet miesiąc – odparł Szadrin.

– Proszę pokazać to, co macie. Podczas dzisiejszego spotkania warto wykazać się jakimś postępem przed tymi łajdakami.

– Odnaleźliśmy trzech ludzi w Pul-i-czarki oraz jednego w obozie pracy niedaleko Baghramu. Tych czterech nie znalazło się na naszej pierwotnej liście dlatego, iż są tak ciężko ranni bądź poważnie chorzy, że już przed dwoma miesiącami umieszczono ich w spisie zabitych. A więc nasz kłopot polega tylko na tym, że łobuzy do dzisiaj żyją. Będzie pan musiał zdecydować, towarzyszu pułkowniku, czy wydać rozkaz skrócenia im cierpień, czy przekazać ich w ręce dukhisów.

Klimienko zamyślił się na chwilę.

– Chyba zagram w otwarte karty i powiem duszmanom, że zlokalizowaliśmy cztery osoby w bardzo kiepskim stanie i do nich należy wybór, czy nadal będą się domagać ich uwolnienia,

skoro transport rannych może oznaczać ich śmierć. Macie jakieś konkretne raporty o stanie zdrowia tych ludzi?

– Dokumentacja więzienna jest nader skąpa – mruknął Szadrin, podając papiery. – Sami zobaczcie, towarzyszu pułkowniku, są tylko lakoniczne zapisy: rana postrzałowa klatki piersiowej, stan ciężki; gangrena nogi, stan ciężki. Tylko tyle.

– Jakie są szanse odnalezienia przy życiu dalszych więźniów z tej listy?

– Znikome. Już teraz mógłbym potwierdzić, że z pięćdziesięciu siedmiu ludzi będących w spisie około czterdziestu zmarło zaraz po schwytaniu.

– Doskonale majorze. Dzięki wam jesteśmy o wiele bliżej ustalenia końcowych warunków wymiany jeńców. Na pewno wystarczająco blisko, by podjąć drugą turę negocjacji.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku. – Mimo głębokiej nienawiści do Klimienki Szadrin poczuł się dumny, że jego starania zostały docenione.

Anatolij spojrział na zegarek.

– Mamy jeszcze około dwóch godzin. Szadrin, będziecie nam dzisiaj towarzyszyć w rozmowach z dukhisami. Może się czegoś nauczycie.

Kiedy znów zostali sami, odezwał się cicho do Saszy:

– Chciałbym, żebyś mi pomógł rozdzielić obu dukhisów podczas dzisiejszych rozmów. Coś mi podpowiada, że ten mniejszy, milczący, będzie bardziej skory do mówienia z dala od swego bratniego przywódcy.

Ermitaż, 8 września, 6.30

Aleksander zszedł do centrali łączności, by przejrzeć odebrane nocą depesze. Za ledwie zbiegł po stalowych schodkach, Tim Rand położył na bocznym stoliku plik wydruków, a chwilę później postawił obok kubek mocnej parującej kawy. Najpierw Houston z Islamabadu potwierdził odbiór wysłanego przez nich wieczorem meldunku, ale nie miał żadnych dalszych wytycznych w sprawie Orłowa. Druga depesza, także od Houstona, ostentacyjnie wysłana kanałem Alfa z Peszawaru i przeznaczona głównie dla kabulskiej agendy KGB, potwierdzała odbiór przygotowanej przez Rosjan listy trzydziestu trzech więźniów. Zawierała ona prośbę do Allaha o jak najszybszy postęp w rokowaniach oraz ponaglenie, by energiczniej przycisnęli Sowieci w kwestii wyjaśnienia losów wszystkich dziewięćdziesięciu czterech osób

z pierwotnego spisu. W końcu nadeszła wiadomość od Ramba, że sześciu z czternastu ludzi, których nazwiska przekazano mu poprzedniego dnia drogą radiową, w ciągu minionego roku rzeczywiście zmarło w więzieniu krótko po aresztowaniu. Poza tym udało się wyjaśnić, że sześciu dalszych zamęczonych w więzieniach bojowników w momencie schwytania posługiwało się pseudonimami, dlatego mogą figurować w spisach zabitych pod innymi nazwiskami niż te, które znalazły się na liście z Peszawaru.

Kiedy o siódmej trzydziści zjawił się Twórca, Aleksander przy herbacie zapoznał go z nowinami.

– Jeszcze wczoraj Rambo zdołał o sześć nazwisk skrócić listę czternastu osób, których los pozostaje nieznanym.

– Wygląda więc na to, że szybko zbliżamy się do końca negocjacji.

– Owszem. – Fannin zamyślił się na chwilę. – Musawwir, wyświadczyć mi przysługę. Myślę, że zdołałbym wycisnąć coś więcej z sowieckiego pułkownika, gdybyśmy na pewien czas zostali sami. Spróbuj dzisiaj odciągnąć majora na jakieś dziesięć minut, na przykład proponując mu krótki spacer.

Czołg z Żołnierzami, 8 września, 10.00

Klimienko zaczął spotkanie od zwięzłego omówienia rezultatów wczorajszych poszukiwań.

– Otrzymaliśmy z Kabulu informację, że w uzupełnieniu trzydziestu trzech osób, których spis dostarczyliśmy, udało się zidentyfikować jeszcze czterech więźniów. Trzech przebywa w Pul-i-czarki, jeden w Baghramie, ale stan wszystkich czterech jest bardzo ciężki i zachodzi obawa, że nie dożyją momentu wymiany na porucznika Orłowa. Ponadto zdołaliśmy ustalić, że z pięćdziesięciu pięciu pozostałych ludzi figurujących na waszej liście czterdziestu już nie żyje. Wszystkie dane znajdują się w tych dokumentach. – Popchnął po stole w kierunku Twórcy plik papierów.

– Zrobiliście spore postępy, pułkowniku – mruknął Afgańczyk, przeglądając je pobieżnie.

– W trakcie sprawdzania raportów więziennych odkryliśmy też, że korzystanie z kilku różnych... pseudonimów czy też przybranych nazwisk, znacznie utrudnia identyfikację więźniów. Zapewne parę następnych rozbieżności da się wyjaśnić tym, że chodzi o rebeliantów, którzy w spisach więziennych figurują pod innymi nazwiskami. Z pewnością to samo dotyczy części

bandytów wyszczególnionych wśród zabitych.

Twórca parsknął ze złością.

– Na miłość boską, pułkowniku. Choćby ze zwykłego szacunku mógłby pan mówić o ludziach, a nie bandytach.

– Tak, zgoda – mruknął Klimienko, uśmiechając się ironicznie.

Sprawdzanie papierów trwało prawie godzinę, gdyż Twórca pieczołowicie wyszukiwał te same nazwiska znajdujące się w różnych dokumentach. Wreszcie wstał od stołu i rzekł:

– Panowie, proponuję zrobić krótką przerwę na herbatę i zimne napoje. Majorze, czy byłby pan uprzejmy poczęstować swoich kolegów siedzących w łaziku? Zaraz znajdziemy jakiś dzbanek, żeby przenieść w nim gorącą herbatę z samowara.

Sasza zgodził się ochoczo, dostrzegłszy okazję do spełnienia prośby przyjaciela i odciągnięcia olbrzyma od drugiego dukhisa. Kiedy po chwili Aleksander i Klimienko zostali sami w namiocie, Anatolij warknął ostro:

– Pan nie jest Afgańczykiem. A więc kim?

Fannin dość długo w milczeniu patrzył mu prosto w oczy, wreszcie odpowiedział po ukraińsku:

– Jestem pańskim ziomkiem, pułkowniku. Różni nas jedynie to, że mój ojciec był Rosjaninem, a tylko matka Ukrainką.

Klimienko poczuł lodowaty dreszcz na plecach.

– To prawda, moi rodzice są pochodzenia ukraińskiego, ale teraz wszyscy jesteśmy obywatelami Związku Radzieckiego.

Aleksander był pewien, że wieczorem bezbłędnie odgadł prawdziwą tożsamość swego rozmówcy, doświadczenie podpowiadało mu jednak, iż powinien zachować jak najdalej posuniętą ostrożność i nie zdradzać się przed czasem.

– Bielenko to pańskie przybrane nazwisko, choć nie tak bardzo różniące się od prawdziwego. Mam rację? – zapytał, starając się przybrać w miarę łagodne brzmienie głosu.

– Wygląda na to, że sporo pan o mnie wie. Więc czemu nie wyjawi pan od razu wszystkiego?

– Lubi pan stare baśnie, pułkowniku? Bo ja tak, a szczególnie ludowe baśnie ukraińskie.

– Owszem, w dzieciństwie czytywałem bajki. Jak wszyscy – rzekł z ociąganiem Klimienko, niezbyt jeszcze rozumiejąc, jak należy traktować tę uwagę.

– Moją ulubioną jest *Baśń o dwóch kijowskich pannach* – ciągnął Fannin – opowieść

o bliźniaczkach rozdzielonych przez wojnę, które przez lata toczą walkę o to, by znów być razem. Zna pan tę baśń?

Anatolij poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Zsunął czapkę i otarł grube krople potu z czoła, odsłaniając na chwilę niewielkie znamię, słabo widoczne na samej linii włosów. Nerwowo przełknął ślinę, gdyż zaschło mu w gardle, po czym odparł:

– Tak, znam tę baśń.

– „Jako że obie siostry nosiły znak miłości Boga...” – szepnął powoli Fannin pełen obaw, że lada chwila głos mu się załamie.

– „...który położył dłoń na ich ramionach, odciskając na zawsze Swoje znamię. Tym samym połączył ich serca nie dającymi się zerwać więzami...” – dokończył szybko Klimienko. – Jak to możliwe? Kim jesteś? To ty napisałeś list znaleziony w skrzynce amunicyjnej na miejscu odpalenia rakiet na Khargę i ty przysłałeś nam sztucznego czarnego tulipana... Musisz być tajemniczym Aleksandrem z Paktii.

– Zgadza się, ale na szczęście to wszystko, co nie musi już pozostawać tajemnicą, prawda, Anatoliju Wiktorowiczu?

Siedzący w łaziku major Szadrin, w przeciwieństwie do znużonego do głębi Bielowa, z uwagą obserwował Krasina wracającego w towarzystwie Twórcy na szczyt wzgórza. Przed paroma minutami Bielów tylko krótko popatrzył przez lornetkę na tę parę zmierzającą w ich kierunku, teraz zaś podał lornetkę Szadrinowi i rzekł:

– Spójrzcie. Ten wielki dukhis prowadzi naszego nieustraszonego majora dokładnie w to miejsce, gdzie przed rokiem nasi chłopcy ze specnazu wpakowali się w zasadzkę. Nie było z nich co zbierać. Przez kilka dni przewoziliśmy szczątki do Ali Khel, żeby potem odesłać je do Kabulu.

Ale Szadrin tylko przez chwilę patrzył na plecy Krasina i Twórcy, szybko uniósł nieco lornetkę i skierował ją na dwóch mężczyzn wciąż rozmawiających pod namiotem. Kiedy w dużym zbliżeniu ukazała mu się twarz brodatego mudżahedina, zelektryzowało go odkrycie, że tamten mówi po rosyjsku. Z ruchu jego warg można było odczytać niemal każde słowo. Nie odrywając wzroku od tajemniczego rebelianta, szybko sięgnął do wewnętrznej kieszeni po notes.

– Jak się już domyślasz, Anatoliju Wiktorowiczu, twoja matka, Katerina, jest siostrą mojej

teściowej, Lary. – Aleksander wyjął z plecaka fotografię w srebrnej ramce. – Poznajesz?

Klimienko aż głośno sapnął z wrażenia.

– Jakbym patrzył na zdjęcie matki sprzed lat. To musi być córka Lary.

– Zgadza się. Katerina otrzymała imię po ciotce. Przyjrzyj się dokładnie. Mogłaby uchodzić za twoją siostrę. Dostrzegasz uderzające podobieństwo?

Szadrina piekły już oczy od patrzenia przez lornetkę. Klimienko siedział tyłem, ale z ruchu warg tajemniczego dukhisa dało się bez trudu rozróżnić słowa „twoja matka”. Później tamten wyciągnął coś z plecaka i pokazał pułkownikowi. Co to może być, do diabła? – zachodził w głowę.

– Nie ulega zatem wątpliwości, że jesteśmy bliskimi krewnymi, prawda, Anatoliju Wiktorowiczu? – spytał cicho Fannin, wyczuwając nadal głęboką nieufność siedzącego naprzeciwko Rosjanina.

Klimienko nie zdążył odpowiedzieć, bo nieopodal pojawili się Krasin i Twórca. Aleksander błyskawicznie schował zdjęcie do plecaka.

– Będziemy mogli dokończyć tę dyskusję jutro, pułkowniku – rzekł głośno po angielsku ostrym tonem, niemalże wrogo.

Klimienko wstał z krzesła.

– Tak, chyba dzisiaj nie zdołamy już niczego więcej osiągnąć. Chciałbym jeszcze przedstawić prośbę, a właściwie żądanie, od którego spełnienia będzie zależeć przebieg dalszych negocjacji. Muszę osobiście porozmawiać z porucznikiem Orłowem. Dopiero później będziemy mogli przystąpić do ustalania konkretnych wymiany jeńców. W tej sprawie otrzymałem wyraźne rozkazy od generała Polakowa.

Sasza zerknął na niego z ukosa, gdyż doskonale wiedział, że dowódca armii nie wydawał żadnych szczegółowych rozkazów w tej kwestii.

– Pańskie żądanie jest zaskakujące, ale da się spełnić – odparł Twórca. – Zorganizujemy je pod warunkiem, że tylko jeden z panów pojedzie na rozmowę z naszym jeńcem. Zakładam, że chciałby pan to uczynić osobiście, pułkowniku Bielenko.

– Tak, to zrozumiałe.

Rozdział 13

Ali Kheł, 8 września, 14.30

Major Bielów niemal pełnym gazem pokonał ostatnich kilkaset metrów wznoszącego się dość stromo zbocza. Kiedy zatrzymał samochód przed budynkiem, spod korka chłodnicy ze świstem wydobywała się para. Czterej oficerowie z ulgą stanęli na ziemi i bez pośpiechu ruszyli w stronę wejścia. Bielów jak zwykle zaczął narzekać.

– Już dwa miesiące temu wysłałem do sztabu zapotrzebowanie na nowego łożnika. Wyjaśniłem dokładnie, że ten ma sześć lat i przejechał prawie sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Przytoczyłem nawet odpowiednie paragrafy z przepisów technicznych Armii Radzieckiej, według których samochód można zakwalifikować do wymiany po przejechaniu stu tysięcy kilometrów w warunkach polowych bądź po pięciu latach pracy. I dwa tygodnie temu dostałem obraźliwą odpowiedź z kwatermistrzostwa, że ostatnio przepisy uległy zmianie i teraz łożnik może być wymieniony dopiero po siedmiu latach użytkowania lub po przejechaniu dwustu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów, więc powinienem się odpięprzyć i być szczęśliwym, że wciąż mam czym jeździć. A widzieliście te landcruisery, którymi poruszają się dukhisi? Klimatyzacja, przyciemniane szyby... Cholera, pewnie do następnej wojny światowej nie doczekamy się takiego sprzętu.

– Na pewno go dostaniesz, jak przejdiesz na służbę w CIA – burknął Krasin.

– Jak płynnie mówią ci dwaj bandyci po angielsku? – wtrącił pospiesznie Szadrin, wykorzystując okazję do zmiany tematu. – A może rozmawialiście z nimi w dari?

– Ten olbrzymi dukhis zna angielski bardzo dobrze – odparł nieco spiętym głosem Klimienko. – Ten drugi mówi nieco gorzej, ale można go zrozumieć. Zresztą niewiele miał dotąd do powiedzenia.

Już to widzę! – pomyślał Szadrin. – Przecież widziałem na własne oczy waszą serdeczną, przyjazną pogawędkę, ty zakłamany sukinsynu!

– Majorze, dzisiaj także chciałbym skorzystać z waszego nadajnika szyfrującego – zwrócił się Klimienko do Bielowa. – Muszę wysłać do Kabulu raport.

Kiedy obaj skręcili do sekcji łączności, Szadrin niemal konspiracyjnym szeptem poprosił Krasina, by ten zechciał mu towarzyszyć w krótkiej przechadzce po terenie starego fortu. Sasza,

wciąż łamiąc sobie głowę nad tym, po co Tola wymyślił bajeczkę o rozkazie Polakowa, dotyczącym osobistego spotkania z Orłowem, wyczuł, że podejrzliwy major KGB chce czegoś od niego, skojarzył więc szybko, że kłamstwo Klimienki na temat drugiego dukhisa było niepotrzebne, gdyż obudziło jedynie zainteresowanie Szadrina. Gdy skręcili za róg budynku, tamten oznajmił stanowczo:

– Majorze, potrzebna mi wasza pomoc w bardzo ważnej sprawie, ale najpierw chciałbym uzyskać zapewnienie, że cała ta rozmowa pozostanie w najgłębszej tajemnicy. Otóż chcę was włączyć w dochodzenie prowadzone na rozkaz najwyższego kierownictwa Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego. Czy mogę więc na was liczyć? Czy pojmujecie wagę tego, co powiedziałem?

– Tak, oczywiście – mruknął Krasin, po raz nie wiadomo który stwierdzając w duchu, że to cholerne KGB traktuje wszystko chyba bardziej poważnie od samego Boga.

– Moim zdaniem, nasz towarzysz, pułkownik Klimienko, jest wpłątany w zdradzieckie knowania z wrogiem – wypalił Szadrin, po czym niemal jednym tchem zrelacjonował swoje obserwacje czytania z ruchu warg, nie omieszkawszy przy tym nadmienić, że jego szczególne zaniepokojenie wywołał pod koniec sierpnia list pozostawiony na miejscu odpalenia rakiet na Khargę, a zaczynający się od słów „Mój drogi pułkowniku”.

– Wasze podejrzania są całkiem uzasadnione, majorze – odparł natychmiast Sasza. – Jak wam zapewne wiadomo, generał Polakow również żywi poważne wątpliwości co do zaangażowania, jeśli nawet nie politycznego nastawienia, pułkownika Klimienki, dlatego osobiście nakazał mi mieć go na oku. Cieszę się, że to wy podnieśliście tę sprawę, zwłaszcza teraz, gdy Klimienko sprytnie zaaranżował okoliczności, w których jutro bez żadnego nadzoru będzie mógł spokojnie porozumieć się z dukhisami. Przyznaję, że z daleka śmierdzi to zdradą i jestem pewien, że generał Polakow zechce specjalnie was wynagrodzić za tę nieocenioną robotę wywiadowczą. Co rozumiałe, uzyskacie, majorze, moje pełne poparcie. Czy jeszcze ktoś w Kabulu jest zainteresowany wynikami śledztwa w sprawie zdrady pułkownika Klimienki?

– Nikogo nie wtajemniczałem. Ten szczwany list z kontrwywiadu, pułkownik Nikitienko, doskonale wie, że w najmniejszym stopniu nie ufam Klimiencie. Jest zapewne przekonany, że nie potrafię udowodnić swoich podejrzeń i dążę do zniszczenia go z powodów czysto osobistych. Kiedy jednak prawda wyjdzie na jaw, z pewnością będzie chciał sobie przypisać wszystkie zasługi. Po powrocie do Kabulu z waszą pomocą przedstawię generałowi Polakowowi wszelkie

dowody winy Klimienki. Nigdy się z nimi nie rozstają.

Szadrin odchylił połą panterki i Sasza dostrzegł grzbiet służbowego notesu KGB wystającego z wewnętrznej kieszeni.

– No cóż, Nikitienko jest znany ze swej nieudolności, nie umiałby pewnie złapać szpiega, nawet gdyby ten stanął mu przed nosem. Kiedy negocjacje dobiegną końca, możecie być pewni, majorze, iż generał Polakow pozna ze szczegółami całą prawdę o waszym udziale w zdemaskowaniu Klimienki. Zostaniecie tak wynagrodzeni, jak na to zasłużyliście, a gdyby Nikitienko chciał sobie przypisać jakiegokolwiek zasługi, natychmiast się nim zajmimy. W czym mógłbym wam jeszcze teraz pomóc? Domyślam się, że chcielibyście zdobyć jakiś bezsprzeczny dowód winy.

– Dokładnie tak, towarzyszu. Chciałbym, żebyście na jutrzejsze spotkanie zabrali potajemnie mały magnetofon. Trzeba będzie tak to zorganizować, żeby na taśmie utrwaliła się cała rozmowa Klimienki z dukhisami, gdy już zostaną sami. Wówczas zyskamy bezsporny dowód zdrady.

Szadrin ledwie mógł zaczerpnąć powietrza, chociaż za wszelką cenę nie chciał dać poznać po sobie silnego zdenerwowania. Niespodziewanie za nimi z tylnych drzwi budynku wyłonili się Klimienko i Biełow. Pułkownik zawołał:

– Krasin, chodźże tu szybko! Jesteś mi potrzebny!

– Spotkajmy się punktualnie o dwudziestej pierwszej w zakolu wyschniętego strumienia, majorze – powiedział szybko Sasza – jakieś sto metrów za kwaterami Afgańczyków. Przekażecie mi magnetofon i ewentualnie szczegółowe instrukcje. Tam będziemy też mogli spokojnie porozmawiać. Jeśli teraz pójdziecie jeszcze kawałek prosto, na pewno rozpoznacie to miejsce, o którym mówiłem. To mniej więcej w połowie drogi między zabudowaniami fortu a wrakiem śmigłowca. Tylko się nie spieszcie, żeby nie wyglądało to podejrzanie.

– Wiem, jak się zachowywać, majorze – odparł z ironicznym uśmiechem Szadrin, rozbawiony tym, że jego, doświadczonego oficera kontrwywiadu, poucza się w tak podstawowych sprawach.

Kiedy Krasin pospiesznie zawrócił, major splótł ręce za plecami i wolnym krokiem ruszył dalej. Rozpierała go duma, że tak szybko zyskał cennego sprzymierzeńca. W końcu osobiste zainteresowanie generała Polakowa całą tą aferą nie mogło mu przecież w niczym zaszkodzić.

Ali Khel, 8 września, 21.00

Tego dnia obiad w formie był szczególnie wystawny. Biełow sięgnął do swoich prywatnych żelaznych zapasów i jako przystawki podano najlepszy kawior Sewrugi oraz kamczackie kraby z konserwy, natomiast główne danie stanowiło przygotowane przez Afgańczyków miejscowe *bolani nan* z porami. Znalazło się nawet parę puszek amerykańskiego piwa słodowego, a zakąską do schłodzonej *stolicznej* były duże kawałki soczystych arbuzów. Major bez obaw wyjaśnił też swoim gościom, że wszelkie rarytasy na stole, nie wyłączając kawioru, krabów i rosyjskiej wódki, pochodzą z Pakistanu, jedyne kraju w środkowej Azji, gdzie na bazarach wciąż można je kupić. Wszystkie bardziej wartościowe rzeczy, jakie dostarczano ze Związku Radzieckiego do Kabulu, różnymi drogami przemycano za wschodnią granicę, gdyż tam tylko można było za nie dostać twardą walutę. On zaś zdobywał te prawdziwe skarby, sprzedając złom mosiężny z armatnich łusek, które jego żołnierze zbierali tysiącami po każdym długotrwałym ostrzale twierdzy przez ugrupowania rebelianckie. Stały odbiorca tego złomu, pewien zasuszony i żyłasty Patańczyk, nie tylko z chęcią wypłacał Biełowowi w twardej walucie dziesięć procent wartości metalu według bieżących stawek na londyńskiej giełdzie, ale dodatkowo przywoził mu różne rarytasy, właśnie takie jak rosyjski kawior czy wódka.

Major był w trakcie objaśniania szczegółów barterowego systemu wymiany towarów obowiązującego w Paktii, gdy nagle ciszą za murami wstrząsnął huk potężnej eksplozji, aż pył ze starych tynków posypał się na stół. Czterej oficerowie jak na komendę padli na podłogę.

Biełow błyskawicznie podczołgał się do drzwi i zgasił światło.

– Nie wstawajcie! – rozkazał. – To pewnie tylko bezpański pies albo muflon. Od czasu do czasu zwierzęta wchodzą na pole minowe. Nic jednak nie wiadomo. Drugi wybuch będzie oznaczał, że znaleźliśmy się w kłopotach. Bywało już tak, że dukhisi wpędzali na miny stada owiec, żeby oczyścić sobie podejście do fortu.

Klimienko ostrożnie dźwignął się na kolana i wyrżał znad krawędzi okna, ale w ciemnościach niczego nie zauważył.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi i do sali wpadł zastępca Biełowa, kapitan armii afgańskiej.

– Majorze! Zdarzył się wypadek! – Urwał i rozejrzał się niepewnie po mrocznej sali, do której wpadała jedynie smuga światła z korytarza. – Jeden z waszych oficerów leży ranny na polu minowym, nad samym uedem, w połowie drogi do wraku śmigłowca. To pewnie ten major, który

przyleciał dziś rano z Kabulu. Nie damy rady go przenieść po ciemku. Trzeba będzie zaczekać do rana, chyba że dostaniemy szczegółową mapę rozmieszczenia min na polu.

– Niech to szlag!... – syknął z wściekłością Bielów. – Zapomniałem uprzedzić Szadrina, żeby nie wychodził poza teren fortu. Skąd wy ściągacie takich kretynów do sztabu?!

– Ja ostrzegałem Szadrina przed minami dzisiaj po południu – wtrącił Krasin. – Powtórzyłem mu dokładnie to, co tłumaczyliście nam, majorze. Niewykluczone, że wypił trochę za dużo.

Bielów odwrócił się do Afgańczyka.

– Spróbujcie oświetlić reflektorami to miejsce, gdzie major włożył na minę.

Kapitan bez słowa wyszedł z sali, jakby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że jednak istnieje jakaś sprawiedliwość na tym świecie. Skoro na sowieckie miny, porzostawiane przeciwko Afgańczykom, nieostroźnie wszedł jeden z Rosjan, to musiał w tym być palec Allaha.

– Naprawdę macie szczegółowe plany rozmieszczenia ładunków na polu? – zaciekawiał się Klimienko.

– Skądże znowu – mruknął z rezygnacją Bielów. – Trzeba będzie trasować sobie drogę próbnikiem. W tamtym kierunku nie prowadzi żadna bezpieczna ścieżka przez pole.

Zapaliły się rozmieszczone wysoko pod dachem koszar reflektory, zalewając koryto wyschniętego strumienia upiorną szarawą poświatą. Oczom stojących przy oknie ludzi ukazał się ciemny nieruchomy kształt, przypominający stos łachmanów porzuconych nad brzegiem uedu. Nagle ów stos poruszył się nieznacznie.

– Jeszcze żyje!

Klimienko pobiegł do wyjścia, pozostali ruszyli za nim.

– Nie odchodźcie za daleko, pułkowniku! – zawołał Bielów. – Gdyby dwaj oficerowie z kabulskiej sekcji KGB jednej nocy wylecieli w powietrze, miałbym na karku wszystkie wściekle psy z placu Dzierżyńskiego. Sam pójdę po niego.

Anatolij przystanął w pół kroku.

– Powiedzcie mi najpierw, jakie miny tu rozstawiliście! – rzekł ostro, mierząc wściekłym spojrzeniem majora.

– Głównie przeciwpiechotne, ale jest też trochę silniejszych, przeciwczołgowych. Leżą od sześciu do dziesięciu centymetrów pod powierzchnią, więc przyświecając sobie silną latarką, łatwo je będzie zlokalizować tym. – Wyciągnął w kierunku Krasina bagnet.

– Przygotujcie co najmniej czterdzieści metrów liny – przejął inicjatywę Sasza. – Macie tu

jakieś znaczniki fosforescencyjne? Przydałyby się w dwóch kolorach. – Odwrócił się do Klimienki i dodał – Podczołgam się do niego, znacząc miny jednym kolorem, a bezpieczne przejście drugim. Jeśli tylko będzie to możliwe, udzielę Szadrinowi pierwszej pomocy, później obwiążę go liną, a wy z Bielowem wyciągniecie go na szczyt wzgórza. Ja będę czołgać się tuż obok, udzielając wam wskazówek.

Pułkownik sztywno skinął głową. Bielow wrócił wkrótce z liną i znacznikami.

– Mam szesnaście zielonych i dziesięć czerwonych – rzekł. – Amerykańskie, dostałem je za sto mosiężnych łusek armatnich. Wystarczy mocno zgiąć, żeby zaczęły świecić. A tu jest latarka.

Sasza przerzucił sobie zwój liny przez ramię, odnalazł jej koniec i kazał Bielowowi przywiązać go do kraty w oknie baraku.

– Andriej, gdzie zaczyna się pole minowe?

– Jakieś dziesięć metrów od brzegu uedu.

Krasin ruszył szybko w dół zbocza, ale na końcu pochyłości przyklęknął, oparł się na łokciach i z twarzą tuż przy ziemi zastygł na pewien czas bez ruchu, czemu Klimienko, Bielow i porucznik Panow przyglądali się w napięciu. Przyzwyczajony wzrok do ciemności, Sasza zaczął w świetle latarki wypatrywać przed sobą drobnych zagłębień, jakie powinny powstać na skutek osiadania rozmiękczonego deszczami gruntu wokół zagrzebanych min. Dopiero później zaczął ostrożnie nakłuwac bagnetem ziemię w wybranych miejscach. Wyraźnie dolatywało do niego jęczenie Szadrina.

Posuwał się wolno, co parę metrów znacząc po obu stronach przebytą drogę na zielono.

– Zostało mu najwyżej dziesięć metrów – skomentował Bielow. – Oprócz sześciu zielonych znaczników rozstawił siedem czerwonych, ale ich rozmieszczenie mi się nie zgadza, musiał przeoczyć co najmniej jedną minę. Mniejsza z tym, przy odrobinie szczęścia powinien bez przeszkód stamtąd wrócić.

Tymczasem Krasin ze wzmożoną uwagą zbadał ostatnich pięć metrów dzielących go od leżącego na wznak Szadrina. Jakieś dwa metry dalej znajdował się płytki lej metrowej średnicy. Impet eksplozji musiał wyrzucić majora wysoko i obrócić w powietrzu niczym szmacianą lalkę. Lewa noga Szadrina była odgięta od kolana w bok pod nienaturalnym kątem. Prawa, która z daleka wydawała się podwinięta, w rzeczywistości miała urwane podudzie. Kiedy w końcu Sasza mógł zajrzeć rannemu w oczy, dostrzegł w nich błysk przerażenia przed zbliżającą się śmiercią.

Szadrin musiał być w pełni świadom tego, co się stało, gdyż natychmiast obrócił ku niemu wzrok.

– Wiedziałeś... – szepnął chrapliwie.

– Co mówicie, majorze? – Krasin przysunął się bliżej i zbliżył ucho do jego ust.

– Wiedziałeś... o minach... Zrobiłeś to... celowo... Dlaczego?

– Oszczędzajcie siły, majorze, zaraz was stąd wyciągniemy i odwieziemy do szpitala.

Sasza odciął dwa kawałki liny i starannie obwiązał nogi Szadrina, unieruchamiając je razem, po czym wetknął między supły dwa następne zielone znaczniki fosforescencyjne. Przeciągając następnie koniec liny pod pachami rannego, szybko wymacał w wewnętrznej kieszeni panterki notes, wyjął go i ukradkiem schował do swojej. Później udając, że sprawdza stan rannego, pospiesznie obmacał pozostałe kieszenie jego munduru, ale niczego nie znalazł.

– Ty wiedziałeś... że tu są miny... Dlaczego?... Wydałeś na mnie... wyrok śmierci... – urywane jęki Szadrina były ledwie słyszalne.

– Wszystko będzie dobrze, majorze. Zaraz was stąd wyciągniemy.

Krasin ostrożnie wstał i zakręcił młynka latarką, chcąc przyciągnąć uwagę stojących na krawędzi wzgórza ludzi.

– Jak błysnę raz, wybierajcie linię powoli! – zawołał. – Na dwa sygnały przestańcie ciągnąć, pokażę wam wtedy latarką kierunek, w którym trzeba skręcić, żeby bezpiecznie przeholować majora między zlokalizowanymi minami. Jasne?

– Tak, jasne! – odkrzyknął Bielów.

Niespełna minutę później krótko rozbłysła latarka i Krasin zawołał, że mogą ciągnąć. Bielów i Klimienko zaczęli bez pośpiechu wybierać linię ze stałą prędkością około pięciu metrów na minutę. Sasza posuwał się na czworakach parę metrów za Szadrinem, którego jęki stały się głośniejsze. Musiał czuć silniejszy ból.

Wszystko szło gładko mniej więcej do połowy pola minowego. Czterokrotnie trzeba było zmieniać kierunek holowania, by ominąć oznakowane na czerwono ładunki wybuchowe. Wreszcie Krasin zaczął dawać energiczne znaki, by przesunąć się daleko w lewo, a po chwili zawołał:

– Nie dacie rady wyciągnąć go pod tak ostrym kątem z miejsca, w którym stoicie, a lina jest za krótka, byście mogli wzdłuż krawędzi zbrocza przejść jeszcze bardziej na prawo. Tola, zejdź na dół zbrocza i maksymalnie naciągnij sznur w lewo. Tam nie powinno być jeszcze żadnych min.

Biełow, ty zostań na górze. Zrozumieliście?

– Tak.

Klimienko niemal zbiegł na dół i zaczął ostrożnie wybierać linię pod kątem, aż w końcu Sasza mrugnął latarką i zawołał, żeby ciągnąć dalej. Nikt nie zwrócił uwagi, że tym razem jednak nie poczołgał się za rannym Szadrinem, lecz został na miejscu, a gdy odległość między nimi wzrosła do siedmiu metrów, wcisnął twarz w ziemię i oburącz zakrył uszy. Tola ciągnął swego podwładnego prosto na ósmą minę, którą on wcześniej zlokalizował, lecz nie oznaczył jej specjalnie w tym celu, gdyby Szadrinowi trzeba było jeszcze pomóc przenieść się na tamten świat.

Niespodziewanie rozległ się huk eksplozji, kiedy kark wleczonego człowieka przycisnął czujnik detonatora. Wybuch oderwał rannemu głowę i niemal przepołowił klatkę piersiową. Klimienko poleciał do tyłu i runął jak drugi na ziemię. Impet powietrza nawet Biełowa popchnął na ścianę baraku.

Kiedy opadł kurz, Krasin tylko rzucił okiem na poszarpane zwłoki, dźwignął się z ziemi i na czworakach przeszedł do końca wyznaczonego zielonymi znacznikami korytarza. Zbliżył się do ogłuszonego Klimienki, któremu z rozcięcia nad prawą brwią spływała strużka krwi i pomógł mu stanąć na nogi. Razem powlekli się na szczyt wzgórza, gdzie Biełow stał osłupiały, z końcem liny kurczowo zaciśniętym w palcach.

– Możemy go szybko wywindować na górę, i tak nie ma już znaczenia, czy trafi jeszcze na jakąś minę, czy nie – mruknął Krasin, teatralnie zakrywając twarz obiema dłońmi.

– To nie twoja wina, Sasza. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy – rzekł pocieszająco Biełow.

Razem z Panowem pospiesznie wywlekli ciało poza pole minowe i przez pewien czas stali w milczeniu, spoglądając z góry na bezgłowy korpus z poszarpanymi nogami.

– Zostało z niego tylko tyle, że można by go odesłać do domu w jego własnym plecaku – powiedział major. – Jeśli po tamtym wypadku rzeczywiście ktoś chciał przysłać tu żołnierzy, żeby poszukali oderwanego kutasa, to teraz w Kabulu zapanuje chyba zbiorowa histeria, gdy tylko wyjdzie na jaw, ile zostało z biednego Szadrina.

Późnym wieczorem Sasza wśliznął się do kwatery Klimienki i bez słowa podał mu notes Szadrina.

– Pewnie chciałbyś to przeczytać, zanim zniszczysz. Ten kretyn miał cię na oku od dłuższego czasu, od chwili, kiedy odesłałeś go do współpracy z afgańskimi tajnymi służbami. Był przekonany, że uważasz go za ostatniego tchórza i za wszelką cenę szukał możliwości odwetu. Przed obiadem powiedział mi w tajemnicy, że ma przeciwko tobie silne dowody, ale jeszcze nie zapoznał z nimi nikogo z Kabulu. Wyznał też, że Nikitienko prowadzi dochodzenie przeciwko tobie. W notesie znajdziesz wszystko. Chciałbym z tobą szczerze pogadać, jak go przeczytasz. – Odwrócił się do drzwi, przystanął i po krótkim namyśle dodał: – Ani trochę bym się nie zdziwił, gdybyś jutro nie wrócił ze spotkania z Orłowem, tylko pojechał dalej na wschód, Tola. Powiedziałbym wtedy generałowi, że dukhisi pewnie cię zabili razem z jeńcem. Polakow rozkazałby zrównać z ziemią kilka wiosek, obarczył winą Komitet i szybko zapomniał o całej sprawie. Życie potoczyłoby się dalej.

Rozdział 14

Czołg z Żołnierzami, 9 września, 8.00

Aleksander od razu zwrócił uwagę, że obaj Rosjanie sprawiają wrażenie szczególnie zmęczonych, a Klimienko ma zaklejoną plastrem ranę nad prawą brwią, lecz ani on, ani Twórca, nie chcieli o nic pytać, nie zwrócili też większej uwagi na nieobecność Szadrina.

Afgańczyk szybko wręczył pułkownikowi złożony czysty chałat, pasterską czapkę czitralli i ocieplaną kamizelkę.

– Proszę się przebrać. Przed nami jakieś dwie godziny jazdy, więc będzie pan miał najwyżej trzydzieści minut na rozmowę z jeńcem, potem odwieziemy pana tu z powrotem. Przez całą podróż samochodem będzie pan musiał mieć zawiązane oczy. Jasne?

– Tak. – Klimienko zaczął szybko rozpinąć koszulę. – Wydam rozkaz, by moi żołnierze czekali na mnie przez sześć godzin, w ten sposób zyskacie pewną rezerwę. Jeśli nie wrócę o wyznaczonej porze, będzie to oznaczało, że zerwaliście negocjacje, a w takim razie nasze dowództwo podejmie odpowiednie kroki.

– Niech pan nam zaoszczędzi dalszych pogroźek, pułkowniku. W końcu to spotkanie z jeńcem było pańskim pomysłem – rzekł ostro zniecierpliwiony Twórca.

Tola w milczeniu zawiązał w pasie bufiaste spodnie, naciągnął długą koszulę, włożył kamizelkę i nasunął na głowę wełnianą czapkę ze zrolowanym brzegiem. Sasza, który mierzył go krytycznym wzrokiem, odezwał się po rosyjsku:

– Wyglądasz jak chłopak ze specnazu, szykujący się do tajnej operacji, Tola.

– Możecie być pewni, majorze, że po powrocie z wielką radością przebiorę się znowu w mundur. Jeśli nie wrócę do wpół do trzeciej, macie natychmiast wracać do Kabulu i złożyć raport generałowi. Jasne?

Krasin doskonale wyczuwał, że wobec obcych Tola musi okazywać, iż to on tu dowodzi. Dlatego wyprężył się na baczność i odpowiedział:

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! Postąpimy wedle rozkazu!

Klimienko usiadł na przednim fotelu landcruisera, Fannin zajął miejsce za kierownicą. Sasza stanął obok Bielowa i w milczeniu patrzył, jak samochód odjeżdża wąską wyboistą drogą w głąb wąwozu.

– Miejmy nadzieję, że wszystko zakończy się szczęśliwie – mruknął. Kiedy tamci zniknęli im z oczu, poszedł do strumienia, wyjął z zimnego nurtu trzy puszkę lemoniady, wrócił do Bielowa i rzekł:

– Przywołaj tu Panowa, niech przyniesie butelkę wódki. Zasłużyliśmy na mały toast.

Usadowił się wygodnie na składanym krzeselku pod namiotem i oparł zakurzone buty o brzeg stołu. Był przeświadczony, że czeka ich próżne sześciogodzinne oczekiwanie.

Gdy landcruiser oddalił się nieco, Aleksander zwrócił się do Klimienki po ukraińsku:

– Możesz zdjąć przepaskę z oczu.

– A co na to twój olbrzymi przyjaciel? Powiedziałeś mu wszystko?

– Nie. Wie tylko tyle, że chcę porozmawiać z tobą na osobności, nic więcej.

– Twoje szpiegowskie sztuczki postawiły mnie w kłopotliwej sytuacji – syknął pułkownik ze złością.

– Nie stosowałem wobec ciebie żadnych sztuczek. Aż do tej chwili nie musiałeś podejmować najmniejszego ryzyka. Nic się w Rosji nie zmieni, jeżeli tacy jak ty nie zdobędą się w końcu na odwagę.

– Nie musisz mnie pouczać! I daruj sobie wszelkie ironiczne uwagi na temat perspektyw bezkrwawego przewrotu, do którego mogłoby dojść, gdyby wszyscy ludzie w Związku Radzieckim przeciwstawili się najbardziej represyjnemu systemowi władzy we współczesnym świecie! Dlaczego was w CIA ciągle uczą tego samego? Dlaczego każdy wcześniej czy później musi zacząć nam tłumaczyć, że powinniśmy się w końcu skrzyknąć i ruszyć z widłami na Łubiankę? Może i kiedyś do tego dojdzie, lecz jeśli obalimy komunizm, to z pewnością nie dojdzie do tego dlatego, że garstka domorosłych filozofów z CIA poleciła nam to zrobić.

Ochłonawszy nieco, Klimienko dokładnie zrelacjonował wydarzenia poprzedniego wieczoru. Kiedy opisał ze szczegółami ostatni kwadrans życia Szadrina na polu minowym, Aleksander aż gwizdnął.

– I co teraz? Jak zamierzasz to rozegrać z Krasinem?

– Sasza to dziwak. Na pewno nie kieruje się pobudkami ideologicznymi, bo te są dla niego równie obce i grupie, jak cały radziecki ustrój. Uznaje tylko swoje własne zasady. Jestem przekonany, że nawet o nic nie zapyta, dopóki ktoś następny z Kabulu nie podejmie tego tropu, który wywęszył Szadrin. Gdyby nie Sasza, major zdążyłby przedstawić komu trzeba swoje

dowody, choćby tylko po to, aby dostać Order Czerwonego Sztandaru. A ja skończyłbym w celi na Łubiance. Jedynie Krasinowi zawdzięczam, że Szadrin wróci do ojczyzny w ocynkowanej skrzyni.

– A co będzie z tobą? Dla ciebie także, jak dla twojego przyjaciela, Krasina, cały radziecki ustrój jest obcy i głupi?

Klimienko odchylił się na oparcie fotela i wyciągnął trochę nogi.

– Tak jak ty jestem synem panny kijowskiej, synem, który wstąpił na służbę w pałacowej straży złego księcia, by przy sposobności go zdradzić.

– Więc na jedno wychodzi, bo zdrada oficera straży pałacowej musi ostatecznie przynieść ludziom wolność, prawda?

– Nie zapominaj, że to tylko baśń, która zresztą nie ma jeszcze zakończenia. W życiu doczesnym nikt nie może liczyć na wieczne szczęście, przynajmniej w mojej części świata.

– No cóż, skoro zaistniało ryzyko, że zostaniesz zdemaskowany, to chyba do nas należy teraz podjęcie decyzji, czy ta baśń będzie miała szczęśliwy czy tragiczny finał.

– Po wczorajszym wypadku z Szadrinem odtworzyłem w myślach dotychczasowy jej przebieg i próbowałem dopasować niektóre zdarzenia do nowo poznanych faktów. Matka jakieś trzy miesiące temu dostała potajemnie następny list od Lary i kiedy byłem w Kijowie na urlopie, usiłowaliśmy wspólnie rozwikłać parę występujących tam zagadek.

– Ja jeszcze nie widziałem tego rozdziału. Wyjechałem, zanim Lara zaczęła go pisać.

– Opowiada o jej córce jedynaczce, po ciotce noszącej imię Katerina, którą Lara wydała za młodzieńca pochodzącego z innej rosyjskiej rodziny, wypędzonej z kraju podczas wielkiej wojennej zawieruchy sprzed lat – odparł Klimienko, nawiązując do archaicznego języka baśni. – Tenże młodzieniec, noszący macedońskie imię, był dzielnym i odważnym rycerzem, który powiódł siły dobra z wielkiego kryształowego miasta na pomoc wojującym chanom, przegrywającym desperacką wojnę z armią złego cara.

– Czy teraz już treść tego rozdziału stała się dla ciebie jasna? – zapytał Aleksander, wciąż nie mogąc się nadziwić zrządzeniu losu, które zetknęło go z Anatolijem w tym obcym, górzystym kraju.

– Mieliśmy z matką zupełnie inne zdanie na temat tego fragmentu. Żadne z nas nie znało jeszcze faktów dających się do niego dopasować, nie licząc tego, że wiedzieliśmy o istnieniu córki Lary, która wyszła za mąż za człowieka także walczącego przeciwko złemu carowi.

Podejrzewaliśmy nawet, iż może on przebywać w Afganistanie. Muszę jednak przyznać, że przeżyłem szok, kiedy wczoraj powiedziałeś mi prawdę. Ciekaw jestem twojego zdania. Jakie, według ciebie, będzie zakończenie tej baśni? Czy sądzisz, że ostatecznie dojdzie do otwartej bitwy między siłami dobra i zła?

– Owszem, tak uważam. Ale moja agencja, mimo że występuje po stronie sił dobra, w trakcie przygotowań do rozstrzygającej bitwy dziwnie utraciła impet i wiarę w końcowy sukces. W każdym razie kierownictwo CIA było do tego stopnia usatysfakcjonowane wcześniejszymi osiągnięciami i przekonane, iż teraz wszystko pójdzie z górki, że przestało się angażować w walkę. Twoje pokolenie oficerów KGB zdaje już sobie sprawę, że waszym głównym wrogiem są ojczyste struktury państwowe, lecz brak wam wiary w to, że możecie cokolwiek zmienić. Z naszej strony istnieje podobny problem, gdyż w CIA również panuje takie przeświadczenie. Dlatego obie strony wolą się godzić z istniejącym stanem rzeczy. Ty pieczołowicie pniesz się w górę po przegniłych szczeblach hierarchii służbowej, żeby uszczknąć dla siebie coś z życia. My mamy odpowiednią motywację, jak również nieograniczone środki, by podsycać walkę. To chyba całkiem niezły punkt wyjścia do określenia tego, co może nas łączyć. Zgadzasz się z tym?

– Doszedłem do podobnych wniosków jakieś piętnaście lat temu, tyle że ze swej strony nigdy nie zamierzałem szturmować barykad. Nawet więcej, byłem już gotów wmówić sobie, że wszystko nie układa się wcale aż tak źle, kiedy ty pojawiłeś się na horyzoncie, żeby urwać dla siebie coś z życia. Nie zapominaj też, że dla oficerów mojego pokolenia nie jesteś lepszy od swych poprzedników. Nie tak dawno należałeś jeszcze do stada, które uciekało z Indochin z podwiniętym pod siebie ogonem, a wydarzenia następnych ośmiu lat pozwalały wnioskować o waszej bezsilności. To właśnie wasza paniczna ucieczka otworzyła nam drogę do przejęcia wielu spraw w swoje ręce. Doszło nawet do zacieśnienia wzajemnych stosunków, co było szczególnie odczuwalne w połowie lat siedemdziesiątych. Dopiero tragedia w Czarnobylu i śmierć mojego ojca sprawiły, że całkowicie utraciłem ochotę do dalszego udziału w tej grze, w której zaczynaliśmy stopniowo zyskiwać przewagę.

– Domyśliliśmy się, że zmarł ci ojciec, ale z rozdziałów napisanych przez twoją matkę trudno było wywnioskować, co się naprawdę stało.

– W gruncie rzeczy mojego ojca zabił ten sam parszywy ustrój, który doprowadził do śmierci dziesiątki tysięcy ukraińskich dzieci, nawet jeśli dziś one jeszcze żyją.

Na dłużej zapadło milczenie, wreszcie Klimienko zapytał:

– Naprawdę masz na imię Aleksander? Dotarło do nas wiele plotek o potężnym Aleksandrze z Paktii, sądziłem jednak, że chodzi o pseudonim któregoś z rebelianckich przywódców. Większość dukhisów, jak zdążyłem się przekonać, nazywa cię Sikandrem.

– Tak, Aleksander to moje prawdziwe imię. Nazywam się Aleksander Fannin. Nazwisko ojca brzmiało Falin, ale dziś z pewnością nie znajdziesz go w żadnych archiwach centrali na Łubiance. Ojciec zmienił je zaraz po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych w czterdziestym ósmym.

– I co się wydarzyło później? Co się działo z tobą? Jakim sposobem znalazłeś się w Afganistanie?

– Przez pierwszych dwadzieścia parę lat zaliczałem się do typowych rosyjskich uchodźców mieszkających w Teksasie. W domu mówiło się wyłącznie po rosyjsku i ukraińsku, mimo że rodzice bardzo szybko opanowali angielski.

– Potem jednak służyłeś w wojsku?

– Skończyłem studia historyczne ze specjalnością historii Rosji i stałem się ekspertem od spraw Armii Czerwonej, kiedy dostałem powołanie i wysłano mnie do Wietnamu. Ostatni rok wojny spędziłem w Sajgonie. W siedemdziesiątym czwartym zostałem zdemobilizowany, ale już wcześniej brałem udział w paru operacjach specjalnych, organizowanych przez CIA i Air America w całej Azji Południowo-Wschodniej. Jednocześnie coraz bardziej zaczęła mi doskwierać świadomość, że koniecznie należałoby zainicjować przemiany w Związku Radzieckim. Nigdy nie kryłem się ze swoimi przekonaniem, toteż szybko dano mi do zrozumienia, iż tylko służba w CIA umożliwi, przynajmniej w jakimś stopniu, realizację własnych dążeń.

– I tak w końcu zabiłeś solidnego ćwieka całej czterdziestej armii. Zgadzam się z tobą, co do znaczenia tej wojny, choć raczej nie uznałbym jej za ostateczną walkę dobra ze złem. Twoi przyjaciele, dukhisi, w rzeczywistości wcale nie są takimi niezłomnymi obrońcami wolności, jak ich przedstawia wasza propaganda. Być może jeszcze kiedyś pożałujesz, że miałeś z nimi cokolwiek wspólnego.

– Na razie wspólnie z Afgańczykami, chcę wypędzić Armię Radziecką z tego kraju, uważam to za swój obowiązek. Może dlatego sądzę, że kłopoty, jakie się z pewnością pojawią po wojnie, nie będą inne od tych, jakie znamy już dzisiaj. Są to problemy Afgańczyków i oni sami będą się musieli z nimi uporać.

Klimienko zachichotał.

– O ile zechcą. W sumie jednak zgadzam się z tobą, nie wygramy tej wojny ze stu różnych powodów. Może na Kremlu ktoś jeszcze sądzi, że za rok czy dwa zdołamy przechylić szalę zwycięstwa na naszą korzyść, ale to czysta mrzonka. Ty i twoi dukhisi zawsze będziecie w stanie związać nam ręce, nie tylko chwilowo, lecz w zasadzie na wieki. Mówię tak dlatego, że znam tę część świata znacznie lepiej od ludzi w Moskwie czy Kabulu, którzy pociągają za sznurki.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zdołamy na zawsze związać walką czterdziestą armię, martwi mnie jednak, że stale będzie rosła liczba zabitych Afgańczyków.

– A także Rosjan – wtrącił szybko Klimienko. – Dukhisi wyprawiają na tamten świat wielu uczciwych młodych chłopców, którzy nie chcą z nimi walczyć z własnej woli, a mimo to wracają do ojczyzny w plastikowych workach. To nie jest ich wojna.

– Dokładnie to samo mógłbym powiedzieć o Afgańczykach. Tylko matki oplakują zwłoki w plastikowych workach, politycy i generałowie jedynie liczą zabitych. Nie będzie temu końca, dopóki liczba ofiar nie utkwi ością w gardle wszystkim przywódcom. Dlatego musimy zabijać waszych chłopców, w duchu błagając o wybaczenie ich matki, by rozmiary strat ciskać prosto w twarz kremlowskim ideologom. I to wszystko jest częścią mojej wojny. Ale wiem też, że chyba nikt w Waszyngtonie nie zdaje sobie w pełni sprawy, jak bardzo czuli są wasi generałowie na punkcie liczby zabitych. W samej naturze Amerykanów leży przekonanie, że nikt na świecie nie ceni tak wysoko ludzkiego życia, jak oni. Tobie jednak nie muszę tłumaczyć, jak wpływa stale rosnąca liczba ofiar na zmiany taktyki, którą wasi generałowie usiłują stosować w tutejszych górach.

Landcruiser podskoczył na wybojach i Aleksander musiał się ponownie skupić na prowadzeniu. Po chwili znów wyjechali na równiejszy odcinek i można było przyspieszyć.

– A gdzie jest miejsce dla kobiet w naszym życiu? – zapytał Klimienko. Aleksander smętnie pokiwał głową.

– Katerina, twoja siostra cioteczna, a moja żona, stała się bezpośrednią przyczyną mego odejścia z CIA. Jeszcze zanim zdecydowaliśmy się na ślub, było jasne, iż wcześniej czy później ktoś z agencji dokopie się do tego, że jej matka ma bliźniaczkę, której syn jest oficerem KGB. Wyobrażasz to sobie?! Agent CIA spokrewniony z oficerem KGB! Dlatego postanowiliśmy wcześniej uniknąć poważnych kłopotów.

Anatolij zaśmiał się w głos.

– Właśnie wyobraziłem sobie, że stoję przed Czebrikowem i mówię mu otwarcie: „Dowiedziałem się, towarzyszu przewodniczący, że mój szwagier jest agentem CIA”.

Fannin zwolnił nieco przed ostrym zakrętem, gdzie wąska droga omijała łukiem olbrzymi głaz. Nagle trzydzieści metrów przed sobą ujrzeli półciężarówkę z grupą uzbrojonych mężczyzn, którzy w niczym nie przypominali Afgańczyków.

Rozdział 15

Siedzący z tyłu Twórca pochylił się między fotelami, aby lepiej przyjrzeć się obcym.

– Mamy chyba spore kłopoty – mruknął. – To nie są mudżahedini. Wyglądają na Arabów z rejonu zatoki lub Algierskich Braci Muzułmańskich, którzy przyjechali tu w poszukiwaniu mocnych wrażeń. Algierczycy już od pewnego czasu ostrzeliwują wszystkie karawany i okradają dostawcze ciężarówki w całej Paktii. Spróbuję się z nimi dogadać, lecz gdy tylko dam znak, sięgajcie po broń i bądźcie gotowi na wszystko.

Położył swój karabin AK-47 między przednimi siedzeniami i wysiadł z landcruisera, ściskając pod pachą ciężki pistolet Makarowa.

Algierczycy, którym przewodził olbrzymi Arab o gładko wygolonej głowie, uzbrojony w starą pepeszę, groźnie otoczyli go kołem.

– Znaleźliście się na kontrolowanym przeze mnie terenie bez mojej wiedzy – rzucił ostro łysy olbrzym w łamanym języku dari. – Kim jesteście i czego tu szukacie?

– Nazywam się Al-Musawwir i dowodzę bratnim ugrupowaniem doskonale znanym we wszystkich wschodnich prowincjach. Mój obóz znajduje się tuż za terytorium kontrolowanym przez Profesora Sayyafa, na którym właśnie przebywacie, z czego chyba powinniście sobie zdawać sprawę.

Arab szerokim łukiem nakierował lufę pepeszy na pierś Afgańczyka.

– Rekwirujemy twój samochód na potrzeby dżihadu.

Twórca obejrzał się na landcruisera i ruchem ręki przywołał do siebie Aleksandra i Anatolija, po czym zaczął tłumaczyć z przejściem:

– Moi bracia chcą was powitać wśród bojowników dżihadu. Wielką odwagą nappełnia nas widok takich nieustraszonych ludzi jak wy, którzy przybywają z daleka, by walczyć przeciwko Rosjanom. Ale samochód jest mi niezbędny do kontynuowania dżihadu. Powiadomię jednak Profesora Sayyafa, by odpowiednio zadbał, żeby wszyscy wspierający naszą walkę dostawali właściwy sprzęt do jej prowadzenia.

Klimienko z pozoru niedbale zarzucił kałasznikowa na ramię lufą do ziemi, położył dłoń na kolbie pistoletu i cicho powiedział do Aleksandra:

– Rzeczywiście mamy kłopoty. Ten łysy mówi w dari mieszanym z arabskim, zrozumiałem

jednak, że chce zarekwirować landcruisera.

– Bądź gotów pomóc nam, gdyby doszło do najgorszego – odparł Fannin.

– W najgorszej sytuacji należy pomagać przede wszystkim sobie – syknął Anatolij przez zęby.

– Musimy serdecznie powitać naszych przyjaciół znad zatoki, przyłączających się do dżihadu – mówił Twórca głośno i szybko, chcąc utrudnić Arabowi zrozumienie. – Szukają dodatkowych środków transportu, ale w pierwszej kolejności chyba powinniśmy im wpoić podstawowe zasady bojowników patańskich.

Na twarzy łysego Araba malowało się coraz większe zdumienie. Niepewnie przesunął pepeszę, kierując broń na środek grupki przybyszów. Klimienko zwrócił uwagę, że automat jest zabezpieczony. Reszta Algierczyków czujnie nastawiała ucha, lecz chyba żaden z nich nie rozumiał ani słowa. Dwaj mieli pistolety przewieszzone przez ramię, lecz trzech pozostałych trzymało je w gotowości przed sobą. Anatolij obliczył pospiesznie, że sześciu pistoletom maszynowym mogą przeciwstawić tylko jeden, nie licząc krótkiej broni, ale wielkie znaczenie powinien mieć element zaskoczenia. Zrobił krok do przodu i stanął obok Twórcy. Aleksander pozostał metr w tyle, stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi, lecz zapewne w prawej dłoni ukradkiem trzymał już kolbę browninga tkwiącego w kaburze pod lewą pachą.

– Gorąco witamy was w dżihadzie i serdecznie życzymy wam samych sukcesów w walce z najeźdźcami – rzekł Klimienko. Sądząc po minach Algierczyków, jego płynna arabska wymowa zdumiała ich jeszcze bardziej. – W jaki sposób możemy pomóc naszym braciom, do czego wzywa nas święty obowiązek?

– Kim jesteś? Nie wyglądasz ani na Araba, ani na Afgańczyka. Jakim więc prawem nazywasz siebie naszym bratem? Dopuszczasz się bluźnierstwa! – warknął przywódca grupy.

– Nazywam się Al-Mu'izz i pochodzę z okolic Baku nad Morzem Kaspijskim. Przybyłem z tak daleka, aby dołączyć do moich muzułmańskich braci prowadzących świętą wojnę. Ci bracia, którzy podróżują ze mną, nie znają tak dobrze waszego języka, potrafią jedynie odczytać wersety z Koranu – wyjaśnił Klimienko, gestem wskazując Twórcę i Fannina.

– Oddacie nam swój samochód i broń dla dżihadu – oznajmił stanowczo łysy Arab.

– Nie możemy tego zrobić, nie ściągając hańby na braci, którzy na nas czekają. Powinniście to zrozumieć.

– Wjechaliście na terytorium znajdujące się pod moją kontrolą, gdzie wszystko należy do

mnie!

Uniósł lufę pepeszy i z trzaskiem przerzucił bezpiecznik, ale nie zdążył już opuścić broni. Seria z pistoletu maszynowego Anatolija trafiła go prosto w pierś, ostatnie kule uderzyły w twarz padającego już mężczyzny, na której malował się zastygły wyraz skrajnego zdziwienia.

Kiedy tylko Klimienko pociągnął za spust, Aleksander wyszarpnął browninga i wystrzelił wprost w rozdziawione usta stojącego najbliżej Araba. Ten nie zdążył jeszcze paść na ziemię, gdy druga seria z AK-47 ścięła z nóg trzech Algierczyków zamykających koło z drugiej strony. Impet trafień był tak wielki, że wszyscy trzej polecili ze dwa metry do tyłu i zwalili się jak kłody, a ubity piach pod nimi zaczął szybko przesiąkać krwią. Ostatni Arab błyskawicznie padł twarzą na ziemię u stóp Twórcy i jął błagać o litość.

Ten szarpnął go za ramię, postawił na nogi, obrócił do Klimienki i rzekł po angielsku:

– Tłumacz z arabskiego, żeby nie było żadnych nieporozumień.

Anatolij zbliżył się do przerażonego Algierczyka i zaczął sumiennie tłumaczyć słowa Twórcy:

– Zniewałyście wszystkich mudżahedinów i okryliście hańbą dżihad. Z tego powodu będziesz musiał umrzeć, ale nie śmiercią męczennika. Zostaniesz wyeliminowany z walki. Możesz wracać do Peszawaru albo iść do diabła, nas to nie obchodzi, lecz jeśli kiedykolwiek przyłapiemy cię jeszcze na tej ziemi, wyklujemy ci oczy oraz połamiemy ręce i nogi, żebyś na zawsze pozostał ślepym kalekim żebrakiem.

Afgańczyk pchnął obcego na skrzynię półciężarówki i błyskawicznie przeszukał mu kieszenie. Znalazł algierski paszport oraz dokument identyfikujący posiadacza jako bojownika Partii Sayyafa.

– Tamtym też pozabierajcie paszporty – rzekł po angielsku, ruchem głowy wskazując ciała zabitych, a gdy Fannin i Klimienko pochyliłi się nad zwłokami, dodał: – Prześlę dokumenty Profesorowi Sayyafowi i powiem, że zhańbił dżihad. Przekażę także wasze nazwiska i fotografie do Peszawaru, aby wszyscy się dowiedzieli, jaką niesławą okryliście naszą walkę. Żaden z was nie znajdzie się wśród wielu *szadid* świętej wojny. Tylko prawdziwi wierni mogą być uważani za męczenników. – Odczekał chwilę, aż Klimienko przetłumaczy jego słowa, dorzucając parę dalszych zniewag od siebie, po czym zakończył ostro: – Zdejmij ubranie i buty!

Groźnie podetknął makarowa pod nos Algierczyka, toteż ten błyskawicznie rozebrał się do naga. Stał przygarbiony, trzęsąc się z zimna.

– Przyjechaliście specjalnie po to, żeby nas zabić, a nie obrabować! Zgadza się? – wrzasnął na niego Anatolij.

– Nic o tym nie wiem – bąknął niepewnie Arab.

Klimienko podniósł pistolet maszynowy jednego z zabitych, szczerknął zamkiem, wymierzył broń w Algierczyka i warknął groźnie:

– Nie damy ci nawet wrócić do Peszawaru, zginiesz tu, na miejscu! Dobrze wiesz, kto was najął do tej brudnej roboty! Albo zaraz powiesz prawdę, albo cię zastrzelę!

– Tylko on znał cel akcji – pisnął przerażony Arab, wskazując zwłoki łysego olbrzyma. – Nam powiedział, że mamy zabić Al-Musawwira i Amerykanina, obozujących w dolinie niedaleko granicy z Paraczinarem. Klnę się na święty Koran, że nic więcej nie wiem.

– Zostawimy go przy życiu – zawyrokował Twórca, gdy Anatolij przetłumaczył słowa tamtego. – Na pewno zrelacjonuje całe zdarzenie tym, którzy go na nas nasłali.

Klimienko obrócił się do Algierczyka.

– Nie wolno ci zabierać ubrań zabitym, bo jak wiadomo, w świętym Koranie jest napisane, że okrywa się hańbą i zasługuje na najpodlejszą śmierć ten, kto nosi rzeczy splamione krwią niegodziwców.

Pospiesznie zgarnął leżące na ziemi ubranie Araba i oddalił się w stronę landcruisera.

Twórca podniósł pepeszę łysego przywódcy i opróżnił magazynek w pokrywę silnika, koła oraz deskę rozdzielczą półciężarówki. Następnie zebrał pozostałą rozrzuconą broń i ruszył za Anatolijem. Aleksander zajrzał jeszcze na skrzynię samochodu, po czym także odszedł bez słowa, nie popatrzawszy nawet w kierunku osłupiałego nagiego Algierczyka.

Z powrotem zajęli miejsca w wozie. Zaledwie ruszyli, Klimienko rzucił ironicznie:

– Wygląda na to, że wasz dżihad ma spore kłopoty, jeżeli chodzi o wewnętrzną współpracę.

Samochód wynurzył się z gęstego sosnowego lasu i przed oczyma trzech mężczyzn rozpostarła się szeroka polana usytuowana na zakręcie głębokiego wąwozu wyłobionego przez rwący górski strumień. Jakieś sto metrów dalej, za zieleniejącą łąką, znajdował się pierwszy posterunek kontrolny. Droga opadała tu dość stromo, więc Twórca przełączył wóz na niższy bieg, żeby łatwiej hamować silnikiem.

Klimienko szybko ogarnął spojrzeniem całą pięknie położoną wśród lasów kotlinę, jak również kilku silnie uzbrojonych Afgańczyków strzegących przejazdu na drugim końcu polany.

A tuż nad strumieniem stał samotnie porucznik Orłow w świeżo wypranym mundurze i hardym wzrokiem patrzył na zbliżającego się landcruisera. Pod lasem po drugiej stronie nurtu czekało kilku następnych mudzahedinów.

Anatolij wysiadł z auta i ruszył od razu do jeńca, który na jego widok wyprężył się na baczność.

– Pułkownik Bielenko. Na rozkaz generała Polakowa zajmuję się negocjacjami w sprawie waszego uwolnienia z rąk duszmanów. Przykro mi, że nie zdołaliśmy wcześniej was odnaleźć, poruczniku.

– Pułkowniku, zanim przystąpi pan do omawiania swoich spraw z porucznikiem Orłowem, muszę prosić pana o udzielenie zgody na zarejestrowanie na taśmie wideo krótkiego fragmentu tego spotkania – wtrącił Fannin.

Nie czekając na odpowiedź, przywołał stojącego w grupce mudzahedinów J. D., wybrał odpowiednie miejsce do filmowania i kazał naszykować kamerę wideo. Kiedy tamten uruchomił zapis, Aleksander oznajmił do obiektywu:

– Oto zapis spotkania między pułkownikiem Bielenko z dowództwa sowieckiej czterdziestej armii z Kabulu i porucznikiem Orłowem ze sto piątej Gwardyjskiej Dywizji Desantowej. Dziś jest dziewiąty września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, a spotkanie odbywa się w prowincji Paktia, we wschodnim Afganistanie. Bardzo proszę, aby teraz każdy z panów przedstawił się do kamery i zechciał potwierdzić przytoczone przeze mnie informacje.

– Nazywam się pułkownik Iwan Bielenko. Potwierdzam, że wszystko, co zostało przed chwilą powiedziane, jest zgodne z prawdą – oświadczył napsuszonym tonem Anatolij, jakby wcielał się w postać gwiazdy filmowej.

– Jestem porucznik Michaił Orłow. Przedstawione na wstępie fakty są prawdziwe. – Ten był wyraźnie podenerwowany.

– Poruczniku Orłow, czy był pan źle traktowany podczas pańskiego pobytu u gościnnych mieszkańców Afganistanu? – zapytał Fannin.

– Nie traktowano mnie źle, zostałem jednak bezprawnie zatrzymany przez duszmanów, z pogwałceniem międzynarodowych konwencji oraz przepisów ustanowionych przez legalne władze Afganistanu.

– Proszę zdjąć bluzę mundurową, poruczniku.

Orłow zerknął niepewnie na Klimienkę. Ten tylko wzruszył obojętnie ramionami i skinął

przyzwalając głową, więc Michaił pospiesznie rozpiął guziki i rozebrał się do pasa. Silnie umięśniony i opalony, wyglądał jak po powrocie z trzytygodniowego urlopu nad Morzem Czarnym.

– Zechce się pan powoli obrócić? Pragnę utrwalić na taśmie, że nie nosi pan żadnych widocznych ran po pobycie w naszym obozie. Muszę też zapytać, czy nie ma pan żadnych skaleczeń na nogach, chyba że wolałby pan zdjąć również spodnie.

– Nie mam także ran na pozostałych częściach ciała. Sądzę, że to stwierdzenie pozwoli mi uniknąć dalszych upokorzeń.

Bez pytania zaczął z powrotem wciągać bluzę.

– Pułkowniku Bielenko, czy zechciałby pan do kamery przyznać, że porucznik Orłow jest w dobrej kondycji fizycznej i nie ma widocznych obrażeń?

– Porucznik Orłow nie nosi żadnych śladów fizycznej przemocy czy znęcania się – oznajmił Anatolij.

– Dziękuję obu panom za życzliwą współpracę. To nam wystarczy do celów archiwalnych. – Aleksander dał znak J. D., żeby wyłączył kamerę, po czym zwrócił się do Klimienki i Orłowa: – Bardzo bym prosił, żeby skończyli panowie tę poufną rozmowę w ciągu pół godziny. Nikt nie będzie przeszkadzał, lecz pozostaną panowie pod dyskretną obserwacją z pewnej odległości.

Obaj Rosjanie ruszyli powoli wzdłuż strumienia w kierunku niewielkiej kępy sosen.

– Rzeczywiście sprawiacie wrażenie wypoczętego i rozluźnionego, mimo przebywania w niewoli, poruczniku. Jak wam wiadomo, jednym z podstawowych obowiązków wszystkich schwytanych żołnierzy jest w miarę możliwości utrzymanie najlepszej kondycji fizycznej, co ułatwia zniesienie psychicznych cierpień związanych z uwięzieniem. Muszę was pochwalić, sprawujecie się wzorowo.

– Jestem w pełni świadom moich obowiązków w czasie uwięzienia i możecie być pewni, towarzyszu pułkowniku, że wszystkie wypełniam sumiennie – powiedział Orłow z dumą w głosie, chyba niezbyt jeszcze pewien, czy ma uważać pułkownika za przyjaciela, czy za wroga.

– W porządku, poruczniku, nie jesteśmy w sztabie. Chciałem wam tylko powiedzieć, że wyglądacie doskonale i należy się wam za to pochwała.

– Już następnego dnia po tym, jak mnie schwytali, stało się jasne, że doskonale wiedzą, kim jestem i jaką mogę dla nich przedstawiać wartość. Co gorsza, wpadłem w łapy agentów CIA.

– Trudno. Zorganizujemy wymianę jeńców, której się domagają, ale może to jeszcze potrwać

kilka tygodni. Macie do przekazania jakieś wiadomości dla swoich rodziców? Pewnie będę rozmawiał z waszym ojcem przez telefon zaraz po powrocie do Kabulu.

– Proszę mu powiedzieć, towarzyszu pułkowniku, że nawet na chwilę nie zapomniałem o ciężących na mnie powinnościach oficera Armii Radzieckiej.

– Wasz ojciec będzie dumny, jak to usłyszy. Chciałbym, abyście napisali do niego list, który zabiorę przy następnym spotkaniu. Z pewnością kilka ciepłych, skreślonych przez was słów, pomoże mu przetrwać najcięższy okres, a może przy okazji pozwoli spokojnie zasnąć pewnemu czekistowskiemu gryzipiórkowi.

Orłow uśmiechnął się ironicznie.

– Rozumiem, towarzyszu pułkowniku. Przygotuję list na następne spotkanie. Nie wiem, co mógłbym jeszcze teraz powiedzieć. Od was także niczego więcej nie oczekuję, towarzyszu pułkowniku. Dziękuję, że zechcieliście podjąć to ryzyko i przyjechać na rozmowę ze mną.

Aleksander zatrzymał samochód, gdy wjechali na krawędź wzniesienia górującego nad kotliną, w której poprzednio rozprawili się z grupą Algierczyków. Twórca uważnie zlustrował teren przez lornetkę i polecił Fanninowi wolno zjeżdżać w kierunku stojącej przy drodze półciężarówki.

– Wygląda na to, że ciała pięciu zastrzelonych Arabów nikt nie ruszał, ale ten, którego puściliśmy wolno, siedzi nieruchomo oparty o pień drzewa jakieś dwadzieścia metrów od samochodu. Także sprawia wrażenie trupa – rzekł przekazując lornetkę Klimience.

Ten nie bez trudu nakierował ją w podskakującym landcruiserze na nagie ciało mężczyzny pod drzewem.

– Zatrzymaj tutaj! – rozkazał po chwili Twórca, gdy droga doprowadziła ich na dno kotliny.
– Dalej pójde pieszko. Bądźcie w pogotowiu.

Wysiadł i szybko ruszył w stronę Algierczyka. Fannin i Anatolij stanęli przed maską auta, trzymając przygotowane do strzału pistolety AK-47.

Twórca już z daleka rozpoznał typowy odgłos zwiastujący śmierć. Głośne brzęczenie wielkiego roju much kręcących się nad okaleczonym ciałem słyszalne było z odległości paru metrów. Obrzucił szybkim spojrzeniem makabryczną scenę, odtwarzając w wyobraźni przebieg wydarzeń, po czym ruchem ręki przywołał do siebie dwóch towarzyszy.

Klimienko jako pierwszy stanął u jego boku, skrzywił się z obrzydzeniem i cichym szeptem

zacytował czterowiersz Kiplinga:

*Gdy się ranny zagubisz wśród afgańskich bezdroży
I nadciągną kobiety, aby użyć swych noży,
Lepiej chwycić za karabin, prosto w łeb sobie strzel,
Byś przed Bogiem mógł stanąć, boś żołnierską miał śmierć.*

Araba spotkał okrutny los. Miał obcięte stopy i dłonie, a także uszy, nos i wargi. Liczne ślady zakrzepłej krwi na jego ciele i ziemi świadczyły dobitnie, że okaleczono go jeszcze za życia. Całą klatkę piersiową, ramiona i uda okrywały setki drobnych kłutych ran, które dopiero teraz odcinały się na tle bladej skóry brązowopurpurowym kolorem. Wcześniej zapewne człowiek został oślepiony typowo po afgańsku, przez dwa silne pchnięcia szerokim nożem prosto w gałki oczne. Wreszcie na końcu wyrwano mu język z ust, rozdziawionych teraz w niemym wrzasku konającego.

– To nie były tortury, mające na celu wydobycie zeznań – rzekł Twórca. – Zamęczono go wyłącznie dla rozrywki. Nie sądzę, aby któryś z was potrafił to zrozumieć.

W czasie drogi powrotnej do landcruisera wszyscy trzej zerkali jednak trwożliwie na otaczające ich góry. A kiedy wreszcie pojechali dalej, pragnąc jak najszybciej ujrzeć przed sobą znajomy Czołg z Żołnierzami, Aleksander odezwał się do Klimienki po ukraińsku:

– Zakończyliśmy pierwszą fazę negocjacji w sprawie Orłowa. Domyślam się, że będziesz teraz chciał jak najszybciej wyjaśnić wszelkie rozbieżności, jakie istnieją między naszymi spisami uwięzionych dowódców partyzanckich. Mogę zapewnić, że nie zgłosimy już żadnych dodatkowych żądań.

– Masz rację, chciałbym jak najszybciej doprowadzić tę sprawę do końca. Mogę też obiecać, że niezależnie od liczby jeńców, którzy ostatecznie wezmą udział w wymianie, będą to wszyscy, jakich zdołamy odnaleźć i zidentyfikować. A to wcale nie takie proste. Podejrzewam, iż zajmie nam to ze dwa tygodnie. Chyba możemy się wstępnie umówić, że przetransportujemy do Dżalalabadu całą grupę, łącznie z chorymi i umierającymi, za trzy tygodnie. Będziemy mogli przekazać jeńców w wasze ręce u wylotu przełęczy Torkham. Trzeba jeszcze będzie skoordynować to z uwolnieniem Orłowa w Paktii, ale z tym nie powinno być większych kłopotów.

– Zatem nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zorganizować jeszcze jedno twoje spotkanie z Orłowem, zanim dojdzie do wymiany – odparł Fannin.

Klimienko sztywno przytaknął ruchem głowy, domyśliwszy się, że Aleksandrowi zależy na kolejnej rozmowie dokładnie z tych samych powodów, które i jemu nie dawały spokoju.

Ponderosa, 10 września, 15.00

Twórca nalał zielonej herbaty do maleńkiej filiżanki i ostrożnie postawił ją przed swym gościem. Z uwagą obserwował, jak tamten wsypuje do niej trzy czubate łyżeczki cukru, wrzuca dwa nasiona kardamonu i zaczyna z namaszczeniem mieszać parujący napój. Mułła Salang był nie kwestionowanym panem gór w rejonie Khost, samozwańczym duchowym przywódcą ludu, szefem największego i najlepiej zorganizowanego ugrupowania partyzanckiego w Paktii. Po siedmiu latach wojny jego szaleńcza odwaga i śmiałość granicząca z ryzykanctwem budziły coraz więcej podejrzeń. Ludzie, którzy znali go bliżej, twierdzili, że jest po prostu obłąkany, co w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało ani Twórcy, ani innym jemu podobnym przywódcom mudżahedinów z prawego skrzydła dżihadu. Hołdowali zasadzie, że nawet tacy szaleńcy jak mułła Salang mogą dopomóc w przechyleniu szali zwycięstwa na ich korzyść.

Obaj mężczyźni siedzieli na miękkich poduszkach ułożonych na wzorzystym dywanie w głównej sali baraku w obozie Al-Musawwira. Salang prawie nie ustępował wzrostem gospodarzowi, był jednak wyraźnie grubszy, kruczoczarne włosy miał nieco bardziej przerzedzone, lecz nosił równie gęstą i skołtunioną brodę. W jego oczach płonął fanatyzm wyznawcy Allaha, okrucieństwa wojny domowej stały się idealną pożywką dla takich jak on, zaślepionych kanonami wiary trybunów ludowych. Mułła był w pełni świadom, że zaproszenie Musawwira wiąże się z jakąś prośbą, której spełnienie był mu winien w ramach rewanżu. Podczas niedawnej wielkiej bitwy na przełęczy Setow Kandow odłamek ranił go bowiem w nogę, później rana zaczęła się jątrzyć do tego stopnia, że Salangowi zajrzało w oczy widmo amputacji, czego obawiał się znacznie bardziej niż śmierci. Tak więc nie tylko nogę, lecz nawet życie uratował mu wezwany pilnie Doc Halliday, stacjonujący w Ermitażu lekarz amerykańskich oddziałów specjalnych, który zjawił się w Khost z przenośnym aparatem rentgenowskim, używanym zazwyczaj do prześwietlania radzieckich niewypałów w celu wykrycia, czy nie są pułapkami uzbrojonymi w miny, jak również do prześwietlania min wyposażonych

w niestandardowe rodzaje zapalników. Przy pomocy rentgena Doc szybko zlokalizował odłamek pod kolanem Salanga, po czym przystąpił do operacji.

Trwał właśnie ramadan, toteż mułła Salang nie zgodził się nawet na miejscowe znieczulenie przed zakończeniem postu o zachodzie słońca, ponieważ zgodnie z zasadami islamu podczas ramadanu nie wolno było przyjmować żadnych leków. Doc orzekł jednak, że pacjent nie może czekać sześciu godzin do zmroku, i jeśli nawet kanony religii powinny być szczególnie surowo przestrzegane w trakcie prowadzenia świętej wojny, to leżący przed nim człowiek musi być natychmiast poddany zabiegowi. Dlatego niezwłocznie naciął głęboko ranę bez znieczulenia. Jak później opowiadał, Salang tylko nieznacznie skrzywił się z bólu. Doc dezynfekował ranę i zaszył ją, a po zachodzie zaaplikował Afgańczykowi masę antybiotyków. W ten sposób zyskali sobie nowego przyjaciela, mającego wobec nich dług wdzięczności.

– Maulvi Salang – zaczął Twórca nieco teatralnym, podniosłym tonem. – Potrzebna mi twoja pomoc.

– Mów śmiało.

– Dobrze wiesz, że dżihad ściągnął do nas wielu bojowników z różnych stron, pragnących wypędzić stąd Rosjan. Ale oprócz nich zjawili się też ludzie, którzy okrywają hańbą dżihad i sieją ziarno niezgody między bojownikami afgańskimi. Czy słyszałeś o pułapce, jaką zastawili na nas Algierczycy w połowie drogi między tym obozem a Czołgiem z Żołnierzami?

– Wiem o wszystkim, co się dzieje w tej prowincji – odparł lakonicznie Salang.

– Zatem wiesz także, że była to zasadzka na mnie i mego brata, Aleksandra, a napastnicy otrzymali potajemnie rozkazy, żeby nas zabić. Zastrzeliliśmy wszystkich oprócz jednego, ale nie zdołaliśmy się dowiedzieć, kto ich nasłał.

– Sądzę, że twój amerykański przyjaciel jest zbyt niecierpliwy jak na warunki życia w tutejszych górach – rzekł z dumą w głosie Salang. – Ja i moi ludzie mieliśmy znacznie więcej czasu na rozmowę z tym Algierczykiem, którego napotkaliśmy siedzącego pod drzewem. Najpierw opowiedział nam o bandyckiej napaści, później o własnej hańbie, gdyż jakoby nie mógł skorzystać z ubrań zabitych bez sprzeciwiania się naukom Proroka. Szybko wyłożyliśmy mu prawdy zawarte w Koranie i ochoczo powiedział nam mnóstwo rzeczy, których chcieliśmy się dowiedzieć, jak też wiele niezbyt nas interesujących. W końcu trzeba było zdecydować, że ten człowiek powinien zamilknąć na zawsze.

– Czy przyznał, że urządzili zasadzkę na rozkaz Inżyniera Imama?

– Wielu Algierczyków darzy szczerym podziwem Inżyniera Imama, nie sędę jednak, by rzeczywiście to Partia Boga zorganizowała zasadzkę. Podejrzewam, iż ci ludzie dowiedzieli się jakoś, że Imam nie darzy sympatią Al-Musawwira i jego brata Sikandra, przypuszczam więc, iż postanowili się przypodobać Inżynierowi, być może w nadziei uzyskania od niego jakiejś cięższej broni, i wyruszyli w teren, aby wykazać się przed nim męstwem. Sędę, że zabicie Aleksandra i ciebie było ich własnym pomysłem, choć niewykluczone, że gorąco zachęcał ich do tego ktoś mający powiązania z Peszawarem.

– Co radziłbyś mi począć z tym ludźmi, Maulvi Salang? – spytał Twórca.

– Nic.

– Jak to nic?

– Zwyczajnie. Podjąłem już decyzję, że wszyscy ci Algierczycy zginą, i to w dość nietypowy sposób. Na pewno cię to ucieszy.

– Będę twoim dłużnikiem, Maulvi Salang.

– Nieprawda, wyeliminowaniem Algierczyków spłacę jedynie swój wcześniejszy dług. – Tym razem to Salang napełnił herbatą filiżankę Musawwira. Uśmiechnął się tajemniczo i dodał: – Powiedz Aleksandrowi, że dotrzymam danej mu obietnicy w sprawie zamachów bombowych na ciężarówkę dostawcze. I powiedz mu też, że gdy rozprawię się z Algierczykami, przyjadę do niego z prośbą o kilka tych wspaniałych pocisków, których odpalania uczy bojowników twoich oraz Inżyniera Imama.

– Aleksander wysłał już do ciebie list, w którym prosi, żebyś wyznaczył pięciu swoich najmądrzejszych i najsprytniejszych bojowników na kurs szkolenia w Ermitażu, rozpoczynający się pierwszego października. Powiedział mi wyraźnie, że byłoby bardzo dobrze dla dżihadu, gdyby ludzie Maulwiego Salanga także dostali nową broń do zwalczania samolotów i śmigłowców dostarczających codziennie zapasy do bazy w Khost.

– Tych pięciu zjawi się tu pierwszego października. A teraz, mój bracie, muszę już wracać, aby się zająć naszą wspólną sprawą, dotyczącą algierskich przyjaciół. – Z widocznym trudem dźwignął się na nogi, po czym wyjaśnił cicho: – Kolano czasami mi jeszcze dokucza.

Twórca odprowadził go na polanę, gdzie przy jeepie czekało pięciu ludzi ochrony Salanga. A spoglądając za oddalającym się wozem, po raz nie wiadomo który zadał sobie w duchu pytanie, czy ci ludzie kiedykolwiek będą zdolni wrócić do normalnego życia, jakie wiedli przed wojną. Ten problem niepokoił go tym bardziej, że w pełni zdawał sobie sprawę, iż sam także

należy do tych ludzi.

Rozdział 16

Kabul, 22 września, 0.30

Klimienko po raz kolejny przesiedział przy biurku do północy. Domyślał się, że jest już sam w tej części budynku, ale dla pewności wyjrzał na korytarz. Wartownik drzemał na swym posterunku, toteż Anatolij wycofał się na palcach, po cichu zamknął drzwi pokoju i wyciągnął z szafy pancерnej notes Szadrina.

Teoretycznie powinny się w nim znajdować wszelkie informacje niezbędne do rutynowej pracy oficera KGB, notatki z przeprowadzonych operacji, służące do sporządzania raportów, zapiski dotyczące kontaktów z centralą, terminarze spotkań czy skróty odebranych instrukcji. Z notesów nie wolno było wrywać kartek, a gdyby zaistniała taka konieczność, każdy oficer musiał własnoręcznie wszyć nowe między okładki. Wszystkie te zasady głęboko wpajano każdemu strażnikowi ideałów rewolucji podczas szkolenia w Instytucie Czerwonego Sztandaru imienia Andropowa. Z notesem też nie wolno się było nigdy rozstawać, co sprawiało wiele uciechy i satysfakcji agentom CIA. Gdy któryś z oficerów bowiem przechodził na drugą stronę, na podstawie tej swoistej biblii mógł odtworzyć z najdrobniejszymi szczegółami przebieg swojej służby, dając tym samym dowód licznych działań sprzecznych z zasadami demokracji.

Po zakończeniu każdego dnia pracy oficerowie mieli obowiązek zdawać swoje notesy w miejscowej referaturze, prowadzącej ściśle tajne archiwum. Wcześniej Klimienko musiał wydać Szadrinowi pisemną zgodę na to, by zabrał ze sobą niezbędne poufne materiały do Ali Khel, ale w ten sposób łatwo można było teraz wytłumaczyć, dlaczego notes nie znalazł się jak zwykle w referaturze. Toteż żaden oficer dochodzeniowy nie miał najmniejszych podstaw, by łączyć zniknięcie tajnego notesu zabitego z osobą Klimienki. Jedynym wyjątkiem był zapewne wścibski Karm Siergiejewicz Nikitienko.

Wczytując się po raz kolejny w zapisane maczkiem strony, pułkownik wywnioskował, że tamten musiał gromadzić materiały przeciwko niemu już od wielu miesięcy. Właśnie tu, w notesie Szadrina, znalazł się powód niezwykłego zainteresowania pułkownika KSN swoim kolegą, pułkownikiem AWK. Przy opisie pewnych zastanawiających faktów Szadrin dopisał „Po co?” i podkreślił to pytanie grubą kreską. On bowiem znał jedynie własne motywy podejrzeń wobec Klimienki, nie miał jednak pojęcia, dlaczego potajemne śledztwo wszczął również

Nikitienko.

Anatolij jednak świetnie znał przyczynę, a były nią wydarzenia w Bejrucie, gdzie Nikitienko zajmował stanowisko rezydenta sekcji KGB. Na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku doszło do tragedii, ponieważ aż trzech podległych mu oficerów stało się jednocześnie zakładnikami Hezbollahu. Sześciotygodniowe intensywne działania nie doprowadziły nawet do zlokalizowania miejsca przetrzymywania porwanych, bezlitośnie obnażyły tylko nieporadność miejscowego rezydenta. Kiedy w końcu wyszło na jaw, że jeden z porwanych zmarł w niewoli, do Libanu został wysłany oddział Alfa, właśnie pod dowództwem Klimienki, który przejął sprawy w swoje ręce. W ciągu dziesięciu dni udało się oswobodzić dwóch pozostałych zakładników, przy czym w zaciętej strzelaninie zginęli wszyscy porwacze z Hezbollahu. Klimienko zaś został odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru. Jakby mało było jeszcze tych upokorzeń Nikitienki, jeden z uwolnionych zakładników okazał się wieloletnim informatorem CIA i miesiąc później zbiegł na Zachód. Kierownictwo Komitetu zastosowało odpowiednie sankcje, całą winą obarczono Nikitienkę, uznanego za zwykłego karierowicza i po ujawnieniu drugiej serii jego wręcz sensacyjnych porażek, zesłano pułkownika do pracy we wrogim Afganistanie. Jak można się było spodziewać, negatywny zwrot w swojej karierze Nikitienko powiązał nie z tragicznymi wydarzeniami w Bejrucie, ale z osobą Klimienki, gdyż zapewne utkwily mu ością w gardle liczne pochwały dla tego ostatniego za wielkie zaangażowanie i odwagę. Zapewne już wtedy postanowił szukać okazji do zemsty, choć musiał się uzbroić w cierpliwość.

Nikitienko słynął ze swego bezgranicznego oddania ideałom komunizmu, pochodził zresztą z rodziny o rewolucyjnych tradycjach, gdyż jego dziadek szturmował Pałac Zimowy w Sankt Petersburgu. Swoimi przekonaniem wyróżniał się nawet na tle innych oficerów, służących przecież w instytucji stojącej na straży ustroju. Samo jego imię – jako że Karm było skrótem od *Krasnaja Armia* – wywodziło się z czasów ślepego zauroczenia rewolucją październikową i pozwalało zaliczyć rodziców pułkownika do warstwy ludzi najbardziej oddanych socjalizmowi. Nikitienko był zresztą dumny ze swego imienia i wszystkiego, co ono symbolizuje, jak też z własnego ojca, pomysłodawcy niecodziennego imienia, który za służbę w armii marszałka Żukowa został odznaczony Orderem Lenina.

Zaledwie paru kolegów Nikitienki uważało go za błyskotliwego specjalistę kontrwywiadu,

odznaczającego się niezwykłą cierpliwością oraz pracowitością i szczególnie pieczołowicie chroniącego własne tajemnice. Większość jednak uważała, iż żadne tajemnice w ogóle nie istnieją, a reszta jest tylko zwykłą pozą. Na samym początku jego służby pojawiły się liczne plotki o więzach pokrewieństwa łączących go z nadwołżańskimi Niemcami, powszechnie otaczanymi wzgardą. I chociaż Karm uwolnił się od wszelkich podejrzeń, nigdy do końca nie zniknęła nieufność, jaką żywiono wobec niego. Na nic się zdały tłumaczenia, że doskonała znajomość niemieckiego wynika tylko stąd, że gdy matka i siostra zginęły podczas hitlerowskiego nalotu, nim zaopiekowała się rodzina niemieckiego pochodzenia, z którą zamieszkał aż do powrotu ojca z frontu. Nie pomogły też wyniki śledztwa przeprowadzonego przez Wydział Dochodzeniowy KGB, jednoznacznie potwierdzające, że Nikitienko pochodzi z rodziny o czysto rosyjskim rodowodzie, a jego ojciec jest znany jako wierny komunista i bohater wojenny. Z czasem plotki jednak przycichły i koledzy przestali się interesować tajemnicami pułkownika, co było mu bardzo na rękę. Obawiał się, że gdy ludzie wywęszą prawdziwy sekret, zrobią wszystko, aby go poznać, a on nie życzył sobie, by ktokolwiek szperał w mrocznych głębinach jego duszy, bo mógłby przypadkiem trafić na ślad dawnej rodzinnej tragedii ściśle związanej z historią Związku Radzieckiego.

Zadania, jakie Nikitienko wykonywał w Kabulu, były znacznie poniżej jego możliwości, ale też i przydział do sztabu czterdziestej armii miał stanowić dla niego rodzaj kary. Ogólnie rzecz biorąc, dostał rozkaz uważnego wypatrywania czegokolwiek, co mogłoby się przerodzić w sprawę kontrwywiadowczą. Oznaczało to konieczność stworzenia rozległej siatki informatorów, obecnych niemal we wszystkich oficjalnych instytucjach radzieckich w Afganistanie z wyłączeniem samej armii. Tego rodzaju działalność, przynajmniej formalnie, podlegała Trzeciemu Dyrektoriatowi KGB. Nazywając sprawy po imieniu, Nikitienko musiał wynajdywać ludzi, często kolegów służących w tym samym Komitecie, których ideowe nastawienie budziło wątpliwości, a więc oficerów szerzących niewiarę w powodzenie interwencji militarnej czy wręcz podejrzewanych o zbrodnie przeciwko ustrojowi państwowemu. Pod takimi zarzutami można było osądzić niemal każdego obywatela ZSRR, toteż od działań Nikitienki po prostu zależał los człowieka. Jego samego zaś nie obchodziło, że koledzy omijają go z daleka czy nawet nim gardzą. Nie potrzebował żadnych przyjaciół, którzy przysparzają tylko kłopotów, zwłaszcza wtedy, gdy ma się obowiązek ujawniać skrywane przez nich tajemnice.

Po raz kolejny Klimienko przerzucił cały notes, odświeżając w pamięci szczegóły prowadzonego przez Szadrina dochodzenia. Wreszcie zaczął systematycznie wrywać kolejne kartki i upychać je do papierowego worka, przeznaczonego specjalnie na poufne materiały wymagające spalenia pod nadzorem właściwego oficera. Na szarym papierze, pod wielkim napisem ŚCIŚLE TAJNE – SZYFRY, widniał skreślony na czerwono numer identyfikacyjny Klimienki. Dlatego pułkownik mógł po zakończeniu pracy osobiście cisnąć worek do pieca, a oficerowi dyżurnemu podsunąć tylko pokwitowanie do podpisu.

Dwa dni wcześniej szczątki Szadrina zostały wciągnięte na listę Czarnego Tulipana i odleciały samolotem IŁ-76 do Moskwy. Podczas krótkiej ceremonii na lotnisku w Kabulu Krasin wygłosił wzruszającą mowę pożegnalną i zacytował ostatnie słowa przyjaciela, jakie padły na polu minowym w Ali Khel. „Nawet gdy widmo śmierci zaglądało już w oczy majora Szadrina”, mówił Sasza wyraźnie łamiącym się głosem, „a w wyschniętą ziemię uedu wsiąkała jego krew, on myślał przede wszystkim o bezpieczeństwie swoich towarzyszy. Nalegał, abym go tam zostawił i wracał, gdyż jakoby kolejna mina spoczywała tuż obok jego ręki i mogła eksplodować w każdej chwili. Ale w rzeczywistości nie było tam żadnej miny, w pobliżu leżała tylko jego oderwana noga, z czego on zapewne nie zdawał sobie już sprawy. W każdym razie tuż przed śmiercią major Szadrin troszczył się przede wszystkim o moje, a nie swoje bezpieczeństwo. Takim właśnie człowiekiem był nasz poległy kolega”.

Klimienko nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Krasin zbyt dramatyzuje całą tę bzdurę o troskliwym towarzyszu. Nie umiał nawet ocenić, czy ktokolwiek z garstki obecnych na lotnisku oficerów wierzy w tę relację. Być może poległego naprawdę żałował jedynie zasępiony siwowłosy Nikitenko, który w czasie ceremonii częściej spoglądał na niego i Krasina niż na trumnę obitą cynkowaną blachą.

Krótko po tym nadeszły zagadkowe rozkazy Polakowa. Po obejrzeniu zapisu wideo ze spotkania Klimienki z Orłowem, generał polecił wysłać kasetę pierwszym samolotem do sztabu zgrupowania wojsk w NRD, za co otrzymał przez telefon serdeczne podziękowania od ojca więzionego porucznika. Podbudowany nimi i zachęcony kuszącą perspektywą uwolnienia młodego Orłowa z rąk bandytów, postanowił osobiście włączyć się aktywnie w akcję szykowania wymiany jeńców.

Anatolij doskonale wiedział, że wcześniej czy później wszystkie jego raporty trafiana biurko Nikitenki, zdecydował więc, iż musi stale mieć to na uwadze. Nie wątpił też, że pułkownik

dokładnie zapozna się z raportem porucznika Orłowa opisującym jego pobyt w obozie rebeliantów, zatem trzeba było umiejętnie omijać wszelkie pułapki, relacjonując przebieg negocjacji z olbrzymim duszmannem i świetnie mówiącym po rosyjsku najemnikiem. Dotychczas przedstawiał Aleksandra jako białego przybysza niewiadomego pochodzenia, zapewne współpracującego z CIA, który starał się upodobnić wyglądem i strojem do goszczących go dukhisów, nie omieszkawszy jednak podkreślić w raportach jego płynnej znajomości rosyjskiego. Obawiał się, że zatajenie tego faktu może mu przysporzyć sporo kłopotów. Za to bez oporów opisywał ze szczegółami Musawwira, przedstawiając go jako głównego negocjatora ze strony rebeliantów. Nie wątpił, iż dostarczone przez niego informacje pozwolą specjalistom KGB bez trudu określić tożsamość tego człowieka. Chciał jednak zyskać swoistą polisę bezpieczeństwa, dlatego postanowił na osobności rozmówić się z Orłowem po jego uwolnieniu przy Czołgu z Żołnierzami, by zyskać pewność, że w raporcie młodego porucznika nie znajdzie się nic, co mogłoby budzić jakiegokolwiek podejrzenia.

Po krótkim namyśle Klimienko wyjął jeszcze z szafy pancernejszej ostatnią depeszę przechwyconą w szyfrowanym kanale Alfa. Zapalił lampkę na biurku i ponownie zagłębił się w lekturze meldunku.

Od Alfa cztery do Alfa jeden. Załączam wnioski i zalecenia Alfa cztery dotyczące negocjacji na temat wymiany jeńców z 18 września. Szczegółowa instrukcja została już wysłana specjalnym kurierem. Jak podkreślono, w tym raporcie nie ma żadnych powodów, dla których Rosjanie mieli zatajać nazwiska więzionych. Płk Bielenko zapewne szczerze obiecywał, że ostateczna lista będzie możliwie pełna i wyczerpująca. Zalecam wyrażenie zgody na propozycję przejęcia kontroli nad uwolnionymi braćmi na przełęczy Torkham, równocześnie z uwolnieniem Orłowa przy Czołgu z Żołnierzami. Do wymiany powinno dojść w pierwszej połowie października, jeżeli nie nastąpią żadne nieprzewidziane komplikacje.

Inna sprawa. Co do przypuszczeń, czy por. Orłow zechciałby przejść na naszą stronę, zarówno Alfa dwa, jak i Alfa cztery są zgodni, iż nie ma żadnych podstaw, by oczekiwać, że Orłow byłby chętny do porzucenia służby w armii i podjęcia działań przeciwko swojej ojczyźnie. Alfa dwa i cztery wspólnie wyrażają opinię, że Orłow jest „dwustuprocentowym” obrońcą komunizmu całkowicie przekonany o słuszności sowieckiej interwencji w Afganistanie. Gdyby nie szansa na uwolnienie naszych braci zalecalibyśmy natychmiastowe rozstrzelanie Orłowa.

Inna sprawa. Alfa dwa i cztery nie mają żadnych informacji na temat ewentualnej przydatności dla nas, zapewne posługującego się pseudonimem, płk Bielenki. Mimo rozesłania szczegółowych opisów i kopii kasety wideo ze spotkania Bielenko Orłowa, nie udało się go zidentyfikować. Informacja dodatkowa. Jak na ironię to Bielenko można zawdzięczać, że Alfa dwa i cztery nie zginęli w zasadzce zastawionej przez arabskich bandytów na drodze do miejsca przetrzymywania Orłowa. Bielenko rozpoznał zasadzkę i zabił trzech bandytów. Pełny raport z tego wypadku i zalecenia dalszych działań wysłałem specjalnym kurierem. Bielenko zapewne dostał od przełożonych wolną rękę w sprawie negocjacji i działa bardzo skutecznie. Stąd i jego można uważać za „kolejnego dwustuprocentowego” obrońcę komunizmu. Proszę zawiadomić przyjaciół, że naszym podstawowym celem dalszych spotkań z Bielenką jest tylko uwolnienie braci i kuzynów. Jakakolwiek próba przeciągnięcia Orłowa czy Bielenki na stronę braci ma znaczenie drugorzędne i nie rokuje nadziei na powodzenie. Proszę także o potwierdzenie zgody wszystkich zainteresowanych stron na dokonanie wymiany Orłowa na więzionych braci i przesłanie jej na piśmie specjalnym kurierem. Bóg prowadzi. Koniec.

Klimienko zwrócił uwagę na określenie „kuzyni” i doszedł do wniosku, że Aleksander musi wiedzieć, iż wszelkie przechwycone depesze trafiają do niego, a więc zapewne chciał go w ten sposób przestrzec. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że zaszyfrowany język meldunków przesyłanych kanałem Alfa jest przeznaczony dla odbiorców w Kabulu, chociaż chyba nikt oprócz niego nie potrafił wyłowić znaczenia pewnych zwrotów wyróżniających się w depeszach dukhisów.

Posprzątał papiery z biurka, zamknął je w kasie pancerniej, wziął worek przeznaczony do spalania i ruszył do piwnicy. Porucznik dyżurujący przed stalowymi drzwiami kotłowni siedział bez bluzy mundurowej, w samym przepoconym podkoszulku, gdyż nawet w korytarzu było gorąco od płonącego stale ognia. Klimienko wpisał się na listę, wyszczególnił materiały przeznaczone do zniszczenia i poprosił o imienne pokwitowanie. Wolał, aby wszystko to wyglądało na rutynowe działania, gdyby Karm Siergiejewicz się nimi zainteresował. Postępował dokładnie tak samo trzy lub cztery razy w miesiącu. Porucznik otworzył drzwi, rzucił krótki rozkaz pracującym w kotłowni żołnierzom i jeden z nich uchylił klapę paleniska, ale tylko na tak długo, by Klimienko zdążył cisnąć papierowy worek w płomień.

Tymczasem Karm Siergiejewicz Nikitienko siedział po ciemku w swoim gabinecie i obserwował przez szybę okno pokoju dwa piętra wyżej, po przeciwnej stronie dziedzińca, niemal w samym narożniku zbudowanego na planie kwadratu budynku dowództwa czterdziestej armii. Niemał od godziny sączył powoli czystą wódkę ze szklanki po herbacie. Skrętnie zapisał w notesie, że światło w gabinecie pułkownika Klimienki zgasło trzydzieści cztery minuty po północy. Poniżej zanotował także, że już po raz trzeci w tym tygodniu Ukrainiec siedzi przy biurku do późna, mimo że nie wykonuje żadnych pilnych zadań. Odczekał jeszcze dziesięć minut, opróżnił szklankę i poszedł do piwnicy. Przed drzwiami nie było nikogo, zadzwonił więc na oficera dyżurnego. Zaglądał tu już trzeci raz w tym tygodniu. Zwykle zamieniał parę słów z dyżurnym, sprawdzał listę przychodzących i wracał na górę. Rzadko przynosił własny worek materiałów do zniszczenia. Dzisiaj też przyszedł z pustymi rękoma. Wystarczył mu jednak rzut oka na listę, by znaleźć to, na co od dawna czekał: Klimienko zaledwie przed paroma minutami oddał worek do spalania.

– Poruczniku, chciałbym, aby wasi ludzie wygasili palenisko i rozgarnęli popiół, gdy wystygnie. Nie wrzucajcie już do pieca żadnych rzeczy. I nie ruszajcie niczego, co znajdziecie w popiele.

– Moglibyśmy ułatwić wam zadanie, towarzyszu pułkowniku, gdybyśmy wiedzieli, czego szukać – podsunął usłużnie młody porucznik.

– To nie takie proste. Sam nie wiem, czego szukać. Chodzi jednak o oficjalne dochodzenie Komitetu, nie byłoby więc wskazane, żebyście rozpowiadali o tym wszystkim kolegom. Jasne?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Nikitienko wracał z piwnicy dręczony tymi samymi myślami, jakie dwa dni temu kazały mu odwiedzić kostnicę przy kabulskim lotnisku i dokładnie obejrzeć poszarpane szczątki Szadrina w nadziei wyjaśnienia tajemniczego wypadku, jaki się zdarzył w Ali Khel. W raporcie Krasina, potwierdzonym przez Klimienkę, znalazł się wniosek, że prawdopodobną przyczyną lekkomyślności majora stał się wypity alkohol. On jednak wiedział, że Szadrin prawie wcale nie pił, dlatego natychmiast rozkazał wykonać analizę krwi na zawartość alkoholu. Poleciał też, by zachować wyniki w najgłębszej tajemnicy.

Żołądek podchodził mu do gardła, ilekroć spotykał się z głównym patologiem czterdziestej armii, przeraźliwie grubą i ordynarną babą w stopniu majora. Zażądał od niej udostępnienia do oględzin zwłok Szadrina. Kobieta bez słowa zaczęła sprawdzać plastikowe worki zgromadzone

pod ścianą wielkiej chłodni, wreszcie znalazła właściwy i uśmiechając się ironicznie, powlokła go po posadzce w stronę metalowego stołu do autopsji. Bezceremonialnie rzuciła worek na blat, obróciła ku Nikitiencie twarz o nalanych obwisłych policzkach i ukazując w szerokim uśmiechu galerię złotych koronek, bąknęła:

– To wszystko, co zostało z waszego majora, pułkownika.

Nikitienką wstrząsnął dreszcz grozy. Przełknął ślinę i spoglądając ze zdumieniem na dziwnie krótką, niemal kulistą zawartość worka, mruknął niepewnie:

– Przecież to najwyżej połowa człowieka.

– Żadne zmartwienie. Na miejscu, w kraju, dorzucą parę worków z piaskiem, żeby waga się z grubsza zgadzała. Gdyby tego nie zrobili, rodzina mogłaby pomyśleć, że zwłoki zostały pomyłone. To był mój pomysł, tyle że kazałam dorzucać te worki po wylądowaniu, bo przecież nie ma sensu transportować piasku z Afganistanu do Sojuza, prawda? – Była wyraźnie dumna z własnego praktycznego podejścia do życia.

– Tak, świetny pomysł – odrzekł Karm półgębkiem.

– Później pański major zostanie umieszczony w trumnie, ale na miejscu rodzina i tak pewnie ją otworzy. Formalnie to zakazane, ale wszyscy je otwierają. Czasami odnajdują worki z piaskiem, lecz jeśli naprawdę dociążają zwłoki ich syna, nikt nie robi z tego afery. Bo tam wszyscy myślą, że nam jest obojętne, czyje szczątki pakujemy do worków. A to nieprawda. Osobiście nie znoszę, gdy trzeba pakować niekompletne zwłoki. Moim zdaniem, tak się nie godzi. A wasz major zginął na tym samym polu minowym, na którym niedawno innemu oficerowi wybuch oberwał kutasa. Wściekłam się, jak to zobaczyłam, więc kazałam żołnierzom szukać tego bezcennego chuja. Wrócili z niczym, ale miałam przynajmniej czyste sumienie.

– Tak, nie wątpię w to, majorze. Macie bardzo odpowiedzialną funkcję. – Nikitienko zasłonił sobie usta i nos chusteczką, ogarniały go coraz większe wątpliwości, czy zdoła dokonać tych oględzin i nie zwymiotuje. – Skoro już o tym mowa, czy robiliście analizę krwi zabitego? Czy jest ona wymagana przy autopsji?

– Ma się rozumieć. Raporty z autopsji są poprzyczepiane do worków, możecie sami zobaczyć. – Wskazała poskładane kartki umieszczone w foliowych torebkach i przytwierdzone zszywaczem do brzegów worków. – A co do tego majora, to ktoś od was, z Komitetu, rozkazał sprawdzić zawartość alkoholu we krwi. Pewnie chciał się przekonać, czy ten po pijanemu wlaź na pole minowe. Wyniki dołączyłam do raportu. Nie mogliśmy przeprowadzić analizy na

miejscu, więc wysłałam próbkę krwi pierwszym samolotem do Taszkientu. Musiałam się aż wkuwać w serce, żeby pobrać mu trochę krwi. – Wyciągnęła raport z torebki i podała go pułkownikowi. – Proszę, zginął na skutek wybuchu miny i utraty krwi z licznych ran na całym ciele. Najpoważniejsze z nich to noga urwana pod kolaniem i urwana głowa, spowodowały je eksplozje ładunków wybuchowych. Przyczyny wielu drobniejszych ran są nieznane, ale trzeba by powołać specjalną komisję specjalistów, aby je dokładnie określić.

Nikitienko tylko przelotnie spojrział na dokument. Interesowała go wyłącznie zawartość alkoholu, ta zaś wynosiła cztery dziesiąte promila.

– Zgodnie z rozkazami, w Taszkencie zbadano poziom alkoholu we krwi – ciągnęła kobieta – lecz znaleziono jedynie ślady. Z pewnością nie odbiegającego od normy. Pewnie wiecie, pułkowniku, że na tej podstawie można by łatwo określić pierwotną zawartość w chwili śmierci, tym bardziej że zwłoki dotarły do nas już po kilku godzinach i od tej pory były trzymane w chłodni.

– Czy wynik analizy przeprowadzonej w Taszkencie jest wiarygodny? – spytał Nikitienko. – Czy poziom alkoholu nie mógł się zasadniczo zmienić wskutek utraty dużej ilości krwi czy też z powodu waszych kłopotów z pobraniem próbki do badania?

Kobieta spojrzała na niego pogardliwie.

– A co to za różnica, czy był pijany, czy nie. Dla niego byłoby nawet lepiej, gdyby wcześniej sobie gołnął. Ale prawda jest taka, że nie był pijany. To wszystko.

Nikitienko obrócił się szybko i chciał iść do wyjścia, lecz kobieta złapała go za łokieć.

– Zaraz! Nie wypuszczę was, jeśli nie obejrzycie, jaką wspaniałą robimy tu robotę, kiedy zwłoki docierają bez większych ubytków.

Karm z ociąganiem poszedł za nią do sąsiedniego metalowego stołu. Lekarka jednym ruchem ściągnęła brudne, poplamione prześcieradło, odsłaniając nagie ciało młodzieńcze, zaledwie kilkunastoletniego chłopaka, mimo ewidentnej dziury po kuli na środku czoła leżącego ze słodką miną, zamkniętymi oczyma i lekko zaróżowionymi policzkami.

– Wspaniały, co? A jeszcze mu nie zakleiłam woskiem tej dziury w głowie! – W wąskich szparkach świńskich oczu pojawiły się niezdrowe błyski podniecenia.

Nikitienko nie mógł wydobyć z siebie głosu. Przez chwilę gapił się na zabitego, wmawiając sobie, że chłopak jedynie śpi. I mimo woli z pamięci wypłynął obraz jego matki stojącej nad brzegiem Wołgi, spoglądającej z coraz większym niedowierzaniem na oficera NKWD, który

wymierzył pistolet w jej głowę i nacisnął spust. Potem przypomniał sobie kilkuletnią siostrzyczkę siedzącą przy zwłokach matki przyniesionych do chaty, delikatnie gładzącą jej policzki i wycierającą kurz wokół zakrwawionej rany na czole. Niemalże słyszał, jak babka szepcze po niemiecku modlitwę, przytrzymując powieki zabitej córki, żeby na zawsze już pozostały zamknięte. *Schlafgut, Schätzli*. Z gardła wyrwał mu się stłumiony jęk.

Gruba lekarka pociągnęła go za rękaw.

– Prawda, że to wzruszający widok? Nie mamy obowiązku szykować ich do pogrzebu, ale sama chętnie się tym zajmuję, gdy tylko mam czas.

Nikitienko wyszarpnął rękę i odwrócił się, chcąc opanować łzy cisnące się do oczu. Coś ścisnęło go za gardło, nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa.

Uśmiechnął się tylko krzywo, sztywno skinął kobiecie głową i energicznym krokiem ruszył do wyjścia.

Wizyta w kostnicy jedynie nasiliła jego podejrzania wobec Klimienki. Szadrin i tym razem wypił najwyżej jeden kieliszek, mało było też prawdopodobne, aby na własną rękę po zmroku szukał wrażeń na polu minowym. A w jego rzeczach osobistych brakowało służbowego notesu oficera KGB. Nikitienko zdążył już sprawdzić, że nie ma go także w miejscowej referaturze, ale major miał pisemne pozwolenie na zabranie go z sobą podczas wyjazdu z Kabulu. Nie było też notesu w kieszeni munduru, zatem bez wątpienia musiał go zabrać Krasin lub Klimienko.

Część trzecia

Rozdział 17

Prowincja Nangarhar, 25 września, 16.15

Inżynier Ghaffar i jego siedmiu mudżahedinów niewiele czasu mogli przeznaczyć na odpoczynek, od kiedy dostali pierwszą partię stingerów. Lotnisko w Dżalalabadzie znajdowało się pięć kilometrów na południowy wschód od miasta, a pobliski garnizon sowiecki był idealnie usytuowany w widłach Kabulu i Kunaru, które płynęły na wschód, tuż przed granicą skręcały na północ, szerokimi zakosami przelewały się przez przełęcz Chajberską, by po pakistańskiej stronie dołączyć do wielkiego zlewiska Indusu.

Ghaffar spojrzął na zegarek, był kwadrans po szesnastej. Jeśli zwiadowcy się nie mylili, pozostało im jeszcze kilka godzin na zakończenie prac. Cztery wyrzutnie pocisków były już naszykowane, a jego ludzie po raz kolejny sprawdzali prawidłowość wszystkich podłączeń i magiczną czarną skrzynką kontrolowali przestrzeń powietrzną. Wciąż jednak zapalała się zielona lampka. Ghaffar wyjął z plecaka krótkofalówkę pracującą na zmiennej częstotliwości i włączył ją. Kiedy wreszcie mogli w spokoju usiąść, skryci za wielkimi głazami, niektórzy z mudżahedinów zaczęli szeptem przywoływać imię Allaha, jakby szukali pomocy i oparcia w słowach Pana Życia i Śmierci, Mściciela i Przewodnika po Słusznej Drodze.

Lotnisko w Kabulu, 16.15

Major Władymir Masłow latał śmigłowcem bojowym Mi-24D nad Afganistanem już od trzech lat. Dwukrotnie składał wnioski o przedłużenie czynnej służby w tym kraju i to wcale nie dlatego, że był przekonany o konieczności obrony idei socjalizmu, bo to – jak sam mawiał – gównem go obchodziło. Uwielbiał jednak to niezwykle poczucie nieśmiertelności, jakie towarzyszyło mu za sterami helikoptera przy każdym ataku na ugrupowania duszmanów. Nieraz słyszał głośnie staccato kul z ciężkich karabinów maszynowych odbijających się od grubych płyt pancerza maszyny. I choć niezmiennie był pewien, iż w pełni kontroluje swój los, chwilami serce podchodziło mu do gardła na myśl, że któraś kula może przebić osłonę zbiornika paliwa, skutkiem czego śmigłowiec może stanąć w płomieniach. Ale do tego afgański strzelec musiałby mieć bardzo dużo szczęścia.

Masło w wierzył bowiem, że Mi-24D to najlepszy helikopter bojowy, jaki kiedykolwiek skonstruowano. Był uzbrojony w najnowsze wyrzutnie samonaprowadzających rakiet przeciwpancernych, szybkostrzelne działko kalibru 23 milimetry oraz karabin maszynowy kalibru 12,7 milimetra. On sam stronił od zwyczajów innych pilotów, którzy po każdej akcji upijali się w trupa, a gdy następnego ranka trzeba było wystartować o świcie, ledwie mogli utrzymać drążki w roztrzęsionych dłoniach, nie mówiąc już o minimum koniecznego w lotnictwie wojskowym refleksu. Zresztą loty popołudniowe nie przedstawiały się lepiej, nawet dziś przed startem do Dżalalabadu kilku chłopaków zdążyło już zajrzeć do butelki. Za to jutro musieli być w najlepszej formie, ponieważ czekała ich akcja w Nangarharze.

Masłow pospiesznie zakończył kontrolę przedstartową. Jego strzelec pokładowy był już na swoim stanowisku w dole dziobowej części maszyny, drugi pilot stał jeszcze na płycie i miał wskoczyć do kabiny dopiero po skontrolowaniu pracy silników. Cekał ich łatwy, godzinny przelot z Kabulu do Dżalalabadu.

Major wsunął hełmofon na głowę, włączył radio i zameldował:

– Wieża Kabul, tu dowódca eskadry Żądło dwadzieścia dwa. Proszę o instrukcje startowe, kurs i pułap lotu. Odbiór.

– Żądło dwadzieścia dwa, możecie już teraz kołować na pas dziewięć zero. Początkowo polecicie kursem zero dziewięć zero, przez całą drogę do celu na wysokości trzy tysiące pięćset. Potem trzymajcie się doliny rzeki Kabul. Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór.

– Zrozumiałem, wieża Kabul. Pas dziewięć zero, początkowy kurs zero dziewięć zero, potem na wysokości trzy tysiące pięćset wzdłuż doliny rzeki. Proszę o pozwolenie kołowania na pas. Odbiór.

– Żądło dwadzieścia dwa, możecie kołować.

– Dziękuję, wieża Kabul. Bez odbioru.

Sześć następnych śmigłowców ustawiło się za nim w szeregu. Trzy minuty później cała eskadra była już w powietrzu, słoneczne wrześnie popołudnie zapewniało maksymalną widoczność. Mogli się też nie obawiać ostrzału, skoro przez całą drogę do Dżalalabadu powinni się znajdować ponad doliną rzeki, co najmniej trzy tysiące metrów nad ziemią.

Zanim Masłow wyszedł z bezpośredniej strefy kontroli powietrznej lotniska w Kabulu i przełączył się na częstotliwość taktyczną wyznaczoną dla Żądła dwadzieścia dwa, w jego słuchawkach rozległ się nieco zniekształcony głos zapewne któregoś technika z wieży kontrolnej.

Tamten mówił jednak w dari, toteż major nie zwrócił na to uwagi.

Ermitaż, 16.30

Z głośnika radiostacji Motorola MX-300 doleciał trzask. Aleksander upewnił się jeszcze, że aparat jest ustawiony na łączność kodowaną, zanim wcisnął klawisz i rzucił do mikrofonu:

– Słucham.

– Siedem z szesnastej dwadzieścia wystartowało o czasie – zameldował J. D.

Dziesięć dni wcześniej informatorzy donieśli, że na popołudnie dwudziestego piątego września Rosjanie szykują przerzucenie eskadry siedmiu śmigłowców szturmowych z Kabulu do Dżalalabadu. W ciągu następnych dni planowano liczne ataki na karawany dostarczające broń mudżahedinom. Jeden z podoficerów lotnictwa afgańskiego pełniący regularnie służby w kabulskiej wieży kontrolnej przekazywał wiadomości Rambo. Jego zaszyfrowane komunikaty, tylko z pozoru niegroźne dla Rosjan, odbierano na otwartym kanale łączności z wieżą lotniska. Właśnie tą drogą nadeszła informacja, że eskadra dokładnie za godzinę znajdzie się nad docelowym lotniskiem.

– Powiadomcie grupę Jabłko – odparł szybko Fannin.

Odłożył mikrofon i wsunął krótkofalówkę z powrotem do futerału, nie wyłączył jednak głośnika, oczekując na dalsze meldunki.

– Grupa Jabłko. Grupa Jabłko. Zero siedem z szesnastej dwadzieścia będzie o siedemnastej dwadzieścia. Nie odpowiadaj. Powtarzam. Grupa Jabłko. Grupa Jabłko. Zero siedem z szesnastej dwadzieścia, zero siedem z szesnastej dwadzieścia, będzie o siedemnastej dwadzieścia, o siedemnastej dwadzieścia. Nie odpowiadaj. Nie odpowiadaj. Bez odbioru.

Inżynier Ghaffar przerwał w połowie modlitwę. Siedem wrogich śmigłowców o szesnastej dwadzieścia wystartowało z Kabulu i miało podchodzić do lądowania w Dżalalabadzie za godzinę. Rozejrzał się szybko, a dostrzegłszy wpatrzony w siebie pełne zaciekawienia twarze ludzi, rzekł cicho:

– Bóg jest wielki! *Allah huakhbar*.

Spojrzał na zegarek i ponownie zagłębił się w lekturze Koranu. Po chwili zerknął jeszcze przelotnie na czujnik, lecz na czarnej plastikowej obudowie wciąż świeciła się zielona lampka.

– Wieża Dżalalabad, tu dowódca eskadry Żądło dwadzieścia dwa. Jak mnie słyszycie?
Odbiór.

Przez boczną szybę kabiny Masłow popatrzył na niedalekie szczyty gór. Wszystko szło jak po maśle, jego dręczyło jednak jakieś dziwne przeczucie.

– Żądło dwadzieścia dwa, tu wieża Dżalalabad. Słyszę cię dobrze. Mamy was na radarze. Potwierdzam czas lądowania na siedemnastą dwadzieścia. Widoczność pełna. Wiatr dziesięć węzłów, północno – zachodni. Możecie siadać na pasie trzy zero. Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór.

Masłow spojrział na zegarek, było dwanaście po piątej. Zostało jeszcze osiem minut lotu.

– Przyjąłem, wieża Dżalalabad. Eskadra Żądło dwadzieścia dwa podchodzi z południowego wschodu na pas trzy zero. Przyziemienie za osiem minut. Bez odbioru. – Przełączył się na częstotliwość taktyczną i przekazał: – Idziecie za mną w szyku liniowym. Kiedy minie miasto, odbijemy łukiem na wschód i podejmiemy do lotniska od południowego wschodu. Pod żadnym pozorem nie schodzić z obecnego pułapu, dopóki nie przelecimy nad rzeką, bo ze szczytów gór dukhisi mogą sobie z nas zrobić tarcze strzelnicze. Jak mnie rozumieliscie?

Sześciu pilotów eskadry kolejno potwierdziło odebrane rozkazy. Przyzwyczaili się już, że Masłow często działa na własną rękę. Powtarzał, że kieruje się głównie własnym instynktem, a oni nie mieli podstaw, by mu nie wierzyć. Posłusznie więc utworzyli szyk liniowy i za dowódcą zaczęli łagodnym łukiem skręcać na wschód.

Później Ghaffar opowiadał z dumą, że dokładnie po raz tysięczny miał właśnie na ustach imię Ya-Rashida, Przewodnika po Słusznej Drodze, kiedy na obudowie czujnika zamigotała czerwona lampka, a zgasła zielona. Mudżahedini umilkli jak jeden mąż i utkwili spojrzenia w swoim dowódcy. Inżynier zaś ruchem ręki kazał trzem wybrańcom zająć pozycje.

– Czekajcie, aż dam wam rozkaz do odpalenia – powiedział, zarzucając wyrzutnię na ramię.
– Abdul Hadi, kontroluj przestrzeń na północy przez lometkę.

Cztery minuty później Hadi zawołał cicho:

– Są! Nadlatują z północy! Siedem Mi-24 na wysokości jakichś trzech i pół tysiąca metrów. Odległość trzy tysiące sześćset. Wygląda na to, że kierują się nad miasto, żeby łukiem podejść do lotniska od południowego wschodu! Będziecie ich mieć jak na dłoni!

– *Insh 'allah* – szepnął Ghaffar.

– *Insh 'allah* – powtórzyli zgodnym chórem mudżahedini.

– Wieża Dżalalabad, tu dowódca eskadry Żądło dwadzieścia dwa. Widzimy was. Schodzimy z wiatrem nad pas trzy zero. Powinniśmy na coś szczególnie uważać w tej okolicy? Odbiór.

– Żądło dwadzieścia dwa, tu wieża Dżalalabad. Możecie manewrować wedle uznania. Nie widziano dukhisów w pobliżu prawie od tygodnia. Do zobaczenia na ziemi. Bez odbioru.

– Wysokość tysiąc czterysta metrów, odległość dwieście pięćdziesiąt – podawał namiary Abdul Hadi.

– Dołączyć baterie! – rozkazał Ghaffar, jednocześnie przesuwając włącznik zasilania układów naprowadzających swojej rakiety.

– Bateria włączona!

– Bateria włączona!

– Uruchomić naprowadzanie!

Trzej mudżahedini uruchomili żyroskopy układów naprowadzania. Głośny terkot zbliżających się helikopterów złał się z przybierającym na sile jękiem silników żyroskopowych. Czujniki podczerwieni wyłapały silne źródła promieniowania, jakim były strumienie gazów spalinowych śmigłowców.

– Odbezpieczyć rakiety! – rozkazał Ghaffar, obserwując, jak trzech jego ludzie wciskają umieszczone za gumowymi osłonami klawisze uzbrajania głowic bojowych stingerów.

Dwie sekundy później odpalili trzy pociski. Pierwszy wyskoczył na parę metrów z wyrzutni, ale zawiodło urządzenie zapłonowe napędu raketowego, stinger zanurkował za pobliski głąz i spadł po stoku, z brzękiem obijając się o skały. Dwa pozostałe jednak wystrzeliły z dwukrotną prędkością dźwięku w stronę celów. Ghaffar zamierzał już wydać rozkaz do przygotowania kolejnych rakiet, gdy pierwszy pocisk trafił precyzyjnie w sam środek smukłego kadłuba Mi-24. Helikopter eksplodował w powietrzu, lecz nim jeszcze ognista kula zaczęła opadać ku południowemu krańcowi pasa startowego lotniska, drugi stinger także odnalazł swój cel. Musiał wybuchnąć na osłonie silnika, gdyż oderwane śmigła rotora z wizgiem poleciały wysoko w powietrze, a maszyna jak kamień runęła w ślad za płonącym wrakiem trafionego wcześniej helikoptera. Dlatego Ghaffar postanowił wstrzymać się z odpaleniem ostatniego pocisku i starannie wybrać ofiarę spośród pięciu pozostałych śmigłowców.

Major Władimir Masłow dostrzegł kątem oka dwie białe smugi strzelające z ziemi w kierunku jego eskadry. W słuchawkach rozległ się zdziwiony głos strzelca pokładowego:

– Co to było, do cholery?

Ale Masłow już się domyślił, jeszcze zanim dwie potężne eksplozje wstrząsnęły jego maszyną, a gwałtowny podmuch pchnął ją do przodu. Samonaprowadzające pociski odnalazły swe cele.

Eter wypełnił się nagle okrzykami pozostałych pilotów. Major niemal machinalnie nakazał im się rozproszyć, jednocześnie biorąc ostry zakręt w lewo i podrywając dziób ku górze. W głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: jak najszybciej oddalić się od domniemanego miejsca odpalenia wrogich rakiet co najmniej na trzysta metrów, gdyż tyle właśnie wynosił minimalny dystans, jakiego potrzebowały automatyczne urządzenia jego pocisków przeciwpancernych do uzbrojenia głowic bojowych. Gdyby natychmiast odpalił rakiety, te nawet w przypadku trafienia w cel mogłyby nie eksplodować z powodu zbyt małej odległości. Dotarł do tej granicy i pospiesznie wprowadził maszynę w lot nurkowy. Miał najwyżej dwie sekundy na namierzenie celu, za który wybrał stertę olbrzymich głazów na niewielkim wzniesieniu za południowo-wschodnim perymetrem lotniska. Nakierował helikopter w ich stronę, lecz w tej samej chwili dostrzegł na ziemi złowieszczy błysk odpalanego pocisku.

– Kurwa! – zdążył jedynie wrzasnąć Masłow, zanim urządzenia naprowadzające stingera odnalazły ślad termiczny jego śmigłowca. Instynktownie przycisnął spust, ale przez pomyłkę uruchomił jedynie działko pokładowe.

Ghaffar starannie wybrał ostatni cel. Zależało mu na zestrzeleniu śmigłowca prowadzącego eskadrę, umyślnie więc czekał do ostatniej chwili, aż całą wyrzutnię opanowały wibracje pochodzące od silnika żyroskopowego urządzeń naprowadzających. Dopiero wtedy nacisnął spust. Silnik raketowy zadziałał normalnie i stinger wystrzelił w kierunku Mi-24 szybko opadającego bokiem i obracającego się dziobem w ich stronę. Chwilę później jaskrawe rozbłyski oznajmiły uruchomienie działka pokładowego, ale strumień wielkokalibrowych pocisków przeszedł bokiem w sporej odległości. Rakieta trafiła pędzący helikopter w prawy silnik, wybuch rozerwał maszynę na drobne części, niektóre z nich spadły na ziemię nie dalej niż sto metrów od szczytu wzniesienia.

– Pozbierajcie sprzęt i bądźcie gotowi do drogi za dwie minuty! – zawołał Ghaffar. – Hadi, zniszcz tego stingera, który spadł! Powgniataj kamieniem korpus w środkowej części, tylko z dala od zapalnika głowicy! – Dostali wyraźny rozkaz: Za żadną cenę nie wolno dopuścić, aby sprawny stinger wpadł w ręce wroga.

Trzy minuty później niewielki oddział był już w drodze do pakistańskiej granicy. Ghaffar polecił jednemu z mudzahedinów, aby przygotował krótkofalówkę dostrojona do kodowanej częstotliwości i po raz pierwszy od tygodnia przerwał ciszę radiową.

– Potwierdzam trzy skuteczne trafienia na południowo-wschodnim krańcu lotniska. Odpalono cztery rakiety. Grupa Jabłko wraca do bazy.

Major i porucznik pełniący dyżur na wieży kontrolnej lotniska w Dżalalabadzie jak urzeczeni wpatrywali się w kłęby dymu znaczące miejsca upadku trzech zestrzelonych śmigłowców.

– Co to było, do jasnej cholery?! – jęknął wreszcie osłupiały major. – Skąd oni wzięli nasze SA-7?

– To nie mogły być SA-7, towarzyszu majorze – bąknął pod nosem porucznik.

– Dlaczego?!

– Bo wszystkie trafiły.

Kabul, 17.30

Dzwonek telefonu przerwał ciszę w gabinecie Klimienki.

– Tola, dukhisi unieszkodliwili połowę szpicy uderzeniowej Polakowa! Słyszałeś, co się stało w Dżalalabadzie?! Nasi przyjaciele stracili trzy bąki samonaprowadzającymi pociskami typu ziemia-powietrze. Z Dżalalabadu meldują, że wraki wciąż jeszcze płoną na skraju lotniska. Wszyscy dostali kociokwiku, nie wyłączając feldmarszałka von Polakowa!

– Mówisz o tych pociskach, które i ja mam na myśli?

– Chyba nie podejrzewasz, że używali naszych SA-7, prawda? Przecież tym złodem nie dałoby się niczego zestrzelić. To musiały być stingery. Za jednym zamachem straciliśmy prawie połowę doborowej eskadry, a piloci, którym udało się wyjść cało z opresji, podobno lądowali z pełnymi gaciami. Nasz kuloodporny major Masłow, dowódca eskadry, niestety, nie doczekał tej chwili.

– No cóż, do tej pory krążyły jedynie plotki, mimo że Waszyngton mówił otwarcie o konieczności dostarczenia Afgańczykom nowoczesnej broni. A teraz wygląda na to, że dukhisi dostali wreszcie swoje stingery. I co nasz nieustraszony generał zamierza począć w tej sytuacji? Przywali w coś atomówką?

– Na razie rozkazał całkowicie zamknąć lotnisko w Dżalalabadzie, dopóki specjalna komisja dochodzeniowa nie wyjaśni zdarzenia. A potem zapewne będzie szukał odwetu. W sztabie coraz więcej mówi się o możliwości nalotów na bazy w Pakistanie. Nie byłoby źle zniszczyć jakiś obóz treningowy dukhisów prowadzony przez CIA.

– W tej sytuacji raczej niewiele by to zmieniło – odparł niechętnie Klimienko. – Skoro już o tym mowa, to chyba nie muszę zgadywać, który generał poleci jutro do Dżalalabadu, by pokierować dochodzeniem komisji.

– Zgadza się, nie musisz. Właśnie nasz ulubieniec, generał Polakow, kazał mi naszykować wszystko na jutro rano. Twój drogi Sasza będzie miał zaszczyt nosić za wodzem aktówkę i zapisywać jego celne spostrzeżenia. Naprawdę tak łatwo było to odgadnąć?

– Chyba nie znam innego dowódcy, którego decyzje byłyby równie łatwe do przewidzenia. Zatem notuj wszystko sumiennie, a kiedy wrócicie jutro wieczorem, zdasz mi szczegółową relację. Gdybyś przy okazji zajrzał na bazar, kup mi parę słoczków kawioru i ze cztery puszki kamczackich krabów. Zwrócę ci pieniądze.

– Nie wiem, czy nie byłoby lepiej z tym kawiozem i krabami ruszyć w stronę Chajberu.

– Mam nadzieję, że zaczekałbyś tam na mnie – odparł Klimienko, ale Krasin już się rozłączył.

Tola uśmiechnął się, pomyślawszy, że brak szacunku dla przełożonych może kiedyś doprowadzić przyjaciela do zguby. Ale zaraz jego myśli powędrowały w stronę ewentualnych przeciwdziałań, jakie sztab musiał podjąć po wprowadzeniu do walki przez przeciwnika stingerów. Niemalże od chwili, kiedy radzieckie myśliwce i śmigłowce zaczęły ostrzeliwać na ziemi prawie wszystko, co się rusza, było jasne, że wcześniej czy później ktoś zdecyduje się dostarczyć rebeliantom lepsze uzbrojenie. Wiadomo, że dyskusje na temat dostaw stingerów toczyły się Waszyngtonie mniej więcej od pół roku, donosiło o tym wielu informatorów. I w zasadzie jedynym rzeczowym argumentem przeciwko takim dostawom było nieuniknione zaostrzenie afgańskiego konfliktu. Inny często przytaczany argument, że stworzy się ryzyko przejścia przez Rosjan pilnie strzeżonych technicznych tajemnic konstrukcyjnych stingerów,

trafiał w próżnię. Nie wszyscy bowiem wiedzieli, że owe tajemnice znane były Rosjanom niemal już od czterech lat, kiedy to pewien pułkownik GRU kupił od wysokiego oficera NATO komplet dokumentacji technicznej. CIA wiedziała o wszystkim od początku, gdyż pułkownik, jak się później okazało, był podwójnym agentem, który znalazł się w sytuacji zagrożonej. Kierownictwo agencji błyskawicznie skalkulowało plusy i minusy tej sytuacji, po czym zdecydowało, że warto ratować swojego człowieka nawet za cenę utraty tajemnicy wojskowej.

A teraz z pewnością tenże pułkownik mieszka gdzieś na zachodnim wybrzeżu, gdzie dostał do własnej dyspozycji nową półciężarówkę, a może również kuszącą blondynkę z wielkimi cyckami, pomyślał Klimienko. Jak to dziwnie się czasem układają ludzkie losy. Tymczasem tutaj dukhisi zyskali możliwość zestrzeliwania radzieckich samolotów z coraz młodszymi załogami, natomiast ten idiota, Polakow, zamierza szukać możliwości odwetu...

Nagle skojarzenie z osobą generała sprawiło, że pułkownik wyprostował się błyskawicznie, sięgnął po słuchawkę i szybko wykręcił numer Krasina. Przyjaciel odebrał już po pierwszym sygnale.

– Słucham, Krasin.

– Sasza, czy możesz zajrzeć do mnie na minutę? Muszę pilnie z tobą pogadać.

– O co chodzi? – spytał cicho Krasin, stając w wejściu oparty ramieniem o framugę.

Klimienko wyszedł zza biurka, wciągnął go do pokoju i zamknął drzwi.

– Nie możesz jutro lecieć do Dżalalabadu – oznajmił.

– A to niby dlaczego?

– Bo ten, kto zestrzelił nasze Mi-24, świetnie wie, co dalej nastąpi: samo *naczelstwo* wyprawi się z Kabulu, żeby osobiście dokonać oględzin miejsca wypadku. Tam będzie już czekał komitet powitalny. Tylko nie pytaj, skąd to wiem, bo niczego ci nie wyjaśnię. Jeśli nie zdołasz się jakoś wykręcić od udziału w tej wyprawie, nie dożyjesz jutrzejszego wieczoru, przyjacielu.

– Nawet gdybym ci uwierzył, musiałbym mieć nie lada wymówkę, żeby przekonać generała, by na moje miejsce wyznaczył kogoś innego.

– Powiedz, że ta śliska glista z KGB szykuje ostateczną listę wszystkich więzionych duszmannów, jacy mają zostać wymienieni na Orłowa, i jeśli zostawi mu się wolną rękę, cała zasługa za uwolnienie bezcennego porucznika może spaść na Komitet i jego przewodniczącego, Czebrikowa, natomiast rola dowódcy armii, generała Polakowa, który przecież zaplanował całą

tę operację i doprowadził do jej końcowego sukcesu, może zostać przemilczana. Nie sądzisz, że to powinno przekonać twojego szefa?

– Nie wiem, ale warto spróbować. Nie zmienia to faktu, że w najbliższym czasie będziemy musieli na osobności dać sobie w gaz i po męsku wyjaśnić, co się naprawdę dzieje. Chyba najwyższa pora, abyśmy prosto w oczy wyznali sobie otwarcie to i owo.

– Zgoda – odparł Klimienko, odczuwając przyływ ogromnej ulgi, którą chciał ze wszech miar zamaskować.

Krasin jeszcze przez chwilę patrzył mu prosto w twarz, po czym odwrócił się i wyszedł bez słowa.

Pułkownik wrócił do biurka i wybrał numer swego przedstawiciela w naczelnym dowództwie armii afgańskiej, pod którym do niedawna jeszcze urzędował major Szadrin.

– Słucham, Kuźmin.

– Majorze, będziemy musieli wyruszyć jutro w teren w sprawie więzionych rebeliantów. Przygotujcie transport i niezbędne papiery.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Nie rozumiem tylko, po co ten pośpiech. Szykowałem się na wyjazd w późniejszym terminie.

– Ja też wolałbym pojechać kiedy indziej, majorze, ale takie dostałem rozkazy od generała Polakowa.

Klimienko odłożył słuchawkę. Pomyślał jeszcze, że stąpa po bardzo cienkim lodzie. Istniała groźba, że jego samowolne działania wyjdą na jaw, gdyby zawiodły go przecucia co do szykowanej na jutro zasadzki.

Centrala CIA, 25 września, 8.00

Frank Andrews, szef powołanego w Langley specjalnego zespołu do spraw wojny w Afganistanie, czekał już w sekretariacie, kiedy siwowłosa dyrektor przybył tego dnia do pracy.

– Cześć, Frank. Co cię tu przygnało tak wcześnie? – zdziwił się Casey, ciągnąc go za łokieć do swego gabinetu.

– Godzinę temu odebraliśmy depeszę od Aleksandra. Nawet mnie nie zdziwiło, że zaadresował ją do ciebie, ale przysłał moim kanałem łączności. Pewnie chciał, żeby nasz zespół także poznał nowiny z pierwszej ręki.

Dyrektor usiadł za biurkiem i szybko przebiegł wzrokiem tekst meldunku:

Do dyrektora

*„Bo choć uzurpatorzy przejęli władzę
na krótko,
sprawiedliwe są niebiosy, a czas tłumi wszelkie zło”*

Szekspir

Bill, radziłbym ci obejrzeć parę zdjęć z naszych „ptaszków” i zwrócić uwagę na sterty złomu na południowo-wschodnim skraju pasa startowego lotniska w Dżalalabadzie. Te dymiące szczątki to wszystko, co zostało z trzech helikopterów Mi-24D zestrzelonych w pierwszym ataku stingerów podczas tej wojny. Nastąpiło to 25 września o 17.20. Oddziałem dowodził Ghaffar (czyli „Odkupiciel”, bo to jedno z 99 imion Allaha). Wyczuwasz ukrytą ironię? Niech was Bóg prowadzi. Z najwyższym szacunkiem.

Aleksander

Casey podniósł głowę, spojrział na Andrewsa i uśmiechnął się szeroko.

– To naprawdę cytaty z Szekspira?

– Przede wszystkim chyba znak rozpoznawczy. Kto inny mógłby przysłać taką depeszę?

– Masz już te zdjęcia?

– Będą dopiero wieczorem. Mam nadzieję, że zdążę ci je podrzucić jeszcze przed wyjściem z pracy.

Casey sięgnął po słuchawkę.

– Dottie, połącz mnie z prezydentem. Czekam przy aparacie.

Minutę później sekretarka uprzedziła przed interkomem:

– Już podchodzi.

– Ronnie? Mam dla ciebie wspaniałe nowiny. Jeśli pozwolisz, przełączę rozmowę na głośnik, bo jest u mnie Frank Andrews. – Casey wcisnął klawisz wzmacniacza w aparacie. – Chodzi o Afganistan, Ronnie. Mudżahedini podczas pierwszego ataku z zastosowaniem stingerów zestrzelili trzy sowieckie śmigłowce szturmowe. To będzie pamiętny dzień! A przecież nie minął jeszcze miesiąc od czasu zniszczenia magazynów amunicji pod Kabulem.

– Bardzo się cieszę, Bill. Przekaż moje osobiste gratulacje swoim ludziom w terenie. Czy zawiadomiłeś już dziennikarzy?

Casey zerknął znad oprawki okularów na Andrewsa, ten jednak pokręcił głową, dyrektor odparł więc:

– Nie, jeszcze nie. Zrobię to najdalej za godzinę.

– I powinieneś także powiadomić Kapitol, a zwłaszcza klub czterech H. To także ich zasługa. Bardzo nam pomogli w umożliwieniu dostaw stingerów.

Andrews uśmiechnął się z przekąsem, usłyszawszy prezydenckie określenie grupy konserwatywnych senatorów wnioskujących za maksymalną pomocą dla afgańskiego ruchu oporu – Helmsa, Hechta, Hacha i Humphreya.

– Oczywiście, że to zrobię, Ronnie. Rzeczywiście sporo im zawdzięczamy. Zawiadomię również Charliego Wilsona, bez niego ten sukces też nie byłby możliwy.

– Owszem, ze strony demokratów tylko on pamięta jeszcze o Afganistanie – mruknął ironicznie Reagan. – Szkoda, że Charlie nie jest tak samo zainteresowany Ameryką Środkową, bo i w tym przypadku przydałaby się jego pomoc. No cóż, warto by jeszcze przygotować George'a Schultza na spotkanie z Dobryninem, bo i ten się z pewnością niedługo odezwie, prawda, Bill?

Casey ponownie zerknął na Franka, ale ten energicznie zaprzeczył ruchem głowy i przekazał bezgłośnie: „Jeszcze nie teraz!”

– Masz rację, Ronnie, ale z tym bym zaczekał. Nie sądzę, aby Rosjanie tak szybko wysłali Dobrynina z protestami do Schultza. – Casey wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, po czym dodał: – Postaram się na jutrzejszą odprawę przynieść parę ciekawych zdjęć.

Rozdział 18

Trzydzieści kilometrów na północny zachód od Dżalalabadu, 26 września, 4.00

Trzech mudżahedinów obudziło się na długo przed świtem. Wspólnie zmówili modlitwę, prosząc o boską pomoc w realizacji trudnej misji. Później w najdalszym zakamarku jaskini Chłopak zagotował na kocherze czajnik wody. Partyzanci posilili się sucharami i suszonymi figami, siorbiąc drobnymi łyżkami zieloną herbatę. Porozumiewali się szeptem, mimo że prawdopodobieństwo, by ktoś ich tu usłyszał było znikome. Wszyscy znajdowali się jednak w stanie skrajnego napięcia, w pełni świadomi ciężaru zadania, jakie przyszło im wykonać.

Lotnisko w Kabulu, 26 września, 5.30

Zaledwie nad szczytami okolicznych gór ukazał się pierwszy rąbek słońca, a już na płycie lotniska zaczęło się robić bardzo ciepło. Silnie wzmocniono ochronę. Tego dnia wydano stanowcze rozkazy: za żadną cenę nie wolno dopuścić, by nawet przypadkowa strzelanina zakłóciła start samolotu. Dlatego wzdłuż siatki ogrodzenia krążyło kilka łazików, a po wewnętrznej stronie posuwały się z wolna patrole z psami. Najwięcej było ich na odległym końcu pola startowego, które wcześniej uzbrojone bojówki mudżahedinów wiele razy przedostawały się na teren lotniska.

Krasin z własnej woli podjął się przyjechać na kwadrans przed odlotem, aby osobiście nadzorować ostatnie przygotowania samolotu An-26, tak przynajmniej przedstawił to swojemu dowódcy. W rzeczywistości jednak chciał uniknąć wspólnej podróży generalską limuzyną, obawiał się bowiem, że Polaków w ostatniej chwili może zmienić zdanie i kazać mu lecieć do Dżalalabadu.

Pospiesznie sprawdził kabinę pilotów, zwracając uwagę na przygotowane mapy taktyczne. Później poustawiał na właściwych miejscach dwa duże termosy z mocną, gorącą i przeraźliwie słodką herbatą oraz trzeci z gruzińską brandy, którą generał lubił sączyć w podróży nawet z samego rana. Wreszcie zajrzał do koszyka, wypełnionego sprowadzonymi z Pakistanu owocami mango i zapakowanymi w papierowe torebki suszonymi morelami, migdałami oraz nasionami słonecznika.

Klimienko miał rację. Polakow natychmiast zgodził się ochoczo, gdy wieczorem Sasza podsunął mu myśl, że warto byłoby mieć oko na tego przebiegłego pułkownika KGB w czasie jego podróży do Nangarharu, zwłaszcza na tym końcowym etapie negocjacji zmierzających do uwolnienia porucznika Orłowa. Generałowi nie trzeba było nawet objaśniać potencjalnego niebezpieczeństwa, jakim byłoby pozostawienie Klimienki bez nadzoru. Szybko podjął właściwą decyzję i uznawszy cały ten pomysł za swój własny, stanowczo rozkazał swemu adiutantowi, by podczas jego nieobecności troskliwie zatroszczył się o generalskie interesy.

Zaledwie Krasin wychylił się zza otwartej klapy przedziału transportowego samolotu, ujrzał pędzące po pasie startowym cztery samochody. Chwilę później Polakow wysiadł z limuzyny i energicznym krokiem ruszył w jego kierunku. Sasza regulaminowo zsalutował na powitanie, musiał jednak stać na baczność przez dobrą minutę, ponieważ generał zaczął jeszcze przez ramię wyszczekiwać rozkazy dla wysypującej się z aut oficerskiej świty. Wreszcie zbliżył się, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł, siląc się na łagodny ton:

– Przykro mi, że musicie tu zostać, Krasin, ale macie do wykonania bardzo ważne zadanie. Zadbajcie o nasze wspólne interesy. Chyba nie muszę wam niczego więcej tłumaczyć?

Mrugnął szelmowsko i lekko poklepał ramię Saszy.

– Tak jest, towarzyszu generale. Możecie całkowicie na mnie polegać.

26 września, 5.40

– Wieża Kabul, wieża Kabul. Tu Centrum Kontroli Lotów w Baghramie. Proszę o informację, czy w waszym sektorze w ciągu najbliższej godziny należy się spodziewać jakiegoś ruchu w powietrzu.

Mało kto zwrócił uwagę na ten komunikat w dari, który popłynął z głośnika radiostacji w wieży kontrolnej. Pełniący służbę major lotnictwa afgańskiego sięgnął po mikrofon, nie czekając na przyzwolenie oficera radzieckiego.

– Baghram, tu wieża Kabul. Właśnie wystartował specjalny samolot sztabowy. Powtarzam, wystartował specjalny samolot sztabowy. Należy wstrzymać wszelki ruch na azymucie od Kabulu między osiemdziesiątym piątym a sto dwudziestym piątym stopniem na pułapach od trzydziestego do sześćdziesiątego. Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór.

Spokojną wymianę zdań nagle przerwał trzeci, wyraźnie poirytowany głos, wykrzykujący po

rosyjsku:

– Dość! Przerwać to! Kabul, tu Baghram! Natychmiast przerwać łączność radiową!

Radziecki oficer dyżurny błyskawicznie wyrwał mikrofon z dłoni afgańskiego majora i odepchnął go od konsoli.

– Baghram, tu Kabul. Proszę mówić.

– Kabul, tu Baghram. Poprzedni komunikat, domagający się informacji o ruchu powietrznym nad Kabulem, nie został, powtarzam, nie został nadany z centrum w Baghramie. Jak mnie rozumieliscie? Odbiór.

– Zrozumiałem, Baghram. Przerwijcie nadawanie na tej częstotliwości i natychmiast zadzwońcie do wieży kontrolnej lotniska w Kabulu. Tu oficer dyżurny lotniska. Jak mnie rozumieliscie? Odbiór.

– Zrozumiałem, Kabul. Bez odbioru.

Oficer dyżurny wyjrzał przez panoramiczne okno w stronę końca pasa startowego, nad którym biała smuga spalin znaczyła drogę niknącego z wolna na niebie samolotu sztabowego. Bez namysłu wyjął pistolet z kabury i wymierzywszy w pierś osłupiałego afgańskiego majora, rozkazał dwóm stojącym przy wejściu żołnierzom:

– Odprowadźcie tego człowieka do aresztu. Zamknąć go w osobnej celi i nie pozwolić z nikim rozmawiać.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– Słucham. Wieża kontrolna w Kabulu, pułkownik Fiłatow.

– Major Dmitriew z centrum w Baghramie, towarzyszu pułkowniku. Jacyś dukhisi włączyli się na naszą częstotliwość i wygląda na to, że uzyskali wyczerpującą odpowiedź na swoje pytanie. Czy naprawdę wystartował od was specjalny samolot sztabowy do Dżalalabadu?

– Jak żeście na to wpadli?! – warknął Fiłatow, czując, że serce podchodzi mu do gardła.

– To znaczy, że wasz afgański operator obwieścił właśnie całemu światu, iż o piątej czterdzieści w kierunku wschodnim wystartował z Kabulu ktoś z naczelnego dowództwa...

– Zgadza się. Kazałem go już odprowadzić do aresztu. Coś podobnego zdarzyło się także wczoraj, kiedy wystartowała od nas eskadra śmigłowców Mi-24, która nad Dżalalabadem wpadła w zasadzkę. Jeśli ten cholerny major rzeczywiście ma z tym coś wspólnego, własnoręcznie obetnę mu uszy i każę zeżreć na surowo, dopóki nie wyśpiewa całej prawdy. Skontaktuję się z wami trochę później. Możecie jeszcze powtórzyć wasze nazwisko?

– Dmitriew, major Iwan Wiktorowicz Dmitriew.

Filatow rzucił słuchawkę na widelki, przełączył radiostację na kodowane pasmo wojskowe, zaczerpnął głęboko powietrza i nieco drżącym głosem powiedział do mikrofonu:

– Dwa zero siedem, tu wieża Kabul. Prawdopodobnie zostały naruszone warunki bezpieczeństwa. Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór.

– Przyjąłem, Kabul – odpowiedział pilot. – Daję ci oficera dyżurnego ochrony Lodowca.

Podał mikrofon siedzącemu za nim oficerowi.

– Wieża Kabul, tu ochrona Lodowca. Możecie mówić. Filatow po raz drugi wziął głęboki oddech.

– Wszystko wskazuje na to, że trasa przelotu Lodowca została przypadkowo ujawniona w komunikacji radiowej nadanej z naszej wieży kontrolnej. Kazałem już aresztować afgańskiego majora, który był za to odpowiedzialny. Niewykluczone, że informacje te były przeznaczone dla rebeliantów szykujących jakąś zasadzkę. Nie mamy jeszcze pewności co do skali naruszenia zasad bezpieczeństwa, ale chciałem was już teraz powiadomić o konieczności zachowania szczególnej ostrożności. Jak mnie rozumieście? Odbiór.

– Wieża Kabul, tu ochrona Lodowca. Zrozumiałem. Nie rozłączajcie się.

Generał Polakow raczył się gruzińską brandy i w zamyśleniu gryzł przesypane do miseczki nasiona słonecznika, gdy do jego przedziału wszedł dowódca ochrony, major Karpow, zaszalutował i oznajmił:

– Odebraliśmy przed chwilą informację z wieży w Kabulu, towarzyszu generale, że w trakcie nielegalnej łączności radiowej ujawniono parametry waszego przelotu do Dżalalabadu. Nasz oficer dyżurny kazał aresztować afgańskiego majora, który się tego dopuścił, podejrzewając, że pozostaje on w zмовie z rebeliantami, lecz do tej pory nie znane są jeszcze żadne konkrety. Doradzałbym natychmiastowe przerwanie podróży, wiemy już na pewno, że dukhisi otrzymali do dyspozycji najnowsze amerykańskie rakiety typu ziemia – powietrze.

Polakow sięgnął po leżące na mapie ostatnie wydanie tajnych raportów radzieckiego lotnictwa, które czytał poprzedniego wieczoru, odnalazł interesującą go stronę i zapytał:

– Na jakiej lecimy wysokości, Karpow?

– Przez całą drogę do Dżalalabadu mamy się trzymać pułapu trzech tysięcy pięciuset metrów, towarzyszu generale. Osiągnęliśmy tę wysokość parę minut temu.

Polakow powiódł palcem w dół zestawienia danych technicznych i po chwili rzekł:

– Jeśli rzeczywiście rebelianci mają stingery, to już na wysokości trzech tysięcy metrów rakietom powinno się skończyć paliwo, a trzysta metrów wyżej ulegają one samozniszczeniu. Każcie pilotowi wznieść się na wysokość pięciu tysięcy metrów i kontynuować lot. Przekażcie też do Dżalalabadu, żeby wysłali nam na spotkanie patrol myśliwców, który będzie nas osłaniał w drugiej części podróży. Jasne?

– Tak jest, towarzyszu generale – szybko wyrzucił z siebie Karpow, nie mając odwagi podawać w wątpliwość decyzji przełożonego.

Aleksander był w centrum łączności u boku Tima, kiedy z głośnika przenośnej motoroli doleciał następny komunikat J. D.:

– Szeffie, uzyskaliśmy właśnie potwierdzenie, że o piątej czterdzieści z Kabulu wystartował na wschód, zapewne do Dżalalabadu, specjalny samolot sztabowy. Potwierdzają się nasze przypuszczenia. Odbiór.

– Czy zwróciliście uwagę na próby przechwycenia naszych szyfrowanych meldunków przez Rosjan?

– Oczywiście. Już od godziny obserwujemy nasilenie rozmów niemal na wszystkich sowieckich kanałach łączności. Nie ma się czego obawiać, nie złamią naszych szyfrów, nawet jeśli przechwycą meldunki.

– W porządku. Zaraz przekażę wiadomości Gruszce. A natłok komunikatów w kabulskiej sieci łączności jest nam tylko na rękę, gdyż trudniej im będzie prze – chytywać meldunki na naszych kodowanych pasmach. Bez odbioru.

Rand obejrzał się na Aleksandra.

– Chcesz, żebym powiadomił zespół Gruszki?

– Tak. Przekaż im, żeby się spodziewali czegoś wielkiego i tłustego w ciągu najbliższego kwadransa.

Trzydzieści kilometrów na północny zachód od Dżalalabadu, 26 września, 5.55

Twórca, Malik i Chłopak wyszli na skraj skalnej półki wiszącej trzy tysiące metrów ponad dnem doliny, kiedy naszedł oczekiwany komunikat radiowy. Przyspieszyli jeszcze kroku

i wkrótce dotarli do szerokiej rozpadliny przecinającej spłaszczony, usiany wielkimi głazami szczyt góry, skąd roztaczał się przepiękny widok na dolinę rzeki Kabul, którą prowadziła droga łącząca stolicę z Dżalalabadem.

Twórca ułożył włączony fuzbustera na kamieniu przed sobą i zdążył jeszcze skontrolować rozstawienie kolegów, zajmujących stanowiska w odstępach pięciometrowych, kiedy rozległ się sygnał alarmowy. Musawwir nie miał nawet czasu odmówić planowanej modlitwy. Sięgnął po lornetkę i zaczął lustrować przestrzeń nad zachodnim końcem doliny. Dopiero po kilkunastu sekundach, zaniepokojony coraz bardziej natarczywą sygnalizacją urządzenia ostrzegawczego, dostrzegł smukłe sylwetki dwóch myśliwców szturmowych sunących poniżej, trzy tysiące metrów ponad dnem doliny. Zawołał cicho do Malika i Chłopaka, aby nie wychylali się zza głazów. Zgodnie z planem mieli przepuścić wszystkie lotnicze patrole. Chwilę później namierzył jednak w szklach lornetki czarny punkt na tle nieba – lecący w ich stronę samolot, odległy jeszcze co najmniej o sześć kilometrów. Pospieszenie wydał rozkaz. Obaj mudżahedini zarzucili wyrzutnie stingerów na ramiona i wymierzili we wskazany kierunek.

Polakow odczuł przyływ dobrego humoru, nie wiedział tylko, czy jego przyczyną jest podwójna porcja wypitej brandy, czy rozciągająca się za oknem panorama najeżonych górskich grani. Pomyślał, że chyba nigdy nie znudzi mu się widok oglądanej z samolotu malowniczej doliny i rzeki Kabul wijącej się zakosami na wschód, w kierunku przesmyku Tang-i Gharu. Jego zdaniem, cała ta dzika kraina już od dawna powinna należeć do Związku Radzieckiego.

Minęli zbudowaną przez Niemców zapórę w Surobai, zatem lada moment pod brzuchem maszyny powinny się ukazać dwie rosyjskie zapory, w Naghlu i na przełęczy Dorunta. Potem wystarczyło już tylko przeskoczyć skrajne pasmo Gór Wschodnich i skręcić na północ, żeby się znaleźć nad Dżalalabadem. Generał nalał sobie jeszcze niewielką porcję brandy i przysunął teczkę z dokumentami.

Trzydzieści kilometrów na północny zachód od Dżalalabadu, 26 września, 5.58

Twórca uważnie śledził transportowiec przez lornetkę. Musiał się upewnić, że jest to wielosilnikowy rosyjski An-26.

– Malik, daj Chłopakowi pierwszemu odpalić raketę – powiedział. – My dwaj zaczekamy na

efekty. Słyszysz, młodzieńcze?! Ten transportowiec jest twój! Wchodzi w strefę rażenia, więc możesz rozpocząć przygotowania do odpalenia.

Chłopak, któremu serce waliło jak młotem, powoli naprowadził nitki celownika na sylwetkę zbliżającego się samolotu.

– Włączyć mechanizm naprowadzania! – padł rozkaz Twórcy.

Chłopak wsunął baterię do pojemnika, zatrzasnął pokrywkę, przycisnął kciukiem włącznik i obrócił go, zamykając obwód. Automatyczne urządzenia stingera natychmiast wyłowiły źródło promieniowania podczerwonego, jakim były silniki transportowca. Teraz należało przed upływem czterdziestu sekund odpalić rakietę w kierunku celu, gdyż w przeciwnym razie mechanizmy naprowadzania samoczynnie by się wyłączyły.

– Odbezpieczaj i strzelaj, gdy tylko będziesz gotów! – zawołał Twórca.

Nie spuszczać z oka celu, Chłopak ostrożnie zdjął kapturek osłaniający zapalnik głowicy, odbezpieczył wyrzutnię, ponownie naprowadził nitki celownika na samolot i wcisnął spust.

Wszyscy trzej stali bez ruchu, w najwyższym skupieniu obserwując białą smugę spalin rakiety mknącej ku radzieckiemu transportowcowi, a każdy powtarzał w myślach prośbę do Allaha, by odległość do celu nie okazała się zbyt duża.

W słuchawkach pilota rozległ się niemal histeryczny okrzyk:

– Lodowiec! Lodowiec! Dwa zero siedem! Jesteście w celownikach urządzeń naprowadzających! Kładź maszynę na lewe skrzydło i nurkuj! Słyszysz?! Nurkuj!

Lecz nawet pilot lecącego pięć kilometrów wyżej myśliwca Su-24 wiedział dobrze, że jego ostrzeżenie przyszło za późno. Wprowadził samolot w lot nurkujący ku szczytowi, który widoczna biała smuga doskonale wskazywała jako miejsce odpalenia pocisku typu ziemia-powietrze. Ponownie wcisnął klawisz radiostacji i powiedział:

– Trzy zero pięć do trzy zero dziewięć. Trzy zero pięć do trzy zero dziewięć. Pozostań na obecnej wysokości i ubezpieczaj moje podejście do miejsca ataku. Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór.

– Zrozumiałem, trzy zero pięć. Ubezpieczam twój atak. Będę miał oko na bandytów.

Generał poleciał do tyłu, na grodz, kiedy samolot nagle zwałił się ku ziemi. Ciężka maszyna nie miała szans ucieczki przed stingerem. Rakietą wybuchła w oślepiającym rozbłysku na gondoli drugiego silnika, odrywając całe lewe skrzydło od kadłuba. Nie było wtórnej eksplozji

zbiorników paliwa, samolot nie stanął w płomieniach, tylko runął jak kamień z wysokości niemal pięciu kilometrów. W ostatnich sekundach życia generał Borys Siemionowicz Polakow poczuł się zdradzony. Przemknęło mu przez myśl, że należałoby surowo ukarać tego idiotę, który napisał w raporcie, iż stingery nie są groźne na wysokościach powyżej trzech i pół tysiąca metrów.

Chłopak dostrzegł, jak lewe skrzydło transportowca urywa się w błysku wybuchu, jeszcze zanim dotarł do niego huk eksplozji. Obserwował spadający samolot, gdy kątem oka złowił drugą raketę odpalaną przez Twórcę w kierunku spadającego ku nim srebrzystego myśliwca. Parę sekund później powietrzem wstrząsnął drugi wybuch, a nurkujący Su zmienił się w osłepiającą krwistą kulę ognia. Jego szczątki nie zetknęły się jeszcze z ziemią, gdy odpalone chwilę przed eksplozją trzy rakiety spadły na szczyt góry. Osłupiały Chłopak spojrzął szybko w lewo, ale w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem stał Malik, teraz buchał w niebo słup czarnego dymu. Twórca stał oparty plecami o głaz, ręce miał szeroko rozrzucone, a jego biały chałat na piersi szybko czerwieniał od krwi. Chłopak rzucił się ku niemu, nie zważając, że drugi sowiecki myśliwiec nurkuje w ich kierunku.

– Dwa zero siedem! Dwa zero siedem! Słyszycie mnie?! Tu wieża Kabul! Odbiór!

Fiłatow już chyba po raz dziesiąty wywoływał samolot dowódcy armii od chwili, gdy przechwycił ostrzegawczy meldunek pilota myśliwca trzysta pięć.

– Trzy zero pięć! Trzy zero pięć! Tu wieża Kabul. Odezwijcie się. Odbiór. I tym razem nie było odpowiedzi. Serce podeszło mu do gardła.

– Wieża Kabul, wieża Kabul. Tu trzy zero dziewięć. Maszyna Lodowca i trzy zero pięć zostały trafione raketami wroga w rejonie Guawa czterdzieści cztery pięć pięć dziewięć Mango dwadzieścia dwa dwa dziewięć osiem. Powtarzam: transportowiec Lodowca i trzy zero pięć zestrzelone w rejonie Guawa czterdzieści cztery pięć pięć dziewięć Mango dwadzieścia dwa dwa dziewięć osiem. Oba samoloty spadły na zbocze góry i eksplodowały, szczątki powpadały do rzeki. Nie ma szans, aby ktokolwiek przeżył. Powtarzam: nie ma szans, aby ktokolwiek przeżył. Jak mnie zrozumieliście? Odbiór.

Fiłatow przelknął ślinę.

– Zrozumiałem, trzy zero dziewięć – odparł łamiącym się głosem. – Zostańcie nad miejscem katastrofy do czasu przybycia ekipy ratowniczej. Jak mnie zrozumieliście?

– Przyjąłem. Trzy zero dziewięć pozostaje nad miejscem katastrofy i wskaże je ekipie ratowniczej. Bez odbioru.

– Szefie! Jesteś tam?! W kabulskiej sieci łączności rozpętała się prawdziwa burza. Lot dwieście siedem, opatrzony kryptonimem Lodowiec, spotkał smutny koniec trzydzieści kilosów od Dżalala, podobnie jak myśliwiec trzysta pięć, który rzucił mu się na pomoc. Jeśli wierzyć meldunkowi trzysta dziewięć, do tej pory krążącemu nad miejscem katastrofy, obie maszyny zostały zestrzelone samonaprowadzającymi rakietami. Zaglądam do swojego kapownika i co znajduję? Dwieście siedem to oznakowanie sztabowego transportowca typu An, oddanego do wyłącznej dyspozycji pełniącego obowiązki naczelnego dowódcy czterdziestej armii, a więc nikogo innego niż twego ukochanego generała Borysa Siemionowicza Polakowa! Ponadto Lodowiec to właśnie jego kryptonim! I jak ci się to podoba? Słyszysz mnie? Odbiór!

– Słyszę głośno i wyraźnie. Masz jakieś wieści od Gruszki?

– Nie. Pilot trzysta dziewięć zameldował, że miejsce odpalenia rakiet zostało zniszczone przez rakiety, które zdążył jeszcze wystrzelić trzysta pięć. Odbiór.

– Zrozumiałem. Zostań na nasłuchu na kanale łączności z zespołem Gruszki, może coś wyłapiesz. I nie wychylaj nosa, dopóki kurz nie opadnie.

– Jasne, szefie. Myślę, że nie ma się co martwić o Gruszkę, dopóki nie nadejdą jakieś konkretne wieści. Odbiór.

– Tak, chyba masz rację. Czekam na dalsze komunikaty. Bez odbioru. Aleksander odłożył krótkofalówkę. Ogarnęły go sprzeczne uczucia: szalona radość z powodu sukcesu misji i dotkliwy ból, jaki przyniosła wiadomość o prawdopodobnej śmierci Twórcy.

Kabul, 26 września, 6.10

Punktualnie dziesięć po szóstej zadzwonił telefon w biurze Anatolija. Ten już prawie od godziny czekał na wiadomość. Szybko podniósł słuchawkę i rzekł półgłosem:

– Klimienko.

– Towarzyszu pułkownika, mówi pułkownik Krasin z lotniska w Kabulu. Zdarzył się tragiczny wypadek związany z przelotem naczelnego dowódcy naszej armii. Z największym smutkiem i żalem spieszę was zawiadomić, że samolot generała został zestrzelony przez rakiety

wroga. Wszyscy zginęli. Na razie nie znam żadnych szczegółów. Zadzwoń, kiedy się czegoś dowiem.

Klimienko nie odpowiedział. Oszły urzędowy ton Saszy świadczył wyraźnie, iż linia telefoniczna z kabulskiego lotniska może być na podsłuchu. Było to zresztą wielce prawdopodobne. Zatem Krasin powinien jak najszybciej powiadomić telefonicznie również paru innych wysokich rangą oficerów, aby nikt nie nabrał wobec niego podejrzeń.

Rozdział 19

Ermitaż, 27 września, 5.00

Jeszcze przed świtem Aleksander zbiegł do centrum łączności, mając nadzieję na wiadomość od J. D., dyżurującego przy radiostacji w bunkrze ukrytym w skalnej grani, kilkaset metrów ponad główną bazą. Zgodnie z oczekiwaniami nie musiał czekać nazbyt długo.

– Jesteś tam, szefie? – J. D. nie uznawał żadnych formalnych zapowiedzi, mimo że porozumiewali się na kanale łączności zarezerwowanym dla czterech Amerykanów rezydujących w Ermitażu.

– Tak, jestem. I jak sprawy przedstawiają się dziś rano?

– Niewiele się zmieniło. Już wczoraj po południu w całej czterdziestej armii zapanowało istne szaleństwo. Aż do późna szlak powietrzny z Kabulu do Dżalalabadu był dokładnie patrolowany przez migi i Su, jak też wszelkiego rodzaju śmigłowce, wyłącznie sowieckie, jakby lotnictwo afgańskie nagle przestało istnieć. Jakąś godzinę temu odebraliśmy wiadomość od ludzi Twórcy zza linii zero, że bojownik, który został z jucznymi mułami u stóp góry, samotnie zdołał się przedrzeć z powrotem przez granicę. Twierdzi, że musiał uciekać, bo zrobiło się za gorąco. Widział wszystko na własne oczy, zestrzelenie transportowca, a potem myśliwca, wreszcie atak drugiego Su. Mówi, że jest pewien, iż eksplozje rakiet zrzuciły jednego z Afgańczyków ze szczytu, gdyż widział zwłoki spadające z grani do rzeki. Według niego, to mógł być nawet sam Twórca. Tak czy inaczej, prawdopodobnie ktoś z zespołu Gruszki zginął na miejscu, a dwaj pozostali nie dali rady zejść ze szczytu, przynajmniej do czasu, aż poganiacz mułów zdecydował się na ucieczkę. Zrozumiałeś? Odbiór.

– Tak, zrozumiałem. Co o tym sądzisz?

– Trudno cokolwiek przesądzać, szefie. Jak powiedziałem, jeden z zespołu Gruszki zginął, dwóch trzeba uznać za zaginionych.

– W porządku. Masz coś jeszcze?

Aleksandrowi przemknęło przez myśl, że jeśli nawet Twórca i Chłopak przeżyli atak raketowy na szczycie góry, do tej pory mogli już być martwi. Niczego jednak nie był w stanie teraz zrobić, by wyjaśnić ich los.

– Wciąż obserwujemy pozytywne skutki zestrzelenia śmigłowców przez grupę Jabłko przed

dwoma dniami. Piloci afgańscy są chyba przekonani, iż przerzuciliśmy na pierwszą linię walk nasze najcięższe pociski raketowe, gdyż od wczorajszego południa masowo zgłaszają się z przeróżnymi dolegliwościami. A dzisiaj także sowieckich maszyn było nad Kabulem trochę mniej niż zazwyczaj. Może rosyjskich pilotów również zdziesiątkowała dziwna epidemia. Co ty na to? Odbiór.

– Całkiem niezłe – mruknął podniesiony na duchu Aleksander. – O której będziesz mógł się zjawić na dole? Chciałbym, żebyś pojechał ze mną na lotnisko w Paraczinarze.

– Będę w bazie najpóźniej o piętnastej, w porządku?

– Jasne. Wyruszymy tuż po zachodzie słońca. Fannin odwrócił się do Tima.

– Przygotuj krótką zaszyfowaną depezę do zespołu Gruszki, którą będziemy powtarzać w paśmie o zmiennej częstotliwości co dwie godziny począwszy od szóstej. Przekaż, iż w znaczący sposób przyczynili się dla dżihadu, a ponieważ wiemy, że gdzieś się ukryli, wyślemy im pomoc, jak tylko będzie to możliwe.

Rand spojrział na niego z ukosa.

– Sądysz, że ktoś odbierze tę wiadomość?

– Nie wiem, ale warto spróbować.

Krajowe Centrum Interpretacji Zdjęć, 27 września, 9.00 czasu Greenwich

Zespół analityków już od trzech godzin pracował nad materiałem zebrany przez satelity szpiegowskie CIA. Błyskawicznie odszukano zdjęcia lotniska w Dżalalabadzie, poddano je cyfrowej obróbce, wykadrowano i dostosowano wielkość do ekranów komputerowych. Szczegóły nie pozostawiały żadnych wątpliwości, przy południowo – wschodnim krańcu pasa startowego widać było trzy wraki, a raczej tylko sterty poskręcane metalu leżące pośrodku czarnych kręgów wypalanej ziemi. Obok nich stały sowieckie wojskowe łaziki, należące zapewne do komisji badania przyczyn wypadków. Przy drugim końcu pasa startowego zidentyfikowano dwa transportowce typu An oraz sześć dalszych śmigłowców szturmowych, natomiast w oddzielnej grupie stała eskadra pięciu myśliwców Su-24, zapewne świeżo przerzuconych na miejsce zdarzenia. Po całym lotnisku kręciło się mnóstwo ludzi.

Kierownik zespołu opatrzył powiększone zdjęcia lakonicznym komentarzem i pospiesznie wysłał je pocztą elektroniczną do gabinetu dyrektora agencji. Technicy zajęli się natomiast

szczegółową analizą efektów pierwszego użycia stingerów w wojnie afgańskiej. Jak im powiedziano, wyniki tych ekspertyz miały być wykorzystane do informowania polityków i przywódców innych państw o przebiegu zdarzeń, oni zaś, jeśli nawet w to nie wierzyli, musieli przyjąć owo tłumaczenie za dobrą monetę.

Drugie zadanie, jakim obarczono analityków Centrum, polegało na szukaniu czegokolwiek, co mogłoby potwierdzić wyszczególnione w raporcie wypadki, do których doszło około trzech minut po szóstej rano, trzydzieści kilometrów na północny zachód od Dżalalabadu. Z miejsca zakwalifikowano je do tych nadzwyczaj ogólnikowych, nie sprecyzowanych zleceń, jakie często napływały z centrali CIA. Krótko mówiąc, technicy nie wiedzieli, ani gdzie, ani czego mają szukać, choć najwyraźniej oczekiwano od nich szybkich i konkretnych rezultatów pracy. Nie lekceważono jednak tego zadania, gdyż kilkakrotnie okazało się już, że wysiłek analityków przynosi nadszpodziewanie dobre efekty.

Technicy skoncentrowali się na zdjęciach z przełęczy Tang-i Gharu, lecz nie odkryli niczego niezwykłego. Dopiero po jakimś czasie ktoś odnalazł w raporcie z Paktii podane przez Rosjan koordynaty: „Guawa 44-559, Mango 22-298”. Skontaktowano się z zaprzyjaźnionymi pracownikami Krajowej Agencji Wywiadowczej i już po dziesięciu minutach uzyskano rozszyfrowane współrzędne geograficzne wskazanego miejsca. Reszta poszła jak z płatka. Szybko odnaleziono zdjęcia ze wskazanej godziny obejmujące dany obszar i zaczęto je poddawać cyfrowej obróbce, ograniczając wielkość kadru do wąskiego wycinka rzeki Kabul. Technicy przeglądali zapis klatka po klatce, wypatrując przede wszystkim jakichś szczątków zestrzelonego samolotu.

Dopiero kilka minut po dwudziestej drugiej dokonano nagle zaskakującego odkrycia. Oto na jednym z ujęć zauważono wiszący jeszcze w powietrzu nad rzeką, lecz już poważnie uszkodzony i spadający radziecki transportowiec typu An-26. Po liczbie dodatkowych anten na kadłubie natychmiast został zidentyfikowany jako powietrzne ruchome centrum dowodzenia armii, a na powiększeniu udało się nawet odczytać wymalowany na ogonie pięciodziesiętny numer rejestracyjny.

Dokładniejsza analiza zdjęcia pozwoliła ujawnić, że całe lewe skrzydło maszyny zostało oderwane, gdyż dzieliło je od kadłuba co najmniej pięćdziesiąt metrów przestrzeni. Samolot opadał pod takim kątem, że nie dało się ustalić przyczyny wypadku, gdyż nie było żadnych śladów dymu czy też ognia, za to nagła zmiana własności aerodynamicznych maszyny,

spowodowana oderwaniem skrzydła, w pełni zdawała się wyjaśniać niezwykle położenie transportowca, zapewne spadającego jak kamień i koziołkującego w powietrzu.

– Na miłość boską! Popatrzcie tylko na to! – rzekł z podziwem kierownik zespołu analitycznego, nie mogąc oderwać wzroku od ekranu komputera. Złowiwszy jednak ironiczne spojrzenia techników, szybko rzekł stanowczym tonem: – No, dobra. Przestańmy się na to gapić, jakbyśmy nigdy przedtem nie widzieli podobnego ujęcia. Zapiszcie cały ten powiększony fragment i zobaczcie, co jest na sąsiednich klatkach.

Zapisał w notesie widniejące w rogu ekranu parametry oglądanego zdjęcia: 260133.45.65ZSEP86. Wynikało stąd, że zostało ono wykonane kilka minut po wpół do drugiej w nocy czasu Greenwich dwudziestego szóstego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, zatem krótko po szóstej we wschodnim Afganistanie, biorąc pod uwagę czteroipółgodzinną różnicę czasu.

– Wydrukujcie to na użytek wszystkich królów i prezydentów – polecił, a następnie zwrócił się do młodej analityczki: – Mary, zawiadom swojego kolegę z CIA, że jutro rano dostaną od nas kilka interesujących fotek. Skontaktuj się też z tym facetem z Krajowej Agencji Wywiadowczej i przedyktuj mu numer rejestracyjny samolotu. Powinni na jego podstawie powiedzieć nam coś więcej o zestrzelonej maszynie oraz jej ewentualnych pasażerach. Niewykluczone, że to najważniejsze trafienie od czasu zatopienia „Yamamoto”. Dobra, wszyscy do roboty!

Ledwie zdążył się oddalić od pulpitu analizy zdjęć, technik obrócił wzrok ku niebu i wyszeptał:

– Też mi coś! Od czasu zatopienia „Yamamoto”! Przecież wtedy nie było nas jeszcze na świecie!

Ermitaż, 27 września, 19.00

Aleksander rzucił podniszczoną skórzaną torbę podróżną na tylne siedzenie landcruisera, wsunął się za kierownicę i nacisnął klakson, dając znać kierowcy furgonetki, by ruszał za nim. J. D. zajął miejsce obok niego. Od czasu potyczki z bandą Algierczyków Fannin nabrał zwyczaju wyjeżdżania z Ermitażu tylko w obstawie zbrojnej eskorty. W toyocie siedziało czterech mudżahedinów, piąty stał przy karabinie maszynowym zamocowanym na ramie nad szoferką, szósty jechał w kabinie obok kierowcy.

Do granicy musieli podążać wąską i wyboistą górską drogą, dopiero dalej bity trakt wiódł do jedyne go lotniska obsługującego pakistański okręg Paraczinaru. Nie istniały tu regularne połączenia lotnicze, dwusilnikowy fokker lądował w Paraczinarze raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. Właśnie na dzisiejszy wieczór zapowiedziano kolejny rejs, Aleksander domyślał się, że znany mu pilot, Fred Underman, tym razem przyleci beechcraftem B-300 „King Air”.

Przedstawiciele pakistańskiej administracji, jak też dowódcy wojskowi, niechętnie zezwalali na korzystanie z tych maszyn, obawiając się, że przyciągają one uwagę Rosjan i Afgańczyków ze stacji radarowych monitorujących cały ruch powietrzny w Północno – Zachodniej Prowincji Granicznej. Fannin podzielał te obawy, mimo że tłumaczył wszystkim, iż beechcraft nie powinien wzbudzać większego zainteresowania niż kursujący zwykle fokker.

Dotarli na lotnisko zaledwie parę minut przed tym, jak smukły B-300 zaczął podchodzić do lądowania. Zanim jeszcze maszyna stanęła na końcu pasa startowego, Aleksander wmieszał się w grupę mudżahedinów i odciągnął na bok przywódcę, znanego jako Inżynier Jussuf.

– Inżynierze, czy mógłbyś poprosić swoich braci z Nangarharu, by zechcieli skontrolować brzegi rzeki Kabul w rejonie przełęczy Tang-i Gharu, około trzydziestu kilometrów na północny zachód od Dżalalabadu, i postarać się wyjaśnić, jaki los spotkał Musawwira i Chłopaka? Moim zdaniem, byłoby to bardzo ważne dla dżihadu.

Jussuf w zamyśleniu pokiwał głową.

– Prześlę wiadomość Wali Chanowi. To mój kuzyn, ale pozostajemy w przyjacielskich stosunkach. Można mu zaufać. Poza tym zna tamten teren jak nikt inny i dla ciebie gotów byłby uczynić wszystko.

Aleksander szerokim uśmiechem przyjął informację, że ci dwaj pozostają w przyjacielskich stosunkach, mimo że są spokrewnieni. W tym zdaniu kryła się cała kwintesencja złożonych stosunków społecznych w Afganistanie.

Kabul, 27 września, 19.00

Karm Siergiejewicz Nikitienko od trzech godzin tkwił bez ruchu za biurkiem, aż wreszcie z pewnym zdumieniem stwierdził, iż zrobiło się tak ciemno, że nie jest już w stanie rozróżnić leżących przed nim rzeczy. Pieczołowicie odnotował jednak to, że w ciągu ostatniej godziny Klimienko aż dwukrotnie pojawił się w oświetlonym oknie gabinetu po przeciwnej stronie

dziedzińca. Już trzeci dzień z rzędu postanowił zaczekać, aż tamten zgasi światło i wyjdzie z pokoju. Zresztą i tak nie miał nic innego do roboty. W gruncie rzeczy nie wykonywał żadnych istotniejszych zadań od dwudziestu lat, to znaczy od czasu, kiedy zmarła mu żona, on zaś doszedł do wniosku, że niewiele obchodzi go los dwojga dorosłych już dzieci, tak jak ich nie obchodziła jego praca. Ta myśl sprawiła, że zaczął go ogarniać nastrój przygnębienia, gdy nagle zgasło światło w gabinecie Klimienki. Nikitienko odczekał pięć minut, po czym zapalił lampkę i zapisał w notesie czas zakończenia pracy przez pułkownika. W kręgu światła znalazły się dwa poczerńiałe, częściowo nadtopione, poskręcane blaszane okucia, niemal identyczne. Były zaopatrzone w kartonowe metki, na których wcześniej Karm starannie je opisał: „obiekt pierwszy – znaleziony 23 września w popielniku pieca sztabu 40. armii po tym, jak o godz. 0.25 płk. A. W. Klimienko oddał do spalenia papierową torbę z tajnymi dokumentami” oraz „obiekt drugi – pozostałość po zniszczeniu nie używanego służbowego notesu KGB, wrzuconego do pieca sztabu 40. armii 24 września – dokładnie o tej samej porze – przez płk K. S. Nikitienkę”.

Osmalone kawałki blachy przyciągnęły jego wzrok. Był przekonany, że pięć dni wcześniej Klimienko wraz z innymi papierami cisnął do pieca służbowy notes Szadrina. Wyraźnie o tym świadczyły wyniki doświadczenia, jakie przeprowadził nazajutrz o tej samej porze, wrzucając do pieca inny podobny notes. Miał na to stosowne zaświadczenie, podpisane przez oficera pełniącego dyżur w kotłowni, zgodnie z którym „płk K. S. Nikitienko znalazł oba blaszane okucia w wystudzonym popiele, w ciągu dwóch następujących po sobie dni”. Co więcej, podpis tego samego oficera dyżurnego figurował na obu kartonowych metkach, jakoby potwierdzając naukową ścisłość przeprowadzonego eksperymentu. Zatem przed nim na biurku leżał niezbity dowód przestępstwa, Nikitienko bowiem nie miał najmniejszych wątpliwości, że popełniono brutalne morderstwo w celu zamaskowania o wiele groźniejszego występku.

Powrócił myślami do swojej wizyty w kostnicy przy lotnisku oraz widoku niekompletnych szczątków majora Szadrina trzymanyh w plastikowym worku. Wiedział już, że powinien się bliżej zainteresować osobą adiutanta zmarłego tragicznie generała Polakowa, niejakiego Aleksandra Pietrowicza Krasina. Jeśli to Klimienko zamordował Szadrina, bez wątpienia Krasin musiał mu pomagać w zamaskowaniu zbrodni. Dlatego Nikitienko po raz kolejny odwrócił kartkę notesu i popatrzył na spis pięciu numerów telefonów, pod które dzwonił Krasin zaraz po zestrzeleniu generalskiego transportowca. Był wśród nich również numer Klimienki.

Wyglądało więc na to, że Krasin zawiadamiał kolegów o śmierci Polakowa jedynie dla

niepoznaki. Prawdopodobnie się domyślał, że linia telefoniczna z wieży kontrolnej kabulskiego lotniska jest na podsłuchu. Dlaczego zatem nie zrelacjonował tragicznego wydarzenia wprost? Po co przybierał teatralny, urzędowy ton? W końcu wystarczyło porównać zapisy jego rozmów z późniejszymi, przeprowadzonymi z gabinetu dowódcy armii, by od razu dostrzec różnice w sposobie opisywania wydarzeń. Podczas drugiej rozmowy z Klimienką Krasin oświadczył zuchwale: „Jedyną rzeczą, której mogę teraz żałować, jest to, że nie miałem okazji zobaczyć miny tego idioty na parę sekund wcześniej, nim wyparował pod Dżalalabadem...”. Pojawiła się też jednoznaczna uwaga na temat trafności przewidywań Klimienki. Czyżby więc Krasin poczuł się całkowicie bezpiecznie, kiedy rozmawiał z aparatu naczelnego dowódcy armii? Może miał jeszcze w pamięci głęboką niechęć Polakowa do podsłuchów telefonicznych. W końcu generał nieraz powtarzał na odprawach, że jak tylko przyłapie kogoś z Komitetu na podsłuchiwanie jego rozmów, własnoręcznie obetnie mu kutasa.

No cóż, teraz i tak nie zdołasz już spełnić swej groźby, drogi feldmarszałku, pomyślał Nikitienko. Zebrał zapisy rozmów telefonicznych i wraz z dwoma nadtopionymi blaszkami zamknął je w szafie pancernejszej. Zgasił światło i z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku wyszedł z gabinetu.

Tymczasem po drugiej stronie dziedzińca Klimienko siedział przy oknie w zaciemnionym pokoju. Nie uszło jego uwagi, że światło w pokoju Nikitienki zapaliło się pięć minut, po tym, jak on wyłączył lampkę na swoim biurku. Już trzeci dzień z rzędu markował swoje wyjście i obserwował, jak Nikitienko schodzi z posterunku dziesięć minut później, a już po raz drugi zauważył, że tamten siedzi w ciemnym pokoju i gapi się w jego okno.

Zhawar, Paktia, 27 września, 19.00

Muła Salang był w swoim żywiole, nie musiał się bowiem specjalnie wysilać, by odgrywać rolę religijnego fanatyka. Tym razem jednak odgrywał ją przed gromadą osiemnastu Algierczyków, którzy przed trzema miesiącami przybyli do Afganistanu w poszukiwaniu przygód i okazji do wykazania się poświęceniem w świętej wojnie. Ale przez ten czas nie zrobili niczego dla dżihadu, za to wyraźnie naruszyli dotychczasowy porządek na terytorium kontrolowanym przez Salanga. Dlatego w towarzystwie swoich pięciu bojowników odwiedził przybyszy w wielkiej chacie o ścianach pokrytych gliną, jaką wcześniej oddał im do dyspozycji.

Przywiózł ze sobą poczęstunek, stojący teraz na wzorzystym dywanie pośrodku obszernej, niemal całkowicie pozbawionej sprzętów izby. Jego główny element stanowiła duża koza, oprawiona i natłuszczona oliwą, posypana aromatycznymi ziołami oraz kminkiem i upieczona w glinianym piecu. Połyskująca złocisto pieczeń obsypana była gotowanym ryżem na olbrzymiej tacy. Wokół stały miseczki z pilawem z kawałkami jagnięciny i drobiu, z *raitą*, czyli sałatką z ogórków i pomidorów w śmietanie mocno przyprawionej kolendrą, jak też z pikantnym *dhal*, grochem duszonym z papryką. Na półmisach piętrzyły się sterty ostatnich już owoców mango z tegorocznych zbiorów w Pendżabie. Wzdłuż brzegów dywanu leżały rozłożone wielkie liście tutejszej odmiany łopianu, służące za jednorazowe talerze.

Algierczycy ze skrajną podejrzliwością przyjęli informację, że brat Salang pragnie im złożyć wizytę i na ich cześć wyprawić ucztę z pieczonej kozy. Nieudana zasadzka na Twórcę i agenta CIA, w której zginęli ich koledzy, wywołała spore poruszenie we wszystkich okolicznych ugrupowaniach ruchu oporu, a przerażające plotki o powolnej śmierci, jaka spotkała jedynego Araba ocalałego po krótkiej strzelaninie, dodatkowo podsycaly ich lęk. Ale strach szybko minął, kiedy tylko się okazało, że mułła przyjechał zaledwie z pięcioma swoimi bojownikami, za to przywiózł prawdziwą górę wyśmienitego jedzenia.

Salang doskonale wyczuł rozluźnienie Algierczyków, celowo też nakazał swoim ludziom zostawić broń przed wejściem do chaty, co było powszechnie przyjętym zwyczajem. Zdawał sobie sprawę, że tamci mogą go podejrzewać o zatrucie potraw, toteż na początku sam skosztował każdej, pragnąc rozwiać wszelkie obawy. I już po godzinie olbrzymia pieczeń wyglądała tak, jakby rzuciła się na nią sfora wygłodniałych psów. Całkowicie odprężeni Algierczycy pograżyli się w luźnych rozmowach.

Wreszcie Salang oświadczył, że musi wracać do obozu na modlitwę, a chciał jeszcze opracować strategię na planowaną wielką bitwę z wojskami afgańskimi stacjonującymi w Khost. Upewniwszy po raz kolejny Algierczyków o swojej wdzięczności za ich zaangażowanie, ruszył w drogę powrotną, nakazał jednak kierowcy zatrzymać samochód na szczycie odległego o kilometr wzgórza. Na jego rozkaz trzech bojowników zaczęło zbiegać z powrotem ku chacie, natomiast czwarty, dyplomowany inżynier elektryk, wyjął ze schowka i położył przed nim mały nadajnik radiowy.

Tymczasem mułła rozpostarł na ziemi dywanik, na trzy minuty pograżył się w modlitwie, wreszcie uniósł twarz do nieba i szepnął:

– *Allah hu akhbar.*

Włączył nadajnik i wcisnął czerwony klawisz na obudowie.

Algierczycy wciąż siedzieli wokół dywanu z resztkami uczyty, kiedy sygnał radiowy uruchomił zapalniki dwóch min odłamkowych umiejętnie rozmieszczonych wewnątrz korpusu pieczonej kozy. Każda z nich zawierała trzysta sześćdziesiąt stalowych kulek, toteż eksplozja sprawiła, że pociski dotarły do najodleglejszych krańców izby. Impet wybuchu cisnął zabitych i śmiertelnie rannych ludzi pod ściany. Jedynie trzech Arabów, którzy siedzieli razem na skraju dywanu, nie odniosło większych obrażeń. Byli jednak oszołomieni wybuchem i tylko bezsilnie przewracali rozszerzonymi oczyma po swoich jęczących kolegach, kiedy do chaty wpadło trzech mudżahedinów Salanga uzbrojonych w kałasznikowy. Niespełna pół minuty zajęło im dokończenie morderczego dzieła.

Rozdział 20

Paraczinar, Pakistan, 27 września, 20.00

Kiedy drzwi przedziału pasażerskiego beechcrafta odchyliły się ku ziemi, Fannin ujrzał przed sobą jak zwykle kamienną twarz Jima Dangerfielda, drugiego pilota Undermana. Tamten zbiegł po schodkach i wyciągnął rękę na powitanie, jakby w najmniejszym stopniu nie dziwił go widok starego przyjaciela, spotykanego po sześciu latach wśród tych pakistańskich bezdroży.

– Witaj, Aleks. Z tym zarostem wyglądasz jak autentyczny dzikus.

– Nie ma się z czego śmiać. Tutaj wygląd dzikusa dla każdego może oznaczać największe szczęście w życiu.

– Naprawdę? Mnie i tak już spotkało największe szczęście.

Pospiesznie wrzucił torbę podróżną Fannina do samolotu.

Widok Dangerfielda natychmiast przywołał z pamięci Aleksandra późne lata sześćdziesiąte, które spędzał w południowo – wschodniej Azji. Mimo swych pięćdziesięciu pięciu lat szczupły i energiczny Jim wciąż paradował w starym lotniczym „uniformie” – czarnych dżinsach ściągniętych szerokim skórzanym pasem z wielką srebrną i pozłacaną sprzączką oraz luźnej białej koszuli mundurowej z żółto-czarnymi epoletami pierwszego oficera. Nosił też mocno już zniszczone wysokie czarne buty pilota, przed dwudziestoma pięcioma laty wykonane na zamówienie przez starego chińskiego rzemieślnika z Wanchai, dzielnicy Hongkongu. Co parę lat trzeba je było naprawiać, a ponieważ Chińczyk zmarł co najmniej dziesięć lat temu, odpowiedzialnym zadaniem był obarczany jego syn. Dangerfield nawet nie brał pod uwagę, że mógłby usiąść za sterami w innym obuwiu.

Ostatnim elementem przypominającym dawne czasy był wielki pozłacany rolex na szerokiej złotej bransoletce. Piloci „Air America”, którzy lubili kiedyś odwiedzać cieszący się bardzo złą sławą bar „Biała Róża” na przedmieściach Wientiany, zazwyczaj opowiadali podrywanym dziewczynom, iż te zegarki są dla nich zabezpieczeniem, gdyby musieli bowiem przymusowo lądować na wrogim terytorium, mogliby się wykupić z niewoli, odsprzedając kolejne ogniwa ciężkiej bransolety. Rolex Dangerfielda również pochodził sprzed ćwierć wieku i został mu uroczyście założony na rękę podczas skromnej ceremonii, jaką ponury Montagnard zorganizował na laotańskiej Równinie Dzbanów. Niedługo po tym pilot stracił lewą nogę do kolana, kiedy to

podczas objazdowego rejsu między kolejnymi placówkami CIA w północnym Laosie dostał się pod silny ostrzał przeciwlotniczy komunistycznej partyzantki. Chyba nawet tym samym paskiem od spodni ścisnął sobie wówczas udo, by powstrzymać krwawienie, i jak gdyby nigdy nie dokończył zaplanowany kurs, nim wreszcie zgłosił się do szpitala w Wientianie. Nie minęły nawet trzy miesiące, gdy znów wrócił na niebezpieczne trasy. I oto teraz, dwadzieścia pięć lat później, sadzał maszynę na innym, równie zapomnianym przez Boga azjatyckim lotnisku.

Po paru minutach stanął u boku Aleksandra u stóp schodków beechcrafta.

– I jak? Gotów jesteś się stąd wynieść? Mamy paskudny plan przelotu. W Karaczi będziemy musieli się przesiąść do gulfstreama, którym polecimy do Colombo. Tam zatankujemy i ruszymy do Hongkongu. Na szczęście, od Cejlonu powinniśmy mieć sprzyjający tylny wiatr, więc może się obejść bez drugiego międzylądowania. Szkoda, że Hindusi do dziś żywią do ciebie aż tak zapiekłą urazę, bo przecinając Indie moglibyśmy zaoszczędzić sporo czasu.

Aleksander zaśmiał się cicho.

Kiedy Underman skończył przelewać benzynę z kanistrów do zbiorników przed czekającą ich trzypółgodziną podróżą do Karaczi, rzucił ironicznie:

– No, zabieramy się stąd, zanim jakiś inny samolot będzie chciał nam siadać na grzbiecie. Nie cierpię zatłoczonych lotnisk.

Fannin wdrapał się za nim do kabiny i z uwagą obserwował, jak Underman kołuje beechcraftem na koniec pasa startowego. Dangerfield zdążył się już wygodnie rozłożyć w przedziale bagażowym, pragnąc się nieco zdrzemnąć przed przejściem sterów na dalszym etapie rejsu.

Na ziemi J. D. odprowadził spojrzeniem wzbijający się w mroczne niebo samolot i uniósł do twarzy krótkofalówkę.

– Wystartowali o dziewiętnastej zero trzy. Zapisaleś to, Tim?

– Tak, dziewiętnasta zero trzy. Zaraz nadam meldunek. Bez odbioru.

Pół godziny przed lądowaniem w Karaczi Fannin przebrał się w czarne wełniane spodnie, letni bawełniany koszulek i luźną marynarkę z jedwabiu. Później wsunął stopy w lekkie czarne pantofle i przez chwilę pomyślał, że znów może się poczuć członkiem kultury zachodniej, dopóki kątem oka nie złowił w grubym szkle okienka odbicia swej twarzy pokrytej gęstym zarostem.

Kiedy podchodzili do lądowania w Karaczi, nad zachodnim horyzontem czerniały ostatnie

pasma purpury, a nad Zatoką Omańską wisiał olbrzymi księżyc w pełni. Z góry doskonale było widać, jak metropolia rozrasta się wokół oceanicznego portu leżącego na północny zachód od gigantycznej delty Indusu, odprowadzającego wody prawie z całej Azji Środkowej do Morza Arabskiego.

Przez kilka minut musieli krążyć nad jasno oświetloną dzielnicą willową na skraju miasta, zanim wreszcie Underman skierował dziób maszyny w stronę wydłużonego skrawka ziemi, niczym mroczna szrama rozcinającego przedmieścia Karaczi. Aleksander domyślił się szybko, że będą lądować na tutejszym lotnisku wojskowym. Jeszcze zanim koła beechcrafta zetknęły się z ziemią, dostrzegł przez okienko wojskową ciężarówkę z podświetlonym napisem na dachu, głoszącym: FOLLO W ME. Pilot pokołował za nią w kierunku wyznaczonego miejsca parkingowego, tuż obok smukłego srebrzystoszarego dwusilnikowego odrzutowca typu gulfstream, przygotowanego już do startu.

– A oto i nasz pojazd na dalszą drogę – mruknął Underman, zatrzymując beechcrafta z piskiem hamulców. Pospiesznie przystąpił do procedury wyłączania silników.

Kilka minut później trzej mężczyźni przenieśli bagaże i zajęli miejsca w odrzutowcu, który miał ich zanieść aż do Hongkongu. Dangerfield uzyskał z wieży kontrolnej zgodę na natychmiastowy start i bez wahania ruszył na koniec pasa. Tam zatrzymał, dał pełny gaz i ruszył z takim impetem, że przeciążenie wgniotło Fannina głęboko w fotel. Gulfstream oderwał się od ziemi mniej więcej w połowie długości pasa i pod ostrym kątem zaczął się wzbijać w nocne niebo.

Nieco później, gdy emocje związane z ostatnimi wydarzeniami zaczęły wreszcie opadać, Aleksander rozsiadł się wygodnie. Mógł w końcu na jakiś czas zapomnieć o wojnie afgańskiej i pożeglować myślami ku czekającej na niego w Hongkongu Katerinie. W ciągu dziewięciu miesięcy wymienili zaledwie parę listów, ani razu nie mieli okazji rozmawiać przez telefon. Zaczęło w nim narastać podniecenie z powodu zbliżającego się spotkania, podczas którego mógł żonie wyjaśnić tajemnice związane z ostatnim rozdziałem baśni o kijowskich pannach.

Hongkong, 28 września, 11.00

Dangerfield zapowiedział przez interfon:

– Jesteśmy już w zasięgu sieci komórkowej Hongkongu. Możesz sięgnąć po aparat.

Lądujemy mniej więcej za pół godziny.

Aleksander wziął telefon komórkowy leżący na konsoli łączności i z pamięci wybrał numer.

– Ling? To ja, Fannin... Tak, bardzo dziękuję... Niedługo lądujemy na Kaitak, dlatego chciałbym, abyś przywiózł mi jakieś świeże ubrania na lotnisko... Nie, proszę, nie mów o tym panience. Chciałbym jej zrobić niespodziankę... Tak, dziękuję, Ling.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do siebie. Siedemdziesięcioletni Chińczyk służył w rodzinie Kateriny już od czterdziestu lat. Był razem z nią w Szanghaju, jeszcze zanim wojska Mao-Tse-Tunga ruszyły na południe i Martynowowie musieli szukać schronienia w Hongkongu. A od chwili jego ślubu z Kateriną zajmował się ich domem.

Popatrzył z góry na swe ukochane miasto. Nawet z wysokości dziesięciu kilometrów mógł dostrzec refleksy słońca odbijającego się w oknach drapaczy chmur stłoczonych na każdym dostępnym skrawku wyspy, jak też na półwyspie Kowloon po obu stronach portu Wiktorii. Kiedy gulfstream zaczął zniżać lot, Fannin z grubsza obrzucił spojrzeniem granice Dystryktu Centralnego. Nieco dalej stonowaną zielenią wykończeń odróżniał się strzelisty gmach wieżowca Connaught Building. Ze swymi równiutkimi rzędami okrągłych okien uznawany niegdyś za jedno z architektonicznych arcydzieł, teraz zdawał się ginąć pośród otaczających go nowszych gmachów, a już do reszty ze splendoru odarła go nadana przez miejscową ludność wulgarna nazwa „budynku o dziesięciu tysiącach dup”.

Przez pewien czas Dangerfield leciał na północny zachód, wprost na białą iglicę Castle Peak, nim wreszcie położył maszynę na prawe skrzydło i skręcił ku rojnemu lotnisku Kaitak, którego główny pas sięgał daleko w wody portu Fragrant. Pod wysuwającym się podwoziem odrzutowca przemknęły sznury z suszącą się bielizną, rozciągnięte między oknami kamienic starszej dzielnicy miasta. Wreszcie Jim zanurkował ostro na skraj pasa, jakby na oślep wykonywał podejście uważane przez wielu pilotów za jedno z największych wyzwań w ich zawodowej karierze.

Wycie odrzutowych silników jeszcze do końca nie ucichło, gdy Aleksander zapytał:

– Gdzie mam was szukać, chłopcy, gdybym was potrzebował? W barze „Ocean” czy w „Mandarynie”?

– Mamy zarezerwowane pokoje w „Mandarynie”, lecz w razie konieczności zajrzyj najpierw do baru. Liczę na to, że spędzimy tu parę dni w spokoju. Chciałbym sprawić sobie nowe zelówki w pracowni Kow Hoo’a – odparł Dangerfield.

– Z pewnością będziesz miał dwa, może nawet trzy dni odpoczynku. Ale już pojutrze na wszelki wypadek bądź gotów do startu w każdej chwili.

Po przejściu kontroli emigracyjnej Fannin natychmiast zauważył starego Linga, który z najwyższym skupieniem wpatrywał się w twarze pasażerów. Podszedł wprost do niego i rzekł:

– Wypatrujesz człowieka, który ostatnimi czasy bardzo się zmienił. Czyżbyś zapomniał, że padły koń i tak jest większy od żywego psa?

Chińczyk zachichotał złośliwie, gdyż, jego zdaniem, stare chińskie przysłowia w angielskim przekładzie traciły jakikolwiek sens. Szybko sięgnął po torbę podróżną Aleksandra.

– Najpierw pojedziemy do hotelu „Penninsula”, Ling. Chciałbym się wykąpać i upodobnić choć trochę do ludzi, nim stanę przed panienką. Dzisiaj także jest w sklepie?

– Tak, panie. Spędzi tam cały dzień. Dopiero wczoraj wróciła z Dżakarty.

Ach, z Dżakarty, pomyślał Aleksander. Zatem chodziło o wyroby porcelanowe albo o politykę, a może o jedno i drugie. Jej kolekcja porcelany należała do najcenniejszych w całej kolonii. Katerina była komentatorką polityczną, mogła więc żyć własnym rytmem, a w swoich artykułach publikowanych co tydzień w „Far Eastern Focus” analizowała błyskawicznie zmieniające się sceny polityczne w olbrzymim rejonie od Adelaidy do Władystoku.

Z tylnego siedzenia jaguara Fannin obserwował z zaciekawieniem, jak Ling przedziera się przez zatłoczone ulice metropolii w kierunku hotelu. Na chodnikach

pełno było zabieganych kobiet, które sprawiały wrażenie wypoczętych i szczęśliwych, czego nigdy nie udało mu się zauważyć w Afganistanie.

Po kilkunastominutowej podróży zajechali przed hotel. Portier z wyszukaną uprzejmością szeroko otworzył przed nim drzwi i zapytał:

– Pan Fannin?

– Tak, Winstonie, to ja. A jedyne, co mi się teraz marzy, to gorący prysznic w apartamencie Martinów.

– Jak pan sobie życzy, panie Fannin. Proszę wybaczyć, że przez ten gęsty zarost nie od razu pana poznałem.

Apartament na pierwszym piętrze był na stałe wynajęty przez firmę Martin House. Nazwisko Martin dziwnym sposobem o wiele bardziej pasowało do atmosfery Hongkongu niż Martynow, i choć Aleksander wciąż nie mógł się do tego przyzwyczaić, Katerina używała ich obu z równą łatwością, zależnie od sytuacji.

Półtorej godziny później, ze starannie przystrzyżoną brodą i w świeżym lnianym garniturze, wyruszył na kilkusetmetrowy spacer do siedziby Martin House, sąsiadującej od strony Kowloon z portem Wiktorii.

Rozdział 21

Hongkong, 28 września, 12.40

W galerii budynku minął ciąg dobrze mu znanych, ekskluzywnych sklepów, aż wreszcie stanął przed drzwiami „Dynasty Art”. Już przez szybę dostrzegł Katerinę pogrążoną w rozmowie z jakąś elegancko ubraną kobietą.

Wśliznął się do środka, zwróciwszy uwagę, że jego żona na dźwięk dzwonka zerknęła w kierunku drzwi, nie przerwała jednak rozmowy. Podszedł do gabloty ze starymi pięknymi flakonikami i udając, że podziwia kolekcję, zaczął uważnie obserwować odbicie Kateriny w szybie. Z tej odległości nie mógł rozpoznać słów, odniósł jednak wrażenie, iż uprzejma wymiana zdań wcale nie zmierza ku końcowi. Po minucie odwrócił się zniecierpliwiony i rzekł po ukraińsku:

– Madame, gdyby była pani tak uprzejma, wyprosiła wreszcie tę damę i zamknęła sklep, abyśmy mogli się razem udać do przepięknego apartamentu w hotelu „Penninsula”, natychmiast bym obiecał, że wykupię te wszystkie flakoniki, mimo ich astronomicznych cen.

Katerina powoli odwróciła się do niego i nieco zjadliwym tonem, z fałszywą uprzejmością odpowiedziała także po ukraińsku:

– Ach, to ty, Aleksandrze. Jak to miło, że wreszcie wpadłeś, mój drogi. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz mogłam się cieszyć twoim towarzystwem. Czy pozwolisz, że ci przedstawię panią Galinę Nosenkową? Z pewnością nie jest ci obce to nazwisko szczególnie szanowanej rodziny.

Fannin ze wszech sił starał się nie dać po sobie poznać zakłopotania.

– Oczywiście, że jest mi znane. Czuję się zaszczycony, że mogę poznać wielce szanowaną panią Nosenkową, której reputacja budzi mój najszczęszy podziw. Jestem pewien, łaskawa pani, że Katerina zdążyła już panią uprzedzić, iż moją największą słabością jest pociąg do porcelanowych flakoników oraz pięknych Ukrainek. W tej sytuacji czuję się wręcz bliski utraty zmysłów.

Nosenkową uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Jakie to urocze. Nie pozostaje mi nic innego jak spełnić pańską prośbę i zostawić was sam na sam, byście mogli dobić targu w kwestii tych... flakoników.

Zarumieniła się lekko i jakby z zawstydzieniem ucałowała szybko Katerinę w oba policzki, jeszcze raz uśmiechnęła się do Aleksandra i wyszła ze sklepu.

– Nie byłeś zbyt uprzejmy, Aleks. Mam nadzieję, że nie do końca zapomniałeś o oglądzie towarzyskiej, obracając się tyle czasu wśród egzotycznych bohaterów Kiplinga.

Zbliżył się szybko, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Cześć, Kat.

– Witaj, Aleks.

– Wszystko w porządku?

– U mnie tak. A u ciebie?

– Teraz tak. – Pocałował ją czule. – Domyślałaś się, że przylecę właśnie dzisiaj, prawda?

– Oczywiście. Wczoraj zadzwonił do mnie jeden z twoich szalenie tajemniczych kolegów, bodajże o imieniu Frank i uprzedził, że zjawisz się dziś około południa. Jeśli dobrze pamiętam, ani razu nawet nie wymówił twojego imienia... Tak, powiedział: „A. przybędzie jutro w południe specjalnym samolotem”.

– Ling nadal czeka za kierownicą przed hotelem.

– Już nie. Zadzwonił do mnie, kiedy moczyłeś się pod prysznicem, i wyznał, że od długiego przebywania na słońcu masz całkiem spaloną skórę, a gęsty zarost upodabnia cię do parszywego kulisa z Fukien. Dlatego zdążyłam poczynić pewne plany.

– A więc będę się musiał podporządkować damie z Szanghaju. Wszelkie plany Martynowów zasługują na najwyższą uwagę.

– Na Przystani Królowej czeka na nas „Hoping Jiang”. Ling ma się o wszystko zatroszczyć.

Aleksander przytulił żonę i szepnął czule:

– Kocham cię.

– Na pewno nie tak bardzo, jak ja ciebie. Ale może chodźmy już stąd, zanim zjawi się jakiś klient i złoży mi bardziej kuszącą propozycję.

Tuż przed wciągnięciem trapu zdążyli wbiec na pokład „Morning Star”, jednego z wielu promów kursujących między wyspą Hongkong a półwyspem Kowloon. Mimo że podróż miała potrwać tylko pięć minut, rozsiedli się wygodnie na rufowej ławce, pod wielką tablicą z dwujęzycznym napisem, po chińsku i angielsku: TU WOLNO PALIĆ, ZABRANIA SIĘ PLUCIA NA POKŁAD.

Aleksander pływał tutejszymi promami setki razy, lecz zawsze na widok tej tablicy nasuwało mu się skojarzenie, że w innej części statku znajduje się wydzielony kącik – zapewne utrzymywany w ścisłej tajemnicy – gdzie można pluć na pokład, natomiast zabrania się palenia. Zaraz po ślubie podzielił się tymi podejrzeniami z Kateriną, na co ona odparła z oburzeniem, że tylko szczególnie pokrętny sposób myślenia uprawnia do wyciągania podobnych wniosków. Niemniej od tamtej pory, ilekroć razem podróżowali promem, i ona z rozbawieniem witała ów napis.

Już w wejściu do portu Wiktorii dostrzegli „Hoping Jiang” zacumowaną w Przystani Królowej. Piętnastometrowa dżonka należała do ojca Kateriny. Chylące się ku zachodowi słońce podkreślało smukłe linie jej burt i zabarwiało na złoto pokład z drewna tekowego i trzy mahoniowe maszty. Łódź była wyposażona w dwucylindrowy wysokoprężny silnik volvo, lecz Aleksander i Katerina wyłączali go zaraz po wyjściu z zatłoczonego portu. Oboje lubili się wsłuchiwać w skrzypienie masztów oraz szum wiatru wydymającego żagle i pchającego ciężką jednostkę po falach.

Ledwie weszli na pokład, Ling pospiesznie wydał rozkazy i załoga przystąpiła do wyprowadzania dżonki na morze.

– Dokąd płyniemy, pani kapitan? – spytał Fannin, rozsiadając się wygodnie na obitej skórą sofie na mostku kapitańskim.

– Najpierw do portu Aberdeen po świeże krewetki, a później na wyspę Wellingtona, gdzie zakotwiczymy i pozwolimy załodze zejść na ląd, abyśmy mogli zjeść obiad, mając całą łódź tylko dla siebie.

Czterdzieści minut później wpłynęli między stłoczone w porcie łodzie rybackie i pływające restauracje. Ling nakazał sternikowi przybić do burty dwudziestometrowej dżonki, po czym z młodzieńczą werwą przeskoczył na jej pokład, szeroko wymachując niesionym wiaderkiem na krewetki. To efekt chińskiej gimnastyki i potężnego chi, pomyślał Aleksander, odprowadzając go spojrzeniem, dogłębnie przekonany, że stary służący rzeczywiście posiadał sekret długowieczności.

Po paru minutach Ling wrócił z wiaderkiem wypełnionym wielkimi krewetkami tygrysimi. Wlał do niego pół butelki białego wina, zaniósł do kuchni, wróciwszy zaś wyjaśnił:

– Trochę za dużo dziś wypili i za wcześnie zdjęli krewetki z rusztu.

Tym razem Aleksander przejął funkcję kapitana. Umiejętnie wyprowadził dżonkę z portu

i skierował ją na zachód, w stronę wyspy Wellingtona. Kiedy tylko minęli utarte szlaki morskie, nakazał bosmanowi postawić wszystkie żagle, a gdy te napełniły się wiatrem, wyłączył silnik. Wkrótce Ling zjawił się na mostku ze srebrną tacą i dwoma szklankami dżinu z tonikiem.

Katerina upiła maleńki łyk i zwróciła się do męża:

– W ostatnim miesiącu w doniesieniach agencyjnych królowały wiadomości z Afganistanu. Najpierw komentowano szeroko atak raketowy na składy amunicji w Khardze pod Kabulem, BBC pokazało nawet reportaż z miejsca zdarzenia, później wszczęły się dyskusje na temat dostaw amerykańskich stingerów do Azji Środkowej. Dziś od rana prawie nie mówi się o niczym innym, jak o zestrzeleniu przez mudżahedinów samolotu z jakimś bardzo ważnym sowieckim generałem na pokładzie. Podobno w tę akcję także byli zaangażowani Amerykanie. Mój redaktor naczelny już się zastanawia, czy nie wysłać mnie do Kabulu i Moskwy, bym szykowała cykl reportaży o nadchodzącej klęsce Rosjan w Afganistanie. Powiedz mi, czy dopisało wam szczęście, czy naprawdę robicie tak dobrą robotę.

– Jedno i drugie.

Fannin objął ją ramieniem, ale jego dłoń niemal odruchowo zsunęła się po jedwabiu sukni aż na biodro.

– Mam więc rozumieć, że przeczucia cię nie myliły i przebieg walk nabiera dokładnie takiego znaczenia, o jakim mówiłeś dziewięć miesięcy temu przed wyjazdem?

– Tak. Moim zdaniem, ta wojna przyczyni się do upadku całego systemu. Jeśli Gorbaczow stopniowo demontuje partyjny beton od środka, podczas gdy Armia Radziecka coraz bardziej grzęźnie w sytuacji bez wyjścia, na pewno staniemy się świadkami historycznych wydarzeń. Nie istnieje taka armia, która z podobnej opresji wyszłaby obronną ręką. Wojna afgańska musi się przerodzić w największą pomyłkę, jaką komunistyczni dyktatorzy popełnili w ciągu siedemdziesięciu lat swych żalosnych rządów. A ty nie dostrzegasz żadnych wyraźniej szych szczelin w tym jednolitym murze po drugiej stronie kurtyny.

Katerina przytaknęła ruchem głowy.

– Spędziłam dwa tygodnie w Paryżu, Sztokholmie i Wiedniu. Rozmawiałam z przedstawicielami „Solidarności”, dysydentami ukraińskimi, ludźmi z krajów Bałtyckich. W całej Europie coraz wyraźniej odczuwa się skutki tego, co ludzie Caseya robią w Polsce. Ukraińskie organizacje niepodległościowe dostały wreszcie materiały poligraficzne. W rejonie nadbałtyckim powstają nowe ugrupowania separatystyczne. Próbowałam namówić ludzi

z „Solidarności” do tego, by czasami wykorzystali swoje przenośne nadajniki do wyemitowania paru audycji po ukraińsku czy litewsku, ale oni, mimo że czują się coraz pewniej, wyrażali uzasadnione obawy co do odpowiedzi Rosjan na próby siania zamętu w granicach Sojuza.

– A co ty na to? – wtrącił Aleksander.

– Powtórzyłam im twoje ulubione powiedzonko: Trzeba mieć jaja, by zasłużyć na chwałę. Ubrałam je tylko w nieco bardziej cywilizowaną formę.

Fannin zachichotał.

– Mam nadzieję, że przekazałaś im ostatnie wieści z frontu afgańskiego.

– Oczywiście – przytaknęła szybko. – Błyskawicznie powędrują z Warszawy do Kijowa i Wilna. Co zrozumiałe, podkreślałam z naciskiem, że los, jaki spotyka Armię Radziecką w Afganistanie, może być świetnym wyznacznikiem tego, co by ją czekało, gdyby zapadła decyzja o interwencji zbrojnej w Europie Środkowowschodniej.

– I co? – zainteresował się Aleksander, marszcząc brwi.

– Rzekłabym, iż ziarno padło na podatny grunt. Ale to oznacza jedynie, mój drogi, że byłoby najlepiej, gdyby do końca sprawdziły się twoje przepowiednie dotyczące Afganistanu.

– Możesz być pewna, że Armia Radziecka nie wyjdzie stamtąd z honorem. W obecnej sytuacji Rosjanie muszą ponosić coraz większe straty, czy pozostaną tam, czy zaczną się wycofywać. Jeśli mądrze rozegramy sprawę, możemy naprawdę wygrać tę wojnę.

Później, kiedy Ling i załoga dżonki na całą noc zeszli na ląd, oni zaś leżeli w królewskim łóżu w kajucie kapitańskiej na pokładzie rufowym, Aleksander uniósł się na łokciu, popatrzył z podziwem na typowe dla tych okolic żółtawe pasma księżycowego blasku, przecinające zatokę Sandy Bay i wlewające się do kabiny, po czym delikatnie przeciągnął palcem po nagich plecach żony.

– Jesteś gotowa na najbardziej niezwykłą część mojej relacji? – zapytał.

– A co się stało?

– Chciałbym ci pokazać krótki film, który sam wyreżyserowałem. Katerina usiadła w pościeli. Fannin wysunął się spod prześcieradła, wyjął kasetę z plecaka i włączył magnetowid oraz telewizor, stanowiące część wyposażenia kajuty. Włożył kasetę i po chwili na ekranie ukazał się landcruiser, zmierzający powoli wyboistą górską drogą na tle strzelistych sosen.

– Pięknie tam jest – mruknęła Katerina.

Z samochodu wysiadło trzech mężczyzn, jednym z nich był Aleksander. W zapisie nastąpiła krótka przerwa, a po chwili ten sam krajobraz ukazał się pod innym kątem. Na zbliżeniu pozostało tylko dwóch ludzi, z których jeden miał na sobie mundur Armii Radzieckiej z dystynkcjami porucznika. Z głośnika popłynął głos Fannina, zapowiadającego po angielsku:

„Oto zapis spotkania między pułkownikiem Bielenko z dowództwa sowieckiej czterdziestej armii z Kabulu i porucznikiem Orłowem ze sto piątej Gwardyjskiej Dywizji Desantowej. Dziś jest dziewiąty września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, a spotkanie odbywa się w prowincji Paktia, we wschodnim Afganistanie. Bardzo proszę, aby teraz każdy z panów przedstawił się do kamery i zechciał potwierdzić przytoczone przeze mnie informacje”.

Fannin zerknął ciekawie na żonę, która ledwie na sekundę obróciła ku niemu twarz. W jej oczach malowało się bezgraniczne zdumienie. Kiedy kolejne zbliżenie ukazało ze szczegółami twarze obydwu mężczyzn, gwałtownie wyprostowała się w łóżku.

„Nazywam się pułkownik Iwan Bielenko. Potwierdzam, że wszystko, co zostało przed chwilą powiedziane, jest zgodne z prawdą”.

„Jestem porucznik Michaił Orłow. Przedstawione na wstępie fakty są prawdziwe”.

„Poruczniku Orłow, czy był pan źle traktowany podczas pańskiego pobytu u gościnnych mieszkańców Afganistanu?”.

„Nie traktowano mnie źle, zostałem jednak bezprawnie zatrzymany przez duszmanów, z pogwałceniem międzynarodowych konwencji oraz przepisów ustanowionych przez legalne władze Afganistanu”.

Katerina z coraz większym przejęciem wpatrywała się w ekran, nie zwracając uwagi na gęsią skórkę, która wystąpiła na jej odsłoniętych ramionach.

„Proszę zdjąć bluzę mundurową, poruczniku. Zechce się pan powoli obrócić? Pragnę utrwalić na taśmie, że nie ma pan żadnych widocznych ran po pobycie w naszym obozie. Muszę też zapytać, czy nie ma pan żadnych skaleczeń na nogach, chyba że wolałby pan zdjąć również spodnie”.

„Nie mam także ran na pozostałych częściach ciała. Sądzę, że to stwierdzenie pozwoli mi uniknąć dalszych upokorzeń”.

„Pułkowniku Bielenko, czy zechciałby pan do kamery przyznać, że porucznik Orłow jest w dobrej kondycji fizycznej i nie ma widocznych obrażeń?”.

„Porucznik Orłow nie nosi żadnych śladów fizycznej przemocy czy znęcania się nad nim”.

„Dziękuję obu panom za życzliwą współpracę. To nam wystarczy do celów archiwalnych”.

Zapis urwał się nagle, ekran wypełniły setki tańczących białych punkcików.

Katerina bez słowa sięgnęła po pilota, przewinęła kasetę i po raz drugi puściła odtwarzanie. Kiedy w zbliżeniu ukazały się twarze obydwu Rosjan, zatrzymała kasetę i spoglądając na nieruchomy obraz, powiedziała:

– Nawet nie podejrzewaliśmy, że służy w jednostkach liniowych w Afganistanie. Byliśmy pewni, że jest oficerem KGB.

– To prawda, ma stopień pułkownika KGB.

Wzdrygnęła się, jakby przeszył ją chłód.

– Od razu go poznałam. Te rysy, wyraz oczu... Jakbym patrzyła na zdjęcie brata, którego nigdy nie miałam. Dopiero później zauważyłam niewielkie znamię na czole, tuż pod linią włosów. Wygląda na to, że wszyscy w naszej rodzinie noszą podobne znamiona w takim czy innym miejscu na skórze. Ale wciąż nie mogę uwierzyć, że ty i ten pułkownik, mój brat cioteczny, jedyny krewny w tym pokoleniu, spotkaliście się w tak niezwykłym miejscu i niecodziennych okolicznościach. To niewiarygodne zrzędzenie losu.

– A jednak. Chcesz teraz usłyszeć całą opowieść?

Katerina w zamyśleniu pokiwała głową.

Aleksander położył się obok niej i zaczął po kolei omawiać wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy. Zajęło mu to ponad godzinę. Kiedy skończył, Katerina musnęła palcami jego policzek i oznajmiła stanowczo:

– Jadę z tobą, żeby się spotkać z Anatolijem Wiktorowiczem.

– Wiedziałem, że tak zadecydujesz. – Fannin objął żonę ramieniem, pocałował czule, po czym dodał: – Przyda mi się twoja pomoc w rozmowach z kuzynem Tolą. Musimy go przekonać, że jest w stanie zrobić coś, co naprawdę będzie miało olbrzymie znaczenie.

Katerina uniosła głowę i lekko zmrużyła oczy. Blask księżyca podkreślił zatroskanie malujące się na jej twarzy.

– Chyba nie zamierzasz powiadomić o tym wszystkim swoich przełożonych z Langley, prawda?

– Nie. Niech centrala poszuka sobie innych pułkowników KGB. To jest wyłącznie nasza rodzinna sprawa.

Rozdział 22

Hongkong, 29 września, 7.30

Frank Andrews odebrał telefon w swoim pokoju w hotelu „Mandarin” już po drugim sygnale. Obudził się o czwartej nad ranem i od tej pory, nie mogąc zasnąć, oglądał kolejne, powtarzające się co pół godziny serwisy informacyjne CNN, aż niemal mógł cytować z pamięci słowa komentatorów.

– Frank, tu A. Chyba wiesz który? Ten z Paktii. – Aleksander spojrział przez ramię i uśmiechnął się do Kateriny. – Kiedy i gdzie możemy się spotkać? Weź tylko poprawkę, że potrzebuję jakichś dwóch godzin na dotarcie do centrum miasta.

– W takim razie będę czekał o dziesiątej w holu. H. wynajął tu kawalerkę, więc skorzystamy z niej, aby nikt nam nie przeszkadzał.

– H.? Zaraz, chwileczkę. Niech zgadnę. Już mam! – Zniżywszy głos do konspiracyjnego szeptu, zapytał: – Chodzi o Houstona z Islamabadu?

– Przestań się wygłupiać, na miłość boską! Do zobaczenia w holu.

– Będę trzymał w lewej dłoni zrolowane dzisiejsze wydanie „Timesa” – dodał jeszcze ciszej Fannin.

Punktualnie o dziesiątej podniósł głowę znad gazety w zastawionym ciężkimi, obitymi skórą meblami holu hotelowym i ujrzał potężnie zbudowanego Andrewsa zmierzającego w jego stronę ciężkim, rozkołysanym krokiem futbolisty, gracza zawodowej ligi NFL, który wolał spokojną służbę w CIA od błyskotliwej kariery sportowej.

– Chodźmy na górę – rzucił krótko. – Houston jest zajęty przerzucaniem tajnych dokumentów i zdjęć satelitarnych.

W windzie Fannin obrzucił kolegę badawczym spojrzeniem.

– Wyglądasz na przemęczonego. Jak minął lot?

– Myślisz, że wyglądałbyś inaczej po całodobowej podróży? Zresztą spójrz tylko w lustro.

Z tą gęstą brodą przypominasz bohatera powieści Kiplinga.

– A może pojedziesz tam ze mną na parę tygodni? Prawdziwa walka z namacalnym wrogiem z pewnością podniosłaby cię na duchu.

Andrews z niechęcią pokręcił głową.

– Już tkwię w tym po uszy. Kiedy ty się dogadujesz ze sztabowcami z czterdziestej armii sowieckiej, ja toczę swoją prawdziwą walkę z namacalnym wrogiem w Waszyngtonie.

W pokoju Jima Houstona zasiedli wokół stolika do kawy. Frank od razu przystąpił do omawiania konkretów.

– Sądzę, że jeszcze dzisiaj zdążymy załatwić wszystkie sprawy. Zaczniemy od najważniejszych wydarzeń ostatniego miesiąca. Spójrz na te zdjęcia. – Podał Aleksandrowi plik powiększonych czarno – białych odbitek ze zdjęć satelitarnych.

Trzy pierwsze ukazywały magazyny amunicji w Khardze, sfotografowane pięć dni przed atakiem raketowym z dwudziestego szóstego sierpnia. Doskonale było widać koszarowe baraki, wpuszczone w ziemię bunkry, spiętrzone skrzynki i pojazdy. Aleksander zdołał nawet rozpoznać paki z granatami moździerzowymi i zgromadzone nieopodal podłużne skrzynie z pociskami raketowymi.

– Nie rozumiem, po co nagromadzili tyle amunicji w jednym miejscu – mruknął.

– Jakby sami się prosili, żeby to wszystko wysadzić w powietrze. Według naszych szacunków, w Khardze uległo zniszczeniu jakieś pięćdziesiąt tysięcy ton zapasów. Zwróć uwagę na ostatnie zdjęcie, zrobione dwudziestego szóstego, godzinę przed zachodem słońca. Tu masz identyczne ujęcie z następnego ranka.

Fannin przełożył poprzednią fotografię do lewej ręki i porównał ją z następną. Ogromnisze zniszczeń był wprost nieopisany. Każdy budynek i bunkier wyglądał jak zmiażdżony pod uderzeniem pięści giganta. Nad spalonymi ruinami wciąż unosił się dym.

– Jakie skutki w szerszej skali przyniósł ten atak?

– Wszystko wskazuje na to, że Sowieci jeszcze przed dłuższy czas nie zdołają się pozbierać. Koszary w Khardze nie będą się nadawały do użytku co najmniej przez kilka miesięcy. Z tego wynika, że zarówno rządowe wojska afgańskie, jak i sama czterdziesta armia, jeszcze w ciągu zimy powinny odczuwać dotkliwe braki w zaopatrzeniu. A więc twoi bojownicy będą mieli czas na zaczerpnięcie głębszego oddechu.

Andrews wyciągnął z teczki następne zdjęcia.

– Ta fotografia wzbudziła już autentyczny podziw trzech przywódców państw. Przedstawiliśmy ją Reaganowi, Zii oraz saudyjskiemu królowi Fahdowi. Oto satelitarny obraz dramatyzmu toczącej się wojny. Szkoda, że nie wolno nam tego opublikować.

Aleksander ujrzał spadający transportowiec An-26. Kontrakt został do tego stopnia komputerowo poprawiony, że bez trudu można było odczytać numer rejestracyjny samolotu. Zdjęcie rzeczywiście sprawiało niezwykle wrażenie. Najeżona antenami maszyna dowodzenia jakby zastygła na boku, kilkadziesiąt metrów od oderwanego skrzydła, ukazując wyraźnie szereg ciemniejszych okrągłych okienek ciągnących się wzdłuż lewej burty.

– Popatrz uważnie na pierwsze okno za kabiną pilotów.

Fannin przybliżył zdjęcie do oczu.

– Chyba za szybko mający twarz jakiegoś człowieka.

Andrews pokiwał głową.

– Zapewniono mnie, że bez wątpienia jest to przerażone oblicze generała Borysa Siemionowicza Polakowa.

– Domyślam się więc, iż w stolicy podnoszą się już głosy, że posunęliśmy się za daleko i Rosjanie mogą przedsięwziąć jakieś radykalne posunięcia, skoro jeden z ich najważniejszych generałów został zestrzelony pociskiem z metką „Made in USA”.

– Owszem, zrobiło się trochę szumu, ale prezydent jest bardzo zadowolony, podobnie jak wielu demokratów z Kongresu, którzy wciąż przeważają nad zwykłymi krzykaczami. A jakie kroki, twoim zdaniem, mogą podjąć Rosjanie? – zapytał Andrews.

– Nie mają zbyt wielkiego wyboru. Z pewnością narobią wrzasku, ale na tym się raczej skończy. Nie podejrzewam, by odważyli się przenieść działania zbrojne za granicę pakistańską. Najwyżej zbombardują kilka prowincjonalnych bazarów i to wszystko.

– Pakistańczycy wyrażają podobne opinie – wtrącił Houston. – Zia niemal bez przerwy powtarza Caseyowi, że godzi się na dolewanie oliwy do ognia, nie chciałby jednak, żeby w tyglu na dobre zawrzało.

Aleksander spojrział z ukosa na Andrewsa.

– Czy Schulz rozmawiał już z Dobryninem?

– Jeszcze nie, ale chyba jest przygotowany. Ostatnio w ogóle nie kontaktował się z Caseyem. Nie sądzę jednak, by to miało większe znaczenie. Na pewno nikt w Waszyngtonie nie potraktuje poważnie wrzasków Dobrynina, chyba że stanie się coś naprawdę groźnego. Zresztanie będzie powrotu do dyskusji w kwestii dalszych dostaw stingerów. Zupełnie inną sprawą są twoje dalsze operacje w Paktii. Sowietci wyłażą teraz ze skóry, żeby cię dopaść.

– Rezydent KGB z Islamabadu – dodał Houston – który zjadł zęby na pracy wywiadowczej,

w ciągu ostatniego tygodnia już dwukrotnie kontaktował się ze mną drogami dyplomatycznymi i skarżył, że bezpośrednie zaangażowanie Amerykanów w wojnę afgańską jest otwartą prowokacją wobec Rosjan. Powtarzał, iż nie jest żadną tajemnicą, że zbudowaliśmy własną bazę w Paktii, toteż powinienem sam wyciągnąć odpowiednie wnioski.

– O co mu chodzi, do diabła? – spytał Andrews.

Fannin obojętnie wzruszył ramionami.

– To zwyczajny wybieg. Rosjanie nie cierpią, kiedy się ich prowokuje. W ten sam sposób reagują na groźby. Skoro więc dają do zrozumienia, że powinniśmy wyciągnąć odpowiednie wnioski, należy to uznać za odpowiednik dyplomatycznego ostrzeżenia, nic poza tym.

O wpół do siódmej wieczorem Aleksander wyszedł wreszcie z hotelu i z radością powitał czekającego na podjeździe jaguara.

– Witaj, księżniczko! – rzucił, otworzywszy drzwi.

– I jak ci się podobam, Sikandrze?

– Matko boska! Coś ty ze sobą zrobiła?!

– Sam powiedziałaś, że muszę się upodobnić do mężczyzny, jeśli chcę z tobą lecieć. I jak oceniasz efekt? – Katerina uniosła twarz i pokręciła lekko głową. Krótko obcięte ciemnoblonde włosy i sportowy młodzieńczy strój nie zdołały odebrać jej atrakcyjności. – Wyglądam na chłopaka?

Fannin usiadł obok żony i lekko musnął jej pierś.

– Niezupełnie, ale na początek może być. – Z uśmiechem cmoknął ją w policzek. – Jedźmy do domu, jestem wykończony.

– Tak, jedziemy do domu, panie, ale możemy przecież rozmawiać. Ty nie przybyć taki kawał drogi, żeby jedną noc bara-bara, a potem tylko spać i zostawić panienkę w smutku!

– Gdzieś ty się nauczyła tego chińskiego żargonu, łobuzico?

– A jak sądzisz? W końcu jestem dziennikarką, więc muszę mieć baczenie na wszystko, co się dzieje w kolonii. A propos, dziś wieczorem moi rodzice wpadną na drinka. Nie mówiłam im o kasecie wideo, którą mi pokazałeś, uprzedziłam jednak, że masz wiele do opowiadania.

– Jak przyjmą ten film?

– Dla mamy to będzie nadzwyczaj wzruszające przeżycie. Nie zapominaj, że to ona przed wyjazdem do Afganistanu powierzyła ci misję odnalezienia siostrzeńca. A ponieważ jest

romantyczką, więc pewnie od razu przystąpi do pisania kolejnego rozdziału swojej baśni. Natomiast ojciec ma praktyczne podejście do życia. Jeśli nawet nie zareaguje od razu, to wcześniej czy później zacznie kombinować, jakie konkretne korzyści można wyciągnąć z zaistniałej sytuacji. On myśli podobnie jak ty.

Po dziesięciu minutach Ling zatrzymał wóz przed wejściem do zabytkowej rezydencji Martynowów. Trzymając się za ręce, Aleksander i Katerina przeszli przez obszerny hol i wyjrzeni na werandę, z której rozciągał się malowniczy widok na opadające tarasami ogrody i lazurowe morze w dole. Starsi państwo czekali już na nich, podziwiając zachód słońca.

Aleks serdecznie ucałował Larę w oba policzki, po czym zginął w objęciach teścia.

– Widzę, że ta egzotyczna przygoda bardzo ci służy – zaczął Michał. – Zgubiłeś co najmniej pięć kilo i bardzo mi się podobasz z brodą. Lara nigdy by nie pozwoliła, bym nosił zarost. Twierdzi, że wyglądałbym jak szalony mnich.

Lara obrzuciła zięcia uważnym spojrzeniem.

– To prawda, lecz Aleksander w niczym nie przypomina mnicha. Mam rację, Katiu?

– No cóż, odrobiny szaleństwa mu nie brak, ale faktycznie trudno go uznać za mnicha. Ling, czy byłbyś uprzejmy podać nam wszystkim dżin z tonikiem w gabinecie?

Kiedy tylko starsi państwo rozsiedli się wygodnie na sofie przed regałem z książkami, Katerina zagadnęła:

– Aleks, nie zechciałbyś nam teraz pokazać swojego filmu?

Fannin od razu przystąpił do dzieła i z radością obserwował, jak teściowie spoglądają na ekran w niemym osłupieniu. Kiedy po raz drugi zapis dobiegł końca, Lara zauważyła cicho:

– Aleksandrze, według mnie odnalazłeś to, czego od dawna szukaliśmy. – Odwróciła się do męża i wyjaśniła: – Misza, ten młody przystojny pułkownik na zdjęciach to nikt inny, jak Anatolij, chłopak Kateriny.

– Ależ tak, jasne! Czuję, że kryje się za tym jakaś tajemnica, tylko nie domyśliłem się od razu prawdy.

– Mnie to zajęło dwa dni – przyznał Fannin – a w tym czasie kilka razy rozmawiałem z Anatolijem w cztery oczy.

– A więc naprawdę służy w wojsku i nosi stopień pułkownika? – dopytywał się Martynow.

– Służy w oddziałach specjalnych, w KGB, i stacjonuje przy sztabie czterdziestej armii w Kabulu. Chcielibyście obejrzeć ten zapis jeszcze raz, skoro jego tożsamość nie budzi już

wątpliwości?

– Tak, chętnie.

W efekcie Fannin musiał odtwarzać kasetę jeszcze czterokrotnie, aż w oczach Lary zakręciły się łzy od widoku siostrzeńca.

Kiedy godzinę później Martynowowie odjechali, Aleksander i Katerina zjedli na werandzie spóźniony obiad. We wcześniej jednak obiecali sobie nawzajem, że będą rozmawiać o wszystkim, tylko nie o wojnie afgańskiej i Anatoliju Klimience, ani o tym, co ich czeka w najbliższej przyszłości. Wreszcie Ling podał im kawę i dwie niewielkie lampki armagnacu. Nie zdążyli go nawet spróbować, gdy Chińczyk ponownie zjawił się na werandzie ze słuchawką aparatu bezprzewodowego.

– Ten człowiek nie chciał się przedstawić, mówi jednak, że ma do pana bardzo pilną sprawę.

Aleksander wziął od niego słuchawkę.

– Niech zgadnę. Dzwoni F jak Frank albo H jak Houston. Mam rację.

– Tu F, ty złośliwcze. Masz do wyboru: albo natychmiast wrócisz do miasta i spotkamy się w biurze, albo ja przyjadę do ciebie ze specjalnym urządzeniem, które pozwoli ci się skontaktować z twoim biurem.

– Ty przyjedź tutaj. Pamiętasz jeszcze, gdzie mieszkamy?... W porządku. O tej porze nie powinno ci to zająć więcej niż pół godziny.

Katerina nagle spoważniała.

– Jakieś kłopoty?

– Jeszcze nie wiem – odparł z namysłem. – Trzeba zaczekać na Andrewsa, wtedy się dowiemy.

– A więc jednak kłopoty. Nie musisz mnie okłamywać.

Rozdział 23

Hongkong, 29 września, 22.00

Andrewsowi dotarcie do rezydencji zajęło jednak czterdzieści minut. Przyjechał służbowym samochodem prowadzonym przez jakiegoś strasznie poważnego pracownika tutejszej komórki CIA. Przywiózł ze sobą sporych rozmiarów walizkę, dość ciężką, jak przekonał się Aleksander, odebrawszy bagaż z jego rąk. Przeszli na werandę, gdzie Frank podał mu kilka zadrukowanych kartek.

– Najpierw to przeczytaj, ja tymczasem podłączę tę zabawkę. Ostrożnie ułożył walizkę na kamiennym obmurowaniu, odchylił wieko i spod

grubej warstwy pianki zabezpieczającej wyjął sporych rozmiarów nadajnik satelitarny. Ustawił go na stoliku, z przegródki wyjął kompas i posługując się zapisanymi w notesie parametrami, znalazł żądany punkt na zachodnim nieboskłonie.

– Mamy naszego ptaszka w zasięgu anteny – oznajmił. – Można będzie nawiązać łączność bezpośrednio stąd.

Ale Fannin go nie słuchał, pochłonięty lekturą depezy. W pierwszej J. D. z typową dla siebie lakonicznością informował, że odebrali sygnał radiowy, zakodowany według nieaktualnego już schematu, wykorzystywanego przed paroma miesiącami podczas przygotowań do ataku raketowego na Khargę. Po jego rozszyfrowaniu okazało się, że jest to sklecony łamaną angielszczyzną meldunek Chłopaka, nadającego gdzieś z okolicy miejsca zestrzelenia transportowca z generałem Polakowem na pokładzie. Według jego treści Twórca był ranny, ale trzymał się nieźle, Chłopak natomiast prosił o pomoc.

Aleksander spojrział na drugą kartkę, zawierającą tekst depezy:

2MJ D01MJX. MUSAWR RANNY ALE NIE UMARXX MUSICIE PRZYŚĆXX ON NIE DOBRZE CHODZIĆXX JA WAS SŁUCHAMXX POMOCY I BÓG PROWADZIXX

Niewiele tego, pomyślał, ale wystarczy do uzyskania obrazu sytuacji. Szkoda tylko, że nie wiadomo, gdzie oni są.

Tymczasem Andrews ustawiał dysk anteny do czasu, aż mrugająca kontrolka na obudowie

ciężkiej masywnej słuchawki zasygnalizowała uzyskanie połączenia z satelitą komunikacyjnym.

– W porządku, gotowe. Mamy ptaszka w zasięgu nadajnika. Pozwól, że najpierw sam spróbuję się połączyć z Ermitażem, później oddam ci słuchawkę. – Ustawił parametry, wcisnął klawisz nadawania i rzekł do mikrofonu – Ermitaż, Ermitaż, tu Hongkong. Jak mnie słyszycie? Odbiór.

Przez chwilę słuchał odpowiedzi, wreszcie wyciągnął aparat w stronę Fannina i dodał:

– Zgłosił się twój łącznościowiec. Jesteśmy na zmiennoczęstotliwościowym paśmie kodowanym, więc nikt nie zdoła nas podsłuchać, lecz jeśli pozwolisz, przełączę rozmowę na głośnik, abym mógł ją śledzić.

Aleksander wziął od niego ciężką słuchawkę i wcisnął klawisz nadawania.

– Tim, tu Aleksander. Jak mnie słyszysz? Odbiór.

– Głośno i wyraźnie. Możesz mówić.

– Kiedy odebraliście ten meldunek od zespołu Gruszki?

– Niewiele ponad dwie godziny temu, ale od tamtego czasu transmisja została powtórzona jeszcze dwukrotnie. Zdaje się, że Chłopak nie jest pewien, czy odebraliśmy wiadomość. Więc albo nadaje z takiego miejsca, że jego aparat nie jest w stanie odebrać impulsu potwierdzenia, albo nie do końca rozłożył antenę. Odbiór.

– Zrozumiałem. Spróbujcie oszacować, na ile wystarczą mu jeszcze baterie, zakładając, że czuwa przy włączonym aparacie od chwili nadania pierwszego meldunku.

– Jeśli nie będzie więcej nadawał, a wyruszył z akumulatorami naładowanymi do pełna, to powinno mu starczyć prądu jeszcze na jakieś trzy godziny. Gdyby ta ocena miała mieć decydujące znaczenie dla planowanych działań, to ze względów bezpieczeństwa ograniczyłbym ten limit o połowę. Przyjmijmy więc, że będzie można nawiązać łączność jeszcze przez półtorej godziny.

– W porządku. Daj mi do aparatu J. D., jeśli tam jest.

– Tu J. D., Aleksandrze. Słucham cię.

– Co o tym sądzisz?

– Przedstawiłem swoje stanowisko w depeszy. Mogę dodać tylko, że Rosjanie bez przerwy obserwują miejsce zestrzelenia z powietrza. Kręcą się tam śmigłowce patrolowe, ale od czasu do czasu przelatują nawet eskadry myśliwców. W dodatku zmienili nieco kurs latającej platformy wczesnego ostrzegania. Moi ludzie uważnie śledzą ich ruchy. Jesteśmy też na nasłuchu

i z przechwyconych komunikatów wynika jednoznacznie, że chyba całą czterdziestą armię ogarnęła żądza dorwania tych, którzy zabili im generała.

– Co byś radził zrobić w tej sytuacji? – zapytał Fannin kolegę, którego sam mianował szefem operacyjnym bazy.

– Zorganizować wyprawę ratunkową. W końcu chodzi jedynie o dwóch ludzi.

– Kłopot polega na tym, że nie wiemy dokładnie, gdzie się ukrywają. Podejrzewam, że mogli wpaść w ręce Sowieców i wysłany sygnał SOS jest przynętą.

– Naszły mnie podobne obawy, ale na razie nie istnieją możliwości zweryfikowania autentyczności meldunku. Czy chłopcy z NSA nie mogliby wyciągnąć jakichś wniosków na podstawie analizy natężenia łączności radiowej?

– Zaraz się z nimi skontaktuję. Lecz jeśli nawet mudżahedini pozostają na wolności, trudno będzie ich wyciągnąć z tak gorącego terenu. Poza tym Chłopak melduje, że Musawwir nie da rady chodzić o własnych siłach. Musielibyśmy posadzić śmigłowiec jak najbliżej ich kryjówek. – Urwał na chwilę, po czym dodał: – Pozostańcie z Timem na nasłuchu. Niedługo znów się z wami połączę.

Spojrzał na Andrewsa i rzekł:

– Chyba rzeczywiście powinniśmy zorganizować wyprawę ratunkową.

– Nie zdołasz nakłonić do tego Pakistańczyków?

– Nie mają odpowiednich śmigłowców. Trzeba by ściągnąć naszą pumę z Peszawaru.

– Czy to nie za duże ryzyko? Jeśli Rosjanie zastawili pułapkę, wpadniecie im prosto w łapy. A stąd pozostanie już tylko krok do uznania waszej działalności za akt amerykańskiej agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Co najmniej połowa członków Kongresu podniesie jeden wielki krzyk.

Aleksander zamyślił się na krótko, po czym odparł:

– Warto jednak podjąć ryzyko. Przede wszystkim dlatego, że według mnie mamy spore szanse powodzenia. Gdybym uznał groźbę zastawienia pułapki, w ogóle bym się nie zastanawiał nad możliwością wyruszenia z pomocą. Należy mieć niebezpieczeństwo na uwadze, lecz zanim zorganizujemy wyprawę, parę rzeczy zdążymy jeszcze wyjaśnić.

– Aleks, przecież tu chodzi tylko o dwóch bojowników uczestniczących w wojnie, w której giną tysiące ludzi – rzekł powoli Andrews, jakby starannie dobierał słowa. – Doskonale wiedzieli, na co się decydują, wyruszając w góry z rakietami w celu zestrzelenia Polakowa.

– Posłuchaj, Frank. W ciągu ostatnich pięciu tygodni bardzo zmieniły się nastroje w całym ruchu oporu. Lecz jeśli Musawwir umrze w górach tylko dlatego, że na czas nie przyjdziemy mu z pomocą, żaden z Afgańczyków już nie będzie chciał nadstawiać za nas karku. Jeśli natomiast wyciągniemy tamtych dwóch z opresji, to będzie tak, jakby dokonał się cud. Jeżeli zorganizujemy wyprawę, lecz ta zakończy się fiaskiem, efekt będzie podobny. Mudżahedini, którzy liczą się w tej wojnie, wiedzą, że mogą liczyć na nasze poparcie, a to oznacza, iż powinniśmy dzielić z nimi ryzyko. Nawet nie wspominam już o moich osobistych pobudkach, gdyż uważam Musawwira za przyjaciela.

Andrews przez kilka sekund spoglądał mu prosto w oczy.

– Rozumiem twoje argumenty, obawiam się jednak, że nie przekonają nikogo w Waszyngtonie, może z wyjątkiem Caseya. Musisz więc założyć, iż w ogóle nie wchodzi w grę jakiegokolwiek oficjalne poparcie, czyli że nie będziesz mógł użyć amerykańskiego śmigłowca z amerykańską załogą.

– Nie ma innego wyjścia. Puma nosi znaki rozpoznawcze pakistańskiego lotnictwa wojskowego, ale dla nikogo nie jest żadną tajemnicą, że to nasz helikopter.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Znaleźliśmy się w sytuacji, w której lepiej byłoby nie odcinać się całkowicie od Waszyngtonu – mruknął w końcu Andrews. – Teraz wszelkie nasze działania mogą zostać uznane za samowolne, jak się to określa w kręgach dyplomatycznych.

– Na miłość boską, Frank! Lepiej coś zrobmy. Potem będziesz miał czas, żeby zadzwonić do domu i powiadomić o wszystkim rodziców. Zresztą wołałbym, abyś poleciał ze mną.

– Nie mogę, nawet gdybym tego pragnął. O wiele bardziej będziesz mnie potrzebował w Waszyngtonie, bez względu na to, jak się potoczą wypadki.

Pospieszenie sięgnął po słuchawkę i włączył nadawanie.

– Ermitaż, mówi Andrews. Podajcie mi dokładną częstotliwość, na której nadaje zespół Gruszki, a później zczekajcie na nasłuchu. Na krótko zejdziemy z tego pasma łączności, lecz wkrótce przekazemy wam nowe instrukcje. Odbiór.

– Zrozumiałem. Częstotliwość wynosi czterysta dwadzieścia pięć przecinek siedemset siedemdziesiąt trzy megaherca. Powtarzam: czterysta dwadzieścia pięć przecinek siedemset siedemdziesiąt trzy megaherca. Bez odbioru.

Frank błyskawicznie przełączył nadajnik na inny kanał.

– Waszyngton, Grupa Specjalna, tu Hongkong. Jak mnie słyszysz? Odbiór.

– Tu Grupa Specjalna – zgłosił się oficer zespołu do spraw wojny afgańskiej, dyżurujący w waszyngtońskiej centrali CIA, a Fannin od razu rozpoznał ciepły głos Boba Williamsona. – Co mogę dla ciebie zrobić w ten piękny poranek wstający nad Potomakiem? Sądziłem, że o tej porze kręcisz się między straganami w poszukiwaniu kolejnej pięknej kaszmirowej marynarki, a ty siedzisz ciągle w pracy.

– Bob, potrzebna mi twoja pomoc. Po pierwsze, wyłącz głośnik i rejestrator. To wiadomość tylko dla ciebie. Zrozumiałeś?

– Jasne. Już się robi. – Nastąpiła kilkusekundowa przerwa, po której Williamson powiedział: – W porządku, nikt nie będzie cię słyszał. O jaką pomoc chodzi?

– Przyjmij, że rozmawiamy tylko teoretycznie i całkiem prywatnie, w oderwaniu od spraw służbowych. Niczego też nie wyjaśniaj kolegom z innych agencji. Najpierw skontaktuj się z Krajową Służbą Wywiadowczą oraz z Głównym Biurem Rozpoznania i zapowiedz, że są nam potrzebne pewne informacje do ćwiczeń prowadzonych w ramach zajęć teoretycznych. Możesz to załatwić?

– Nie powinno być większych kłopotów. O jakie informacje chodzi?

– Potrzebne mi dwie rzeczy, i to w ciągu najbliższej pół godziny. Najpierw chciałbym, aby NSA spróbowało zlokalizować nadajnik ze skramblerem, transmitujący skondensowane wiązki impulsów z rejonu, gdzie dwa dni temu zestrzelono samolot Polakowa. Nadajnik pracuje na częstotliwości czterystu dwudziestu pięciu przecinek siedmuset siedemdziesięciu trzech tysięcznych megaherca. Dokładne współrzędne miejsca zestrzelenia transportowca znajdziesz na naszym zdjęciu satelitarnym. Później zapytaj chłopców z Biura Rozpoznania, jakiego rodzaju znak orientacyjny musiałaby rozmieścić na ziemi znajdująca się w hipotetycznych kłopotach grupa partyzantów, aby jutro o świcie, podczas pierwszego

przejścia satelity rozpoznawczego, dało się precyzyjnie określić współrzędne oznakowanego miejsca. Możesz jeszcze zdradzić, że chodzi wyłącznie o szczyty w paśmie górskim na lewym brzegu rzeki Kabul w rejonie, gdzie został zestrzelony transportowiec Polakowa. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, Frank. Myślę, że da się to załatwić w ciągu pół godziny.

– Czekam na wiadomości. Bez odbioru. Andrews odłożył słuchawkę na obudowę aparatu.

– Jak widzisz, przyjacielu, uznałem twój punkt widzenia i postąpiłem według twoich zaleceń. Ale już wkrótce będziesz musiał zrezygnować z mojej pomocy albo mnie zastrzelić.

Williamson nawiązał z nimi łączność jeszcze przed upływem pół godziny.

– NSA bez przerwy śledzi sowiecką aktywność w rejonie zestrzelenia samolotu Polakowa. Mój znajomy twierdzi, że przez okragłą dobę poszukują mudżahedinów, którzy odpalili raketę. Podobno liczne patrole naziemne przeczesują każdą dolinę w okolicy. Agencja odnotowała trzy krótkie impulsy sygnałowe na podanej częstotliwości, pochodzące właśnie z tamtego rejonu, ale nie zdołała ich rozszyfrować ani też precyzyjnie określić umiejscowienia nadajnika. Na pewno jednak meldunki nadawano z obszaru w promieniu kilometra od miejsca wypadku. Znajomy twierdzi, że bez trudu mogą zlokalizować nadajnik pracujący na tym kanale, jeśli tylko dostaną takie zlecenie. Zrozumiałeś? Odbiór.

– Tak, zrozumiałem. Bardzo dziękuję, Bob. Gdybyś mógł, postaraj się, aby chłopcy z NSA trochę dokładniej analizowali tę częstotliwość w ciągu najbliższych trzech dni. Nie możemy dać oficjalnego zlecenia, dlatego powiedz, że jedynie spodziewamy się wzmożonej łączności w tym kanale w najbliższym czasie. Nie podawaj żadnych szczegółów.

– Jak mogę podać szczegóły, Frank, skoro sam ich nie znam? Nie mam pojęcia, do czego wam potrzebne te informacje. A co się tyczy drugiej sprawy, znajomy z NRO powiedział, że gdyby wasi chłopcy ułożyli na ziemi jakiś geometryczny element kontrastujący z otoczeniem, o powierzchni co najmniej metra kwadratowego, szybko by go odnaleźli na zdjęciach satelitarnych, oczywiście pod warunkiem, że chodzi o ten sam rejon, gdzie został zestrzelony Polakow. A jeszcze lepszy byłby materiał lustrzany, odbijający światło. Przyda się wam ta informacja? Odbiór.

– Nawet bardzo. Właśnie tego potrzebowaliśmy. Byłoby wspaniale, gdybyś z tym znajomym z NRO także pozostał w stałym kontakcie.

Andrews obejrzał się na Aleksandra.

– Czy twoi chłopcy zabrali ze sobą w góry coś, co mogłoby zostać wykorzystane do zlokalizowania ich kryjówki na obrazie satelitarnym? Potrzebny byłby znak o powierzchni metra kwadratowego, najlepiej z lustrzanego materiału odbijającego światło.

– Lustrzany materiał? Daj spokój, poszli w góry z minimalnym ekwipunkiem, bo musieli dźwigać rakiety. Zabrali jedynie kocher, racje żywnościowe i pakiety pierwszej pomocy przygotowane przez Doca... Zaraz! Zapytaj, czy do ułożenia tego znaku nadawałaby się folia termoizolacyjna. Pamiętam, że w zestawach pierwszej pomocy znajduje się płachta

z laminowanej folii aluminiowej. Ma w przybliżeniu rozmiary półtora na metr dwadzieścia i daje się złożyć w kostkę wielkości paczki papierosów.

Andrews ponownie nawiązał łączność z Waszyngtonem i przekazał Williamsonowi pytanie. Minutę później nadeszła odpowiedź pracownika NRO.

– Frank, uzyskałem zapewnienie, że jeśli ta płachta zostanie rozciągnięta na ziemi jutro rano między siódmą a ósmą trzydzieści, technicy z Biura Rozpoznania bez kłopotów powinni ją zlokalizować. Byłoby najlepiej, gdyby z folii został utworzony wielki trójkąt. Czegoś takiego za nic nie można pomylić z formacjami naturalnymi.

– Rozumiem, ale i Sowieci dostrzegliby go bez trudu – odparł Andrews. – W porządku, Bob, odezwę się za jakąś godzinę. Na razie dziękuję za pomoc.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Fannina.

– No to chyba wiesz już wszystko, Aleks. Jeśli zdołamy wyciągnąć tych Afgańczyków, nikt nie odważy się nas tknąć choćby jednym palcem. Ale jak wyprawa zakończy się klęską, do końca życia nie zaznamy spokoju.

Aleksander poprosił o ponowne połączenie z Ermitażem. Kiedy skończył wydawać J. D. instrukcje, pomógł Frankowi spakować nadajnik, wrócił do saloniku i poszedł do telefonu. Na szczęście zastał Undermana w pokoju hotelowym.

– Fred, złap Dangerfielda i przygotuj plan lotu na jutro. Chciałbym wystartować najwcześniej, jak to będzie możliwe.

– Plan załatwię, ale Dangerfielda będziesz musiał poszukać sam i wyciągnąć go z Wanchai. Mówił, że idzie oddać buty do naprawy, a później odwiedzi paru starych znajomych w jakimś O. Diabli wiedzą, co miał na myśli.

– Dobra, przygotuj wszystko na jutro. Ja odszukam Dangerfielda. Pożegnawszy się z Andrewsem, poszedł na górę do sypialni. Katerina siedziała w łóżku i oglądała telewizję.

– Szykuj się, księżniczko. Ruszamy w rejs.

Zostawili jaguara w piętrowym parkingu na skraju słynącej z barów oraz restauracji dzielnicy Wanchai i pieszo wyruszyli na poszukiwania Dangerfielda. Aleksander ujął żonę pod ramię i poprowadził zatłoczoną uliczką, tonącą w kolorowym blasku neonów. Wśród barowych gości wyróżniali się umundurowani marynarze siódmej floty, nie zawsze pewnym krokiem wędrujący od jednego lokalu do drugiego. Niemal przed każdym wejściem stały tablice reklamujące

rozmaite specjalności, na których ręcznie dopisywano specjalne zaproszenia dla Amerykanów służących na jednym z trzech okrętów wojennych, które tego dnia zawinęły do portu w Hongkongu.

– A oto i nasza pierwsza przystań, bar „Ocean” – rzekł Aleksander, wskazując mrugający niebiesko-czerwony napis nad drzwiami jednego z najstarszych lokali w kolonii, po czym dodał w miejscowym żargonie: – Słynny na całym świecie z kolekcji najczyściej szych dziewcząt na wschód od Suez. Stara Pansy nie dopuści, aby jakiś marynarz złapał od jej dziewcząt trypra, o nie, paniusiu.

Pchnął wahadłowe drzwi, przepuszczając żonę do wnętrza wypełnionego mrugającymi dyskotekowymi światłami.

Musieli przystanąć na chwilę, aby oswoić wzrok z tym niezwykłym oświetleniem. Klientelę baru stanowili głównie żołnierze i marynarze, którzy siedzieli przy stolikach i barze w towarzystwie młodych Chinek. Nieliczna grupka tańczyła na parkiecie w rytm huczącej, jazgotliwej muzyki płynącej z wielkiego zestawu stereo w najdalszym rogu pomieszczenia. Wreszcie Aleksander pociągnął Katerinę do baru.

– Chciałbym rozmawiać z Pansy! – zawołał, gdy barman podszedł do nich, nachylił się nad kontuarem i nadstawił ucha.

– Ze starą Pansy czy młodą Pansy?!

– Ze starą!

Odszedł na przeciwległy koniec baru, gdzie siedziały trzy znudzone dziewczyny bez partnerów i pochylił się ku jednej z nich, ubranej w jedwabny, czarny, głęboko wycięty strój, z okrągłą plakietką na piersi, przedstawiającą ją jako „Annie 54”. Spojrzała z zaciekawieniem na Aleksandra i Katerinę, po czym zsunęła się ze stołka i zniknęła na zapleczu.

Chwilę później zza zasłonki w przejściu za barem wyrzała właścicielka lokalu, a barman ruchem głowy wskazał jej oczekującą parę. Miała około siedemdziesiątki, ale wyglądała najwyżej na pięćdziesiąt lat. W kruczoczarnych włosach nie widać było nawet śladu siwizny, a srebrzysta suknia do połowy uda odsłaniała wciąż dość zgrabne nogi. Nie licząc drobnej nadwagi, objawiającej się lekkim wypchaniem obcisłego stroju w niektórych miejscach, kobieta niewiele się zmieniła z wyglądu od czasu, kiedy w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Hongkong zajmowała japońska Dywizja Chryzantemy. Kiedy podeszła bliżej, Katerina dostrzegła w jej oczach błyski podejrzliwości. Ale Pansy zaraz uśmiechnęła się szeroko,

ukazując idealnie równe szeregi połyskujących sztuczną bielą zębów.

– Aleksander! Nie poznałam cię przez tę brodę! Masz ranną twarz? Jesteś za ładny, żeby nosić zarost. Szkoda. – Popatrzyła na Katerinę i dodała: – Uważaj na tego chłopca. Potrafi wspaniale opowiadać. Nie zaglądał do „Oceanu” przez pięć lat, ale zawsze jest tu witany jak stary, wierny przyjaciel. Należy teraz do ciebie?

– Tak, należy do mnie.

– Pansy, musisz mi pomóc odnaleźć Mister Jima – rzekł Fannin. – Znasz go doskonale. Chodzi mi o Jima z drewnianą nogą.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Ten zwariowany łobuz wciąż tu przychodzi i bałamuci moje najmłodsze dziewczęta. A ze starą Pansy tylko rozmawia, już nie chce się z nią zabawiać.

Odwróciła się i zawołała kilka słów po kantońsku w stronę trzech znudzonych dziewcząt. Tym razem „Annie 54” błyskawicznie zsunęła się ze stołka i podeszła do nich. Kiedy Pansy wyjaśniła jej, o co chodzi, tamta z ożywieniem pokiwała głową i zaczęła coś szybko tłumaczyć.

Katerina pochyliła się w stronę męża i szepnęła:

– Opisują Mister Jima w niezbyt cenzuralnych słowach. Według relacji Annie, drewniana noga nie jest jedyną częścią ciała Jima, która zawsze pozostaje twarda i sztywna. W każdym razie to najbardziej przybliżone tłumaczenie z kantońskiego.

Pansy odwróciła się do nich z powrotem.

– Annie mówi, że dziś rano twój przyjaciel wykupił młodą Pansy na dwa dni za pięćset dolarów i zabrał ją na przejażdżkę łodzią walla-walla do Lantao. Mówi też, że o tej porze powinni już wrócić na bara-bara do hotelu „Harbor View”. Proponuje, że pójdzie tam i sprawdzi, jeśli tego chcesz.

– Annie, byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś sprowadziła tu mojego przyjaciela – zwrócił się do niej Fannin. – Powiedz mu, że szuka go Aleksander, który ma bardzo pilną sprawę.

Dwadzieścia minut później Jim Dangerfield wkroczył energicznie do baru. Jego utykanie było ledwie widoczne. Rozejrzał się, zauważył Aleksandra przy stoliku w rogu i ruszył w jego kierunku.

– Rozeszły się wieści, że nasłałeś na mnie całą ekipę poszukiwawczą – rzucił, przeciskając się przy przepierzeniu.

– Startujemy jutro z samego rana, kiedy tylko Fred załatwi wszelkie formalności. Znajdziesz go na lotnisku Kaitak, nadzorującego przegląd gulfstreama i wypełniającego plan lotu. Jesteś gotów do drogi?

– Nie. Oddałem buty do podzelowania i będę je musiał odebrać w ciągu nocy. Ale niezależnie od tego, na którą godzinę umówisz się z Fredem, spotkamy się na lotnisku.

– W porządku, Jim. I nie przejmuj się, nie wystartujemy bez ciebie. Wszyscy wiedzą, że bez tych butów nawet nie zdołałbyś się oderwać od ziemi.

– Wielu chłopaków na moim miejscu powiedziałyby ci, Aleks, że należy im się parę dni wolnego. Mało kto jest tak kapryśny jak ja.

– Kapryśny? Na Boga, Dangerfield. Większość chłopaków w rozmowie z szefem nie odważyłaby się używać słów, których znaczenia nie rozumie. Do zobaczenia na lotnisku. – Fannin wstał z krzesła, lecz przypomniawszy sobie, sięgnął po serwetkę, zapisał coś na niej i podał ją pilotowi. – Umieść to nazwisko na liście pasażerów.

– C. Martin? A któż to jest? Znam go?

– Owszem, znasz. – Aleksander wskazał mu Katerinę. Dangerfield uśmiechnął się do niej szeroko.

– Wedle rozkazu, szefie. Spotkamy się na lotnisku.

Ling odwiózł ich na Kaitak o wpół do siódmej rano. Odprawa paszportowa nie trwała nawet pięciu minut, później jednak musieli poczekać w niewielkiej poczekalni przed wyjściem na stanowisko dla samolotów prywatnych, gdzie stał już odrzutowy gulfstream. Wreszcie w drzwiach pojawił się Underman.

– Maszyna zatankowana do pełna, mamy zgodę z wieży, możemy startować. Cieszę się, że nie zabraliście zbyt wiele bagażu. To pani jest zapewne tym tajemniczym C. Martinem, który figuruje na liście pasażerów. Bardzo mi miło, mam na imię Fred. – Z niezwykłym dla niego ożywieniem wyciągnął rękę na powitanie.

– Fred, pozwól, że ci przedstawię panią Martin, znaną też pod imieniem Katerina. Musiałem ją umieścić na liście pasażerów, wolałbym jednak, byś nie wspominał o niej ani słowem w swoich raportach.

– Jak sobie życzysz, szefie. Pomijanie nazwisk kobiet w raportach to standardowa procedura. Bardzo się cieszę, że leci pani z nami.

– Miło mi, że mogę cię poznać, Fred. Aleks wiele mi o tobie opowiadał. Podobno o wiele częściej wyciągałeś go z opresji niż ktokolwiek inny.

Underman zarumienił się nieco.

– Aleksander doskonale umie się zatroszczyć o siebie. Pewnie nie muszę pani tego tłumaczyć – odparł z lekkim zakłopotaniem, otwierając przed nią drzwi.

Kiedy tylko znaleźli się na pokładzie samolotu, Fannin z ciekawością zajrzał do kabiny pilotów. Dangerfield siedział już w fotelu, a na jego nogach połyskiwały grubo napastowane nieodłączne oficerki z nowymi zelówkami.

Byli w powietrzu już od godziny, gdy Aleksander wreszcie otworzył grubą kopertę przekazaną przez Andrews. Katerina, która dotąd siedziała z nosem przyklejonym do szyby, jakby odczuwała magiczne przyciąganie widocznego z góry Morza Południowochińskiego, teraz zerknęła mu przez ramię.

– Tajemnice wagi państwowej?

Pokiwał głową.

– Owszem, tajemnice, choć wygląda na to, że niewiele z nich skorzystamy. Zaczął rozdzielać gruby plik dokumentów na poszczególne parostronicowe akta, do których dołączone były fotografie.

– Analitycy z Langley odwalili kawał roboty w celu zidentyfikowania tajemniczego pułkownika Bielenki, chociaż wcale o to nie prosiłem – wyjaśnił. – Wiedzieli z mojego raportu, że Bielenko to zapewne przybrane nazwisko, pułkownik ma od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu lat i płynnie mówi po angielsku oraz w dari. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że świetnie zna również arabski, bo ta informacja pewnie szybko doprowadziłaby ich do Toli. W każdym razie analitycy sięgnęli do komputerowej bazy danych o sowieckich oficerach KGB i w pierwszej kolejności wyłowili wszystkich o trój sylabowych nazwiskach ukraińskich. I oto mamy rezultaty ich pracy.

– Dlaczego ograniczyli poszukiwania do ukraińskich nazwisk trój sylabowych? – zainteresowała się Katerina.

– Słuszne pytanie. Otóż według specjalistów, nasi przyjaciele z sowieckich służb specjalnych są o wiele bardziej przewidywalni niż można by sądzić. Pewnie cię to zdziwi, ale zazwyczaj dobierają sobie takie fikcyjne nazwiska, po których dość łatwo jest odgadnąć ich prawdziwą

tożsamość. Poza tym nie wahają się wielokrotnie używać tego samego pseudonimu, jeśli tylko sądzą, że mają do czynienia z ludźmi, z którymi nigdy wcześniej się nie zetknęli. Stąd nasi analitycy uważają klucz etniczny za najważniejszy przy ustalaniu personaliów. Tymczasem Sowieci postępują wręcz machinalnie, pewnie nawet nie zdają sobie sprawy, że posługują się jakimś schematem działania. A w centrali KGB nikt nawet nie pomyślał o założeniu jakiegokolwiek bazy danych zawierającej wykorzystywane pseudonimy. Gdyby się tylko zainteresowali tą sprawą, na pewno spałoby kilka głów.

– Brzmi to całkiem przekonująco. Chyba wszyscy Słowianie są pod tym względem przewidywalni. Bielenko, Klimienko... W tym przypadku teoria się potwierdza.

– Zobaczmy, co dały te poszukiwania. – Aleksander zaczął przerzucać akta, spoglądając wyłącznie na fotografie. Mniej więcej w połowie pliku znieruchomiał nagle, zmarszczył brwi i mruknął: – A oto i on!

Wyciągnął spięte razem papiery ze stosu i podał je Katerinie.

Ta przyjrzała się uważnie fotografii przyklejonej do pierwszej strony. Była to trochę zamazana kopia zdjęcia paszportowego, pochodzącego zapewne z czasów wyjazdu jej ciotecznego brata na pierwszą placówkę zagraniczną w Iranie. Dopiero po chwili zaczęła wyciągać kartki spod spinacza, czytać i oddawać kolejno mężowi. Akta zawierały dość szczegółową biografię Anatolija Wiktorowicza Klimienki.

– Co to są „informacje z urny”? Ten zwrot powtarza się na początku aż trzy razy.

– Chodzi o podwójnych agentów, dostarczane przez nich informacje określane są mianem urny. Podejrzewam, iż większość danych biograficznych pochodzi z zeznań jakiegoś pracownika KGB, który uciekł na Zachód i zgodził się na współpracę.

Katerina wróciła do lektury.

– Oho, mam coś dla ciebie. Według jednego z informatorów nasz kuzyn to niezły zabijaka.

Podła kartkę mężowi. Ledwie zaczął czytać, syknął:

– Niech mnie kule biją! Dowodził wyprawą ratunkową KGB do Bejrutu!

– Wydaje mi się, że coś czytałam na ten temat – odparła Katerina.

– Pewnie wpadły ci w ręce doniesienia agencyjne pod tytułem: „Radzieccy zakładnicy uwolnieni w Bejrucie”. To jeden z niewielu spektakularnych sukcesów KGB. Na początku ubiegłego roku trzech oficerów z bejruckiej rezydentury dostało się w łapy bojowników Hezbollahu. W trakcie strzelaniny jeden z nich został ciężko ranny, dostał rykoszetem w kolano.

Palestyńczycy nawet się nie zatroszczyli o opatrzenie mu rany, toteż zmarł, ale konał powoli przez dziesięć dni, co zrobiło straszne wrażenie na dwóch kolegach zamkniętych razem z nim w ciasnej komórce.

– Skąd znasz szczegóły tych wydarzeń?

– W tym samym czasie my szukaliśmy także porwanego Billa Buckleya. Był szefem naszej sekcji w Bejrucie i również wpadł w ręce Hezbollahu. Dlatego potajemnie nawiązaliśmy kontakt z KGB, żeby udzielać sobie wzajemnie pomocy. Im jednak poszczęściło się o wiele bardziej niż nam.

– Wiesz coś o poczynaniach Klimienki, czego nie zamieszczono w aktach?

– Jeszcze nie przeczytałem do końca. W każdym razie Anatolij zjawił się w Bejrucie jako przedstawiciel Aeroflotu, upoważniony do prowadzenia negocjacji w sprawie uwolnienia zakładników. W krótkim czasie rozdał ponad dziesięć milionów dolarów łąpówek, a w każdej paczce banknotów sprytnie ukrywał miniaturowy nadajnik kierunkowy. Ponadto rejestrował wszystkie swoje rozmowy z Palestyńczykami. Kiedy miało już dojść do wymiany dwóch pozostałych przy życiu agentów i jednego trupa za grubszą gotówkę, w ostatnią fazę negocjacji włączyła się Grupa Alfa, oddział specjalny KGB. Schwytano sześciu bojowników Hezbollahu i po krótkim przesłuchaniu wszystkich rozstrzelano. Pozostawiono przy życiu tylko dwóch braci, z którymi komandosi postanowili się zabawić. Wyłumaczyli im, że byłoby wielce chwalebne, gdyby każdy wkroczył w następne życie z jakąś częścią ciała swego ukochanego brata. Później ich wykastrowali, zamienili genitalia i przyszyli grubą nicią do warg.

Katerinę przeszył dreszcz grozy.

– Według akt za tę operację Klimienko został odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru. Z tekstu wynika, że pochwałom nie było końca, natomiast winą za stworzenie groźnej sytuacji obarczono szefa bejruckiej rezydentury.

– Zgadza się. Podejrzewam, że szczegóły akcji przedstawił w Langley jeden z dwóch uwolnionych przez Anatolija oficerów KGB. Okazał głęboką wdzięczność za uwolnienie, sześć tygodni później uciekając na Zachód. Nie wątpię, że to jeszcze bardziej zaciążyło na opinii ówczesnego sowieckiego rezydenta w Libanie.

W drodze z Hongkongu do Colombo Fannin aż trzy godziny rozmawiał z Dangerfieldem, później zaś przespał niemal cały rejs do Karaczi. Dwusilnikowy turbośmigłowiec B-300, którym

lecieli do Paraczinaru, pokonał trasę w całkiem niezłym czasie. Podchodzili już do lądowania, kiedy Aleksander ponownie zajrzał do kabiny pilotów.

– Jak tylko nas wysadzicie, lećcie do Peszawaru i posadźcie tego ptaszka przy naszym hangarze, ale nie wstawiajcie go do środka. Niech pozostanie na widoku i przyciągnie uwagę wszystkich ciekawskich. Wy natomiast zameldujcie się w hotelu „Pearl Continental”, weźcie prysznic, przebierzcie się i spróbujcie udawać, że dostaliście parę dni wolnego. Tymczasem po zachodzie słońca pojedźcie taksówką do tamtejszego klubu oficerskiego, a punktualnie o dwudziestej wyjdźcie stamtąd i bez pośpiechu ruszcie ulicą w drogę powrotną. Sto metrów od klubu będzie czekał samochód, którym dojedziecie z powrotem na lotnisko. Wszystko jasne?

– Pewnie. A co dalej?

– Skontrolujcie nasz helikopter i upewnijcie się, czy ma zamontowany dodatkowy zestaw urządzeń noktowizyjnych. Czekajcie na wiadomość. Możliwe, że jeszcze tej nocy będziecie musieli przylecieć z powrotem do Paraczinaru. Gdyby sprawa musiała zaczekać do jutra, najpóźniej o dwudziestej drugiej powiadomię was o tym.

Pięć minut później smukły beechcraft zetknął się z ziemią. Dangerfield dokołował na sam koniec pasa startowego, oddalonego od parkingu. Ledwie zatrzymał maszynę, gdy do lewej burty podjechała ze zgaszonymi światłami biała toyota landcruiser o przyciemnionych szybach. Dwoje pasażerów pospiesznie wrzuciło bagaże do środka i wsunęło się na tylne siedzenie auta. Kierowca ruszył z miejsca, zanim ktokowiek z obsługi naziemnej, złożonej głównie z Afgańczyków, zdążył przynajmniej policzyć nowo przybyłych, nie mówiąc już o ujrzeniu ich twarzy.

Rozdział 24

Ermitaż, 30 września, 17.00

W chłodnej jaskini panowała nienaturalna cisza. Dźwiękochłonne wykończenia sprawiały, że jedynym dźwiękiem, jaki wypełniał pokój zagłębiony w litej skale, był ledwie słyszalny szum powietrza w systemie wentylacyjnym. Katerina położyła się na krótko, tymczasem Aleksander wziął prysznic i przebrał się w białą bawełnianą bluzę. Ułożył się na wznak na podłodze pokrytej grubym dywanem i z zamkniętymi oczyma wsłuchiwał się w rytm swego serca, kontrolując coraz wolniejsze oddechy. Stopy miał lekko rozstawione, a ręce rozrzucone szeroko, przy czym palce dłoni luźno skierowane ku sklepieniu. Koncentrował się stopniowo, odnosząc wrażenie, że jego ciało coraz bardziej wtapia się w podłogę, podczas gdy siły grawitacji wysysają z niego zmęczenie. Starał się nad nim całkowicie zapanować. Na kilka minut zapadł w letargiczną drzemkę, pozostając jednocześnie zupełnie przytomnym, jak gdyby jego umysł stał się biernym obserwatorem poczynań ciała. Z radością jednak obserwował, jak resztki zmęczenia zdają się wyparowywać z czubków jego palców w powietrze.

Kiedy Katerina wróciła z kąpeli, przysiadła na skraju łóżka i obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. Była owinięta grubym białym ręcznikiem kąpielowym i palcami rozczesywała włosy. Początkowo próbowała przytrzymać luzujący się ręcznik, później pozwoliła mu swobodnie opaść na biodra, jakby zależało jej wyłącznie na szybkim wysuszeniu włosów.

Po paru minutach otworzył nagle oczy, zupełnie przytomny i wypoczęty. Ciało budził jednak do życia stopniowo, chcąc się nacieszyć przypływem świeżej energii wypełniającej rozluźnione mięśnie. Katerina powoli wstała z łóżka i całkiem naga stanęła nad nim w rozkroku, pozwalając, by kropelki wody z jej włosów skapywały na niego.

Aleksander uniósł nieco głowę.

– Wiesz co? Pod tym kątem doskonale widać twoje znamię. Według mnie, jego kształt o wiele bardziej przypomina kwiat róży z krótką łodyżką i jednym listkiem niż zarys Francji.

Przyciągnął ją do siebie, aż usiadła mu okrakiem na brzuchu, wbijając kolana pod pachy. Powoli przeciągnął dłońmi po jej udach i biodrach, wreszcie sięgnął do piersi.

– Muszę panią zmartwić, Martynowa, ale będę musiał na jakiś czas zostawić tu panią samą.

– Nie potrzebuję niańki. Nie przyjechałam tu ani jako turystka, ani jako twoja konkubina.

Pochyliła się, cmoknęła go w policzek i szybko wstała.

– Gdybyś chciała się upodobnić do człowieka, zajrzyj do szafki po prawej stronie łóżka, znajdziesz tam czyste miejscowe ubrania. Nazywają je po prostu chałatami. Noszą jeden rozmiar, który pasuje na wszystkich. – Powiódł spojrzeniem za oddalającą się żoną i dodał ciszej: – Tak mi się przynajmniej zdaje.

Później zszedł do swojego gabinetu, gdzie zastał J. D. oraz Doca, rozmawiających przy gorącej zielonej herbacie.

– Cześć, szefie. Witamy z powrotem. Wygląda na to, że nawet paru dni nie potrafisz wytrzymać bez dżihadu.

– Masz rację, J. D. Biermy się do pracy. Powiedźcie mi o wszystkim, co się wydarzyło od czasu naszej ostatniej rozmowy.

W tej samej chwili na spiralnych schodkach prowadzących do centrum łączności pojawił się Tim Rand z plikiem papierów w ręku.

– Dobrze, że jesteś, Tim. – Aleksander wskazał mu miejsce na kanapie. – Będę potrzebował twojej rady.

– Zanim przejdziemy do sprawy Musawwira, powinieneś usłyszeć wieści dotyczące Algierczyków – zaczął J. D. – Na pewno się ucieszysz. Otóż ci Arabowie, którzy urządzili na was zasadzkę, należeli do większej grupy współdziałającej z Profesorem Sayyafem. Tego samego dnia, kiedy odleciałeś do Hongkongu, szalony mułła odwiedził ich w obozie położonym na terytorium Sayyafa. Przygotował wielką ucztę i odprawił ceremonialne piątkowe nabożeństwo. Zostawił w baraku Algierczyków pieczoną kozę nadziewaną dwoma minami odłamkowymi z zapalnikiem radiowym. Kiedy się z nimi pożegnał i oddalił na odpowiedni dystans, uruchomił nadajnik. Jeśli wierzyć plotkom, w pomieszczeniu trudno było odróżnić resztki zjedzonej kozy od szczątków zabitych Arabów. W ten sposób nasza wojna wzbogaciła się o nowy rodzaj broni: kozią bombę.

Aleksander z uśmiechem pokręcił głową.

– Zdarzyło się jeszcze coś ciekawego?

– Niewiele. Orłów nie sprawia żadnych kłopotów, wyleguje się na słońcu i czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce. Niewola dobrze mu służy. Po telefonicznej rozmowie z tobą wysłaliśmy wiadomość Musawwirowi i Chłopakowi, przy czym odebraliśmy sygnał potwierdzenia odbioru. Krótko wyjaśniliśmy, że organizujemy pomoc i że powinni rozłożyć na ziemi folię

termoizolacyjną, najlepiej na najbliższym płaskim szczycie, gdzie można by wylądować helikopterem...

– Wcześniej sprawdziłem zawartość pakietu pierwszej pomocy – wtrącił Doc – i kazałem Chłopakowi, żeby co cztery godziny robił Musawwirowi zastrzyk z antybiotyku.

Aleksander obrócił się ponownie do J. D.

– Ten znak z folii zdał egzamin?

– Jeszcze jak! Pozostaje tylko pytanie, czy trójkąt odblaskowy na ziemi rzeczywiście ułożył Chłopak opiekujący się rannym Musawwirem, a nie jakiś Iwan z Siergiejem. W każdym razie tutaj masz zdjęcie satelitarne, jakie dostaliśmy z Waszyngtonu. – J. D. rozpostarł na stole duży zadrukowany arkusz. – Na tej czarno-białej odbitce z telefaksu trudno dostrzec sam blankiet, lecz technicy zaznaczyli jego umiejscowienie tą grubą strzałką. Na dole masz dokładne współrzędne tego miejsca. Zatem dysponujemy wszelkimi potrzebnymi informacjami, by posadzić śmigłowiec w promieniu trzech metrów od oznakowanego miejsca. Jest tam gdzie wylądować, można sobie tylko życzyć, by nie było zbyt silnego wiatru. Później po raz drugi nawiązaliśmy łączność, żeby sprawdzić to, co cię niepokoiło. Zapytaliśmy, jak się nazywa czarne pudełko używane do wykrywania helikopterów. Specjalnie nie dodaliśmy na końcu zwyczajowego: Niech Bóg prowadzi. Wiadomość została odebrana i po dziesięciu minutach nadeszła ta odpowiedź.

J. D. wyciągnął następną kartkę i położył ją na stole. Aleksander odczytał na głos:

– „Fuzbuster. Bóg prowadzi”. – Zamyślił się na chwilę i rzekł: – Gdyby to Rosjanie zmusili Chłopaka do sformułowania odpowiedzi, pewnie tak samo podałby nazwę fuzzbustera, ale z pewnością nie dołączyłby tradycyjnego pozdrowienia, zwłaszcza że nie było go w waszej depeszy. Moim zdaniem, nie musimy się obawiać zasadzki.

– Doszedłem do tego samego wniosku – odparł J. D. – Wysłaliśmy więc trzecią wiadomość, polecając Chłopakowi zwinąć płachtę odblaskową dwie godziny po wschodzie słońca i wyłączyć radio do wieczora, żeby oszczędzać baterie. Powinien je włączyć ponownie o zachodzie, a więc za jakieś półtorej godziny. Wtedy będziemy mogli przesłać dalsze instrukcje.

– Nadeszły jakieś meldunki z Fortu?

– Tak. NSA zlokalizowało nadajnik dokładnie w tym samym rejonie, gdzie była rozpostarta folia. Nie wiem tylko, czy to dobra wiadomość. Na miejscu Rosjan, gdybym kontrolował poczynania Musawwira oraz Chłopaka i chciał zorganizować zasadzkę na grupę, która zechce im przyjść z pomocą, urządziłbym wszystko właśnie tak, by zgotować jej powitanie na płaskim

odsłoniętym szczycie góry. Ukształtowanie terenu w pobliżu domniemanej kryjówki mudżahedinów, które uważamy za plus, może równie dobrze obrócić się przeciwko nam.

– Coś jeszcze?

– Interesowałeś się aktywnością Rosjan w rejonie Dżalalabadu. Pakistańczycy bez przerwy śledzą ruch powietrzny na radarach. Mniej więcej co trzy godziny rotacyjnie z lotniska wyruszają patrole złożone z trzech bądź czterech śmigłowców Mi-8 z drużynami piechoty na pokładzie, które z wyższego pułapu osłaniają dwa lub trzy myśliwce szturmowe Mi-24. Przez cały czas w Dżalalabadzie pozostają w odwodzie co najmniej cztery dalsze helikoptery.

– Tim, ile czasu wytrzymają jeszcze akumulatory w nadajniku Chłopaka?

– Sytuacja staje się krytyczna. Zapewne odbierze jeszcze naszą wieczorną depeszę, ale nie jestem pewien, czy będzie mógł odpowiedzieć. Chyba i tak możemy mówić o sporej dozie szczęścia. Chłopak najwyraźniej poprawił antenę, bo teraz wyraźnie odbieramy jego sygnały potwierdzenia, a i on chyba odbiera bez zakłóceń, ponieważ nie powtarza już w kółko transmisji, jak to czynił na początku.

– Czy w sposobie nadawania bądź kodowania meldunków zauważyłeś coś, co pozwoliłoby wnioskować, że ci dwaj wpadli w łapy Rosjan?

– Absolutnie nic, ale muszę zaznaczyć, że nie wyciągałbym na tej podstawie żadnych wniosków.

– A co ty o tym sądzisz. J. D.?

Ten odchylił się na oparcie i zamyślił na krótko.

– Na pewno wiemy, że Chłopak żyje i przebywa gdzieś w promieniu kilkuset metrów od punktu, który zdołaliśmy precyzyjnie ustalić. Nie mamy jednak żadnych dowodów na to, że żyje także Musawwir, tylko na początku dostaliśmy wiadomość, że jest ranny. Nie mamy też żadnej pewności, czy ci dwaj nie wpadli w łapy Rosjan, którzy w pełni kontrolują naszą łączność radiową, ale skłaniałbym się ku stwierdzeniu, że do tego nie doszło, przynajmniej na razie. Natomiast wolałbym w ogóle nie wspominać o swoich przeczuciach.

– A co ci one podpowiadają?

– Krótko? A niech to szlag! Ta jedna góra stała się nagle obiektem powszechnego zainteresowania. Bo jeśli Krajowa Agencja Wywiadowcza potrafiła dokładnie określić położenie nadajnika Twórcy na podstawie wyłapania krótkich impulsowych transmisji, musimy zakładać, że GRU czy KGB także musiały je przechwycić. Podobnie sprawa ma się z folią

termoizolacyjną, bo co najmniej jedna z sowieckich latających maszyn wczesnego ostrzegania bez przerwy śledzi tamten rejon. Poza tym twój przylot do Paraczinaru musiał dodatkowo podgrzać atmosferę, a nie wątpię, że Rosjanie już dawno temu poznali prawdziwą naturę tych nieregularnych połączeń lotniczych.

Aleksander w zamyśleniu przytaknął ruchem głowy.

– Zatem najważniejsze staje się pytanie, czy po sowieckiej stronie jest ktoś, kto na bieżąco śledzi te wszystkie informacje, gromadzi je i analizuje, i jest na tyle sprytny, by dojść do wniosku, że zamierzamy wyciągnąć naszych ludzi z opresji i przygotowujemy wyprawę ratunkową. Jeśli jest, to bez wątpienia wywnioskuje, że coś ważnego musi się wydarzyć w ciągu najbliższej doby. – Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Wreszcie zdecydował: – Wyruszymy dzisiaj około północy. Bierzmy się do pracy. Trzeba to zrobić jak najlepiej, bo drugiej okazji z pewnością już nie będzie.

Kabul, 30 września, 18.00

Słońce skryło się już za krawędzią dachu budynku po drugiej stronie dziedzińca, kiedy Klimienko odłożył na bok ostatnie czytane raporty dotyczące

podejrzanej aktywności w przygranicznych rejonach Pakistanu oraz prowincji Paktia. Czuł przez skórę, że szykuje się coś ważnego, co jednocześnie miało postawić go w groźnej sytuacji. Pograżony w myślach, sięgnął po słuchawkę telefonu. Dziesięć minut później Krasin wpadł jak bomba do jego gabinetu.

– Cóż to za tajemnice, których nie możesz mi ujawnić przez telefon samego dowódcy czterdziestej armii, mój drogi pułkowniku?!

Klimienko nakazał mu milczenie, wymownie kładąc palec na wargach. Nakręcił na tarczy aparatu zero, po czym wetknął ołówek w sąsiednią dziurkę gumką do dołu i ostrożnie puścił tarczę, blokując ją w tej pozycji.

Sasza zmarszczył brwi.

– Co ty wyczyniasz, do cholery?

– Ta prosta sztuczka nie pozwoli naszym przyjaciółom zamienić aparatu w mikrofon podsłuchowy. Posłuchaj mojej rady i nie tylko zacznij się pilnować, kiedy rozmawiasz przez telefon, ale także uważaj na każdy swój krok. Po tym, jak nasz ukochany generał Polakow

rozmażał się na stokach Gór Wschodnich, na pewno od razu zdjęto zakaz podsłuchiwania rozmów telefonicznych prowadzonych z jego gabinetu.

– W porządku, rozumiem. Po co mnie tu ściągnąłeś? Anatolij zaczerpnął głęboko powietrza.

– Doniesienia z Peszawaru i z prowincji Nangarhar niezależnie od siebie potwierdzają, że ten wielki dukhis, z którym obaj rozmawialiśmy w sprawie uwolnienia Orłowa i z którym się chyba zdążyłeś zaprzyjaźnić, osobiście kierował akcją zestrzelenia transportowca Polakowa. Podobno cały Peszawar aż się trzęsie od plotek na ten temat. Robią z niego kolejnego afgańskiego bohatera narodowego.

– Chyba naprawdę musimy w najbliższym czasie szczerze porozmawiać w kwestii naszych przyjaciół, towarzyszu pułkowniku – syknął ze złością Krasin, mierząc Klimienkę piorunującym spojrzeniem.

Ten jednak nie zareagował, tylko ciągnął dalej:

– Wielu informatorów z Peszawaru wyraża opinię, że twój przyjaciel do dzisiaj znajduje się w rejonie ataku. Wszyscy zgodnie twierdzą, że nie zdołał bezpiecznie przekroczyć linii zerowej i wycofać się za granicę. Podobno jest ciężko ranny. Ale co drugie nasze źródło utrzymuje, że zginął na miejscu.

– Kto jeszcze o tym wie? – zainteresował się Sasza.

Anatolij z lekkim uśmiechem odebrał wyraźne zatroskanie w głosie kolegi.

– Pewnie dla wielu osób nie jest już żadną tajemnicą, kto odpalił stingera, a w każdym razie dowodził grupą zamachowców. Jeszcze tego samego dnia po Peszawarze rozeszły się szczegółowe wieści. Zresztą w tej części świata trudno jest zachować jakiegokolwiek tajemnicę. Otóż ten olbrzym nazywa się Musawwir. To jedno z imion Allaha, oznaczające Twórcę. Natomiast zdecydowanie mniej osób może powiedzieć coś konkretnego o człowieku, z którym negocjowaliśmy uwolnienie Orłowa. Na szczęście, paru naszych wtajemniczonych kolegów zostało wyeliminowanych wraz z generałem Polakowem. Biorąc jednak pod uwagę zaangażowanie, z jakim poszukuje się autorów zamachu, wcześniej czy później ktoś będzie musiał skojarzyć fakty. Jestem przekonany, że wśród pierwszych znajdzie się Karm Siergiejewicz. On zaś, kiedy tylko zgromadzi podstawowe dane, błyskawicznie dojdzie do wniosku, że we wszystkich działaniach miałem swój udział. A to, jak sam przyznasz, raczej niewesoła perspektywa. Sasza nie odpowiedział, toteż Klimienko mówił dalej:

– To jeszcze nie wszystko. Z dowództwa szesnastego wydziału nadeszło potwierdzenie, że

co najmniej trzy krótkie impulsowe transmisje radiowe, jakie przechwycił nasz nasłuch, zostały wyemitowane z tego samego rejonu, gdzie zestrzelono transportowiec. A na każdą taką emisję odpowiadała emisja znacznie silniejszego sygnału, pochodząca spoza kontrolowanego obszaru, według przypuszczeń fachowców z Peszawaru, a moim zdaniem z Paktii, z kryjówek naszych przyjaciół z CIA.

– I w szesnastym wydziale zdołali rozszyfrować te meldunki? – spytał Krasin, marszcząc brwi.

– Nie, przechwycili jedynie samą wiązkę. Nie potrafią nawet określić przypuszczalnej długości depesz, wiedzą jedynie, że jest nawiązywana jakiegoś typu łączność. Nasz tutejszy nasłuch przekazał mi kopie zapisów sygnałów wraz ze szczegółową charakterystyką ich parametrów. Wszystkie trafiają bezpośrednio do mnie, gdyż zachodzi podejrzenie, że mogą być zakodowane według systemu Alfa, w jakim pracuje zdobyty przez nas nadajnik. Nie oznacza to jednak, że kilku innych oficerów, w tym także Karm Siergiejewicz, nie ma dostępu do tych materiałów. Dlatego również można je łatwo skojarzyć z zestrzeleniem samolotu Polakowa. – Spojrzał badawczo na przyjaciela. – Rozumiesz, do czego zmierzam?

Krasin w milczeniu pokiwał głową.

– Nasz agent z Islamabadu zameldował dziś po południu, że już po raz drugi w ciągu ostatnich trzech dni jakaś tajemnicza maszyna wylądowała w Paraczinarze. Prawdopodobnie był to transport CIA. Samolot wystartował z Karaczi, zatrzymał się w Paraczinarze tylko na krótko, po czym odleciał do Peszawaru, gdzie stoi do tej pory. Przez radio pilot zgłaszał planowy rejs pakistańskich linii lotniczych, ale nasza komórka z Islamabadu ostrzega, że CIA zapewne planuje jakąś większą akcję, nie wiadomo tylko, jakiego rodzaju.

– Cholera!

– To nie wszystko. Nasz informator z lotniska w Peszawarze zameldował przed kilkunastoma minutami, że maszyna CIA zaparkowała przed hangarem. Powiedział, że będzie obserwował tę część lotniska wojskowego, którą od dłuższego czasu wykorzystują Amerykanie.

– Czyżby dostali do dyspozycji cały hangar?

– W Peszawarze podobno otwarcie nazywa się go hangarem CIA, i to co najmniej od dwudziestu pięciu lat. Na początku lat sześćdziesiątych Amerykanie trzymali tam maszynę zwiadowczą typu U-2. Zachodzi podejrzenie, że teraz ukrywają w hangarze jakiś sprzęt specjalistyczny, śmigłowce szturmowe czy myśliwce pionowego startu, ale nikt niczego nie wie

na pewno. Wysyłałem tam już paru moich ludzi, lecz zdołali się jedynie zbliżyć do tej części lotniska na pół kilometra, nic więcej.

– Rozumiem.

– Jeszcze jedna sprawa. Z naszego samolotu zwiadowczego, który bez przerwy obserwuje miejsce katastrofy, zameldowano, że dziś rano o wschodzie słońca na szczycie, skąd prawdopodobnie odpalono stingera, był przez pewien czas rozpostarty jakiś odblaskowy materiał. Widocznie chodziło o sygnalizację optyczną, a wieść o niej rozeszła się po sztabie wszelkimi możliwymi kanałami. Skierowano w tamten rejon drugą platformę obserwacyjną i po dwóch godzinach nadszedł meldunek, że mimo dwunastokrotnego przejścia nad wskazanym obszarem niczego nie zauważono. A więc ktoś musiał zlikwidować ten znak. Co gorsza, nie udało się nawet dokładnie określić, na którym szczycie go początkowo dostrzeżono.

– I co o tym wszystkim sądzisz? Klimienko odchylił się na oparcie.

– A może najpierw ty mi powiesz, co o tym myślisz? Śmiało, rozmawiamy zupełnie prywatnie.

Sasza odsunął krzesło, usiadł i położył nogi na krawędzi biurka. Popatrzył przyjacielowi w oczy i przygryzł wargi.

– Chyba będziesz musiał mnie jeszcze bardziej wtajemniczyć w swoje sprawy, Tola.

– Opowiem ci o wszystkim ze szczegółami, Sasza, ale dopiero wtedy, gdy zostanę do tego zmuszony.

Krasin zdjął nogi z biurka i pochylił się nisko nad blatem.

– Nie ufasz mi? Przecież to ja, Sasza, ten sam, który wciągnął kłamliwego Szadrina na minę. Formalnie rzecz biorąc, zabiłem tego sukinsyna. To za mało? Czego jeszcze oczekujesz? Naprawdę już najwyższa pora, byś odsłonił przede mną rąbek tajemnicy.

– W porządku. Tylko mi nie przerywaj.

Anatolij wyciągnął z dna biurka butelkę pieprzówki i dwie szklanki, napełnił obie niemal do pełna, pociągnął spory haust, westchnął ciężko i zaczął opowiadać.

Kiedy skończył, szybko wyrzwał na zewnątrz, ale w oknach po drugiej stronie dziedzińca wciąż paliły się jeszcze światła.

– I co? Chcesz teraz umyć ręce od całej tej sprawy? – zapytał.

– Wydawało mi się, iż w pełni rozumiem sytuację, Tola, kiedy mówiłem, że najwyższa pora

na wyjaśnienie tajemnicy. – Wstał i zaczął chodzić z kąta w kąt. – Przede wszystkim masz rację, że poszukiwania zabójców Polakowa staną się na jakiś czas podstawowym zadaniem całej czterdziestej armii. W gruncie rzeczy nikt nie zamierza opłakiwać generała, ale nikt też nie zrezygnuje z możliwości odwetu, dopóki Gromow nie wyda osobiście takiego rozkazu.

Klimienko w zamyśleniu pokiwał głową i odparł:

– Ale generał Gromow na razie przebywa w Moskwie z misją zamydlenia oczu partyjnym bubkom.

– Nie zapominaj jednak, że wcześniej czy później ktoś poskłada fakty do kupy i dojdzie do groźnych dla nas wniosków. Zaczną się pytania, dlaczego wy, pułkowniku Klimienko, mając wszystkie dane przed nosem, nie uczyniliście nic w tej sprawie, żeby można przedsięwziąć jakieś kroki zaradcze. Możliwe są tylko dwie odpowiedzi. Pierwsza taka, że jesteście tępym durniem, który przeoczył oczywiste wnioski. Boję się jednak, że mało kto w to uwierzy. Druga zaś nasuwa się sama. Zignorowaliście ewidentne wskazówki w celu osiągnięcia określonych celów. A ta już niemal wszystkim powinna trafić do przekonania.

Anatolij ponownie przytaknął ruchem głowy.

– Moim zdaniem, stało się już dla ciebie jasne – ciągnął Krasin – że CIA zamierza wyciągnąć swoich duszmańskich przyjaciół z kryjówek w górach. Mam rację?

– Najzupełniej. Mów dalej.

– Jeśli tak, to istnieją cztery rozwiązania, z których każde dotyczy ciebie bezpośrednio, a z uwagi na podejrzenia Karma Siergiejewicza z pewnością odbije się także na mnie. Otóż po pierwsze, możesz zataić wszelkie informacje i umożliwić Amerykanom przeprowadzenie akcji. Grozi to tym, że Karm już wkrótce zacznie zadawać trudne pytania, a potem nieuchronnie dojdzie do bardzo niebezpiecznych wniosków. Tego byś na pewno nie chciał.

– Owszem.

– Pozostałe trzy wyjścia ściśle się ze sobą wiążą. Załóżmy, że ściągnąłeś mnie tu właśnie po to, by przedstawić swoje wstrząsające odkrycie, i przy mojej wydatnej pomocy doszedłeś do wniosku, iż szykowana jest akcja ratunkowa dla tych parszywych morderców nieodżałowanego Borysa Siemionowicza. Zatem potrzebna ci moja pomoc, aby przekonać pełniącego obowiązki dowódcy armii, że warto błyskawicznie zorganizować wielką akcję specnazu w celu pokrzyżowania wrogom planów i pomszczenia śmierci naszego poprzedniego dowódcy. A zwracasz się do mnie, gdyż, twoim zdaniem, po tamtej stronie dziedzińca cieszę się olbrzymim

poważaniem, mimo powszechnie znanej miękkości charakteru. Dopiero tu otwierają się trzy różne wyjścia. Po pierwsze, podejmujemy heroiczny, ale daremny wysiłek, wrogowie kończą akcję sukcesem, my zaś wychodzimy z tego czyści. Po drugie, zmieniamy nagle front i załatwiamy łobuzów. Wreszcie po trzecie, nie tylko zmieniamy front, lecz także dostarczamy Amerykanów schwytanych na gorącym uczynku. – Sasza zawiesił głos, po czym zapytał: – Przychodzą ci namysł inne ewentualności?

– Nie. Rozpatrywałem te same rozwiązania, tyle że w nieco odmiennym szyku.

– W takim razie wróćmy do twego pierwotnego pytania. Zgodzisz się ze mną, że dla nas obu najgorszą ewentualnością byłoby ujęcie żywcem dukhisów i ich amerykańskich przyjaciół. Zresztą cały czas istnieje ta groźba, bo może dopisać szczęście oddziałom bez przerwy patrolującym dolinę Kabulu. A jeśli będziemy siedzieć bezczynnie, ich szansę na sukces jeszcze wzrosną. To oczywiste, że gdy dukhisi i agenci CIA dostaną się do niewoli, wcześniej czy później zaczną śpiewać, a wtedy obaj zarobimy po kulce w łeb, bez względu na to, czy wśród schwytanych znajdzie się ktoś wtajemniczony w twoje mroczne sekrety.

– Tak jest, majorze. W tej sytuacji byłoby murowane, że obaj wylądujemy na Łubiance i ostatecznie powędrujemy do piachu.

– W takim razie musimy uczynić wszystko, żeby dopomóc w realizacji jednego z dwóch pozostałych scenariuszy.

Klimienko popatrzył na niego z ukosa, czując dziwny ucisk w gardle.

– W takim razie pierwsze posunięcie należy do ciebie – mruknął, przesuwając aparat telefoniczny na skraj biurka.

Sasza wyciągnął ołówek, odczekał, aż tarcza powróci do położenia wyjściowego, po czym nakręcił czterocyfrowy numer wewnętrzny i głośno odchrząknął.

– Mówi major Krasin. Połączcie mnie natychmiast z generałem Titowem. – Przez chwilę słuchał w milczeniu. – Tak, rozumiem, towarzyszu majorze, ale to nadzwyczaj ważna sprawa. Dzwonię z gabinetu pułkownika Klimienki z Wydziału Zadań Specjalnych. Uzyskaliśmy pewne informacje dotyczące właśnie poszukiwań tych kryminalistów i morderców. – Ponownie urwał i obrócił oczy ku niebu. – Chyba zdajecie sobie sprawę, że nie chciałbym być podejrzany o ukrywanie tak istotnych informacji przed generałem. Oczywiście, rozumiem waszą sytuację, nie zapominajcie jednak, że byłem osobistym adiutantem Borysa Siemionowicza... Tak, bardzo dziękuję.

Porozumiewawczo mrugnął do Klimienki, oczekując na połączenie.

– Tak, towarzyszu generale. Tu major Krasin, adiutant generała Borysa Siemionowicza... Tak, towarzyszu generale, nalegam... Uzyskałem informacje, z którymi powinniście się jak najszybciej zapoznać, gdyż, moim zdaniem, na ich podstawie należałoby wydać odpowiednie rozkazy i natychmiast zorganizować akcję zmierzającą do ujęcia zbrodniarzy... Tak, oczywiście, że mogę przyprowadzić ze sobą pułkownika. Będziemy w waszym gabinecie za dziesięć minut. Dziękuję, towarzyszu generale.

Sasza odłożył słuchawkę i powiedział:

– Pora na przedstawienie w gabinecie Titowa. Ale później i tak będziemy musieli ze sobą szczerze porozmawiać, ponieważ czuję przez skórę, że nie wszystko jeszcze powiedziałeś.

Przez półtorej godziny Klimienko i Krasin przedstawiali fakty oraz swoje wnioski generałowi Titowowi i kilkunastu wyższym oficerom ze sztabu armii. Kiedy skończyli, dowódca splótł dłonie pod brodą, zamyślił się na krótko i rzekł:

– Wasze przypuszczenia są bardzo przekonujące. Zgadzam się, że zgromadzone fakty pozwalają wnioskować, iż amerykańskie służby specjalne planują operację ratunkową w Nangarharze. Podzielał też opinię, że powinniśmy im w tym przeszkodzić. Chciałbym do jutra, do południa, dostać na piśmie szczegółową analizę waszych obserwacji wraz z projektem koniecznych przeciwdziałań. Mam nadzieję, że pozwoli nam to na zorganizowanie kontrakcji jutro wieczorem, kiedy to, według mnie, Amerykanie wcielą swój plan w życie.

Klimienko pochylił się nad stołem.

– To prawda, towarzyszu generale, że wiele wskazuje na to, iż planują akcję na jutro. Z operacyjnego punktu widzenia to najpraktyczniejszy, ale zarazem najbardziej oczywisty termin, rzecz jasna, dla amerykańskich służb specjalnych. Dlatego jestem przekonany, że przeprowadzą swoją operację jeszcze dziś, zapewne w ciągu najbliższych ośmiu godzin, dlatego powinniśmy być na to przygotowani.

W wypowiedzi Anatolija znalazła się wyraźna sugestia co do mylności sądów generała, przy stole konferencyjnym zapadła więc martwa cisza.

– Tak, rozumiem, pułkowniku. W ocenie tego rodzaju działań należy unikać schematów myślowych. Wyruszymy jeszcze dziś, a jeśli zajdzie taka potrzeba, ponowimy akcję jutro. Wy, pułkowniku Klimienko, wraz z majorem Krasinem, oczywiście nią pokierujecie. A ponieważ znacie osobiście tego przywódcę duszmanów, który zorganizował zamach na Borysa

Siemionowicza, powinniście mieć osobistą satysfakcję ze schwymania przestępców. To wszystko. Przystępujcie natychmiast do szykowania planu akcji, z wyjątkiem pułkownika Klimienki, z którym chciałbym jeszcze zamienić parę słów na osobności.

Oficerowie zaczęli szybko wychodzić z sali. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Titow zapalił papierosa, wypuścił kłęb dymu w stronę sufitu i zaczął z namysłem:

– Pułkowniku, w trakcie swojego wystąpienia, skądinąd wyczerpującego i nadzwyczaj przekonującego, pominęliście milczeniem pewien bardzo istotny szczegół, na który nie zwrócił uwagi także nikt z mojego sztabu. Otóż chodzi mi o wpływ ewentualnego pojmania bądź śmierci człowieka, waszym zdaniem, odpowiedzialnego za śmierć Borysa Siemionowicza, na planowane uwolnienie porucznika Orłowa. Bo ten człowiek, którego macie nadzieję schwytać, jeśli dobrze zrozumiałem, prowadził także negocjacje dotyczące wymiany jeńców. Zgadza się?

– Tak jest, towarzyszu generale. Znany jest pod pseudonimem Musawwir, będącym jednym z dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Allaha, oznaczającym Twórcę, tego, który ustala porządek wszechrzeczy. – Klimienko urwał nagle, dostrzegłszy badawcze spojrzenie dowódcy, zaraz jednak wyjaśniał dalej – Celowo postanowiłem przemilczeć ten aspekt, ponieważ nie chciałem stawiać was, towarzyszu generale, wobec konieczności dokonywania wyboru między ewidentną koniecznością wymierzenia kary bandytom odpowiedzialnym za śmierć Borysa Siemionowicza a nieco zagmatwaną politycznie sprawą porucznika Orłowa, skoro za nią towarzysz generał nie ponosi jeszcze żadnej odpowiedzialności.

– Macie rację, pułkowniku Klimienko, mogę was jednak zapewnić, że jeśli sytuacja ulegnie zmianie, to znaczy porucznik Orłow w dobrym zdrowiu nie odzyska wolności, i za tę sprawę będę musiał ponieść odpowiedzialność.

– Tak jest, towarzyszu generale, ale obecnie planowana wymiana jeńców pozostaje wyłącznie w gestii KGB, co zapewnia towarzyszowi generałowi skromny margines bezpieczeństwa, przynajmniej jeszcze na kilka dni. Sam poprosiłem o tę rozmowę na osobności, gdybyście wcześniej nie wystąpili z taką inicjatywą, towarzyszu generale.

– Czy istnieje więc szansa, żeby obecna operacja pozostała w całkowitym oderwaniu od kwestii uwolnienia porucznika Orłowa?

– No cóż, osobiście doradzałbym, abyście na razie w żadnym stopniu nie angażowali się w sprawę Orłowa, generale Titow, i pozwolili mi nią dalej pokierować pod kierownictwem Komitetu. Gdyby z jakiegoś powodu negocjacje zakończyły się fiaskiem, wina spadłaby jedynie

na Komitet, a nie na was, towarzyszu generale. Proszę to jednak potraktować jako osobistą radę.

– Nie odpowiedzieliście mi jednak, pułkowniku, czy duszmani będą chcieli dalej negocjować w sprawie Orłowa, jeśli teraz zabijemy ich przywódcę.

Klimienko zamyślił się na chwilę, po czym odparł wymijająco:

– To rebelianci poszerzyli zakres swoich akcji, skutkiem czego Twórca przeprowadził udany zamach na generała Polakowa. Według mnie, powinni świetnie sobie zdawać sprawę, że to właśnie zmusiło nas do działania. Odwet jest nieodłącznym elementem ich kultury, z zemstą mają do czynienia na co dzień, towarzyszu generale. Krótko mówiąc, uważam, iż możemy schwytać Musawwira, a jednocześnie doprowadzić do uwolnienia porucznika Orłowa. Powinniśmy się najwyżej liczyć z zaostreniem warunków wymiany jeńców w przypadku, gdybyśmy wzięli Musawwira do niewoli.

– W takim razie jest chyba jasne, że znacznie lepiej byłoby zabić tego Musawwira, aniżeli próbować ująć go żywcem. Nigdy jednak nie słyszeliście tej rady ode mnie. Jasne, pułkowniku Klimienko?

– W zupełności, towarzyszu generale, tym bardziej, że w pełni zgadza się to z moimi wnioskami.

– Doskonale, pułkowniku. Przystępujcie zatem do działania. I jeszcze jedno. Podziwiam wasze świetne wyczucie sytuacji. Przyjmuję waszą radę i nie biorę żadnej odpowiedzialności za sprawę Orłowa aż do naszego następnego spotkania. Oczywiście, jeśli będę musiał rozmawiać z generałem Orłowem z Wünsdorfu, moje stanowisko zapewne się zmieni. W każdym razie dziękuję za radę, pułkowniku. Możecie już odejść.

Rozdział 25

Ermitaż, 30 września, 18.15

Kiedy Aleksander wrócił do sypialni, zastał Katerinę leżącą w łóżku i pogrążoną w lekturze jedynej książki, jaką udało jej się tu znaleźć, *Patanów* Caroego. Była ubrana w białą luźną bawełnianą koszulę afgańską, sięgającą jej do kolan. Wyjął z szafki grubszy ciemnoszary chałat i zaczął się przebierać.

– Kat, zostawię cię na parę godzin, może nawet na cały dzień. Muszę załatwić pilną sprawę.

Katerina obróciła się na bok i popatrzyła, jak rozluźnia węzeł sznurka ściągającego luźne spodnie, by schować w nie koniec bluzy. Równie uważnie obserwowała, jak zapina pas z kaburą mieszczącą ciężkiego browninga wraz z paroma zapasowymi magazynkami. Natychmiast zwróciła uwagę, że jest nadzwyczaj poważny, i po raz pierwszy od przyjazdu do Afganistanu poczuła ukłucie strachu. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej jednak, że musi się z tym pogodzić, że ryzyko podejmowane teraz przez męża jest ściśle powiązane z zagrożeniami, jakie oboje napotkają w najbliższej przyszłości.

– Już ci powiedziałam, nie przybyłam tu jako turystka, co wcale nie oznacza, że jestem przygotowana na to, aby zostać wdową – odparła cicho. – Zrób to, co musisz zrobić, tylko postaraj się to zrobić jak najlepiej, byś mógł wrócić do mnie cały i zdrowy.

Fannin przysiadł na brzegu łóżka.

– Wszystko powinno się rozstrzygnąć jeszcze przed wschodem słońca. Nakazałem Timowi, żeby natychmiast przekazywał ci wszelkie istotne wiadomości.

Pocałował ją w czoło, ścisnął jej dłoń, po czym wstał i wyszedł z sali.

Lotnisko w Kabulu, 20.00

Klimienko i Krasin wysiedli z samochodu przed oddziałem specnazu oczekującym ich na płycie lotniska, przed wejściem do transportowca. Żołnierze stali

w luźnej grupie i palili papierosy, co tylko pozornie można było uznać za brak dyscypliny bądź lekceważący stosunek do przełożonych. Bez wyjątku byli to bowiem doświadczeni komandosi, mający za sobą już niejedną akcję w Afganistanie. Obydwu oficerów obrzucili tylko

ważnymi spojrzeniami, dokonując błyskawicznej oceny ich znoszonych panterek czy też sposobu, w jaki ci trzymali pistolety maszynowe na ramieniu, lufami ku ziemi.

Krasin od razu podszedł do kapitana dowodzącego oddziałem.

– Łukin! To wy jeszcze żyjecie?! Może dzisiaj będziecie mieli więcej szczęścia! – zawołał, poklepując tamtego po ramieniu.

– Może nam wszystkim się dzisiaj poszczęści, Sasza. Twoje towarzystwo niemal gwarantuje, że ktoś z nas zdobędzie bilet powrotny do domu... na Czarnym Tulipanie. – Łukin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Klimienko zauważył w grupie porucznika, którego poznał na samym początku wojny. Tamten kilkakrotnie uczestniczył wraz z nim w operacjach specjalnych, a ostatnim razem z wyprawy na teren Pakistanu trzeba go było, ciężko rannego, wieźć z powrotem na grzbiecie jucznego muła.

– Rogow! Chyba teraz twoja kolej, aby bezpiecznie sprowadzić nas z powrotem!

– Wolałbym, żeby to jednak pozostało twoim zadaniem.

Uśmiech Władymira Rogowa nie zawierał nawet śladu radości, mimo że Klimienko należał do niewielu osób, które porucznik mógł uważać za swoich przyjaciół. Zapewne bardzo ciążyła mu świadomość, że Anatolij jest oficerem KGB, należy więc do organizacji, którą gardzą wszyscy żołnierze. Ale z drugiej strony Klimienko służył w oddziałach Alfa i nie wahał się nadstawić karku, kiedy Rogow został poważnie ranny. Musiał więc zdawać sobie sprawę, że pułkownikowi o wiele łatwiej było skrócić jego cierpienia strzałem w głowę niż taszczyć z powrotem przez granicę do Nangarharu.

Tymczasem Klimienko huknął go dłonią w zraniony bark i zapytał:

– No, jak tam twoje ramię?

Rogow nawet się nie skrzywił z bólu.

– Da się z tym żyć – burknął.

Lotnisko w Peszawarze, 20.00

Już po raz drugi tego dnia Fred Underman wprawnie posadził B-300 na tym samym pasie, włączył wsteczny ciąg i zerknął na siedzącego obok Fannina. Kołując w stronę hangaru CIA, zwrócił uwagę na kilka stojących przed nim pojazdów wojskowych.

Aleksander wskazał je palcem i powiedział:

– Przy takim zainteresowaniu najdalej za godzinę cała Północno-Zachodnia Prowincja Graniczna będzie wiedziała, że coś się święci. Nie wróży to najlepiej.

Underman przytaknął ruchem głowy, lecz nie odpowiedział. Słońce skryło się już za szczytami, zbocza Gór Wschodnich tonęły w nieprzeniknionym mroku.

Tej nocy księżyc miał wzejść bardzo późno, co powinno im choć trochę ułatwić zadanie.

Kiedy samolot się zatrzymał i Fred wyłączył silniki, Fannin wyszedł z kabiny, otworzył drzwi i spuścił drabinkę. Wszyscy czterej pospiesznie przeszli do hangaru, gdzie czekał na nich Jim Dangerfield.

– Matko Boska, Aleks! Pułkownik Fajsał nie daje mi spokoju, przysłał nam do pomocy oddział swoich najlepszych żołnierzy. Zapewniałem go, że nie potrzebujemy żadnej pomocy, a mimo to Pakistańczycy bez przerwy kręcą się wokół hangaru.

– Domyślałem się tego. Miejmy nadzieję, że zdołamy przeprowadzić akcję na tyle szybko, żeby przeciwnicy nie zdążyli po ich obecności wywnioskować o planowanej przez nas operacji. W jakim stanie jest ptaszek?

– Bez zarzutu. Niemalże rozłożyłem go na części i złożyłem z powrotem.

Fannin ruszył w kierunku pumy przystosowanej przez techników CIA do nocnych lotów. Smolistoczarne, porowate i szorstkie poszycie sprawiało dziwnie groźne wrażenie. Jedynym elementem wyróżniającym się na kadłubie były koncentryczne barwne kręgi znaku charakteryzujące śmigłowiec jako maszynę lotnictwa pakistańskiego. Pod każdym innym względem była ona wyjątkowa.

Aleksander obejrzał się przez ramię i rzekł do Dangerfielda:

– Mamy trochę czasu, Jim, więc może pokazałbyś J. D. i Docowi swój skarb. Nigdy go jeszcze nie widzieli.

Pilot z dumą wypiął pierś i podszedł do śmigłowca, tak głośno waląc świeżo podkutymi zelówkami o betonową posadzkę, iż echo jego kroków niemal całkowicie zagłuszyło nierówny rytm spowodowany lekkim utykaniem na sztucznej nodze.

– Z pozoru ten helikopter niczym się nie różni od innych pum pozostających w wyposażeniu lotnictwa pakistańskiego. Ma inaczej wykończone poszycie, ale trzeba być fachowcem, żeby to zauważyć. Na pierwszy rzut oka wyróżnia go jeszcze głowica FLIR umieszczona pod brzuchem na dziobie. – Pochylił się i wskazał jajowate urządzenie wiszące pod kadłubem między kołami

podwozia. – FLIR to czołowy skaner podczerwieni, a więc przyrząd noktowizyjny, dzięki któremu można latać w całkowitych ciemnościach. Jego znaczenia chyba nie muszę wam tłumaczyć. W dwóch gondolach zbrojeniowych znajdują się sowieckie rakiety AT-5 i AT-6, działko Gatlinga kalibru 23 milimetrów oraz ciężki karabin maszynowy kalibru 12,7 milimetra. Na wypadek, gdybyśmy natknęli się w powietrzu na kogoś wrogo usposobionego, mamy jeszcze dwie, całkiem niezłe, również sowieckie rakiety samonaprowadzające AA-8. Całe to uzbrojenie pochodzi z przeładowanych już magazynów części zamiennych do radzieckich maszyn bojowych. Dzięki naszym specjalistom zostało podłączone do centralnego systemu celowniczego, dzięki czemu może być obsługiwane przez jednego z dwóch pilotów. A ponieważ na dzisiaj nie mamy nikogo, kto mógłby usiąść obok mnie za sterami, funkcję drugiego pilota będzie musiał wziąć na siebie Aleksander, więc lepiej pomódlcie się wcześniej o zbawienie waszych marnych dusz. Teraz zapraszam do swego gabinetu.

Dangerfield postawił sprawną nogę na stopniu, podciągnął się błyskawicznie i wskoczył do głównego przedziału śmigłowca. Reszta wdrapała się do środka za nim.

– Dopiero tu, w kabinie, możecie zauważyć, czym naprawdę różni się ta puma od innych. Wielu techników z Langley poświęciło jej wiele godzin pracy. – Wsunął się na lewy fotel pilota i wskazawszy Fanninowi miejsce obok, ciągnął: – Na tym ekranie w centralnej części tablicy wyświetlany będzie obraz przekazywany przez skaner podczerwieni, odpowiednio wzmocniony i przetworzony elektronicznie, co umożliwi nam obserwowanie całego otoczenia. A nie jest to typowy FLIR, kontrolujący tylko wycinek przestrzeni przed dziobem. Za pomocą tej dźwigienki można obracać głowicę skanera na wszystkie strony. W uzupełnieniu mamy układ GPU, a więc globalny satelitarny system określania położenia, gdyby ktoś z was jeszcze tego nie wiedział, jak również wysokościomierz radarowy. Nie tylko można bez trudu pilotować tę maszynę w ciemnościach, lecz także posadzić ją w promieniu dziesięciu metrów od trzech ściśle wyznaczonych punktów, które będą dzisiaj naszym celem.

Zawiesił głos, jakby czekając na aplauz, ale w kabinie panowała napięta cisza.

– Każdy z was podczas akcji będzie musiał włożyć takie gogle. – Sięgnął po dwa urządzenia, jedno podał Aleksandrowi, drugie zaś wskazał pozostałym. – To system noktowizyjny ANVIS 6. Na pewno mieliście do czynienia z podobnymi lunetkami, ale ten binokular tworzy obraz trójwymiarowy. Chyba nic więcej nie musicie na razie wiedzieć. Mamy jeszcze do dyspozycji specjalne reflektory podczerwone, lecz raczej nie da się z nich skorzystać, jeśli mamy operować

w bezpośrednim sąsiedztwie Sowietów. Z pewnością będą czuwać przy noktowizorach; włączenie naszych reflektorów potraktowałiby jak pokaz sztucznych ogni. W każdym razie przy takiej pogodzie nawet w górzystym terenie mamy zapewnioną doskonałą widoczność. To wszystko, panowie. Z grubsza zostaliście zaznajomieni z naszymi możliwościami technicznymi.

Fannin spojrzął na zegarek.

– Jest dziesięć po ósmej. Za dwadzieścia minut będzie wystarczająco ciemno, byśmy mogli wystartować. Fred, powiadom Fajsala, że chcemy wyruszyć o wpół do dziewiątej. Niech nam wszystko przygotowuje.

Lotnisko w Dżalalabadzie, 20.20

Było już zbyt ciemno, aby dostrzec wraki zestrzelonych śmigłowców po obu stronach pasa startowego w Dżalalabadzie, na którym siadali, ale wszyscy na pokładzie myśleli wyłącznie o mudżahedinach, mogących się kryć wśród okolicznych szczytów. Pocieszali się tylko tym, że lądują w gęstych ciemnościach, znacznie utrudniających skuteczne naprowadzenie stingerów.

Kiedy transportowiec zatrzymał się w końcu, Krasin pozwolił żołnierzom wyjść na papierosa, lecz zatrzymał na pokładzie kapitana Łukina. Tymczasem Klimienko przystanął przed konsolą łączności i z uwagą popatrzył na depeszę wysuwającą się ze szczeliny deszyfratora. Radiooperator szybko oderwał zadrukowany fragment papierowej wstęgi i podał go pułkownikowi, ten zaś pochylił słaby wydruk w stronę dającej niewiele światła lampy pod sufitem i po chwili wyjaśnił kolegom:

– To najświeższe dane z centrum operacyjnego. Amerykański samolot do zadań specjalnych typu C-12 o dziewiętnastej powrócił z Peszawaru do Paraczinaru, lecz po pięciu minutach wystartował ponownie. Z pewnością zabrał tylko jakichś pasażerów. O dziewiętnastej pięćdziesiąt wylądował z powrotem w Peszawarze. Podkołował do starego hangaru U-2, gdzie stoi do tej pory, pozostaje pod ciągłą obserwacją. Sekcja nasłuchu radiowego zameldowała, że na kanale zarezerwowanym dla pakistańskiego lotnictwa wojskowego poinformowano, iż odbędzie się pozaplanowy przelot dwóch śmigłowców typu puma z Peszawaru na lotnisko polowe w Michni Point, po wschodniej stronie przełęczy Chajberskiej, a ich powrót do Peszawaru zapowiedziano na dwudziestą drugą trzydzieści. Nasi analitycy oceniają ten przelot jako wysoce podejrzany. – Na chwilę zawiesił głos, po czym kontynuował: – Zdarza się chyba po raz

pierwszy, aby śmigłowce przystosowane do operacji nocnych lądowały tak blisko granicy. Zdaniem analityków, Pakistańczycy polecą kilkaset metrów ponad najwyższymi szczytami pasma i zanurkują ostro na tamtejsze lotnisko polowe. Powinniśmy je dostrzec na ekranach radarów, kiedy znajdą się bezpośrednio nad wylotem przełęczy.

Sasza wziął od niego wydruk i po cichu przeczytał jeszcze raz tekst depezy.

– Myślisz, że ten przelot do Michni Point może być zasłoną dymną dla poważniejszej operacji?

– Nie wiem. W każdym razie warto mieć oko na te pumy.

Krasin w zamyśleniu pokiwał głową.

– I co teraz?

– Kapitanie, chyba powinniśmy jak najszybciej rozmieścić waszych ludzi w śmigłowcach i startować – zwrócił się Klimienko do Łukina.

Ten spojrział na zegarek.

– Potrzebujemy co najmniej trzech kwadransów na zainstalowanie dodatkowego sprzętu łączności.

Anatolij skrzywił się z niechęcią.

– To nas za bardzo opóźni, gdyby ten przelot Pakistańczyków do Michni Point miał być rzeczywiście zasłoną dymną. Pogońcie swoich ludzi. Może się uda choć trochę skrócić ten czas.

Lotnisko w Peszawarze, 20.30

Dwie pumy powoli dokołowały na skraj wojskowego pasa startowego, minawszy hangar U-2. Z powodu gęstych ciemności dwaj afgańscy obserwatorzy, ukryci w krzakach około kilometra za ogrodzeniem lotniska, nie mogli zauważyć trzeciego identycznego śmigłowca, który zajął pozycję za dwoma szykowanymi do startu maszynami, poruszającymi się z włączonymi reflektorami. Dlatego zameldowali przez radio, że dwa wojskowe helikoptery zgodnie z planem wystartowały z Peszawaru punktualnie o wpół do dziewiątej i skierowały się na zachód. A ich meldunek został odebrany przez załogę radzieckiej platformy obserwacyjnej krążącej nad wschodnim Afganistanem.

Lotnisko w Dżalalabadzie, 20.35

Klimienko, Krasin i Łukin obserwowali ekrany radarów w centrum operacyjnym wieży kontrolnej, kiedy oficer dyżurny zgłosił od konsoli radiooperatora:

– Wystartowały zapowiadane śmigłowce lotnictwa pakistańskiego! – Szybko podszedł do nich i wskazując ekran radaru dalekiego zasięgu, wyjaśnił: – Widzicie ten jaskrawy punkcik na godzinie trzeciej? To właśnie one.

– Dlaczego odbieramy tylko jedno echo? – zapytał Krasin, pochylając się nad ekranem.

– Lecą w zwartym szyku. Ten typ radaru z tak dużej odległości nie wyłowi poszczególnych maszyn. Być może ujrzemy dwa echa na drugim ekranie, kiedy śmigłowce zaczną podchodzić do lądowania, ale potem szybko je stracimy z oczu, gdy znikną za krawędzią najbliższego pasma górskiego.

– Więc w zasadzie w ogóle nie będziemy mogli ocenić, ile maszyn wylądowało u wylotu przełęczy?

– Nie bardzo. Mamy za słaby sprzęt.

Michni Point, 20.55

Dowódca eskadry zaczął szybko zniżać maszynę nad jasno oświetlonym lotniskiem polowym, podczas gdy pilot drugiego śmigłowca pozostał jeszcze na pułapie trzech tysięcy metrów. Oczekujący ich przylotu żołnierze doskonale widzieli z ziemi włączone reflektory obu helikopterów.

Nie mogli jednak dostrzec trzeciej pumy, która śladem pierwszej tuż za nią pomknęła ku ziemi, ale gdy tylko znalazły się poniżej niedalekiego wylotu przełęczy Chajberskiej, błyskawicznie położyła się na bok i odleciała na północ. Wyraźnie też zwolniła i nad ziemią ruszyła krętym szlakiem wiodącym przez przełęcz w stronę kotliny Dżalalabadu. W jej kabynie czterech Amerykanie siedzieli z noktowizyjnymi goglami na oczach, obserwując mętne zielonkawe zarysy przesuwanego się pod nimi terenu. Na tym pułapie musieli być całkowicie niewidoczni dla radzieckich radarów wieży kontrolnej.

Aleksander wcisnął klawisz interfonu i rzekł:

– Właśnie mijamy granicę. Moim zdaniem, jeśli nawet Rosjanie podejrzewają, że zorganizowaliśmy wyprawę ratunkową, musieliby się teraz nieźle uwijać, żeby nam

przeszkodzić.

Przez następnych dziewięć minut panowało milczenie. Puma leciała tuż nad wierzchołkami drzew, stopniowo wykręcając na zachód, w kierunku Dżalalabadu. Wreszcie Fannin położył dłoń na ramieniu Dangerfielda i wskazując miejsce przed dziobem maszyny, oznajmił:

– Są tam. Dziesięciu bojowników, tak jak się umawialiśmy.

Pilot również od razu dostrzegł jasne punkciki ludzi, oczekujących nad brzegiem Kabulu i szybko posadził pumę na piaszczystej łasze. Zgodnie ze wskazaniem GPS rzeczywiście byli w promieniu dziesięciu metrów od wyznaczonego miejsca spotkania z Inżynierem Jussufem, jego kuzynem Wali Khanem oraz ośmioma mudżahedinami. W ciągu minuty pięciu Afgańczyków zajęło miejsca w helikopterze, podczas gdy pięciu dalszych pozostało nad brzegiem rzeki. Maszyna, obciążona teraz do granic wytrzymałości, zdecydowanie bardziej ociężała wzbiła się w powietrze.

Lotnisko w Dżalalabadzie, 21.00

Technicy zdołali skrócić czas montażu dodatkowych radiostacji w czterech śmigłowcach szturmowych typu Mi-24 zaledwie o pięć minut. Łukin, który bez przerwy ich poganiał, natychmiast przystąpił do sprawdzania łączności.

– Iljicz Jeden, Iljicz Dwa, Iljicz Trzy, tu dowódca grupy. Jak mnie słyszycie? Radiooperatorzy zameldowali się kolejno, a ponieważ wszystko działało jak należy, kapitan szybko dał znak, że mogą startować.

Minutę później cztery śmigłowce wzbiły się nad lotnisko i obrały kurs na najbliższe pasmo, górujące trzy tysiące metrów ponad kotliną Dżalalabadu i ciągnące się po obu stronach rzeki Kabul. Piloci starali się trzymać jak najbliżej ziemi, przeskakując nad kolejnymi grzbietami zaledwie o kilkanaście metrów. Zarówno oni, jak i strzelcy pokładowi, nie odrywali wzroku od noktowizorów.

Po przeskoczeniu ostatniego pasma, opadającego stromo ku północnemu wschodowi, helikoptery utworzyły szyk liniowy, wzbiły się na wysokość trzech tysięcy trzystu metrów – a więc trzysta metrów powyżej najwyższych szczytów leżących między Dżalalabadem a Kabulem – i obrały kurs na posterunek Brandy. Nikt z ich załóg nie zauważył smukłej sylwetki czarnej pumy, która pod osłoną stromego zbocza grzbietu wyskoczyła nagle ku górze i jakby

dołączywszy do szyku eskadry, poleciała za nią. Amerykanie celowo czekali na przybycie patrolu, kryjąc się po wschodniej stronie urwiska przed sowieckimi radarami. Pozostawali w ciągłej łączności radiowej ze stacją nasłuchową Ermitażu, skąd uważnie śledzono lot czterech szturmowych maszyn Mi-24.

Dowódca eskadry zameldował przez radio:

– Grupa Feliks, tu dowódca grupy Iljicz. Za dziesięć minut zluźujemy was na posterunku. Wracajcie do bazy rezerwową trasą zieloną. Nie chcemy na was wpaść w ciemnościach.

– Przyjąłem, Iljicz. Wracamy do bazy. Wokół panuje spokój, nie zarejestrowaliśmy żadnej aktywności. Powodzenia. Bez odbioru.

Lotnisko w Baghramie, 21.35

Major Iwan Wiktorowicz Dmitriew od czasu zestrzelenia przed czterema dniami transportowca z generałem Polakowem na pokładzie brał co drugą służbę w wieży kontrolnej największej radzieckiej bazy lotniczej w Baghramie, leżącym na północ od Kabulu, mimo że zmęczenie coraz bardziej dawało mu się we znaki. Teraz także stał tuż za plecami dyżurującego technika i spoglądał na wielki ekran radarowy jego konsoli.

Tamten nagle odwrócił głowę.

– Majorze, mamy echo patrolu Iljicz z Dżalalabadu, który zluźuje patrol Feliks na posterunku Brandy. Iljicz to ten jaskrawy punkt przy krawędzi ekranu, w przybliżeniu na godzinie czwartej. Cztery słabsze sygnały bliżej środka, idące kursem na południowy zachód, to maszyny patrolu Feliks. Prawdopodobnie stopią się w jedno echo mniej więcej w tym samym czasie, gdy sygnał patrolu Iljicz rozdzieli się na formację poszczególnych śmigłowców.

Dmitriew bez słowa popatrzył na wskazane odczyty, próbując się otrząsnąć z letargu. Hipnotyzująco zdawały się na niego działać zielonkawe rozbłyski, stopniowo zlewające się w jeden jaskrawszy punkt na ekranie. Technik trafnie przewidział, że jednocześnie sygnał zbliżającego się patrolu Iljicz zaczął się rozdzielać na sygnały poszczególnych maszyn eskadry.

Operator radaru ponownie odwrócił głowę i rzekł z uśmiechem:

– Jak sami widzicie, towarzyszu majorze, cztery maszyny szturmowe patrolu Feliks można teraz wziąć za jeden większy samolot.

Ale Dmitriew go nie słuchał. Zamrugał szybko i z niedowierzaniem po raz drugi przeliczył

sygnały patrolu Iljicz.

– Poruczniku, ile śmigłowców powinno tworzyć eskadrę patrolową Iljicz?

– Cztery, towarzyszu majorze. Wszystkie dzisiejsze patrole na posterunku Brandy składają się z czterech maszyn.

– No to przeliczcie te echa, poruczniku! Popatrzcie wreszcie na ekran i skupcie się na swoim zadaniu!

Technik błyskawicznie pochylił się nad konsolą.

– Nie rozumiem... Są cztery śmigłowce, towarzyszu majorze.

– Policzcie jeszcze raz... Jestem pewien, że przed chwilą widziałem ich pięć!

– Proszę się uważnie przyjrzeć, towarzyszu majorze. – Porucznik szybko zwiększył kontrast.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że nadlatują cztery maszyny, jak we wszystkich poprzednich patrolach.

Rozdział 26

Na wschód od posterunku Brandy, 30 września, 21.37

Aleksander spoglądał na ekran nawigacyjny pumy, obserwując zmieniające się liczby, wskazujące odległość do drugiego zaprogramowanego celu, leżącego trzysta metrów poniżej górnej krawędzi grzbietu. Dangerfield umiejętnie prowadził maszynę wzdłuż północno – wschodniego stoku pasma, nawet na chwilę nie wznosząc jej ponad grzbiet, by nie zostać namierzonym przez sowieckie radary.

Cztery śmigłowce szturmowe Mi-24, składające się na patrol Iljicz, zostały po drugiej stronie grzbietu i do tego czasu z pewnością zajęły już posterunek obserwacyjny Brandy, wysoko ponad nurtem Kabulu, lecz choć stąd w noktowizyjnych goglach nie było widać strumieni gorących gazów wylotowych z ich silników, wszyscy zdawali sobie sprawę z bliskiej obecności radzieckich maszyn. Ich względnie bezpieczna sytuacja mogła się w każdej chwili odmienić.

W słuchawkach rozbrzmiał głos Fannina:

– Jesteśmy nie dalej niż trzydzieści metrów od miejsca, którego szukamy. Włączę teraz FLIR i sprawdzę teren przed dziobem.

Dangerfield wyrzwał przez boczną szybę, końce rotorów śmigłały przerażająco blisko skalnej ściany. Wystarczył jeden fałszywy ruch, żeby rozbić pumę i zwalić się w przepaść.

Tymczasem Aleksander zaczął powoli obracać głowicą skanera podczerwieni, wbijając wzrok w niewielki, sześciocaołowy ekranik wmontowany w tablicę przyrządów. Aż trzy razy musiał przesunąć tam i z powrotem wiązką skanującą, zanim ostatecznie znalazł to, czego szukał – wspinającą się skrajem urwiska, wydeptaną przez ludzi, ścieżkę prowadzącą na pobliski spłaszczony wierzchołek góry. Na szczęście, nieco dalej skalna półka stawała się wystarczająco szeroka, by helikopter mógł usiąść na jej krawędzi. Wystarczyło pięć sekund, by J. D. i pięciu mudżahedinów zeskoczyło na ziemię. Gdyby się okazało, że nie jest to zasadzka, a ranni bojownicy są gotowi do transportu, J. D. miał wezwać pilota przez radio.

Dangerfield zaczął ostrożnie zniżać maszynę. W duchu dziękował Bogu, że tak precyzyjnie reaguje na ruchy sterów. Na szczęście, panowała bezwietrzna

pogoda i nie było tu żadnych zstępujących prądów powietrza, czego przed startem tak bardzo się obawiał.

– J. D., wyskakujecie za dziesięć sekund – rzekł spiętym głosem przez laryngofon.

W głównym przedziale Sawyer błyskawicznie zdjął z głowy hełmofon i wyciągnąwszy przed siebie pięść z kciukiem uniesionym ku górze, dał Aleksandrowi znak, że jest gotów, po czym szybko przesunął się do lewych drzwi śmigłowca. Dangerfield wznosił maszynę parę metrów w górę i ostrożnie przesunął nieco w bok, aż krawędź kadłuba znalazła się dokładnie nad ścieżką, usiłując nie myśleć o tym, że końce rotorów muszą teraz przelatywać nie dalej niż metr od skały.

– Teraz! – rzucił przez interfon.

J. D. szarpnięciem otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię, w jego ślady poszedł Jussuf, potem Wali Khan, a za nimi trzech pozostałych mudżahedini. Chwilę później Dangerfield położył pumę na bok i odsunął ją od zdradliwego urwiska. Dopiero później sprowadził kilkaset metrów niżej i wciąż trzymając się blisko stromego zbocza, skierował ją do trzeciego punktu o ściśle wyznaczonych współrzędnych.

Aleksander zsunął hełmofon z lewego ucha na tył głowy i wetknął do niego miniaturową słuchawkę. Włożył wtyczkę do gniazdka na obudowie krótkofalówki motoroli, którą miał przyczepioną paskiem do uprząży na piersi, i na ułamek sekundy wcisnął klawisz nadawania. Po chwili nadeszła odpowiedź J. D.:

– Jesteśmy jakieś dwieście metrów w linii prostej od punktu lądowania wyznaczonego według odczytów GPU i około stu metrów poniżej szczytu. Ścieżka sprawia wrażenie bezpiecznej, ale dotarcie do celu i tak zajmie nam co najmniej dwadzieścia minut.

– Zrozumiałem. Bez odbioru – odpowiedział lakonicznie Fannin.

Posterunek Brandy, 22.02

Klimienko, skulony w ciasnej kabinie Mi-24, jedną ręką dociskał słuchawkę do ucha, drugą zaś usiłował zapisywać treść depezy w notesie leżącym na nierównej, powgniatanej obudowie radiostacji. Wysłuchawszy całego meldunku, rzekł przez interfon:

– Sekcja nasłuchowa z pokładu platformy obserwacyjnej melduje o przechwyceniu krótkiego impulsu cyfrowo zakodowanej transmisji, nadawanej z naszego bezpośredniego sąsiedztwa. Nie są w stanie rozszyfrować przekazu ani też dokładnie określić położenia nadajnika, przynajmniej na razie. Przepuścili jednak charakterystykę sygnału przez pokładowy analizator i odkryli, że źródłem impulsu musi być krótkofalówka Motorola MX-360, pracująca w systemie DES. –

Urwał i zajrzał do notatek. – Na tej podstawie wnioskują, że chodzi o amerykańskie służby specjalne operujące gdzieś w tej okolicy, gdyż dotąd afgańscy rebelianci nie posługiwali się tym sprzętem.

Na wschód od posterunku Brandy, 22.09

Dangerfield sprowadził maszynę wzdłuż północno-wschodniego zbocza grzbietu około pięciuset metrów poniżej miejsca, które przed dwoma dniami Chłopak oznakował płachtą termoizolacyjną jako miejsce lądowania. Wbijał wzrok we wskazania przyrządów, dopóki odczyty GPU nie potwierdziły, że znaj dują się w promieniu trzech metrów od wybranego punktu. Później zauważył spory nawis skalny, toteż szybko posadził pod nim pumę, ukrywając ją przed całym światem do czasu otrzymania radiowego meldunku od J. D. Wciąż nie było wiatru. Pasma górskie oddzielało ich od kołującego prawdopodobnie nad rzeką patrolu ze śmigłowców Mi-24, natomiast sąsiednie, wznoszące się na wysokość co najmniej trzystu metrów, sprawiało, że nadal byli niewidoczni, dla radarów z Kabulu czy Baghramu.

Wysoko ponad ich kryjówką i dobre dwa kilometry w górę rzeki radzieckie helikoptery zaczęły przeczesywać teren wiązkami podczerwonymi.

Aleksander postukał Dangerfielda w ramię i wskazując na północ, rzekł:

– Różowe światło. Kogoś szukają, pewnie nas. Chyba jednak się czegoś domyślili.

Lotnisko w Baghramie, 22.10

Major Dmitriew ocknął się nagle na twardym krześle. Stwierdziwszy ze zdumieniem, że przespał niemal pół godziny, pospiesznie przysunął sobie telefon i nakręcił czterocyfrowy numer wewnętrzny.

– Chciałbym rozmawiać z oficerem dyżurnym kabulskiej centrali operacji specjalnych.

Czekając na połączenie, zauważył, że porucznik przy konsoli radaru podejrzanie kiwa się do przodu i do tyłu. Wszyscy jesteście przemęczeni, pomyślał. Sięgnął do przełącznika na swoim pulpicie, pochylił się do mikrofonu i powiedział głośno:

– Poruczniku! Wstańcie z krzesła, jeśli oczy się wam kleją. Akurat dzisiejszej nocy nie wolno nam nawet na chwilę odwrócić wzroku od ekranów.

Tamten poderwał się z miejsca, kiedy w słuchawkach rozbrzmiał okrzyk Dmitriewa.

– Chciałem tylko rozruszać mięśnie karku, towarzyszu majorze – odparł teraz. – Wcale nie spałem.

W słuchawce telefonu rozległ się głos oficera dyżurnego:

– Centrum operacyjne, major Szulgin.

– Tu major Dmitriew z wieży kontrolnej lotniska w Baghramie. Chciałem zameldować o niezwyklej anomalii radarowej związanej z przelotem patrolu Iljicz na posterunek Brandy.

– Proszę mówić, majorze.

Dmitriew szybko opowiedział o zaobserwowaniu pięciu sygnałów na ekranie, podkreślając przy tym, że na pewno nie było to złudzenie. Spodziewał się, że jak zwykle tego typu meldunek zostanie przyjęty ze skrajnym znużeniem, ale Szulgin wyraźnie się ożywił. Zadał kilka pytań, wreszcie poprosił o telefon, gdyby Dmitriew zauważył jeszcze coś podejrzanego. Toteż major odkładał słuchawkę, czując przypływ świeżej energii.

Posterunek Brandy, 22.18

Klimienko przez dobrą minutę słuchał wiadomości przekazywanych przez radio z kabulskiej centrali operacji specjalnych, wreszcie odwrócił się do Łukina oraz Saszy i powiedział:

– Według meldunku oficera dyżurnego wieży kontrolnej w Baghramie, prawdopodobnie przywlekliśmy naszych amerykańskich przyjaciół ze sobą, gdy pół godziny temu lecieliśmy na posterunek. W centrali potraktowano go bardzo poważnie. Dyżur pełni ten sam major, który ostrzegał generała Polakowa podczas lotu do Dżalalabadu po przechwyceniu podejrzanego komunikatu z wieży kontrolnej w Kabulu. Wygląda więc na to, że nasi sprytni koledzy dotarli do posterunku Brandy, trzymając się naszego ogona. Powinni jeszcze być gdzieś w pobliżu.

Na wschód od posterunku Brandy, 22.20

J. D. wraz z pięcioma mudżahedinami dotarł na szczyt góry, gdzie czuć było lekki wiatr z północnego zachodu. Przystanął i zaczął się uważnie rozglądać przez gogle noktowizyjne, wypatrując jakiegokolwiek źródła ciepła. Po kilku sekundach bez trudu namierzył sylwetkę człowieka przycupniętego dziesięć metrów dalej za wielkim głazem. Ruszył w tamtą stronę

i zawołał cicho w języku dari:

– Jak się masz, młodzieńcze? A gdzie jest Musawwir?

Chłopak skoczył na równe nogi i podbiegł do nich, z uśmiechem witając przyjaciół.

– Niedaleko – odparł. – Przyciągnąłem go prawie na szczyt i zostawiłem w bezpiecznym miejscu. Jest bardzo słaby, ale chyba nie umrze.

J. D. zwrócił się do Inżyniera Jussufa:

– Idź z Chłopakiem i jak najszybciej przynieście tu Musawwira. Weź swoich trzech bojowników do pomocy, Wali Khan zostanie ze mną. – Obejrząwszy się z powrotem na Chłopaka, zapytał: – Ile czasu zajmie przyniesienie Musawwira na miejsce lądowania?

– Nie więcej niż dziesięć minut, nawet gdyby trzeba go było dźwigać na plecach.

Afgańczyk obrócił się na pięcie i ruszył między głązy, czterech mudzahedinów poszło za nim. J. D. uniół krótkofalówkę i wcisnął klawisz nadawania.

– Odnalazłem Chłopaka i wysłałem Jussufa z trzema bojownikami, żeby przynieśli Musawwira na szczyt. Powinniśmy być gotowi do wejścia na pokład za dziesięć minut.

Popatrzył w kierunku wylotu doliny, trzy tysiące metrów w dole opadającej stopniowo ku brzegowi rzeki. Przez gogle bez trudu zauważył cztery radzieckie śmigłowce krążące nad nią w odległości jakichś dwóch kilometrów. Właśnie w tej chwili jedna z maszyn odwróciła się dziobem w ich kierunku i wiązką różowego światła podczerwonego zaczęła omiatać zbocza gór. Zbliżała się też powoli, nie szybciej jednak niż sto pięćdziesiąt metrów na minutę. J. D. zerknął na fosforyzującą tarczę roleksa i obliczył, że jeśli Mi-24 utrzyma ten kurs i prędkość, mniej więcej za dziesięć minut znajdzie się ponad szczytem.

Posterunek Brandy, 22.24

Kapitan Łukin obserwował przez noktowizor północno – wschodnie zbocze pasma górującego nad rzeką, lecz drobne rozbłyski, spowodowane emisją ciepła przez skały nagrzane po całym dniu, nie pozwalały mu nawet na rozróżnienie głównych form ukształtowania tamtejszego terenu. Zniechęcony pokręcił głową i rzekł przez interfon:

– To na nic. Nasz sprzęt noktowizyjny nie nadaje się do poszukiwań z tak dużej odległości. Warto by się rozdzielić i dokładnie spenetrować okolicę. Gdyby ktoś zauważył coś podejrzanego, mógłby szybko ściągnąć pozostałe śmigłowce. Powinniśmy zaskoczyć tych łobuzów, jeśli

zamierzamy wziąć ich żywcem.

Klimienko otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, kiedy w słuchawkach rozległ się kolejny meldunek, tym razem z pokładu krążącej wysoko nad nimi platformy obserwacyjnej.

– Grupa Iljicz, przechwyciliśmy kolejną transmisję w paśmie amerykańskich służb specjalnych. Tym razem zdołaliśmy ustalić, że nadajnik musi się znajdować w sektorze ósmym posterunku Brandy. Nie możemy podać dokładniejszych namiarów, i tak mieliśmy szczęście, że udało się przechwycić impuls z dwóch skrajnie oddalonych punktów naszej orbity. Na pewno są w sektorze ósmym, a więc blisko was.

Anatolij spostrzegł kątem oka, że Łukin stoi już przy szczegółowej mapie okolic posterunku Brandy, przyklejonej na grodzi helikoptera. Niespodziewanie przez interfon odezwał się Krasin.

– Łukin, a może byśmy całkiem zrezygnowali z krążenia po posterunku, ustawili maszyny w szereg i zaczęli wysadzać na ziemię grupy rekonesansowe? W końcu sektor ósmy ma najwyżej kilometr szerokości. Jeśli nawet część twoich żołnierzy zostanie na ziemi, i tak będziemy mogli błyskawicznie ściągnąć wszystkie maszyny w jedno miejsce.

Kapitan zamyślił się na chwilę.

– To prawda, ale w ten sposób utracilibyśmy siłę ognia. Trudno zakładać, że będziemy latali tam i z powrotem wzdłuż grzbietów obu pasm znajdujących się w sektorze ósmym. Zresztą gdyby ogłoszono alarm, stracilibyśmy sporo czasu, zbierając żołnierzy rozproszonych w terenie.

– Zawiesił głos, lecz zaraz dodał: – Masz jednak rację, to chyba niezły pomysł.

Łukin przełączył się na radio i pospiesznie zaczął wydawać rozkazy załogom trzech pozostałych śmigłowców, wyznaczając miejsce zgrupowania na wysokości trzech tysięcy czterystu metrów ponad nurtem rzeki, około kilometra od granicy sektora ósmego.

Klimienko pomyślał, że głównym celem taktyki zaproponowanej przez Saszę jest wyłącznie opóźnienie ewentualnego odkrycia miejsca pobytu Amerykanów. Gdyby rzeczywiście zdołali ich zlokalizować, w ten sposób albo dawaliby tamtym czas na ucieczkę, albo sami zyskiwali go tyle, by wytropić i zlikwidować wszystkich uczestników wyprawy ratunkowej. Zarazem zwrócił uwagę, że Łukin z wyraźnym ociąganiem przyjmuje sugestie Krasina.

Na wschód od posterunku Brandy, 22.26

J. D. spostrzegł, iż różowe wiązki skanerów podczerwieni radzieckich śmigłowców gasną

jedna po drugiej. Eskadra Mi-24 szybko ustawiła się w linię i zaczęła nieuchronnie sunąć w jego kierunku. Nie ulegało wątpliwości, że patrol obrał kurs właśnie na ten szczyt. Helikoptery zbliżały się szybko, przez gogle noktowizyjne mógł już rozróżnić szeregi okrągłych okienek w ich kadłubach.

– Cała nasza eskorta wyłączyła skanery i zmieniła kurs – zameldował przez radio. – Lecą prosto na mnie. Znajdą się nad szczytem najdalej za dwie minuty. Odbiór.

Aleksander pospiesznie uniósł swój aparat.

– Zrozumiałem. Informuj nas na bieżąco. Szacujemy, że dotarcie do was zajmie nam około piętnastu sekund, wolałbym jednak, żebyś wezwał pomoc co najmniej pół minuty przed czasem. Odbiór.

– Przyjąłem. Będziemy gotowi do załadunku za jakieś trzy minuty. Zaraz spróbuję ocenić, jak daleko jest grupa niosąca Musawwira od miejsca lądowania. Bez odbioru.

Wychylił się zza głazu, przeszedł parę kroków i w dole, na południowo-zachodnim zboczu, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od szczytu, zauważył zielonkawe sylwetki mężczyzn dźwigających rannego pod górę. Wali Khan nie odstępował go ani na krok. J. D. ponownie uniósł krótkofalówkę.

– Będą na miejscu za dwie do trzech minut. Bez odbioru.

Posterunek Brandy, 22.27

W słuchawkach znowu rozległ się znajomy już głos oficera nasłuchu radiowego z pokładu platformy.

– Wyłapujemy powtarzające się często impulsy łączności, które wydają się korelować ze zmianami kursu maszyn patrolu Iljicz. Obserwujemy was na ekranach i już dwukrotnie, po ostatniej zmianie szyku i obraniu kursu na południowy zachód, wykrywaliśmy krótkie transmisje w amerykańskim paśmie łączności.

Wygląda więc na to, że mają was na oku, wy zaś lećcie prosto na nich do sektora ósmego. Jak mnie zrozumieliście? Odbiór.

Łukin spojrział na Klimienkę i wzruszył ramionami, jak gdyby nie rozumiał związku między manewrami śmigłowców a impulsami łączności radiowej Amerykanów. Anatolij wyrozumiale pokiwał głową, położył mu dłoń na ramieniu i wcisnął klawisz nadawania.

– Tu dowódca grupy Iljicz. Zrozumiałem. Zaraz sprawdzimy, czy rzeczywiście możemy sprowokować kolejny meldunek. Uważnie obserwujcie aktywność radiową w ich paśmie. Bez odbioru. – Nie zdejmując dłoni z ramienia Łukina, odwrócił się do niego i wyjaśnił: – Sytuacja wygląda następująco. Kiedy zaczęliśmy przegrupowanie i ruszyliśmy kursem na tamto pasmo, nasłuchowcy wychwycili impulsy szyfrowanych meldunków, które, ich zdaniem, były ściśle powiązane z naszymi manewrami. To może oznaczać, że Amerykanie nas obserwują i są gdzieś w pobliżu, dlatego też i my powinniśmy ich wkrótce namierzyć. Chcę sprawdzić, czy rzeczywiście istnieje związek między manewrami śmigłowców a ich łącznością, przez szybkie wykonanie dwóch zwrotów o sto osiemdziesiąt stopni. Jeżeli znów każdej zmianie naszego kursu będą towarzyszyły impulsy ich łączności, zyskamy pewność, że mają w tej okolicy stanowisko obserwacyjne, a meldunki radiowe dotyczą właśnie nas. Rozumiecie?

– Ale w ten sposób stracimy tylko czas – burknął Łukin. – Zresztą nie wiem, co moglibyśmy przez to zyskać.

I słusznie, kapitanie, pomyślał Klimienko. Ciągnął jednak łagodnym tonem:

– Stracimy najwyżej dwie minuty, zyskamy za to pewność, że nasi przyjaciele rzeczywiście są w sektorze ósmym i że faktycznie warto wysadzić na szczycie oddział zwiadowczy.

Łukin z ociąganiem przytaknął ruchem głowy i zaczął pospiesznie wydawać przez radio rozkazy.

Rogow, pilotujący maszynę Iljicz Jeden, zmarszczył brwi. Co ten Łukin wyprawia, do cholery? – przemknęło mu przez myśl.

Na wschód od posterunku Brandy, 22.28

Kiedy J. D. zauważył, iż lecące w jego stronę śmigłowce niespodziewanie łamią szyk i zawracają, poczuł ogarniającą go ulgę.

– Szefie, chyba dopisało nam szczęście – zameldował przez radio. – Nasi czterej przyjaciele właśnie zawrócili i wracają na posterunek nad rzeką.

– Obserwuj uważnie, J. D. Jeśli znów zawrócą w twoją stronę, będzie to oznaczało, że bawią się z nami w kotka i myszkę. Daj mi natychmiast znać, gdyby tak się stało. Mam coraz większe obawy, że łączność radiowa sprawi nam więcej kłopotów, niż sądziliśmy.

– Szefie! Właśnie zawracają po raz drugi! Lecą prosto na nas!

– Ukryjcie się gdzieś! Za głazami lub w jakichś szczelinach! Nie chciałbym, żeby od razu trafili na nasze lądowisko!

– Przyjąłem.

J. D. błyskawicznie pociągnął Wali Khana w labirynt wielkich głazów, wśród których Chłopak oczekiwał ich przybycia. Tymczasem Dangerfield wyprowadził pumę spod nawisu skalnego i zaczął ją powoli wznosić ku szczytowi, kontrolując jednocześnie wszystkie systemy uzbrojenia. Był gotów do podjęcia walki.

Posterunek Brandy, 22.29

Klimienko zsunął hełmofon na tył głowy i włożył gogle noktowizyjne. Łukin zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

– Co pan tam ma, pułkowniku?! – warknął groźnie.

– Amerykański noktowizor typu PAS-7, zdobyty przez Komitet Bezpieczeństwa Państwowego. Daje dwukrotnie wyraźniejszy obraz od naszych.

– Mogę przez niego popatrzeć?

Zanim Anatolij zdążył odpowiedzieć, w słuchawkach rozległ się głos podekscytowanego oficera z platformy obserwacyjnej.

– Patrol Iljicz! Potwierdzam, że impulsy z nadajnika MX-360 są ściśle powiązane z waszymi manewrami! Według ostatnich namiarów, obserwator nadaje z samego środka sektora ósmego! Powodzenia!

Klimienko szybko odsunął drzwi i wychylił się na zewnątrz, żeby lepiej widzieć grzbiet pasma ciągnącego się przez środek sektora ósmego. Na wietrze końce elastycznych pasków mocowania gogli zaczęły chłostać go po twarzy. Natychmiast dostrzegł zielonkawe zarysy ludzi pod szczytem, naliczył pięć osób pospiesznie wdrapujących się na grzbiet. Łukin stanął obok niego i także wyrzwał na zewnątrz.

– Widzicie coś? – zapytał Anatolij.

– Jeszcze nie. A wy?

– Strasznie dużo tu zakłóceń – odparł. – Według mnie, powinniśmy jak najszybciej lądować tam, na szczycie, żeby wysadzić oddział rekonesansowy. Potem skupimy się na centralnej części sektora, tej, którą mamy obecnie na godzinie jedenastej. Iljicz Jeden i Iljicz Dwa sprawdzą jego

lewą część, Iljicz Trzy zostanie w powietrzu na prawym skrzydle i będzie nas osłaniał. Co wy na to, kapitanie?

– Przestańmy wreszcie dyskutować i bierzmy się do roboty!

Łukin pospiesznie wydał rozkazy pilotom pozostałych śmigłowców, po czym nakazał Krasinowi i Klimience sprawdzić broń oraz krótkofalówki. Znajdowali się niespełna kilometr od szczytu i szybko się do niego zbliżali, kiedy Łukin zauważył wspinających się po zboczu ludzi.

Godzina 22.30

Inżynier Jussuf i trzech jego bojownicy z rannym Musawwirem na ramionach dotarli wreszcie na skraj stromizny i wyłonili się spomiędzy głazów, kiedy niespodziewanie tuż nad ich głowami przeleciała ostrzegawcza seria pocisków smugowych z pokładu helikoptera. Niemal równocześnie teren wokół nich zalało jaskrawe światło reflektora. Zatrzymali się oślepieni. Z głośnika śmigłowca popłynął ryk ostrzeżenia, niezbyt wyraźnie powtarzanego w językach dari i pusztu.

– Stać! Ręce do góry! Widzimy was! Stać! Ręce do góry!

Jussuf stał jak sparaliżowany. Nie mógł zrobić nawet jednego kroku. Gapił się tylko na sowiecki śmigłowiec, wiszący dwadzieścia metrów od niego. Poza kręgiem światła J. D. przywarł brzuchem do głazu, a Wali Khan natychmiast poszedł w jego ślady. Sawyer od razu zdał sobie sprawę, że nakaz podniesienia rąk do góry ma odegrać rolę czynnika psychologicznego i zmusić do wyjścia innych ludzi.

– Szeffie! Żądają, byśmy się poddali! Chcę wysłać Wali Khana na otwartą przestrzeń, żeby zyskać trochę czasu. Pozostałe helikoptery trzymają się w pewnej odległości, ale są w zasięgu rażenia. Pokażcie się i spróbujcie je odstraszyć. – Wyłączył krótkofalówkę i rzekł do Wali Khana: – Wyjdź z rękoma uniesionymi nad głowę i przekaz Jussufowi, żeby zrobił to samo. A kiedy puma wyłoni się zza krawędzi grani, padnijcie wszyscy na ziemię. Ruszaj.

Afgańczyk nie zaprotestował. Wyłonił się zza głazu i zawołał do Jussufa:

– Zróbcie to samo! Jak zaczniesz się strzelanina, padnijcie na ziemię! Patrzcie na mnie, a nie na reflektor! Róbcie to, co ja!

Łukin wrzasnął do mikrofonu:

– Iljicz Jeden, Dwa i Trzy! Podejdźcie bliżej i wysadźcie desant! Oslaniajcie nas! Według jego wskazówek pilot zaczął przesuwając maszynę bliżej spłaszczonego wierzchołka góry. Łukin rozkazał przez interfon:

– Skaczemy! Wy, pułkowniku, pierwsi! Potem Sasza, ja za nim! Drużyna, zostać na pokładzie!

Klimienko zachwiał się przy zderzeniu z ziemią, ale szybko odzyskał równowagę. Kątem oka zauważył, że Krasin ląduje obok niego. Zadarł głowę i popatrzył na Łukina stojącego w otwartych drzwiach. W tej samej chwili zza krawędzi urwiska wyłoniła się czarna puma. Odległość między śmigłowcami wynosiła około dwudziestu metrów. Nim zdążyli się przyjrzeć intruzowi, oślepił ich snop światła reflektora. Zagrzechotał karabin maszynowy, działko pokładowe plunęło ogniem.

Seria pocisków kalibru 12,7 milimetra przecięła niemal całą długość kadłuba Mi-24. Rozsypała się pleksiglasowa osłona, pilot osunął się w fotelu. Pozbawiony sterowania helikopter bardzo wolno, jak na zwolnionym filmie, zaczął kłaść się na bok i odpływać łukiem poza przeciwną krawędź grzbietu. Ale strzelec pokładowy zdążył wymierzyć karabin maszynowy w pumę i posłać długą serię, zanim jego cel nie zniknął pod brzuchem obracającego się śmigłowca. Pociski trafiły w boczne poszycie dziobu. Strzaskały owiewkę i odbiły się od pancerza. Z tablicy przyrządów strzeliły snopy iskier.

– Nic ci nie jest, Jim?! – krzyknął Aleksander.

– Chyba znów mi odstrzelili tę samą nogę! Drugi raz!

Dangerfield przełączył stery na drugiego pilota, podniósł lewą nogę, popatrzył na grube drzazgi sterujące zza strzępów nogawki, po czym sprawdził, czy kikutem w błyszczącym czarnym bucie da radę naciskać pedały. Proteza jednak trzymała się mocno. Szybko przełączył stery z powrotem, umożliwiając Fanninowi skoncentrowanie się na systemach uzbrojenia.

Tuż po otwarciu ognia Aleksander zauważył, że stojący w otwartych drzwiach sowiecki kapitan, trafiony w pierś pociskiem dużego kalibru, poleciał w głąb maszyny, jeszcze zanim ta zaczęła się obracać i spadać za krawędź grzbietu. Chwilę później rotor zahaczył o głaz i rozsypał się na setki kawałków, a Mi-24 runął w dół jak kamień i roztrzaskał się na zboczu kilkaset metrów niżej. W niebo strzelił słup ognia i dymu.

Tymczasem Dangerfield zaczął obracać pumę dziobem w stronę pozostałych maszyn radzieckiego patrolu. W wyraźnym pośpiechu odpalił naraz obie rakiety AA-8 ku szarżującym na

nich helikopterom, a następnie, jakby dla pewności czy też w celu odstraszenia napastników, dał istną salwę z pocisków przeciwpancernych.

Dopisało mu szczęście. Jedna z samonaprowadzających rakiet obrała sobie za cel wylot gorących gazów spalinowych śmigłowca Iljicz Trzy, który eksplodował w powietrzu. Dwa pozostałe natychmiast wykonały uniki, przeszły w lot nurkujący i zniknęły za krawędzią pasma.

Sasza dostał serią z karabinu maszynowego, nim jeszcze zdążył stanąć pewnie na nogach po zeskoku. W ostatniej chwili przed utratą przytomności niemal odruchowo wystrzelił cały magazynek w kierunku leżących płasko na skale Afgańczyków.

Natomiast Klimienko, oślepiony jaskrawym światłem reflektora, nie zdążył się zorientować w sytuacji, gdy uderzenie kolbą kałasznikowa powaliło go bez czucia na ziemię. Stojący nad nim J. D. rozejrzał się dookoła. Najpierw zerknął na stróżkę krwi wyciekającą spod leżącego bez ruchu Krasina, potem się pochylił i zajrzał w twarz Klimience.

– Szefie – zameldował przez radio. – To ten sam pułkownik, którego przywiozłeś na spotkanie z Orłowem nad rzeką. Aż nie chce mi się wierzyć!

– Jesteś tego pewien, J. D.?

– Absolutnie, to ten sam facet. Drugi oberwał, silnie krwawi. Biegnę zobaczyć, co z Musawwirem.

Fannin usiłował zebrać myśli, gdy Dangerfield oznajmił:

– Mamy najwyżej półtorej minuty do czasu, aż tamte dwie załogi odzyskają zimną krew i rzucą się na nas. Nie damy im rady. Przede wszystkim nie za bardzo jest już czym strzelać. Niepotrzebnie odpaliłem naraz wszystkie rakiety. Lepiej weź się w garść i zacznij wydawać rozkazy, bo będę musiał przejąć dowodzenie.

– J. D.! Sprawdź, czy któryś z Sowietów ma przy sobie krótkofalówkę! Powinni ją mieć.

– Zrozumiałem, szefie, ale tu sytuacja jest gorsza, niż myślałem. Wali Khan i jeden z mudzahedinów nie żyją, a Musawwir dostał jeszcze co najmniej jedną kulą. Nie wygląda najlepiej. – Głos w słuchawkach się rwał, ponieważ Sawyer meldował w biegu. – Jestem już przy pułkowniku... Tak, ma radio. Ten drugi też. Oho, wykrwawia się chyba na śmierć. Zdaje się, że dostał w tętnicę udową. W słuchawkach krótkofalówek słychać jakieś gorączkowe nawoływania!

Aleksander dostrzegł, że dwa pozostałe Mi-24 wyskakują ponad szczyt pasma w bezpiecznej

odległości od nich. Wrzasnął do Dangerfielda:

– Posadź maszynę!

Nie czekając, zeskoczył na ziemię i pognął susami do Sawyera stojącego nad ogłuszonym Klimienką. Wyszarpnął miniaturową słuchawkę z ucha Anatolija, podniósł mikrofon, włączył nadawanie i rzucił po rosyjsku:

– Mówię do pilotów dwóch radzieckich śmigłowców zbliżających się do miejsca katastrofy! Zostańcie w oddali i nie otwierajcie ognia! Powtarzam, zostańcie w oddali i nie otwierajcie ognia! Mamy waszych oficerów i nie zawahamy się ich rozstrzelać, gdybyście zechcieli kontynuować atak! Jeśli mnie zrozumieliście, zapalcie na krótko szperacze! No już! Czekam!

Porucznik Rogow błyskawicznie postanowił przejąć dowodzenie.

– Mrugnąć reflektorami i pozostać na miejscu! Kurwa! Ale się zrobił burdel! Aleksander uśmiechnął się blado, dostrzegłszy mrugnięcie reflektorów obu maszyn. Śmigłowce posłusznie wyhamowały i zawisły nieruchomo nad grzbietem. Dopiero teraz pochylił się, odpiął krótkofalówkę od uprząży Klimienki i ruszając w stronę J. D. oraz Doca, klęczących obok rannego Musawwira, ponownie uniósł mikrofon do ust.

– Pozostańcie w odległości kilometra od szczytu góry. Chciałbym, aby rozmawiał ze mną tylko jeden oficer, reszta niech czeka na nasłuchu. Życie waszych dowódców zależy wyłącznie od tego, czy będziecie ściśle wykonywali moje polecenia.

– Zgoda, będziemy wykonywali polecenia – warknął w odpowiedzi Rogow.

Doc uniósł głowę.

– Musimy go jak najszybciej stąd zabrać. Dostał co najmniej jeden nowy postrzał w pierś, nawet trudno mi ocenić, w jakim stanie są jego wcześniejsze rany. Tamci dwaj zginęli na miejscu, nic już nie możemy dla nich zrobić.

– Ładujcie się wszyscy na pokład J. D., tych dwóch Rosjan także zabierzcie do pumy. Będą naszym biletem na drogę powrotną.

Włączył radio i oznajmił:

– Zabieramy waszych dowódców ze sobą. Wy macie pozostać na miejscu. Powtarzam: nie wolno wam lecieć za nami. Jeśli nie wykonacie tego rozkazu, wyrzucimy obu oficerów z helikoptera. Zrozumiano?

– Tak, zrozumiałem – odparł Rogow.

Ogarnięty poczuciem beznadziejności spoglądał, jak minutę później puma wzbija się

w powietrze i szybko znika za krawędzią pasma. W żaden sposób nie mogłem temu zaradzić, powtarzał w myślach. Dlaczego Łukin aż tak spieprzył proste zadanie?

Kiedy przeładowany ponad miarę śmigłowiec zsunął się wzdłuż zbocza nad dno doliny i wyrównał lot, Doc pospiesznie przystąpił do oględzin Musawwira. Klimienko zaczął odzyskiwać przytomność, gdy wnosili go na pokład, więc dał mu zimny kompres i polecił zaciskać opaskę na udzie Krasina do czasu, aż będzie mógł się nim zająć. Spoglądając posępnie na strużkę krwi przyjaciela, ściekającą po stalowej podłodze helikoptera, Anatolij pomyślał, że z Saszy błyskawicznie ucieka życie. Jego twarz stała się popielatoszara. Przerażony Klimienko krzyknął po angielsku:

– Na miłość boską, on się wykrwawi na śmierć! Zróbcie coś, skoro traktujecie nas jak jeńców!

Doc odwrócił się od Musawwira, obejrzał ściśnięte paskiem udo Krasina i rzucił ostro:

– Pomóż mi ściągnąć z niego spodnie! Szybko!

Po chwili ich oczom ukazała się wielka rana. Pocisk z karabinu maszynowego, a może nawet z działka pokładowego, głęboko rozciął udo Saszy tuż poniżej pachwiny, rozrywając nie tylko tętnicę, ale i główną żyłę. Doc poluzował pasek i zaciskając palcami obie arterie, kazał Klimience przysunąć bliżej dużą torbę z narzędziami. Wolną ręką wymacał na dnie sterylne zaciski hemostatyczne, wyciągnął trzy z nich i polecił:

– Rozpakuj je natychmiast. Twój przyjaciel rzeczywiście kona. – Następnie zwrócił się do Aleksandra: – Weź przenośny reflektor i oświetl ranę.

Zaczął delikatnie rozchyłać jej brzegi, aż odnalazł końce rozerwanej, broczącej krwią tętnicy. Naciął nieco tkanki, szybko zetknął je ze sobą i zakleszczył na nich zacisk. Po chwili uczynił to samo z grubą żyłą. Krwawienie prawie całkowicie ustało. Doc wprawnie przycisnął bandażem uchwyty obu instrumentów do nogi, by nawet przypadkowo nie zostały zdjęte, po czym spryskał rozcięcie antybiotykiem w aerozolu i założył gruby opatrunek. Puls Krasina był ledwie wyczuwalny.

– Ten człowiek musi w ciągu godziny znaleźć się w szpitalu, inaczej umrze – powiedział. – W najlepszym razie straci nogę, jeśli arterie nie zostaną zeszyte.

Klimienko popatrzył na Aleksandra i sięgnął dłonią do czoła, jakby dopiero teraz ze zdziwieniem odkrył obrzmiałego guza nad lewą brwią. Fannin spojrzał mu prosto w oczy i prawie bezgłośnie zapytał po ukraińsku:

– Chcesz ze mną lecieć do Pakistanu? Anatolij energicznie pokręcił głową.

Po wysłuchaniu ostatnich instrukcji Amerykanów. Rogow jeszcze przez jakiś czas siedział w milczeniu, wreszcie rozkazał pilotowi włączyć światła lądowania i zgodnie z poleceniami skierować się na południowy wschód z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Pilotowi drugiego śmigłowca nakazał powrót na posterunek Brandy, a następnie przelot do Dżalalabadu.

Po dwudziestu minutach lotu w słuchawkach ponownie rozległ się głos Amerykanina mówiącego po rosyjsku:

– Skręćcie teraz na południe i lećcie jeszcze pięć minut z tą samą prędkością. Kiedy zobaczycie zieloną racę na ziemi, możecie wylądować i zabrać swoich oficerów.

Rzeczywiście pięć minut później zauważyli na dnie doliny zieloną racę. W świetle reflektora ukazał się czekający dwieście metrów dalej Klimienko. Rogow kazał pilotowi wylądować. Krasin leżał nieopodal, opatulony kocem i zawinięty w czarny stylonowy śpiwór.

– Rogow, pomóż mi go wnieść na pokład! Liczy się każda sekunda!

Lotnisko w Peszawarze, 23.55

Kiedy śmigłowiec zaczął podchodzić do lądowania, Aleksander zwrócił uwagę, że hangar CIA jest jasno oświetlony. Przed nim stał wojskowy ambulans. Zawołał radośnie przez interfon:

– Doc, mamy już ambulans. Jak on się trzyma?

– Doc już od pięciu minut próbuje go reanimować, szefie – odparł J. D. – ale bez rezultatu. Bardzo mi przykro. Musawwir nie żyje.

Rozdział 27

Lotnisko w Dżalalabadzie, 1 października, 9.00

Następnego ranka Klimienko odwiedził Krasina w prowizorycznym punkcie opatrunkowym koszar przy lotnisku w Dżalalabadzie. Z kroplówki do żyły Saszy skapywała jakaś bezbarwna ciecz, lekarz zakładał właśnie świeży opatrunek na ranę. Po chwili, podciągając białe prześcieradło aż pod szyję leżącego, rzekł:

– Major miał więcej szczęścia niż setki rannych młodych ludzi, których tu opatrywałem, towarzyszu pułkowniku. Ten, kto udzielił pierwszej pomocy, uratował mu życie. Major wykrwawiłby się na śmierć, gdyby nie zaciski na rozerwanych arteriach... No i te antybiotyki... – urwał i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Widocznie lekarz dukhisów musiał studiować w Związku Radzieckim, dopiero później zmienił poglądy i dołączył do rebeliantów, towarzyszu doktorze – odparł Anatolij z teatralną powagą w głosie. – Poza tym Saszy zawsze dopisywało szczęście. – Położywszy dłoń na ramieniu lekarza, dodał: – Czy mógłbym na parę minut pozostać z nim sam na sam, towarzyszu doktorze? Chodzi o bardzo ważne sprawy Komitetu.

Tamten wyrozumiale pokiwał głową i powłócząc nogami, wyszedł z pokoju. Klimienko pochylił się i szepnął Krasinowi do ucha:

– Słyszysz mnie, przyjacielu?

Sasza otworzył oczy, popatrzył na niego i zamrugał parę razy.

– No to słuchaj uważnie. Gdyby ktokolwiek cię pytał o wydarzenia z ostatniej nocy, odpowiadaj, że my tylko przekazywaliśmy meldunki z latającej platformy obserwacyjnej Łukinowi, który koniecznie chciał precyzyjnie ustalić miejsce, skąd pochodziły transmisje amerykańskich służb specjalnych. Natomiast wszystkie rozkazy podczas akcji wydawał Łukin. Rozumiesz, przyjacielu?

Krasin spojrzał na niego spod oka.

– Łukin dostał?

– Tylko my dwaj zdążyliśmy zeskoczyć na ziemię. Reszta została w śmigłowcu, który rozbił się na zboczu.

– Zgadzam się. Łukin musiał źle ocenić sytuację.

– No właśnie, Sasza. Więc gdyby ktokolwiek pytał... naprawdę ktokolwiek, pamiętaj, że akcją kierował Łukin, my tylko koordynowaliśmy łączność. Nie przeżył nikt, kto mógłby to zakwestionować.

– Duszmani nawiali?

– Tak, wszyscy. Puściłeś serię w ich kierunku, zanim zwałeś się na ziemię, i wygląda na to, że trafiłeś tego olbrzyma. W sztabie czterdziestej armii już okrzyknięto cię bohaterem, który własnoręcznie pomścił śmierć ukochanego Borysa Siemionowicza.

Sasza uśmiechnął się boleśnie.

– A jak ty się miewasz, drogi pułkowniku.

– Nic mi nie jest. Straciliśmy jeszcze jeden śmigłowiec pełen chłopców ze specnazu, ale Rogow zdążył na czas, zabrał cię na pokład i dostarczył do Dżalalabadu. Teraz zostawię cię samego. Titow przysłał po mnie samolot kurierski, żebym jak najszybciej złożył mu raport. Na pewno rozumiesz wszystko, co wydarzyło się wczoraj w nocy?

Sasza ledwie zauważalnie skinął głową i zamknął oczy.

– Nie wiem, jak do tego doszło – szepnął – ale biedny Łukin spieprzył całą akcję.

Czołg z Żołnierzami, 7 października, 7.30

Twórcę pochowano na niewielkim cmentarzu w Ponderosie. W czterech rogach grobu stanęły długie tyczki z zielono-czarnymi proporcami, oznaczającymi miejsce wiecznego spoczynku Boskiego Wojownika. Kolor zielony symbolizował Partię Oporu, do której należał Musawwir, natomiast czarny reprezentował Bitewne Zastępy Proroka.

Wiść o jego śmierci lotem błyskawicy rozeszła się po wschodnich prowincjach Afganistanu i od razu inni bojownicy zaczęli nosić wszyte w ubrania trójkątne amulety z koranicznym imieniem Twórcy, co miało im przynieść odwagę w walce. Wiele kobiet odwiedzających miejsce jego spoczynku zabierało ze sobą odrobinę ziemi z grobu; dodawana w niewielkich porcjach do pożywienia ciężarnych miała zapewnić, że urodzą one synów równie bohaterskich jak Musawwir. W ciągu sześciu dni od pogrzebu spośród setki chłopców, którzy przyszli na świat w obozach uchodźców w przygranicznych rejonach Pakistanu, ponad pięćdziesięciu otrzymało imię Musawwira.

Aleksander wyjaśnił Chłopakowi, że na pewno zestrzelił samolot dowodzenia, uczestniczący

wcześniej w kierowaniu atakami powietrznymi na Żawar Kheli, podczas których zginął jego ojciec, i że na jego pokładzie znajdował się generał Polakow. Chłopak pojął w lot, że zabijając dowódcę sowieckiej armii, pomścił jednocześnie swego ojca, odparł jednak z pełną powagą, że wszyscy mudżahedini zdążyliby się zestarzeć i umrzeć, zanim rachunki krzywd zostałyby wyrównane.

Muħła Salang, który natychmiast przejął Chłopaka pod swoją opiekę, oświadczył uroczyście, że nie przystoi tak znamienitemu mudżahedinowi obywać się bez stosownego dla dżihadu imienia. Po krótkich naradach dzielny młodzieniec zyskał przydomek Al-Muntaqim, czyli Mściciel.

Tak więc całkowicie potwierdziły się przewidywania Fannina co do efektów, jakie przyniesie dla dżihadu ryzykowna wyprawa ratunkowa. Coraz mniej był jednak pewien rezonansu, jaki wywoła ona po stronie radzieckiej czterdziestej armii. Martwił go szczególnie los Anatolija, który równie dobrze mógł za swoją akcję zarobić kolejny Order Czerwonego Sztandaru, jak też zostać co najmniej zdegradowany.

Obawy nie opuściły go do tego dnia, kiedy siedział już przy Czołgu z Żołnierzami i słuchał w napięciu przybliżającego się warkotu sowieckiego łażnika. Kilka dni wcześniej otrzymał lakoniczną depeszę:

Proszę o przybycie wysłanników na miejsce zwane Czołgiem z Żołnierzami 7października o godzinie 9.00 w celu dokonania ostatecznych ustaleń w sprawie wymiany jeńców.

Major A. Bielow

Klimienko z kamienną twarzą usiadł przy stole naprzeciwko Aleksandra. Nad lewą brwią miał wielkiego ciemniejącego guza po uderzeniu przez J. D. kolbą kałasznikowa. Wręczył Fanninowi wielką wypchaną kopertę.

– Oto nasza ostateczna lista jeńców. Wewnątrz znajdują się akta trzydziestu siedmiu zatrzymanych, których zdołaliśmy zidentyfikować, a których nazwiska figurowały w waszym pierwotnym spisie. Czterech z nich prawdopodobnie nie przeżyje transportu na przełęcz Torkham, choć mogę zapewnić, że uczynimy wszystko, by utrzymać ich przy życiu do chwili wymiany. Niewielkie są szanse na to, aby udało się jeszcze zidentyfikować inne osoby. Pozostałe dokumenty w kopercie to kopie aktów zgonu tych Afgańczyków, którzy znaleźli się na waszej

liście, lecz wcześniej zginęli.

– Nie mam powodów, aby wątpić w pańską szczerłość, pułkowniku. Jak uzgodniliśmy w trakcie naszego poprzedniego spotkania, na tym etapie negocjacji nie ma już miejsca na jakiegokolwiek machinacje którejs z stron.

– Czy mogę więc uznać, że przygotowany przez nas spis jest ostateczny?

– Muszę go jeszcze pokazać moim kolegom do weryfikacji, sądzę jednak, iż możemy wstępnie uznać, że pańskie zadanie zostało pomyślnie zakończone.

Fannin wstał od stołu i podszedł do landcruisera, w którym czekali J. D. i Doc. Przekazał papiery Sawyerowi i rzekł:

– Przejrzyj tę listę. Moim zdaniem, to ostatecznie zamyka negocjacje, lecz wolałbym jeszcze usłyszeć twoje zdanie.

Wrócił do namiotu i oznajmił głośno:

– Zakładam, pułkowniku, że nadal jest pan zainteresowany jeszcze jednym spotkaniem z porucznikiem Orłowem. Wszystko jest już do tego przygotowane.

– Nie tylko jestem zainteresowany, lecz nalegam na to spotkanie – odparł Anatolij na tyle głośno, by słyszeli go Amerykanie, siedzący w samochodzie. – Poza tym muszę wypełniać rozkazy przełożonych. Dzisiaj jest ku temu ostatnia okazja, skoro mamy uznać negocjacje za zakończone.

– Dziś będziemy musieli odbyć nieco dłuższą podróż do miejsca przetrzymywania porucznika Orłowa. Proszę poinstruować swoich podwładnych, że potrwa to kilka godzin, lecz zostanie pan odstawiony na miejsce nie później niż o dwudziestej drugiej.

– W takim razie szybko się przebiorę. Podejrzewam, że i dzisiaj założycie mi przepaskę na oczy?

– To oczywiste.

Klimienko odszedł do swego *lazika*, gdzie przebierając się w cywilne ubranie, przekazywał jednocześnie rozkazy Bielowowi i Panowowi. Tymczasem Aleksander zapytał J. D., pochylonego nad rosyjskimi dokumentami:

– Znalazłeś coś podejrzanego w tych papierach?

– Jak dotąd nie. Wygląda na to, szefie, że odwalili kawał dobrej roboty. I ja nie sądzę, by udało się jeszcze zidentyfikować kogoś z naszej pierwotnej listy.

– Dobra. Przekaż te papiery Inżynierowi Mahmunowi z Ponderosy, teraz on przejmie

całkowitą odpowiedzialność za wymianę jeńców. A potem wracaj tu szybko i zabawiaj naszych gości do czasu mojego powrotu.

– Dokąd się wybieracie, do diabła? Do miejsca spotkania z Orłowem wcale nie jest tak daleko.

– Chcę przewieźć pułkownika okrężną trasą. Z zawiązanymi oczyma nawet się nie połapie.

– Możesz zdjąć opaskę – rzekł znad kierownicy, kiedy ludzie pozostawieni przy Czołgu z Żołnierzami zniknęli im z oczu. – Co z Krasinem?

– Przeżyje. Lekarz z Dżalalabadu do dzisiaj opowiada o genialnym doktorze dukhisów, który tak wspaniale opatrzył ranę, że nie tylko uratował mu życie, lecz także i nogę. Narobił nawet szumu na temat wyposażenia naszych zestawów pierwszej pomocy. Twierdzi, że gdyby nie zastosowany antybiotyk, Sasza walczyłby dziś z poważną infekcją. Jego zdaniem, my w ogóle nie dysponujemy podobnymi lekami.

– Cieszę się, że Krasin z tego wyjdzie.

– Słyszeliśmy o śmierci Musawwira. Już następnego ranka cały Peszawar huczał od plotek. Tak więc, koniec końców, Musawwir wyrządził mi olbrzymią przysługę swoją śmiercią, bo w ten sposób nasza nieudana akcja przerodziła się w spektakularny sukces. Pomściliśmy śmierć Polakowa. Na swój sposób wcieliśmy w życie prawo patańskie.

– Dlaczego w ogóle zaangażowałeś się osobiście w tę operację?

Klimienko popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

– Dlaczego ty się zaangażowałeś osobiście? Po co, do cholery, podejmowałeś tak ogromne ryzyko, by wyciągnąć z oparów dwóch mało znaczących dukhisów? I w jakim celu rozpowszechniłeś wieści po całym Kabulu? Żeby każdy, nawet średnio rozgarnięty, mógł natychmiast domyślić się prawdy?

– Nie odpowiedziałeś mi, dlaczego osobiście razem z Krasinem wziąłeś udział w tej akcji. Nie przyszło ci do głowy, że to nazbyt dramatyczne posunięcie, jak na dwóch sztabowców?

– Doszliśmy wspólnie do wniosku, że musimy się zatroszczyć o fiasko operacji sił specjalnych czterdziestej armii. Wszystkim strasznie zależało na schwytaniu Musawwira i jego bojowników. Więc chyba nie muszę ci tłumaczyć powodów, dla których nie mogliśmy do tego dopuścić.

– Czy to dzięki wam śmigłowce się rozproszyły i nie przystąpiły od razu do frontального

ataku?

– Owszem. Na szczęście wszyscy, którzy mogliby coś podejrzewać, zginęli.

– W takim razie powinienem ci chyba podziękować.

– Nie musisz. Kiedy tylko zauważył was dowódca specnazu, przysły szansę umożliwienia wam bezpiecznej ucieczki. Nie zostało nam z Saszanic innego, jak wystrzelać wszystkich na szczycie góry. Gdybyś znajdował się wtedy na ziemi, mógłbyś oberwać. Tylko nieoczekiwane pojawienie się pumy zmieniło sytuację.

– Jak to zostało przyjęte w Kabulu?

– Lepiej niż się spodziewałem. Generał Titow, który tymczasowo objął dowództwo armii po Polakowie, mógł ocenić naszą operację tylko na dwa sposoby: albo uznać ją za błyskotliwy sukces, albo za całkowitą klęskę. A ponieważ osobiście wydał rozkaz jej przeprowadzenia, zdecydowanie wolał pierwsze rozwiązanie. To był twój pomysł, żeby tak szybko rozpuścić wieści o śmierci Musawwira?

– Tak, chociaż muszę przyznać, że efekty przerosły nawet moje wyobrażenia.

– Podobnie jak moja akcja wymierzona w kryminalistów, zabójców generała Polakowa. Jeszcze zanim następnego ranka dotarłem do Kabulu, nikt już nie mówił o niczym innym, tylko o genialnie zaplanowanej operacji. Nasze błyskawiczne działania pozwoliły pomścić śmierć nieodżałowanego dowódcy armii i jednocześnie zlikwidować słynnego przywódcę rebeliantów. Szybko zapomniano, że sami ponieśliśmy przy tym dość znaczne straty.

Aleksander w zamyśleniu pokiwał głową.

– Tak, to prawda.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, wreszcie Anatolij dodał:

– W każdym razie obaj z Krasinem zyskaliśmy w Titowie wpływowego protektora. Generał już zapowiedział, że chce mnie przenieść do swego sztabu, gdy tylko zakończę negocjacje w sprawie Orłowa.

W zimnym, wykutym w skałach gabinecie panował półmrok. Fannin wskazał Klimience krzesło i wyjął z lodówki dwie puszki perriera.

Anatolij nie usiadł jednak, stanął przed regałem i zaczął odczytywać tytuły zgromadzonych tam książek.

– Wiesz co, Aleksandrze? To pomieszczenie dużo o tobie mówi.

– A co ci mówi?

– Że jesteś niepoprawnym romantykiem, który może stać się niebezpieczny dla siebie i innych, jeśli w porę się nie opamięta bądź nie trafi w życiu na kogoś, kto będzie go temperował.

– A ty, Anatoliju Wiktorowiczu? Nie jesteś takim samym niepoprawnym romantykiem?

– U nas marzenia zostały zrationalizowane siedemdziesiąt lat temu, dlatego utrzymuję swoje w najściślejszej tajemnicy.

– Ale pomagasz matce dopisywać kolejne rozdziały baśni?

– Nie sądziłem, że się tego domyślisz.

Aleksander zdjął z górnej półki cienką, oprawioną w skórę kopię *Baśni o dwóch kijowskich pannach*, otworzył ją w założonym miejscu i podał Klimience.

– Od tego rozdziału pojawiają się wykonane przez ciebie wpisy. Anatolij przebiegł wzrokiem stronę i odparł:

– Zgadza się. Prawie całą tę część napisałem sam. To ja wymyśliłem, aby syn jednej z sióstr zainicjował spisek na dworze złego księcia. Musisz jednak wiedzieć, że jest to efekt wielu dyskusji, jakie prowadziłem z rodzicami. W rzeczywistości nigdy się nie angażowałem w żadne awantury.

– Czyżby? Więc co robiłeś w górach tydzień temu? Z mojego punktu widzenia obaj w podobnym stopniu tkwimy w tym po uszy. Ale nie mnie pytaj o wyjaśnienia. Chciałbym, żebyś wcześniej porozmawiał z kimś innym.

Aleksander odsunął zasłonkę obok regału z książkami, ukazując przejście prowadzące spiralnymi schodkami na górę, po czym zniknął w nim na krótko. Kiedy wrócił, zaskoczony Klimienko popatrzył na niego z niedowierzaniem. Nerwowo przestąpił z nogi na nogę i mruknął:

– Aleksandrze, jeśli po kryjomu zorganizowałeś mi spotkanie z jakimś parszywym werbownikiem CIA, to czuję się zawiedziony. Oceniałem cię znacznie wyżej. Czyżbyś w dodatku okazał się aż tak naiwny?

Ale Fannin tylko się uśmiechnął. Zakłopotanie gościa wyraźnie sprawiało mu satysfakcję.

Rozdział 28

Ermitaż, 7 października, 10.30

Za jego plecami niespodziewanie rozległ się kobiecy głos:

– Aleksander nie jest naiwny, Tola, choć rzeczywiście przygotował dla ciebie niespodziankę.

Klimienko odwrócił się na pięcie i w osłupieniu popatrzył na piękną kobietę, ubraną w biały afgański chałat. Uderzyło go, że jej oczy mają dokładnie ten sam kolor, co oczy jego matki. Przez chwilę miał wrażenie, że patrzy na jej zdjęcie z lat młodości. Zaraz jednak dostrzegł inne szczegóły wyglądu, które na co dzień widywał także w lustrze, i błyskawicznie domyślił się prawdy.

– Katerino Martynowa, pozwól, że ci przedstawię nadzwyczaj interesującego Anatolija Wiktorowicza Klimienkę.

Tych dwoje jednak spoglądało na siebie w milczeniu jeszcze przez dobrych kilkanaście sekund, wreszcie Katerina zarzuciła bratu ręce na szyję i serdecznie ucałowała go w oba policzki. Dopiero wtedy odsunęła się o krok.

– Jesteś bardzo podobna do mojej matki – rzekł niemal szeptem.

– A ty do mojej – odparła równie cicho.

Anatolij wyciągnął ręce, ujął ją za dłonie i powiedział:

– Musisz mi opowiedzieć o Larze.

– Dobrze. A później ty opowiesz mi o Katerinie.

Kiedy po trzech kwadransach Fannin wrócił z centrum łączności, Anatolij i Katerina wciąż byli pogrążeni w rozmowie.

– Przykro mi, ale muszę wam przerwać – rzekł, przysuwając sobie krzesło i siadając naprzeciwko Klimienki. Żadne z nich nie odpowiedziało. – Zaczniemy od tego, że to sprawa wyłącznie rodzinna. Nikt obcy ani nie jest, ani nigdy nie będzie w nią zaangażowany.

– Wierzę. Niepokoi mnie tylko, że masz brzydki zwyczaj obracania wszystkiego w dziwnie teatralne niespodzianki. Wolałbym, abyś nie upiększał naszych spraw równie dramatycznymi zwrotami.

– Budzi się w nim dusza Rosjanina, Tola. Chyba dobrze wiesz, jak Rosjanie uwielbiają płatać

różne psikusy i stawiać innych w zaskakujących sytuacjach.

Klimienko z uśmiechem przyjął sposób, w jaki Katerina scharakteryzowała swojego męża.

– Owszem, sporo miałem do czynienia z Rosjanami w trakcie służby i muszę przyznać, że jest w tym sporo racji.

– Może jednak oboje zechcielibyście odłożyć swą ukraińską pogardę dla Rosjan na inną okazję. To, o czym chcę porozmawiać, dotyczy w równym stopniu was oboje, mnie, jak też wszystkich naszych najbliższych. Postarajcie się więc nie zwracać uwagi na moją szorstkość.

Klimienko usadowił się wygodniej na krześle.

– Słuchamy.

– Może zacznijmy od ustalenia wspólnego punktu wyjścia – ciągnął Fannin. – Po pierwsze, ustrój państwowy Związku Radzieckiego jest doszczętnie skompromitowany, a w tak zwanych republikach żyje się tylko odrobinę lepiej niż na terenach okupowanych. Po drugie, władze opierają się na trzech głównych filarach, partii komunistycznej, armii oraz KGB. Zgadza się?

Anatolij przytaknął ruchem głowy.

– Mogę tylko dodać, że elity służb bezpieczeństwa już od czasów rewolucji sprawują niepodzielne rządy, lekceważąc wszelkie pozostałe instytucje.

– Obecnie każdy z tych trzech filarów zaczyna wyraźnie słabnąć. Gorbaczow rozpętał prawdziwą burzę na forum partyjnym. Moim zdaniem, zainicjowane przez niego reformy bardzo szybko wymkną się spod kontroli. Gorbaczow zapomniał o podstawowej regule komunistycznej dyktatury: takie molochy jak KPZR są niereformowalne i można je tylko zniszczyć.

Klimienko poruszył się niespokojnie.

– Nie przeczę, że cały system jest skompromitowany, lecz według mnie nie ma jeszcze żadnych dowodów na powstawanie rozdźwięków w łonie samej partii.

Aleksander zamyślił się na chwilę.

– W porządku, ograniczmy się zatem do stwierdzenia, że Gorbaczow próbuje łątać rozpadający się twór, że próbuje wpuścić trochę światła do mrocznego wnętrza, lecz efekty jego działań są w tej chwili trudne do oszacowania. Zgoda?

– Tak już lepiej.

– Najbardziej niebezpiecznym okresem dla każdej nieudolnej władzy jest próba wprowadzenia jakichkolwiek reform – wtrąciła Katerina.

– Czyja to maksyma? Reagana? – spytał ironicznie Anatolij.

– Nie. Alexis de Tocqueville wyraził się w ten sposób o rządach Burbonów w przededniu Rewolucji Francuskiej.

– Przejdźmy zatem do armii – ciągnął Aleksander. – Teraz, po siedmiu latach uwikłania w beznadziejne, nie kończące się walki, zaczyna wreszcie odkrywać, czym jest naprawdę: typową armią Trzeciego Świata, nękaną przez wszelkie możliwe problemy społeczne.

– Naprawdę nie musisz formułować aż tak patetycznych definicji – przerwał mu ostro Klimienko. – W ten sposób zmuszasz mnie do zabierania głosu w sprawach, w których nie ma się o co spierać. Rozkład w armii osiągnął prawdopodobnie o wiele większy stopień, niż możecie podejrzewać. Brakuje nawet podstawowych środków czystości. Tylko w ubiegłym roku piętnaście tysięcy żołnierzy zachorowało na żółtaczkę. Błyskawicznie zużywamy rezerwy przeznaczone na wojnę w Europie, do której dotąd nie doszło, a i tych jest za mało. Zgadzam się z twoją ogólną oceną sytuacji, ale daruj sobie porównania z armiami Trzeciego Świata.

– Ja też nie chcę się spierać, chodziło mi tylko o podkreślenie kłopotliwej sytuacji Armii Radzieckiej. Pozostaje nam więc trzeci filar, KGB, który także zaczyna się sypać. W twojej obecności wolałbym jednak nie przytaczać swojej opinii. Może sam coś powiesz na ten temat.

– Komitet wcale nie tak łatwo zawali się pod własnym ciężarem. Dopóki będzie terroryzował całe radzieckie społeczeństwo, musicie się liczyć z jego potęgą.

– Owszem, ale już we wrześniu mi wspomniałeś, że nawet ty dostrzegasz pierwsze rysy w tej niewzruszonej dotąd betonowej budowli. Wyraziłeś zdziwienie, że nie robimy nic, aby przyspieszyć ten proces. Twoim zdaniem, nawet Rosjanie, nie mówiąc już o Ukraińcach czy innych narodowościach, mają tego dość. Obecnie chciałbym tylko ustalić, na jakim etapie znajduje się proces rozkładu i czego można oczekiwać w najbliższej przyszłości.

– Sądzisz, że potrafię to ocenić? Sam nie mam pojęcia, do czego to doprowadzi. Zresztą czego konkretnie się po mnie spodziewasz? Albo inaczej: co my w ogóle możemy zrobić w tej sprawie.

Aleksander uśmiechnął się wyrozumiale.

– To oczywiście, podjąć wspólne działania zmierzające do wycofania Armii Radzieckiej z Afganistanu. Moim zdaniem, to wykonalne. A kiedy pokonane wojska już wrócą do ojczyzny, samoczynnie zapoczątkowanych zostanie wiele innych procesów. Nie będę już wspominał, że zakończenie tej wojny przede wszystkim zaoszczędzi niepotrzebnych ofiar po obu stronach.

– Jesteś rozbijający. Słuchając ciebie, można by dojść do wniosku, że wszystko jest szalenie

proste. Tylko my dwaj już jutro dokonamy jakiegoś cudu i przeprowadzimy sto tysięcy żołnierzy na drugi brzeg Amu-darii.

– Gdybyś mógł mi udostępnić przynajmniej garść informacji o planach przygotowywanych przez taktyków Gromowa – powiedział z naciskiem Aleksander, pochylając się na krześle – o zamiarach Titowa, o nastrojach w sztabie generalnym czy naciskach ze strony Politbiura na ministra obrony, z pewnością znaleźlibyśmy się znacznie bliżej celu i mogli podjąć konkretne działania.

Klimienko wstał i zaczął nerwowo chodzić z kąta w kąt. Później zatrzymał się przy biurku i popatrzył na czarną lakierowaną szkatułkę z masy papierowej, bardzo podobną do tej, którą jego matka otrzymała potajemnie w paczce od swojej siostry. Wreszcie zwrócił uwagę na stojącą pod ścianą elektryczną maszynę do pisania, wyposażoną w czcionki cyrylicy. Uśmiechnął się i odparł:

– W porządku, przyjmijmy, że to zrobię. Pytanie tylko: jak?

– Znalazłeś już sposób na przekazywanie mi wiadomości z Kabulu, przed kilkoma miesiącami podsunąłem ci szyfrującą krótkofalówkę nastawioną na nasze pasmo łączności. Na pewno przechwytywałeś za jej pomocą meldunki w sprawie Orłowa.

– Oczywiście. Nazwaliśmy ją aparatem łączności Alfa. Nawiasem mówiąc, od początku podejrzewałem, że podstawiliście tego agenta z Kabulu. Jego wpadka była szyta zbyt grubymi nićmi.

– Mam nadzieję, że z nikim się nie podzieliłeś tymi podejrzeniami.

– Tylko Sasza o nich wie, ale już za późno, żeby się nim przejmować.

– Postaram się załatwić ci inne, podobne urządzenie z indywidualnym systemem kodowania, wtedy nikt nie będzie w stanie przechwyć twoich komunikatów.

– Skąd możesz być tego pewien?

– Oho, od razu pomyślałeś, że nikt ci nie udostępni takiego systemu łączności, z którego meldunków sam nie będzie mógł przechwytywać. Masz rację, ale możesz być także pewien, że łączność w tym paśmie będą monitorować wyłącznie ludzie pracujący dla mnie. Jeżeli cokolwiek skłoni mnie do podejrzeń, iż twoje komunikaty trafiają również do kogoś innego, natychmiast przerwę naszą łączność.

– No to dochodzimy do etapu rzeczowej oceny ryzyka – odparł z poważną miną Anatolij. – Łączność radiowa jest do przyjęcia, ale oprócz tego będziemy musieli się od czasu do czasu

spotykać w celu przekazywania materiałów. Nie widzę na to żadnych perspektyw po zakończeniu sprawy Orłowa i moim przejściu do sztabu Titowa. Generał już mi zapowiedział, że co najmniej tydzień każdego miesiąca będę spędzał razem z nim w Moskwie.

– Tydzień każdego miesiąca?

– Nawet o tym nie myśl. Nie zgodzę się na żadne kontakty z waszymi agentami z moskiewskiej placówki.

– Nie to miałem na myśli. Powiedziałem ci przecież, że działamy poza strukturami CIA. Wydaje mi się jednak, że powinniśmy wykorzystać twoje pobyty w stolicy.

– Z tym nie będzie większego kłopotu – wtrąciła Katerina. – Redakcja „Far Eastern Focus” już zdobyła dla mnie akredytację w Moskwie.

– Jak to załatwiłaś?! – spytał osłupiały Fannin.

– No cóż, ja także nie siedziałam z założonymi rękami przed tym spotkaniem. Zdążyłam się przygotować.

– Ryzyko pozostanie, ale mnie się ten pomysł podoba – odparł Anatolij. – Trzeba jedynie dopracować szczegóły. Nadal jednak martwi mnie reakcja wszechobecnego CIA na wprowadzenie przez nas autentycznej kijowskiej panny do walki z siłami złego księcia.

– O co ci chodzi? – Aleksander zmarszczył brwi.

– KGB ma w waszej centrali swojego agenta, kogoś naprawdę wysoko postawionego.

– Jesteś tego pewien?

– Tak. Co prawda, nie mam żadnych dowodów, ale o istnieniu informatora świadczy wiele moich obserwacji. Dlatego uważam, iż należy go brać pod uwagę podczas oceny podejmowanego ryzyka.

– Jakie to obserwacje?

– Otóż na początku tego roku, gdzieś na przełomie stycznia i lutego, po całej Łubiance rozeszły się plotki o aresztowaniu trzech oficerów KGB. Dwoich pracowało za oceanem, trzeci w sekcji kontrwywiadu rejonu moskiewskiego.

– Czy ci zza oceanu nie pracowali czasem w Waszyngtonie? – zapytał Fannin, przypomniawszy sobie swoją ostatnią rozmowę z Caseyem.

– Owszem, chodzi o dwóch podpułkowników w waszyngtońskiej rezydentury. Byłem wtedy w Moskwie na urlopie i przypadkiem spotkałem Szapkina, starego przyjaciela, dawnego rezydenta z Teheranu. Przegadaliśmy chyba z godzinę. Szapkin współpracował wówczas

z samym przewodniczącym, Czebrikowem, był w składzie tak zwanego RI dyrektoriatu. To grupa kilku wysokich rangą oficerów zajmujących się głównie przygotowaniem analitycznych raportów dla Politbiura i najwyższych władz państwowych, odwała więc robotę polityczną dla Pierwszego Dyrektoriatu, a może nawet dla całego Komitetu. Według mnie, Szapkin obejmie kierownictwo Pierwszego Dyrektoriatu, gdy wreszcie Kriuczkwow zastąpi Czebrikowa.

– Kriuczkwow ma zostać przewodniczącym KGB?

– Takie chodzą słuchy, ale nic jeszcze nie jest pewne. W każdym razie Szapkin traktuje mnie jak serdecznego druha, zapewne sądzi, że bardzo mu dopomogłem w awansie po tym, jak razem służyliśmy w Iranie. W którymś momencie tej rozmowy pochwaliłem oficerów operacyjnych Drugiego Dyrektoriatu za przeprowadzenie skutecznej operacji i schwywanie trzech amerykańskich informatorów jednocześnie. Na co Szapkin odparł konspiracyjnym szeptem: „Ci kretyni z Drugiego, Anatoliju Wiktorowiczu, nie mieli z tą sprawą absolutnie nic wspólnego. Cała zasługa, jak zawsze, należy się pracownikom Dyrektoriatu Pierwszego”.

– I co?

– To właśnie jednoznacznie wskazuje, że nasz agent przedostał się do ścisłego kierownictwa CIA.

– Czy to możliwe, by chodziło o kogoś z naszej moskiewskiej placówki?

– Nie sądzę, bo w takim razie musiałaby to być od początku do końca operacja Drugiego Dyrektoriatu. A stamtąd nikt za żadne skarby nie przekazałby amerykańskiego informatora do dyspozycji Pierwszego Dyrektoriatu. Raz, że przepisy tego nie przewidują, a dwa, z powodu odwiecznej międzywydziałowej rywalizacji. Gdyby więc został zwerbowany któryś z waszych agentów moskiewskiej placówki, do dzisiaj pozostawałby pod kontrolą Drugiego Dyrektoriatu, nawet gdyby już wrócił do kraju. W Pierwszym Dyrektoriacie nikt by nawet nie wiedział o jego istnieniu. Rozumiesz?

– To znaczy, że musieli zwerbować pracownika CIA, i to wcale nie na terenie ZSRR, kogoś, kto za forszę gotów byłby zamordować własną matkę. Stąd wnioskujesz, że od początku była to akcja Pierwszego Dyrektoriatu.

– Zgadza się. Szapkin bał się ujawnić choćby rąbka tajemnicy, ale w tej kwestii nie mam żadnych wątpliwości.

– Coś jeszcze?

– Późną wiosną znowu spotkałem w Moskwie Szapkina i tym razem zaprosił mnie na

dłuższą rozmowę. Nie chciał jednak, byśmy się spotykali w Jaseniewie, poprosił mnie o przyjazd do pewnej willi nad Moskwą należącej do KGB, a raczej wspaniałej magnackiej rezydencji, którą tuż po rewolucji skonfiskował dla siebie Beria.

– Beria?! Ten zboczony łajdak?!

– Owszem. Przyjechałem parę minut wcześniej i zauważyłem, jak wybiega stamtąd pewna gruba ryba, niejaki Stanisław Andriejewicz Androsow, i w towarzystwie drugiego nie znanego mi faceta wsiada w pośpiechu do służbowej czajki.

– Ten sam Androsow, który kieruje waszyngtońską rezydenturą?

– Nikt inny. Z początku to zlekceważyłem, ale później w rozmowie z Szapkinem zażartowałem, że Androsow i jeszcze jeden podejrzany typek wykradali się z pałacyku Berii jak dwaj pospolici złodzieje ścigani przez sforę dobermanów. I w tym momencie Szapkina, który zazwyczaj lubił sobie pożartować z różnych partyjnych bubków, dosłownie zatkało. Błyskawicznie spoważniał, położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: „Tola, wiesz dobrze, że traktuję cię jak rodzzonego syna. Posłuchaj więc mojej rady. Nigdy nie widziałeś tutaj Androsowa. Amerykańskie służby specjalne nawet nie wiedzą, że urwał się z Waszyngtonu na krótką wizytę w ojczyźnie. Dlatego serdecznie cię proszę, abys zapomniał o tym spotkaniu”.

– I pewnie natychmiast zapomniałeś, tak jak ci kazano.

– Ma się rozumieć. Kilka dni później w gmachu centrali znów zobaczyłem tego faceta, który towarzyszył Androsowowi w pałacyku Berii. Okazało się, że to szef sekcji kontrwywiadu Pierwszego Dyrektoriatu, Wiktor Bogomołow. Wcześniej brał udział we wszystkich ważnych operacjach związanych z pozyskiwaniem informatorów w Stanach Zjednoczonych. Kontaktował się z Walkerem, Barnettem, Kampilesem, Howardem i pozostałymi liczącymi się wtyczkami. Nie zapominaj, że wszedł do kierownictwa KGB w okresie najgłośniejszych porażek CIA i wielkiego kryzysu w Langley. Potem już łatwo było mi skojarzyć, że od połowy ubiegłego roku wasi informatorzy w Związku Radzieckim padają jak muchy. Tylko na wiosnę, podczas mego pobytu w Komitecie, zgarnięto pięć czy sześć osób. Przynajmniej o tylu mówiło się głośno.

Aleksander skrzywił się boleśnie.

– To chyba rzuca nowe światło na pewne sprawy – wtrąciła Katerina – ale zarazem powinno nam tylko ułatwić kontakty. Będziemy się bardzo pilnować, by żadne informacje nie dotarły do Langley. W gruncie rzeczy jednak to niczego nie zmienia w naszych planach.

Fannin wiedział z góry, że całkowicie daremne będą próby wybicia jej z głowy tego, co już

uznała za pewnik.

– W porządku. Będziemy się kontaktować w Moskwie przez Katerinę. Ja wrócę do Waszyngtonu i prywatnie porozmawiam z Caseyem. Na początku chciałbym, Tola, żebyś sprawdził w archiwum KGB wszelkie dane na mój temat. Sprawdź również, czy w kartotekach figuruje niejaki Jan Gromek, polski działacz partyjny, urodzony w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Mam ci to zapisać?

– Nie. Jan Gromek, Polak, urodzony w pięćdziesiątym – powtórzył Klimienko. – Zapamiętam. Przy okazji sprawdzę też, czy jest coś na Katerinę. Rozumiecie jednak, że w centrali są też akta specjalnego przeznaczenia, do których nigdy nie uzyskam dostępu.

– Jeżeli chcesz i ją sprawdzić, szukaj Kateriny Martynowej, urodzonej w Szanghaju, lecz mieszkającej w Hongkongu i legitymującej się paszportem brytyjskim, jak również Catherine Fannin, urodzonej w Hongkongu i posługującej się paszportem amerykańskim. To był prezent ślubny dla niej od Caseya. Może być jeszcze Catherine Martin, urodzona w Szanghaju i posługująca się paszportem francuskim. Od tego może zależeć, którymi dokumentami Kat będzie się posługiwać podczas wyjazdów do Moskwy.

– Najpierw się przekonamy, czy jest notowana, bo może być i tak, że w ogóle nie będzie mogła przekroczyć granicy Związku Radzieckiego. W to jednak wątpię. KGB nigdy nie interesowało się za bardzo środowiskami z Azji Wschodniej, w tym także z Hongkongu. Zresztą gdyby istniały jakieś materiały obciążające rodzinę Martynowów, z pewnością dochodzenie ujawniłoby jej powiązania z moją rodziną, a do niczego podobnego nie doszło.

Aleksander spojrzał na zegarek.

– Na nas pora. Spotkasz się teraz z Orłowem, a później będziemy jeszcze mieli okazję porozmawiać w drodze powrotnej. Nie zdążymy jednak tu wrócić.

Katerina wstała z krzesła i ujęła Klimienkę za obie dłonie.

– Może już niedługo uda się znów połączyć całą naszą rodzinę, Aleks. Tak czy inaczej, będziemy z Anatolijem mieli sobie jeszcze wiele do powiedzenia.

Orłow czekał na nich w chacie pasterskiej, w niewielkiej błotnistej kotlinie, około ośmiu kilometrów za Ponderosą, skąd okrężną trasą wieziono go z zawiązanymi oczyma niemal trzy godziny, by w ten sposób zamaskować długą nieobecność Klimienki. Inżynierowi Mahmunowi Aleksander wy tłumaczył jednak, że chce ukryć przed Rosjanami usytuowanie Ponderosy.

Usłyszawszy warkot zbliżającego się samochodu, stanął w otwartych drzwiach chaty.

– Witamy w Paktii, towarzyszu pułkowniku. A może jesteśmy w Nangarharze?

– Widzę, że dopisuje wam zdrowie i dobry humor, poruczniku. Doskonale wypełniacie swoje obowiązki w czasie niewoli.

– Przepraszam, ale chciałbym jeszcze coś ustalić – przerwał im Fannin. – Pójdziemy tą drogą na północ przez dwadzieścia minut, a potem zawrócimy. Będą panowie mieli zapewnioną dyskrecję, gdyż pozostaną parę metrów w tyle. Możemy poświęcić na to spotkanie najwyżej trzy kwadransy. Czy to jasne?

– Oczywiście – burknął groźnie Klimienko.

Dał znać Orłowowi i ruszył wąską polną drogą w głąb doliny.

– Poruczniku, wasza niewola dobiega końca – zaczął. – Ustaliliśmy, że do wymiany jeńców dojdzie za pięć dni, rankiem dwunastego października.

– Chyba powinienem odpowiedzieć, towarzyszu pułkowniku, że zdobędzie pan dogłębną wdzięczność nie tylko moją, lecz także całej Armii Radzieckiej. Nie chcę jednak używać wielkich słów. Dlatego powiem tylko, że będę waszym dozgonnym dłużnikiem.

– No cóż, jeśli mieliście okazję napisać ten list do swojego ojca, o który prosiłem podczas poprzedniego spotkania, spłacie przynajmniej część długu wdzięczności, poruczniku. Mam nadzieję, że przysłuży się on także mojej własnej sprawie.

– Tak, napisałem list. Ma go ten dukhis dowodzący oddziałem rebeliantów. Klimienko przystanął, odwrócił się i zawołał do Aleksandra.

– Możemy uznać to spotkanie za skończone. Chciałbym teraz jak najszybciej wrócić do moich ludzi. Domagam się też, byście oddali mi list napisany przez porucznika, który zatrzymali wasi ludzie pilnujący jeńca.

– List czeka już na pana w jeepie, pułkowniku Bielenko. Zapewniam, że nawet do niego nie zajrzałem.

W drodze powrotnej Fannin rzeczywiście wybrał okrężną trasę. Kiedy dotarli w końcu na miejsce negocjacji, było już po dwudziestej pierwszej. Sprawilo mu to sporą satysfakcję, gdyż w ten sposób osoby postronne, a więc Orłow, Bielów i Panów, nie powinny niczego podejrzewać. A w czasie trzygodzinnej jazdy szczegółowo wprowadzał Anatolija w przyjęte zasady układania szyfrowanych meldunków.

– Musimy ustalić sygnał zagrożenia, po którego odebraniu będę natychmiast wiedział, że

układasz komunikat na rozkaz KGB – mówił. – Na zakończenie każdej wiadomości powtórz więc dwukrotnie: koniec, koniec. Gdyby coś się stało, użyj tego słowa raz bądź trzy razy. Każda parzysta liczba będzie oznaczała, że wszystko jest w porządku.

Rozważali wiele różnych wariantów pierwszego spotkania z Kateriną w Moskwie. Uzgodnili, że Anatolij powiadomi drogą radiową o konieczności takiego spotkania, ale miało się ono odbyć najwcześniej za pół roku, gdyż Kateriną także potrzebowała czasu, by się bezpiecznie urządzić w roli korespondenta zagranicznego.

– Będzie mogła wynajmować pokój w hotelu „Ukraina”. To dość paskudny hotel, nie będący jednak pod ciągłą obserwacją. Zyskamy w ten sposób większą możliwość manewru. Daj mi przez radio znać, kiedy się zamelduje. I przekaż, żeby czekała w pokoju na telefon. Ktoś łamaną angielszczyzną zaproponuje jej usługi młodego przystojnego Rosjanina do łóżka. Zapamiętaj dokładnie to sformułowanie: młodego przystojnego Rosjanina do łóżka. Niech odpowie, że nie rozmawia z chorymi zбочeńcami, którzy powinni się znaleźć w gułagu, a kwadrans później niech wejdzie do „Bieriozki”, sklepu dla cudzoziemców znajdującego się na drugim piętrze. I pamiętaj, że muszą paść dokładnie te słowa, które powiedziałem, bo jest duże prawdopodobieństwo, iż rzeczywiście ktoś jej zaproponuje przez telefon takie usługi. – Klimienko urwał na chwilę, po czym dodał: – I chciałbym też, żeby Katerina przywiozła mi tabletkę. Raczej nie w pierwszej podróży, bo musi być zupełnie czysta. Dam ci znać, wolałbym jednak, żebyś się zawniczasu przygotował.

– Tola, nie prosz mnie o cyjanek. On fatalnie działa na ludzką psychikę.

– A to co? Znowu jakiś rytuał CIA? Najpierw musisz trzy razy odmówić, zanim się w końcu zgodzisz? – syknął Klimienko ze złością. – Daruj to sobie. Dobrze znam regulaminy CIA, więc nie traćmy czasu. Proszę o tabletkę nie po to, żeby, mówiąc oględnie, zabezpieczyć się przed cierpieniami w razie wpadki. Chcę za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której musiałbym zdradzić własną matkę i twoją żonę. Dlatego załatw mi cyjanek, zakładając, że nigdy nie będę musiał z niego skorzystać.

Ermitaż, 7 października, 23.30

Aleksander czekał niecierpliwie, aż Tim nawiąże łączność satelitarną z gabinetem Caseya w Langley, dyrektor bowiem dotrzymał słowa i zapewnił mu możliwość bezpośredniego

kontakty, poza utartymi kanałami agencji.

– Proszę, jest sygnał – rzekł w końcu Rand, przekazując mu słuchawkę, po czym błyskawicznie zbiegł spiralnymi schodkami do sali głównej.

Po czwartym dzwonku ktoś odebrał. Przez kilka sekund panowała cisza, wreszcie rozległ się nieco stłumiony i zniekształcony z powodu kodowania, lecz wciąż rozpoznawalny głos Billa Caseya:

– Słucham... To znaczy: odbiór.

Aleksander przyjął to z uśmiechem, domyśliwszy się, że dyrektor ma zapewne spore problemy z obsługą złożonego aparatu łączności satelitarnej. Wcisnął klawisz nadawania i powiedział:

– Bill, tu Aleksander. Czy jesteś sam i możesz bezpiecznie rozmawiać? Odbiór.

– ...sam... Tak, jestem sam. Odbiór.

– Posłuchaj, Bill. Wyłożę całą sprawę najprościej, jak to możliwe, ale szczegóły będę ci mógł przekazać dopiero osobiście w Waszyngtonie. Podczas naszej ostatniej rozmowy wspomniałeś, że pojawiły się jakieś nowe kłopoty, mogące się przerodzić w wielki problem, analogiczny do tego, z którym mieliśmy do czynienia przed rokiem. Domyślasz się, o co mi chodzi?

– Tak... Rozumiem, co... do czego zmierzasz...

– Bill, muszę się z tobą spotkać w tej sprawie. Będę w twoim gabinecie dziewiątego października o dziewiętnastej. Chcę, żebyś ściągnął na to spotkanie Middletona, tylko mu nie mów, że przyjadę. Jeżeli wszystko zrozumiałeś, powtórz, proszę. Odbiór.

Niespodziewanie tym razem odpowiedź nie była przerywana.

– Będę czekał na ciebie w swoim gabinecie dziewiątego o dziewiętnastej. Ściągnę Middletona, nie uprzedzając go o celu spotkania. Dottie zaczeka przy wejściu od strony ulicy Siedemnastej, wwiezie cię na górę bez przepustki. Czy to ci odpowiada, Aleks?

– W zupełności, szefie. Zatem spotkamy się pojutrze. Bez odbioru.

Rozdział 29

Waszyngton, 9 października 1986 roku, 19.00

Następnego dnia Katerina poleciała z Undermanem przez Bangkok do Hongkongu, natomiast Aleksander złapał lot rejsowy z Islamabadu do Europy. W Waszyngtonie zjawił się dopiero dziewiątego października w południe. O zmierzchu wyszedł z hotelu „Hay Adams” i powędrował pieszo na spotkanie z Caseyem. Na obrzeżach parku Lafayette zwrócił uwagę na liczne grupy bezdomnych, protestujących z ręcznie wymalowanymi transparentami przeciwko ogólnej niesprawiedliwości społecznej, które chyba nie miały odwagi zbliżyć się do odległego o kilkaset metrów Białego Domu. Minął Pennsylvania Avenue i bez pośpiechu skręcił w stronę ulicy Siedemnastej, gdzie znajdowało się boczne wejście do starego gmachu rządowego, w którym Casey miał swoje tymczasowe biuro. Od razu zauważył na schodach, przed ozdobną furtką z kutych stalowych prętów, czekającą na niego Dottie, osobistą sekretarkę dyrektora.

– Cześć, Aleks. Okropnie wyglądasz z tą brodą – powitała go, ujmując pod rękę i prowadząc szybko po schodach do wejścia.

Wyjęła swój a służbową legitymację i podała ją umundurowanemu strażnikowi przy biurku, a gdy wprowadził do komputera jej nazwisko i kod dostępu, rzuciła:

– To pan Jones do dyrektora Caseya. Przepustka nie będzie potrzebna. Strażnik popatrzył na Fannina, zmarszczył brwi, lecz szybko skierował z powrotem wzrok na ekran komputera.

– Zaraz sprawdzimy – mruknął. – Tak, mam zapisane: „Pan Jones do dyrektora Caseya. Bez przepustki”. Widzę, że był pan w tym gmachu przed dwoma dniami i tydzień temu, a więc... – Znacząco zawiesił głos, wyjął z szuflady plakietkę z napisem GOŚĆ i z uśmiechem podał ją Aleksandrowi.

Cztery minuty później Fannin przywitał się serdecznie z dyrektorem i usiadł przy stoliku do kawy w jego gabinecie.

– Narobiłeś tam niezłego bigosu, Aleks – zaczął Casey. – Foggy Bottom przeżywa istne katusze. Dobrynin na lewo i prawo rozsyła skargi, że wysłaliśmy do Afganistanu swojego człowieka, którego zadaniem jest eskalacja działań zbrojnych przeciwko Armii Radzieckiej. I co ty na to?

– To stara śpiewka, Bill. Wystarczy zastosować przeciwko Rosjanom ich własną broń,

a natychmiast podniosą krzyk, że zostali oszukani. – Fannin nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dyrektor wygląda na straszliwie przemęczonego, jakby nagle postarzał się o kilka lat w ciągu pół roku, jakie minęło od ich ostatniego spotkania. – A co słyhać u ciebie? Wyglądasz, jakbyś pracował po nocach.

Casey odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął blado.

– Wszyscy czujemy się przemęczeni. Tak już jest w Waszyngtonie.

– A co konkretnie Dobrynin powiedział Schultzowi? – Aleksander wrócił do tematu, jakby zachęcony dziwnymi błyskami w spojrzeniu Caseya.

– Że nie jest żadną tajemnicą, iż mudżahedini nie opracowali nowej taktyki walki na własną rękę, i że zaangażowaliśmy się bezpośrednio w tamtejszą wojnę domową.

– A co na to Departament Stanu?

– Oficjalnie powtarza tylko to, co prezydent włożył Schultzowi do głowy. Niezależnie od szczebla, we wszystkich kontaktach z Rosjanami pada stwierdzenie, że ich kłopoty skończą się bezpowrotnie, jeżeli Armia Radziecka wycofa się z Afganistanu.

– Mieliliśmy to, co nazywasz ślepym fartem Irlandczyków – rzekł z uśmiechem Fannin.

– Frank zrelacjonował mi już twoją nocną eskapadę helikopterem. Szkoda, że i w tym przypadku nie dopisało nam trochę szczęścia.

– Zatem tylko patrzeć, jak Dobrynin zacznie pomstować, że wysłaliśmy nawet swoje śmigłowce przeciwko szturmowym helikopterom czterdziestej armii. Dopiero wtedy się okaże, ile naprawdę mogą wytrzymać gryzipiórki z Foggy Bottom.

– Od początku do końca działasz na własną rękę, tak jak się umówiliśmy. Ale z pewnością nie przyleciałeś tu, żeby się podzielić swoimi wrażeniami z wojny.

– Masz rację, Bill. Rodzice mojej żony odnaleźli w Związku Radzieckim pewnego znajomego, który ma dostęp do tajnych materiałów Kremla. Rysuje się szansa, że dzięki temu człowiekowi jeszcze przed licytacją będziemy mogli znać karty przeciwnika.

– Kto to jest?

– Tego ci nie powiem.

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że to moja sprawa, a nie twoja. Po drugie zaś, co jest chyba znacznie ważniejsze, bo masz w swoim otoczeniu człowieka, który pracuje dla tamtych i przez którego zginęło wielu naszych ludzi w Moskwie.

– Zdobyłeś jakieś konkrety na jego temat? – zapytał szybko Casey, wbijając wzrok w twarz Aleksandra.

– Owszem, ale przedstawię je wyłącznie tobie oraz w nieco okrojonej wersji Middletonowi, zakładam bowiem, iż nie chodzi tu o żadnego z was.

Casey zachichotał.

– Jesteś tego pewien?

– Niezupełnie, ale podejmę ryzyko.

Dyrektor wstał, podszedł do biurka i zapowiedział przez interkom:

– Betty, powiedz Grahamowi, że może już wejść.

Middleton powitał Fannina sztywnym skinieniem głowy, w żaden sposób nie dał po sobie poznać zaskoczenia. Nadal chyba uważał go za swego wroga, skoro przegrał batalię przeciwko niemu. Co prawda, zmusił Aleksandra do odejścia z agencji, ale wyraźnie ucierpiała na tym jego własna kariera i zapewne się domyślał, że pozostanie w niełasce, dopóki Casey będzie dyrektorem.

– Aleks, zrelacjonuj Grahamowi swoje odkrycia.

– Powiem mu tylko to, co uznam za stosowne. Otóż od samego początku miałeś rację, Graham, co do jednej rzeczy. Jest w najwyższym kierownictwie firmy wtyczka, człowiek, który został zwerbowany przez KGB ponad rok temu. Wynika stąd jednoznacznie, że Howard nie był osamotniony w działaniach przeciwko nam, a ten zdrajca, o którym mówię, skutecznie się przyczaił w okresie afery Howarda i Jurczenki. Natomiast myliłeś się we wszystkich pozostałych sprawach. Byłeś zaślepiony chęcią wyrównania rachunków ze mną.

Middleton niemalże specjalizował się w unikaniu konfrontacji, zdecydowanie bardziej wolał ciskać swoje oskarżenia z bezpiecznego miejsca w samym sercu kontrwywiadowczego labiryntu. Dlatego poczuł się teraz, jakby siedział na szpilkach.

– Nie mam pojęcia, jak doszedłeś do tych wniosków. Nigdy nie powiedziałem niczego... a w każdym razie nigdy oficjalnie...

– Przestań kręcić, Graham – przerwał mu Fannin. – Nie przyjechałem tu, żeby się na tobie mścić. Chcę ci tylko unaocznić, że w agencji naprawdę działa wysoko postawiony zdrajca.

Middleton pochylił się na krześle i mrużąc oczy, zapytał:

– Skąd masz te informacje?

– Tego ci nie powiem. Mogę jedynie zdradzić, że zostały one ujawnione podczas spotkania,

przy którym była obecna moja żona, i że padły z ust człowieka cieszącego się moim pełnym zaufaniem. – Aleksander umiejętnie stosował w praktyce starą maksymę, głoszącą, że nie wszystko, co jest całkowicie prawdziwe, musi być całą prawdą.

Middleton spojrział na Caseya, lecz ten siedział nie wzruszony.

Fannin zaczął powoli relacjonować historię swojej znajomości z Klimienką. Celowo przemilczał nazwisko byłego rezydenta KGB z Teheranu, Szapkina, gdyż mogło łatwo zaprowadzić Middletona na trop Anatolija. Szczegółowo opowiedział za to o przypadkowym spotkaniu Klimienki z Androsowem, przebywającym wówczas w towarzystwie szefa sekcji kontrwywiadowczej, Bogomołowa, w pałacyku Berii nad brzegiem Moskwy. Middleton słuchał z rosnącą uwagą, sztywno wyprostowany na krześle.

– Kiedy twój informator widział Androsowa w Moskwie? – spytał z zainteresowaniem, po raz drugi zerkając na Caseya. Celowo unikał wzroku Aleksandra.

– Późną wiosną.

Wciąż zwracając się wyłącznie do dyrektora, Middleton powiedział:

– To by się zgadzało z dziwną luką w doniesieniach FBI na temat Androsowa, jaka nastąpiła w czerwcu. Po prostu na jakiś czas zniknął z oczu agentom. Wówczas nikt nie przywiązywał do tego większej wagi, lecz teraz należy wnioskować, że jakoś przekradł się na pokład samolotu rejsowego i odleciał z Waszyngtonu. Jeśli rzeczywiście potajemnie odwiedził Łubiankę, może to oznaczać, że brał udział w rozmowach na temat przekazania swojego waszyngtońskiego informatora Bogomołowowi, który ciągle podróżuje po całym świecie.

– A więc te dane pasują do innych obserwacji, prawda? – zapytał Casey.

– Dość dokładnie.

– To już wszystko – wtrącił Aleksander. – Nie mam żadnych szokujących konkretów, ale, moim zdaniem, te wiadomości w pełni potwierdzają, że KGB przeniknęła do samego kierownictwa agencji. A skoro sowiecka wtyczka utrzymuje łączność wyłącznie z oficerami Pierwszego Dyrektoriatu, oznacza to, że zapewne nie chodzi o żadnego z naszych agentów zwerbowanych na placówce moskiewskiej. Najprawdopodobniej to któryś z naszych pracowników, a ponieważ jego łącznikiem jest sam Bogomołow, z pewnością wcześniej czy później będzie musiał nawiązać kontakt. Wystarczy więc śledzić jego kroki, żeby zidentyfikować szpiega.

– To nie takie proste. Bogomołow podróżuje pod dziesiątkami różnych nazwisk, nie znamy

nawet wszystkich.

– Przekażę Billowi, jeżeli jeszcze się czegoś dowiem – dodał Fannin, jednoznacznie dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca i Middleton powinien już wyjść z gabinetu.

– Czemu on nas o tym informuje? – zapytał jednak Graham. – Przecież nie jest już pracownikiem agencji?

Aleksander wstał szybko i zajął Middletonowi w twarz.

– Graham, bądź łaskaw patrzeć mi w oczy, jeśli mówisz do mnie. A teraz może byś lepiej szybko stąd wyszedł, zanim chwycę cię za ten parszywy kark i wyrzucę za okno, ty śmierdząca gnido!

Casey wyraźnie doskonale się bawił.

– Dziękuję, Graham. Później wrócimy do tej rozmowy. I nie mów nikomu, że widziałeś tu Aleksa. Jeśli to zrobisz i ja się o tym dowiem, będę naprawdę wkurzony.

Ledwie drzwi zamknęły się za Middletonem, dyrektor popatrzył uważnie na Fannina nad szkieł okularów.

– Już zapomniałem, jak bardzo gardzisz Grahamem.

Fannin wzruszył ramionami.

– Może faktycznie to twój najlepszy człowiek w sekcji kontrwywiadu, ale dla mnie pozostanie gnidą.

– Wiem o tym, ale biorę także pod uwagę, że nikt inny nie wykona tak dobrze jego roboty. Wracając do sprawy, Aleks, domyślam się, że utrzymujesz osobisty kontakt ze swoim moskiewskim informatorem. Mam rację?

– Powiedziałem ci wszystko, co chciałem powiedzieć, więc nie zmuszaj mnie, bym zaczął kłamać.

– W porządku. Chciałem ci tylko przypomnieć, że nie zapomniałem o powodach, dla których zrezygnowałeś ze służby.

– Mam jeszcze dwie inne sprawy – Aleksander szybko zmienił temat. – Potrzebny mi drugi kanał bezpośredniej szyfrowanej łączności, na którym mógłbym ci przekazywać wszelkie ważne informacje dotyczące wydarzeń w Związku Radzieckim. Ponadto chciałbym dostać tabletkę. Niewykluczone, że będzie nam potrzebny dostęp do najściślej tajnych materiałów, a mój informator nie chce podejmować większego ryzyka, nie mając żadnego zabezpieczenia.

– Nie chcesz utrzymywać łączności na dotychczasowych zasadach?

– Nie, przynajmniej do czasu, aż pozbędziecie się wtyczki z Langley. Zresztą i w takim przypadku wolałbym z niej zrezygnować. Nadal chcę przekazywać informacje tylko i wyłącznie tobie, czy do gabinetu w firmie, czy do Białego Domu, ale z pominięciem wszelkich procedur CIA.

Casey pochylił się do interkomu.

– Dottie, przygotuj dla Aleksandra jeden z systemów łączności satelitarnej, które trzymam do zadań specjalnych. Wyjaśnij mu później, jak się nim posługiwać.

Systemy łączności satelitarnej do zadań specjalnych, powtórzył w myślach Fannin. Mój Boże, ten człowiek jest przygotowany do prowadzenia działań przeciwko wszystkim, nie wyłączając polityków z Waszyngtonu, a nawet samego siebie!

– A co do tabletki, to postaram ci się ją dostarczyć, tylko nie wiem, jak mógłbym to wyjaśnić laborantom ze służb technicznych.

Aleksander wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki starannie zaklejoną kopertę.

– Przekaż to doktorowi Hansonowi z laboratorium. Wszystko wyjaśniłem w liście. Poprosiłem o przygotowanie dwóch tabletek, jednej większej, z cyjankiem, a drugiej miniaturowej, zawierającej rybią tetrodotoksynę, wraz z odpowiednimi opakowaniami.

Casey z ociąganiem wziął kopertę.

– Na pewno chcesz dwie tabletki?

– Tylko na wszelki wypadek. Cyjanek działa w ciągu paru sekund, ale pastylka jest dość duża, trzeba mieć dla niej specjalną kryjówkę. Tetrodotoksyna pozwala sporządzić maleńką pigułkę, lecz działa nieco wolniej, daje człowiekowi jakieś pół godziny na pożegnanie się ze światem. Jeśli chcesz wiedzieć więcej na ten temat, porozmawiaj z Hansonem.

– Zdobędę dla ciebie te pastylki, ale nic o tym nie chcę wiedzieć. – Dyrektor skrzywił się z obrzydzeniem.

– To wszystko, Bill. Może jeszcze zdążę wskoczyć na pokład transportowca wyładowanego stingerami, który niedługo powinien startować z bazy Andrews.

– Rakiety przyniosły spodziewane rezultaty, prawda?

– Bez dwóch zdań.

Fannin wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. Nawet nie podejrzewał, że już nigdy więcej nie zobaczy Casey'a.

W sekretariacie Dottie wręczyła mu zapakowaną dyskietkę.

– Tylko jej nie zgub. A gdyby tak się stało, natychmiast daj znać. Instrukcję znajdziesz w środku. Na dyskietce jest program narzucający właściwy tryb pracy skramblera oraz tablica kodów. Tylko ja będę w stanie odszyfrować twoją wiadomość. Wystarczy, że zaadresujesz depeszę do dyrektora agencji i wyślesz ją do gabinetu prezydenta bądź głównego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Stamtąd trafi do mnie. A teraz zmykaj, jeśli naprawdę chcesz zdążyć na bezpłatny lot wojskowym transportowcem.

Trzy godziny po wyjściu od dyrektora olbrzymi C-5A z Fanninem na pokładzie wzbił się w niebo z bazy Andrews. Aleksander celowo zaplanował podróż powrotną tak zwanym strumieniem, uwzględniając przeloty wojskowymi transportowcami, zapowiedziane co najmniej na dwa tygodnie naprzód, które wywiad rosyjski, obserwujący wszelkie tego typu połączenia, traktował jak część zwykłego zaopatrzenia amerykańskich baz w Europie. Tam zaczekał, aż rakiety zostaną przeładowane na pokład innej, mniejszej maszyny, która dowiozła go do Islamabadu. Zjawił się w Ermitażu rankiem jedenastego października, niemal całkowicie pewien, że okrężna trasa prawie dookoła świata nie wzbudziła niczyich podejrzeń w Kabulu i Moskwie. Czekał już na niego raport Klimienki, potwierdzający ustalenia co do mającej się odbyć nazajutrz wymiany jeńców, ale i zawierający wiele danych o tajemniczym Aleksandrze z Paktii, jakie Rosjanom udało się dotychczas zgromadzić. W tym świetle ucieszył się jeszcze bardziej, że wrócił do Afganistanu niepostrzeżenie, gdyż jego podróż do Waszyngtonu mogła skierować podejrzania KGB na Anatolija. Uświadomił sobie też, że odtąd będzie musiał podejmować wszelkie możliwe kroki w celu chronienia zarówno Klimienki, jak i Kateriny.

Czołg z Żołnierzami, 12 października, 9.05

Fannin podszedł do Orłowa, ubranego w czysty i wyprasowany, choć podniszczony letni mundur polowy.

– Wygląda na to, poruczniku, że zdąży pan dołączyć do swojej jednostki w samą porę, by odebrać jeszcze mundur zimowy i włączyć się do następnych walk.

– Czyżby chciał się pan bawić w proroka?

– To tylko kwestia doświadczenia, poruczniku. Już nie pierwszy rok z rzędu powtarza się ta sama sytuacja. Ostateczne zwycięstwo coraz bardziej wymyka wam się z rąk.

– A pan ma jakąś receptę na zwycięstwo w tej wojnie?

– Najprostszą pod słońcem. Nie ponieść klęski. Co pan na to? Orłow spojrział na niego badawczo i odpowiedział z namysłem:

– Nie mam zdania w tej sprawie, przynajmniej jeszcze nie teraz. Po siedmiu tygodniach wylegiwania się na słońcu, kiedy to jedynym moim zajęciem było czytanie *Sołżenicyna* i zachodniej prasy oraz słuchanie wiadomości „Głosu Ameryki” i BBC, potrzeba mi trochę czasu, aby przemyśleć kilka rzeczy.

– Na razie nie doszedł pan do żadnych wniosków?

– Doszedłem. Wydaje mi się, że całkowicie swobodny, nieograniczony przepływ informacji po całym świecie musi przerażać ludzi z pokolenia mojego ojca o wiele bardziej niż wasze samonaprowadzające pociski rakietowe.

– Gdyby wasz sekretarz generalny na drodze do *glasnosti* doszedł do tego samego wniosku, wszyscy wiedzielibyście znacznie więcej o tym, co się wokół was dzieje.

– Sądzę też, że moje pokolenie o wiele lepiej od ludzi z otoczenia Gorbaczowa zdaje sobie sprawę, co dla naszego kraju oznacza otwarcie się na świat i przyjęcie tego, co nazywacie wolnością. Mimo wszystko uważam, że warto zaryzykować.

Aleksander zachichotał. W rzeczywistości promieniał z dumy, że tak wiele udało mu się osiągnąć w zakresie urabiania Orłowa.

– Po powrocie do Kabulu proszę jednak nie zapomnieć, aby ze wszelkimi możliwymi szczegółami zrelacjonować oficerom, którzy będą pana przesłuchiwać, jak to codziennie podstawialiśmy panu zgrabną blondynkę z wielkimi cyckami.

Kabul, dowództwo 40. armii, 13 października, 9.00

Następnego ranka na posiedzeniu sztabu Titow przedstawił raport z przebiegu operacji, która doprowadziła do uwolnienia Orłowa z rąk rebeliantów. Całkowicie pominął jednak milczeniem cenę tego sukcesu, jak również rodzinne powiązania jeńca, gdyż było oczywiste, że w sprawie innego młodego porucznika nikt nie zadawałby sobie aż tyle trudu. Generał podsumował krótko: To nasz człowiek, a armia musi się troszczyć o los każdego oficera.

Później nawiązał do pamięci o tych, którzy zginęli w czasie trwania operacji, a zwłaszcza w trakcie szukania zemsty za śmierć generała Polakowa, nie wyłączając pewnego majora KGB,

zabitego podczas wykonywania obowiązków służbowych niedaleko bazy w Ali Khel. Wreszcie oficjalnie podziękował za zaangażowanie pułkownikowi Anatolijowi Wiktorowiczowi Klimience oraz majorowi Aleksandrowi Pietrowiczowi Krasinowi, ciężko rannemu w akcji wymierzonej przeciwko zabójcom Polakowa. W rozkazie dziennym zaznaczył, że pułkownik Klimienko zostaje przeniesiony do sztabu armii, gdzie obejmie stanowisko specjalnego doradcy do spraw wywiadowczych, natomiast Krasin po wyjściu ze szpitala będzie mianowany szefem kancelarii dowództwa wojsk interwencyjnych.

Zakończywszy odprawę, krótko podziękował oficerom i bez słowa wyszedł z sali konferencyjnej.

Podczas długiego monologu Titowa Karm Siergiejewicz doszedł do przekonania, że jego podejrzenia wobec Klimienki były wyjątkowo słuszne. W tej sytuacji jednak musiał się uzbroić w cierpliwość. Tylko ostatni głupiec występowałby obecnie przeciwko faworyzowanemu przez wszystkich pułkownikowi KGB.

Niemniej po wyjściu z sali Karm zaczął czekać na nowego pupilka generała. Kiedy wreszcie Klimienko pojawił się na korytarzu, zagadnął:

– Przyjmijcie moje gratulacje za pomyślne zakończenie ubiegłotygodniowej akcji, Anatoliju Wiktorowiczu. Z pewnością należycie do ludzi, z którymi znajomość należy poczytać za wielki zaszczyt.

– Bardzo dziękuję. Takie słowa z ust człowieka o waszej reputacji, Karmie Siergiejewiczu, to pochwała najwyższa z możliwych. Moim zdaniem jednak, przynajmniej część zaszczytów należy się tym, którzy zginęli podczas wspomnianej przez was operacji.

– Jesteście bardzo łaskawi, Anatoliju Wiktorowiczu, dziękuję za wasze zdanie o długu wobec zabitych. Czy wspominałem wam już, że odwiedziłem kostnicę na lotnisku, by osobiście pożegnać się z majorem Szadrinem?

– Od tamtej pory nie mieliśmy okazji do szczerzej rozmowy, Karmie Siergiejewiczu. Wspólnie z majorem wykonywaliśmy nadzwyczaj odpowiedzialne zadanie. Będzie mi go brakowało. To był bardzo sumienny oficer.

Był z niego kawał śmierdzącego tchórza, a ty doskonale o tym wiesz, pomyślał Nikitienko.

– Tajemnicze okoliczności jego śmierci do dzisiaj budzą moje zdziwienie. Oczywiście, zapoznałem się ze wszystkimi raportami, nie potrafię sobie jednak wytłumaczyć, dlaczego samotnie oddalił się od koszar tamtej nocy.

– Ja też się nad tym zastanawiałem. Być może przyczyną był wypity w nadmiarze alkohol.

– Też tak sędzę. Ale moje zainteresowanie budzi ponadto tragiczny los tych kolegów, którzy towarzyszyli wam w operacji nad rzeką Kabul. W całym sztabie nikt nie potrafi wyjaśnić zagadkowych decyzji dowódcy pododdziału specnazu. Na przykład jak doszło do tego, że patrol aż tak bardzo się rozproszył? Tylko wy, razem z Krasinem, byliście na pokładzie śmigłowca dowodzenia i moglibyście wytłumaczyć, co tam naprawdę zaszło.

– Po zakończeniu każdej akcji zazwyczaj pojawiają się wątpliwości, Karmie Siergiejewiczu – odparł Klimienko, nakazując sobie w myślach szczególną ostrożność. – To prawda, że razem z Krasinem byliśmy na pokładzie śmigłowca dowodzonego przez kapitana Łukina, lecz gdy zauważył on na szczycie gromadę dukhisów i agentów amerykańskiego wywiadu, nastąpiło spore zamieszanie.

Wykonywaliśmy tylko rozkazy Łukina. Osobiście nie widziałem żadnych powodów, aby kwestionować decyzje doświadczonego oficera specnazu, a i nie robiłbym tego teraz, zwłaszcza że kapitan zginął bohaterską śmiercią w bitwie.

W duchu Klimienko powtarzał sobie z naciskiem, że musi na każdym kroku wystrzegać się tego nieprzejednanego rywala. Niemniej myśl o tym, jak cienka jest granica między uznaniem za bohatera a posądzeniem o zdradę, sprawiła, że niemal parsknął śmiechem.

Część czwarta

Rozdział 30

Moskwa, 26 lutego 1988 roku, 17.30

Telefon w pokoju hotelowym dzwonił, zanim Katerina zdążyła jeszcze otworzyć drzwi.

– Pani Martin Catherine? – zapytał ktoś łamaną angielszczyzną. – Nie miałyby pani ochoty na młodego przystojnego Rosjanina do łóżka?

Bez wahania odpowiedziała po rosyjsku:

– Posłuchaj, ty chory zboczeńcu. Doskonale wiem, że czaisz się gdzieś w holu, lecz jeśli zadzwonisz jeszcze raz, będziesz mógł proponować usługi chłopca do łóżka swoim kumplom w gułagu!

Cisnęła słuchawkę na widełki i jak burza wypadła z pokoju. Parę minut później z udawanym oburzeniem pokrzykiwała na zdumionego recepcjonistę w granatowym uniformie o zamszowych klapach marynarki:

– Powtarzam, że jest w tym hotelu jakiś zboczeniec, który składa przez telefon nieprzyzwoite propozycje. A pańskim obowiązkiem jest go wytropić i przekazać w ręce milicji, by nigdy więcej nie zakłócał nikomu spokoju.

– Pani Martin, to jest po prostu wykluczone – odpowiadał łagodnym tonem recepcjonista. – Nie może być żadnych zboczeńców w naszym hotelu, gdyż jest to prawnie kategorycznie zabronione. Dlatego twierdzę, że to niemożliwe, by ktoś stąd do pani dzwonił.

– Proszę to powiedzieć swoim przyjaciółom z placu Dzierżyńskiego – rzuciła Katerina ze złością, odwróciła się na pięcie i poszła do windy.

Wjechała jednak tylko na drugie piętro i z mocno bijącym sercem weszła do sklepu „Bieriozka”. Już od drzwi zauważyła Anatolija oglądającego najnowsze rodzaje matrioszek przedstawiających dawnych rewolucjonistów, jednak o rysach dziwnie przypominających nowego przewodniczącego KGB. Kiedy przystanęła tuż obok niego, rzucił uprzejmie:

– Ta jest bardzo ładna. Może zechce ją pani kupić.

Odstawił matrioszkę na półkę i ruszył do wyjścia.

Dopiero w trzeciej lalce Katerina znalazła ciasno złożoną odbitkę z angielskiego przewodnika po Moskwie. Pospiesznie ukryła zwitek w dłoni, złożyła z powrotem matrioszkę i podeszła z nią do kasy. Po powrocie do swego pokoju szybko rozpostarła kartkę – znajdował się

na niej opis pieszej wycieczki, której główną atrakcją stanowiło zwiedzanie cerkwi Proroka Ilii Obydiennego, z odręcznym dopiskiem: „Jutro o dziesiątej. Będę czekała przy stacji metra Kropotkinskaja. Ubierz się ciepło. Jelena”.

Następnego dnia o dziesiątej Katerina ruszyła pieszo spod stacji metra na trasę, którą wieczorem dokładnie wbiła sobie w pamięć. Według marszruty dotarła do monasteru Zaczatiewskiego, a obejrzawszy go pobieżnie, zawróciła nad rzeką Moskwą w stronę Kremla i odnalazła ulicę Drugą Obydienną, przy której stała cerkiew Proroka Ilii. Okrążyła ją dwa razy, udając zainteresowaną turystkę, po czym poszła dalej, do Sojmonowskiego Projezdu. Tu przystanęła i wyjęła kartkę z przewodnika, kiedy niespodziewanie jak spod ziemi wyrósł obok niej Klimienko.

– Sprawiaj wrażenie zaskoczonej i przywitaj się ze mną serdecznie – rzucił szybko, biorąc ją pod rękę.

Katerina teatralnie odskoczyła, obejrzała się, zaraz jednak z szerokim uśmiechem zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała w oba policzki.

– Sama nie wiem, co powiedzieć, Tola... Co dalej?

– Pojeździmy sobie trochę po mieście i porozmawiamy – rzekł, prowadząc ją w kierunku brązowego ziguli stojącego przy najbliższej przecznicy.

W milczeniu zajęli miejsca w samochodzie. Anatolij włączył się do ruchu.

– Podczas każdego naszego spotkania będę ci podawał informacje do zapamiętania, Katiu. Powinnaś je od razu zapamiętywać. Czy nikt cię dzisiaj nie śledził?

– Nie, raczej nie. Mam wrażenie, że przestali mnie obserwować jakieś trzy tygodnie temu.

– Opowiedz mi o każdej rzeczy z ostatniego miesiąca, która wydała ci się podejrzana.

– No więc łazili za mną przez kilka tygodni, ale przed miesiącem dali sobie spokój.

Wcześniej zginęło mi kilka drobiazgów z hotelu.

– Jakich drobiazgów?

– Para majtek, które oddałam do prania i dziurawe rajstopy z kosza na śmieci.

– To normalne. Gromadzi się części garderoby, by mieć zapach dla psów.

– A potem nagle wszystko się urwało.

Klimienko pokiwał głową.

– Mam przyjaciela w sekcji kontrwywiadu, który zajmuje się obserwacją przybyszów

z Europy Zachodniej. Mówił mi ostatnio, że teraz już się nie zajmują dziennikarzami. Obserwowali cię uważnie na początku, obecnie jednak będą sprawdzali tylko wyrywkowo.

Anatolij zaczął powoli omawiać kolejne sprawy. Po upływie pół godziny poprosił Katerinę, by powtórzyła wymienione fakty.

– Chcesz, żeby Aleksander sprawdził akta niejakiego Karma Siergiejewicza Nikitienki, pułkownika z Pierwszego Dyrektoriatu KGB, który zaczynał służbę w kontrwywiadzie, potem od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego do osiemdziesiątego piątego był na placówce w Bejrucie, następnie do osiemdziesiątego siódmego w Kabulu, a teraz jest z powrotem w Jaseniewie i znalazł się w grupie doradczej dyrektoriatu. Nikitienko śledził cię aż do października osiemdziesiątego szóstego roku i prawdopodobnie nie zapomniał do dzisiaj. Obarcza cię winą za swoje niepowodzenie w Bejrucie, kiedy to dowodząc Grupą Alfa, doprowadziłeś do uwolnienia trzech zakładników z rąk Hezbollahu. Jeden zginął w niewoli, a jeden z dwóch uwolnionych wkrótce zbiegł na Zachód i podjął współpracę z CIA. Nikitienko okazał się wówczas nieudolnym rezydentem. Zaczął cię śledzić po tym, jak pewien major w tajemniczych okolicznościach zginął na polu minowym pod Ali Khel. Aleksander powinien przypomnieć sobie szczegóły tamtej historii.

– Doskonale, Katiu. Co dalej?

– Nie znalazłeś żadnych informacji dotyczących Aleksandra, w ogóle nie ma założonych akt. W archiwum nie figuruje także fałszywe nazwisko polskiego działacza, Jana Gromka.

Klimienko, skoncentrowany na prowadzeniu samochodu, z lekkim uśmiechem przyjął fakt, że Katerina prawie tymi samymi słowami cytuje jego relację.

– W takim razie przejdźmy do następnych spraw. Prosiłem Aleksandra, by załatwił mi coś w ramach tak zwanych środków specjalnych. Zrobił to?

– Jeśli chodzi ci o tabletki, to tak, mam je przy sobie.

Wyjęła z torebki kółko do kluczy z plastikowym breloczkiem w kształcie piłki futbolowej oraz rosyjskie pióro wieczne. Podała je Anatolijowi i wyjaśniła:

– Pastylka cyjanku znajduje się wewnątrz piłeczki. Wystarczy rozgryźć cienki plastik, a efekt będzie natychmiastowy. Druga tabletką jest ukryta w piórze. Trzeba odkręcić kapturek na czubku skuwki i wytrząsnąć truciznę na dłoń. Pastylka jest maleńka i bardzo krucha. Toksyna działa nieco wolniej, ale równie skutecznie.

– Bardzo dziękuję. W razie konieczności jakoś sobie poradzę. – Wsunął oba przedmioty do

kieszeni i zerknąwszy na kuzynkę, powiedział: – A teraz sprawa najważniejsza. Chciałbym, żeby Aleksander wyciągnął moją matkę ze Związku Radzieckiego.

Dowództwo 40. armii, 4 marca 1988 roku, 6.45

Utykanie Krasina było już ledwie zauważalne, chociaż czasami dokuczał mu jeszcze ból w pachwinie, zwłaszcza gdy musiał przejść po nierównym terenie. W kabulskim sztabie armii tylko skinął głową dwóm spadochroniarzom trzymającym wartę przed drzwiami sali konferencyjnej i szybko wszedł do środka. Zatrzymał się u szczytu owalnego stołu, przed miejscem naczelnego dowódcy, generała Giennadija Titowa.

Starannie ułożył pośrodku bibularza plik materiałów przygotowanych na dzisiejsze nadzwyczajne posiedzenie, obok zaś umieścił świeżą paczkę marlboro, już otwartą, z równiutko wysuniętym pierwszym rządkiem papierosów. Poprawił jeszcze leżące obok okulary generała i sprawdził, czy popielniczka lśni czystością. Na końcu zajrzał do dwóch połyskujących wypolerowaną stalą termosów. Oba były pełne, jeden zawierał kawę, drugi herbatę. Wzdłuż stołu została porozstawiana ciepka woda mineralna z Taszkientu w półlitrowych, silnie porysowanych od długotrwałego używania szklanych butelkach. Krasin chciał się już zająć innymi sprawami, kiedy kątem oka dostrzegł, że ktoś wchodzi do sali.

– Widzę, że podpułkownik Krasin miewa się doskonale po długiej rekonwalescencji na łonie Mateczki Rosji.

– Podpułkownik Krasin miewa się naprawdę wyśmienicie po całkowicie zasłużonym, należnym bohaterom wypoczynku, który nie był ani o godzinę za długi. A co słyhać u najbardziej przebiegłego pułkownika KGB? – odparł, nawet nie podnosząc głowy.

– Wszystko w porządku, Sasza. Bardzo się cieszę, że cię widzę. Żałuję, iż nikt mnie nie powiadomił o twoim powrocie, bo zgotowałbym ci serdeczne przyjęcie. Zresztą nawet nie sądziłem, że wrócisz.

Dopiero teraz Krasin odwrócił się do Klimienki.

– A co miałbym innego robić? Nie zrozum mnie źle, przyjacielu, lecz choć odczuwam głęboką wdzięczność za liczne zaszczyty, jakie mnie spotkały ze strony Titowa i ojca Orłowa, a zwłaszcza ze strony pewnej przeuroczej pielęgniarki z Tallina, która skutecznie rozwiązała wszelkie moje obawy co do zachowania zdolności reprodukcyjnych, to jednak wróciłem.

Przygnało mnie tu bezgraniczne oddanie dla naszych socjalistycznych obowiązków internacjonalistycznych. – W jego głosie dało się wyczuć jawny sarkazm.

– Spotkajmy się dziś wieczorem, przy kieliszku podzielimy się najświeższymi kłamstwami, kiedy generałowie będą już w łóżkach. Zgoda? Musimy porozmawiać. Ta wojna nie daje mi żadnej satysfakcji, kiedy nie mam przy sobie zaufanego przyjaciela, towarzyszu podpułkowniku. A podczas twojej nieobecności nawet nie miałem do kogo gęby otworzyć.

Sasza zmarszczył brwi i spojrzał na Anatolija z ukosa, ale nic nie powiedział.

Klimienko usiadł na swoim miejscu przy stole. Wkrótce zjawili się następni oficerowie i punktualnie o siódmej wszyscy wstali z krzeseł, witając wkraczającego generała Titowa.

– Spoczniej. Proszę usiąść – rzucił obcesowo, zajmując miejsce u szczytu stołu. Niemal odruchowo sięgnął po papierosa i zapalił, dając tym samym znać pozostałym, że mogą pójść w jego ślady. Po chwili zaczął podniosłym tonem:

– Towarzysze. Zaprosiłem was na to dzisiejsze nadzwyczajne posiedzenie z powodu dokumentów, jakie nadeszły z Moskwy, dotyczących naszych dalszych obowiązków w tym kraju. Jak się już zapewne domyślacie, będziemy omawiali sprawy ściśle tajne, dlatego zaprosiłem tylko najwyższych dowódców. Oprócz zwykłej listy obecności każdy z was będzie jeszcze musiał podpisać oświadczenie, mówiące o tym, że w pełni zrozumiał wagę poruszanych tu zagadnień. Nie muszę więc chyba tłumaczyć, że jakiegokolwiek dyskusje z osobami niewtajemniczonymi spotkają się z najsurowszymi karami. – Titow zawiesił na chwilę głos, po czym kontynuował: – Towarzysze, sekretarz generalny KPZR, Michaił Gorbaczow, podjął decyzję o podpisaniu w Genewie porozumienia z przedstawicielami najważniejszych afgańskich partii politycznych, wynegocjowanego za pośrednictwem dyplomatów amerykańskich i pakistańskich. Pod każdym względem musimy uznać tę decyzję za nieodwołalną.

Po sali przetoczył się szmer cichych pomruków.

– Najpóźniej za dwa miesiące tekst porozumienia zostanie ratyfikowany, my zaś staniemy wobec konieczności wycofania naszych wojsk z Afganistanu. Według zapisów porozumienia będziemy mieli na to co najmniej dziewięć miesięcy, nie więcej jednak niż półtora roku. Co gorsza, zostaniemy zobowiązani do wycofania połowy oddziałów liniowych w ciągu trzech miesięcy od daty ratyfikacji.

Większość oficerów przyjmowała te dane ze skrajnym niedowierzaniem.

– Zgadza się, towarzysze – powtórzył Titow. – Będziemy musieli przerzucić przez granicę

połowę stanu armii w ciągu trzech miesięcy. Wyraźnie dałem do zrozumienia ministrowi obrony, że czterdziesta armia wolałaby mieć na wycofanie znacznie więcej czasu, by nie wyglądało to na paniczną ucieczkę. Tak więc, towarzysze, musimy uznać, że realizacja naszych internacjonalistycznych obowiązków w Demokratycznej Republice Afganistanu dobiega końca. – Nerwowo zdusił niedopałek w popielniczce i dodał: – Osobiście rozmawiałem z sekretarzem generalnym, ma się rozumieć na rozkaz generała Borysa Wsiewołodowicza, i wspólnie ustaliliśmy parę rzeczy.

Już widzę, jak na rozkaz Gromowa rozmawiałeś z Gorbaczowem, pomyślał Klimienko, zerkając na Titowa. Naczelnny zawsze się chowa za twoimi plecami, jeśli w grę wchodzi jakiegokolwiek ryzyko polityczne. To on musi wrócić na białym koniu i zostać bohaterem z Afganistanu, a tobie przypadnie rola tego, który w panice wycofał stąd armię.

– Powiedziałem sekretarzowi generalnemu – ciągnął Titow – że skoro zapadła polityczna decyzja wycofania wojsk z Afganistanu, a my, w dowództwie Armii Radzieckiej popieramy kierownictwo partii we wszystkich decyzjach, musimy także mieć na uwadze nadzwyczaj istotną kwestię ochrony naszych wojsk w kraju, przy czym chodzi nie tyle o zapewnienie bezpieczeństwa żołnierzom, ile o przedsięwzięcie odpowiednich kroków, by nasze wycofanie nie zostało potraktowane jak ucieczka z tego przeklętego kraju. Sekretarz generalny odparł, że doskonale rozumie stanowisko Borysa Wsiewołodowicza oraz innych dowódców Sił interwencyjnych, nie wyobraża sobie jednak, by cokolwiek mogło go skłonić do zmiany decyzji. Oznajmił, że wręcz przeciwnie, byłby raczej gotów przystać na żądania Amerykanów, stanowczo domagających się całkowitego wycofania w ciągu dziewięciu miesięcy i przerzucenia co najmniej połowy wojsk w okresie pierwszych dziewięćdziesięciu dni po ratyfikacji porozumienia. Odparł, że do naszych obowiązków należy ratowanie honoru żołnierza radzieckiego w czasie tej operacji. Osobiście uważam, towarzysze, że to oświadczenie daje nam dość dużą swobodę działania przed ostatecznym wycofaniem się z Afganistanu. Są jakieś pytania?

Dowódca sto piątej Gwardyjskiej Dywizji Desantowej szybko podniósł rękę.

– Giennadiju Iwanowiczu, to chyba najgorsza pora na rozpoczęcie przygotowań do wycofania. Rebelianci szykują największą wiosenną ofensywę tej wojny. Za kilka tygodni zaczną topnieć śniegi na przełęczach i wtedy duszmani ruszą do walki. Po ich stronie nie widać żadnych przygotowań do zawieszenia broni, raporty wywiadowcze informują, że we wszystkich sektorach

trwają intensywne przygotowania do działań zbrojnych. Jeśli teraz mielibyśmy stąd odejść... a raczej uciec, chcąc zachować przynajmniej odrobinę honoru, powinniśmy najpierw dać tym ludziom srogą nauczkę. Nikt przecież nie chce, żeby nasze oddziały były zmuszone w boju torować sobie drogę powrotną do domu!

Titow popatrzył na Klimienkę.

– Pułkowniku, przedstawcie krótkie podsumowanie naszej sytuacji militarnej, stanu zaopatrzenia rebeliantów oraz tego, czego można się spodziewać po stopnieniu śniegów. Tylko się streszczajcie.

Poprzedniego wieczoru generał kazał mi przygotować taki syntetyczny raport. Anatolij wstał i podszedł do wielkiej mapy taktycznej Afganistanu.

– Towarzysze, bez żadnej przesady w ciągu ostatniego półtora roku na wszystkich odcinkach musieliśmy się cofać przed nacierającymi rebeliantami. Od czasu wprowadzenia przez nich do walki najnowszych samonaprowadzających rakiet typu ziemia-powietrze, niemal całkowicie utraciliśmy olbrzymią przewagę wynikającą z siły lotnictwa. Już pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku duszmani zestrzeliwali średnio jedną naszą maszynę dziennie. Później uległo to zmianie, ale tylko dlatego, że obraliśmy bardziej tradycyjną taktykę działań sił powietrznych.

– Co to znaczy, że obraliśmy bardziej tradycyjną taktykę działań, pułkowniku? – zapytał dowódca sto ósmej Gwardyjskiej Dywizji Zmechanizowanej. – Nie jestem w stanie wybłągać nawet takiego wsparcia lotniczego, żeby w spokoju przerzucić pododdziały z jednej doliny do drugiej. Lotnicy nie chcą nas osłaniać nawet z wysokości czterech tysięcy metrów! Taka jest prawda! A patrole śmigłowców nie rozstawiają już czujek wzdłuż szczytów pasm, które mogłyby nas zabezpieczyć podczas wkraczania w dolinę! Jak można w ogóle myśleć o ruchach wojsk w tych górach, skoro nie da się im zapewnić bezpiecznego przejścia?

– Takie uwagi ze strony dowódców wojsk lądowych wydają się nie na miejscu, skoro to właśnie lotnictwo ponosiło najcięższe straty w ciągu ostatniego roku – odparł z goryczą pułkownik, dowodzący największą bazą lotniczą w Baghramie. – A w siłach powietrznych giną głównie oficerowie, towarzysze. Mam przy sobie parę zdjęć ukazujących warunki, w jakich przetrzymywani są piloci, którzy wpadli w łapy duszmanów. Proszę im się przyjrzeć. Nie są to przyjemne widoki. Moim zdaniem, jedynym sposobem na zmianę naszej obecnej sytuacji jest przypuszczenie frontalnego ataku na wszystkie bazy zaopatrzeniowe po drugiej stronie linii zero.

Krótko mówiąc, domagam się zgody na zbombardowanie wybranych celów w Pakistanie.

Titow zaczekał parę sekund, aż opadną emocje.

– Doskonale rozumiem wszystkie wasze problemy, które musicie pokonać, chcąc ograniczyć wielkość naszych strat. Dyskutowałem w tej sprawie z ministrem obrony i ostrzegłem go o konieczności, że się tak wyrażę, zachowania daleko posuniętych środków bezpieczeństwa.

Wokół stołu rozległy się niezbyt starannie tłumione chichoty, jakie musiał wywołać sam pomysł kierowania jakichkolwiek ostrzeżeń pod adresem Dmitrija Jazowa. Nowy minister obrony nie cieszył się respektem w sztabie armii, większość oficerów nie mogła zrozumieć, dlaczego wybór Gorbaczowa padł właśnie na niego.

– A co się tyczy nalotów na Pakistan – ciągnął Titow – obawiam się, iż w ogóle nie wchodzi one w rachubę, mimo że wniosek Aleksandra Iwanowicza jest całkowicie uzasadniony. Zgadzam się, że jedynie silniejszy cios zadany rebelianckim dostawcom mógłby odmienić naszą sytuację, lecz nikt w Moskwie nie zaakceptuje tego rodzaju posunięć. Pułkowniku, możecie dalej omawiać swój raport.

Anatolij sięgnął po drewnianą wskazówkę i pokazując na mapie wybrane punkty, zaczął charakteryzować najważniejsze obozy zaopatrzeniowe rebeliantów, położone wzdłuż granicy Pakistanu. Zaznaczył jednak, jak trudnym zadaniem byłoby wykonanie jednoczesnego ataku z powietrza na tyle punktów o niezbyt wielkim znaczeniu. Później zaś wskazał miejsce w głębi pakistańskiego Pendżabu i rzekł:

– Tylko tutaj, towarzysze, w Odźri, w połowie drogi między Rawalpindi a Islamabadem, znajduje się jedyna baza, której zniszczenie duszmani mogliby dotkliwie odczuć. Zgromadzono tam około dziesięciu tysięcy ton zapasów, a wśród nich te najważniejsze, czyli sto pięćdziesiąt stingerów. Następne dziesięć tysięcy ton zapasów przetrzymywanych jest w drugim obozie, jeszcze dalej od granicy. Podsumowując, rebelianci są bardzo dobrze wyekwipowani, dlatego w nadchodzących tygodniach można się spodziewać znacznego nasilenia walk. Dziękuję.

Titow dał oficerom pół minuty na prowadzoną półgłosem wymianę zdań, wreszcie rozkazał:

– Proszę was wszystkich, towarzysze, o przygotowanie planów wycofania swoich oddziałów z Afganistanu albo w ciągu dziewięciu miesięcy, poczynając od połowy maja, albo alternatywnie w ciągu osiemnastu miesięcy. Chciałbym, abyście te plany przygotowali osobiście, nie korzystając z niczyjej pomocy. Przystąpimy do ich omawiania, kiedy będziemy gotowi do wykonania następnego kroku. Są jakieś pytania?

Nikt się nie zgłosił. Generał zwrócił się do Klimienki:

– Towarzyszu pułkowniku, proszę się stawić w moim gabinecie za pięć minut. Wy również, Krasin.

Titow niedbałym ruchem ręki wskazał im krzesła przy biurku.

– Moi dowódcy mają rację, Anatoliju Wiktorowiczu. Musimy zorganizować atak na bazy duszmanów, ale w taki sposób, by nie nadszarpać autorytetu naszego najwyższego dowództwa. Rozumiecie chyba, że nie mogą wydać rozkazu przeprowadzenia tak szeroko zakrojonej akcji z udziałem regularnych jednostek lądowych i lotnictwa. To jednak wcale nie oznacza, że w ogóle nie możemy wykonać natarcia. Jestem pewien, że macie w tej sprawie pewne propozycje.

Klimienko przez chwilę wpatrywał się w generała. W ciągu minionego półtora roku tak jak wszyscy oficerowie z dowództwa czterdziestej armii zyskał wiele szacunku dla tego człowieka. Titow stanowił nieodłączną część znieawidzonego systemu, lecz zauważalna na każdym kroku uczciwość czyniła go wyjątkiem wśród jemu podobnych. Anatolij doszedł do wniosku, że znacznie więcej ich ze sobą łączy, niż dzieli.

– Od ponad dwóch miesięcy zbieram materiały dotyczące gromadzenia zapasów w obozie Odźri. Nie ulega wątpliwości, że Amerykanie wciąż zwiększają dostawy, na wypadek, gdyby zgodnie z podpisanym w Genewie porozumieniem zarówno Związek Radziecki, jak i Stany Zjednoczone, musiały skończyć z zaopatrywaniem w broń jakichkolwiek ugrupowań afgańskich.

Titow przytaknął ruchem głowy.

– Nie wspominałem o tym na zebraniu, ale tak właśnie brzmi jeden z warunków podpisanego porozumienia. Nazwano to regułą odwrotnej symetrii. Prawda, że język współczesnej dyplomacji zaczyna być torturą dla normalnego człowieka? Mniejsza z tym. Gorbaczow zapewne będzie musiał przystać na ten warunek. Nie odpowiedzieliście jednak na moje pytanie, Anatoliju Wiktorowiczu. Co możemy zrobić w sprawie obozu Odźri?

– Wsadzić go w powietrze.

– Tak po prostu? – zdziwił się Titow.

– Oczywiście, towarzyszu generale. Tak po prostu. Obecnie w drodze do portu w Karaczi są trzy statki, wyładunek towarów rozpocznie się jeszcze w tym miesiącu i potrwa do kwietnia. Normalnie zapasy są transportowane koleją albo przez Rawalpindi do Odźri, albo przez Kwetę do Beludżystanu. Według naszych informatorów, większość towarów znajdujących się jeszcze na

morzu pojedzie do Rawalpindi, gdzie zostanie przeładowana na ciężarówkę i dostarczona do Odźri. Właśnie tam powinniśmy przystąpić do akcji, na stacji kolejowej w Rawalpindi.

– Jaką akcję macie na myśli?

– Na przykład podmianę skrzyń, najlepiej od razu kilku, załadowanych egipskimi bombami fosforowymi wyposażonymi w nasze detonatory radiowe. Kiedy transport dotrze do Odźri, naciśniemy guzik, a Pakistańczycy nie będą już w stanie niczemu zapobiec.

– Czy da się to załatwić bez niepotrzebnych ofiar wśród ludności cywilnej?

– Niezupełnie, ale chyba nie musimy się przejmować ofiarami wśród cywilów. Przede wszystkim dlatego, że winą zostaną obarczeni ludzie nadzorujący przeładunek w samym centrum wielkiego miasta, a nie ci, którzy faktycznie wywołają eksplozję. Zresztą postaramy się dokładnie zatrzeć ślady.

– Sądzicie, że uda się cokolwiek zatuszować po wysadzeniu w powietrze największych składów amunicji wroga?

– Sami mówiliście, towarzyszu generale, że w tej części świata niemal wszystko da się skutecznie zagmatwać – odparł z uśmiechem Klimienko. – A co się tyczy samej eksplozji, w omawianym transporcie rzeczywiście będą egipskie bomby zapalające. Pakistańczycy już od dłuższego czasu skarżą się na ich kiepską jakość. Twierdzą, że dostają bomby zleżące i nieszczelne, z których ulatniają się pary fosforu, te zaś w zetknięciu z powietrzem mogą się samoczynnie zapalić. W minionych latach kilkakrotnie dochodziło do takich wypadków. Nietrudno więc będzie tak wszystko zorganizować, by wina spadła na producenta bomb.

– Jesteście pewni, że da się tak przeprowadzić akcję, by przyczyna pożaru nie budziła żadnych wątpliwości?

– Całkowicie. Nasza rezydentura w Islamabadzie ma pewne dojścia do wielu pakistańskich organizacji opozycyjnych, można więc będzie je nakłonić, by podniosły krzyk, że działania bezdusznego reżimu wojskowego spowodowały ofiary wśród niewinnych ludzi. Z wyjątkiem służb specjalnych armii pakistańskiej chyba nikt nie będzie zanadto dociekał przyczyny eksplozji. W dodatku niektóre źródła prasowe powiązane z muzułmańskimi fundamentalistami narobią piekła z powodu tandetnych, groźnych bomb dostarczanych na teren dżihadu przez wrogich islamowi Egipcjan.

– Dacie radę to zorganizować do początku kwietnia? Wszystko wskazuje na to, że porozumienie genewskie zostanie podpisane jeszcze w tym miesiącu.

– Poczynilem już pewne przygotowania w porozumieniu z rezydentem z Islamabadu. Powiedział mi, że zbierze odpowiednich ludzi, którzy podmienią skrzynie na stacji kolejowej. Wystarczy, towarzyszu generale, że wyślecie mnie i jeszcze jednego oficera, na przykład obecnego tu Krasina, przez Moskwę do Pakistanu, abyśmy mogli w odpowiedniej chwili odpalić ładunki.

– Nie chcecie powierzyć tego zadania rezydentowi z Islamabadu?

– Tylko z tego powodu, że gdyby akcja zakończyła się sukcesem, byłby to sukces czterdziestej armii, gdybyśmy zaś zostali zdemaskowani, winą obciążono by KGB.

Titow uśmiechnął się szeroko.

– W takim razie proszę szykować wszystko do przeprowadzenia akcji na początku kwietnia.

Mozoląc się z miniaturową klawiaturą, Klimienko starannie wprowadził END ENDX na końcu depeszy, schował szyfrator do szuflady, ostrożnie uchylił drzwi i wyrzwał na korytarz. Wartownik już drzemał na krzeselku przy schodach, wykorzystując spokój panujący w budynku na jego zmianie. Sasza towarzyszył Titowowi na obiedzie w kasynie oficerskim, dlatego Klimienko miał wyjątkową okazję do nadania kolejnego zakodowanego meldunku, już szesnastego w ciągu siedemnastu miesięcy, jakie minęły od ostatniego spotkania z Aleksandrem tuż przed uwolnieniem Orłowa.

Uważnie śledził raporty sekcji nasłuchowej Szesnastego Dyrektoriatu, która sumiennie odnotowała pojawienie się jeszcze jednego nadajnika na terenie Kabulu. Piętnaście jego meldunków zostało przechwyconych, a na jego biurku lądowały raporty z niezmiennie taką samą adnotacją: LOKALIZACJA NADAJNIKA NIEZNANA, SYSTEM KODOWANIA NIE ROZPOZNANY. Uspokajało go to, że w Kabulu działało aż kilkanaście podobnych radiostacji, których szyfrów nie udało się złamać. System Alfa, pełniący tak ważną funkcję podczas negocjacji w sprawie Orłowa, był wykorzystywany jeszcze przez parę miesięcy po wymianie jeńców, lecz po przechwyceniu paru fałszywych depesz dotyczących planowanego ataku rebeliantów na lotnisko w Kabulu, nadajnik umilkł na zawsze. Specjaliści z Szesnastego Dyrektoriatu ocenili w raporcie, że przestało im dopisywać szczęście i szpieg został zabity bądź też z innych nieznanych powodów przestał nadawać. Wiele wskazywało na to, że przestroił radiostację, gdyż pojawiły się transmisje w odmiennym paśmie, inaczej szyfrowane. Klimienko zaś był pewien, że Fannin specjalnie ułożył taki plan działania, by zamaskować ich indywidualny

system łączności.

Cofnął się od drzwi, wyjął z szafy pancерnej pozostałe elementy urządzenia i błyskawicznie je połączył na stoliku przy szczelnie zasłoniętym oknie. Jeszcze raz wyjrzał na korytarz, lecz wartownik nie ruszał się z miejsca, wrócił więc, rozłożył antenę i wcisnął klawisz nadawania. Czerwona lampka na obudowie zaświeciła się na dwie sekundy, chwilę później na krótko zabłysła zielona, oznaczająca potwierdzenie odbioru.

Anatolij błyskawicznie rozmontował nadajnik, skasował treść komunikatu z pamięci szyfratora i zamknął urządzenie w szafie pancерnej. Spojrzał na zegarek, było dwanaście po ósmej. Dopiero teraz puls łomoczący w jego skroniach zaczął się stopniowo uspokajać.

Ermitaż, 4 marca, 22.00

Tim Rand odsunął się dyskretnie, umożliwiając Fanninowi rozszyfrowanie depeszy, przeczytanie jej na ekranie monitora i wydrukowanie jednej kopii.

– Dzięki, Tim – odezwał się Aleksander. – Chyba niedługo będziemy musieli specjalnym kanałem nawiązać łączność z Białym Domem.

Wychodząc z sali, jeszcze raz przebiegł wzrokiem tekst meldunku relacjonującego przebieg odprawy Titowa. Mój Boże, pomyślał, to naprawdę punkt zwrotny. Wreszcie się stąd zabierają.

Biały Dom, 4 marca, 11.45

Zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Jim Taggart, wyświetlił na ekranie tekst depeszy omawiającej najnowsze plany radzieckiej polityki względem Afganistanu. Nic nie wiedział o źródle, z którego pochodziły te informacje, nawet sposoby łączności pozostawały ścisłą tajemnicą, choć w obecnej dobie nie było to coś niezwykłego w pracy wywiadu. Jednak tym razem nie zdążył jeszcze doczytać do końca, a już pospiesznie sięgnął do interkomu.

– Umów mnie na spotkanie z generałem Bancroftem, szybko – polecił sekretarce. – Powiedz, że chodzi o bardzo pilną sprawę.

Pięć minut później siedział już przed biurkiem emerytowanego generała Barletta Bancrofta, od niedawna pełniącego funkcję prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Czy te doniesienia są wiarygodne, Jim? – spytał generał, przeczytawszy depeszę. –

Możemy to pokazać prezydentowi? Podejrzewam, że i ten meldunek nadesłał ów tajemniczy agent, który od roku dostarcza nam tak wielu cennych informacji. Należy wnioskować, że dowódcy Armii Radzieckiej potraktują rozkaz wycofania się z Afganistanu w ciągu dziewięciu miesięcy jak osobistą zniewagę, a jeszcze bardziej rozwścieczy ich konieczność wycofania połowy stanu zaledwie w ciągu dziewięćdziesięciu dni. Z drugiej strony, Gorbaczow postawił sprawę jasno, ratowanie honoru armii jest obowiązkiem wojska, a nie polityków. Dobry Boże, Gorby naprawdę podkłada głowę pod topór.

– Uważam, generale, że wiadomości są wiarygodne i powinniśmy je przekazać prezydentowi. Ma pan także rację, że pochodzą z tego samego źródła.

– Wyślij też kopię do Rzymu, jako ściśle tajną, do wyłącznej wiadomości ambasadora Armbrustera. Niech wie, co Woroncow kryje w zanadrzu przed ostatnią turą rozmów pokojowych. Gdzie ten facet się zagnieździł? W Politbiurze, w najbliższym otoczeniu samego Gorbaczowa?

– Wszystko na to wskazuje, choć, moim zdaniem, to tylko starannie utrzymywane pozory. Sądzę, że dostajemy te informacje z Kabulu. Zresztą niezależnie od tego, powinniśmy uczynić wszystko, by go chronić.

– W takim razie wysyłaj depesze utartymi kanałami CIA.

Rozdział 31

Kabul, dowództwo 40. armii, 4 marca 1988 roku, 22.30

Sasza jak zwykle siedział z nogami na biurku i niebezpiecznie balansował na dwóch nogach krzesła. Skończyli właśnie trzecią kolejkę wódki.

– Tylko sobie wyobraź, Tola, jestem już pół roku na Krymie, a tu nagle ordynator podczas obchodu mówi, że sam minister obrony dopytywał się o moje zdrowie. Dobrze wiem, że to Orłow pociągał za sznurki, wdzięczny za uratowanie chłopaka...

– Jazow, Orłow, Gromow... Wszyscy się o ciebie martwili. Ale gdybyśmy schrzanili tę sprawę z wymianą jeńców, ci sami generałowie by się przepychali, żeby nam obu solidnie dokopać. – Klimienko także miał nieco w czubie i język zaczynał mu się plątać.

– Nie przerywaj, jeszcze nie skończyłem. No i koło dziewiątej wieczorem, kiedy ten pracujący na nocnej zmianie anioł z Tallina... wiesz, estońska blondyneczka, która przygotowywała mnie do badań ultrasonograficznych na najnowszym niemieckim aparacie... no, w każdym razie rozwarła szeroko swoje wielkie błękitne oczy i mówi z tym ciepłym nadbałtyckim akcentem: „Majorze Krasin, sądzę, że lekarze się pomylili”. Leżałem sobie spokojnie na wznak, rozleniwiony i senny, a nawet, prawdę mówiąc, bardziej niż rozleniwiony, kiedy ten anioł dotykał ciepłymi paluszkami moich wrażliwych miejsc... Gapiąc się dalej w sufit, odpowiadam: „Po pierwsze, siostró Galino, jestem już pułkownikiem. Zostałem awansowany za szczególną odwagę w akcji zbrojnej. A po drugie, to jak tacy wybitni fachowcy, towarzysze lekarze, mogą się mylić?”. Na to ona zerka na drzwi, czy nikt nie idzie korytarzem, po czym unosi prześcieradło, którym byłem zakryty, i mówi: „Sami spójrzcie, pułkowniku”. Podnoszę głowę, a tu mój interes sterczy jak komin fabryczny. Może nie nadawał się jeszcze do cięcia szkła, ale rozumiesz, jak na człowieka, któremu tłumaczono, że całego męskość diabli wzięli, osiągnąłem naprawdę godny podziwu rezultat. Więc spoglądam na mego anioła i mówię z całkowitą powagą: „Siostró Galino, doktor Stiepanow ocenił, że jest najwyżej jedna szansa na tysiąc czy nawet na milion, iż coś takiego może się przydarzyć. A jednak się stało! Ale zdecydowanie za wcześnie! Obawiam się, że wszystko pójdzie na marne!”. Na to mała Galina, z wybałuszonymi oczami pyta: „Jak to pójdzie na marne?”.

Sasza urwał na chwilę, pociągnął łyk wódki ze szklanki, po czym ciągnął:

– No to walę jak w dym: „Doktor Stiepanow uznał, że jeśli uda mi się osiągnąć taki stan, powinienem koniecznie pójść z jakąś kobietą do łóżka, bo jeśli nie wykorzystam okazji i zmarnuję ten spontaniczny, harmonijny cykl regeneracji seksualnej, szansę na odzyskanie pełnej sprawności mogą zostać zaprzepaszczone na zawsze”. Galina w lot chwyciła to nadzwyczajne wyzwanie chwili i mówi stanowczo: „Nie możemy dopuścić, pułkowniku, żeby zostały zaprzepaszczone”. Jeszcze raz wygląda przez drzwi na korytarz, czy nikt nie nadchodzi, po czym z taką słodyczą w głosie jak cały anielski chór, oznajmia: „Osobiście się zatroszczę, byście w pełni odzyskali siły”. Pospiesznie siada mi okrakiem na nogach, wygina grzbiet jak gotycka katedra, pochyla się nad moim interesem i po chwili życie staje się jeszcze piękniejsze.

– Słyszałem, że prawie wszyscy żołnierze w szpitalach miewają takie fantazje erotyczne.

– Daję ci słowo honoru, Tola, że mówię szczerą prawdę. Następnego ranka powiedziałem doktorowi Stiepanowowi, że minister Jazow będzie bardzo dumny ze wzorowej opieki, jaką otacza się rannych w tym szpitalu. Dałem mu nawet do zrozumienia, że chodzi mi o niektóre pielęgniarki odznaczające się troskliwością, wykraczającą poza zakres podstawowych obowiązków. I choć nie wymieniłem, kogo mam na myśli, to musiał chyba przekazać Galinie, żeby nadal tak troskliwie opiekowała się bohaterskim pułkownikiem, bo efekt był wspaniały. Widocznie doktora do głębi wzruszyła moja szczerą pochwałą starań jego personelu, a szczególnie to, że poparłem ją nazwiskiem naszego wstrętnego spasionego ministra obrony.

– Masz moralność dachowego kocura – odparł Klimienko, po raz kolejny napełniając szklanki.

– Od tamtej pory piękna Galina stosowała swoją wyjątkową terapię każdego wieczoru, dopóki na dobre nie odzyskałem sił. Trzy razy zabierała mnie nawet na wycieczki do Jałty i Sewastopola. Chyba się zakochałem. Gdyby nadarzyła się sposobność, pewnie bym wykradł jakiś kuter i nawiał razem z nią do Stambułu, a stamtąd gdzieś dalej na Zachód. Jestem pewien, iż popłynęłaby ze mną.

– Najważniejsze, że nie czułeś się samotny.

– Ani trochę. Raz odwiedził mnie stary przyjaciel. Klimienko natychmiast wychwycił zmianę w tonie głosu Krasina.

– Stary przyjaciel? Nie wiedziałem, że masz na Krymie jakichś znajomych.

– To był Karm Siergiejewicz.

– Jasna cholera! Czego on chciał od ciebie? Założę się, że nie opowiadałeś mu o swojej

regeneracji seksualnej.

– Powiedział, że był przejazdem w okolicy i przyszło mu do głowy, aby sprawdzić, jak się miewam. Przesiedział u mnie ze dwie godziny, jakby rzeczywiście martwił się o moje zdrowie. Zabrał mnie na spacer w wózku inwalidzkim, podał nawet swój domowy adres i numer telefonu w Moskwie na wypadek, gdybym nie miał się gdzie zatrzymać. Nie ukrywał, że interesuje go wszystko, co my razem przeżyliśmy w Afganistanie. Czy mówiłem ci już, że wcześniej odwiedził mnie w kabulskim szpitalu, tuż przed moim wyjazdem na Krym?

– Sam mi to powiedział. Całe szczęście, że jeszcze w Dżalalabadzie ustaliliśmy wspólną wersję wydarzeń.

– I tym razem spotkanie wyglądało podobnie. Oznajmił, że jest bardzo dumny z naszych dokonań, ale martwi go to, iż wielu oficerów nie potrafi sobie wyjaśnić, co się właściwie zdarzyło tamtej nocy nad rzeką. Powiedział: „Niektórzy wciąż nie mogą zrozumieć, jaką obralście taktykę, skoro utraciliśmy dwa śmigłowce. Jakoś nikt nie chce uwierzyć, że to kapitan Łukin osobiście kierował operacją. Szkoda więc, że Łukin zginął i nie może sam wyjaśnić powodów swoich dziwnych decyzji”.

Klimienko smutno pokiwał głową.

– Zaczepił mnie z tym samym tekstem zaraz po uwolnieniu Orłowa. Jemu się zdaje, że coś wyniuchał, tylko sam nie wie co. Powiedziałem mu tylko, że to ja nakłoniłem Łukina, by wydał pilotom rozkaz wykonania dwóch szybkich nawrotów, ponieważ chciałem precyzyjnie zlokalizować amerykański nadajnik. Jak ustaliliśmy w Dżalalabadzie, wziąłem na siebie pełną odpowiedzialność za tę część operacji. Zresztą dowiedział się chyba tego samego z przesłuchań pilotów dwóch ocalałych maszyn, tyle że nie dał im wiary.

– I pewnie do dzisiaj nie wierzy w naszą relację. Ponadto wrócił raz jeszcze do sprawy Szadrina, jak gdyby śmierć majora była ogromną stratą dla całej armii. „Biedny chłopak. Jego widok musiał wami wstrząsnąć do głębi”, mówił. „Wciąż nie mogę uwierzyć, że Szadrin postąpił tak głupio. To do niego niepodobne. Nie mogłem nawet patrzeć na jego zwłoki w kostnicy”. W kółko powtarzał tego typu bzdury.

– A co ty o tym myślisz?

– Jestem pewien, że Karm Siergiejewicz ani trochę nie lubi pułkownika Anatolija Wiktorowicza Klimienki, dlatego postanowił dokładniej się przyjrzeć jego poczynaniom, a nastąpiło to prawie dokładnie w tym samym czasie, kiedy w twoim życiu zaszły olbrzymie

zmiany. Ale Karm nie wie niczego konkretnego. Fascynuje go postać tajemniczego Amerykanina o imieniu Aleksander, lecz i w tej sprawie nie jest w stanie niczego zrobić. Zadawał mi setki pytań, powtarzałem jednak, że po prostu nie umiem na nie odpowiedzieć. Mogłem mu tylko z grubsza opisać wygląd Amerykanina. Moim zdaniem, Nikitienko zbyt się koncentruje na tobie, pewnie dlatego nie umie powiązać ze sobą nawet oczywistych faktów. Strasznie chce was dopaść, pułkowniku, tylko nie ma zielonego pojęcia, z której strony należałoby podejść. Nawet teraz, po przeniesieniu do Moskwy, nie może o was zapomnieć, ale wciąż jest zaślepiony własną nienawiścią.

– Jest takie stare powiedzenie, Sasza, że nawet ślepa świnia znajdzie żołądź pod dębem. Postaram się nigdy nie odwracać plecami do Karma Siergiejewicza.

Po wyjściu Krasina Anatolij po raz drugi tego wieczora wyjął z szafy radiostację. Za pięć minut mogła nadejść odpowiedź Aleksandra, zakładając, że ją wysłał. Umówili się bowiem, iż komunikaty będą powtarzane każdorazowo trzydzieści minut po pełnej godzinie aż do emisji sygnału potwierdzającego odbiór. I punktualnie o wpół do jedenastej na obudowie odbiornika na krótko rozbłysła zielona lampka. Klimienko pospiesznie włączył szyfrator i dwukrotnie odczytał wyświetloną na ekranie wiadomość:

Bardzo dziękuję za szczegóły raportu litowa. Doskonale rozumiem powody, dla których mudżahedini powinni choć trochę ograniczyć wiosenne akcje, lecz nie sposób im czegokolwiek narzucić, bałbym się nawet próbować. Nie wiem tylko, jak traktować zdanie, że „w przeciwnym razie nastąpi gwałtowna reakcja ze strony czterdziestej armii”. Proszę o wyjaśnienie. Udaję się teraz na spotkanie z Pawłem, by powiadomić go, że ma czekać na twój telefon w ciągu dwóch tygodni. Opowie mi o przebiegu waszego ostatniego spotkania. Wyślę jeszcze jedną depezę przed twoim wyjazdem do Moskwy.

To Katerinę ochrzcili męskim imieniem Paweł. Aleksander sam je wybrał, być może na cześć cara Pawła I, syna Katarzyny Wielkiej. Nie miało już większego znaczenia, że tenże Paweł I prowadził skrajnie nieudolną politykę wobec Kijowa i całej Ukrainy.

Klimienko wcisnął klawisz kasowania i trzymał go tak długo, aż zaświeciła się czerwona dioda, bezpowrotnie usuwając tym samym tekst depezy z pamięci urządzenia. Następnie przełożył baterie do tranzystora, ustawił pierwszy program z Moskwy i do końca ściszył

odbiornik. Wiedział, że gdy rano jego adiutant znajdzie na biurku włączone radio z prawie całkiem wyczerpanymi bateriami, natychmiast zastąpi je nowymi. Sam kazał powielić i rozdać pracownikom wytyczne centrali KGB, według których należało wziąć pod obserwację ludzi zbyt często kupujących świeże baterie. Według dowództwa, mogło to naprowadzić na trop zakamuflowanej szpiegowskiej radiostacji, co zresztą niekiedy znajdowało potwierdzenie.

Moskwa, 8 marca, 8.00

Nikitienko prawie od roku pracował znowu w moskiewskiej centrali. Ostatecznie uwolnił się od wspomnień z Bejrutu i zaczynał od nowa budować swoją karierę. A swoista pokuta, jaką odbył w Kabulu, pozwoliła mu teraz energicznie włączyć się do tego gigantycznego zadania, jakie wiosną osiemdziesiątego ósmego roku niemal bez reszty pochłaniało Michaiła Gorbaczowa – wycofania wojsk z Afganistanu bez wielkiej ujemy na honorze Armii Radzieckiej.

Jego nowy sprzymierzeniec w centrali, Leonid Władymirowicz Szapkin, przewodniczący komisji nadzoru Pierwszego Dyrektoriatu KGB, szybko docenił umiejętności Nikitienki w zakresie takiej obróbki raportów napływających z Afganistanu, by zawierały dokładnie te treści, których oczekiwał sekretarz generalny. Karm świetnie się znał na dostosowywaniu działań wywiadowczych do potrzeb polityki, nic więc dziwnego, że szykowane przez niego materiały wkrótce zapewniły jego szefowi stałe miejsce w gronie doradców Gorbaczowa.

Szapkin miał tylko jedną wadę, darzył szczerym podziwem Anatolija Klimienkę. Razem służyli w Teheranie w okresie rewolucji islamskiej, za co obaj zostali odznaczeni medalami, przed Klimienką zaś otworzyła się droga do drugiego Orderu Czerwonego Sztandaru, którym uhonorowano go za działania w Afganistanie. Nikitienko nadal musiał zachować wyłącznie dla siebie swoje obserwacje i wyniki dochodzenia, choć teraz był już niemal pewien, że zdołałby udowodnić powiązania Klimienki z tajemniczym amerykańskim agentem, Aleksandrem, których efektem stał się ciąg podejrzanych zdarzeń, począwszy od zagadkowej śmierci majora Szadrina w Ali Khel, a skończywszy na warunkach uwolnienia porucznika Orłowa. Nie musiał jedynie ukrywać swojego zainteresowania Aleksandrem, ponieważ Szapkin rozkazał przeprowadzenie szczegółowej analizy roli CIA w wojnie afgańskiej. Dał mu w tym zakresie wolną rękę, zgodził się nawet na przypisanie Aleksandrowi kluczowej roli i zlecenie próby identyfikacji tego agenta przez informatora KGB działającego w kierownictwie CIA. Próba się nie powiodła, lecz

Nikitienko świadomie nadal przypisywał Amerykaninowi olbrzymią rolę, mając po cichu nadzieję, że w końcu zdoła odkryć jego powiązania ze znieawidzonym Klimienką.

I oto teraz nadarzała się wreszcie okazja do sprawdzenia teorii, według której tajemniczy, płynnie mówiący po rosyjsku Amerykanin już od lat utrzymywał kontakt nie tylko z Klimienką, lecz także innymi wysokimi oficerami KGB. Nikitienko uzyskał bowiem zgodę na krótką rozmowę z innym groźnym zdrajcą, Witalijem Siergiejewiczem Jurczenką.

Kiedy Jurczenko zgłosił się do radzieckiej ambasady w Waszyngtonie z całkiem niewiarygodną historią, że został porwany, odurzony jakimiś środkami i poddany gruntownemu przesłuchaniu przez agentów CIA, przewodniczący Czebrikow postanowił warunkowo przyjąć jego wyjaśnienia. Przekonał wszystkich oponentów, że zdecydowanie mniej szkody przyniesie Komitetowi pozostawienie przy życiu człowieka, który rzekomo został porwany i pod wpływem narkotyków przesłuchany przez agentów obcego wywiadu, niż takiego, co za milion dolarów zgodził się na pełną współpracę z Amerykanami. Wnioskował przy tym, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw, tymczasem zaś powinno się stworzyć pozory, że Jurczenko wrócił do normalnego życia. Ten jednak nie mógł wychodzić z małej brudnej celi w podziemiach na Łubiance, a jego przerażającą samotność tylko okazjnie urozmaicano podróżyami do elegancko urządzonego mieszkania przy Sadowom Kolce, gdzie przed kamerami reporterów musiał wyjaśniać, że jest całkowicie wolnym człowiekiem. Zaraz potem odwożono go jednak z powrotem do celi.

Nikitienko z niecierpliwością czekał, aż strażnik otworzy masywną kratę w wejściu do celi, powszechnie nazywanej już „apartamentem Jurczenki”. Energicznie pchnął wewnętrzne drzwi i wkroczył do środka.

– O, Karm Siergiejewicz! Jak miło was widzieć – powitał go Jurczenko, stojąc na baczność przy pryczy. – Teraz już starzy przyjaciele bardzo rzadko mnie odwiedzają.

Cela i tak była dość przestronna, miała jakieś trzy na trzy metry, a jedyne umeblowanie poza pryczą stanowiło poobijane krzesło i wojskowe biurko na metalowych nóżkach, ze stojącą na nim lampką. Z sufitu zwisała na kablu goła żarówka, a stary szpitalny parawan zasłaniał znajdujący się w kącie klozet i zlew.

Nikitienko bez pytania usiadł na krześle.

– Doskonale wyglądacie.

Rzeczywiście Jurczenko sprawiał wrażenie wypoczętego, jakby nagle odmłodził. W jego blond fryzurze widać było tylko pojedyncze siwe włosy, a w szarobłękitnych żywych oczach zapalały się młodzieńcze skry. Nikitienko pomyślał nawet przez chwilę, czy i on wyglądałby tak dobrze w podobnych okolicznościach, zaraz jednak odegnał od siebie to denerwujące skojarzenie.

– Lekarze twierdzą, że już prawie całkiem wróciłem do siebie – odparł Jurczenko, siadając z powrotem na pryczy. – Stopniowo wróciła mi pamięć i skończyły się senne koszmary. Znowu odczuwam przypływ energii. Kto wie, może niedługo będę mógł wrócić do pracy. Pewnie się domyślacie, jak nie cierpię tego specjalnego traktowania i wszystkich kosztów związanych z moim odosobnieniem. Nawet nie wiecie, drogi przyjacielu, ile życzliwości i uznania spotkało mnie od czasu, gdy przed trzema laty uciekłem z rąk oprawców.

Nikitienko odczuwał dziwną mieszaninę zdumienia i pogardy, odnosił wrażenie, że łączy go zadziwiająco silna więź z tym obrzydliwym zdrajcą, na tyle przebiegłym, by wyssaną z palca opowieścią odwlekać moment wymierzenia należnej mu kary.

– Witaliju Siergiejewiczu, zawsze wierzyłem bez zastrzeżeń w to, że kierownictwo naszego Komitetu wzorowo troszczy się o swoich ludzi.

– Oczywiście, Karmie Siergiejewiczu. Powiedziano mi, że będziecie potrzebowali mojej pomocy. Czym mogę służyć?

Nikitienko otworzył leżącą na kolanach teczkę i wyjął magnetofon kasetowy.

– Witaliju Siergiejewiczu, potrzebna mi wasza pomoc w zidentyfikowaniu człowieka wyrządzającego wiele zła nie tylko Komitetowi, ale całemu społeczeństwu Związku Radzieckiego. Odtworzę teraz nagrany na taśmie głos tego agenta, mówiącego najpierw po angielsku, później po rosyjsku. Proszę się uważnie wysłuchać, może uda się wam go rozpoznać. Najpierw będzie część po angielsku.

Nikitienko włączył odtwarzanie.

„Oto zapis spotkania między pułkownikiem Bielenką z dowództwa sowieckiej czterdziestej armii z Kabulu i porucznikiem Orłowem ze sto piątej Gwardyjskiej Dywizji Desantowej. Dziś jest dziewiąty września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, a spotkanie odbywa się w prowincji Paktia, we wschodnim Afganistanie. Bardzo proszę, aby teraz każdy z panów przedstawił się do kamery i zechciał potwierdzić przytoczone przeze mnie informacje”.

Karm zerknął na licznik magnetofonu i powiedział:

– Będzie jeszcze jeden fragment po angielsku i pojawi się też inny głos, Witaliju Siergiejewiczu. Proszę jednak nie zwracać uwagi na odpowiedzi porucznika Orłowa, a skupić się wyłącznie na człowieku zadającym pytania.

„Poruczniku Orłow, czy był pan źle traktowany podczas pańskiego pobytu u gościnnych mieszkańców Afganistanu?”.

„Nie traktowano mnie źle, zostałem jednak bezprawnie zatrzymany przez duszmanów, z pogwałceniem międzynarodowych konwencji oraz przepisów ustanowionych przez legalne władze Afganistanu”.

„Proszę zdjąć bluzę mundurową, poruczniku”.

– A teraz, Witaliju Siergiejewiczu, ten sam agent będzie mówił po rosyjsku. Tym razem głos był trochę zniekształcony, a występujące w tle ciche szумы i trzaski świadczyły wyraźnie, iż nagrania dokonano podczas łączności radiowej. „Mówię do pilotów dwóch radzieckich śmigłowców zbliżających się do miejsca katastrofy! Zostańcie w oddali i nie otwierajcie ognia! Powtarzam, zostańcie w oddali i nie otwierajcie ognia! Mamy waszych oficerów i nie zawahamy się ich rozstrzelać, gdybyście zechcieli kontynuować atak! Jeśli mnie zrozumieliście, zapalcie na krótko szperacze! No już! Czekam!”.

– I jeszcze jeden fragment – tłumaczył Nikitienko – także po rosyjsku. Słuchajcie uważnie.

„Pozostańcie w odległości kilometra od szczytu góry. Chciałbym, aby rozmawiał ze mną tylko jeden oficer, reszta niech czeka na nasłuchu. Życie waszych dowódców zależy wyłącznie od tego, czy będziecie ściśle wykonywali moje polecenia”.

– Możecie wyłączyć magnetofon, Karmie Siergiejewiczu – odparł Jurczenko. – To mi wystarczy. Ten człowiek to wysoki oficer CIA, ma na imię Aleksander. Pochodzi z rodziny rosyjskich uchodźców.

Nikitienko szybko zmienił kasetę i zarejestrował aż trzy godziny rozmowy z Jurczenką, w której relacja z jego spotkania z Aleksandrem przeplatała się z chaotycznymi usprawiedliwieniami własnego postępowania. Na szczęście, miał dobrą pamięć i potrafił odtworzyć wiele szczegółów. Nikitienko wychodził z celi zadowolony, z nadzieją, że teraz wtyczka Szapkina zdoła szybko ustalić tożsamość amerykańskiego szpiega.

Mediolan, 11 marca, 12.10

Aldrich Ames ustawił się w kolejce na postoju taksówek przed dworcem kolejowym i ostrożnie ścisnął palcami nasadę nosa w kącikach oczu, jakby tym sposobem mógł się pozbyć dokuczliwego bólu głowy. Ostatnie cztery godziny spędził w wagonie restauracyjnym transeuropejskiego ekspresu z Rzymu i coraz bardziej zaczynała mu działać na nerwy hałaśliwość i wybuchowość Włochów, którzy chyba w ogóle nie byli zdolni do utworzenia normalnej, spokojnej kolejki, nawet po taksówkę. W duchu nakazywał sobie spokój, zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie warto wszczynać kłótni w to piękne wiosenne sobotnie popołudnie. Usiłował się skupić na własnych problemach, po raz setny zadając sobie pytanie, czy kiedykolwiek uda mu się przespać całą noc bez sennych koszmarów. A złowieszcze demony nawiedzały go już od pierwszej chwili, kiedy przed trzema laty zgodził się na współpracę z wywiadem. Od tamtej pory sytuacja wciąż się pogarszała, bardzo źle znosił samotność i okresy trzeźwości. Przed oczyma ciągle przewijały mu się twarze ludzi, których zdradził, doskwierała mu świadomość przytłaczającego ciężaru przestępstw, jakie popełnił przeciwko swoim kolegom, macierzystej agencji i ojczyźnie. Dlatego pił coraz więcej.

Tęsknym wzrokiem popatrzył na stojący po przeciwnej stronie placu hotel „Excelsior”, gdzie musiał się znajdować bar. Szybko odegnał jednak od siebie tę pokusę. Po dziesięciu minutach oczekiwania mógł wreszcie wsiąść do taksówki. Krótko rzucił szoferowi:

– Piazza delia Scala.

Wysiadł przed gmachem słynnej opery i zaczął kluczyć bocznymi uliczkami; chciał sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Później ruszył wzdłuż ciągu ekskluzywnych butików, znanych jako La Galleria, przy czym kilkakrotnie przystawał i zawracał. Wiedział, że w tej okolicy powinno go chronić co najmniej dziesięciu agentów KGB, a zespół nasłuchowy w furgonetce bez przerwy śledzi łączność na wszystkich kanałach włoskich służb specjalnych i policji, kontrolując, czy przybysz nie jest obiektem niczyjego zainteresowania. Władik powiedział mu ostatnio, że oficerowie włoskiego kontrwywiadu uważają go za tajnego pracownika ministerstwa spraw zagranicznych, ale Ames nie za bardzo w to wierzył. Miał jednak nadzieję, że nawet Rosjanie kręcący się teraz po centrum Mediolanu nie wiedzą dokładnie, kim jest i czym się zajmuje.

Wreszcie sięgnął po ostatni element kamuflażu, zwany w kręgach wywiadowczych „przystankiem maskującym”. Wszedł do Elvio, eleganckiego sklepu z męskim obuwem, gdzie po dłuższych przymiarkach kupił sobie parę ciemnych pantofli z miękkiej skóry na nieco

podwyższonych obcasach, licząc na to, że będzie w nich sprawiał wrażenie bardziej europejskie, może nawet faktycznie zostanie wzięty za włoskiego dyplomatę.

Kiedy wyszedł ze sklepu, przy krawężniku zatrzymał się duży mercedes z przyciemnionymi szybami. Ktoś od środka otworzył drzwi i Aldrich błyskawicznie i wskoczył na siedzenie.

Po dwugodzinnej rozmowie w dość obskurnym, tandetnie umeblowanym mieszkaniu Władik ocenił, że to ich najbardziej produktywne spotkanie od czasu objęcia przez niego służby na placówce w Rzymie. Moskiewscy zleceniodawcy byli bardzo zadowoleni z informacji wywiadowczych, jakich dostarczał, co powinni okazać w postaci zwiększonego honorarium. Ames miał nadzieję, że skoro sprawy zawodowe zostały już omówione, na stole zamiast wody mineralnej pojawi się rosyjska wódka. Ale Władik pochylił się ku niemu i rzekł:

– Jeszcze jedna sprawa, Ricardo. Powtórz mi treść raportu dotyczącego wojny w Afganistanie.

Ames popatrzył na łącznika ze zmarszczonymi brwiami. Podejrzewał, że specjalny wysłannik przewodniczącego Pierwszego Dyrektoriatu musiał wcześniej coś wypić. Lecz w oczach Rosjanina nie dostrzegł niczego niezwykłego.

– Mówiłem już o tym parę razy. Sądziłem, że wszystko jest jasne. W sobotę przed południem miałem służbę w centrali łączności placówki rzymskiej, gdy kanałami CIA nadszedł z Białego Domu poufny raport do wyłącznej wiadomości ambasadora Armbrustera, który w tym czasie rozmawiał z przedstawicielami uchodźców afgańskich, ale o tym powinniście więcej wiedzieć. Przesyłanie raportów tym kanałem nie jest niczym niezwykłym, lecz departament stanu korzysta z niego tylko wówczas, kiedy chce zachować treść depe2y w najściślejszej tajemnicy. Przyznam, że nigdy wcześniej nie zetknąłem się z podobnym przypadkiem. Treść raportu wszystko mi wyjaśniła. Mam nadzieję, że gdy twoi przełożeni w Moskwie dostaną kopię, także przestaną się dziwić, że poprosiłem o to nadzwyczajne spotkanie. Z tego raportu wynika bowiem jasno, że w najwyższych kręgach urzędników Kremla działa wtyczka CIA. Powtarzałem to już chyba z pięć razy, Władik. Nie mam wątpliwości, że agencja znów zyskała dostęp do waszych ściśle tajnych materiałów.

Ames uśmiechnął się szeroko, jakby chciał zademonstrować łącznikowi, że w ciągu minionego roku zdołał wyleczyć sobie zęby, dotąd silnie zażółcone, dziurawe i pełne ubytków. Władika zaś uderzyło, że skoro on już w pierwszej chwili zwrócił uwagę na te równe szeregi

bielusińskich zębów jak u filmowego gwiazdora, mógł to również zauważyć ktoś inny. Niczego jednak po sobie nie okazał. Zadowolony z uzyskania potwierdzenia ciągu zagadkowych zdarzeń, postanowił przejść do ostatniego punktu rozmowy.

– Odebrałem jeszcze jedno zlecenie od kierownictwa z Jaseniewa. Otóż w osiemdziesiątym piątym roku, w trakcie afery Jurczenki, spotkał się z nim pewien agent amerykańskich służb specjalnych, mówiący bardzo płynnie po rosyjsku i prawdopodobnie znający też doskonale ukraiński. Byłeś wtedy w obstawie Jurczenki, więc może znasz tego człowieka, który posługiwał się pseudonimem Aleksander. Naszym zdaniem, ten sam agent, nadal posługujący się identycznym pseudonimem, jest osobiście zaangażowany w wojnę afgańską. Nie wiemy nic pewnego, dlatego w centrali kazano mi cię o niego zapytać.

– To nie jest pseudonim.

– Jak to?

– Chodzi o Fannina. Aleksander to jego prawdziwe imię.

– Niemożliwe!

– Ależ tak. Posługuje się paroma całkiem innymi pseudonimami. Wiem o tym, ponieważ parę lat temu porządkowałem jego akta. W operacjach na terenie Europy Wschodniej zazwyczaj posługuje się fałszywymi dokumentami działaczy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nawet pamiętam nazwiska: Janusz Luks i Jan Gromek. Wykorzystywał paszport na nazwisko Luksa w roli łącznika Tokariewa, krótko przed tym, jak go zwinęliście.

Władik pospieszenie sporządzał notatki.

– Gdzie on teraz może być?

– Podobno rzeczywiście jest w Afganistanie, działa na osobiste polecenie Casey'a. Odszedł z agencji jakieś pięć czy sześć lat temu. Ożenił się z córką rosyjskich bądź ukraińskich emigrantów, przez co ściągnął na siebie podejrzenia o zdradę. Było wokół niego sporo szumu, dlatego zrezygnował ze służby. Z tego, co słyszałem, zamieszkał gdzieś w Azji Wschodniej, w Singapurze czy Hongkongu. Należał do tych agentów, którzy czegokolwiek się tknęli, obracali to w złoto. Casey zwrócił na niego uwagę po jakichś spektakularnych akcjach w Afryce, ale włączył do grona najbardziej zaufanych współpracowników właśnie za to, czego Fannin dokonał w operacjach wymierzonych przeciwko wam.

Rosjanin ze złością odwrócił zapisaną kartkę i spytał:

– Czemu nigdy wcześniej nas o tym nie informowałeś?

Ames poderwał się z krzesła.

– Na miłość boską, Władik! Są tysiące rzeczy, o których wam dotąd nie mówiłem, z tej prostej przyczyny, że nie pytaliście! Skąd mam wiedzieć, jakich informacji wam potrzeba?! – Uspokoił się szybko i ponownie uśmiechnął szeroko. – Co miałbym jeszcze zrobić, żeby dostać kieliszek wódki w tym lokalu?

Władik bez słowa podszedł do kredensu, wyjął butelkę *stolicznej* i napełnił dwa kieliszki.

– No, to teraz opowiedz mi wszystko, co wiesz o Aleksandrze Fanninie. Wszystko, co tylko zdołasz sobie przypomnieć.

Rozdział 32

Hongkong, 14 marca 1988 roku, 8.30

Katerina i Aleksander siedzieli przy śniadaniu na pokładzie jachtu niesionego poranną bryzą w kierunku wyspy Wellingtona. Nie widzieli się od czasu jej powrotu z trzeciej już podróży do Moskwy, a pierwszej, podczas której spotkała się z Anatolijem.

– Wypracowałam już sobie pewien schemat postępowania – powiedziała Katerina, nalewając do filiżanek herbaty z antycznego porcelanowego czajniczka. – Wiem, co i jak należy załatwiać w Moskwie, poznałam parę osób z tamtejszego ministerstwa informacji i rzeczników prasowych innych ministerstw. Osiągnęłam etap, w którym ci natrętni tajniacy z KGB wreszcie dali mi spokój, choć odnoszę wrażenie, że ostatnio tylko mnie prowokowali, jakby się chcieli zabawić. Chyba mają ważniejsze sprawy na głowie. W hotelu „Ukraina” czuję się już prawie jak w drugim domu, mimo że jest obskurny i brudny. Tak jak mówiłeś, skończyło się na stracie paru sztuk bielizny z prania i zniknięciu dziurawych rajstop z kosza na śmieci.

– Skąd wiesz, że służba po prostu nie opróżniła kosza?

– Ponieważ reszta odpadków została, zniknęły tylko te rajstopy, które zresztą wcześniej dokładnie zapakowałam w arkusz papieru śniadaniowego.

– Na pewno nie ukradł ich żaden zboczeniec. Możesz być pewna, że rajstopy z twoim zapachem zostały zamknięte w szczelnym słoju i wylądowały w podziemiach na Łubiance. Gdyby kiedykolwiek zaszła potrzeba spuszczenia psów twoim tropem, wszystko będzie pod ręką.

– Tola powiedział mi dokładnie to samo. Czy jesteś pewien, że nie można tego uznać za formę zboczenia?

– Może i tak, ale metody działania od lat pozostają te same. Gdyby naprawdę istniało podejrzenie, że trzeba będzie puszczać psy twoim tropem, ktoś w hotelu spryskałby twoje buty zapachem cieknącej suki. Psy milicyjne nawet w najtrudniejszych warunkach nie zgubią takiego tropu.

– W każdym razie obserwowali mnie przez kilka pierwszych miesięcy, a potem dali spokój, gdyż nie dawałam żadnych powodów do dalszej inwigilacji. Nie mam wątpliwości, że jeszcze po upływie pół roku widziałam parokrotnie młodych facetów, interesujących się mną nie tylko ze względu na płeć, a ostatnio już takich nie widuję. Zresztą usiłowałam nie zwracać na nich uwagi,

gdyż się bałam, że to ich tylko niepotrzebnie ośmieli. Po prostu ograniczałam się do obowiązków zagranicznego korespondenta. I kiedy wreszcie odebrałam telefon od Anatolija, byłam niemal pewna, że jestem przygotowana na spotkanie.

– Jak on je zorganizował?

– To stary wyga. Mniej więcej o wpół do szóstej zadzwonił telefon w moim pokoju. Sięgając po słuchawkę, miałam już przecucie, że to on. Najpierw podał hasło łamaną angielszczyzną... Bo tak się chyba mówi? Hasło, prawda?

– Owszem.

– No, więc po krótkiej wymianie zdań zeszałam do holu i poskarżyłam się recepcjoniście, że znów dzwonił do mnie jakiś natręt i jeśli nic nie zrobi w tej sprawie, naślę na niego całą bandę idiotów z placu Dzierżyńskiego. Ale na nim to chyba nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

– Pewnie dlatego, że sam należy do tej bandy idiotów z placu Dzierżyńskiego i wcześniej parę razy słyszał, jak składano ci podobne propozycje, gdyż telefon jest na podsłuchu.

– Możliwe. W każdym razie, udając oburzenie, pognałam do windy, lecz wysiadłam na drugim piętrze i zgodnie z planem weszłam do sklepu „Bieriozka”. Tola już tam czekał.

Opisawszy szczegółowo przebieg spotkania z Klimienką, Katerina wyciągnęła notatnik i otworzyła na zapisanej stronie.

– Mam nadzieję, że nie robiłaś notatek jeszcze na terenie Związku Radzieckiego – odezwał się Fannin.

– Dajże spokój, Aleks. Przecież to jasne. Zapamiętałam wszystko, a zapisałam dopiero w drodze powrotnej do domu. – Zerknęła do zapisków i zaczęła relacjonować: – Tola potrzebuje pomocy. Chce, żebyś sprawdził akta niejakiego Karma Siergiejewicza Nikitienki, pułkownika z Pierwszego Dyrektoriatu KGB, który początkowo służył w kontrwywiadzie, a od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego do osiemdziesiątego piątego, czyli w okresie, gdy Tola dowodził akcją przeciwko terrorystom z Hezbollahu, był na placówce w Bejrucie. Następnie został przeniesiony do Kabulu, gdzie służył do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego, a teraz jest z powrotem w Jaseniewie, znalazł się w grupie doradczej dyrektoriatu i zaczyna się od nowa wspinać po szczeblach kariery. Tola twierdzi, że Nikitienko zbierał dane na jego temat aż do października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, i podejrzewa, że to zainteresowanie trwa do dziś.

– Powiedział ci coś więcej na jego temat? – wtrącił Aleksander. – Może podał przynajmniej

pobieżny opis?

– Owszem. To facet z pozoru kulturalny, o wyszukanych manierach, bardzo inteligentny. Zna dobrze angielski, a jeszcze lepiej niemiecki. Krążyły plotki, że wywodzi się z nadwożańskich Niemców, ale Tola w to nie wierzy. Twierdzi, że choć faktycznie spora część oficerów ukrywa coś ze swojej przeszłości, na przykład domieszkę krwi żydowskiej, to jednak rozpowszechnia się wysane z palca, za to niebezpieczne, pogłoski. – Ponownie zerknęła do notatek i kontynuowała: – Jest ocytany, bardzo lubi Elizabeth Barrett Browning, lecz nie Roberta Browninga. Czytuje Tennysona. To ci powinno wystarczyć. Anatolij powiedział jeszcze, że Nikitienko jest prawie całkiem siwy. No i przede wszystkim obwinia Tolę za swoje niepowodzenia, szczególnie za to, że po uwolnieniu z rąk zakładników jeden z jego podwładnych uciekł na Zachód i podjął współpracę z CIA.

– Słyszałem o tym. Kiedy nawiązaliśmy kontakt z bejrucką rezydenturą KGB, był jeszcze w stopniu majora. Dokładnie opowiadał nam o tym, jak zostali uwolnieni przez Tolę, podczas gdy na głowę Nikitienki sypały się gromy za skrajną nieudolność. Jeśli dobrze pamiętam, podsunął nawet myśl, byśmy się zainteresowali Nikitienką, gdyż ten wobec tak silnej presji może również przejść na naszą stronę. Chciałem zajrzeć do akt w sekcji kontrwywiadowczej Middletona, lecz ten odpowiedział mi obcesowo, że najpierw muszę zdobyć upoważnienie. Zapytam Franka Andrewsa, czy może mi pomóc w tej sprawie, choć mam wrażenie, że i jego Middleton potraktuje podobnie, chyba że dostanie rozkaz od dyrektora.

– Tola powiedział mi też, że nie znalazł niczego na temat Aleksandra Fannina, w archiwum jego sekcji nie figurujesz w żadnym spisie. Nie ma też niczego w związku z twoim polskim pseudonimem, Gromek. Jest prawie pewien, że to nazwisko możesz uznać za całkowicie bezpieczne.

– Tak myślałem, wolałem się jednak upewnić.

Katerina znów zajrzała do notatnika.

– Później poprosił mnie o tabletki.

– I dałaś mu je?

– Oczywiście.

– Przepraszam, Kat.

– Za co? Nie jestem dzieckiem.

– Czy nie zostawiłaś choć na krótko breloczka i pióra w pokoju hotelowym?

– Ani na chwilę. – Posunęła notatnik w stronę męża. – Resztę sam sobie przeczytaj. Staralam się zapisać dalszą część rozmowy słowo w słowo. Wszystko wskazuje na to, że dojdzie do podpisania porozumienia w Genewie. Rosjanie zapewne postawią wiele żądań, będą się domagali oddalenia terminu ostatecznego wycofania wojsk, zapewnienia sobie możliwości dostaw dla armii afgańskiej i tak dalej. Nie ulega jednak wątpliwości, że perspektywa zakończenia wojny budzi przerażenie w kręgach wojskowych. Nikt nie wie, jak w ojczyźnie przyjmą to tysiące weteranów, czyli Afgancisów, jak sami siebie określają.

Aleksander w skupieniu przeczytał notatki, wreszcie powoli zamknął notes i jakby z namaszczeniem oddał go żonie.

– Dobrze wiesz, Kat, że wszystkie te zapiski, w trochę przeredagowanej wersji, trafią do Białego Domu. Udostępnienie ich naszym negocjatorom z Genewy będzie się równało możliwości uzyskania wglądu w tajne materiały drugiej strony.

– Właśnie tego się obawiałam.

– To przecież jasne, że musimy wykorzystać zdobyte informacje. Nie zapominaj, że dzięki nim łatwiej będzie zmusić ludzi Gorbaczowa do podpisania dokumentów, przez co w Afganistanie przestaną ginąć niewinni ludzie.

– Wiem o tym. Denerwuje mnie co innego. Przez trzy godziny jeździłam po moskiewskich przedmieściach ze szpiegiem wbijającym mi do głowy rozmaite fakty związane z dokonującą się historyczną przemianą w skali światowej, a tymczasem w redakcji będę mogła jedynie przedstawić materiał mówiący o tym, że kolejki do nowo otwartego baru McDonalda są dłuższe niż do mauzoleum Lenina. Ale myślę, że i ten artykuł bardzo się spodoba naczelnemu.

– Jak Anatolij to znosi?

Katerina nerwowo poruszyła się na krześle.

– I tu dochodzimy do spraw szczególnie ekscytujących.

– Nie rozumiem.

– Zdecydował, że chce, abyśmy wyciągnęli jego matkę ze Związku Radzieckiego.

Aleksander zmarszczył brwi.

– Zdecydował? To nawet z nią o tym nie rozmawiał?

– Powiedział, że Katerina wyraziła chęć spędzenia ostatnich lat życia u boku siostry.

– A nie powiedział także, jak mielibyśmy tego dokonać, nie narażając przy tym jej życia?

Może sam również chce uciec?

– Nie, pragnie zostać i dalej czynić wszystko, co mogłoby przyspieszyć reformy. Oznajmił tylko, że my oboje powinniśmy bez trudu obmyślić plan, który wręcz sam się nasuwa. Wyraził się dokładnie tak: „Najprostsze i najbardziej oczywiste rozwiązania są w takich przypadkach zazwyczaj najskuteczniejsze”.

– Domyślasz się już, co miał na myśli?

– Tak. Odpowiedziałam mu zresztą, że tego typu proste rozwiązania są oczywiste nawet dla takich nowicjuszy jak ja. I zapytałam wprost, czy chodzi mu o to, by Lara wybrała się na wycieczkę do Związku Radzieckiego i użyczyła swoich dokumentów Katerinie.

– A jak inaczej można by tego dokonać?

– Anatolij odparł, że Katerina sama obmyśliła bezpieczny, jak się wyraził, całkowicie niezawodny plan. Chce upozorować własną śmierć, a potem zaszyć się gdzieś w Moskwie do czasu, aż będziemy gotowi, żeby ją wywieźć z kraju.

– I dla niego ten plan jest całkowicie niezawodny?

– Pewnie dlatego, że do jego realizacji będzie konieczna pomoc tylko jednego człowieka, ukraińskiego lekarza, który, według Toli, jest głęboko oddany naszej sprawie. To właśnie on ma sprawić, że upozorowana nagła śmierć ciotki będzie absolutnie wiarygodna, jak również znaleźć jej bezpieczne schronienie do czasu załatwienia przez nas reszty spraw.

Aleksander wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokładzie.

– Czy wiesz, z jak dużym wiąże się to ryzykiem?

– Chyba tak, Aleks. Uważam jednak, że tylko od obu sióstr zależy wcielenie tego planu w życie. Nie mamy prawa kwestionować ich decyzji.

– Czy zaproponowałaś już matce, żeby pojechała do Związku Radzieckiego, oddała siostrze swój paszport, ubrania, pieniądze, karty kredytowe i resztą bagażu, po czym zgłosiła na milicji ich kradzież?

– Owszem.

– I co ona na to?

– Nie zastanawiała się nawet przez sekundę. A po następnej sekundzie zaczęła już ze mną omawiać szczegóły tego planu.

Fannin usiadł z powrotem.

– W porządku, Kat. Wydaje się to realne, choć wyciągnięcie kogoś ze Związku Radzieckiego, czyli, jak mawia się w wywiadzie, poddanie go eksfiltracji, od strony technicznej

jest jedną z najtrudniejszych operacji. W tym przypadku nie wolno nam będzie zostawić za sobą żadnych śladów, co stanowi dodatkowe utrudnienie. Nie można dopuścić do tego, by zrodził się choćby cień podejrzeń, bo za wszystko zapłaci Tola. Chciałbym jeszcze wiedzieć, jak twoja ciotka zamierza upozorować swoją śmierć.

Przez następne dwie godziny omawiali jeszcze rozmaite warianty planu, który przedstawił jej Anatolij, aż w końcu Aleksander wybrał najlepszy z nich.

– Skoro zapadła już decyzja, Kat, najważniejszą rzeczą będzie precyzyjne zgranie wszystkiego w czasie. Jeśli już mamy to zrobić, powinniśmy zacząć przygotowania jak najszybciej, bo im dłużej będziemy zwlekali, tym bardziej wzrośnie niebezpieczeństwo.

– Od czego mielibyśmy zacząć?

– Zaraz po powrocie do Paktii skontaktuję się z Anatolijem, a mam nadzieję, że zdążę jeszcze przed jego wyjazdem do Moskwy. Trzeba go powiadomić, by Katerina natychmiast zaczęła pozorować swoją śmiertelną chorobę. Ty zaś będziesz musiała pojechać z Lara do przedstawicielstwa Radzieckich Dalekowschodnich Linii Oceanicznych i wykupić bilet wycieczkowy na rejs do Nachodki. Regularnie kursują tam dwa statki: „Bajkał” i „Chabarowsk”. Trzeba będzie też wykupić bilet lotniczy z Władywostoku do Moskwy. Najlepiej byłoby zostawić wszelkie formalności biuru turystycznemu. Z pewnością da się połączyć rejs do Nachodki z czterodniową wycieczką obejmującą zwiedzanie Moskwy i Leningradu.

– Sądysz, że wystarczą nam cztery dni?

– Jeśli nie, to znajdziemy się w kłopotach i z pewnością będziemy musieli przerwać akcję. Jak wszystko pójdzie gładko, cztery dni w Moskwie i Leningradzie powinny wystarczyć. Poza tym załatwienie wizy i formalności turystycznych wcale nie będzie proste, gdyż w Hongkongu nie ma oficjalnego radzieckiego przedstawicielstwa. Papiery będą pewnie musiały iść przez ambasadę w Tokio. Podejrzewam, że w tutejszym sowieckim biurze turystycznym aż się roi od agentów KGB. Nie wiem nawet, czy nie byłoby lepiej, gdyby matka sama załatwiała wycieczkę, bez twojej pomocy. Nie chodzi o to, byś ukrywała wasze pokrewieństwo, lecz nie angażuj się osobiście. Niech Rosjanie zadadzą sobie trochę trudu, by odkryć prawdę.

– Matka będzie podróżowała z brytyjskim paszportem na nazwisko Martynow, więc nie tak łatwo od razu skojarzyć ją z obywatelką francuską o nazwisku Martin. Nie wątpię jednak, że tu, w Hongkongu, bez większego trudu można odkryć nasze pokrewieństwo.

– Tak czy inaczej, zostawcie to im. Kiedy już Lara znajdzie się w Moskwie, co zrozumiałe,

będziecie musiały występować w roli matki i córki, ale wtedy wszystko powinno być dopięte na ostatni guzik.

– Dobrze. Już jutro wyślę matkę do biura turystycznego.

– A później będziesz musiała polecieć do Moskwy i jeszcze raz spotkać się ze swoim kuzynem.

Katerina odwróciła głowę i popatrzyła na widoczne – za szybą brzegi wyspy Wiktorii, po czym spytała:

– Kiedy, twoim zdaniem, będzie mogło dojść do zamiany?

Aleksander zamyślił się na krótko.

– Gdzieś za półtora miesiąca, tuż po pierwszomajowej defiladzie w Moskwie.

Moskwa, 16 marca, 13.00

Nikitienko poczuł się głupio, że został sam w obszernym gabinecie Szapkina, sekretarka jednak nalegała, aby wszedł, gdyż Leonid Władymirowicz miał się zjawić lada chwila. Z zaciekawieniem popatrzył na półkę zastawioną wydanymi na Zachodzie książkami poświęconymi KGB. Poniżej stały do niedawna jeszcze zakazane publikacje rosyjskich dysydentów, Sołżenicyna, Miedwiediewa, Daniela i Siniawskiego, a nawet Borysa Pasternaka, uznawanego niegdyś za zwykłego zbrojeńca. Nikitienko miał okazję przeczytać niemal wszystkie te książki w czasie służby za granicą. Obok regału na ścianie wisiały oprawione w ramki zdjęcia, na górze Szapkina z żoną i dorosłymi już synami oraz z wnukiem na tle eleganckiej dachy, poniżej zaś u boku Andropowa i Kriuczkowa. Nikitienko chciał się im bliżej przyjrzeć, kiedy drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł Szapkin.

– Karm Siergiejewicz! Dobrze, że na mnie zaczekaliście. Siadajcie, proszę. Mam odpowiedź na waszą prośbę o zebranie informacji dotyczących tajemniczego Aleksandra z amerykańskich służb specjalnych. – Położył na biurku kartonową teczkę z pięciostronicowym raportem. – Możecie sporządzać notatki, lecz nie wolno wam wynosić tego raportu z biura. Na pewno świetnie rozumiecie dlaczego.

Nikitienko zaczął uważnie czytać pierwszą stronę. No i proszę, myślał gorączkowo, wiemy już o tobie wszystko, Aleksandrze. Znamy nawet twoje fikcyjne nazwiska.

– Nawet nie potrafię wyrazić, Leonidzie Władymirowiczu, jak bardzo cenne są dla mnie te

informacje. Teraz wreszcie będę mógł znacznie przyspieszyć dochodzenie w sprawie bezpośredniego zaangażowania amerykańskich służb specjalnych w wojnę afgańską. Mam nadzieję, że mój raport okaże się pomocny grupie negocjatorów biorących udział w rozmowach genewskich.

– Skoro już o tym mowa, Karmie Siergiejewiczu, prawdopodobnie wkrótce będę miał dla was inne niezwykle ważne zadanie, lecz w celu zapoznania was z nim muszą uzyskać zgodą zwierzchnictwa na wykorzystanie specjalnej komory antypodsłuchowej. – Wskazał palcem sufit, dając do zrozumienia, że w tej sprawie decyzję podejmie sam przewodniczący Pierwszego Dyrektoriatu, Władymir Kriuczukow, urzędujący piętro wyżej.

– Oczywiście, Leonidzie Władymirowiczu – odparł Nikitienko, wstając z krzesła.

Zaraz po powrocie do swego gabinetu wypisał druk zapotrzebowania na wszelkie dostępne informacje o niejakim Aleksandrze Fanninie, mieszkającym w Singapurze bądź Hongkongu, urodzonym około roku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego w obozie przejściowym w Niemczech lub w Stanach Zjednoczonych, który ostatnio poślubił kobietę pochodzenia rosyjskiego lub ukraińskiego, także mieszkającą w Singapurze lub Hongkongu. Następnie zaniósł papiery do kierownika wydziału Azji Wschodniej, a kiedy tamten zauważył brak uzasadnienia, Nikitienko odparł szybko, że chodzi o ściśle tajne dochodzenie prowadzone pod bezpośrednim nadzorem kierownictwa dyrektoriatu, więc to zlecenie należy uznać za całkowicie poufne.

Tamten szybko zmiękł i oznajmił, że Nikitienko ma sporo szczęścia. W Hongkongu nie było oficjalnego radzieckiego przedstawicielstwa, gdyż stanowczo sprzeciwiali się temu Chińczycy, a wszelkie sprawy związane z brytyjską kolonią przekazywano oficerom KGB pływającym na statkach wycieczkowych. Właśnie pojutrze MS „Bajkał” miał zawinąć do Hongkongu, tak więc agenci tej istnej pływającej rezydentury powinni w ciągu trzech dni przerwy w rejsie zyskać sposobność do zebrania jakichś informacji. W Singapurze natomiast sprawa przedstawiała się o wiele prościej. Tak czy inaczej, najdalej za półtora miesiąca zlecenie Nikitienki powinno zostać zrealizowane.

Następnie pułkownik udał się do biblioteki i wykorzystując swą specjalną przepustkę, wszedł do sekcji komputerowej. Wyłożył kierownikowi tę samą sprawę i parę minut później zasiadł u boku specjalisty, młodego majora, przed ekranem najnowszego modelu IBM, podłączonego do satelitarnej sieci informacyjnej.

Tamten pospiesznie wprowadził parę komend i po chwili oznajmił:

– W porządku, jesteśmy już w sieci wschodnioazjatyckiej. Na początek proponowałbym rzecz najprostszą, to znaczy sprawdzenie nazwiska w spisie abonentów telefonicznych. Od czego zacząć, od Hongkongu czy Singapuru?

– Spróbujmy w Singapurze.

Major wpisał następne rozkazy i wystukał nazwisko, programując wyszukiwanie go we wszystkich dostępnych bazach danych. Po trzech minutach pojawiło się okno informujące, że nie uzyskano żadnego rezultatu. W spisach nie było żadnego Aleksandra Fannina.

– Chcecie może sięgnąć do zestawień prywatnych firm?

– A trudno byłoby się od razu przełączyć na książkę telefoniczną mieszkańców Hongkongu?

– Nic prostszego.

Major wprowadził następne komendy i po minucie zgłosiła się sieć informacyjna brytyjskiej kolonii. Tym razem jednak poszukiwania nie trwały nawet dwóch minut. Na ekranie, oprócz numeru telefonu, został wyświetlony adres abonenta ze Stanley Village, dzielnicy położonej na wyspie Hongkong.

– Proszą! Oto i wasz człowiek!

– Jakie informacje można jeszcze uzyskać z tego spisu? – zapytał Nikitienko.

– Możemy odwrócić kolejność poszukiwania i sprawdzić, czy pod danym numerem telefonu jest zgłoszony inny abonent. To proste.

Po kilku minutach na ekranie pojawiło się okno z tym samym napisem, co poprzednio.

– Nie ma – powiedział major. – Jest tylko ten sam Aleksander Fannin. Widocznie to jego prywatny, domowy numer. Spróbujmy jednak jeszcze czegoś innego. – Pospiesznie wpisał dalsze rozkazy i wyjaśnił: – Kazałem przeszukać bazę na podstawie adresu ze Stanley Village. Dowiemy się, czy w tym samym domu nie ma innych linii telefonicznych.

Nikitienko aż pochylił się na krześle, z wytężoną uwagą spoglądając na ekran monitora. Ku swemu zdumieniu ujrzał w oknie inne nazwisko: K. Martynow.

– Jak się nazywacie, majorze?

– Bochan, towarzyszu pułkowniku. Major Siergiej Bochan.

– A zatem, Siergieju, możecie się uznać za elektronicznego geniusza. O ile mi wiadomo, Amerykanie w takich chwilach mówią: bingo! Powiedzcie mi teraz, czy możecie sprawdzić we wszystkich dostępnych bazach danych nazwisko Martynow? Moim zdaniem, chodzi tu o kobietę,

która wraz z Fanninem mieszka w Stanley Village.

Pół godziny później Nikitienko w zaciszu swego gabinetu mógł jeszcze raz przeczytać wydrukowane informacje o niejakim Michaelu Martynowie. Jeden z komputerowych odsyłaczy doprowadził go do czasopisma „Far Eastern Economic Revue”, numeru z pierwszego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Tu zaś, na stronie osiemdziesiątej siódmej, znalazł notatkę zatytułowaną „Michael Martynow uhonorowany listem gratulacyjnym Królowej”, obok zaś widniało zdjęcie rosyjskiego emigranta. W artykule informowano, że za zasługi w zakresie gospodarczego i społecznego rozwoju Koronnej Kolonii Hongkongu Martynowowi przyznano tytuł szlachecki.

Następnie pułkownik wyjął z szafy pancernejskiej zgromadzone wcześniej materiały. Pierwsza teczka zatytułowana była po prostu „Aleksander”, szybko dopisał więc nazwisko Fannina, a po namyśle niżej dodał w nawiasie nazwisko Martynow. Oderwał od świeżego wydruku dwie strony zawierające adres i numer telefonu Fannina wraz z obszerną charakterystyką firmy noszącej nazwę „Martin House”, po czym włożył je do teczki. Rozpierała go radość, że prywatne dochodzenie zostało w końcu jednoznacznie ukierunkowane.

Później sięgnął po drugą teczkę i przebiegł wzrokiem notatki dotyczące Anatolija Klimienki. Na pierwszej kartce zebrał skrótowe dane biograficzne, dalej znajdowały się rozmaite opisy z dziesięcioletniej pracy pułkownika w KGB. Nikitienko musiał bezstronnie przyznać, że od strony formalnej jego służba rzeczywiście wyróżniała się licznymi osiągnięciami.

W oddzielnej kopercie trzymał plik zdjęć. Na jednym z nich, zrobionym przed dwoma laty, Klimienko stał ze swoimi rodzicami przed wielkim popiersiem Dzierżyńskiego w głównym holu gmachu na Łubiance. Z dumą prezentował do obiektywu Order Czerwonego Sztandaru, którym został odznaczony za skuteczną operację przeciwko terrorystom z Bejrutu – tę samą, która jemu, Nikitience, przyniosła tylko poniżenie i niesławę.

Zdjęcie w artykule z „Far Eastern Economic Revue” przedstawiało sir Michaela podczas wręczania mu listu królowej przez ubranego w kapelusz z piórami gubernatora Hongkongu. A obok jubilata stała jego żona, Lara.

Rozdział 33

Paktia, 26 marca 1988 roku

Aleksander skończył wprowadzać do komputera wiadomość dla Klimienki i zaczął ją odczytywać z ekranu. Tym razem musiał szczególnie starannie wyważyć stosowaną zazwyczaj zwięzłość z chęcią zaakcentowania pewnych spraw, ustalonych z Anatolijem w obecności Kateriny przed osiemnastoma miesiącami.

Paweł będzie już czekał na twój telefon, kiedy otrzymasz tę wiadomość. Podjęliśmy wspólną decyzję dotyczącą twojego niezwykłego żądania. Jak się domyślasz, jest ona pozytywna. Tak zwane oczywiste rozwiązanie rzeczywiście wydaje się najlepsze i rozpoczynamy przygotowania do wcielenia go w życie na początku maja. Nie będziesz miał zbyt wiele czasu na własne przygotowania obiektu szykowanego do wymiany. Musisz się z nimi uwinąć najpóźniej do końca trzeciego tygodnia kwietnia. Wszelkie opóźnienia grożą tylko niepotrzebnymi i nieoczekiwanymi komplikacjami. Postarajmy się więc jak najściślej trzymać ustalonych terminów. Przedstaw Pawłowi szczegóły swojego planu. Na drodze do ostatecznego sukcesu nasza wzajemna zależność i szansę na przetrwanie będą się jedynie zwiększały.

Inny temat. Otrzymałem z dowództwa tylko standardowe wpisy do akt KSN z czasu służby w Bejrucie, o które prosileś Pawła. Nie ma w nich niczego niezwykłego. Jest jednak odsyłacz do specjalnych, ściśle tajnych akt pozostających pod nadzorem dyrektora agencji. Mogą się tam znajdować jakieś ważne informacje o KSN, lecz uzyskanie do nich dostępu będzie nadzwyczaj trudne. Wybacz, że nie mogłem zdobyć nic więcej. Niech cię Bóg prowadzi.

Po chwili zastanowienia wcisnął klawisz szyfrowania depeszy, a następnie zaprogramował okresowe powtarzanie transmisji do czasu odebrania jej przez Klimienkę.

Kabul, 26 marca 1988 roku

Anatolija zmartwiła wiadomość, że Aleksander nie znalazł niczego o Nikitiencie. W odpowiedzi wysłał więc krótką, lakoniczną depeszę:

DZIĘKUJĘ ZA INFORMACJĘ. PROSZĘ O DALSZY STARANIA W SPRAWIE KSN. TO BARDZO WAŻNE. PRZYZNAJĘ RACJĘ. MUSIMY SIĘ ŚCIŚLE TRZYMAĆ TERMINÓW. KONIEC KONIEC.

Moskwa, 1 kwietnia 1988 roku

Katerina miała już wyjść z pokoju hotelowego, gdyż była umówiona przed południem na wywiad z ordynatorem Moskiewskiej Centralnej Kliniki Ginekologicznej, kiedy niespodziewanie zaterkotał telefon. Domyśliła się kto dzwoni, jeszcze zanim podniosła słuchawkę.

– Martin.

– Cześć, Kasiu. Tu Piotr. Witamy ponownie w robotniczym raju. Słyszałem, że właśnie zjawiałaś się w mieście.

– Witaj, Piotrze. Co słyhać u naczelnego informatora mas pracujących?

– Nic nowego. Posłuchaj, Kasiu. Dzisiaj o ósmej cała dziennikarska śmietanka zbiera się przy Kropotkińskiej trzydzieści sześć. Gdybyś dała radę się wyrwać, dołącz do nas. Zjemy coś dobrego, wypijemy trochę, powymieniamy najświeższe kłamstwa dotyczące Sojuza. Co ty na to?

– Dzięki za zaproszenie, Piotrze. Postaram się przyjść, ale nie czekajcie na mnie za długo. Mam raczej kiepski dzień. A jeśli wciąż będzie padał śnieg, odechce mi się wszystkiego i do jutrzejszego ranka przesiedzę pod kocem w hotelu.

Anatolij poprzednio wyjaśniał obszernie, że skoro legitymuje się paszportem francuskim, jej rozmowy telefoniczne będą kontrolowane przez agentów Departamentu Zachodnioeuropejskiego Drugiego Dyrektoriatu KGB, podczas gdy telefonujący mężczyzna uchodzący za Amerykanina musi być pod nadzorem Departamentu Stanów Zjednoczonych i Kanady. Niewielkie więc były szanse na to, iż podsłuchujący oficer rozpozna jego akcent, a jeszcze mniejsze, że zdoła zidentyfikować Piotra. Jeżeli nie było ku temu ważnych powodów, nigdy nie nawiązywano współpracy między różnymi wydziałami. Wystarczyło zatem nie dawać specjalnych powodów do podejrzeń, by rozmowa szybko poszła w niepamięć.

Katerina nie mogła jednak zrezygnować z zaplanowanego wywiadu. Była pewna, że gdyby teraz odwołała spotkanie, o które tak długo zabiegała, właśnie wzbudziłaby podejrzenia. Jeżeli nawet nie była specjalnie śledzona, KGB z pewnością wiedziało, iż zbiera materiały do artykułu

o roli i pozycji kobiety w społeczeństwie radzieckim. Musiała zatem skrócić wywiad i zakończyć rozmowę najpóźniej po dwóch godzinach, jeśli chciała zdążyć na spotkanie z Klimienką w samo południe przy placu Taganskim.

Parę minut po dziesiątej Anatolij spotkał się z Saszą w klubie oficerskim w podziemiach gmachu Sztabu Generalnego przy Arbacie. Krasin rozejrzał się szybko i doszedł do wniosku, że będą mogli tu bezpiecznie porozmawiać. U bardzo grubej barmanki zamówili dwie herbaty i usiedli przy stoliku w samym kącie sali.

– Byłem przy tym, jak Titow składał Jazowowi raport o sytuacji naszych wojsk w Afganistanie. Nie uwierzysz, Tola, jakiego kretyna mamy teraz za ministra obrony. Z daleka tak zionęło od niego gorzałą, że myślałem, iż lada moment zwali się na ziemię. Był zdrowo wstawiony już o dziewiątej rano! Kiedyś słyszałem, że gdy był jeszcze dowódcą okręgu dalekowschodniego, cały sztab we Władywostoku dostał wyraźny rozkaz od jego zastępcy, iż pod żadnym pozorem nie wolno dopuszczać Jazowa do publicznych wystąpień, bo zachodzi obawa, że się porzyga albo zleje w gacie. Wtedy sądziłem, że to tylko złośliwe plotki, ale teraz zmieniłem zdanie.

– Czy Titow mówił mu o naszych planach akcji dywersyjnej w Pakistanie?

– Próbował. Oznajmił, że szykowanych jest parę operacji, które mają dać duszманom dobrą nauzkę przed ostatecznym wycofaniem się Armii Radzieckiej z Afganistanu. Ale ten idiota chyba nawet nie zwrócił na to uwagi. Zależało mu wyłącznie na informacjach o niedopasowaniu budżetu ministerstwa do potrzeb wojska, a i te raczej puszczał mimo uszu. Najważniejsze, że wiceminister słuchał uważnie. Po spotkaniu zamieniłem z nim parę słów i powiedziałem otwarcie, że Titow chciał dać do zrozumienia, iż nasze Siły Interwencyjne zamierzają przeprowadzić kilka znaczących akcji odwetowych przeciwko duszманom.

– Może to i lepiej, że Titow nie musiał niczego tłumaczyć Jazowowi. Chyba nie warto niczego uprzedzać.

– Za to generał usiłował wyjaśnić, jakie będziemy mieli kłopoty z wycofaniem połowy stanu armii w ciągu trzech miesięcy. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, Tola, że po tym czasie ci, co zostaną, będą zmuszeni walczyć o życie zębami i pazurami. – Sasza urwał i odprowadził spojrzeniem dwóch oficerów siedzących niedaleko od nich. Zaraz jednak ciągnął: – Niektórym ludziom trzeba włożyć do głowy, że nic dobrego nie przyjdzie z rozdrażniania duszманów atakami z powietrza, skoro później będą musieli za to zapłacić chłopcy, którzy pozostaną

w Afganistanie.

– Za to innym trzeba naprawdę dać nauczkę, Sasza. Niewiele więcej możemy już zrobić.

– Jesteś pewien, Tola, że chcesz nas poprowadzić na pewną śmierć?

– Skoro już o tym mowa, to czy przygotowałeś się do samobójczej akcji na terenie kontrolowanym przez amerykańskie służby specjalne? Dziś po południu odbieram w Jaseniewie nasze fałszywe paszporty. Jestem też umówiony na spotkanie z przewodniczącym komisji nadzwyczajnej, moim byłym dowódcą z Teheranu. Przedstawię mu w skrócie plan operacji w Odzri, to go podniesie na duchu. Zresztą muszę mu podziękować za tak szybkie wyrobienie paszportów i załatwienie wiz pakistańskich.

Sasza pochylił się nad stolikiem i szepnął:

– Wczoraj wieczorem widziałem się z Władymirem Rogowem.

– Co on teraz porabia?

– Zajmuje się wszystkim, co przynosi dochód.

– To znaczy?

– Współpracuje z czymś, co określa mianem Korporacji Gruzjińskiej. Reszty możesz się chyba sam domyślić.

– Czyżby Rogow stał się nieodrodnym dzieckiem głośności i pierestrojki? Prawdziwym rekinem gospodarki wolnorynkowej?

– Twierdzi, że każde zlecenie przynosi mu kupę forsy. Kiedy nasza wygłodniała gospodarka zaczęła mu nakładać ograniczenia, wszedł w tak zwane joint ventures, a gdy i tu zyski zaczęły maleć, przerzucił się na czarny rynek. Powiedział, że gdybym kiedykolwiek czegoś potrzebowałem, mogę się zwrócić do niego. A dla ciebie pewnie zrobiłby znacznie więcej. Mówi, że do końca życia nie zapomni ci tego, jak kazałeś rannego załadować na grzbiet muła i przywiozłeś do bazy. Więc gdyby się teraz zdarzyło, że wolałbyś ujrzeć czyjeś zwłoki pływające w Moskwie, daj mu tylko znać.

– Tak powiedział? – zapytał z uśmiechem Klimienko, nie mogąc sobie wyobrazić Rogowa w roli gangstera.

– Tak. I chyba wcale nie żartował.

Tym razem Anatolij pochylił się nisko i rzekł:

– Chętnie bym się z nim napił dziś wieczorem. Możesz zorganizować spotkanie?

– Jasne. O której?

- Powiedzmy o wpół do ósmej.
- Naprawdę chcesz, by czyjeś zwłoki wpadły do rzeki?
- Nie. Co ci przychodzi do głowy? Chciałbym się tylko napić z Rogowem, nic więcej.

Katerinę rozboleły już nogi, nim zdążyła pokonać ostatnie pasmo schodów prowadzących z leżącej głęboko pod ziemią stacji metra Taganskaja. Śnieg przestał padać, lecz wszechobecny biały puch dość skutecznie tłumił miejskie hałasy.

Wyszła na ruchliwy plac, minęła restaurację „Skazka”, w której tłoczyli się już stali bywalcy teatru „Na Tagance”, wreszcie skręciła w Bolszą Komunistyczną, cichą osiedlową uliczkę obsadzoną brzoźami. Zwracała baczną uwagę na każdego, kto choćby pobieżnie odprowadzał ją spojrzeniem. Miała ochotę krzyknąć na cały głos: Oto jestem i popełniam zbrodnię przeciwko waszej brutalnej władzy! Ale mimo narastającego podniecenia ogarniał ją także coraz silniejszy strach.

Aleksander ostrzegał ją wielokrotnie, by nigdy nie traciła czujności, bo nigdy nie jest sama, zwłaszcza w metrze. Jeśli nawet agenci nie rzucają się w oczy, zawsze tam są. Mogą nawet niepostrzeżenie przyczepić do ubrania miniaturowy transponder, który pozwoli śledzić całą trasę podróży. Dlatego zawsze trzeba mieć się na baczności.

Przystanęła na krótko przed dwustuletnią cerkwią św. Marcina Spowiednika. Udając, że podziwia zabytkową budowlę, uważnie rozglądała się po ulicy. Nikt jej jednak nie śledził. Szybkim krokiem poszła więc dalej i po paru minutach wyszła na plac Androniewski. Przeszła na drugą stronę i skręciła w wąski Androniewski Pierieulok. Kilkadziesiąt metrów dalej zaczynał się niewielki park, który był jej celem. Między bezlistnymi gałęziami brzoź prześwitywały białe mury słynnego monasteru Andronikowskiego. A pod najbliższymi drzewami czekał już Anatolij. Ledwie zauważalnie skinął jej głową i zawrócił ku bramie monasteru. Tuż przed murami zwolecił kroku i zaczął, aż Katerina się z nim zrówna.

- Zarzuć mi ręce na szyję i pocałuj mnie. Tylko szybko, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Bez oporów odegrała rolę stęsknionej kochanki.

- Ile mamy czasu? – zapytał szeptem.

– Ile będzie potrzeba.

– Miałaś jakieś kłopoty od chwili przyjazdu do Moskwy? Zdarzyło się coś, o czym powinnaś mi powiedzieć?

– Nic, absolutnie nic. Możliwe, że jestem za mało doświadczona, by dostrzec pewne rzeczy.

– Uśmiechnęła się wstydliwie.

– Nie sądzę. Do tej pory radziłaś sobie doskonale. Przejdziemy się trochę. Weź mnie pod rękę, jakbyśmy byli parą.

– Ostatecznie w pewnym sensie... jesteśmy parą, prawda?

– Dostałem depezę od Aleksandra. Zdecydował, że zamiany sióstr trzeba dokonać na początku maja. Napisał: „musimy się ściśle trzymać ustalonych terminów”. Twój mąż rzeczywiście ma zacięcie do dramatyzowania.

Katerina zerknęła z ukosa i dostrzegła wąły uśmiech na jego wargach.

– Już ci mówiłam, że to rosyjska krew skłania go czasem do teatralnych zachowań. Ale w tym przypadku chyba ma rację. Musimy działać energicznie. Lara załatwia już wszelkie formalności. Złożyła wniosek wizowy w biurze Inturistu na czterodniowy pobyt turystyczny. Tola, nie mówmy jednak o zamianie sióstr, bo dla mnie to brzmi jak cytat z tandetnej powieści szpiegowskiej.

Klimienko zachichotał.

– Masz rację. Nam, w Sojuszu, nie potrzeba tandetnych powieści szpiegowskich, a jedynie heroiczych dzieł... Rozumiem jednak, o co ci chodzi. Nie będziemy mówili o zamianie sióstr. Ale to ty, Katiu, będziesz musiała przygotować moją matkę na to, co ją czeka. W ciągu tygodnia powinnaś odwiedzić Kijów. Wyjeżdżam już jutro i nie umiem powiedzieć, kiedy wrócę, najwcześniej jednak dopiero pod koniec miesiąca. Dlatego ty będziesz musiała się zająć sprawami w Kijowie. A później, kiedy już matka... umrze, także pozostałymi, tu, w Moskwie.

Katerina nie dała po sobie poznać, jak silnym wstrząsem była dla niej wiadomość, że będzie musiała wziąć na siebie całą odpowiedzialność za przygotowania do ucieczki swojej ciotki.

– Mówiłam ci ostatnio, że zbieram materiały do reportażu o sytuacji radzieckich kobiet. Jak mi radziłeś, od razu złożyłam podanie o przepustkę na podróż do Kijowa, żeby przeprowadzić tam parę wywiadów. I gdy teraz wróciłam do Moskwy, przepustka już na mnie czekała.

– W takim razie będziesz mogła bez kłopotów pojechać tam na parę dni.

– Owszem. Zadzwoń do kliniki i umówię się z twoją matką na spotkanie w celu przeprowadzenia wywiadu. Tak będzie dobrze?

Anatolij energicznie pokręcił głową. Wyjął złożoną kartkę i wcisnął ją w dłoń Kateriny, ta zaś pospiesznie wsunęła ją do kieszeni płaszcza.

– Nie. Zorganizowałem wasze spotkanie tak, byś nie musiała się oficjalnie kontaktować z matką w klinice. Będzie czekała na twój telefon. Przedstaw się po ukraińsku jako Raisa Lisenkowa. Powiedz, że wciąż ci dokuczają kurcze w nogach, i zapytaj, czy mogłaby na to coś poradzić. Odpowie, żebyś regularnie brała przepisane leki, bo ich działanie będzie odczuwalne dopiero po kilku tygodniach. Zapamiętasz?

– Tak. Mam zadzwonić już stąd, z Moskwy?

– Nie, z Kijowa. I dzwoń z budki. Spotkacie się następnego dnia po tym telefonie o dziesiątej przy pomniku ofiar hitleryzmu w Babim Jarze. Z centrum miasta dojedziesz tam trolejbusem linii szesnaście lub osiemnaście.

– Numer telefonu jest na kartce, którą mi dałeś?

– Tak, łącznie z adresem kliniki. Zapisałem też adres mieszkania i telefon domowy, ale nie korzystaj z nich, jeśli nie będzie to konieczne. Postępuj tak samo, jak podczas rozmów ze mną. Staraj się zapamiętać jak najwięcej wiadomości, a w razie potrzeby utrwalaj je w formie niegroźnych notatek. Pod żadnym pozorem nie zapisuj niczego na planie miasta. Kartkę, którą ci dałem, porwij na drobne kawałki i spuść z wodą w toalecie, najlepiej w barze na drugim piętrze hotelu „Ukraina”.

– Rozumiem. Kiedy się znów spotkamy? Co mam robić po powrocie do Moskwy?

– Nie wiem. Byłoby najlepiej, gdybyście razem z Aleksandrem dalej realizowali plan, niezależnie od harmonogramu naszych spotkań w Moskwie. Nie chciałbym, aby doszło do sytuacji, w której eksfiltracja zostanie przerwana z powodu braku wiadomości ode mnie.

– Jakbym słuchała Aleksandra. Anatolij zaśmiał się nerwowo.

– No cóż, terminologia stosowana we wszystkich zachodnich służbach wywiadowczych przyjęła się i u nas, zwłaszcza wśród oficerów znających angielski. Wyjątkowo rzadko się zdarza, by KGB organizowało akcje eksfiltracyjne w celu ściągnięcia kogoś z Anglii czy Stanów do Związku Radzieckiego. Zazwyczaj odbywa się to w przeciwnym kierunku.

– Chyba muszę cię jeszcze raz zapytać wprost, Anatolij, czy ty również chcesz się poddać eksfiltracji. Aleksander nalegał, bym o to spytała.

Klimienko spojrzał jej w oczy.

– Znasz moją odpowiedź. I jemu powtarzałem już w Paktii co najmniej kilka razy, że nie zamierzam dla nikogo szpiegować. Wszystko, co teraz robię, ma na celu wyłącznie dobro moich rodaków, a może nawet ogółu społeczeństwa radzieckiego. Nie, Katerina, nie chcę się poddać

eksfiltracji.

– No, to wszystko jasne, przynajmniej dla mnie. Problem wywiezienia Kateriny za granicę pozostawiasz całkowicie mnie i Aleksandrowi. Zgadza się?

– Owszem. Matka jest gotowa i zdecydowana na wszystko. Od tej pory nie będę jej już w niczym pomocny.

– Chyba rozumiem. Lecz jeśli wrócisz do kraju przed... zakończeniem naszej operacji, skontaktujesz się ze mną, prawda?

– Oczywiście. Nie chcę tylko, by od tej pory cokolwiek zależało jeszcze ode mnie. – Zamilkł na krótko. – Niewykluczone, że będę miał do ciebie jeszcze jedną sprawę, coś do przekazania mojej matce. Gdyby tak się stało, zadzwonię jeszcze dzisiaj. Znów przedstawię się jako Piotr. Jeżeli „Bieriozka” będzie już zamknięta, zjedź do holu, pokręć się trochę, a gdy mnie zobaczysz, idź za mną. Gdybym się natomiast nie odezwał, niczym się nie przejmuj i jedź do Kijowa.

Katerina w zamyśleniu popatrzyła na brudny topniejący śnieg.

– To już wszystko?

– Tak. Jeszcze jedno. Kiedy następnym razem zadzwonię do twojego pokoju hotelowego, spotkamy się w kawiarni na parterze Domu Artysty. To naprzeciwko głównego wejścia do Parku Gorkiego. Zazwyczaj jest tam tłoczno, ale jakoś damy radę przekazać sobie informacje. Trafisz?

– Tak.

Klimienko uściśnął jej dłoń.

– Odejdę pierwszy. Ty wracaj tą samą drogą.

Katerina ponownie zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała w oba policzki.

– Naprawdę musimy się trzymać, Tola, i to nie tylko terminów. Uśmiechnął się smutno.

– Masz rację, musimy się trzymać. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Zawrócił i odszedł szybko ku bramie w murze monasteru. Dla przypadkowego świadka mogło to wyglądać na pospieszne krótkie spotkanie potajemnych kochanków.

Katerina bez pośpiechu ruszyła z powrotem na stację metra. Boczne uliczki wciąż były niemal całkiem wyludnione, lecz teraz nie miała już ochoty krzyknąć na całe gardło

Pierwszy Dyrektoriat KGB, Jasniewo, 2 kwietnia 1988 roku

– Anatoliju Wiktorowiczu, kiedy wreszcie zakończycie swoją wojaczkę i dołączycie do mnie

tu, w Jaseniewie? Wszyscy już to zrobili.

– Wszyscy dołączyli do was tutaj, Leonidzie Władymirowiczu? – spytał z przekąsem Klimienko.

– Ależ nie, skądże. Chodziło mi o to, że wszyscy już zrezygnowali z wojaczki. Miałem nadzieję, że mnie dobrze rozumiecie – odparł z uśmiechem Szapkin, który nie tylko bardzo lubił Klimienkę, ale w dodatku uważał go za jednego z niewielu oficerów, z którymi można bezpiecznie pożartować. -

Mówiąc całkiem poważnie, Anatoliju Wiktorowiczu, ta wojna dobiegła już końca. Uwierzcie mi na słowo, że najważniejsze decyzje zostały podjęte. Nasza strona będzie się musiała zgodzić na wszelkie warunki stawiane w Genewie i z radością podpisze porozumienie. A potem niech Bóg ma w opiece nasz Sojuz. Więc może nam pan wyjaśni czemu ma służyć ta desperacka akcja na terenie Pakistanu?

– Nie wiem, czy nasze wojska nie będą musiały w walce torować sobie drogi do domu, Leonidzie Władymirowiczu. Dlatego zamierzam uczynić coś, co być może choć trochę ułatwi nam powrót.

– Pytam jednak, dlaczego osobiście musicie się tym zajmować? Czemu nie zlećcie tej roboty rezydenturze z Islamabadu?

– To sprawa polityczna. Jeśli akcja się powiedzie, sukces zostanie zapisany na konto dowództwa czterdziestej armii, a w razie porażki, wina spadnie na was, na przewodniczącego Czebrikowa, jak również na Kriuczkowa.

Szapkin przez chwilę patrzył Klimience w oczy.

– Z waszym szczęściem, Anatoliju Wiktorowiczu, każda akcja musi się udać. Mam tylko nadzieję, że jeszcze pamiętacie, co wam tłumaczyłem w Teheranie.

– Pamiętam aż nazbyt dokładnie. Powtarzaliście wtedy: „Anatoliju Wiktorowiczu, szczęście to bardzo ważna rzecz – odparł Tola, szeroko gestykulując i skutecznie naśladowując basowy głos oraz mentorski ton byłego przełożonego. – Trzeba wiedzieć, kiedy nam sprzyja, i w pełni to wykorzystać. Ale co najważniejsze, trzeba także umieć rozpoznać, kiedy nas szczęście opuszcza. I nigdy, Anatoliju Wiktorowiczu, nie pozwólcie się uzależnić od waszego szczęścia, bo to wciąga jak narkotyk, a ten w końcu doprowadzi was do śmierci”.

Szapkin uśmiechnął się szeroko.

– Dokładnie tak, Anatoliju Wiktorowiczu. – Wskazując palcem sufit dodał: – Wzywa mnie

nasze oświecone naczalstwo. Życzę wam, by ta akcja w Pakistanie zakończyła się spektakularnym sukcesem. I bądźcie ostrożni. Nawet jeszcze dziś, w tym gmachu, bo chciałbym, byście przed wyjściem poświęcili parę minut naszemu wspólnemu znajomemu, Karmowi Siergiejewiczowi. Pracujemy teraz razem i niejednokrotnie mogłem słyszeć z jego ust same pochwały o waszej służbie w Kabulu. Karm Siergiejewicz na rozkaz samego przewodniczącego realizuje ściśle tajny projekt dotyczący Afganistanu. W tej pracy jest niezastąpiony. Pomóżcie mu, jeśli tylko zdołacie.

Klimienko zlekceważył ostrzeżenie, gdyż ani w tonie głosu Szapkina, ani w wyrazie jego twarzy nie dostrzegł niczego podejrzanego.

– Oczywiście, Leonidzie Władymirowiczu. Zawsze chętnie służę mu pomocą.

Nikitienko powitał go z ostentacyjną serdecznością, nazbyt demonstracyjną nawet jak na obecność przełożonego. Gdy zostali już sami, Karm nadal zachowywał się nadzwyczaj jowialnie.

– Doskonale wyglądacie, Anatoliju Wiktorowiczu, jak zawsze. Dyrektor Szapkin mówił mi, że wyruszacie właśnie na kolejną ze swoich niebezpiecznych misji, tym razem aż do Pakistanu. Wicie jednak, że już niedługo będziecie musieli zrezygnować z dalszych akcji?

– Dyrektor także udzielił mi wykładu na temat niepotrzebnego kuszenia losu. Jestem wam jednak wdzięczny za okazaną troskę, Karmie Siergiejewiczu.

Nikitienko obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Chciałbym, Anatoliju Wiktorowiczu, byście podzielili się ze mną swoją opinią na temat zakończenia dziesięcioletniego okresu naszych internacjonalistycznych obowiązków w Demokratycznej Republice Afganistanu. Jak to się przedstawia z waszego punktu widzenia?

Dopiero teraz Klimienko pojął, że musi się mieć na baczności.

– Nie jest żadną tajemnicą, Karmie Siergiejewiczu, ani na Kremlu, ani w Kabulu, ani też w siedzibie dyrektoriatu, że Związek Radziecki będzie musiał przystać na warunki omawianego w Genewie porozumienia. Moim zdaniem, zapadły już nieodwołalne decyzje.

– Macie absolutną rację. – Nikitienko uśmiechnął się sztucznie, podczas gdy jego spojrzenie pozostało zimne i przenikliwe. – Pracuję obecnie nad syntetycznym raportem dla dyrektora i muszę dokonać oceny tego, jak nasza armia, że tak powiem, dostosuje się do wymogów chwili. W tej kwestii, jak sądzę, możecie mi udzielić paru wskazówek.

Klimienko nie zamierzał dać się wciągnąć w dyskusję.

– Nasza armia, Karmie Siergiejewiczu, wykonuje tylko postanowienia politycznego przywództwa partii. Zawsze tak było i tak będzie. Z pewnością sumiennie wykona wszelkie rozkazy.

– To rozumiacie. Ale możecie chyba przedstawić pewne własne uwagi, których uwzględnienie w moim raporcie mogłoby ułatwić pracę kompetentnym czynnikom. Nie wątpię, że chętnie podzielilibyście się swoim zdaniem z naszymi przywódcami, stojącymi wobec trudnych decyzji. Dyrektor Szapkin bardzo liczy na to, że udzielicie nam pomocy w tym niezwykle skomplikowanym zadaniu. Stwierdził nawet, że powinniście znacznie lepiej niż ktokolwiek inny w Kabulu wiedzieć, co będzie dla nas słuszne, a co nie. Mówiąc szczerze, Anatoliju Wiktorowiczu, nasz raport powędruje aż do gabinetu sekretarza generalnego.

Klimienko pomyślał, że musi jednak przedstawić Nikitiencie choćby najbardziej ogólnikowe uwagi, skoro tamten przedstawia swoją prośbę jako żądanie samego Szapkina. Zaczął więc z namysłem:

– To był dla nas bardzo trudny rok, Karmie Siergiejewiczu. Musieliśmy się wycofać z wielu zajmowanych dotychczas pozycji. Byliśmy w odwrocie już wtedy, gdy kończyliście służbę w Kabulu.

– Tak, sytuacja była bardzo trudna już pod koniec osiemdziesiątego szóstego roku.

– No właśnie, a ostatnio jeszcze się pogorszyła. Dowódcy bardzo się niepokoją, że przyjdzie im w walce torować sobie drogę do domu, jeśli rzeczywiście dostaną rozkaz wycofania oddziałów w tak krótkim terminie.

Nikitienko zaczął szybko notować. Jak zwykle, nagrywał całą rozmowę na magnetofonie kasetowym ukrytym w biurku. Wiedział jednak, że robienie notatek daje rozmówcy poczucie bezpieczeństwa.

– Będą zmuszeni w walce torować sobie drogę odwrotu... Tak, to byłoby bardzo niekorzystne. Bardzo...

Odłożył długopis i znów się uśmiechnął, jak poprzednio całkiem sztucznie.

– Chyba wszyscy dowódcy Armii Radzieckiej potraktują dziewięćmiesięczny termin wycofania, a zwłaszcza trzymiesięczny termin redukcji stanu o połowę, jeśli taki zapis znajdzie się w tekście porozumienia, jak osobistą zniewagę. W ubiegłym tygodniu generał Titow miał przedstawić to stanowisko ministrowi obrony, a może nawet i sekretarzowi generalnemu. Rzecz jasna, występując z rozkazu generała Gromowa. Obiło mi się jednak o uszy, iż kompetentne

czynniki jasno dały do zrozumienia generałom, że ocalenie honoru Armii Radzieckiej jest ich obowiązkiem, a nie zadaniem partii.

Nikitienko znów pieczołowicie zapisywał jego wypowiedź niemal słowo w słowo. Rany boskie, ale z ciebie gnida, pomyślał Klimienko. Nawet w takiej chwili ani trochę nie popuścisz.

– Nie chcecie jednak sugerować, że mogą wyniknąć jakieś kłopoty ze strony naszej armii, prawda?

– Oczywiście, że nie, Karmie Siergiejewiczu. Staram się tylko rzetelnie nakreślić sytuację. Prosiliście mnie o własne uwagi, które mogłyby się przydać dyrektorowi Szapkinowi. Pragnę zatem powiedzieć tylko tyle, że potrzeby naszej armii powinny być brane pod uwagę przy podejmowaniu partyjnych decyzji. Czy to oznacza bunt?

Klimienko uśmiechnął się ironicznie.

– Ależ skąd. W pełni rozumiem ducha, w jakim się wypowiedzicie. Pewnie już wiecie, że wysłuchiwanie rozmaitych skarg nie należy teraz do moich obowiązków. Tylko w Kabulu wypełniałem to niewdzięczne zadanie. Obecnie zajmuję się przygotowaniem raportów, które, moim zdaniem, mogą mieć bardzo pozytywny skutek. I właśnie takie szczere wymiany poglądów jak ta pozwolą mi jedynie wypełnić obowiązki służbowe.

– No cóż, mówiłem całkiem szczerze, ponieważ świetnie rozumiem trudną sytuację dyrektora Szapkina.

Nikitienko zamyślił się na chwilę, jakby powędrował myślami gdzieś daleko.

– Nie będę was dłużej zatrzymywał, Anatoliju Wiktorowiczu. Bardzo mi pomogliście. Życzę wam powodzenia w wypełnianiu waszych kolejnych misji.

Klimienko wstał szybko, zdumiony nagłą zmianą w zachowaniu tamtego. Obawiał się, że rozmowa potrwa co najmniej godzinę. A może faktycznie jest bardzo zajęty, pomyślał, i musi się skupić na tym swoim raporcie.

– Będę bardzo zadowolony, Karmie Siergiejewiczu, jeżeli moje uwagi choć trochę pomogą wam i dyrektorowi Szapkinowi. Obecne czasy wymagają wiele odwagi od naszych przywódców.

– To prawda. Miejmy nadzieję, że ich odwaga dorówna piętrzącym się trudnościom.

Nikitienko odprowadził go przez sekretariat i wartownię aż do drzwi oddzielających biura komisji. Wyciągnął dłoń na pożegnanie i cicho, jakby w zaufaniu powiedział:

– Żałuję, że nie mogłem poświęcić wam dzisiaj więcej czasu. Porozmawiamy dłużej następnym razem. Prowadziłem dochodzenie w sprawie bezpośredniego zaangażowania

amerykańskich służb specjalnych w Paktii i wpadłem na bardzo ciekawy trop, który poprowadził mnie w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Ale te sprawy będziemy mogli poruszyć przy najbliższej okazji.

Odwrócił się na pięcie i ruszył korytarzem. Osłupiały Klimienko jeszcze przez jakiś czas wpatrywał się w jego plecy.

Anatolij i Sasza przepchnęli się przez zatłoczony bar restauracji „Tbilisi” w stronę oddzielnego przepierzeniem stolika, przy którym czekał już były porucznik Władymir Iwanowicz Rogow. Z rysów jego twarzy wciąż można było wyczytać piętno ciężkiej trzyletniej służby w Afganistanie, ale ubiór i sposób bycia świadczyły już o przynależności do nowej klasy owego moskiewskiego „doradcy” różnych grup i organizacji, działających na granicy prawa czy też poza nim. Nosił dłuższą, starannie wypielęgnowaną fryzurę i był ubrany w kosztowną turecką marynarkę ze skaju oraz włoską jedwabną koszulę, rozpiętą pod szyją i odsłaniającą gruby złoty łańcuch o identycznym splocie jak bransoletka na przegubie dłoni. Na widok swoich gości wyjął papierosa z paczki marlboro, przypalił go elegancką, firmową zapalniczką i bez słowa wskazał im miejsca przy stoliku. Napełnił kieliszki czerwonym gruzińskim winem i wznosił toast:

– Za pułkownika, jedyne człowieka, który zadał sobie trud, żeby mnie uwolnić od konieczności przejażdżki Czarnym Tulipanem.

Klimienko upił nieco wina i wznosząc kieliszek, powiedział:

– Za Czarnego Tulipana i wszystkich dzielnych chłopców, którzy musieli nim wracać do rodzinnych domów.

Krasin nie chciał pozostać w tyle, wyrecytował więc:

– Za głośność, pieriestrojkę i całą resztę, dzięki której takie pistolety Afgan – cisów, jak obecny tu Rogow, mogą teraz budować nową moskiewską mafię.

– Sasza, jak przestaniesz się już bawić w żołnierzyka, dołącz do nas. Zrobię cię milionerem. Przy mnie nie będzie ci źle. – A zwracając się do Klimienki, rzekł: – Jak widzisz, Tola, w Moskwie i całym Sojusie dzieje się bardzo dużo, o czym zapewne nie masz zielonego pojęcia. Wszystkie kreatury partyjne podnoszą wrzask na temat wzrostu przestępczości zorganizowanej, ale w gruncie rzeczy chodzi tylko o to, że kto inny zaczął teraz spijać śmietankę zarezerwowaną wcześniej dla nich. Tak wygląda nasza zorganizowana przestępczość. Po siedemdziesięciu latach rządów partyjnej mafii przyszła wreszcie kolej na nas. Przekonasz się o tym na własnej skórze,

kiedy wrócisz tu na stałe.

– Chyba już się przekonałem, Wołodia. Nie wiem tylko, jak długo potrwa ten stan.

– Wielu rzeczy nie da się już cofnąć. Tylko zapijaczone stetryczale pierniki marzą jeszcze o powrocie starej gwardii, więc jeśli sądzą, że zdołają odwrócić bieg historii, proszę bardzo, niech sobie próbują.

Klimienko pociągnął łyk wina.

– Wołodia, być może w przyszłym miesiącu będę musiał skorzystać z twojej pomocy w nadzwyczaj ważnej sprawie.

– Tylko powiedz, czego ci potrzeba.

Rogow strzelił palcami na młodziutką kelnerkę, która błyskawicznie zabrała pustą butelkę i niemal biegiem ruszyła w kierunku baru.

– Czy dałbyś radę załatwić, aby mój przyjaciel całkowicie i bez śladu zniknął w Moskwie, żeby niemal dosłownie zapadł się pod ziemię?

– Nic prostszego. W stolicy utworzyło się podziemie liczące tysiące osób. Ci ludzie najzwyczajniej nie istnieją, przynajmniej dla waszych kompetentnych organów. – Rogow uśmiechnął się szeroko, a po chwili dodał: – Domyślam się, że chodzi o ukrycie kogoś przed funkcjonariuszami twojej zaszczytnej firmy.

– Nie inaczej.

– Da się załatwić. Gdyby chodziło o przerzucenie kogoś za granicę, sprawa byłaby trudniejsza. Ale zniknięcie w Moskwie nie przedstawia żadnych problemów.

Klimienko zamyślił się, po czym starannie dobierając słowa, zapytał:

– Jak można by... zapoczątkować taką procedurę.

Rogow w uśmiechu wyszczerzył idealnie białe zęby. Sięgnął po serwetkę i zapisując na niej szereg cyfr, wyjaśnił:

– Wystarczy zadzwonić pod ten numer i powiedzieć, że Wołodia oczekuje na ważną wiadomość od przyjaciół z Tbilisi. A gdy podejść do aparatu, niech... ta osoba przedstawi się jako... uchodźca z Czarnego Tulipana. Dalej już ja się wszystkim zajmę. W porządku?

Klimienko przytaknął ruchem głowy, złożył serwetkę i wsunął ją do kieszonki na piersi.

Sasza odebrał od kelnerki drugą butelkę gruzińskiego wina.

– Pozwólcie, towarzysze, że tym razem pierwszy wzniosę toast. Za nowego obywatela radzieckiego.

Rozdział 34

Babi Jar, 3 kwietnia 1988 roku, 10.00

Kiedy wreszcie zdezelowany trolejbus dotoczył się do pętli, Katerina odetchnęła z ulgą. Ciągłe wycie, z jakim koło obcierało o pogięty błotnik, wywoływało u niej ściskanie w dołku. Wsiadła i szybko ruszyła ku wejściu do mauzoleum upamiętniającego miejsce śmierci setek tysięcy Ukraińców w czasie drugiej wojny światowej. Jeszcze zanim wkroczyła na jego teren, poczuła dziwnie przytłaczającą atmosferę otaczającą ów masowy grób. Z daleka obrzuciła spojrzeniem pomnik przedstawiający konającą młodą matkę i umieszczony na postumencie napis:

PAMIĘCI OBYWATELI RADZIECKICH, ŻOŁNIERZY, OFICERÓW I JEŃCÓW
WOJENNYCH, TORTUROWANYCH I POMORDOWANYCH PRZEZ HITLEROWSKICH
NAJEŹDŹCÓW W LATACH 1941 – 1943.

Rozejrzała się pospiesznie. W pobliżu nie było nikogo, lecz tym razem wcale jej to nie cieszyło. W takim miejscu łatwo było ją obserwować. Jeżeli zauważono, że wsiada do trolejbusu, wystarczyło powiadomić przez radio innego agenta, który tu mógłby już na nią czekać. Powiodła więc uważnym spojrzeniem po grupkach kręcących się w oddali osób, ale nie wyczuła z ich strony żadnego zagrożenia.

Anatolij zapowiedział, że jego matka podejdzie do niej przy pomniku punktualnie o dziesiątej. Nikt jednak nie szedł w tę stronę. Dopiero po kilku minutach zauważyła kobietę zbliżającą się od strony bramy.

– Czy Wciąż dokuczają ci kurcze w nogach, moje dziecko?

Katerina odwróciła się szybko i popatrzyła w twarz swojej ciotki. Świetnie знаła te rysy, wykrój ust, osadzenie oczu. Tyle że w oczach swojej matki nigdy dotąd nie widziała takiego przytłaczającego, bezbrzeżnego smutku. Lara miała na sobie skromny szary płaszcz i dobrany kolorem gruby wełniany szal, zebrany wysoko pod szyją. Była też nieco bardziej przygarbiona, jakby rzeczywiście musiała się wspierać na zwykłej dębowej lasce, którą trzymała w dłoni.

– Tylko nie wyciągaj żadnych pochopnych wniosków, moja piękna siostrzenico. Twoja

ciotka jedynie stara się sprawiać wrażenie ciężko schorowanej i nie przychodzi jej to łatwo.

– Wybacz, ciociu. Jestem tak oszołomiona, że nie wiem co powiedzieć. Po tylu latach oczekiwania na tą chwilę żadne słowa nie wydają mi się odpowiednie. I co teraz zrobimy?

– Teraz, moja droga, pójdziemy razem wzdłuż tego przekłętego urwiska, a potem bez pośpiechu wrócimy do samochodu i pojedziemy na długą przejażdżkę. Pozwól, że zgrzybiała staruszka przytrzyma się twego ramienia.

Moskwa, 3 kwietnia, 11.30

Szapkin wstał zza biurka na widok wchodzącego Nikitienki.

– Proszę, wejdźcie, Karmie Siergiejewiczu, i zamknijcie drzwi. Usiedli na sofie przy stoliku do kawy.

– Uzyskałem właśnie zgodę przewodniczącego na wykorzystanie specjalnej komory antypodsluchowej, którą od niedawna dysponujemy w Pierwszym Dyrektoriacie, Otrzymacie do wglądu kilka wybranych raportów naszego informatora z amerykańskich służb specjalnych. I nie chodzi tu o jakiegoś sierżanta z wywiadu jednostki stacjonującej w Berlinie, lecz o człowieka działającego w najwyższym kierownictwie centrali w Langley. Jest dla nas niezastąpiony. Wystąpiłem o to pozwolenie dla was, gdyż będzie mi potrzebna wasza pomoc.

Nikitienkę rozpierała duma. Nie zdobył się na żadne słowa wdzięczności, tylko bąknął:

– W czym miałbym pomóc?

– W wykryciu szczególnie groźnego amerykańskiego szpiega, który przeniknął na Kreml.

Pułkownikowi serce podeszło do gardła, starał się jednak zachować kamienną twarz.

– Pamiętacie zapewne tę siatkę informatorów, którą zlikwidowaliśmy przed paroma laty – ciągnął Szapkin. – Należało do niej paru agentów z Pierwszego Dyrektoriatu i kilku pracowników biur projektowych przemysłu zbrojeniowego. Był nawet ktoś z Drugiego Dyrektoriatu. Myśleliśmy wówczas, że pozbyliśmy się najważniejszych szpiegów. A później, jak też zapewne pamiętacie, w CIA wybuchła afera Howarda, który był naszym głównym informatorem. Działał pod pseudonimem Mr. Robert. Do dzisiaj od świtu do nocy zapija się na śmierć w swojej dacy. Potem była głośna sprawa komandosów służących w tutejszej ambasadzie. Udało nam się nie tylko rzucić na nich cień podejrzenia o współpracę, lecz także zasugerować, że amerykańskie systemy łączności wcale nie są tak dobrze zabezpieczone.

Umiejętnie podsycaliśmy takie wątpliwości w ich centrali, w Langley.

– Oczywiście, słyszałem o tych wszystkich sukcesach, przynajmniej ogólnikowo.

– Więc zapewne dotarły do was także pogłoski na temat domniemanych przyczyn wielu głośnych klęsk, jakich doznał nasz główny wróg w roku osiemdziesiątym piątym i szóstym.

– W tej sprawie pojawiło się mnóstwo różnych teorii, towarzyszu dyrektorze.

– Proszę, zwracajcie się do mnie po imieniu, Karmie Siergiejewiczu. Nikitienko wyprostował się na sofie.

– Dziękuję, Leonidzie Władymirowiczu. No więc krążyło mnóstwo plotek, lecz, moim zdaniem, nie sprawdzone teorie mogą być bardzo niebezpieczne, kiedy chodzi o dobrze zakonspirowanych, bezcennych informatorów. – Nagle poczuł się trochę jak słuchacz kursu dla oficerów KGB, który wpada w słowo wykładowcy, pragnąc mu się przypodobać.

– Macie rację. Zawsze rodzi się pytanie, czy autorzy spekulacji działają w dobrej, czy w złej wierze. Pozwólcie jednak, że dokończę. W ostatnich latach udało nam się kilkakrotnie wpuścić amerykański kontrwywiad na fałszywy trop. Dochodzenia przynosiły spodziewane rezultaty, lecz żadne z nich nie prowadziło bezpośrednio do Langley. I wkrótce pojawiły się pierwsze oznaki wychodzenia CIA z kryzysu, który nazwano „problemem osiemdziesiątego piątego roku”. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, iż Amerykanie zyskali niezbite dowody na to, że wszelkie ich kłopoty, że się tak wyrażę, zniknęły bezpowrotnie.

– Jak mam to rozumieć?

– O szczegółach dowiedcie się z przygotowanych akt, Karmie Siergiejewiczu. Zapoznajcie się z nimi uważnie. Sami zobaczycie, że zaistniały ważne powody do tego, by w CIA znowu zapanował optymizm. Powiem tylko tyle, że Langley uzyskało dostęp do najwyższych kręgów naszych władz państwowych. Przekonacie się, że amerykański informator musi działać w bliskim otoczeniu sekretarza generalnego, skąd przekazuje ze szczegółami nasze trudne decyzje w sprawie... zaprzestania walk w Afganistanie.

– Rozumiem, Leonidzie Władymirowiczu – odparł Nikitienko, poczuwszy ogromną ulgę.

– Nie róbcie żadnych notatek i nie wyjmujcie dokumentów z teczki. Zaraz po złamaniu plombie musicie podpisać oświadczenie, że zostaliście zapoznani z ostrymi rygorami dostępu do akt Ricarda, gdyż taki właśnie pseudonim nosi nasz agent. Podpiszcie też specjalną klauzulę zachowania ścisłej tajemnicy. Oba te dokumenty znajdziecie w teczce. Za pół godziny mam spotkanie, później będziemy mogli wrócić do tego tematu. Powinniście zostać w komorze aż do

czasu mojego powrotu, gdyż będę musiał osobiście zapieczętować akta. Nawet moja sekretarka nie ma dostępu do informacji przekazywanych przez Ricarda.

– Czy wolno mi zapytać, kto jeszcze z Pierwszego Dyrektoriatu ma do nich dostęp?

– To nieistotne. Nie będziecie mieli okazji rozmawiać na ten temat z żadnym oficerem Komitetu, oczywiście z wyjątkiem samego przewodniczącego oraz towarzysza Kriuczkowa, a i to w mojej obecności. Mogę was jednak zapewnić, że dostęp do tych akt ma niewiele osób poza tym ścisłym gronem, nie licząc paru łączników utrzymujących stały kontakt z Ricardo.

Po przejściu do komory Nikitienko szybko złamał czerwoną woskową plombę, wyjął z teczki dwa wspomniane dokumenty i podpisał je. Następnie zaczął uważnie przeglądać materiały, choć instynkt mu podpowiadał, że wie już dokładnie, co one zawierają.

Kijów, 3 kwietnia, 10.40

W czasie półgodzinnej podróży na działkę Anatolija rozmawiały tylko o sprawach rodzinnych, a głównie o nierozwalnych więzach łączących bliźniaczki. Wreszcie Klimienkowa skręciła z szosy, bitym traktem dojechała nad sam Dniepr i skręciła wzdłuż brzegu wąską wyboistą drogą, pełną dziur wypełnionych wiosennym błotem. Zatrzymała wóz pod laskiem i dalej poprowadziła Katerinę ścieżką między brzozaami ku skromnej chatce z surowych sosnowych bali o oknach zakrytych czerwonymi okiennicami. Wokół stało kilka innych podobnych domków.

Tutaj Klimienkowa nie musiała już udawać ciężkiej choroby. Szła energicznym, sprężystym krokiem i choć nadal trzymała w ręku laskę, ani razu się nianie podparła. Otworzyła drzwi domku i wpuściła Katerinę do środka. W skąpo umeblowanym, zakurczonym wnętrzu, powietrze było lekko zatęchłe, ale chatkę urządzone ze smakiem, włożono w to wiele serca.

– Dzisiaj nikt nam tu nie przeszkodzi. Ludzie przyjeżdżają na działki dopiero gdy się zrobi ciepło, pod koniec kwietnia. To taka nasza namiastka ucieczki od Sojuza. Nie byłam tu od śmierci Wiktora. Uważałam, że nawet tu nie zniosę samotności.

– Ile mamy czasu, ciociu Katerino?

– Nie za dużo, najwyżej godzinę. Później będę musiała wracać do kliniki.

– Więc powiedz mi, ciociu, co mamy dla ciebie zrobić.

– Plan jest prosty, moja droga. W przyszłym tygodniu pojedę do Moskwy i tam umrę.

Następnie zaczekam w ukryciu na przyjazd siostry, żeby narodzić się na nowo. To wszystko. – W jej oczach pojawiły się nagle żywe błyski, a na policzki wystąpił rumieniec.

– Z pozoru ten plan jest rzeczywiście bardzo prosty, ale zgodnie ze znanym angielskim powiedzeniem, ciociu, diabeł tkwi w szczegółach.

Klimienkowa zaśmiała się krótko.

– Masz rację, moja droga. W takim razie przejdźmy do szczegółów. Zauważyłam, że uderzył cię mój wygląd, kiedy mnie tylko zobaczyłaś w Babim Jarze, lecz jak się już przekonałaś, są to jedynie wystudiowane symptomy postępującej szybko anemii. – Klimienkowa usiadła w wymoszczonym wzorzystą szydełkową robótką fotelu na biegunach i ciągnęła tonem profesjonalistki: – Usilnie pracuję nad tym okropnym starczym wyglądem już od trzech tygodni, od chwili, kiedy zapoznałam Anatolija z moją decyzją połączenia się z Lara.

– Na co moja matka i ja bez wahania przystaliśmy, ciociu. Czy mam więc rozumieć, iż w rzeczywistości nic ci nie dolega?

– Nie, moja droga, jestem w doskonałej formie. Za to koledzy z kliniki są dogłębnie przeświadczeni, iż trawi mnie poważna choroba. Nie sprawia mi przyjemności, że muszę ich oszukiwać, ale ich przekonanie to bardzo ważny element naszego planu.

– Proszę, mów dalej, ciociu. Nie będę ci więcej przerywała.

– Pytaj śmiało, jeśli czegoś nie zrozumiesz. Otóż wykorzystałam historię choroby i wyniki badań laboratoryjnych jednej z moich pacjentek, która całkiem niespodziewanie zapadła na białaczkę i wkrótce potem zmarła. Choroba rozwijała się błyskawicznie, zaledwie przez sześć tygodni, ale białaczka mielogeniczna miewa czasami taki szybki, nadzwyczaj wyniszczający przebieg. Tak więc już od trzech tygodni próbuję się upodobnić z wyglądu do tamtej pacjentki i fałszuję wyniki badań na podstawie jej rezultatów.

– Skąd możesz być pewna, że i specjaliści dadzą się oszukać? Przepraszam, ciociu, ale muszę o to spytać, gdyż Aleksander i Anatolij z pewnością będą chcieli to wiedzieć, kiedy się spotkamy.

– Dobrze wiem, jak Tola potrafi zamęczać pytaniami. Pod tym względem jest bardzo podobny do Wiktora. Ale w tej sprawie możecie mi zaufać. Postaram się, by wszystko wypadło całkiem wiarygodnie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki koszmar zaczyna się już teraz na Ukrainie, choć od katastrofy w Czarnobylu minęły dopiero dwa lata.

– Czyżbyś chciała zasugerować związek między twoją białaczką i awarią w Czarnobylu?

– Brak danych wskazujących na powiązania między przypadkami białaczki mielogenicznej

a bezpośrednim napromieniowaniem, w tej dziedzinie wciąż pozostaje wiele niewiadomych. Właśnie wczoraj rozmawiałam o swojej przypadłości z ordynatorem kliniki. Muszę się przyznać, że użyłam dość chętnie stosowanego przez lekarzy wybiegu. Otóż poprosiłam ordynatora o konsultację w sprawie pacjentki, która zachorowała na grypę i wyjątkowo długo nie mogła się z niej wykurować. Wciąż odczuwała dotkliwe przemęczenie, lecz usiłowała je pokonać, aż w końcu zwróciła uwagę, że rany goją jej się coraz gorzej, często miewa krwotoki z nosa, a krew pojawia się także w moczu. Kiedy zgłosiła się na badania, miała we krwi już sześćdziesiąt tysięcy białych ciałek. To bardzo dużo.

Katerina słuchała z wyteżoną uwagą, utrwalając w pamięci wszystkie informacje.

– No więc kiedy powiedziałam ordynatorowi o tych objawach – ciągnęła Klimienkowa – pokazałam wyniki analiz i zdjęcia rentgenowskie, które odpięłam od starej karty chorobowej, wziął mnie za rękę, popatrzył prosto w oczy i zapytał, czy przypadkiem nie opisuję mu własnych symptomów. Przedtem wprowadziłam się w odpowiedni nastrój, a że nawet ten fakt, iż oszukuję godziwego, zaufanego przyjaciela, skłaniał mnie do płaczu, że łzami w oczach przyznałam mu rację.

– I uwierzył?

– Tak. Oznajmił jednak, że chciałby mnie zbadać osobiście, aby potwierdzić najgorsze przypuszczenia. I tu właśnie jest mi potrzebna twoja pomoc, kochana siostrzenico. Mam nadzieję, że jesteś równie dzielna jak twoja matka.

– Też mam taką nadzieję, ciociu.

– Otóż na jutrzejsze badania będzie mi potrzebnych parę siniaków, jeśli nie chcę, by cała ta mistyfikacja wyszła na jaw. W przeciwnym razie ordynator z pewnością skieruje mnie na badanie szpiku kostnego. Jeśli zaś ujrzy na własne oczy, że potwierdzają się jego najgorsze obawy, zrezygnuje ze specjalistycznych analiz. Doskonale wie, jak wysoki jest procent umieralności na białaczkę wśród osób po pięćdziesiątce, zwłaszcza w Związku Radzieckim. Więc gdy zobaczy siniaki, na pewno nie będzie chciał robić dalszych badań. Już ja się o to postaram.

– Mówisz poważnie? Mam ci zrobić parę siniaków?

– Oczywiście. Chodzi o to, by do pozostałych objawów, a więc krwotoków z nosa, krwi w moczu, bardzo wysokiej liczby białych krwinek i ciągłego przemęczenia, dodać wyraźne zasinienia na skórze bioder i ud, bo wówczas mój szanowny kolega pojmie od razu, że jedynym

ratunkiem dla mnie może być wyjazd do moskiewskiej kliniki onkologicznej. Wtedy bez trudu... będę mogła umrzeć w przyszłym tygodniu.

– A co cię czeka w Moskwie?

– W tamtejszej klinice pracuje nasz serdeczny przyjaciel, także Ukrainiec, już od dwudziestu lat związany z podziemnym ruchem nacjonalistycznym. On powiadomi moich kolegów z Kijowa, że zmarłam na skutek niespodziewanej zapaści krótko po przyjeździe do Moskwy. Będzie to świetnie pasowało do diagnozy, jaką postawi jutro ordynator. Co więcej, zostawiłam już wyraźne dyspozycje, że moje zwłoki mają zostać poddane kremacji. Później, oficjalnymi drogami, Anatolij zostanie powiadomiony o moim niespodziewanym zgonie. Akurat ta część planu wydaje mi się najprostsza. Zatem do roboty, moja droga. Naprawdę potrzebuję tych siniaków.

Klimienkowa wstała, z kącika za szafą wyjęła drugą laskę, stanęła przy stole i wyciągnęła ją w stronę Kateriny.

– Chwyć za cieńszy koniec i dwa albo trzy razy walnij mnie mocno w to miejsce. – Wskazała prawe biodro. – A później jeszcze tu, w lewe udo. Powiem, że zahaczyłam o drzwi, wsiadając do samochodu. Dla pewności może zrobimy jeszcze trzeciego siniaka, gdzieś tu, wyżej. Tylko uważaj, żeby nie trafić za wysoko, bo możesz mi uszkodzić nerkę.

– Ciociu... Sama nie wiem...

– Proszę, zrób to, Katiu. W takiej chwili musisz się zdobyć na odwagę. Katerina chwyciła oburącz koniec laski, jakby to był kij do gry w krykieta.

Stanęła w lekkim rozkroku, wzięła zamach i uderzyła ciotkę w prawe biodro. Klimienkowa, która stała z dłońmi zaciśniętymi na krawędzi stołu, ani drgnęła.

– Następnym razem będziesz musiała w to włożyć więcej siły. Jestem taka jak twoja matka, niełatwo nabić nam guza. Proszę, postaraj się bardziej.

Czując łyzy cisnące się do oczu, Katerina wzięła większy zamach i z półobrotu huknęła ciotkę z drugiej strony, wkładając w ten cios prawie całą siłę. Starsza kobieta cicho jęknęła, po czym szybko kazała jej powtórzyć uderzenie w prawe biodro, a następnie trafić jeszcze niżej, w udo.

– Właśnie o to chodziło, Katiu – syknęła przez zaciśnięte zęby. – A teraz uderz mnie jeszcze raz z lewej strony, tak jak poprzednio i na tym skończymy.

Katerina zbliżyła się o pół kroku i z szerokim zamachem wymierzyła cios w lewe biodro. Mimo woli łyzy spływały jej po policzkach. Z hukiem postawiła laskę na podłodze, wsparła się na

niej i zwiesiła głowę na piersi. Klimienkowa szybko utuliła ją w ramionach.

Minutę później Katerina zaczęła opowiadać ciotce o swoich spotkaniach z Anatolijem, począwszy od jego krótkiej wizyty w Ermitażu, a skończywszy na ostatniej rozmowie, do której doszło przed dwoma dniami w hotelu „Ukraina”. Klimienkowa zapisała sobie moskiewski numer telefonu i dokładnie powtórzyła hasło, jakim miała się posłużyć w nawiązaniu kontaktu z Wołodią.

Później szybko opracowały wspólnie plan utrzymania kontaktu między sobą. Klimienkowa zaproponowała, że zadzwoni do pokoju hotelowego Kateriny i przedstawi się jako lekarka pragnąca udzielić wywiadu na temat sytuacji kobiet w Związku Radzieckim. Miary się spotkać dwie godziny po tym telefonie w szatni największej moskiewskiej krytej pływalni. Obiekt ten, czynny przez okrągły rok, przyciągał wielu chętnych, można więc tam było bezpiecznie porozmawiać. Gdyby jednak Klimienkowa zadzwoniła po dziewiętnastej, do spotkania miało dojść dopiero o dziewiątej następnego ranka. Katerina musiała się też zaopatrzyć w jakiś nie rzucający się w oczy, najlepiej polski kostium kąpielowy.

Przed wyjściem z domku Klimienkowa podwinęła jeszcze spódnicę, żeby obejrzeć stłuczone miejsca. Były już wyraźnie zaczerwienione.

Wróciły tą samą drogą. Katerina wysiadła na pustym przystanku trolejbusowym za Babim Jarem. Żałowała, że jeszcze tylko raz będzie się mogła na krótko zobaczyć z nie znaną dotąd ciotką, zanim ta, już jako Lara Martynowa, wyjedzie ze Związku Radzieckiego.

Moskwa, 3 kwietnia, 12.50

Po godzinnym ślęczeniu nad raportami Ricarda Nikitienko mógł w końcu wrócić do swojego gabinetu. Jego uwagę przykuła kopia raportu wysłanego z Białego Domu do ambasady amerykańskiej w Rzymie, omawiającego przebieg spotkania Gorbaczowa z generałem Titowem, a w nim szczególnie jedno zdanie, na podstawie którego mógł już zidentyfikować groźnego zdrajcę. Nawet nie spojrzął do tekstu rosyjskiego tłumaczenia tegoż raportu, był bowiem przekonany, że jak zwykle zawiera ono liczne błędy.

We własnym zakresie przetłumaczył sobie krótki fragment na rosyjski, po czym wyjął z szafy pancерnej magnetofon z kasetą, na której utrwalił wczorajszą krótką rozmowę z Klimienką. Nerwowo przewijał taśmę w poszukiwaniu tej jednej wypowiedzi, aż wreszcie

odnalazł zdanie Klimienki, omawiające stanowisko generała Titowa:

„...dowódcy Armii Radzieckiej potraktują dziewięciomiesięczny termin wycofania, a zwłaszcza trzymiesięczny termin redukcji stanu o połowę, jeśli taki zapis znajdzie się w tekście porozumienia, jak osobistą zniewagę. W ubiegłym tygodniu generał Titow miał przedstawić to stanowisko ministrowi obrony, a może nawet i sekretarzowi generalnemu. Rzecz jasna, występując z rozkazu generała Gromowa. Obiło mi się jednak o uszy, iż kompetentne czynniki jasno dały do zrozumienia generałom, że ocalenie honoru Armii Radzieckiej jest ich obowiązkiem, a nie zadaniem partii”.

Ogarnęło go narastające podniecenie.

Szybko wyciągnął z szafy wszystkie zebrane materiały dotyczące Klimienki i Aleksandra Fannina. Po raz kolejny zagłębił się w życiorys pułkownika i odnalazł krótką notatkę o tym, że matka Klimienki miała siostrę bliźniaczkę, która zaginęła bez wieści w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku i została uznana za zmarłą. Z pozoru nie było w tym niczego niezwykłego, w czasie wojny chyba wszyscy stracili kogoś bliskiego, nie wyłączając jego samego. Ale przeczucie nakazywało mu zachować czujność. Zaczął więc dalej przerzucać papiery, aż trafił na zdjęcie Klimienki z rodzicami, wykonane po uroczystości wręczenia mu orderu w gmachu na Łubiance. Po raz pierwszy Nikitienko przyjrzał się uważniej matce pułkownika. Następnie zaś, z opanowaniem, które nawet jego zaskakiwało, wyjął z teczki Fannina odbitkę artykułu z „Far Eastern Economic Review” zawierającego zdjęcie Michaela Martynowa i jego żony, Lary, zrobione podczas wręczania biznesmenowi z Hongkongu pochwalnego listu królowej. Wystarczyło tylko porównać obie fotografie, by natychmiast zrozumieć, co łączy Nikitienkę z agentem CIA, Aleksandrem Fanninem. Teraz trzeba było jeszcze te oczywiste dowody zdrady dostarczyć na biurko Szapkina. Już niedługo miała się nadarzyć ku temu doskonała okazja.

Islamabad, 3 kwietnia, 21.00

Wszystko poszło jak z płatka. Dwie godziny po zachodzie słońca z terenu ambasady wyjechały w pięciominutowych odstępach trzy samochody. Jako pierwszy wyruszył służbowym wozem tutejszy rezydent KGB, który wziął na siebie zadanie odwrócenia uwagi pakistańskiej tajnej policji. Rzeczywiście tuż za nim odbiła od krawężnika biała toyota corolla

z przyciemnionymi szybami, dotąd parkująca kilkadziesiąt metrów dalej, niemal pod samą bramą sąsiedniej ambasady chińskiej. Drugi wyjechał zastępca rezydenta, później zaś dowódca służb ochrony. Tymczasem na terenie ambasady Klimienko i Krasin przy pomocy dwóch oficerów rezydentury załadowali trzy wielkie zielone skrzynie do furgonetki nissana, po czym niepostrzeżenie minęli bramę i skręcili w przeciwnym kierunku.

Po przejechaniu pięciu kilometrów kierowca rezydenta odebrał drogą radiową umówiony sygnał, że wszystko jest w porządku i służby pakistańskie nie zauważyły ruszającej, czwartej furgonetki.

Pięć minut później nissan zaparkował obok półciężarówki suzuki i jego ładunek został przeniesiony. Klimienko udzielał kierowcy wskazówek po angielsku. Kazał mu dostarczyć skrzynie na stację towarową w Rawalpindi następnego ranka, gdy zacznie się już przeładunek transportu amunicji, oddać je w ręce znajomego człowieka i natychmiast o wszystkim zapomnieć.

Rawalpindi, 4 kwietnia, 8.00

Od roku, to znaczy od chwili, kiedy Mohammed Qureshi dobrowolnie podjął współpracę z radzieckim wywiadem, powodziło mu się coraz lepiej. Krótco po objęciu stanowiska głównego dyspozytora na stacji towarowej w Rawalpindi zrozumiał, że zyskał dostęp do informacji, które dla Rosjan mogą mieć spore znaczenie, dlatego zebrawszy się na odwagę, przygotował list w zaklejonej kopercie i zczekał, aż furgonetka z ambasady radzieckiej przyjedzie po przesyłkę dyplomatyczną. Napisał wprost, że chciałby za pieniądze informować o niektórych dostawach i że godzi się spotykać z łącznikiem w wyznaczonych miejscach. Wsunął tę kopertę między papiery potwierdzające odbiór przesyłki i oddał je kierowcy. Szofer udał, że niczego nie zauważył; był dobrze przygotowany na takie okoliczności. Dwa dni później, kiedy Qureshi znów miał służbę, spisał oznaczenia z wojskowych skrzyń przeładowywanych na ciężarówce, dodał do tego zasłyszaną od kierowców wiadomość, że transport jest przeznaczony dla pakistańskich służb specjalnych, po czym przekazał notatki łącznikowi o imieniu Igor. W zamian tamten dał mu kopertę zawierającą sto pięćdziesiąt dolarów i obiecał tyle samo za każdą informację o transportach wojskowych. Przez rok ubliczowało się tego sporo, ponieważ dostawy sprzętu i amunicji zdarzały się często i nic nie zapowiadało ich szybkiego końca.

Jednak kilka tygodni temu Igor ostrzegł go, że współpraca zostanie zerwana, jeśli nie zgodzi się wykonywać również innych zadań. Jednocześnie dał do zrozumienia, że za dodatkowe usługi otrzyma dziesięciokrotnie większą sumę, czyli półtora tysiąca dolarów.

Qureshi zjawił się na stacji późnym wieczorem trzeciego kwietnia. Razem z kierowcą półciężarówki szybko wyładowali trzy duże skrzynie na rampie przy bocznicy, która nazajutrz miała być wykorzystana do przeładunku zapowiedzianego transportu wojskowego. W dodatku z okna dyspozytorni mógł je cały czas mieć na oku.

Stacja kolejowa w Rawalpindi, 4 kwietnia, 8.00

Kiedy już cały transport amunicji i materiałów wybuchowych został przeniesiony z platform na ciężarówki, Qureshi, tego dnia wyjątkowo ubrany w kolejarski uniform i służbową czapkę, podszedł do dwóch tragarzy i polecił im załadować na wóz jeszcze trzy skrzynie stojące nieco na uboczu. Kilkanaście minut później konwój samochodów, wypakowanych łącznie ponad dwoma tysiącami ton groźnego ładunku, wytoczył się poza teren stacji. Qureshi wrócił do swego biura, ciężko klapnął na krzesło, otarł pot z czoła i odetchnął głęboko, próbując opanować przyspieszone bicie serca.

Islamabad, 4 kwietnia, 8.50

Klimienko i Krasin jechali na skrzyni furgonetki. Bez większego zainteresowania obserwowali, jak kierowca pokonuje wyludnione ulice Islamabadu, nowoczesnie rozplanowanej stolicy kraju, i skręca w starą Murree Road, wiodącą ku niedalekiej, tętniącej życiem dawnej stolicy, Rawalpindi. Pakistańczycy dość lekkomyślnie udostępniłi obóz Odzri, leżący w gęsto zaludnionej strefie między tymi dwoma miastami, na główny skład amunicji dla rebeliantów z sąsiedniego Afganistanu.

Już z daleka Anatolij zauważył długi szereg ciężarówek o wzorzystych malowidłach na plandekach, które wartownicy kierowali od bramy obozu do poszczególnych punktów rozładunkowych. Wszystkie auta miały na końcach przednich zderzaków zatknięte czarne proporczyki, symbole Bitewnych Zastępów Proroka. Kilka minut później furgonetka zaparkowała w doskonałym punkcie obserwacyjnym, na skraju targowiska, zwanego Round

Market.

Stacja kolejowa w Rawalpindi, 4 kwietnia, 11.00

Qureshi już z dumą myślał o swoim niedawnym wyczynie, kiedy drzwi dyspozytorni nagle otworzyły się z hukiem i do środka wkroczyło z pistoletami w dłoniach trzech oficerów pakistańskiego wywiadu.

– Zapomnieliście czegoś, panowie?

Najstarszy rangą stanął tuż przed nim i wymierzył broń w środek jego czoła, które ponownie szybko okryło się potem.

– Powiesz mi zaraz, kto ci przekazał tę skrzynię i jakie masz instrukcje. Masz gadać natychmiast, albo zastrzelę cię na miejscu jak psa!

Skrzynię! – przemknęło przez myśl kolejarzowi. – Zapytał tylko o jedną skrzynię! A więc nie znaleźli jeszcze dwóch pozostałych!

– Jaką skrzynię? – wybąkał.

Oficer chwycił go za kołnierz i poderwał z krzesła.

– Brać go! – warknął.

Qureshiego brutalnie wepchnięto na tylne siedzenie czarnej toyoty i z wyciem syren pospiesznie wywieziono z miasta. Przez całą drogę rozmyślał, czy nie lepiej było jednak wyładować te trzy skrzynie z samochodu prosto do rzeki.

Klimienko pierwszy usłyszał syreny policyjnych aut nadjeżdżających Murree Road. Odwrócił się, klepnął kierowcę w ramię i zapytał:

– Co się tam dzieje?

– Zbliżają się trzy wozy w eskorcie policjantów na motocyklach. To auta służb specjalnych. Oho, zwalniają. Wygląda na to, że skręcą do obozu Odźri.

Anatolij spojrział na zegarek, było dwadzieścia pięć po jedenastej.

– Biegnij do sklepu po kolegę. Chyba mamy kłopoty. Trzeba będzie przyspieszyć akcję.

Obóz Odźri, 4 kwietnia, 11.30

Mohammed Qureshi został wprowadzony do pierwszego baraku, gdzie wzdłuż ścian zgromadzono sterty skrzyń z różną amunicją, od rakiet i granatów moździerzowych po naboje do pistoletów. Pośrodku zaś stała znana mu zielona skrzynia ze zdjętym wiekiem. W jej rogu znajdował się duży ładunek oklejonych taśmą samoprzylepną kostek trotylu i grubych cylindrycznych pojemników, połączonych kablami z zapalnikiem radiowym. Do tej pory nie podjęto nawet próby rozbrojenia bomby.

– Kto ci przekazał tę skrzynię i jakie dostałeś instrukcje? – zapytał ponownie oficer wywiadu, przytykając mu lufę pistoletu do głowy.

Qureshi gorączkowo starał się wymyślić jakieś tłumaczenie, ale jego chaotyczne myśli wypełniało jedynie wyobrażenie trzech radzieckich skrzynek unoszonych prądem rzeki. Zdecydował wreszcie, że najlepszym rozwiązaniem będzie płacz i błaganie o litość. Ale nie zdążył nawet otworzyć ust, kiedy ładunek eksplodował, wypełniając wnętrze baraku ciężkimi oparami białego fosforu. Jednocześnie wybuchły dwie pozostałe bomby umieszczone w innych barakach. W ciągu niespełna minuty cały teren obozu przekształcił się w gigantyczne piekło szalejących płomieni. Eksplozje wstrząsały powietrzem aż do rana, jeszcze zanim pakistańskie służby na dobre przystąpiły do tropienia autorów sabotażu.

Rozdział 35

Moskwa, 5 kwietnia 1988 roku, 9.30

Następnego dnia po akcji w obozie Odźri Nikitienko udał się z dyrektorem Szapkinem do gabinetu przewodniczącego Czebrikowa, by złożyć mu raport o spektakularnym sukcesie. Po drodze Szapkin przekazał w zaufaniu, że sam Kriuczkow wystąpił o odznaczenie pułkownika Klimienki Orderem Lenina. Co zrozumiałe, był to jeden z elementów wyścigu z Jazowem po wszelkie zaszczyty, jakich należało oczekiwać po tak wspaniałej operacji. Jazow zapewne zdążył już złożyć wniosek o analogiczne odznaczenie pułkownika Krasina.

Jechali szybko lewym „pasem czajek”, w całej Moskwie zarezerwowanym dla służbowych wozów przedstawicieli elit władzy. Przez całą drogę Nikitienko nie mógł się uwolnić od myśli, że jak na ironię losu Klimienko zostanie najpierw Bohaterem Związku Radzieckiego, a dopiero później on będzie mógł zdemaskować tego szczególnie groźnego szpiega i zdrajcę.

Kierowca precyzyjnie się wjechał na prawo i zatrzymał wóz przy krawężniku. Szapkin energicznym krokiem ruszył do frontowego wejścia gmachu na Łubiance. Zazwyczaj korzystał z bocznych drzwi, ale tego dnia przywoził radosne wieści, musiał więc paradnie przedelfilować przez główny hol. W sekretariacie gabinetu Czebrikowa czekał na nich Władimir Kriuczkow.

– Przewodniczący prosił mnie, byśmy tu zaczekali parę minut – rzekł, witając się z przybyłymi. – Wydaje mi się, że rozmawia przez telefon z Michailem Siergiejewiczem.

– Mam nadzieję, że przewodniczący będzie równie zadowolony jak minister obrony z rezultatów naszej operacji w Rawalpindi – oświadczył butnie Szapkin. – Z tego, co słyszałem, w ministerstwie przypisują sobie całą zasługę powodzenia tej akcji. Nikt nawet słowem nie wspomina o roli, jaką odegrało KGB.

Kriuczkow otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, kiedy uchylły się drzwi i Czebrikow zaprosił gości do gabinetu. Nikitienko usiadł na sofie obok Szapkina.

– Wiktorze Michajłowiczu – zaczął szybko Kriuczkow – przynosimy wyjątkowo dobre wieści, szczególnie cenne w okresie, gdy tak mało jest pomyślnych raportów mimo licznych naszych wysiłków w Afganistanie. Jeden z naszych oficerów Kabulskich Sił Interwencyjnych zaplanował i przeprowadził akcję sabotażową, wymierzoną w główną bazę zaopatrzeniową duszmanów znajdującą się na terenie Pakistanu. Operacja zakończyła się spektakularnym

sukcesem i z pewnością przyniosła olbrzymie straty rebelianckim ugrupowaniom. Będzie musiała się przyczynić do osłabienia walk, na czym tak bardzo zależało sekretarzowi generalnemu w świetle konieczności bezpiecznego wycofania naszych oddziałów.

Przewodniczący KGB spojrział znad okularów na Kriuczkowa. Nawet nie próbował zamaskować wyrazu głębokiej pogardy malującego mu się na twarzy.

– Chyba nie sądzicie, Leonidzie Władymirowiczu, że dopiero teraz dowiaduję się o tej operacji. Wszyscy w mieście już o niej mówią. I wszyscy sobie przypisują zasługi. Jeśli operacja jest tak wielkim sukcesem KGB, jak mówicie, to dlaczego minister obrony rozgłasza wszem i wobec, że od początku do końca została zorganizowana przez sztab czterdziestej armii? Słyszałem, że sekretarz generalny otrzymał już raport w tej sprawie od generała Jazowa, w którym minister daje do zrozumienia, że pomysł zorganizowania akcji sabotażowej wyszedł od niego. Właśnie przed chwilą próbowałem się telefonicznie skontaktować z sekretarzem generalnym, lecz w chwili obecnej, co zrozumiałe, jest on zanadto przytłoczony rozwojem wydarzeń.

Nikitienko popatrzył na Kriuczkowa, który wyprostował się w fotelu i odparł:

– Towarzyszu przewodniczący, zostałem wezwany do gabinetu sekretarza generalnego tuż przed wyjazdem z Jaseniewa. Poproszono mnie, bym wczesnym popołudniem osobiście złożył Michaiłowi Siergiejewiczowi raport z akcji w Rawalpindi. Zakładam, że wy również przy tym będziecie.

Czebrikow gwałtownie poczerwieniał na wieść, że Gorbaczow z pominięciem hierarchii służbowej Komitetu zwrócił się bezpośrednio do szefa Pierwszego Dyrektoriatu KGB.

– Możecie być pewni, Władymirze Aleksandrowiczu, że Michaił Siergiejewicz będzie już znał całą prawdę o akcji w Rawalpindi z rozmowy ze mną. Możecie być także pewni, że doceni rolę waszego dyrektoriatu... to znaczy całego Komitetu w zaplanowaniu i przeprowadzeniu tej błyskotliwej operacji.

Nikitienko spuścił wzrok, gdyż nie mógł dłużej patrzeć na wykrzywioną nienawiścią twarz przewodniczącego, zmuszonego do rozmowy z człowiekiem, który już wkrótce miał go zastąpić na stanowisku.

Moskwa, 5 kwietnia, 11.30

W restauracji „Tbilisi” Rogow precyzyjnie się do kontuaru i wziął od barmana słuchawkę.

– Rogow.

– Wołodia, mój drogi, czy nie zechciałbyś się spotkać z kolejną miłą uciekinierką z Czarnego Tulipana? Mam nadzieję, że znajdziesz dla mnie trochę czasu.

– Możesz przyjść zaraz? – spytał bez wahania. – Chętnie ci udowodnię, jak troskliwie zajmuję się wszystkimi uchodźcami z Czarnego Tulipana.

– Jestem w pobliżu, mój drogi. Spotkamy się za kilka minut.

– Będę czekał przy drzwiach.

W głębi ducha Rogow nawet się spodziewał, że zapowiedzianym przez Klimienkę tajemniczym uciekinierem będzie kobieta. Teraz pomyślał jednak ze zdziwieniem, że – sądząc po głosie – była starsza, niż tego oczekiwał. Gdyby ktoś podsłuchał tę rozmowę, mógłby nabrać podejrzeń, bo zwykle dzwoniły tu znacznie młodsze kobiety. To było jednak mało prawdopodobne, Rogow rozdawał wysokie łapówki za to, by nie korzystano z podsłuchu na tej linii.

Kabul, dowództwo 40. armii, 12 kwietnia

W czasie porannej odprawy, następnego dnia po operacji w Rawalpindi, Klimienko i Krasin zostali potraktowani jak bohaterowie. Za to w pierwszej depeszy z Ermitażu Aleksander napisał lakonicznie, że wycofuje swoją wcześniejszą prośbę o wyjaśnienie ewentualnych „gwałtownych reakcji ze strony czterdziestej armii” w przypadku nasilenia działań mudżahedinów. Wydarzenia w Odżri stały się aż nazbyt dokładnym wyjaśnieniem.

W odpowiedzi Anatolij omówił tylko przebieg swojego spotkania z Kateriną w Moskwie. Ich wspólny plan został wcielony w życie, nie można się już było z niego wycofać. Przypomniał także Fanninowi, że nadal prosi o jak najpełniejsze informacje o pułkowniku KSN, który nie tylko zbiera materiały na temat swojego kolegi, ale zdążył też z powodzeniem zidentyfikować tajemniczego Aleksandra z Paktii.

Moskwa, 24 kwietnia

Nikitenko otrzymał w końcu raport z pływającej rezydentury na pokładzie MS „Bajkał”,

potwierdzający jedynie wiadomości, które uzyskał dla niego młody geniusz komputerowy. Wśród paru interesujących danych znalazł również tę, że K. Martynowa posługuje się też nazwiskiem Catherine Martin.

Kilka dni później Nikitienko ponownie zasiadł u boku Siergieja Bochana i poprosił o sprawdzenie w bankach danych informacji dostarczonych przez agentów z „Bajkału”.

– Spróbujemy odnaleźć tę Katerinę Martynowa lub Catherine Martin, urodzoną w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku w Szanghaju – zaproponował major. – Widzę, że posługuje się nie tylko brytyjskim paszportem wystawionym w Hongkongu, lecz także dokumentami francuskimi i amerykańskimi, a ponadto ma dyplom Sorbony. Zaraz zobaczymy, czy kiedykolwiek przekraczała naszą granicę.

Już po kilku sekundach na ekranie wyświetlił się wynik poszukiwań.

– Właśnie jest tutaj, towarzyszu pułkowniku! Kilkaset metrów stąd, na drugim brzegu rzeki!

– Jak to na drugim brzegu rzeki?

– Wasza Catherine Martin, posługująca się paszportem francuskim, urodzona w czterdziestym dziewiątym roku, jest korespondentką pisma „Far Eastem Focus”, akredytowaną w Moskwie. Po raz ostatni przechodziła kontrolę celną dwudziestego ósmego marca na lotnisku w Szeremietiewie. Zamieszkała w hotelu „Ukraina”. Złożyła wniosek i na początku kwietnia otrzymała przepustkę na podróż do Kijowa.

Nikitienko szybko zapisał na kartce kilka nazwisk i położył ją obok klawiatury komputera.

– Czy istnieje sposób na to, byście mogli za pomocą komputera śledzić trasy podróży tych ludzi po świecie?

Bochan popatrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Dziwię się, że o to pytacie, towarzyszu... Karmie Siergiejewiczu. Już jakiś czas temu meldowałem kompetentnym czynnikom, iż jest to w pełni wykonalne.

Nikitienko w zamyśleniu pokiwał głową.

– I jaki był efekt?

– Powiedziano mi, że koszty eksploatacji komputerów są za wysokie, a Komitet dysponuje wystarczającą liczbą oficerów do prowadzenia tego rodzaju zadań.

Karm położył dłoń na ramieniu majora.

– Czy moglibyście na moją odpowiedzialność zlecić śledzenie tych osób i przedstawić wyniki tylko mnie?

Bochan popatrzył na spis nazwisk.

– Tak, oczywiście. To będzie bardzo ciekawy sprawdzian mojej teorii. Jeśli sprawa dotyczy tylko tych paru osób, mogę zacząć natychmiast.

Pospiesznie wprowadził kilka rozkazów i wpisał nazwiska: Martin Catherine, Martynowa Katerina, Martynowa Lara, Martynow Michael, Fannin Aleksander, Gromek Jan. Z uwagą popatrzył na ekran, na którym zaczęły się przewijać linie komunikatów.

– A oto i pierwsze odkrycie dotyczące waszej kobiety – rzekł, odczytując wiadomość. – Komputer potwierdza jej przekroczenie granicy na lotnisku w Szeremietiewie dwudziestego ósmego marca, ale zarazem ujawnia, że Catherine Martin zarezerwowała bilet powrotny na czwartego maja w samolocie linii Finnair z Leningradu, lot numer cztery tysiące dziewięćset siedemdziesiąt sześć.

Nikitienko z uznaniem pokiwał głową, uśmiechając się lekko.

– Chwileczkę! – wykrzyknął Bochan. – Mamy kolejną wiadomość. Chwilę później Karm pospiesznie notował, że wydana została wiza niejakiej Larze Martynowej, urodzonej czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku, posługującej się paszportem brytyjskim. Kobieta właśnie dziś wypływała z Hongkongu na pokładzie „Chabarowska” i zgodnie z planem wycieczki ma zejść na ląd w Nachodce, po czym odlecieć z Władywostoku do Moskwy samolotem Aeroflotu, lot numer pięćset trzydzieści cztery, a po czterech dniach zwiedzania, czwartego maja, wyruszyć z Leningradu do Helsinek samolotem linii Finnair, lot numer cztery tysiące dziewięćset siedemdziesiąt sześć.

– Przecież to ten sam rejs, którym będzie opuszczała nasz kraj Catherine Martin, towarzyszu pułkowniku!

Kiedy Nikitienko zajrzał do sekretariatu, Szapkin zawołał go zza uchylonych drzwi gabinetu.

– Karmie Siergiejewiczu, otrzymałem właśnie wiadomość, która z pewnością zmartwi was tak samo, jak mnie. Otóż matka Anatolija Wiktorowicza nagle zmarła w Moskwie. Spada na mnie przykry obowiązek powiadomienia o tym pułkownika Klimienki. Chciałem, byście o tym wiedzieli, bo osobiście znacie Anatolija Wiktorowicza.

Nikitienko z trudem zachowywał kamienny wyraz twarzy. Nie kończąca się lawina zdarzeń sprawiała, że odczuwał niemal zawrót głowy.

– Czy zadbano już o przygotowania do uroczystego pogrzebu, Leonidzie Władymirowiczu?

Może ja bym się tym zajął?

– Jesteście bardzo troskliwi, Karmie Siergiejewiczu, ale już o to pytałem. Zwłoki Kateriny Klimienkowej zostały wczoraj skremowane. Zapisła w ostatniej woli, że ma być spalona natychmiast po śmierci. Nie miała żadnej rodziny, tylko Anatolija Wiktorowicza. Jego ojciec zmarł przed dwoma laty, jak zapewne pamiętacie.

– Tak, pamiętam. Klimienko był w żałobie. Ale może mógłbym przynajmniej porozmawiać z personelem szpitala, żeby się upewnić, czy na pewno nie trzeba jakoś pomóc Anatolijowi Wiktorowiczowi. Z pewnością ktoś powinien się zatroszczyć o majątek zmarłej.

Hongkong, 24 kwietnia, 17.45

Aleksander udzielał Larze ostatnich wskazówek przed wyjazdem.

– Na pokładzie „Chabarowska” nic ci raczej nie zagraża. To autentyczna pływająca placówka KGB, niemal pełna rezydentura, lecz agenci nie powinni zwracać na ciebie baczniejszej uwagi, chyba że ktoś im to zlecił.

Michael był szczególnie zdenerwowany, nie potrafił się znaleźć w sytuacji, której nie może kontrolować i na którą nie ma żadnego wpływu.

– Podczas rejsu po morzu będziesz miała okazję dobrze wypocząć, moja droga.

– Masz rację, Misza – odparła Lara, która ostatnio nadzwyczaj często zdrabniała imię męża.

– Prawdziwe podchody zaczną się dopiero w Nachodce. Zgadza się, Aleks?

– Nie inaczej. W samym porcie też raczej nie należy oczekiwać niespodzianek. Jak się domyślam, uczestnicy wycieczki zostaną przewiezieni autobusem na lotnisko we Władywostoku i dość szybko wyprawieni do Moskwy. KGB w Nachodce także nie będzie sobie zawracało głowy grupą turystów, podróżujących tranzytem do stolicy.

– Chyba powinnam się przygotować na szok, jakim będzie dla mnie powrót do Nachodki po tylu latach. Ostatnim razem widziałam to miasto w czterdziestym czwartym roku. Boję się, żeby mnie nie opadły niezbyt przyjemne wspomnienia.

– Pewnie oboje z Michaelem domyślacie się już, co chcę powiedzieć – ciągnął Fannin – będę musiał to jednak powtórzyć. Po wylądowaniu na lotnisku w Szeremietiewie zostaniesz potraktowana jak każdy turysta z Zachodu. Procedura nie zmieniła się od lat. Podczas kontroli paszportowej zapewne trafisz na oficera KGB, który z pozoru powinien jeszcze chodzić do

szkoły. Nie daj się jednak oszukać jego młodzieńczym wyglądem, to fachowiec. Będzie powoli przeglądał cały paszport, a jednocześnie stopą naciskał pedał, fotografując każdą stronę. Pewnie się nie odezwie ani słowem, najwyżej zapyta, jak długo zamierzasz pozostać w Związku Radzieckim. Później zatelefonuje, może nawet dwukrotnie. Nie będziesz słyszała, co mówi do słuchawki. Zapamiętaj jednak, że to tylko rutynowe czynności, mające na celu wyprowadzenie człowieka z równowagi. Większość zwykłych turystów okazuje zdenerwowanie, czasami dochodzi do ostrej wymiany zdań. Jeśli natomiast ktoś ma coś do ukrycia, zazwyczaj czeka w napięciu i często zaczyna się pocić. Byłoby więc najlepiej, gdybyś delikatnie okazała jakoś zniecierpliwienie.

Lara zaśmiała się nerwowo.

– Mam delikatnie okazać zniecierpliwienie?

I tak ciągnęło się to przez godzinę. Aleksander omawiał szczegółowo przebieg całej wycieczki, zarówno pobyt w Moskwie, jak i Leningradzie. Lara usiłowała jak najwięcej zapamiętać. Wreszcie doszedł do etapu, kiedy czwartego maja wraz z Michaelem będzie musiał odebrać na lotnisku w Helsinkach przybyłą Katerinę Klimienkową. Cała trójka miała następnie zaczekać w Finlandii na przylot Lary i Kateriny, co powinno potrwać dwa lub trzy dni ze względu na burzę, jaka się rozpęta wokół „skradzionych” dokumentów Lary. Fannin liczył jednak na to, że brytyjski konsul z Leningradu wywrze odpowiedni nacisk na tamtejsze władze, w związku z czym wszystko powinno się wyjaśnić w ciągu dwóch dni.

Kabul, 24 kwietnia, 23.45

Dochodziła już pomoc, kiedy Krasin wezwał Anatolija do pokoju łączności sąsiadującego z gabinetem generała Titowa. Powitał go w drzwiach sekretariatu z grobową miną.

– Tola, jest dla ciebie wiadomość z Komitetu.

– A cóż to za posępny nastrój, towarzyszu pułkowniku? Co się stało?

– Przykro mi, Tola. Przyjmij moje kondolencje. Chodzi o twoją matkę. Masz Szapkina na linii. – Wyciągnął w jego kierunku słuchawkę telefonu.

Z powodu złożonego procesu szyfrowania głos docierał zniekształcony, przerywany do tego stopnia, że Klimienko nie wszystko rozumiał.

– Anatoliju Wiktorowiczu... Mówi Leonid... Strasznie mi przykro... wasza matka...

śmiertelnej choroby... zmarła nagle.

– Ledwie was słyszą, Leonidzie Władymirowiczu! Czyżbyście chcieli powiedzieć, że moja matka umarła?!

– Tak... Nie znam... szczegółów... Karm Siergiejewicz sprawdza... w klinice... Przyleciecie do Moskwy... Prawda?

– Tak, oczywiście! Ale matka życzyła sobie, by jej zwłoki poddano kremacji! Czyżby ostatnia wola nie została wykonana?!

– ...rozumiem... Karm Siergiejewicz... także zdziwiony.

– Dziękuję za waszą troskę, Leonidzie Władymirowiczu, mimo że chodzi o sprawy osobiste! Nie trzeba było zwracać głowy Karmowi Siergiejewiczowi takimi sprawami! Postaram się przylecieć jak najszybciej i samemu zająć się formalnościami!

– ...się nie troszczcie, Anatoliju Wiktorowiczu... Karm Siergiejewicz... prawdziwy przyjaciel... pewnie wiecie.

– Tak, oczywiście, Leonidzie Władymirowiczu! Wiem, jakim oddanym przyjacielem jest Karm Siergiejewicz! Jeszcze raz bardzo dziękuję, że zechcieliście mnie powiadomić!

– Zaczekajcie... Karm Siergiejewicz...

Chwilę później w słuchawce rozległ się głos Nikitienki, równie słabo rozpoznawalny.

– ...pułkowniku... bardzo przykro... że z tak smutnego powodu... Robiłem co w mojej mocy... tragicznej chwili...

– Naprawdę, Karm, nie musiałeś się trudzić! To nic ważnego!

– ...drobne pocieszenie... wasza matka w końcu... połączy z najbliższymi... dla was raczej ważne... szczególnie teraz...

Po chwili znów przez szумы i trzaski doleciał głos Szapkina.

– Zajrzyjcie do mnie najszybciej, jak będzie to możliwe, Anatoliju Wiktorowiczu. Wołałbym nie zwracać wam głowy w takich okolicznościach, ale przewodniczący Kriuczkwow chce się z wami zobaczyć. Prawdopodobnie zamierza wam zorganizować spotkanie z sekretarzem generalnym, byście osobiście mogli złożyć raport z akcji w Rawalpindi, która tak bardzo pomogła mu w podejmowaniu decyzji politycznych. Porozumienie genewskie jest już właściwie gotowe do podpisania i sekretarz generalny powiedział towarzyszkowi Kriuczkwowowi, że teraz Woroncow może je już podpisać bez uczucia hańby. To głównie twoja zasługa, Tola.

Klimienko był tak zaskoczony, że niespodziewanie zniknęły przerwy w łączności, iż prawie

nie słuchał, co Szapkin mówi.

– Tak, Leonidzie Władymirowiczu. Zobaczymy się, jak tylko przyjadę do Moskwy. Jeszcze raz za wszystko dziękuję.

Obaj z Krasinem zasiedli w pustym gabinecie Titowa.

– Rozumiesz coś z tego czekistowskiego bełkotu nad garstką fałszywych prochów twojej matki, drogi pułkowniku?

Ale i jego Klimienko w ogóle nie słuchał.

– Powiedział, że matka będzie się mogła teraz połączyć ze swoimi najbliższymi, co powinno być dla mnie ważne – mruknął pod nosem. – Sam nie wiem, jak to rozumieć. Boję się, że nie jest to zwykły zbieg okoliczności.

Sasza spoglądał na niego z posępną miną.

– Lecę z tobą do Moskwy – oświadczył po chwili. – Nakłonię Titowa, aby wydał taki rozkaz. Wolę być przy tobie, gdyby zaszło coś, co mogłoby nas obu zaprowadzić do celi. Jak znam ciebie, można oczekiwać jeszcze bardziej szalonych pomysłów niż upozorowanie śmierci własnej matki.

Hongkong, 25 kwietnia, 1.40

Dzwonek telefonu w sypialni wyrwał Aleksandra z lekkiego snu.

– Słucham, Fannin.

– Aleks, przygotuj aparat do odbioru wiadomości specjalnej – rzucił szybko Tim Rand.

– Daj mi parę minut.

Aleksander błyskawicznie rozstawił odbiornik satelitarny na werandzie i nakierował dysk anteny na pozycję satelity geostacjonarnego.

– Ermitaż, Ermitaż, tu Hongkong. Jak mnie słyszysz?

– W porządku, szefie. Mam do przekazania pilną depezę z Kabulu. Czytam: „Musisz zawrócić podróżnika z drogi. Powtarzam, musisz zawrócić podróżnika. Pojawiła się realna groźba spalenia moskiewskiej operacji, podróżnik może wpaść w zasadzkę. Sądzę, że największe niebezpieczeństwo grozi obu pannom oraz Pawłowi ze strony KSN. Trzeba go zneutralizować. Bardzo jest potrzebna twoja pomoc. Za trzydzieści sześć godzin odlatuję do Moskwy, tam

uczynię wszystko, by się przekonać, do jakiego stopnia nastąpiła dekonspiracja, i poczynić plany unieszkodliwienia KSN. Czekam na odpowiedź do godziny piątej dwudziestego szóstego kwietnia. Niech cię Bóg prowadzi. Koniec, koniec”.

„Chabarowski” wypłynął z Hongkongu pięć godzin wcześniej i nie było sposobu na skontaktowanie się z Larą do czasu, aż wycieczka przybędzie do Władywostoku.

Waszyngton, 25 kwietnia, 15.30

Frank Andrews, na wyraźne polecenie Jima Taggarta, zastępcy prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, musiał pozostać w mieście po niespodziewanej śmierci Billa Caseya. Niektóre operacje, zapoczątkowane pod osobistym nadzorem dyrektora, musiały być kontynuowane właśnie pod kontrolą biura doradcy, a należały do nich także działania CIA w ostatniej fazie wojny afgańskiej, w które był zaangażowany Andrews. Dlatego to on odebrał telefon łączności satelitarnej w zagrożonym gabinecie w podziemiach Starego Gmachu Rządowego w Waszyngtonie.

– Jak się domyślam, mówi A. z Hongkongu. A która to u ciebie jest godzina, przyjacielu?

– Zostało jeszcze trochę do wschodu słońca, Frank, ale nie mogłem czekać. Potrzebna mi pewna przysługa z twojej strony, to nadzwyczaj pilna sprawa.

– To u ciebie normalne, Aleks. O co chodzi?

– Po pierwsze, potrzebne mi dane ze specjalnego tajnego archiwum, dotyczące pułkownika KGB, którego akta personalne już dla mnie sprawdzaliście, niejakiego Karma Siergiejewicza Nikitienki. I nie obchodzą mnie żadne duperele biograficzne. Przede wszystkim chciałbym znać powód, dla którego zaliczono te akta do ściśle tajnych. Nie obchodzi mnie też, jak to załatwisz.

– Nie wiem, czy dam radę cokolwiek załatwić, nie trącając napiętych strun między Pennsylvania Avenue a Langley.

– Nawet zdrowo je szarpnij, Frank. Chodzi o bezpieczeństwo mojego informatora, który dostarczał nam najważniejszych danych do rokowań pokojowych w Genewie. Po drugie, spotkajmy się w Berlinie Zachodnim za dwa dni, a więc dwudziestego siódmego, o dziewiętnastej w holu hotelu „Kempinsky”. Spędzimy tam jakiś czas, więc zarezerwuj pokój. Przywieź komplet moich fałszywych dokumentów na nazwisko Jana Gromka. Mógłbyś także wyciągnąć z magazynu jakieś wschodnioeuropejskie ubrania, w sekcji technicznej obiecywali

zachować je dla mnie. Upewnij się tylko, aby dokumenty były aktualne. Potrzebne będą stemple w paszporcie, delegacja służbowa i tak dalej. Zbierz również trochę różnych drobiazgów, które by potwierdzały, że w tym miesiącu Gromek wiele podróżował między Warszawą, Pragę, Berlinem i Budapesztem. Muszę być gotów na wyjazd z Berlina do Moskwy.

Andrews pospiesznie sporządzał notatki.

– Coś jeszcze?

– Owszem. Przygotuj się na kilkudniowy, może nawet tygodniowy pobyt w Niemczech. Będzie mi potrzebny kanał przerzutowy do wschodniego Berlina i bezpieczna droga powrotna po trzech lub czterech dniach.

– Kaszka z mlekiem – mruknął ironicznie Frank. – Chyba ci już to mówiłem, Aleksandrze, że przez ciebie ani chybi zarobię kulkę w łeb albo wylecę z agencji?

– Sam również się narażam, Frank. A teraz pozwól, przyjacielu, że tym optymistycznym akcentem zakończę rozmowę. Do zobaczenia w Berlinie.

W Hongkongu było zdecydowanie za wcześnie, by ściągać z łóżka Michaela. Fannin postanowił, że zadzwoni do niego za parę godzin, ale powie tylko, że zaszły nieprzewidziane okoliczności i być może trzeba będzie odwołać spotkanie na lotnisku w Helsinkach. Na razie Martynow nie musiał wiedzieć więcej.

Kabul, 25 kwietnia, 21.00

Odczytując pojawiające się kolejno wiersze na maleńkim ciekłokrystalicznym ekranie, Klimienko zyskiwał coraz większą pewność, że wydarzenia całkowicie wymknęły mu się spod kontroli. Aleksander potwierdzał odbiór depeszy, wyjaśniał jednak, że jest za późno, aby zawrócić Larę z trasy wycieczki. Obiecywał zdwoić wysiłki w celu uzyskania dokładniejszych informacji o Nikitiencie, dawał mu jednak wolną rękę w zakresie ratowania obu panien oraz Pawła. Chciał też udzielić mu wszechstronnej pomocy, dlatego uprzedzał, by po przylocie do Moskwy Anatolij był przygotowany na awaryjny kontakt o każdej porze dnia i nocy.

Kabul, 26 kwietnia, 14.30

Klimienko spotkał się z Krasinem już na kabulskim lotnisku, niemal dwie doby po

zagadkowej rozmowie telefonicznej z Szapkinem i Nikitienką.

– Tola! Wyjrzyj przez okno! Oto nasz transport do ukochanej stolicy! Czy nie o tym zawsze marzyliśmy?

Do stojącego na pasie odrzutowca Il-76 podjechała właśnie ciężarówka wyładowana charakterystycznymi skrzyniami obitymi cynkowaną blachą, zawierającymi zwłoki żołnierzy zabitych w Afganistanie.

– Jak widzisz, Sasza, chyba i my się w końcu załapaliśmy na przelot Czarnym Tulipanem – mruknął Anatolij.

Rozdział 36

Moskwa, 26 kwietnia, 15.30

Nikitienko spoglądał twardo na siedzącego naprzeciwko ordynatora moskiewskiej kliniki onkologicznej. Arkadij Szewczenko z pozoru budził zaufanie, miał na sobie śnieżnobiałą, sztywno nakrochmaloną koszulę, nosił krótko przystryżone włosy, a o jego dłonie troszczyła się chyba wprawna manikiurzystka. Dbał zresztą nie tylko o swój wygląd, lecz także o reputację znakomitego fachowca, opiekującego się przedstawicielami nomenklatury. Pułkownika jednak uderzyło już od początku, że jest nadzwyczaj zdenerwowany.

– Doktorze Szewczenko, nagła śmierć Kateriny Klimienkowej, w dodatku tak krótko po zgonie jej męża, to prawdziwa tragedia. Mój drogi kolega, jej syn, w trakcie wypełniania internacjonalistycznych obowiązków utracił niemal jednocześnie oboje rodziców.

– Tak, to bardzo smutne, nie mogliśmy jednak nic dla niej zrobić. Białaczka mielogeniczna często atakuje bez ostrzeżenia i nie znamy na nią skutecznego lekarstwa, zwłaszcza gdy chory jest już w zaawansowanym wieku. Można się pocieszać tylko tym, że śmierć nadeszła niespodziewanie i nie sprawiła Katerinie Klimienkowej wielu cierpień. Mogliśmy uchronić pacjentkę przed bólem aż do ostatniej chwili.

Szewczenko także przyglądał się uważnie swemu rozmówcy. Doskonale wiedział, że jest on oficerem KGB. Nawet spodziewał się takiej wizyty po tym, jak udzielił Klimienkowej pomocy w zniknięciu bez śladu. Niemniej ten pułkownik o łagodnych rysach twarzy, lecz smutnym, lodowatym spojrzeniu, od pierwszej chwili budził w nim lęk. A że doktor zdawał sobie sprawę, iż nie potrafi ukryć strachu, ogarniało go coraz większe przerażenie.

– Tak, rozumiem, że niektóre śmiertelne choroby atakują nagle. Zastanawia mnie jednak, dlaczego Klimienkowa nie powiadomiła syna o swojej przypadłości. Przecież musiała wiedzieć, co jej dolega. Sama była lekarką.

– Na pewno wiedziała – odparł z namysłem Szewczenko. – Zaraz po przyjeździe oznajmiła mi, że ma poważne wątpliwości, czy zdołamy jej pomóc, mimo wszystko chciała się poddać leczeniu.

– Stąd wynika, że znaliście Klimienkową wcześniej.

– Znam jej rodzinę od lat, zaraz po wojnie studiowałem razem z Kateriną na Uniwersytecie

Kijowskim. Później, po zrobieniu specjalizacji z onkologii, przenieśliem się do Moskwy. Ona zaś skończyła położnictwo i została w Kijowie.

– Za kilka dni przyleci z Afganistanu do Moskwy jej syn, Anatolij. Obawiam się, że będę musiał mu wyjaśnić, dlaczego kremacja zwłok jego matki nastąpiła tak szybko, zanim zdążył się z nią pożegnać. Zapewne uzna to za trochę... niezwykle. Przyznam, że sam jestem zaskoczony. Od czasów rewolucji rzadko przeprowadza się kremację, mimo że to oczywisty sposób pochówku. A jeszcze bardziej wydaje się on dziwny u tak wierzącej osoby jak Klimienkową. – Nikitienko zawiesił głos, pragnąc do maksimum wykorzystać tę nikłą szansę, jaką stwarzała wiara katolicka, mimo że nie wiedział nic pewnego o wyznaniu kobiety. Ale wyraz twarzy Szewczenki był dla niego wystarczającą odpowiedzią.

– Katerina była bardzo piękną kobietą, a co za tym idzie, odrobinę prózną. Ostatnie stadium choroby bardzo się odbiło na jej wyglądzie, pewnie dlatego zażyczyła sobie kremacji natychmiast po śmierci. Powiedziała mi otwarcie, że nie wyobraża sobie, aby ktokolwiek, a zwłaszcza jej syn, mógł ją oglądać w takim stanie. Próbowałem ją przekonywać, że to bzdura, ale wymogła na mnie obietnicę spełnienia jej woli. Nie zostawiła mi wyboru. Natomiast co się tyczy wiary, naprawdę nie umiem powiedzieć nic w tej sprawie, towarzyszu pułkowniku.

– Świetnie rozumiem pańską sytuację, doktorze – ciągnął Nikitienko. – Wszyscy jesteśmy próżni. Chciałbym się teraz zaopiekować rzeczami zmarłej. Często wypełniałem tę – smutną powinność podczas służby w Afganistanie. Nawet śmierć innej osoby nie uwalnia nas od niektórych obowiązków.

– Tak, oczywiście. – Szewczenko wstał zza biurka. – Domyślam się, że chcecie zaoszczędzić kłopotów Anatolijowi. Będziecie tylko musieli podpisać protokół. Takie są przepisy.

Doktor poprowadził go do niewielkiego magazynu.

– Proszę, tu jest spis zawartości torby. Proszę pokwitować odbiór rzeczy. – Szewczenko podsunął mu formularz, na którym było wyszczególnionych najwyżej dziesięć pozycji.

– Teraz widzę, że Klimienkowa rzeczywiście nie spodziewała się po was żadnej pomocy,

– Nie rozumiem – odparł lekarz spiętym głosem.

– Nie liczyła na dłuższy pobyt w waszej klinice, skoro zabrała ze sobą tylko jedną zmianę bielizny. Zakładam, że w drugim komplecie została skremowana. To także wydaje się dziwne, zwłaszcza że jak mówiliście Klimienkowa była kobietą prózną. Oczywiście, w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Szewczenko poczuł, że mimo woli się czerwieni.

– Nie zwróciłem uwagi na to, co po niej zostało. Niestety, nawet w naszym szpitalu często giną różne przedmioty. Niektórzy sądzą, że zmarłym nie będą już potrzebne żadne dobra materialne. Jestem pewien, iż doskonale mnie rozumiecie, pułkowniku.

– Tak, jasne. Ale wśród tych rzeczy nie ma także ani szczoteczki do zębów, ani żadnych przyborów toaletowych. Czyżbyście sugerowali, że ktoś wziął sobie szczoteczką do zębów po zmarłej kobiecie? Cóż, towarzyszu doktorze, wiele spraw będzie nas zadziwiało aż do końca życia. Nie chcę wam zabierać więcej czasu, bo chorzy na pewno czekają. Mam tylko nadzieję, że dobrze zrozumieliście, iż doskonale wiem, jaką przysługę oddaliście Katerinie Klimienkowej – zakończył z ironicznym uśmiechem.

Szewczenko poczuł, że dłonie ma wilgotne od potu. Niepostrzeżenie wytarł je więc o fartuch, nim odważył się uścisnąć na pożegnanie rękę Nikitienki.

Moskwa, 27 kwietnia, 4.30

Klimienko i Krasin z głębokim westchnieniem ulgi wysiedli w Taszkencie z samolotu przewożącego transport poległych. Dalej polecili zatłoczonym rejsowym odrzutowcem Aeroflotu, który wylądował w Domodiedowie sporo po północy. Kiedy czekali jeszcze na swoje bagaże, Nikitienko zawołał ich od strony bariery oddzielającej poczekalnię.

– Anatolij Wiktorowicz! Pułkownik Krasin! – ryknął z udawaną radością.

– Jasna cholera! Nie wierzą własnym oczom, Tola.

– Tylko spokojnie, Sasza – syknął Klimienko przez zęby i pomachał tamtemu, uśmiechnąwszy się na tyle, aby okazać nie mniej udawany entuzjazm, lecz by nie ściągnąć na siebie podejrzeń w tak smutnych okolicznościach. – Karm Siergiejewicz! Jesteście nadzwyczaj uprzejmi. Zadaliście sobie tyle trudu, żeby przyjechać taki kawał drogi do Domodiedowa, pewnie czekacie tu z godzinę na opóźnione połączenie z Taszkientu.

– Nic podobnego, Anatoliju Wiktorowiczu. Nawiasem mówiąc, dyrektor Szapkin prosił mnie, bym w jego imieniu przekazał wam szczere wyrazy współczucia.

– Bardzo dziękuję, Karmie Siergiejewiczu, i za wasze poświęcenie, i za kondolencje od Leonida Władymirowicza. Czuję się naprawdę wzruszony.

– Pułkowniku Krasin! – zawołał Nikitienko do Saszy. – Wierny z was druh, skoro nie

opuściliście przyjaciela w tak trudnej chwili. Należą się wam słowa uznania.

– Generał Titow o to prosił, towarzyszu Nikitienko. Nic więcej nie mogliśmy już zrobić dla Anatolija.

Nikitienko uśmiechnął się smutno.

– Anatoliju Wiktorowiczu, powinniście wiedzieć, że rozmawiałem z ordynatorem kliniki. Podobno znacie doktora Szewczenkę. Powiedział mi, że wasza matka nie cierpiała przed śmiercią. Był przy niej aż do ostatniej chwili. Odebrałem także jej rzeczy osobiste. Sami się przekonacie, że wiele drobiazgów musiało zginąć, ale tym będziemy się mogli zająć później.

– Naprawdę coś zginęło?

– Wszystko na to wskazuje, bo nie wierzę, aby wasza matka przyjechała do Moskwy z tak skąpym bagażem. To po prostu niepodobne do kobiet. Pozwólcie jednak, że odwiozę was teraz do miasta.

Poprowadził ich przez obskurną halę do wyjścia, przed którym czekały dwie białe służbowe wołgi. Obaj kierowcy drzemali w najlepsze. Tuż za drzwiami budynku Nikitienko pociągnął Anatolija za rękę i przekazał szeptem:

– Razem z pułkownikiem Krasinem zamieszkacie w pokojach gościnnych willi nad Moskwą. Na pewno ją znacie. Dyrektor Szapkin kazał przygotować dla was pokoje. Będziecie je mogli zająć na cały okres pobytu w Moskwie. Jednocześnie otrzymacie do dyspozycji jeden samochód z kierowcą. Dyrektor zarezerwował także dla was bilet na dzisiejszy samolot do Kijowa. Był pewien, że będziecie chcieli najpierw zająć się formalnościami po śmierci matki. Prosił, byście zadzwonili do niego zaraz po powrocie z Kijowa, o dowolnej porze. – Podał mu złożoną kartkę z notatnika. – Tu jest zapisany jego domowy numer telefonu.

– Karmie Siergiejewiczu, wraz z Leonidem Wiktorowiczem niepotrzebnie zadaliście sobie tyle trudu. Proszę przekazać dyrektorowi, że jestem niezmiernie wdzięczny. Oczywiście zadzwonią natychmiast po powrocie.

– Spotkamy się w Jaseniewie, Anatoliju Wiktorowiczu, drugiego maja około jedenastej. Wiem, że to świąteczny poniedziałek i większość towarzyszy będzie przebywać poza miastem. Sam bym wyjechał, gdyby nie wasza wizyta...

– Rozumiem, Karmie Siergiejewiczu.

Nikitienko zamyślił się na chwilę, po czym dodał jeszcze łagodniejszym tonem:

– W trakcie naszej rozmowy telefonicznej, Anatoliju Wiktorowiczu, pytaliście, czy zwłoki

waszej matki, zgodnie z jej ostatnim życzeniem, zostały poddane kremacji. Otóż spieszę was powiadomić, że tak się stało, choć dla mnie to bardzo dziwna decyzja. Doktor Szewczenko twierdzi, iż wasza matka podjęła ją w ostatniej chwili, dlatego byłem zdumiony, że o tym wiedzieliście.

Klimienko, który szczególnie dokładnie ważył każde słowo tamtego, postanowił całkowicie przemilczeć tę sprawę. Przeklął tylko siebie w głębi ducha, że nie zachował wystarczającej ostrożności.

– Jesteście prawdziwym przyjacielem, Karmie Siergiejewiczu – odparł. – Bardzo wam dziękuję za troskę i poświęcenie. Zobaczymy się w gabinecie dyrektora w poniedziałek, po święcie majowym. Wtedy dłużej porozmawiamy.

Uścisnął dłoń Nikitienki, śmiało spoglądając w te jego smutne, lodowato zimne oczy.

Lotnisko międzynarodowe we Frankfurcie nad Menem, 27 kwietnia, 13.30

Aleksander z zaciekawieniem popatrzył na swoje odbicie w lustrze w męskiej toalecie. Czas spędzony w salonie fryzjerskim przyniósł taki rezultat, że bez śladu zniknęła jego gęsta broda, pozostały jedynie sumiaste wąsy, a fryzura z grubsza pasowała do mody panującej wśród wysokich urzędników partyjnych z Europy Wschodniej. Za to na gładko wygolonych policzkach pojawiły się wyraźne jaśniejsze smugi, kontrastujące z resztą skóry twarzy dość mocno spalonej słońcem po długotrwałym pobycie w Afganistanie. Postanowił skorzystać jeszcze z solarium na tutejszym lotnisku.

Moskwa, 27 kwietnia, 14.30

Siergiej Bochan starannie złożył wydruk, wsunął go do kieszeni i poszedł na drugie piętro, gdzie mieściły się biura komisji specjalnej dyrektoriatu. Powiadomiony przez telefon Nikitienko czekał przy punkcie kontroli przepustek. Był wyraźnie ożywiony.

– Witam w moim królestwie, Siergieju. Gdyby nie czujność naszej komisji, kierownictwo partii pozostawałoby ślepe i głuche – oznajmił butnie, jakby dotychczasowe wyniki jego dochodzenia całkowicie zwalniały go z obowiązku zachowania odpowiedniej dozy szacunku.

– Towarzyszu Karmie, w trakcie wykonywania zleconego przez was zadania odkryłem coś,

co może być istotne. Otóż jedna z wymienionych osób wyruszyła w podróż.

Podał arkusz wydruku Nikitiencie. Ten popatrzył na pokreślony wiersz i mruknął:

– No, no. Ciekawe, z jakiego powodu nasz Mister Fannin przyleciał niespodziewanie z Hongkongu do Frankfurtu.

– Wykupił bilet w ostatniej chwili, zarezerwował jednak połączenie do Berlina. Ten zapis jest na następnej stronie.

– Siergieju, wasze metody na zawsze odmienia naszą pracę. Obiecuję, młodzieńcze, że zostaniecie za to wynagrodzeni ponad wszelką miarę.

– Chciałbym jedynie udowodnić kierownictwu Komitetu, jak wielkie możliwości kryją się w systemach elektronicznej analizy banków danych, towarzyszu... Może zainteresuje was jeszcze, że Aleksander Fannin nie zarezerwował żadnych biletów na podróż powrotną, jakby udał się do Niemiec bez skonkretyzowanych planów.

– Nie byłbym tego wcale pewien, Siergieju. Miejcie jednak oko na tego człowieka.

– Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz na wydruku, towarzyszu Karmie. Odkryłem ją, kiedy szukałem ewentualnego terminu powrotu Fannina do Hongkongu. Właśnie wtedy stwierdziłem, że źle zaprogramowałem przeszukiwanie, ponieważ obejmowało ono wyłącznie potwierdzone listy pasażerów, pomijając spisy rezerwacji komputerowych. Szybko wprowadziłem zmiany do programu i wtedy odkryłem tę drugą rzecz.

– Co takiego?

– Otóż Michael Martynow także zamierza jutro wyruszyć z Hongkongu. Zarezerwował bilety na dłuższą podróż. Najpierw udaje się do Nowego Jorku, stamtąd do Londynu, w końcu do Helsinek, gdzie zjawi się na dzień przed przyjazdem Lary Martynowej z Leningradu. Prawdopodobnie chce się spotkać z rodziną, bo tym samym lotem z Leningradu zamierza opuścić nasz kraj także Catherine Martin.

A więc wszystkie kurczątki kierują się do jednego kurnika, pomyślał Nikitienco.

Pół godziny później ze swojego gabinetu jeszcze raz zadzwonił do Bochana.

– Siergiej? Tu ponownie Karm. Zapewne nie muszę was prosić, byście ze szczególną uwagą śledzili ruchy Fannina, ale zwróćcie także uwagę na Jana Gromka. To polski działacz partyjny, który może bez ograniczeń przekraczać granice Związku Radzieckiego i bratnich krajów socjalistycznych.

– Rozumiem, towarzyszu Karmie. Wezmę pod uwagę to nazwisko i powiadomię was

natychmiast, gdybym na coś natrafił.

– Dzwońcie do mnie nawet w niedzielę. Przekażę oficerowi dyżurnemu, aby podał wam mój domowy numer telefonu, gdyby zaszła taka potrzeba.

Nikitienko odczuwał narastające podniecenie. Domyślał się już, że w Moskwie na wkrótce nastąpić od dawna oczekiwane rodzinne spotkanie.

Berlin Zachodni, 27 kwietnia, 19.00

Aleksander szedł tuż za potężnie zbudowanym Andrewsem, który przeciskał się przez zatłoczony hol hotelu „Bristol Kempinsky” przy Kurfurstendam. Wskoczył za nim do windy w ostatniej chwili, gdy drzwi się już zamykały.

– Widzę, że jesteś punktualny – mruknął Frank z uśmiechem.

– Jak zawsze... Na miłość boską, coś ty ze sobą zrobił? Z tą fryzurą i wąsami wyglądasz jak młody Józio Stalin!

Wysiedli na trzecim piętrze i w milczeniu weszli do wynajętego pokoju. Andrews szybko powiesił na klamce tabliczkę z napisem NIE PRZESZKADZAĆ i zamknął drzwi na zasuwkę.

– Zanim przejdziemy do konkretów, przyjacielu, może byś mi jednak powiedział, co się dzieje? Spełniłem wszystkie twoje prośby, choć nie muszę dodawać, jak wiele przy tym ryzykowałem.

– Przygotuj się na dłuższą opowieść.

Aleksander przystąpił do relacjonowania wydarzeń z ostatniego półtora roku, które doprowadziły do powstania planu wywiezienia Kateriny Klimienkowej ze Związku Radzieckiego. Mniej więcej po godzinie zakończył z uśmiechem:

– To tyle, Frank. Teraz wiesz już wszystko.

– Jestem coraz bardziej przeświadczony, Aleks, że doprowadzisz nas do zguby. – Kręcąc głową, wyjął z walizki grubą szarą kopertę i podał ją Fanninowi. – Najpierw przejrzyj dokumenty.

Kiedy Aleksander zaczął kolejno wyjmować papiery, zaglądając do notesu, Andrews wyjaśniał:

– Ważność twojego służbowego paszportu na nazwisko Jan Gromek została przedłużona. Na jego podstawie możesz podróżować po wszystkich krajach Układu Warszawskiego.

Uzupełniliśmy stemple kontroli granicznej za okres ostatnich osiemnastu miesięcy, świadczące o tym, że już raz odbyłeś z grubsza taki sam szereg podróży, jak obecnie.

Fannin uważnie oglądał pieczętki w paszporcie, starając się zapamiętać kolejność fałszywych wyjazdów. Następnie sięgnął po spięty razem plik innych papierów.

– Tu masz rachunki z hoteli, pokwitowania bankowe, czeki podróżne i książeczkę walutową z wpisami z ostatnich trzech miesięcy. W notatniku znajdziesz szczegółowe rozliczenia wydatków, oczywiście po polsku, zawierające nawet koszty nocy spędzonej z kobietą w Pradze. Na ten pomysł wpadła Helga, ta nawiedzona wiedźma, która podrabiała twój charakter pisma. Nie mieliśmy jednak czasu ani możliwości, by przygotować cokolwiek, co by potwierdzało twoje służbowe wyjazdy. Dotyczy to również fikcyjnego mieszkania w Warszawie.

Aleksander uśmiechnął się na wspomnienie Helgi, specjalistki od grafologii, która – jeśli wierzyć plotkom – wykonała kiedyś idealną kopię orędzia gettysburskiego Lincolna, nie do odróżnienia podrabiając charakter pisma prezydenta.

– Dalej masz legitymację członka Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i służbową delegację na podróż po krajach Układu Warszawskiego. Stemple potwierdzają twój pobyt w praskiej centrali Komunistycznej Partii Czech oraz w dowództwie Zachodniego Zgrupowania Wojsk w Wünsdorfie. W oddzielnych kopertach są pieniądze, wschodnioniemieckie marki, polskie złotówki i ruble. Sumy zgadzają się z wpisami w książeczce walutowej oraz zestawieniami wydatków i rachunkami. Oprócz tego masz in blanco deklarację przewozu twardej waluty, potwierdzoną przez polskie ministerstwo spraw wewnętrznych. Wpisz odpowiednią kwotę dolarów bądź marek zachodnio – niemieckich, tylko nie za wysoką, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Pod żadnym pozorem nie zabieraj studolarówek, ostatnio zrobił się szum wokół fałszywych banknotów. Najbezpieczniejsze byłyby marki. Jak dotąd wszystko gra?

Aleksander, który w skupieniu zapamiętywał przytaczane informacje, przytaknął ruchem głowy.

– Zgodnie z wpisami w notesie, podczas pobytu w Niemczech korzystałeś z pokoi gościnnych, a między innymi z hotelu garnizonowego przy dowództwie Zachodniego Zgrupowania Wojsk w Wünsdorfie. Z tego też dowództwa pochodzi rosyjska wojskowa przepustka na podróż do Moskwy. Na jej podstawie powinieneś bez problemu dostać się na pokład samolotu. Gdyby nie było wolnych miejsc, spróbuj na Schönefeld dać komu trzeba sto marek łapówki. Zgodnie z załączonymi rozkazami masz odwiedzić garnizon wojsk lotniczych

w Tulę pod Moskwą i leningradzkie dowództwo Floty Bałtyckiej. Na wszelki wypadek zabezpieczyliśmy ci także przelot do Władywostoku w celu złożenia wizyty w dowództwie Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego. Pamiętaj, że nie będziesz miał żadnego wsparcia, niemniej na podstawie tych papierów powinieneś bez przeszkód dostać się do Moskwy i mieć wolną rękę do poruszania się przynajmniej na terenie Moskiewskiego Okręgu Wojskowego.

– Będę leciał w przeddzień święta majowego, więc na lotnisku można oczekiwać prawdziwego cyrku, a znalezienie wolnego miejsca w hotelu graniczyłoby z cudem, ale mnie właśnie na tym zależy. W podobnych sytuacjach łapówki nie budzą aż tak wielkich podejrzeń.

– Oprócz tego masz wejściówkę na kryty basen w warszawskim Domu Partii, legitymację klubu jeździeckiego, polskie kartki żywnościowe, częściowo wykorzystane, jak też specjalną przepustkę do partyjnego ośrodka wypoczynkowego w Magdalence pod Warszawą. Jesteś pewien, że polski nie wywietrzył ci jeszcze z głowy?

– Dałbym sobie radę, chociaż wątpię, czy w ogóle będę miał okazję rozmawiać po polsku. Jak sam widzisz, zamierzam się udać z Niemiec prosto do Moskwy.

Andrews wstał z krzesła i wyjął z szafy dwie stylonowe torby podróżne.

– Teraz sprawdź swoje ubrania.

Aleksander pospiesznie przejrzał ich zawartość. Był tam wyjściowy garnitur z węgierskimi metkami, dwie białe koszule, kilka chusteczek, pasek do spodni i dwa krawaty, wszystko produkcji czechosłowackiej, jak również dwa komplety bielizny, pochodzące z NRD. Na dnie znajdowała się para eleganckich węgierskich pantofli.

– Potrzebne mi jeszcze przybory toaletowe i zestaw podstawowych lekarstw, może nawet parę nie zrealizowanych recept, ponadto kilka różnych drobiazgów, ale to wszystko załatwię sobie jutro, po drugiej stronie muru berlińskiego.

Zaczął pospiesznie pakować z powrotem ubrania do torby.

– To chyba wszystko. Według naszych ludzi, dokumenty są bez zastrzeżeń, a rzeczy pochodzą jeszcze z tego zestawu, który sam skompletowałeś. Nie zapominaj jednak, że akcja nie została należycie przygotowana. Będziesz musiał liczyć na hit szczęścia.

– To zrozumiałe, Frank. Powiedz mi jeszcze, czy zdołałeś dotrzeć do akt naszego największego kłopotu w Moskwie, wspaniałego Karma Siergiejewicza Nikitienki.

Andrews rozstawił na stoliku przenośny komputer, włączył go, wprowadził hasło dostępu i przywołał na ekran kopię dokumentów oznaczonych nagłówkiem ŚCIŚLE TAJNE.

– Poczytaj sobie – mruknął. – Nie musisz się spieszyć.

Aleksander zasiadł przy stole, z zaciekawieniem spoglądając na stronę tytułową akt opisanych kryptonimem „Dakota”. Tymczasem Andrews przygotował dwa duże drinki, jedną szklankę postawił obok komputera, z drugą zaś usiadł w fotelu i zaczął pocierać palcami zaczerwienione, zmęczone oczy.

Dwie godziny później Aleksander brutalnie wyrwał go z drzemki.

– W jaki sposób uzyskałeś dostęp do tych materiałów i kto o tym wie?

– Po prostu wparowałem do biura dyrektora w Starym Gmachu Rządowym i powiedziałem, że potrzebne mi ściśle tajne akta, gdyż od nich może zależeć bezpieczeństwo naszego najważniejszego informatora w sprawach wojny afgańskiej, z których raporty tak bardzo podobały się prezydentowi. Dyrektor zapytał tylko, czy chodzi o ciebie, wiedział bowiem, że to ty przekazywałeś te raporty. Przytaknąłem, on zaś odparł, że Graham Middleton wznowił nagonkę na ciebie, obwieszczając na lewo i prawo, iż jesteś właśnie tym sowieckim szpiegiem, którego nigdy nie udało się schwytać. Powiedział też, że wie o przebiegu twojej rozmowy z Middletonem i Caseyem tuż przed śmiercią Billa, i że będzie kontynuował poszukiwania wtyczki KGB, której istnienie ujawniłeś. Przyznał jednak przy tym, iż Middleton zgłosił się już do niego ze swoją teorią spiskową, według której ujawniłeś te informacje wyłącznie po to, by odwrócić uwagę od prawdziwego szpiega, czyli od siebie samego.

– Czyżby nie poczynił żadnych kroków w celu zidentyfikowania tej wtyczki, o której mu mówiłem? – zdziwił się Fannin.

– Chyba nie. Jest przekonany, że podsunąłeś mu mylny trop.

– A co na to dyrektor?

Andrews wzruszył ramionami.

– Trudno osądzić. Wiesz, jaki on jest. Zamknięty w sobie, wiecznie zamyślony... Ale w tym wypadku zastanawiał się najwyżej minutę, po czym zdecydował, że agencja raczej nie ucierpi, umożliwiając ci wgląd w tajne akta Nikitienki. Od razu posadził mnie przy swoim komputerze, wpisał kod dostępu, i tyle.

– Middleton szybko się dowie, że ktoś zaglądał do tych akt.

– Owszem, nie sądzę jednak, by odważył się wypytywać dyrektora w tej sprawie. Przez jakiś czas będzie się kręcił jak pies wokół własnego ogona, zanim zdobędzie się na odwagę i poruszy

ten temat. Nowy dyrektor tak samo go nie lubi jak Casey, chociaż z całkiem innych powodów. Mam też prawo podejrzewać, że odeśle Middletona z kwitkiem do czasu, aż wrócę do Waszyngtonu i sam mu wszystko wyjaśnię.

– Boję się, że Middleton i tak, wcześniej czy później, dokopie się prawdy. Mam tylko nadzieję, iż wtedy na nic mu się to już nie przyda.

– Nie zapominaj, że Middleton ani trochę ci nie popuści.

– Pamiętam, ale nim będę się martwił później. Zabiorę ze sobą do Moskwy dwie kopie tych akt, jedną dla naszego przyjaciela, Nikitienki, drugą jako mój glejt na podróż. Ty też zrób sobie kopię na dyskietce i zachowaj ją do mojego powrotu do Berlina. Gdybym się nie pokazał, podrzuć akta do najbliższej rezydentury. Jeśli Middleton się o tym dowie, pewnie natychmiast padnie na zawał serca.

Moskwa, 27 kwietnia, 22.40

Władimir Rogow napełnił dwa kieliszki węgierską palinką i jeden z nich postawił przed Krasinem. Siedzieli w przytulnej, obitej ciemną boazerią prywatnej sali bankietowej restauracji „Tbilisi”.

– A gdzie jest nasz wspaniały pułkownik Komitetu? – spytał Rogow.

– Musiał pojechać do Kijowa, żeby zająć się formalnościami po śmierci swojej matki – rzekł ostrożnie Sasza, spoglądając podejrzliwie na sufit.

– Tu możemy rozmawiać bezpiecznie. Co miesiąc opłacam ludzi odpowiedzialnych za założenie tu podsłuchu. Nie masz się czego obawiać.

– Tola wróci jutro. Musiał wyjechać do Kijowa przede wszystkim po to, aby nie wzbudzać podejrzeń, zwłaszcza w tej szczególnej sytuacji. Spotkamy się z nim jutro.

– A cóż to za szczególna sytuacja? Chcecie się kogoś pozbyć?

– Niewykluczone, Wołodia. Wysłuchaj mnie uważnie, ponieważ i ciebie ta sprawa dotyczy.

Krasin szybko zrelacjonował potajemne dochodzenie Nikitienki w sprawie Klimienki i jego zmarłej matki. Jeszcze zanim skończył, uśmiech z twarzy Rogowa znikł na dobre.

– Na co czekacie? Dlaczego nie załatwicie towarzysza pułkownika? Można to zrobić od ręki, choćby zaraz.

– Jeszcze poczekajmy, Wołodia. Najpierw warto by się dowiedzieć, co naprawdę wyniuchał

i kogo o tym powiadomił.

– Powiedz mi, od czego się to wszystko zaczęło. – Rogow ponownie napełnił kieliszki.

Pół godziny później, kiedy w butelce pozostało już niewiele palinki, obaj zaczęli snuć plany na przyszłość.

Moskwa, 28 kwietnia, 10.00

Ręce Arkadija Szewczenki wyraźnie się trzęsły, niemal czuć było bijący od niego strach.

– Drogi Anatoliju Wiktorowiczu, niezmiernie mi przykro z powodu waszej matki, ale wiecie już zapewne, że nie cierpiała przed śmiercią? – Doktor jednoznacznym gestem wskazał sufit, po czym ciągnął: – Zaprowadzę was do magazynu, gdzie zostały złożone prochy zmarłej. Jej rzeczy osobiste odebrał już wasz kolega. Obawiam się, że wiele przedmiotów zaginęło, ale w obecnych czasach musimy się z tym pogodzić.

Kiedy wyszli na korytarz, Klimienko przekazał szeptem:

– Wiem, że Nikitienko tu węszył i coś podejrzewa. Nie mam tylko pojęcia, ile zdążył się dowiedzieć i komu o tym zameldował. Spróbuję wy badać, na ile zdemaskował nasze plany. Proszę mi wierzyć, jesteśmy nadzwyczaj wdzięczni za to, że zgodził się pan podjąć tak wielkie ryzyko dla dobra naszej rodziny. Na razie jednak nie mogę bardziej sprecyzować zagrożeń, dopóki sam ich nie poznam.

Szewczenko uśmiechnął się blado.

– Angażuję się w tego rodzaju działania nie od dziś, Anatoliju Wiktorowiczu. Sądziłem dotąd, że wiem, na co się narażam, i że wystarczy mi odwagi, by nadal podejmować ryzyko, ale przed tobą muszę się szczerze przyznać, że coraz częściej zaczynam odczuwać paralizujący strach, co mnie samego zdumiewa, a przede wszystkim rozczarowuje. Mimo to nie żałuję niczego, co zrobiłem dla twojej wspaniałej matki. Rób, co do ciebie należy, i z nadto się mną nie przejmuj.

Weszli do niewielkiego pokoiku, gdzie Klimienko pokwitował odbiór zalutowanej cylindrycznej umy z ocynkowanej blachy, na której znajdowała się nalepka z inicjałami KCK. Po powrocie na korytarz Klimienko szepnął:

– Obiecuję, że postaram się ze wszelkich miar wybawić nas z kłopotów. Proszę mi dać jeszcze parę dni. Czy możemy teraz wrócić do pańskiego gabinetu? Chciałbym zadzwonić, dając

jednocześnie możliwość podsłuchania rozmowy ludziom, którzy mnie prawdopodobnie śledzą.

– Oczywiście, proszę bardzo – odparł Szewczenko.

Leonid Szapkin podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

– Dzień dobry, Leonidzie Władymirowiczu, mówi Anatolij. Właśnie wróciłem z Kijowa i chciałbym wam serdecznie podziękować za wszelką pomoc ze strony Karma Siergiejewicza. Nie napotkałem żadnych trudności. Dzwonię z kliniki, w której umarła moja matka... Odebrałem właśnie urnę z prochami.

– Proszę przyjąć ode mnie najszczerze wyrazy współczucia, Anatoliju Wiktorowiczu. Wszyscy kiedyś musimy pożegnać swoich rodziców, ale i tak nikt nie jest przygotowany na tę chwilę. Gdybyśmy mogli jeszcze w czymś pomóc, ja czy też Karm Siergiejewicz, proszę mówić śmiało.

– Gdyby wyłoniła się jakaś sprawa, powiem wam o tym na spotkaniu w poniedziałek o jedenastej, o którym powiadomił mnie Karm.

– Rzeczywiście porozmawiamy wtedy dłużej, ale już teraz mogę wam przekazać, że przewodniczący chce was widzieć pod koniec tygodnia, wstępnie ustalił termin wizyty na piątek piątego maja. Pragnie bezpośrednio od was usłyszeć raport na temat... że się tak wyrażę, wiadomych wydarzeń w Pakistanie. Bądźcie też przygotowani na ewentualne spotkanie z towarzyszem Michaiłem Siergiejewiczem. Staliście się teraz nadzwyczaj popularną osobistością, drogi przyjacielu.

– Bardzo dziękuję, Leonidzie Władymirowiczu. Jak doskonale wiecie, wypełniałem jedynie swoje obowiązki służbowe.

– Bzdura, Anatoliju. Ale o tym także porozmawiamy w poniedziałek. Zajmijcie się teraz sprawami rodzinnymi i zadzwońcie, gdybyście czegoś potrzebowali. Dzwoncie bez wahania.

– Jeszcze raz dziękuję, Leonidzie Władymirowiczu.

Szewczenko właśnie kończył dyżur, toteż Anatolij zaczekał na niego i razem wyszli z kliniki.

– Doktorze, wygląda mi na to, że pułkownik Nikitienko nikogo jeszcze nie powiadomił o swoich podejrzeniach. Raczej na pewno nie powiedział nic człowiekowi, z którym przed chwilą rozmawiałem, swojemu przełożonemu, Szapkinowi. Należy więc wnioskować, że na razie zachował tajemnicę dla siebie, bo nie wątpię, że w pierwszej kolejności złożyłby raport właśnie Szapkinowi, choćby tylko z tego powodu, by osłonić samego siebie. Jeśli się zatem nie mylę,

jedynym zagrożeniem dla nas jest Nikitienko.

Skręcili na parking. Doktor stopniowo odzyskiwał utraconą pewność siebie.

– Tym bardziej wybacz mi, Tola. Wciąż mam w pamięci żywe wspomnienia z okresu największego terroru, a strach jednakowo rządzi nami wszystkimi.

Klimienko położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

– Ma pan rację, Arkadiju. Strach jednakowo rządzi nami, lecz tylko wtedy, gdy do tego dopuścimy. Proszę czekać na mój telefon w ciągu najbliższych paru dni. Na pewno dam panu znać.

Rozdział 37

Moskwa, 29 kwietnia, 17.30

O tej porze metro było zatłoczone, dlatego Anatolij stanął blisko drzwi, zamierzał bowiem wysiąść już na następnej stacji. Matka miała pojechać trzy przystanki dalej i tam przesiąść się do autobusu, który jechał na osiedle mieszkaniowe, gdzie Rogow urządził swoją potajemną kwaterę.

– Widzę po twojej minie, Tola, że coś cię martwi. Nie powiesz mi, o co chodzi?

Anatolij nie chciał bardziej niepokoić i tak przejętej matki.

– To chyba zrozumiałe, że się denerwuję, mammo. Nie powinno cię to dziwić. Martwię się o ciebie.

Nikły uśmiech na jego twarzy ani trochę nie uspokoił Klimienkowej, wiedziała jednak, że nie ma sensu dalej się dopytywać.

– Jutro rano mam się spotkać z Kateriną na basenie. To będzie nasze ostatnie spotkanie. Powiem jej, że wróciłeś do Moskwy. Na pewno się ucieszy. Kiedy odwiedziła mnie w Kijowie, wspominała, że możesz nie wrócić do Moskwy na czas i ominie cię uroczystość. Bardzo się tym martwiła.

– Uroczystość? – Anatolij zmarszczył brwi. – Masz na myśli święto majowe?

– Skądże, Tola. Chodzi mi o uroczyste spotkanie całej rodziny. Widzę, że w ogóle mnie nie słuchałeś.

– Wybacz, mammo. W takim razie powiedz jutro Katii, że jednak wróciłem na uroczystość, gdyby chciała się ze mną skontaktować, niech zadzwoni do Wołodii. On będzie wiedział, gdzie mnie szukać. Przekaż również, że jestem z niej dumny.

Pociąg zaczął hamować.

– Tu już wysiadasz, synku. Nie wiem nawet, kiedy znów będę mogła cię zobaczyć. Na pewno wiesz, jak bardzo cię kocham.

– I ja cię kocham, mammo. Uważaj na siebie.

Anatolij szybko cmoknął matkę w policzek i wyskoczył na peron tuż przed zamknięciem drzwi. Odszedł, nie oglądając się za siebie.

wschodni Berlin, 29 kwietnia, 22.27

Jeden z milicjantów siedzących w samochodzie bez przerwy relacjonował wydarzenia do mikrofonu wszytego w kołnierzyk bluzy mundurowej, nie spuszczać z oczu pracowników wyładowujących trzy ciężkie skrzynie przed bramą ambasady amerykańskiej. Musiała to być jakaś ważna dyplomatyczna przesyłka, skoro Amerykanie nie chcieli skorzystać z usług miejscowej firmy transportowej, co zazwyczaj czynili. I tak też było. Milicjanci nie mieli jednak szans usłyszeć cichego brzęknięcia klapy w podłodze furgonetki, którą Aleksander uniósł i szybko ześliznął się na jezdnię. Przeczłogał się następnie pod kilkoma autami zaparkowanymi przy krawężniku, wyskoczył spod ostatniego z nich i dał nura w mrok pobliskiej bramy. Błyskawicznie ściągnął z siebie ochronny kombinezon, zrolował go i wcisnął do stylonowej torby, po czym wyszedł na ulicę i jak gdyby nigdy nie ruszył w kierunku stacji metra przy Alexanderplatz.

Moskwa, 30 kwietnia, 10.00

Katerina pływała leniwie wzdłuż krawędzi basenu w gigantycznej hali. Czuła się nieswojo, mimo że kupiła w GUM-ie najmniej rzucający się w oczy polski kostium kąpielowy. Zwróciła jednak uwagę na zawistne spojrzenia, jakimi parę kobiet w szatni obrzuciło zarysy skąpego bikini, wyraźnie odcinające się na tle jej skóry opalanej podczas kilku dni spędzonych z Aleksandrem na pokładzie „Hoping Jiang”. Ewidentnie została wzięta za jedną z laleczek nomenklatury, spędzającą noc w łóżku jakiegoś spasionego partyjnego bubka i za to korzystającą z możliwości opalania się na złocistych plażach pod Hawaną. Dopiero gdy wtopiła się w tłum, przyjęła tę myśl z uśmiechem. Pogrążona w zadumie nie zauważyła, kiedy podpłynęła do niej kobieta w czarnym gumowym czepku. Usłyszała znajomy głos:

– Zaczekaj, moja droga. Tu możemy spokojnie porozmawiać.

Katerina obejrzała się, po czym w kilku ruchach dobiła do brzegu basenu.

– Ciociu, nawet się nie domyślasz, jak mnie ucieszył twój widok. Czy już?...

– Tak, już umarłam i jestem gotowa pójść do nieba.

– Lara przylatuje dziś po południu z Władywostoku. Jesteś także gotowa na spotkanie z nią?

– Bardziej niż kiedykolwiek. Anatolij jest w Moskwie. Widziałam się z nim wczoraj, ale tylko przez parę minut. Powiedział, że chyba się już nie zobaczymy przed wyjazdem. Nie chce

mnie narażać. Jak dotąd czuję się całkowicie bezpiecznie pod opieką jego przyjaciela, Wołodii. Pamiętasz jeszcze numer jego telefonu?

– Tak, pamiętam.

– Anatolij powiedział, że gdybyś z jakiegoś powodu musiała się z nim skontaktować, zadzwoń pod ten numer i powiedz, że przywiozłaś świeże kwiaty z Tbilisi. Powtórz to, moja droga.

Katerina szeptem wyrecytowała numer telefonu Rogowa i powtórzyła hasło.

– Ciociu, za trzy dni będziemy musiały dokonać zamiany bagaży na dworcu Leningradzkim. Pewnie przydałby się nam ktoś do pomocy. Najpierw idź do „Bieriozki” i za dolary, które dostałaś od Anatolija, kup dużą granatową walizkę marki „Trzy Smoki”. Pamiętaj, że musi być granatowa, a nie czarna. Sprawdziłam, w sklepach „Bieriozki” jest pełen wybór walizek i toreb tej marki. Najlepiej byłoby znaleźć dużą walizkę dwukomorową. Zapamiętasz? Granatowa, dwukomorowa, marki „Trzy Smoki”.

Klimienkowa sumiennie powtórzyła te instrukcje.

– Ty z kolei zadzwoń do Wołodii i jemu przekaż dokładny termin spotkania na dworcu. Upewnij się tylko, że to on podejdzie do aparatu. Nie rozmawiaj na ten temat z nikim innym.

– Przecież nie rozpoznam jego głosu.

– Kiedy mu powiesz, że przywiozłaś świeże kwiaty z Tbilisi, powinien odpowiedzieć, iż najbardziej lubi bławatki, które na wiosnę w Gruzji zakwitają masowo. Może nawet poproszę Wołodię, żeby pomógł mi zamienić walizki na dworcu. A teraz lepiej przepłynijmy kawałek.

Katerina odepchnęła się od krawędzi i wolno popłynęła ku drabince w pobliżu przejścia do szatni, nie obejrawszy się nawet na starszą kobietę w czarnym czepku.

Lotnisko Schönefeld, NRD, 30 kwietnia, 9.30

– Chyba żartujecie, towarzyszu! Podchodźcie bez kolejki i proście o miejsce w najbliższym samolocie do Moskwy, nie mając rezerwacji! Czy wiecie, co jutro ma się odbyć w Moskwie?

Urzędnik dyżurujący przy stanowisku Aeroflotu na podberlińskim lotnisku bez wątpienia był Rosjaninem, chociaż od dość dawna musiał już pracować w tym wschodniemieckim „robotniczym raj”, o czym świadczył pozłacany zegarek seiko na jego przegubie i gruby złoty łańcuszek na szyi. Z pewnością nie byłoby go stać na takie rzeczy, gdyby utrzymywał się

wyłącznie z pensji. Aleksander pochylił się nad kontuarem i wygrzebując z pamięci charakterystyczny żargon rosyjskich elit partyjnych, rzekł:

– Dokładnie wiem, co jutro ma się odbyć w Moskwie, towarzyszu. Ale, jak sami widzicie, mam delegację służbową na dzisiaj i będę musiał wracać już trzeciego maja. Podróżuję w nadzwyczaj ważnych sprawach partyjnych. Widocznie ktoś z dowództwa w Wünsdorfie nie dopełnił swoich obowiązków i tylko dlatego, towarzyszu, moja rezerwacja nie znalazła się w waszym komputerze.

Tamten obrzucił go uważnym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na dokumenty. Nie ulegało wątpliwości, że wbrew pozorom, jakie stwarzała służbowa delegacja Komitetu Centralnego PZPR, uznawał Aleksandra za polskiego inteligenta, który z definicji powinien spędzić resztę swego żalostnego żywota w celi na Łubiance.

– Proszę spojrzeć na poczekalnię, towarzyszu. Ci wszyscy ludzie chcieliby się dostać do Moskwy. Mam co najmniej sto pięćdziesiąt osób na liście oczekujących. Gdybym nawet zdołał was wpisać niedaleko jej początku, to i tak, mówiąc szczerze, towarzyszu, nie mielibyście większych szans. Znalezienie miejsca na lot powrotny nie będzie aż takie trudne, mogę wam zarezerwować bilet na samolot Aeroflotu z Szeremietiewa na Schönefeld, startujący o dwudziestej trzydzięci. Niewiele wam jednak z tego przyjdzie, jeśli nie dostaniecie się wcześniej do Moskwy.

Na berlińskim lotnisku obowiązują niemal te same prawa, co na orientalnym targowisku w Peszawarze, pomyślał Fannin.

– Nie pamiętam, czy już wam mówiłem, towarzyszu, że moja pozycja umożliwia mi uiszczenie pełnej opłaty za bilet pierwszej klasy, łącznie z dopłatą za brak rezerwacji. Jak się domyślam, tu jest odpowiednia suma.

Aleksander wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na pulpicie. Urzędnik otworzył ją, rzucił okiem na dwa pięćdziesięciomarkowe banknoty, po czym szybko zakrył kopertę dłonią i zsunął z kontuaru.

– Nie jestem pewien, czy nawet po wykupieniu biletu pierwszej klasy z dopłatą za brak rezerwacji znajdę dla was jakieś miejsce, towarzyszu. Nie jestem cudotwórcą.

Sięgnął do klawiatury komputera i po minucie oznajmił:

– Urodziliście się pod szczęśliwą gwiazdą, towarzyszu. Właśnie znalazłem jedno miejsce zarezerwowane na potrzeby Komitetu Centralnego. Oczywiście, będziecie musieli dopłacić do

ceny biletu. Samolot startuje o siedemnastej dwanaście.

Fannin uśmiechnął się szeroko.

– Muszę wam powiedzieć, towarzyszu, że to prawdziwa przyjemność, kiedy się ma do czynienia z kompetentnym synem Mateczki Rosji. Tutejsi Niemcy mają wyjątkowe zdolności do knocenia każdej roboty, której się dotkną. Pewnie już sami się o tym przekonaliście.

Urzędnik w odpowiedzi także uśmiechnął się porozumiewawczo.

Moskwa, 30 kwietnia, 14.50

Siergiej Bochan siedział przy swoim terminalu od południa. Zdążył sprawdzić polskie i czeskie źródła w poszukiwaniu osób wyszczególnionych przez Nikitienkę i właśnie połączył się z centralą berlińską. Zaprogramował przeszukiwanie list i przeciągnął się szeroko, chcąc rozprostować zeszytniałe mięśnie karku, gdy nagle na ekranie pojawiło się okno z alarmującym wpisem. Błyskawicznie sięgnął po słuchawkę i połączył się z oficerem dyżurnym komisji.

– Tak, towarzyszu majorze, pułkownik Nikitienko zostawił dla was specjalne dyspozycje. Już podaję jego domowy numer telefonu.

Bochan zapisał numer i nie odkładając słuchawki, przycisnął widełki i zaczął go nakręcać.

Moskwa, 30 kwietnia, 20.45

Aleksander wsunął paszport w wąską szczelinę okienka budki kontroli paszportowej na lotnisku Szeremietiewo i zaczął w myślach powoli odliczać. Młody oficer KGB bez pośpiechu wertował dokument, ledwie zauważalnie kołysząc się na boki przy każdym naciśnięciu stopą pedału uruchamiającego zamontowany gdzieś nad jego głową aparat fotograficzny. Wreszcie odłożył paszport i sięgnął po słuchawkę telefonu. Fannin doliczył do osiemdziesięciu, zanim tamten skończył rozmowę i popatrzył na niego badawczo zza szyby.

W niewielkim pokoiku na antresoli, wyposażonym w półprzepuszczalne lustro wychodzące na obszerną salę przylotów, Nikitienko przyglądał się pasażerom z Berlina, ustawiającym się w długich kolejkach do odprawy paszportowej. Obok trzech oficerowie KGB dyżurowali przy aparatach telefonicznych. Każdy z nich utrzymywał łączność z jedną budką kontrolną, skąd

podawano nazwiska, numery paszportów i inne ciekawe informacje o sprawdzanych pasażerach. I każdy musiał wyszukiwać kolejne nazwiska w grubych spisach osób poszukiwanych.

W pewnej chwili jeden z nich obejrzał się na Nikitienkę.

– Jak brzmiało nazwisko tego człowieka, którego się spodziewacie, towarzyszu pułkowniku?

– Nie jestem całkowicie pewien, pod jakim nazwiskiem stawi się do kontroli, majorze. O ile pamiętam, ostatnio posługiwał się czeskim paszportem na nazwisko Jiroušek, ale może też dysponować podrobionymi dokumentami polskimi.

– Na stanowisku trzecim jest właśnie kontrolowany Polak, niejaki Jan Gromek, działacz partyjny. Myślałem, że to może być wasz człowiek.

Nikitienko popatrzył na Aleksandra, próbując opanować narastające podniecenie.

– Niemożliwe, majorze. To na pewno nie ten. Obawiam się, że w ogóle nie przyleciał tym samolotem. Przed świętem pierwszomajowym na pewno trudno dostać bilety. Nie będę dłużej czekał. Lepiej zejdę do hali, przespaceruję się trochę i wrócę do domu. Zresztą wcale nie oczekiwałem dziś jego przybycia. Bardzo dziękuję wam za pomoc, towarzysze. Wasza ciężka służba ma olbrzymie znaczenie dla bezpieczeństwa naszej ojczyzny.

Nikitienko bez zbytniego pośpiechu zbiegł po schodkach, wmieszał się w tłum podróżnych i oczekujących, by kilkanaście minut później ruszyć śladem wysokiego szczupłego mężczyzny w czarnym garniturze, który właśnie odebrał swój bagaż.

Moskwa, 1 maja, 14.00

Trzymając córkę pod rękę, Lara szła powoli ku wyjściu z rozległego Parku Kultury, zwanego przez mieszkańców Moskwy Parkiem Gorkiego. Na parkingu za ogrodzeniem kilkadziesiąt autobusów wycieczkowych czekało na turystów wracających z pierwszomajowej defilady. W tłumie przyjezdnych kobiety czuły się całkiem bezpiecznie.

– Spójrz, Katerina! – Lara wskazała ogromny diabelski młyn w pobliskim lunaparku. – Razem z siostrą jeździłyśmy na takim kole, gdy miałyśmy po osiem lat. W roku trzydziestym czwartym ojciec przywiózł nas do stolicy na wiosenny festyn młodzieży. Wtedy było to dla nas najbardziej zapierające dech w piersiach przeżycie. Czy wiesz, że od tamtej pory nigdy nie byłam w wesołym miasteczku? – Umilkła na chwilę, wracając pamięcią do wspomnień, po czym mówiła dalej: – Nawet ludzie niewiele się zmienili, choć teraz odnoszę wrażenie, że wszyscy są

sobie obcy. Naprawdę mało kto się uśmiecha, jakby pozbawiono ich resztek optymizmu. Zresztą może wtedy, w trzydziestym czwartym, patrzyłam na świat oczyma beztroskiego dziecka. Wtedy też było ciężko, mimo że nie odczuwaliśmy tego bezpośrednio i ludzie przynajmniej przez parę lat mogli cieszyć się życiem. A potem, już w grudniu, zaczęła się wielka czystka, która trwała aż do wybuchu wojny. Wszyscy pogrążyli się w smutku.

– Musimy porozmawiać, mamó – przerwała jej Katerina. – Opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło podczas rejsu, później w Nachodce i w czasie lotu z Władywostoku. Po południu skontaktuję się z Anatolijem za pośrednictwem człowieka, który ukrywa ciocię. Dlatego chciałabym wiedzieć, co cię spotkało.

– Rejs po morzu przebiegał bez zakłóceń. Jedzenie było paskudne, a obsługa opryskliwa, ale na to Aleksander mnie wcześniej uczulał. Prawie z nikim nie rozmawiałam i nikt też specjalnie się mną nie interesował. W Nachodce także wszystko poszło zgodnie z planem. Kiedy wieźli nas autobusem do Władywostoku, w ogóle nie mogłam poznać tamtych okolic. A i na lotnisku w Szeremietiewie odprawa wyglądała dokładnie tak, jak mówił Aleksander, łącznie z rumianolicym chłopcem fotografującym każdą stronę w paszporcie i dwoma przeciągającymi się rozmowami telefonicznymi.

Katerina pociągnęła matkę w boczną alejkę.

– Spotkałam się z ciocią wczoraj na pływalni. Będzie gotowa do zamiany bagaży pojutrze, trzeciego maja, na dworcu Leningradzkim. Ma się zaopatrzyć dokładnie w taką samą walizkę, jaką z ostatniej podróży przywiozłam do Hongkongu. Później, kiedy za trzy dni ciocia wyruszy już w swą podróż ku wolności, i my pojedziemy do Leningradu.

– Aleksander z Michaelem odbiorą ją w Helsinkach. Podjęli taką decyzję w ostatniej chwili, tuż przed moim wyjazdem z Hongkongu. Następnie w trójkę mają zaczekać na nas.

– Coś jeszcze?

– Na pewno w tej chwili nie musimy się niczym martwić, więc zachowujmy się na razie jak zwykle turystki.

Poszły z powrotem w głąb parku, aż dotarły do wesołego miasteczka rozstawionego na brzegu Moskwy. Pół godziny później zawróciły wzdłuż nabrzeża, przy którym stało kilka statków wycieczkowych, i ponownie ruszyły w stronę głównej bramy parku. Dzielilo ich może sto metrów od wyjścia, gdy nagle Katerina mocniej ścisnęła matkę za rękę, zobaczyła bowiem idącego w ich kierunku Aleksandra.

– Mamo, zachowaj spokój. Ten mężczyzna, który się do nas zbliża z lodami, to Aleks.

– Mój Boże! Masz rację. Czyżby coś się stało?

Mijając je, Aleksander przekazał głośnym szeptem:

– Zawróćcie za mną w stronę wesołego miasteczka. Trzymajcie się na tyle blisko, byśmy mogli rozmawiać, lecz nie zdradźcie się, że mnie znacie.

Przez pięć minut szły w pełnym napięcia milczeniu, obserwując jego plecy, zanim w końcu powiedział:

– Muszę się zobaczyć z Anatolijem.

Z apetytem zjadał wielką porcję lodów, z pozoru ani trochę nie zwracając uwagi na idące tuż za nim kobiety. W jego głosie nie wyczuwało się napięcia, lecz Katerina była przeświadczona, że stało się coś złego.

– Mam numer telefonu, pod którym... – wybąkała. – Ale co?...

– Natychmiast go powiadom – przerwał jej Aleksander.

– Powinnam się z nim spotkać jutro o trzeciej w Domu Artysty, choć i to nie jest pewne...

– Będzie za późno. Muszę z nim porozmawiać jeszcze dzisiaj.

– Dobrze, zadzwonię do Rogowa. On będzie wiedział, co robić.

Fannin odgryzł kawałek wafła, odwrócił się do nich bokiem i przekazał szybko:

– Zadzwon i poproś Rogowa o jak najszybsze powiadomienie Anatolija. Skorzystaj z komunikacji miejskiej albo idź na piechotę, będę cię miał na oku. Kiedy się spotkasz z Rogowem, rozejrzyj się, a zauważysz mnie gdzieś w pobliżu. Później wracaj do hotelu i skontaktuj się z Lara. Laro, ty czekaj w pokoju na wiadomość od Kateriny.

Martynowa uśmiechnęła się niewyraźnie i spoglądając na diabelskie koło w oddali, odparła:

– Wygląda na to, że zaszły jakieś nieprzewidziane trudności.

– Owszem, ale wszystko będzie dobrze – mruknął Fannin i poszedł dalej. Kiedy Katerina zbliżyła się już z matką do głównej bramy parku, zauważyła, że Aleksander idzie jakieś sto metrów za nimi. Nadal była przekonana, iż nikt ich nie śledzi, odczuwała jednak narastający niepokój.

Moskwa, 1 maja, 14.45

Ręce jej się trzęsły, gdy wrzucała żeton do szczeliny automatu telefonicznego przed

dworcem Kijowskim. Ze wszystkich sił próbowała nad sobą zapanować, a mimo to głos jej drżał, gdy prosiła do aparatu Wołodię. Może właśnie dlatego Rogow odezwał się szorstko, również spiętym tonem:

– Słucham. Rogow.

– Wołodia, mój drogi. Prosiłeś, bym cię powiadomiła, gdy nadejdzie dostawa świeżych kwiatów z Tbilisi. Właśnie ją odebrałam.

– W takim razie przynieś mi świeży bukiet, piękna kwiaciarko, a ja cię w zamian zaproszę na wspaniały obiad. Poproszę orkiestrę, by nam zagrała jakąś piękną gruzińską balladę. Wiesz, gdzie mnie szukać.

– Nie mogę przyjechać, Wołodia. Przykro mi, ale nie mam czasu. Nie mogliśmy się spotkać na mieście, gdzieś w okolicach Taganki?

Rogow zamyślił się na chwilę, po czym odparł:

– Czemu nie? Będę czekał przed wejściem do teatru na Tagance. Jeśli nie masz czasu, to spotkajmy się jak najszybciej. Dojedziesz tam przez pół godziny?

– Na pewno, Wołodia. Powiedz mi jeszcze, jaki bukiet sobie życzysz. Nie chciałabym ci przywieźć niewłaściwych kwiatów.

– Czyżbyś zapomniała, że najbardziej lubię gruzińskie bławatki? Na zawsze zapamiętam, jak dla mnie wpinałaś je sobie we włosy.

– Jakże bym mogła o tym zapomnieć, mój drogi. Zatem do zobaczenia.

Moskwa, 1 maja, 16.10

Z trudem łapiąc oddech, Katerina pokonała ostatni ciąg schodów prowadzących ze stacji metra i wybiegła na plac Taganski. Pospiesznie przeszła przez ulicę, ale przed słynnym teatrem nikt na nią nie czekał. Dopiero po paru minutach zwróciła uwagę na idącego w jej kierunku trzydziestoparoletniego mężczyznę w tweedowej marynarce, który mierzył ją zaciekawionym spojrzeniem. Rozpięta jedwabna koszula odsłaniała dwa grube złote łańcuszki na jego szyi. Katerina oceniła, że gdyby nie zniszczona cera, Rogow byłby bardzo przystojny. Zagadnął łagodnym, miękkim tonem:

– To pewnie pani jest moją kwiaciarką. Nawet nie podejrzewałem, że mam do czynienia z kobietą tej klasy. Jestem do usług.

– Bardzo dziękuję. Muszę się zobaczyć z synem pańskiej... drugiej kwiaciarki. Wie pan, kogo mam na myśli?

Nie chciała wymieniać imienia Anatolija, ponieważ nadal nie była pewna, z kim ma do czynienia. Rogow jednak natychmiast dostrzegł jej podobieństwo do Klimienki. Wyczuł też podejrzliwość nieznajomej, dlatego uśmiechnął się przyjaźnie i odparł, jakby recytował wyuczoną lekcję:

– Moimi ulubionymi kwiatami są wciąż gruzińskie bławatki. Znam Katerinę Klimienkową, znam też Tolę, którego zaliczam do najlepszych przyjaciół. Przebywa obecnie w Moskwie. Czy w ten sposób uwolniłem panią od obaw, że mogę być tajniakiem z Komitetu?

– Dziękuję, Wołodia. Bardzo mi ułatwiłeś zadanie. – Wzięła go pod rękę i rozejrzała się po placu. – Chciałabym, żebyś uczynił coś dla mnie i dla Toli. Nie oglądaj się, proszę. Przy budce z lodami stoi pewien mężczyzna z sumiastymi wąsami, ubrany w czarny garnitur. – Złowiwszy ukradkowe spojrzenie Rogowa, dodała szybko: – Niczego się nie obawiaj, Wołodia. Idź i porozmawiaj z nim, on ci wszystko wyjaśni. Musisz mi zaufać.

– Jak sobie życzysz, piękna kwiaciarko. Porozmawiam z nim. Chcę tylko zauważyć, że nasze wspólne sprawy zaczynają się komplikować i stają się coraz bardziej niebezpieczne.

Pochylił się niespodziewanie, pocałował Katerinę w policzek, po czym odwrócił się i ruszył przez ulicę.

Poszedł szybko w kierunku wejścia do metra, nie zwracając uwagi na to, czy Aleksander dotrzyma mu kroku. Dwie minuty później obaj byli już w wagonie linii numer pięć, okrążającej centrum miasta wzdłuż Sadowego Kolca. Rogow nie odzywał się przez całą drogę. Dopiero gdy wysiedli na stacji Komsomolskaja, na peronie odwrócił się gwałtownie i rzekł ostro.

– Kim jesteś? Tylko nie próbuj ze mną żadnych sztuczek. Jeśli twoja odpowiedź mi się nie spodoba, zastrzelę cię na miejscu. – Odchylił połę tweedowej marynarki, odsłaniając masywną kolbę półautomatycznego pistoletu Tokariewa.

– Jestem przyjacielem Toli. Chodzi mi o bezpieczeństwo jego i twoje.

Rogow przez chwilę przyglądał się Aleksandrowi spod przymrużonych powiek, po czym rzucił:

– Chodź za mną.

Moskwa, 1 maja, 22.30

Na tyłach restauracji „Tbilisi” przez półtorej godziny Rogow i Krasin, przy butelce czerwonego wina, słuchali najpierw Anatolija, potem Aleksandra, który pokrótce zrelacjonował swe odkrycie dotyczące Karma Siergiejewicza Nikitienki.

– I tak się przedstawia historia naszego pułkownika Armii Radzieckiej – zakończył i kładąc na stole kopię tajnych akt opatrzonych kryptonimem „Dakota”, dodał: – Wszystko jest na tej dyskietce, Tola. Potraktuj to jak swoją polisę ubezpieczeniową, jeśli nie jest jeszcze za późno. Na wszelki wypadek zostawiłem sobie drugą kopię. – Poklepał się po kieszeni.

Klimienko w zamyśleniu obrócił w palcach dyskietkę.

– Masz rację, to nasza polisa ubezpieczeniowa. A sądzę, że nie jest jeszcze za późno. – Obróciwszy się do Saszy i Wołodii, rzekł: – Pozwólcie, że wyjaśnię, na czym stoimy. Po pierwsze, jestem przekonany, że Nikitienko się domyślił, co zamierzamy zrobić z moją matką i jej siostrą. Po drugie, wydaje mi się jednak, że do tej pory nikomu jeszcze o tym nie powiedział. Uczynił to z dwóch powodów. Zapewne chciałby zdobyć więcej dowodów, nim odważy się je wszystkie przedstawić Szapkinowi, gdyż obecnie próba zadenuncjowania mnie równałaby się konieczności płynięcia pod prąd. Ale, co ważniejsze, sądzę, że chciałby najpierw mnie cisnąć te dowody w twarz, aby nacieszyć się moją reakcją i dokonać zemsty za swoje poniżenie z Bejrutu. Nadal nikt nas nie śledzi, Wołodia? Nie zauważyliście niczego podejrzanego?

Rogow energicznie pokiwał głową.

– Tu jesteśmy bezpieczni. Moi ludzie od razu namierzyliby ogon.

– Czy można im ufać? – zapytał cicho Sasza.

– Płacę im więcej, niż dostawali w KGB, i doskonale zdają sobie sprawę, czym grozi zdrada.

– Wołodia uśmiechnął się lodowato i obrzuciwszy spojrzeniem trzech pozostałych mężczyzn, powiedział: – Jeżeli masz rację, Tola, że Nikitienko nikomu jeszcze nie wyjawiał tajemnicy, to czemu jeszcze dziś nie wysłać chłopców do jego mieszkania i nie utulić pułkownika do wiecznego snu? Nic prostszego. Teraz w Moskwie każdego dnia zdarzają się podobne przypadki.

– Nie możemy tego zrobić, ponieważ gdybyśmy, jak się wyraziłeś, utulili go do snu, ktoś na pewno zajęłby się porządkowaniem jego papierów i odkrył wystarczająco dużo, by nas wszystkich wpakować za kratki. Najpierw chcę mu dać ten bezcenny prezent. – Klimienko wskazał trzymaną w palcach dyskietkę. – Niech sobie poczyta te akta przed podjęciem decyzji,

niech weźmie pod rozwagę, że jeśli komukolwiek zdradzi nasz plan, jednocześnie wyda wyrok na siebie.

Rozdział 38

Dowództwo KGB, Jaseniewo, 2 maja, 10.30

Klimienko przyjechał do Jaseniewa pół godziny przed wyznaczonym terminem, podejrzewał bowiem, że Nikitienko będzie już na niego czekał. I ledwie wszedł do wydzielonej części komisji dyrektoriatu, przekonał się, że miał rację.

– Anatolij Wiktorowicz! Tak wcześnie? Spodziewałem się tego jednak! Bardzo się cieszę. Będziemy mogli jeszcze porozmawiać, zanim dyrektor wróci ze spotkania z przewodniczącym.

Poprowadził Anatolija do swego gabinetu. Ten zyskał już niemal pewność, że stanął wobec śmiertelnego zagrożenia, ufał jednak, iż potrafi się obronić.

– Chcę wam bardzo podziękować, Karmie Siergiejewiczu, że w tak ciężkiej chwili nie zapomnieliście o mnie. Brak mi słów, aby wyrazić swą wdzięczność za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

Nikitienko napełnił dwie szklanki parującą herbatą z elektrycznego samowara w wypolerowanej stalowej obudowie.

– To przecież nic wielkiego, Anatoliju Wiktorowiczu. Chyba nie naruszę tajemnicy państwowej, jeżeli powiem, że jesteście teraz nadzwyczaj ważną osobistością w Jaseniewie. Nie tylko w centrali na Łubiance często powtarza się wasze nazwisko, wyliczając zasługi. Sam Michaił Siergiejewicz zwrócił uwagę na wasze osiągnięcia. Szykuje się dla was Order Lenina. Tylko nie zdradźcie się przed nikim, że słyszeliście to ode mnie.

– Czuję się zaszczycony, Karmie Siergiejewiczu – odparł Klimienko, dodając w myślach: Ciesz się póki czas. Pewnie już dawno rozписаłeś tę rozmowę na głosy.

Nikitienko sięgnął do papierów leżących na skraju biurka.

– A teraz kilka mniej przyjemnych spraw. Oto spis rzeczy osobistych pańskiej zmarłej matki, które odebrałem w klinice. Sami możecie się przekonać, dlaczego nabrałem podejrzeń, że niektóre przedmioty zostały skradzione przez personel szpitala. Przecież to wykluczone, aby kobieta przyjechała z Kijowa na dłuższy pobyt w Moskwie z tak skromnym bagażem!

Klimienko postanowił zaczekać, aż tamten ujawni wszystkie swoje atuty. Zerknąwszy ledwie na listę rzeczy, natychmiast zrozumiał, co tak bardzo uderzyło Nikitienkę. W normalnych okolicznościach można by się spodziewać znacznie większego bagażu, nawet gdyby matka

zamierzała spędzić w Moskwie tylko jedną noc. Bez dwóch zdań nie chciała się rozstawać nawet z drobiazgami po tym, jak Arkadij Szewczenko wypisał już akt jej zgonu.

– Moja matka była bardzo praktyczną kobietą, Karmie Siergiejewiczu. Prawdopodobnie nie chciała zabierać ze sobą do Moskwy zbyt wielu rzeczy w takich okolicznościach, zwłaszcza że już w Kijowie specjaliści postawili bardzo pesymistyczną diagnozę. Wiedziała, że nie ma zbyt wielkich szans na wyzdrowienie, jeszcze zanim zgłosiła się do doktora Szewczenki. Nie przeczę jednak, że część rzeczy faktycznie mogła zginąć w szpitalu.

– A więc tę sprawę mamy z głowy. Resztę możecie zostawić mnie. Pewnym ludziom trzeba dać nauczkę, że istnieją granice, których nie wolno przekraczać pod żadnym pozorem. Zaliczam do nich kradzież rzeczy osobistych zmarłej. Osobiście zorganizuję dochodzenie w tym zakresie.

– Nie, Karmie Siergiejewiczu. – Lodowaty ton Klimienki natychmiast przykuł uwagę Nikitienki. – Nie trzeba przeprowadzać żadnego śledztwa, moje sumienie na to nie pozwala. Nie chciałbym też sprawiać kłopotów doktorowi Szewczence, zaprzyjaźnionemu z naszą rodziną jeszcze od czasów mojego dzieciństwa. Możemy przyjąć, że matka po prostu oddała swój skromny bagaż do dyspozycji personelu szpitala, kiedy się przekonała, iż nadeszły jej ostatnie chwile życia. To do niej bardzo podobne. Dlatego dziękuję wam za troskę, ale nie mogę się zgodzić na żadne dochodzenie. Będę na to nalegał.

Nikitienko z niedowierzaniem pokręcił głową.

– No cóż, skoro taka wasza wola, Anatoliju... Może faktycznie jestem zbyt gorliwy. Zareagowałem podobnie, kiedy się dowiedziałem, że zwłoki waszej matki poddano kremacji niemal natychmiast po śmierci. Gdybyście sami wcześniej mi nie powiedzieli o jej ostatniej woli, na pewno bym podejrzewał jakieś nieczyste sprawki. Nie wiem dokładnie jakie. Śmierć wciąż pozostaje dla wielu osób szczególnie tajemniczym wydarzeniem. A przynajmniej dla mnie... – Zawiesił na chwilę głos. – Nie zmienia to faktu, że, moim zdaniem, pańska matka połączyła się ostatecznie ze swoimi najbliższymi, może nawet z siostrą. Nadal jednak uważam, że kremacja jest czymś niezwykłym, zwłaszcza wśród Ukraińców, ludzi wierzących... – Pociągnął ryk herbaty.

To nie było zbyt mądre z twojej strony, pomyślał Klimienko.

– To prawda, moja matka była wierząca, podobnie jak wasza w chwili swojej tragicznej śmierci. Muszę też przyznać, że śmierć niesie ze sobą wiele tajemnic, a zwłaszcza śmierć matki. Zgadza się, Karmie Siergiejewiczu? – Nikitienko musiał wyczuć zmianę w jego tonie, gdyż

szybko podniósł wzrok. Anatolij dodał: – Parzycie znakomitą herbatę, Karmie Siergiejewiczu. Pozwolicie, że naleję sobie jeszcze?

– Bardzo proszę, Anatoliju Wiktorowiczu. – Z lekkim uśmiechem pokiwał głową.

Klimienko wstał, podszedł do samowara, dolał sobie herbaty, a gdy wrócił do biurka, położył przed Nikitienką białą kopertę.

– Wewnątrz znajduje się dyskietka komputerowa, na której utrwalono szczególnie wzruszającą historię, Karmie Siergiejewiczu. To cała opowieść o poświęceniu, zdradzie i śmierci, wielkiej rosyjskiej tragedii, jak też dążeniu człowieka do prawdy. Mam nadzieję, że zdążycie się z nią zapoznać przed naszym wieczornym spotkaniem. Bo na pewno znajdziecie dla mnie wieczorem trochę czasu, prawda? Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chętnie przyprowadzę ze sobą przyjaciela. Możemy się umówić na dziewiątą? I nie martwcie się o tę dyskietkę, Karmie Siergiejewiczu. Gdybyście mieli z nią jakieś kłopoty, chętnie podrzucę wam drugą kopię. Mogę ich zrobić tyle, ile będzie trzeba.

Moskwa, 2 maja, 14.55

Katerina i Lara ponad pół godziny krążyły wokół Domu Artysty. Katerina i tak nie wierzyła, że mogą być śledzone, wołała się jednak upewnić. Zdawała sobie sprawę, iż ogromne ryzyko, na jakie naraziła własną matkę, rośnie jeszcze bardziej z każdą chwilą, a sytuacja wymyka się jej spod kontroli.

– W porządku, wejdę teraz do kawiarni. Nie wiem, czy wyjdę z Anatolijem bądź Aleksandrem, czy też będę musiała wyjść sama. Nie wiem nawet, czego się spodziewać.

Lara uśmiechnęła się blado i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Postępuj według własnego uznania, tylko przestań się wreszcie wszystkim zamartwiać. Nie jestem dzieckiem, moja droga. Dokładnie wiem, jakie podejmuję ryzyko. Przekonasz się jednak, że nic nam nie grozi. Idź już.

Na schodach serce podeszło jej do gardła, gdy ktoś nagle chwycił ją za rękę i pociągnął w bok.

– Chodź, porozmawiamy w kącie na podeście schodów. W kawiarni jest za dużo ludzi.

– Aleksander! Widziałeś się z Tolą?

– Tak, przekazałem mu pewne informacje o Nikitience. Mam nadzieję, że pomogą mu uwolnić nas od niebezpieczeństwa.

– A co z Lara i Katerina? Co mamy dalej robić? Fannin delikatnie ścisnął jej łokieć.

– Uzgodniliśmy z Anatolijem, że Lara powinna postępować zgodnie z planem. Jedźcie jutro razem do Leningradu. Jeśli na dworcu zjawi się Rogow, żeby zamienić bagaże, będzie to oznaczało, że wszystko jest w porządku. Gdybyście go natomiast nie spotkały, lećcie do Helsinek według harmonogramu wycieczki. W razie jakichkolwiek trudności trzymaj się twardo ustalonej wersji. Matka przyleciała na parę dni, żeby zwiedzić Moskwę, więc teraz wyjeżdżacie razem.

– A co z ciocią?

– Na razie nic jej nie grozi. Jeśli nie spotkacie jutro Rogowa na dworcu, będzie to oznaczało, że Klimienkowa musi zostać w Związku Radzieckim. A teraz jak najszybciej zabierz stąd Larę, Kat. Zobaczysz, wszystko się dobrze skończy.

Moskwa, 2 maja, 21.30

Nikitienko siedział w fotelu zasłuchany w muzykę, mając nadzieję, że odpędzi ona demony przeszłości, jakie spadły na niego wraz z ujawnieniem prawdy. Prawda – na wspomnienie tego słowa uśmiechnął się ironicznie, gdyż uważał je za nadużywany atrybut cynizmu. Tkwił z zamkniętymi oczyma, już od pół godziny czekając na dzwonek do drzwi, który nieuchronnie miał się wdrzeć między krystalicznie czyste dźwięki Schubertowskiego *Pstrąga*. I ten rozległ się właśnie teraz.

– Anatolij Wiktorowicz! Jak to miło, że mnie odwiedziliście. – Obrzuciwszy uważnym spojrzeniem Aleksandra, dodał: – A jak się mam do pana zwracać? Panie Fannin czy towarzyszu Gromek? Proszę, wejdźcie dalej. Przy herbacie można rozmawiać o wielu rzeczach, jak głosi perskie przysłowie.

Wniósł do pokoju tacę z dzbankiem i trzema filiżankami, tworzącymi elegancki komplet z uzbeckiej porcelany, zdobionej czerwono – zielonym deseniem. Postawił ją na stoliku przed gośćmi i zaczął ceremonialnie nalewać herbatę.

– Podobnie jak ja, Anatoliju Wiktorowiczu, pijecie zieloną herbatę bez cukru. Tyle jeszcze pamiętam. Ale pański gust, panie Fannin, że się tak wyrażę, pozostaje dla mnie tajemnicą.

Aleksander uśmiechnął się do siwowłosego pułkownika. W jego oczach ten człowiek, z pewnością dogłębnie upokorzony, wcale nie wydawał się groźny w swoim skromnie urządzonej mieszkaniu.

– Poproszę bez cukru, jak i wy, Karmie Siergiejewiczu. Należą się wam wyrazy uznania za wiedzę, jaką posiadacie o Aleksandrze Fanninie i towarzyszu Janie Gromku. Od dzisiaj jednak mówcie mi po imieniu.

– I ja ze swej strony pragnę podziękować za ujawnienie akt „Dakoty”. Zapoznałem się z nimi dokładnie i pragnę przekazać wyrazy uznania ludziom, którzy je gromadzili.

Klimienko upił nieco herbaty i odstawił filiżankę.

– Może opowiedzcie nam całą prawdziwą historię swego życia, Karmie Siergiejewiczu.

Nikitienko popatrzył mu prosto w oczy, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął:

– Akta „Dakoty” nie kłamią, ale zostały zgromadzone wyłącznie pod kątem ich praktycznego wykorzystania. Moja matka rzeczywiście pochodziła z nadwożańskich Niemców, jak się ich dzisiaj nazywa, ale w głębi serca była Rosjanką, podobnie jak ja. Jej pradziadek przybył do Rosji na początku dziewiętnastego wieku na mocy edyktu cara Aleksandra I. Znalazł się wśród założycieli luterańskiej osady nad Wołgą, nazwanej Oberwinter, której mieszkańcy zyskali prawo wyłączności do uprawy tamtejszych urodzajnych ziem. Po czterech czy pięciu pokoleniach wszyscy upodobnili się już do rdzennych Rosjan. Oczywiście w wielu domach do dziś mówi się jeszcze po niemiecku, w głębi serca jednak ludzie stali się całkowicie oddani swojej nowej ojczyźnie. W to nigdy nie wątpiłem. – Zamilkł na chwilę.

– W roku tysiąc dziewięćset siedemnastym matka studiowała w Sankt Petersburgu, nic więc dziwnego, że ciałem i duszą poświęciła się sprawie rewolucji. Od tamtej chwili ani ona, ani mój ojciec, nawet przez chwilę nie żywili podejrzeń co do słuszności idei socjalizmu. Kiedy przyszedłem na świat, rodzice dali mi na imię Karm, co jest chyba wystarczającym dowodem ich bezgranicznego poświęcenia. Wyobraźcie sobie sami, że przez całe życie musicie występować jako „Armia Czerwona” Nikitienko... Na początku rosyjscy Niemcy musieli znosić wiele cierpień, lecz matka uważała je za cenę realizacji górnołotnych marzeń. Wszystko się zmieniło, kiedy hitlerowcy zaatakowali nasz kraj. Ojciec był przekonany, że armie Hitlera pomaszerują prosto na Moskwę, dlatego wysłał mnie razem z matką i siostrą, Nataszą, do rodzinnej wioski niedaleko Stalingradu. Bardzo się jednak pomylił, a skutki tej pomyłki okazały się fatalne. Z sobie tylko wiadomych powodów Hitler skierował wojska właśnie na Stalingrad, co ostatecznie

przyniosło mu klęskę i zarazem doprowadziło do śmierci mojej matki.

– To jednak nie Hitler zabił waszą matkę i jej górnolotne idee, Karmie Siergiejewiczu – wtrącił Aleksander.

– Owszem, ale pośrednio się do tego przyczynił. W tamtych czasach w bezpośrednim otoczeniu Stalina zrodziły się obawy, a nawet wybuchła panika, że ciągle sukcesy armii hitlerowskich mogą wywołać rebelię nadwołżańskich Niemców. Powstała teoria, że właśnie w tym celu Hitler kazał skierować główne uderzenie na Stalingrad. Dlatego Beria przygotował szczegółowy plan, który miał potwierdzić tę teorię, a jednocześnie zapobiec buntowi. Plan był iście diaboliczny, jak i sam Beria. Na początku czterdziestego drugiego roku na Wołgę wylądował desant oddziałów specjalnych NKWD, złożonych z żołnierzy płynnie mówiących po niemiecku, którzy mieli się podawać za hitlerowskich agentów i wśród sympatyzującej ponoć z Niemcami nadwołżańskiej społeczności przygotować zbrojne powstanie. Plan spalił na panewce, większość spadochroniarzy unieszkodliwiono i oddano w ręce władz radzieckich, kilku przy tym zginęło. Tak więc akcja zakończyła się szybko i niczego nie udowodniła, ale tego Berii było jeszcze mało. Wbrew faktom wysnuł wniosek, że nadwołżanscy Niemcy i tak szykują zbrojny bunt, dlatego rozkazał przeprowadzić zmasowaną akcję przeciwko domniemanym partyzantom. Podczas niej zupełnie przypadkowo aresztowano moją matkę, którą wraz z grupą około dwustu równie przypadkowo dobranych mężczyzn i kobiet poprowadzono na śmierć. Cała reszta mieszkańców musiała się przyglądać egzekucji. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy matki tuż przed śmiercią. W jej oczach nie było nawet cienia strachu, a jedynie bezgraniczne zdumienie, że rewolucja, w którą tak głęboko wierzyła, zdolna jest do takiej podłości.

– Niewiele osób z wioski przeżyło. Wojna zabrała także moją siostrę chociaż za jej śmierć byli odpowiedzialni wyłącznie hitlerowcy. Po wojnie odnalazł mnie ojciec i przez następne lata musiałem patrzeć z odrazą, jak poświęca resztę swego życia na beznadziejną służbę ojczyźnie w moskiewskim Archiwum Państwowym. W ogóle nie chciał rozmawiać o śmierci matki, ucinał krótko, że było to wielkie nieporozumienie. Na wszelki wypadek jednak usunął z oficjalnych akt, swoich i moich, wszystkie zapisy mogące budzić wątpliwości. Od tamtej pory nic mnie już nie łączyło formalnie ze społecznością nadwołżańskich Niemców. Po matce pozostało mi tylko stare, niemieckie wydanie Biblii, pochodzące sprzed stu pięćdziesięciu lat, jeszcze z czasów osadnictwa w Oberwinter. Na kilku nie zadrukowanych kartkach znalazłem w niej spisane ręką matki imiona i nazwiska jej przodków, a wśród nich również tych, którzy u schyłku ubiegłego

wieku wyemigrowali z Rosji i dołączyli do swoich ziomków, w okresie burzliwego rozkwitu Stanów Zjednoczonych zasiedlających obie Dakoty. Kiedy miałem kilkanaście lat, pochłaniały mnie marzenia o odnalezieniu dalekich krewnych i zjednoczeniu rozbitej rodziny, później jednak zostałem wciągnięty w budowę socjalizmu. Zapiski w starej Biblii poszły w niepamięć, musiałem porzucić wszelkie nierealne marzenia.

Kwintet Schuberta dobiegł końca, muzyka umilkła. Nikitienko wstał, wyłączył gramofon, po czym wrócił na fotel i mówił dalej:

– Wydarzenia z przeszłości odżyły w Bejrucie, kiedy całkiem przypadkowo poznałem pastora z tamtejszej niewielkiej luterkańskiej parafii, Amerykanina. Szybko wyszło na jaw, że obaj jesteśmy pochodzenia niemieckiego. Zacząłem go często odwiedzać i któregoś dnia pokazałem mu swoją Biblię, mówiąc jednak, że kupiłem ją na targu. Przyjął to z uśmiechem, domyśliłem się po jego minie, że natychmiast odgadł prawdę. Zapytałem, czy jego zdaniem, mam jakieś szansę na odnalezienie potomków dawnych krewnych z Dakoty, na co odparł, że postara się mi pomóc. I jakiś miesiąc później skontaktował mnie z człowiekiem, będącym prawdopodobnie moim dalekim kuzynem.

Aleksander pokiwał głową.

– Macie rację, Karmie Siergiejewiczu. Pastor rzeczywiście zdołał odnaleźć waszego dalekiego kuzyna, farmera z Dakoty, niejakiego Petera Grabera. Doprowadził do waszego spotkania, nie chciał się jednak bardziej w nic angażować.

Nikitienko milczał przez chwilę.

– Może pan opowie dalej tę historię, panie Fannin. W końcu zna pan specyfikę amerykańskich służb specjalnych o wiele lepiej ode mnie.

– Reszty łatwo można się domyślić. Już w trakcie pierwszej rozmowy z Graberem zaproponowaliście mimochodem, że moglibyście zerwać z dotychczasowym życiem, uciec od hipokryzji i zapuścić od nowa korzenie. Wiedzieliście jednak, że będzie wam potrzebna pomoc do właściwego rozegrania tej sprawy. Graber w lot podchwycił waszą myśl i zorganizował spotkanie z agentem CIA. Zgadza się?

Nikitienko smutno pokiwał głową i podjął opowieść:

– Oczywiście. Spotkałem się z waszym człowiekiem w klubie jachtowym Jouneyeh, we wschodnim Bejrucie. Od razu przypadł mi do gustu. W trakcie rozmowy ani razu nie została wymieniona cena, jaką musiałbym zapłacić za waszą pomoc. Ułożyliśmy dość prosty plan.

Miałem zostać porwany przez bojowników Hezbollahu i „zabity” po zerwaniu negocjacji. Później CIA godziło się przewieźć mnie łodzią z przystani na pokład okrętu wojennego, stojącego na kotwicy dwadzieścia mil od lądu. Trzeba było jedynie zorganizować brutalne porwanie i nająć Palestyńczyków, którzy mogliby wystąpić w roli porywaczy, postawić nierealne żądania, a po zakończeniu negocjacji upozorować moją śmierć. Co więcej, należało też moim kolegom z miejscowej rezydentury dostarczyć jakieś dowody mojej śmierci, a stąd wynikało jasno, że w sprawę muszą się zaangażować służby specjalne. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, nastąpiłaby najwyżej jakaś wymiana not dyplomatycznych, wkrótce wszyscy by zapomnieli o całej sprawie, ja zaś byłbym wolny. Ruszyły przygotowania, ustalono datę przerzutu...

Zapadła cisza. Pierwszy Aleksander odważył się zadać pytanie:

– Więc dlaczego nie pojawiliście się w umówionym miejscu tamtego sobotniego ranka, Karmie Siergiejewiczu?

– Chyba, przynajmniej w ogólnym zarysie, z tych samych powodów, dla których Anatolij Wiktorowicz nadal jest z nami. Mógł przecież zniknąć zaraz po tym, jak spotkaliście się w Afganistanie. Na pewno mieliście wiele okazji do tego, by upozorować jego śmierć. Nie zrobiliście tego jednak. Domyślam się więc, że Anatolij, podobnie jak ja, doszedł do wniosku, iż nie potrafiłby żyć poza granicami ojczyzny. – Nikitienko obrócił się do Klimienki i szybko dodał: – Nie zrozumcie mnie jednak źle, Anatoliju Wiktorowiczu. Poza tym niewiele mamy ze sobą wspólnego. To prawda, że planowałem ucieczkę, ale nigdy, nawet przez chwilę, nie brałem pod uwagę możliwości zdrady.

Aleksander pochylił się w jego stronę.

– Karmie Siergiejewiczu, czy naprawdę sądzicie, że Anatolij, pomagając Związkowi Radzieckiemu w podpisaniu traktatu pokojowego i zakończeniu tej niepotrzebnej wojny, dopuścił się zdrady? Łudzicie się, że gdybyście jednak zrealizowali swoje marzenie o dołączeniu do krewnych z Dakoty, koniec końców nie znaleźlibyście się w analogicznej sytuacji?

– Owszem, liczyłem się z tym, że musiałbym zapłacić najwyższą cenę i zdradzić ojczyznę.

– Skoro braliście to pod uwagę, Karmie Siergiejewiczu, to odpowiedzcie mi teraz szczerze, czy ostateczna decyzja była wynikiem waszej odwagi, czy też jej braku – odezwał się Klimienko.

Nikitienko zamyślił się na krótko.

– Tego nie wiem, Anatoliju. Nie mam natomiast żadnych wątpliwości co do waszej zdrady.

Ja zrezygnowałem ze swoich planów. Niech inni zadecydują, czy był to z mojej strony akt odwagi, czy przejaw tchórzostwa. Może jedno i drugie?

– Jeżeli decyzję, o czynnym włączeniu się do działań przeciwko represyjnemu ustrojowi, który doprowadził do śmierci milionów obywateli, w tym także naszych matek, można uznać za zdradę ojczyzny, to macie rację, Karmie Siergiejewiczu. Dopuściłem się jej. Ale niczego nie żałuję. Nikitienko znów popatrzył mu prosto w oczy.

– Mogę uznać, że we własnym przekonaniu podjęliście słuszną decyzję. Zresztą wynika to jasno z waszego raportu na temat Aleksandra. – Obróciwszy się do Fannina, pułkownik uśmiechnął się trochę szerzej i kręcąc głową, rzekł ironicznie: – Wygląda na to, że wy, Amerykanie, zawsze będziecie górą w tych szpiegowskich zmaganiach. Ci z naszego Komitetu, którzy idą na współpracę z wami, to bez wyjątku marzyciele, idealisci tacy jak Anatolij. Natomiast ci, których czasami udaje nam się zwerbować spośród was, to zazwyczaj nędzne, sprzedajne kreatury. To wielki problem i bardzo nas niepokoi, choć nikt o tym głośno nie mówi.

– Jak się domyślam, macie na myśli także obecnego głównego informatora, którym kieruje wyłącznie chciwość?

Nikitienko zawahał się wyraźnie.

– Tak, Aleksandrze. Nie mam najmniejszych złudzeń, że człowiek, który zdradził was i Anatolija, zrobił to tylko z chciwości.

Fannin zauważył zmianę w tonie jego głosu, odparł więc szybko:

– Nie martwcie się, Karmie Siergiejewiczu, nie zamierzam was przyciskać, byście wyjawili nazwisko waszej wtyczki w Langley. Sami go odnajdziemy.

– Nie wątpię – Nikitienko westchnął głośno. – Jeśli tylko zdołacie bezpiecznie przekroczyć granicę i dostarczyć kolegom zdobyte informacje, zdemaskujecie go bardzo szybko. Zawsze tak jest, prawda? Wykorzystujemy ich do ostatnich granic.

– Sami pozwalają się wykorzystywać, zresztą biorą za to grubą forszę. Chyba nie powinniście mieć wyrzutów sumienia, że doprowadzacie ich do zguby – odparł Aleksander.

– Zatem jakie wnioski wypływają z naszej rozmowy, Karmie Siergiejewiczu? W końcu to my dwaj jesteśmy głównymi postaciami tego przedstawienia. Są jednak w tę sprawę zamieszane osoby, których uczynki z pewnością nie przyciągnęły waszej uwagi.

– Odpuść im, Karm – dodał Fannin.

– Gdybym to zrobił, byłbym niebezpiecznie bliski wybaczenia Anatolijowi zdrady, a później,

już po ujawnieniu jego winy, ktoś inny mógłby bez kłopotu odkryć, że pozwoliłem jego matce uciec z kraju.

– W takim razie nie ujawniajcie tego, co wiecie o Anatoliju.

– Od początku chcieliście mnie do tego namówić, prawda?

– Zgadza się, Karm.

Nikitienko spojrział na Klimienkę i po namyśle rzekł:

– Dlaczego nie napuściliście na mnie jednego z afgańskich przyjaciół Krasina? Nie wątpię, że znaleźliby się nawet ochotnicy do tej mokrej roboty.

– Przyznam, że padła już taka propozycja. Nie skorzystałem z niej, kierując się dobrze pojętym własnym interesem. Jestem bowiem przekonany, iż pozostawione przez was materiały tak czy inaczej ujawniłyby winę pomagających nam osób.

– Masz rację, Anatoliju. Ale na pewno nie mógłbym zdemaskować wszystkich winowajców.

– Zgadza się, Karmie Siergiejewiczu. I to właśnie ze strony tych ludzi zagraża wam największe niebezpieczeństwo, jeśli zdecydujecie się nas wydać.

– Ach, więc próbujecie mnie teraz przekonać, że to przedstawienie, w którym odgrywamy główne role, powinno pozostać, że się tak wyrażę, bez finału.

– To prawda.

– Będę musiał to wszystko dogłębnie przemyśleć, Anatoliju. Załatwiłem już u dyrektora Szapkina kilkudniowy urlop.

– Kiedy można oczekiwać waszej odpowiedzi, Karmie Siergiejewiczu? – zapytał Klimienko.

– Na pewno wszystko będzie dla was jasne jutro wieczorem, kiedy samolot towarzysza Gromka wylądaje na Schönefeld, a tym bardziej przed południem czwartego maja, kiedy samolot linii Finnair wystartuje z Leningradu. Wcześniej nie oczekujcie niczego. A kiedy ja zyskam pewność, że zdołaliście przekonać resztę wtajemniczonych, iż nie warto mnie usuwać z drogi?

– To chyba także będzie dla was zrozumiałe samo przez się, Karmie Siergiejewiczu. Poznacie odpowiedź najdalej pojutrze. Tylko po co to wszystko? Naprawdę nie potraficie podjąć decyzji bez zbytecznego dramatyzowania sytuacji?

– Może i nie potrafię, Anatoliju. Dzisiaj chciałbym się poświęcić czytaniu zapisków mojej matki pozostawionych w Biblii. Jutro będę miał wystarczająco dużo czasu, by wszystko przemyśleć.

Rozdział 39

Moskwa, 3 maja, 8.15

Katerina z Lara przysiadły tuż obok siebie na skraju niewygodnej drewnianej ławki w poczekalni dworca Leningradzkiego. Miały jeszcze prawie godzinę do odjazdu pociągu. Granatową walizkę postawiły obok bagaży innych pasażerów przy drzwiach prowadzących na peron.

Katerina pierwsza zauważyła mężczyznę z identyczną walizką marki „Trzy Smoki”. Jak większość ludzi tego chłodnego majowego ranka miał na sobie gruby płaszcz i zimową wełnianą czapkę. Postawił swój bagaż tuż przy walizce Lary i dopiero wtedy odwrócił się twarzą do nich. Był to ten sam przystojny mężczyzna o zniszczonej cerze, którego Katerina poprzedniego dnia spotkała przed teatrem na Tagance.

Pół godziny później Rogow podszedł do drzwi, wziął sąsiednią walizkę i wyszedł z poczekalni. Po kwadransie obie kobiety także zabrały bagaż i wsiadły do pociągu. Ekspres do Leningradu ruszył punktualnie i gdy tylko za oknem zaczęły się przesuwac podmoskiewskie równiny, Lara zamknęła oczy i oddała się rozmyśleniom na temat ogromnych zmian, jakie zaszły w tym kraju w ciągu pięćdziesięciu lat.

Leningrad, 4 maja, 0.30

Katerina już chyba po raz dwudziesty nakręciła numer brytyjskiego konsulatu w Leningradzie, kiedy wreszcie uzyskała połączenie z dyżurującym urzędnikiem. Spojrzała na zegarek: było wpół do pierwszej w nocy.

– Słucham, konsulat brytyjski.

– Och, dzięki Bogu, że kogoś zastałam... Nazywam się Martin, Catherine Martin, jestem moskiewską korespondentką „Far Eastern Focus”. Podróżuję z moją matką, Larą Martynową, która wyruszyła na wycieczkę z Hongkongu i chyba się właśnie rozchorowała. Nie wiem, co robić.

– Pani Martin, jestem wiemym czytelnikiem pani artykułów... Słusznie pani uczyniła, zgłaszając się do konsulatu. Skąd pani dzwoni?

– Zatrzymałyśmy się w hotelu „Leningrad”. Muszę przyznać, że mam poważne obawy przed skorzystaniem z lecznicy, którą polecono nam w recepcji. Chyba pan rozumie, dlaczego.

– Oczywiście. Zaraz przyślę po panie samochód, jeśli tylko pani matka może chodzić o własnych siłach.

– Tak, może chodzić, choć jest wyraźnie osłabiona.

– Samochód przyjedzie najpóźniej za pół godziny. Przyślę paniom do pomocy moją koleżankę, pannę Davies. Zanim przyjedziecie do konsulatu, postaram się ściągnąć naszego lekarza. Co dolega pani matce?

– Odczuwa silne bóle w piersiach i duszności.

Katerina odłożyła słuchawkę, przysiadła na skraju łóżka i z troską popatrzyła na matkę, leżącą ze zmoczonym ręcznikiem na czole.

– Trochę ci lepiej, mamó? Z konsulatu zaraz przyślą po nas samochód i ściągną lekarza. Boże, właśnie w takich okolicznościach musiałaś się rozchorować. Jestem za ciebie odpowiedzialna, a nie mogę się uwolnić od poczucia bezradności.

– Przestań wreszcie obwiniać siebie za cokolwiek – odparła Lara słabym, roztrzęsionym głosem. – Ta wycieczka była moim pomysłem, a nie twoim. Więc teraz pozwól mi trochę odpocząć, zanim przyjedzie samochód. To na pewno tylko chwilowa niedyspozycja.

Żadna z nich nie miała odwagi odejść od ustalonego scenariusza, ponieważ obie dobrze wiedziały, że w pokoju muszą być rozmieszczone mikrofony.

Leningrad, 4 maja, 2.00

Ian Bland był doświadczonym dyplomatą i dobrze wiedział, jak należy postępować wobec osób popularnych w świecie mediów, a zarazem noszących szlachecki tytuł nadany im przez królową.

– Pani Martin, z radością spieszę przekazać, że zdaniem doktora Allena pani matka doznała jedynie chwilowego osłabienia i już jutro powinna się poczuć znacznie lepiej. Chciałbym jednak, aby pozostała w naszych pokojach gościnnych, oczywiście razem z panią. Zaraz zostawię w sekretariacie dyspozycje, aby jutro z samego rana odwołano rezerwacje. W takich okolicznościach nie warto ryzykować podróży. Potrzebne mi tylko będą paszporty oraz bilety lotnicze obu pań.

– Obawiam się, że paszport i bilet mamy zostały w hotelu. Podobno ktoś jej poradził, aby ukryła dokumenty na dnie walizki, gdzie będą bezpieczniejsze niż w torebce.

– Ośmielę się zauważyć, że to poważny błąd. Zaraz wyślę kogoś z konsulatu po bagaże.

Tymczasem Katerina rozmyślała gorączkowo, jak odwieść tego usłużnego człowieka od pomysłu anulowania rezerwacji miejsc w samolocie. Za żadną cenę nie mogła do tego dopuścić.

– Jestem panu niezmiernie wdzięczna za okazaną pomoc, panie Bland, ale proszę się nie trudzić odwoływaniem rezerwacji. Załatwię to z samego rana, ostatecznie i tak nie mam nic innego do roboty.

– To naprawdę żaden kłopot, pani Martin. Moja sekretarka tylko przesunie rezerwację o dwa dni. Doktor Allen ocenił, że po krótkim wypoczynku pani matka będzie mogła dalej podróżować.

Katerina położyła dłoń na jego ramieniu.

– Panie Bland, nalegam, aby pan nie trudził swojej sekretarki zadaniem przesuwania rezerwacji – powiedziała stanowczo.

Mężczyzna popatrzył na nią spod zmarszczonych brwi, nie mogąc zrozumieć, dlaczego tak prosta sprawa miałaby stanowić jakikolwiek problem.

– Jak pani sobie życzy – bąknął niepewnie. – Proszę mi jednak dać znać, gdyby panie czegokolwiek potrzebowały.

Katerina odetchnęła z ulgą. Obie z matką znalazły się na bezpiecznym terenie brytyjskiego konsulatu, choć to wcale nie oznaczało, że ich kłopoty dobiegły końca.

wschodni Berlin, 4 maja, 4.20

Trzej milicjanci mieli już za sobą połowę nocnej służby i wyraźnie odczuwali zmęczenie ciągłą obserwacją terenu ambasady amerykańskiej. Na ulicy nie było żywej duszy. Żaden z nich nie zauważył ciemnej sylwetki mężczyzny, który przeczołgał się pod szeregiem zaparkowanych przy krawężniku samochodów i zniknął pod niebieską furgonetką, stojącą niedaleko bramy już od paru dni. Żaden też nie usłyszał cichego brzęknięcia unoszonej klapy w podłodze auta.

Frank Andrews drzemał przy biurku na czwartym piętrze ambasady, kiedy niespodziewanie zadzwonił leżący przed nim telefon komórkowy.

– Słucham.

– Już jestem.

Połączenie zostało szybko przerwane.

Pięć minut później Frank wraz z dwoma kolegami, ubranymi w firmowe kombinezony spółki Seabee, obsługującej dostawy przesyłek dyplomatycznych, wyszedł z budynku ambasady, gdzie z przymusu dyżurował przez ostatnie cztery doby. Wszyscy trzej wsiedli do furgonetki i po chwili odjechali, kierując się w stronę przejścia granicznego z Berlinem Zachodnim.

Leningrad, lotnisko Putkowo, 4 maja, 5.30

Katerina Klimienkowa zjawiała się w hali odlotów punktualnie dwie godziny przed startem samolotu linii Finnair. Noc spędziła w mieszkaniu kolegi Rogowa, który poprzedniego dnia przywiózł ją samochodem z Moskwy do Leningradu. Spała jednak źle i wstała z łóżka już o trzeciej. Ubrała się w stroje Lary dostarczone jej przez Wołodię w dwóch granatowych walizkach, podziwiając wysoką jakość materiałów i wyrafinowany gust siostry. Jeszcze wieczorem, kiedy przeglądając rzeczy natknęła się na arkusz czerpanego papieru zawinięty w jedwabny szal, mimo woli łzy pociekły jej po policzkach. Ze wzruszeniem przeczytała krótki tekst, starannie wykaligrafowany cyrylicą:

Jako że obie siostry nosiły znak miłości Boga, który położył dłoń na ich ramionach, odciskając na zawsze Swoje znamię. Tym samym połączył ich serca nie dającymi się zerwać więzami.

Przez następną godzinę wbijała sobie w pamięć wszelkie dane personalne Lary Martynowej. Pospiesznie przeczytała krótką historię życia w Szanghaju i Hongkongu, jaką siostra spisała dla niej w notesie pozostawionym w walizce. Skoncentrowała się jednak na wydarzeniach z ostatnich dziesięciu dni, od chwili wejścia Lary na pokład „Chabarowska”. Powtarzała w myślach rozmaite szczegóły związane z załatwianiem formalności w biurze Dalekowschodnich Linii Oceanicznych, podróżą autobusem z Nachodki do Władywostoku i wreszcie przelotem do Moskwy. Zapamiętała nawet, jaka pogoda towarzyszyła im w kolejnych dniach rejsu po morzu. Miała nadzieję, że wie już wszystko, co powinna znać z życia Lary Martynowej, i że wystarczy to, by odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytania podczas odprawy paszportowej.

Moskwa, 4 maja, 5.30

Klimienko i Krasin także wstali przed piątą, żeby zdążyć na umówione spotkanie z Rogowem w restauracji „Tbilisi”. Wołodia zjawił się punktualnie i zaczął szybko relacjonować:

– Sytuacja przedstawia się następująco. Fannin odleciał bez przeszkód, moi ludzie widzieli, jak wsiadał do samolotu startującego do Berlina. Jeśli uda mu się prześliznąć przez granicę do Berlina Zachodniego, ma powiadomić telefonicznie osobę czekającą w Helsinkach na odbiór kwiaciarki. Inny mój człowiek natychmiast da nam znać, kiedy samolot linii Finnair wystartuje z Leningradu. Wtedy rozpoczniemy odliczanie. Kiedy żegnałem się z naszą kwiaciarką, ją także poprosiłem, by dała nam znać, kiedy tylko wyląduje w Helsinkach.

– Na pewno zadzwoni, jeśli tylko wcześniej zdoła się bezpiecznie dostać na pokład samolotu
– odparł Anatolij, nie mając najmniejszych wątpliwości, że matka dokładnie wypełni polecenia, jakie otrzymała od Rogowa.

– Wysłałem dwóch ludzi, by obserwowali mieszkanie Nikitienki. Pułkownik nie wychylał nosa z domu, korzysta z krótkiego urlopu.

Lotnisko Pulkowo, 4 maja, 7.05

– Proszę mi wybaczyć, młody człowieku, ale nie rozumiem. Czy mógłby pan powtórzyć?

Klimienkowa śmiało patrzyła przez szybą w oczy bardzo młodego oficera straży granicznej, który dopiero co musiał ukończyć szkołę KGB. Czekwała cierpliwie, aż przejrzy cały paszport, odczytując wstawione stemple i sprawdzi książeczką walutową oraz przeliczy wywożone dolary. Nie zdziwiło jej, że nawet przewertował plik dołączonych rachunków. Kiedy jednak zadał pytanie po angielsku, Katerina zupełnie nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. Za wszelką cenę próbowała opanować narastający strach. Gdy po raz drugi także nie rozumiała, postanowiła przejąć inicjatywę w swoje ręce. Przypomniała sobie styl komentarzy nadawanych w radiu „Głos Ameryki” i łagodnym, lecz stanowczym tonem znamionującym lekkie zniecierpliwienie powiedziała:

– Młody człowieku, doskonale pan mówi po angielsku, ale ja nadal nie rozumiem. Proszę mówić po rosyjsku.

Tamten popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Nie ma pani rachunku z hotelu w Leningradzie. Co się z nim stało?

– Nie nocowałam w hotelu, młody człowieku. Spędziłam noc w pokojach gościnnych konsulatu brytyjskiego. Jak panu zapewne wiadomo, konsulat nie wystawia rachunków.

Oficer jeszcze raz zajrzał do paszportu, przerzucił spięte razem rachunki, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu.

Klimienkowa nie słyszała jego słów, była jednak przekonana, że odczytała z ruchu warg nazwisko Lary Martynowej. Uśmiechnęła się niewyraźnie i wstrzymała oddech. Po chwili chłopak się rozłączył, zgarnął razem wszystkie dokumenty, wysunął je przez szczelinę okienka i ruchem ręki pokazał, że Katerina może przejść dalej. Sięgając po papiery, zaczerpnęła głęboko powietrza. Zwróciła jednak uwagę, że strażnik wciąż przygląda jej się badawczo. A kiedy się odwracała, złowiła kątem oka, że po raz drugi sięga po słuchawkę telefonu.

Leningrad, 4 maja, 8.00

Ian Bland był niepokieszony, że jego specjalnym gościom zdarzyła się taka przykra historia.

– Proszę pozwolić, że podsumuję. A więc gdy odebrała pani walizkę przywiezioną przez gońca z hotelu, nie zauważyła pani, że nie jest to bagaż pani Martynowej, bo walizka jest identyczna, tylko na nalepce widnieje inne nazwisko. Prawdopodobnie została zamieniona w czasie podróży koleją z Moskwy do Leningradu. Zgadza się?

– Tak. Mama zasnęła wreszcie pod wpływem środków przeciwbólowych, jakie dostała od doktora Allena, nie miałam więc powodu, żeby otwierać jej walizkę. Kiedy wstała dziś rano, spostrzegła, iż nie może otworzyć zamka szyfrowego. Obudziła więc mnie, żebym jej pomogła.

– I otworzyła pani walizkę?

– Pomyślałam, że mama popełniła jakiś błąd podczas ustalania szyfru, dlatego ustawiłam same zera i okazało się, że faktycznie zamek nie jest zaprogramowany.

– Rozumiem. Po odkryciu zamiany postanowiła pani odwołać rezerwację, ale nie mogła się dodzwonić. No cóż, w tym kraju to zupełnie naturalne. Czasami odnoszę wrażenie, że wciąż korzystamy z sieci telefonicznej założonej w czasach Piotra Wielkiego. – Uśmiechnął się z własnego dowcipu, zaraz jednak ciągnął dalej: – Pewnie to panią zaskoczy, pani Martin, ale gdy tylko skontaktowałam się kanałem dyplomatycznym z tutejszymi kompetentnymi czynnikami... to znaczy z KGB, jak się pani zapewne domyśla, w odpowiedzi usłyszałam

całkiem niewiarygodne wyjaśnienie. Otóż proszę sobie wyobrazić, że rezerwacja lotnicza nie tylko nie została odwołana, ale podobno pani matka dziś rano wsiadła na pokład samolotu linii Finnair i odleciała. O tej porze zapewne jest już w Helsinkach. Na lotnisku nikt nie zwrócił uwagi, że Catherine Martin nie wykorzystała rezerwacji. Zapewne nikt nie wiedział, iż podróżują panie razem. Dopiero tutejsze KGB zdołało wyjaśnić całą sprawę. I co pani na to?

– Podejrzewam, że osoba, która znalazła się w posiadaniu dokumentów mojej matki, skorzystała z paszportu oraz biletu i uciekła za granicę.

Bland odchylił się na oparcie krzesła.

– Na to wygląda, pani Martin. Dokładnie to samo powiedziałem oficerowi KGB, z którym musiałem prowadzić dość nieprzyjemną rozmowę. Poradziłem mu, aby dokładnie sprawdził swoich kolegów, gdyż, moim zdaniem, wczorajszej kradzieży walizki pani matki z hotelu, dzięki czemu stało się możliwe tak szybkie wykorzystanie paszportu i biletu lotniczego, mógł się jedynie dopuścić człowiek, który wiedział o nagłym zasłabnięciu pani Martynowej. Wyraźnie dałem do zrozumienia naszym przyjaciółom z Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, że kryje się za tym ich człowiek.

– I co odpowiedział ten oficer?

– Oczywiście zaprzeczył, jakoby było to w ogóle możliwe. Według mnie, uznał to za jawną prowokację, ponieważ oznajmił, że powinienem wyciągnąć z tej afery odpowiednie wnioski i że tylko właścicielka skradzionego paszportu, która w odpowiedniej chwili zachorowała, mogłaby wyjaśnić, co się naprawdę stało.

– Chyba innej reakcji nie należało oczekiwać.

– Ma pani rację.

– Sądzi pan, że będą chcieli zatrzymać nas w Związku Radzieckim do czasu zakończenia śledztwa? To byłoby nie do wytrzymania.

– Dopóki nie stwierdzą zniknięcia osoby, która dziś rano posłużyła się paszportem pani Martynowej, z pewnością nie będą w stanie niczego wyjaśnić. Ja zaś nie wierzę, by kiedykolwiek im się udało odkryć czyjeś zniknięcie. Zgadza się, pani Martin? – Bland uśmiechnął się porozumiewawczo, lecz jego spojrzenie zdawało się kłuć policzki Kateriny.

– Proszę mówić mi po imieniu.

– Dziękuję, Catherine. Czy zatem, według ciebie, są jakiekolwiek szanse na zidentyfikowanie tej osoby?

– Ja też nie wierzę, by udało się stwierdzić czyjeś zniknięcie. Mogę się jednak mylić.

– Zobaczymy. W każdym razie przez jakieś dwa dni będę musiał odpierać różne idiotyczne zarzuty, ale w końcu uzyskają panie zgodę na opuszczenie kraju. Czy mam więc poprosić sekretarkę, by zarezerwowała już dwa miejsca w samolocie, powiedzmy, na pojutrze? Co się tyczy paszportu, wypisałem już formularz na wystawienie kopii.

– Bardzo dziękuję. Chętnie skorzystamy z pomocy, polecimy liniami Finnair do Helsinek. Tam już zajmę się wszystkim osobiście.

Bland ponownie z uśmiechem popatrzył badawczo na Katerinę, zachodząc w głowę, do jakich jeszcze intryg ta kobieta jest zdolna.

– W to nie wątpię, Catherine – odparł. – Chciałbym tylko dodać, że obie z matką załatwiłyście tę sprawę... znakomicie.

Lotnisko w Helsinkach, 4 maja, 8.50

Michael Martynow nie spuszczał wzroku z tablicy informacyjnej i odetchnął z ulgą, kiedy w wierszu dotyczącym lotu Finnair z Leningradu zamiast informacji O CZASIE ukazał się napis WYLĄDOWAŁ. Piętnaście minut później zauważył swoją szwagierkę w wahadłowych drzwiach oddzielających sektor kontroli paszportowej.

Kiedy Klimienkova stanęła z walizką przy barierze oddzielającej poczekalnię, szybko przecisnął się do niej.

– Witam w Helsinkach, moja piękna kijowska panno. Jestem Michael.

Katerina nie zdołała się powstrzymać, łzy pociekły jej po policzkach.

Moskwa, 4 maja, 8.55

Dzwonek telefonu przerwał rozmowę trzech mężczyzn.

– Słucham. Rogow.

– Wołodia, mam dla ciebie wspaniałe nowiny... dla was wszystkich... Uzyskałam właśnie potwierdzenie naszych operacji finansowych. Marko dzwonił z Berlina, załatwił formalności bez większych problemów. Możemy dalej rozkręcać interes. Kiedy będziesz gotów spotkać się ze mną?

– Bardzo się cieszę, Riitva! Przyjeżdżaj, kiedy ci pasuje, im szybciej, tym lepiej. Dam ci teraz do telefonu naszego współnika.

Rogow przekazał słuchawkę Klimiencie.

– Riitva, tu Tola. Znakomicie się spisałaś, choć przed nami jeszcze sporo do zrobienia. Musimy się tu uporać z pewnymi kłopotami. W każdym razie przyjmij moje serdeczne gratulacje i przekazaj pozdrowienia całej swojej rodzinie.

– Dziękuję, Tola. Dobrze wiem, że to nie koniec kłopotów, mam jednak nadzieję, że reszta pójdzie już łatwo. Muszę kończyć, kochany. Wkrótce się zobaczymy.

– Przyjeżdżaj jak najszybciej, Riitva.

Zaledwie Anatolij odłożył słuchawkę, telefon znowu zadzwonił. Rogow odebrał i przez kilkanaście sekund słuchał w milczeniu.

– Nie, wstrzymajcie się z akcją specjalną... Wyszedł na spacer? W porządku, idźcie za nim, ale nie podejmujcie żadnych działań. Dajcie mu tylko ten prezent od nas.

Rogow przerwał połączenie i odwrócił się w stronę Klimienki i Krasina, a na jego wargi wypłynął szeroki uśmiech wart dokładnie milion dolarów.

– To koniec. Nikt nie musiał umrzeć. Przynajmniej jeszcze nie dzisiaj.

Moskwa, 4 maja, 10.30

Zrobiło się na tyle ciepło, że wchodząc do Parku Gorkiego Karm Siergiejewicz Nikitienko zdjął z głowy kapelusz. Stał przy budce i udając, że zerka na stronę tytułową najnowszego wydania „Nowosti”, skupił się na odbiciu w szybie. Natychmiast zauważył dwóch mężczyzn, którzy śledzili go od wyjścia z domu. Spostrzegł ich już na ulicy, kiedy ruszyli jego śladem w odległości stu metrów.

Poszedł dalej i po półgodzinnym spacerze przysiadł na ławce skąpanej w słońcu. Miał przecucie, że teraz nieznajomi nawiążą z nim kontakt. Nie pomylił się. Jeden z nich podszedł energicznym krokiem i zza poły płaszcza wyjął zwiniętą w rulon gazetę.

– To dla was, towarzyszu pułkowniku. Zasłużyliście na to już wcześniej, w zupełnie innych okolicznościach.

Nikitienko ostrożnie wziął od niego gazetę, odetchnął jednak z ulgą, kiedy mężczyzna oddalił się pospiesznie. Przez chwilę jeszcze tkwił bez ruchu, wystawiając twarz do słońca, nim

wreszcie odważył się rozwinąć rulon. W gazetę był zawinięty sztuczny kwiat z jedwabiu. Czarny tulipan.

Epilog

Most Przyjaźni nad Amu-Darią na granicy radziecko – afgańskiej,

15 lutego 1989 roku

Gromow osobiście wydał rozkazy. Aż czterech żołnierzy przeniosło przez most zwłoki zabitego sapera, żeby zgromadzeni w oddali dziennikarze nie zdołali rozpoznać kształtu ludzkiego ciała zawiniętego w brezent i nie zrobili sensacji z ostatniej ofiary dziesięcioletniej wojny domowej.

Później na most wjechał samotny czołg i zatrzymał się w połowie jego długości. Odskoczyła kłapa, w wieżyczce ukazała się drobna sylwetka generała Borysa Gromowa, który zgrabnie zeskoczył na ziemię i ruszył pieszo przez ostatnie sto metrów, jakie dzieliło go od radzieckiej strony starożytnego Oksusu. Przy końcu mostu czekał już jego czternastoletni syn, Maksym, równie drobny i szczupły, który oficjalnie powitał generała w ojczyźnie i wręczył mu wiązanek czerwonych goździków.

Klimienko i Krasin obserwowali to przedstawienie spod wzniesionego naprędce pawilonu prasowego. Sasza nie zdołał się powstrzymać od komentarza.

– Gdyby nie mundur, pewnie bym się teraz poryczał, Tola. Nasz wielki bohater Afganistanu nie zapomniał o niczym, tyle że z kwiatami schrzanił sprawę. Zamiast wiązanek czerwonych goździków powinien odebrać jednego czarnego tulipana. To by o wiele bardziej pasowało do bohatera tej wojny.

Klimienko już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, kiedy niespodziewanie tuż za ich plecami rozległ się kobiecy głos.

– Catherine Martin, korespondentka „Far Eastern Focus”. Czy pozwoli pan, pułkowniku, że zacytuję pańską uwagę o kwiatkach?

Podziękowania

Pragnę podziękować Redakcji Działu Wydawniczego Centralnej Agencji Wywiadowczej – a w szczególności Molly Tasker i Johnowi Hedleyowi – za sprawdzenie, czy w tekście nie są poruszane sprawy objęte dotąd ścisłą tajemnicą. W agencji dokonano sumiennej weryfikacji i rzetelnej oceny, które fakty mogą zostać ujawnione, a które nie. Jestem niezmiernie wdzięczny jej pracownikom za pełne zaangażowanie i wszechstronną pomoc w konstruowaniu powieści opartej na trzydziestu latach moich doświadczeń z pracy w Służbach Specjalnych CIA.

Milt Bearden wrzesień 1997